

Katherine Scholes

Królowa Deszczu

z angielskiego przełożyła Bożena Krzyżanowska

.Q.

Świat Książki

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

*Dla Clare, Andrew i Hilary,
osób, które wraz ze mną w dzieciństwie
przeżyły podróż z jednej ojczyzny do
drugiej, z Tanzanii na Tasmanię...*

Prolog

1974, Dodoma, Tanzania, Afryka Wschodnia

Na cmentarzu przy katedrze anglikańskiej leżały dwie trumny, przygotowane do pochówku. Jedna z nich była prawie o trzydzieści centymetrów dłuższa od drugiej, ale niczym więcej się nie różniły. Proste, pozbawione ozdób skrzynie ze świeżych desek. Nad nimi stał biskup Wadę - potężny mężczyzna w fioletowych szatach, haftowanych złotą nitką. Jego zazwyczaj blade policzki zarumieniały się, a po skroniach spływały krople potu.

Spojrzał na zgromadzony tłum. Ludzie stali na ścieżkach, wypełniali miejsca między grobami, siedzieli na maskach i dachach zaparkowanych wzdłuż ogrodzenia land-roverów, wisieli nawet na gałęziach starych mangowców, które ocieniały cmentarz.

Misjonarze stali z przodu, wraz z innymi białymi i kilkoma dziennikarzami, którzy wymachiwali aparatami fotograficznymi i notatnikami. Za nimi tłoczyli się Afrykańczycy z miasta i misji, elegancko ubrani w zachodnią odzież. Nie brakowało też Hindusów w turbanach i sari. Na obrzeżach cmentarza skupiali się ludzie z wioski, którzy wyglądali jak czarne morze, upstrzone barwnymi tkaninami i pledami.

Biskup podniósł rękę i zaczekał, aż tłum ucichnie. Potem zaczął czytać z księgi trzymanej przez jednego ze swoich czarnoskórych kapłanów. Mocny głos zagłuszał cichy szmer rozmów, pokasływania ludzi, szurania nogami, płacz dzieci i odległy warkot samochodów.

„Nic bowiem nie przynieśliśmy na ten świat, i nic też nie możemy [z niego] wynieść...”*

Po przeczytaniu kilku następnych linijek głos mu się załamał. Biskup wyczuł, że w tłumie coś się wydarzyło - coś odciągnęło uwagę ludzi. Kiedy uniósł głowę, skierował wzrok w odległy róg cmentarza. Pojawiła się tam grupka wojowników - mężczyźni o długich rękach i nogach. Wszyscy mieli włosy posklejane gliną i naszyjniki z kolorowych paciorków. Przepychali się do przodu, rozsuwając na boki ludzi z misji. Nad głowami Afrykańczyków sterczały czubki długich włóczni, błyszczących w promieniach słońca.

W środku grupy szła osłaniana przez mężczyzn biała kobieta. Widać ją było tylko w prześwitach między nagimi ramionami wojowników. Miała piękną, alabastrową skórę, spokojne spojrzenie i rozpuszczone rude włosy. Kiedy przesuwiała się przez tłum, rozlegał się cichy pomruk, który rozprzestrzeniał się jak kręgi po wodzie.

Wojownicy zatrzymali się w pobliżu biskupa. Biała kobieta stanęła wraz z nimi i w milczeniu przyglądała się trumnom, nie zwracając uwagi na to, że jej przybycie zakłóciło przebieg ceremonii.

Wyglądała dość dziwnie. Była wysoka i chuda, miała na sobie strój koloru khaki, zaplamiony potem i gliną. W odróżnieniu od innych kobiet ubrana była w spodnie, podtrzymywane szerokim skórzanym pasem na amunicję. Stała nieruchomo, z kamienną twarzą, wpatrzona przed siebie.

Biskup wrócił do czytania. Gdy skończył, oznajmił, że chór zaśpiewa hymn. Celowo stanął przodem do śpiewaków, gdyż chciał przykuć uwagę tłumu. Kątem oka widział jednak, że milcząca kobieta wciąż stoi w tym samym miejscu...

Wszystkie fragmenty Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

8

„Prowadź mnie, wielki Jahwe, Pielgrzyma przez jałowy kraj...”

Wszyscy śpiewali unisono.

„Chleb niebieski. Chleb niebieski. Karm mnie, póki nie będę miał dosyć...”

Podczas ostatniego wersu hymnu biskup dał ręką sygnał pomocnikom. Wtedy z tłumu wyłoniła się prowadzona przez jedną z żon misjonarzy dziewczynka. Miała na sobie świeżo wyprasowaną sukienkę. Gdy szła, dolny obrąbek muskał jej kolana. Pochyliła głowę, a opadające włosy zakrywały jej twarz. Trzymała w rękach dwa bukiety kwiatów. Były to byle jak dobrane dzikie orchidee, słoneczniki, rośliny ogrodowe i polne chwasty - na pewno sama zrobiła te wiązanki.

Kiedy drobniutka postać zbliżała się do trumien, jakaś stojąca z tyłu czarnoskóra kobieta zaczęła głośno zawodzić. Przyłączyły się do niej inne Murzynki i wkrótce ich łkanie zagłuszyło śpiew chóru. Można było odnieść wrażenie, że dotychczas uroczystość przebiegała pod dyktando biskupa i kapłanów. Jednak widok dziecka zbliżającego się do trumien rodziców wywołał powszechny ból, który nie mieścił się w ramach liturgii. Przez tłum przetoczył się bezbrzeżny, głęboki smutek.

Kate stała między dwiema drewnianymi skrzyniami. Jeden bukiet starannie ułożyła na trumnie ojca, na samym środku wieka. Potem odwróciła się do drugiej skrzyni, ze zwłokami matki. Spojrzała z góry na deski, próbując przebić je wzrokiem. Czy mama ma otwarte oczy? - zastanawiała się. Czy też zamknięte, jak we śnie?

Nie pozwolono jej obejrzeć ciał. Powiedziano, że jest za mała. Nikt nie dodał, że rodzice zostali porąbani maczetami, ale Kate wiedziała, że o to chodzi.

Nawet twarze? - chciała spytać.

Czuła, że nikt nie oczekuje od niej żadnych słów. Chciano, żeby płakała, spała, jadła, połykała tabletki. Byle nie zadawała pytań.

- To ogromne szczęście, że ciebie tam nie było - mówili wszyscy. - Dzięki Bogu, przebywałaś w szkole z internatem. Aż strach pomyśleć, co by mogło się...

Z tłumu wyskoczył dziennikarz i przykucnął z aparatem fotograficznym, żeby uwiecznić moment, kiedy dziecko będzie kładło drugi bukiet. Kiedy wychylił się do przodu, by zapewnić sobie lepsze ujęcie, Kate spojrzała na niego z kamienną twarzą. Po jej głowie krążyły słowa, które odsuwały na bok wszelkie myśli.

„Musisz być dzielna. Taka była wola boska.

Musisz być dzielna”.

Te słowa Kate usłyszała w języku suahili. Padły z ust afrykańskiej gospodyni, która zabrała dziewczynkę ze szkoły, gdy już jej wszystko powiedziano. Powiedziano. Właśnie tak. Usta mężczyzny poruszały się, wypływały z nich słowa.

„Stało się coś strasznego...”

„Musisz być dzielna”.

Kate podniosła głowę i spojrzała na tłum. Napotkała nieruchome spojrzenie wysokiej kobiety o rudych włosach. Wydawała się dziwnie znajoma, ale dziewczynka była zbyt otępiła, by sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz. Po chwili Kate odwróciła wzrok i popatrzyła za cmentarz. Wszystkie drzewa tonęły w zieleni. Zbliżały się żniwa. Wyobraziła sobie kukurydzę na poletkach. Sięgałaby jej nad głowę. Kolby ze złocistymi ziarenkami w jedwabnych osłonkach. Zostało zaledwie kilka tygodni, by do następnego sezonu zapomnieć o głodzie...

Dziewczynka wróciła na swoje miejsce, u boku żony doktora, i stała tam bez słowa, ze wzrokiem wbitym w czubki butów - lśniącą, czarną skórę, pokrytą czerwonym pyłem.

- Wracajmy do domu, dobrze? - zabrzączał przy uchu głos pani Layton.

Kate spojrzała na nią zakłopotana.

- Do mojego domu, rozumiesz? - uściśliła kobieta. - Nie musisz już tu dłużej zostawać.

Próbowała się uśmiechnąć do dziecka, ale drżały jej wargi. Pani Layton ujęła Kate za łokieć i prowadziła przez tłum. Pospieszył za nimi młody mężczyzna z aparatem fotograficznym i notesem.

- Przepraszam - zaczął, doganiając Kate.

10

Miał sympatyczną twarz, ale nim zdołał powiedzieć coś więcej, pani Layton odpędziła go machnięciem ręki.

- Proszę porozmawiać z biskupem - powiedziała, a potem szybko wyprowadziła Kate poza teren cmentarza.

Kiedy pogrzeb się skończył i przebrzmiały dźwięki ostatniego hymnu, ludzie zaczęli się rozchodzić. Przedstawiciele mediów popędzili, żeby przeprowadzić wywiady, a misjonarze kręcili się w niewielkich grupkach, jakby nie chcieli przyjąć do wiadomości, że ceremonia dobiegła końca.

Młody dziennikarz podszedł do biskupa, który wciąż stał w pobliżu obu grobów i spoglądał na dwa kopczyki świeżej ziemi.

- Wasza Ekscelencjo, mam kilka pytań... - zagaił młodzieniec.

- Misja wydała oświadczenie - przerwał mu biskup. Mężczyzna kiwnął głową. Dwa dni temu czytał ten dokument. Potwierdzano w nim, że w wysuniętej daleko na zachód placówce, znajdującej się w pobliżu granicy z Rwandą, zamordowano parę misjonarzy - doktora Michaela Carringtona i jego żonę, Sarah. Motywy zabójstwa pozostają nieznane. Dodano, że w tym czasie na terenie placówki przebywała gościnnie trzecia biała osoba, która nie doznała żadnych obrażeń. To wszystko. Nie podano jeszcze jednej „informacji”, która jakby na przekór lotem błyskawicy rozeszła się po Dodomie. Że kobieta, która padła ofiarą mordu, przed śmiercią była naga, i co dziwniejsze, ktoś wetknął jej do ust jajko.

- Chciałbym uściślić pewne sprawy - wyjaśnił dziennikarz. Biskup spojrzał na mężczyznę i kiwnął głową na znak, że się zgadza. Teraz, kiedy zrobił, co do niego należało, to znaczy odprawił ceremonię pogrzebową, wyglądał na zmęczonego i zrozpaczonego. Dziennikarz domyślał się, że nie uda mu się uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Czy może Wasza Ekscelencja potwierdzić pogłoski o jajku? - zaczął.

Biskup zrobił zbolalą minę, ale młody człowiek nie przestawał naciskać.

11

- I że miała je... w ustach... pani Carrington? Biskup przytaknął.

- Wszystko stało się tuż przed Wielkanocą, przypuszczalnie więc miała to być aluzja do pisanek, jakimi obdarowują się z tej okazji chrześcijanie. - Mówił bezbarwnym głosem, jakby recytował wcześniej przygotowaną odpowiedź. - Na całym świecie, wszędzie gdzie dotarło głoszone przez Chrystusa przesłanie miłości, są ludzie, którzy odpowiadają na tę naukę nienawiścią.

Zaczerpnął powietrza. Dziennikarz zerknął do notesu i zadał następne pytanie.

- Ile lat ma dziewczynka?

- Dwanaście.

- Co się z nią stanie?

- Wróci do Australii. Nie ma bliskich krewnych. Jej prawnym opiekunem będzie sekretarz misji. Niczego jej nie zabraknie. Pójdzie do najlepszej szkoły.

Dziennikarz robił notatki.

- Jak mała sobie radzi?

- Jest silna - odparł biskup ponuro. - Możemy się tylko modlić, by wiara dodała jej otuchy.

Za ich plecami pojawił się następny reporter - starszy mężczyzna z przeredzonymi siwymi włosami i rumianą twarzą. Kiedy otworzył usta, biskup potrząsnął głową.

- Wystarczy. Proszę... - Odwrócił się.

Starszy pan nie dał się zbić z tropu i zadał pytanie:

- A kobieta, która przebywała na terenie misji? Czy to nie Airnah Mason?

- Owszem - przyznał biskup na odchodnym. Obaj dziennikarze rzucili się za nim.

- Była świadkiem morderstwa? Znajdowała się w tym samym miejscu? - ciągnął starszy z panów. Nie czekając na odpowiedź biskupa, naciskał: - W takim razie dlaczego nic jej się nie stało? Zważywszy na to, co przydarzyło się tamtej parze...

Młodszy z dziennikarzy wyglądał na zaszokowanego takim sposobem zadawania pytań, ale pędził za nimi.

12

- Czy to prawda, że... panna Mason była kiedyś... misjonarką? Że zmuszono ją do złożenia rezygnacji? Może mi Wasza Ekscelencja powiedzieć, dlaczego?

Przybierająca na sile fala pytań starszego pana nagle została powstrzymana, gdyż biskup się odwrócił. Był postawnym mężczyzną, a jego twarz aż płonęła ze złości. Obaj dziennikarze cofnęli się o krok.

Biskup odszedł, zostawiając swoich rozmówców.

- Ona naprawdę tam była - wyjaśnił siwowłosy mężczyzna. - Mam na myśli pannę Mason.

Oblizwał wargi, jakby wybierał się na drinka. Młody człowiek rozejrzał się niespokojnie.

- Rozmawiał pan z nią?

- Próbowałem. - Mężczyzna podrapał się po nosie. - Póki jeden z jej „ochroniarzy” nie pokazał mi końca włóczni, która wyglądała na wyjątkowo ostrą. - Potrząsnął głową. - Szkoda.

Wepchnął obgryziony, kulfoniasty ołówek do kieszeni, wzruszył ramionami i odszedł.

Kate przebywała w słonecznym salonie. Obcy ludzie podtykali jej jedzenie. Wzięła do ust zimną, pozbawioną smaku papkę. Przełknęła kilka łyżeczek i odsunęła talerz.

Potem zabrano ją do magazynku, gdzie stało rzędem kilka skrzynek po herbacie. Pani Layton wyjaśniła, że ktoś w Lan-gali spakował dobytek jej rodziców i dostarczył go tutaj. Skrzynie w odpowiednim czasie zostaną wysłane do Australii. Pani Layton wręczyła Kate kilka rzeczy, które odłożono specjalnie dla niej, wychodząc z założenia, że mogą się przydać dziewczynce. Była tam Biblia ojca i skromna biżuteria matki.

- Dziękuję - powiedziała Kate.

Ledwo zerknąwszy na te przedmioty, położyła je na podłodze. Potem podeszła do jednej ze skrzyń i zaczęła przeglądać znajdujące się w niej rzeczy. Wyjęła lalkę - tę, którą w każde Boże Narodzenie owijano w białe płótno i kładziono do żłobka jako Dzieciątko Jezus.

13

- Zatrzymaj ją sobie - zaproponowała pani Layton, wychodząc z założenia, że zabawka doda dziewczynce otuchy.

Kate wrzuciła lalkę z powrotem do skrzyni i odwróciła się, by zajrzeć do kartonu ze starą odzieżą.

- Moim zdaniem tych rzeczy nie ma po co zatrzymywać - oświadczyła pani Layton. - Jest tu przede wszystkim odzież. Rozda się ją czarnoskórym.

Zmarszczyła czoło, kiedy Kate pochyliła się i wyjęła parę starych butów. Należały do Sarah. To w nich codziennie biegała po kuchni, szpitalu i terenie misji. Lśniły czystością, ale były miękkie i popękane od chodzenia. Kate zbliżyła twarz do butów, wdychając piżmowy zapach wyschniętego potu. Potem przytuliła je do piersi.

Po kilku chwilach pani Layton podeszła i położyła dłoń na ramieniu dziewczynki.

- Popłacz sobie, kochanie. Lepiej nie dusić tego w środku. Kate stała z pochyloną głową. Nie mogła płakać. Miała wrażenie, że łyzy utknęły gdzieś po drodze, tworząc w gardle bolesną kluchę.

Gdy Kate została sama w pustym pokoju gościnnym, uklękła przy łóżku, żeby się pomodlić. Poruszała wargami, ale nie potrafiła znaleźć słów. Nie była w stanie myśleć. Czuła się zagubiona i pusta, jakby ona również umarła. Zastanawiała się, czy to z powodu pigułki, którą dał jej doktor Layton. Po kilku minutach wstała. Znalazła buty Sarah i wsunęła w nie stopy. Były o wiele za duże. Gdyby próbowała w nich chodzić, na pewno by się przewróciła. Usiadła na brzegu łóżka. Rozdeptana skóra i wyżłobione przez nogi matki zagłębienia, które czuła w tych butach, dodawały jej otuchy. Kate wyobraziła sobie, że Sarah właśnie je zdjęła i wciąż są ciepłe... To ją uspokoiło, a potem zaczęło działać lekarstwo przytępiające ból.

Już niemal zasypiając, Kate położyła się do łóżka i wcisnęła między ciasno wetknięte prześcieradła. Nagle usłyszała, że otwierają się drzwi. Szybko zamknęła oczy. Zesztywniała, czekając na uścisk obcej kobiety. Matki innej dziewczynki.

14

Ale osoba, która weszła i stanęła obok, pachniała zimnym popiołem i masłem. Kate zerknęła spod przymkniętych powiek.

- Ordena? - szepnęła imię starej niani. Nie - powiedziała sobie. To niemożliwe. Kto by ją tu sprowadził? Taki kawał drogi z Langali...

- Czyż to nie ja kołysałam cię jako maleńkie dziecko? - odparła kobieta.

- Przyszłaś - westchnęła Kate, ledwo w to wierząc.

- Przyszłam.

Ordena pochyliła się i wzięła Kate w ramiona. Powoli, delikatnie kołysała dziewczynkę, jakby znów była niemowlęciem. Stara niania poruszała się w przód i w tył, w przód i w tył, w równym rytmie afrykańskiej kołysanki. Powoli Kate rozluźniła się i uspokoiła w dobrze znanych objęciach. W końcu mogła popłakać.

Część I

1990, Melbourne, Australia

Przy łokciu Kate pojawiła się srebrna taca z dwoma kieliszkami szampana. Wzięła jeden z nich i postawiła go ostrożnie obok papierów.

- Dzięki.

Zerknęła na stojącą obok młodą pielęgniarkę i sprawdziła przypiętą do bluzki plakietkę. Przeczytała: „Meg McCausland. Tymczasowa pomoc”.

- Jesteś z agencji?

Meg kiwnęła twierdząco głową.

- Byłam tu kilka miesięcy temu. Myślałam, że podczas Bożego Narodzenia będzie spokojniej. Kate potrząsnęła głową.

- To dla nas najgorętszy okres. - Zniżyła głos. - Mówią przyjaciółkom, że wyjeżdżają na święta, a przychodzą tutaj. Na sylwestra mogą wrócić do domu.

Meg się uśmiechnęła.

- Odmłodzone i bez zmarszczek! To niezły plan, jak sądzę... jeśli człowiek może sobie na to pozwolić.

Kate uśmiechnęła się i upiła łyk szampana. Zimne bąbelki połaskotały ją w język, później poczuła łagodny, wspaniały smak. Zerknęła na zegarek i wróciła do swoich notatek.

Meg kręciła się w pobliżu, dolewając olejek eteryczny do

19

kominka. Potem podniosła małą buteleczkę i przeczytała napis: „Kadzidło betlejemskie na Boże Narodzenie”. Westchnęła.

- Co roku wmawiam sobie, że biorę świąteczny dyżur ze względu na wysokie wynagrodzenie. Potem łapię się za głowę i żałuję. - Odwróciła się do Kate. - A pani? Nie udało się pani wymigać?

- Nie mam nic przeciwko pracy w Boże Narodzenie - odparła Kate, nie przerywając pisania. - Nie jestem osobą religijną-

- A co ze świątecznym obiadem? - spytała Meg. - Rodzina nie chciałaby, żeby usiadła pani z nimi do stołu?

Kate potrząsnęła głową. Pochyliła się, żeby zebrać suche płatki, które upadły na telefon.

- Pani rodzice nie mieszkają w Melbourne? - dociekała Meg.

- Nie.

- W innym stanie?

Kate przesunęła teczkę. Czowała, że Meg czeka na odpowiedź.

- Nie żyją - wyjaśniła. - Wiele lat temu zginęli w wypadku. Meg przyglądała się jej zaszokowana.

- Przepraszam - powiedziała. - Najmocniej przepraszam. Zapadła pełna napięcia cisza. Gdzieś w głębi budynku ktoś śpiewał kolędy.

- Nie ma sprawy - ucięła Kate, ponieważ zrobiło jej się żal młodej dziewczyny. - Nie mogłaś o tym wiedzieć. - Wzięła do ręki harmonogram. - Lepiej zacznij obchód. Pani James powinna mieć zdjęty opatrunek. Pacjentka spod dwójki również. Żadna z nich nie lubi czekać.

- Zauważyłam! - Meg z ulgą powitała zmianę tematu. -Prawdę mówiąc, nie wiem, jak pani je znosi, pracując na pełnym etacie. Wiem, że zarobki są dobre, ale...

- Lubię tę pracę - wyjaśniła Kate. Meg uniosła brwi.

- Za to wszystko?

Rozejrzała się po świetnie wyposażonej dyżurce, w Wil-

20

loughby Centre for Aesthetic Surgery nie oszczędzano na zakupach. Nawet choinkę przystrojono tak, by pasowała do kolorystyki wnętrza - była beżowa, ozdobiona złotymi aniołkami i błękitnymi jedwabnymi kokardkami.

- Nie - zapewniła szybko Kate. - To nie ma znaczenia. Po prostu cieszy mnie, że ludzie chcą korzystać z naszych usług. Przychodzą do nas z własnego wyboru. A to nie jest prawdziwy szpital. Nie ma nagłych przypadków. Wszystko przebiega spokojnie...

- Dlaczego została pani pielęgniarką? - zainteresowała się Meg. - Skoro tak pani do tego podchodzi.

Kate przez chwilę milczała, potem wzruszyła ramionami.

- Myślę, że to zwyczajna historia. Florence Nightingale...

- No tak. - Meg przytaknęła. - Mężczyźni w białych kitlach i tak dalej.

Kate uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Znała wiele pielęgniarek, które miały nadzieję, że uda im się upolować jakiegoś lekarza, ale ona do nich nie należała.

Błysnęło światło. Wzywała pomocy któraś z pacjentek. Meg niechętnie wyszła na oddział.

Kate wróciła do swoich papierów. Tym razem się spieszyła, dlatego jej pismo stało się niewyraźne. Postanowiła wyjść, nim Meg wróci. Miała dość bezceremonialnych pytań, które pociągały za sobą konieczność odpowiedzi. „Dlaczego została pani pielęgniarką?” - spytała Meg. Kate uśmiechnęła się ponuro, zastanawiając się, co pomyślałaby pełniąca dyżur dziewczyna, gdyby знаła prawdziwą odpowiedź. Przecież wyboru dokonano za nią, gdy miała zaledwie piętnaście lat, a o jej przyszłości zdecydowało zrządzenie losu...

Kate wylegiwała się na trawniku w ogrodzie szkolnym, kiedy wezwano ją do gabinetu dyrektorki. Nie było w tym nic dziwnego. Misja przekazała szkole większość spraw dotyczących opieki nad Kate, dlatego dziewczynka często była wzywana do pani Parr w

celu omówienia różnych spraw, od przyjęć urodzinowych poczynając, a na zakupach nowej odzie-

21

zy sportowej kończąc. Jednak tym razem Kate poczuła dziwny niepokój. Zdawała sobie sprawę, że zbliża się Wielki Tydzień, a wraz z nim przemilczana i nieobchodzona rocznica jej przyjazdu do szkoły. Pojawienia się Kate Camngton, młodej podopiecznej misji. Zanedbanej dziewczynki z jedną walizką, bez rodziny, bez domu, osoby obcej, która liczyła każdego centa, każdego szylinga i wciąż przechodziła na suahili.

Trzymając kurczowo w ręce list sekretarza, Kate podeszła do drzwi pani Pan-. Zatrzymała się, by przyglądać czarne włosy i poprawić spódniczkę, potem zapukała.

- Proszę - przywitał ją niski głos dyrektorki. Po wejściu do gabinetu Kate ujrzała wysokiego mężczyznę w granatowym garniturze. Od razu wiedziała, że nie jest to człowiek przysłany przez misję - sekretarz i jego ludzie zawsze mieli na sobie odzież safari albo sportowe płaszcze i spodnie. Uprzejmie ujęła dłoń mężczyzny.

- Spotkaliśmy się wcześniej - przypomniał jej. Mówiąc to, nachylił się nad nią. W jego głosie pobrzmiwał smutek, który wywołał w Kate uczucie strachu.

- Pan Marsden jest dziennikarzem - wyjaśniła szybko pani Parr. - Kilka lat temu rozmawiał z tobą o tym, co przydarzyło się twoim rodzicom. Teraz chciałby poznać dalszy ciąg historii. Sekretarz misji chętnie zobaczyłby w prasie taką publikację. - Urwała i przenikliwie przyjrzała się Kate. - Ale, oczywiście, wszystko zależy od ciebie. Wcale nie musisz udzielać wywiadu.

Kate poczuła ulgę. Pani Parr nigdy nie rzucała słów na wiatr. Gdyby Kate poprosiła, dyrektorka szkoły odesłałaby dziennikarza z kwitkiem. Jednak dziewczynka przypomniała sobie, co pani Parr powiedziała o sekretarzu misji - że zależy mu na tym wywiadzie. Przez wiele lat misja zapewniała Kate wszystko - szkołę, wakacje, fryzjera, wizyty u dentysty, nawet kotka. Kate wiedziała, że opiekująca się nią organizacja dysponuje jedynie funduszami zebranymi od ofiarodawców. Podobno po artykułach na temat jej historii na konto misji wpłynęły tysiące dolarów. Prawdopodobnie tak samo będzie i teraz.

22

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Kate do dziennikarza. Zdobyła się nawet na uśmiech.

Dziennikarz pytał Kate o przyjaciółki, zainteresowania, ulubione przedmioty w szkole. Zapisywał coś w notesie. Dziewczynka ociągała się z odpowiedziami, za każdym razem obawiając się następnego pytania. Wiedziała, że temu człowiekowi wcale nie zależy na poznaniu jej życia codziennego. Wcześniej czy później przejdzie do sedna sprawy. Czy jest szczęśliwa? Czy udało jej się zapomnieć o przeszłości, czy może tragedia, jaka wydarzyła się w Langali, zrujnowała jej życie? Kate czuła, że powoli ogarnia ją panika. Słowa zaczęły więznąć jej w gardle. Ale bezpośrednio pytanie nie padło. Po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że dziennikarz nie ma odwagi powiedzieć wprost, o co mu chodzi. Zaczęła się uspokajać. Opowiadając o swoim kotku, zerknęła za plecy mężczyzny. Na drzewie za oknem usiadła samiczka jakiegoś ptaka. Trzymała w dziobie robaka. Nieco niżej widać było otwarte dziobki.

W końcu dziennikarz zamknął notes i kiwnął głową pani Parr. W tym momencie zaświtała mu w głowie jeszcze jedna myśl.

- Co masz zamiar zrobić po ukończeniu szkoły? Kate przez chwilę mu się przyglądała, potem wbiła wzrok w podłogę. To było proste, trafne pytanie, ale nie miała pojęcia, jak na nie odpowiedzieć. Ilekroć próbowała spojrzeć w przyszłość, widziała ciemność, całkowicie

oderwaną od przeszłości. Liczyła się tylko teraźniejszość. Kate była jednak pewna, że pani Parr nie pochwaliliby takiej odpowiedzi. Uczennicom St John's College zawsze powtarzano, jak ważne jest spoglądanie w przyszłość i wyznaczanie sobie celów.

- Chcę zostać pielęgniarką - usłyszała własne słowa, wypowiedziane dziwnie pewnym, silnym głosem. - Chcę, tak jak moi rodzice, pracować w Afryce.

W ciszy, która nastąpiła, Kate słyszała, jak mężczyzna zapisuje jej odpowiedź. Za oknem piskłeta dopominały się więcej jedzenia.

23

- Dziękuję. - Dziennikarz promiennie się uśmiechnął. - To było cudowne.

W następnym tygodniu opublikowano jego artykuł. Chociaż pytanie dotyczące planów Kate na przyszłość odegrało w wywiadzie niewielką rolę, to właśnie na nie położono główny akcent. W gazecie zamieszczono duże zdjęcie Kate z twarzą wtuloną w kotka. Poniżej tłustą czcionką napisano tytuł:

Odważna córka męczenników chce iść w ślady rodziców

Artykuł przeczytało mnóstwo osób. W następnych tygodniach i miesiącach wciąż gratulowano Kate śmiałej wizji. Potem wydawało się, że jej przyszłość została już wyznaczona. Ilekroć zaczynała zastanawiać się nad zmianą planów, czuła się tak, jakby zdradzała pamięć rodziców. Misję. Boga. Wszystko, co miało dla niej jakieś znaczenie.

Kate zaparkowała na swoim stałym miejscu, w cieniu lipy. Idąc ścieżką, przyjrzała się fasadzie wąskiego, wiktoriańskiego domku z tarasem. Budynek sprawiał wrażenie niezamieszkanego. Sypialnia od frontu stała pusta, zasłony niemal zawsze tkwiły w tej samej pozycji. Jedyna świąteczna ozdoba - maleńki wianuszek na drzwiach - wyraźnie nie pasowała do otoczenia.

Korytarz był ciemny i cichy. Kate powiesiła szpitalny kitel i torebkę, po czym skierowała się prosto do salonu na tyłach domu. Tu otworzyła podwójne, przeszklone drzwi i wyszła do ogrodu.

Na podwórku kładły się długie, popołudniowe cienie, ale słońce wciąż grzało. Kate stała na tarasie, czując dotyk promieni na ramionach. Rozejrzała się wokół siebie z delikatnym uśmiechem zadowolenia. Lato przyszło w tym roku wcześniej, po deszczowej wiośnie, a dzięki wysokiej temperaturze i sporej ilości wilgoci wszystko szybko rosło. Jednocześnie zakwitły rośliny zimozielone, jednoroczne i wieloletnie. Żywopłoty były świeżo przycięte, ścieżki oczyszczone z mchu i chwastów,

24

a każdy centymetr kwadratowy gruntu starannie przykryty mierzwą. Maleńki ogródek nigdy nie wyglądał ładniej.

Kate wędrowała powoli ścieżką, dokładnie przyglądając się każdej rabatce. Zatrzymała się, by sprawdzić pączek staroświeckiej róży, lekko dotknąć zwiniętych płatków, wilgotnej, aksamitnej powierzchni z delikatnym, różowym rumieńcem. Niemal czuła kryjący się we wnętrzu zapach.

Nagle powietrze rozdarł huk. Kate uniosła głowę i zamarła w bezruchu. Hałas ucichł, ale dziwny dźwięk wciąż odbijał się echem w cichym ogrodzie, brzmiał jej w uszach. Poczowała przyspieszone bicie serca. Znała ten odgłos - wiedziała, jak przecina powietrze, zostawia postrzępioną dziurę, wyglądającą, jakby zrobiona została przez kilka przedmiotów, a nie jedną maleńką kulę. Nie było wątpliwości. To broń palna. Ktoś strzelał z niedużej odległości. I nie tak daleko od jej domu.

Kate podbiegła do bocznego ogrodzenia. Chwyciwszy się kurczowo parkanu i stanąwszy na czubkach palców, zajrzała na podwórko sąsiedniego domu. Początkowo wszystko wyglądało normalnie - ogromny, zaniedbany teren, rezydencja z opuszczonymi roletami, tylne drzwi z otwartym skoblem. Kate uważnie zlustrowała ogród, zatrzymując wzrok w pobliżu drzewa jacaranda. Z przerażeniem wpatrywała się w leżące na ziemi ciało. I długolufową broń, widoczną w pobliskiej trawie.

Kate pobiegła wzdłuż płotu. Wiedziała, że w którymś miejscu można odsunąć na bok trzy sztachety i precyzyjnie się przez otwór. Chwilę zajęło jej znalezienie tego przejścia, gdyż było niemal całkiem zasłonięte przez kępę malw. Kate precyzyjnie się szybko przez kwiaty, przy okazji łamiąc łodygi. Zaczynała się martwić. Może najpierw powinna pobiec do domu i wezwać pogotowie? Uklękała i wsunęła się w szparę. Zahaczyła się o gwóźdź i rozdarła spódnice.

Gdy znalazła się w ogromnym ogrodzie, zaczęła biec, uchylając się przed konarami i rozsuwając na boki splątane chwasty. W leżącym człowieku rozpoznała sąsiadkę. Chociaż kobieta wprowadziła się całkiem niedawno, Kate często widywała

25

przez płot wysoką, samotną postać z gęstymi siwymi włosami, upiętymi w byle jaki kok.

Po dotarciu do leżącej Kate zaczęła szukać śladów krwi albo jakichś ran, ale niczego nie znalazła. Kobieta po prostu leżała i ciężko dyszała.

- Nic się pani nie stało? - spytała Kate.

Sąsiadka odwróciła głowę i popatrzyła na Kate dużymi, szarozielonymi oczami. Było to dziwnie przytomne, badawcze spojrzenie. Minęła długa chwila. Potem nieszczęsnica próbowała wstać, przytrzymując się gałęzi jacarandy. Kate przyglądała się, nie bardzo wiedząc, czy ma pomóc. Podjęte przez kobietę próby sygnalizowały dążenie do samodzielności. W końcu stanęła o własnych siłach, chociaż nadal nie mogła złapać tchu, odwróciła się do Kate i obdarzyła ją niepewnym uśmiechem. Po chwili z wyraźnym triumfem w oczach wskazała na dwie wijące się pod krzakiem połówki dużego, czarnego węża. Kate z daleka przyjrzała się gadowi. Wiedziała, że głowa wciąż jest niebezpieczna. Była zaskoczona, widząc węża tutaj, w Park-ville. Musiał wyjść ze strumyka i pomylić dziczająco ogród z kryjówką w buszu.

- Nic się pani nie stało? - spytała ponownie. Sąsiadka wciąż z ogromnym trudem łapała powietrze, kurczowo trzymając się drzewa. Kate domyśliła się, że potężne kopnięcie broni musiało przewrócić strzelającą i pozbawić ją tchu.

- Nic. Za chwilę wszystko będzie w porządku. Chociaż na razie podłe się czuję.

Kobieta unikała wzroku Kate, jakby wstydziała się swojego stanu. Kate zdała sobie sprawę, że na przekór siwym włosom sąsiadka wcale nie jest taka stara. Mogła mieć pięćdziesiąt parę lat. Trudno powiedzieć. Ogorzała twarz nadawała jej ponadczasowy wygląd osoby, która dużo przeżywała na słońcu.

Kobieta zasygnalizowała, że potrzebuje pomocy. Nim Kate wzięła ją pod ramię, podniosła ciężką broń, przy okazji sprawdzając, czy jest nabita, chociaż wiedziała, że to właśnie z niej

26

przed chwilą strzelano. Poczowała zapach smaru. Wraz z nim wróciło wspomnienie, obraz z przeszłości...

Pałace słońce i sucha trawa. Mała dziewczynka skradająca się cicho i powoli jak kot. Bez łamania gałązek ani przygniatacia liści. Nieodrywająca wzroku od ręki ojca. Stop! - zasygnalizował. Było to gwałtowne machnięcie. Musiał coś wypatrzeć. Dziewczynka zamarła w pół kroku, z trudem chwytając równowagę. Mężczyzna przykucnął, wymierzył, wypalił. Potem nie trzeba już było zachowywać ciszy. Ojciec się uśmiechnął, a mała roześmiała się w głos. Tego wieczoru czeka ich królewska kolacja...

Ciężar chłodnej broni ciągnął w dół ramię Kate, kiedy podeszła do sąsiadki. Nagle poczuła się niezręcznie z powodu bliskości. Kosmyk siwych włosów dotknął jej policzka, wyczuła też delikatny zapach potu i pizmową woń perfum.

Powędrowały w stronę tylnej werandy, w kierunku drewnianego krzesła. Stało w pewnej odległości od ganku, w pobliżu kręgu z cegieł, otaczającego kilka w połowie zwęglonych kłód i kupkę popiołu.

Kate wiedziała o istnieniu tego ogniska. Kobieta zapaliła je pierwszego dnia po wprowadzeniu się do domu. Gdy Kate zauważyła dym, przypuszczała, że sąsiadka pali chwasty z ogrodu. Ale gdy ukradkiem zerknęła przez płot, zobaczyła siwowłosą postać siedzącą przy ogniu i wpatrującą się w płomienie. Kilka godzin później scena wyglądała dokładnie tak samo. Potem, o zmierzchu, pojawił się kociołek, a kobieta zabrała się do gotowania...

- Może po kogoś zadzwonić? - spytała Kate, gdy dotarły do krzesła.

- Nie, nie. Nic mi nie będzie - brzmiała odpowiedź. - Poradzę sobie.

Trudno było powiedzieć coś na podstawie akcentu kobiety. Nie był ani australijski, ani angielski, chociaż przypominał oba z domieszką jakiegoś trzeciego elementu.

- W porządku. - Kate rozejrzała się wokół siebie, nie bar-

27

dzo wiedząc, co jeszcze może zrobić. - Przynieść pani wodę do picia?

- Dziękuję.

Kobieta uśmiechnęła się, a w kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki. Kate nagle uznała, że jej rozmówczyni kiedyś musiała być piękna. Wciąż była ładna. Miała gęste i błyszczące, chociaż siwe włosy, a dzięki wystającym kościom policzkowym jej twarz ładnie się starzała. Kate zauważyła, że jej sąsiadka nosi coś, co można uznać za strój sportowy - sprane spodnie koloru khaki i marszczoną płócienną bluzkę. Wyglądało na to, że ona również nie świętuje Bożego Narodzenia.

- W lodówce znajdzie pani trochę soku ze świeżej limo-ny. - Kobieta wskazała tylne drzwi. - Na półce w spizami są dwie szklanki.

Tylne drzwi prowadziły prosto do staroświeckiej kuchni. Przy jednej ze ścian stał piec na drewno, środek zajmował jasny stół z sosnowego drewna. Oprócz tego był tylko zlew i kilka wbudowanych szafek. Żadnych firanek, miseczek, rondli, słoików czy butelek. Ani śladu jedzenia. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że kobieta mieszka tu od niedawna, kuchnia była dziwnie pusta.

Kate podeszła do lodówki. Tu również prawie niczego nie było. Kilka marchewek, jabłko, kostka masła i... biały porcelanowy dzbanek na herbatę. Kate potrząsnęła głową. Ta kobieta jest chyba szalona - pomyślała. Strzela do węży, gotuje na ognisku, a dzbanek na herbatę trzyma w lodówce. Ale po zdjęciu pokrywki w powietrzu rozszedł się zapach świeżej limony. Zerknąwszy do środka, Kate zobaczyła grube plasterki z zieloną skórką pływające w soku. Wyjrzała przez okno. Sąsiadka wciąż siedziała na krześle, lecz wcale

nie odpoczywała. Wyprostowała się, z napięciem wpatrując się w tylne drzwi i czekając na jej powrót.

Kate napełniła dwie szklanki i wyniosła je na zewnątrz. Zgodnie z poleceniem postawiła je na ziemi w pobliżu ogniska, a potem przyniosła z werandy drugie krzesło. Kiedy się na nim usadowiła, skosztowała soku. Był zimny, kwaśny - tylko odro-

28

binę dosłodzony - i orzeźwiający. Wyczuła w nim jeszcze jakiś smak. Wypiła następny łyk, próbując rozpoznać, co to takiego.

- Bazylia - powiedziała kobieta.

- No tak - potwierdziła Kate.

Siedziały w milczeniu, pijąc i spoglądając na kłębiący się w powietrzu dym. Kate wdychała zapach dogasającego ogniska, starego popiołu rozgrzanego przez słońce. Wydawał jej się dobrze znajomy, a jednocześnie bardzo odległy, z innego świata. Grille, przy których siadywała każdego lata, były zapalane, a potem czyszczone. Takie palenisko - obozowe, domowe - to zupełnie inna sprawa. W nocy podtrzymuje się w nim ogień, żeby strzegł przed lwami, a w ciągu dnia gotuje się na nim posiłki, dlatego żywot tego rodzaju ognisk jest wyjątkowo długi. Warstwy popiołu oznaczają każdy mijający dzień, każdy posiłek, każde urodziny, każdą śmierć...

W oddali zaczęły bić dzwony kościelne. Panie spojrzały na siebie. Obie samotnie spędzały Boże Narodzenie.

- Mam na imię Jane.

- A ja Kate.

Znów cisza. Kate zauważyła brązową kozę, pałętającą się przy jednym z pobliskich drzew owocowych. Obgryzała niski krzaczek, grubymi wargami szukając młodych, delikatnych pędów.

- Dzięki niej nie muszę kosić trawy - wyjaśniła Jane. -Ogród trochę zarósł.

Kate przytaknęła z uprzejmym uśmiechem na ustach. To było lekkie niedopowiedzenie. Posiadłość przez ostatni rok świeciła pustkami, a ogród całkiem zdziczał. Kozą zerwała garść liści. Jak tak dalej pójdzie, w mgnieniu oka ogołoci cały teren. Kate przypomniała sobie, jakie zamieszanie wywołało pojawienie się zwierzęcia. Mieszkańcy ulicy złożyli skargę do zarządcy, ale ku swojej konsternacji usłyszeli, że kobieta nie jest kolejnym najemcą, lecz właścicielką, która wróciła zza oceanu. Jeśli chce trzymać zwierzę w ogrodzie, to jej prywatna sprawa. Wkrótce za płotem pojawiły się kury - widziano je, jak odpoczywały na gałęziach drzew. O świcie słyszano pianie

29

koguta, a w powietrzu bez przerwy unosił się zapach palonego drewna. Sąsiedzi zaczęli zaczepiać Kate na ulicy, by zapytać o kobietę zza płotu. Kate postanowiła o niczym im nie mówić, zwłaszcza że Jane od przyjazdu praktycznie mieszkała pod gołym niebem, czasem wręcz spała na werandzie. To nie ich sprawa - uważała Kate. Nie miała zamiaru przyłączać się do grona plotkarzy.

- Jak długo tu mieszkasz? - spytała Jane, kiwnięciem głowy wskazując małeńki domek z tarasem.

- Długo... - odparła Kate wymijająco. - Tyle że wyjeżdżałam i wracałam.

Jane przez sekundę przyglądała się jej bez słowa.

- Skąd wiedziałaś, że w płocie jest dziura? Kate zawahała się, ale nie widziała powodu, dla którego miałyby ukrywać prawdę.

- Sama ją zrobiłam. W dzieciństwie często bawiłam się w tym ogrodzie. Dom był pusty. - Spojrzała na zarośniętą przestrzeń. - Czułam się tak, jakbym miała własne królestwo.

- To znaczy, że tu dorastałaś? - zainteresowała się Jane.

- Nie do końca. Dom należał do moich rodziców, ale mieszkaliśmy tu tylko dwa lata.

Kate rozejrzała się dookoła, szukając czegoś, co pozwoliłoby jej zmienić temat.

- Pewnie pod tym drzewem bawiłaś się w dom. - Jane wskazała na powykręcaną wiśnię płaczącą. Kate odwróciła się zaskoczona.

- Tak.

Jane uśmiechnęła się, a na jej rozjaśnionej twarzy odżyło wspomnienie dawnej urody.

- W lecie, kiedy liście były gęste, wpełzałaś do środka i czułaś się tak, jakbyś ukryła się przed całym światem. Kate spojrzała jej prosto w oczy. Tak właśnie było.

- Widzisz, ja w dzieciństwie też bawiłam się w tym ogrodzie - wyjaśniła Jane. - Ten dom należał do mojej babci.

Na pobliskim drzewie zabręczała cykada. Kate obserwowała kurę grzebiącą w ziemi w pobliżu tylnych drzwi. Nie

30

miała ochoty na kontynuowanie rozmowy. Chyba Jane również. Ale panujące między nimi milczenie nie było niezręczne. Siedząc z pustą i coraz cieplejszą szklanką w ręce, Kate czuła się niemal zahipnotyzowana spokojem późnego popołudnia.

Po chwili Jane pochyliła się w stronę stojącego w pobliżu stolika, przyciągając uwagę Kate do staroświeckiego adaptera. Jego solidna obudowa obciążnięta była zniszczoną i poplamioną zieloną skórą. Na jednym z uchwytów wisiały resztki identyfikatora, jaki przyczepia się w samolotach. Kiedy Jane uniosła przykrywę, ukazał się talerz i lśniące, czarne ramię z igłą. W tym momencie Kate poczuła ucisk w żołądku, jakby coś rozpoznawała. W dzieciństwie miała do czynienia z takim adapterem. Tylko tamten był nowy, bez skazy, stanowił rodzinny skarb, którego nie miała prawa dotykać.

Ciche trzaski poprzedziły pierwsze dźwięki wspaniałej arii. Głęboki, silny kobiecy głos popłynął przez ogród, wzbudzając dziwną, bezimienną tęsknotę.

Słuchając, Kate zerknęła w stronę swojego domu. Widząc go pod takim kątem, przypomniała sobie, jak niegdyś siadywała tutaj, w swoim tajemniczym ogrodzie, i bacznie przyglądała się domostwu, w którym mieszkała wraz z rodzicami. Udawała, że jest kimś obcym. Przyglądała się znakom świadczącym, że ktoś tu mieszka - zasłonom w oknach, praniu wiszącemu na sznurze. Próbowwała doszukać się czegoś, co by zdradzało, że nie są to zwyczajni Australijczycy, prowadzący normalne życie, lecz misjonarze w przebraniu.

Carringtonowie przebywali tu prawie dwa lata. W tym czasie rodzice Kate uzupełniali wiedzę. Chociaż bardzo tęsknili za Afryką, nowe życie rodzinne szybko wypełniła radość wiążąca się z pobytem w Australii. Bez pomocy Ordery czy Tefy gotowali, sprząтали i wspólnie robili zakupy. Nie było szpitala, do którego wieczorami wzywano by Michaela, mieli więc czas na gry i rozmowy. Chodzili do kina i jadali w restauracjach. Dzięki temu stali się sobie bardziej bliscy.

We wspomnieniach Kate dwuletnia przerwa zyskała status złotego wieku. Córka państwa Carringtonów zawsze była bar-

dzo wdzięczna misji, że utrzymano dom i po ukończeniu nauki pozwolono jej do niego wrócić. Potem niezwykle starannie usunęła wszelkie ślady po najemcach, którzy w ciągu minionych lat mieszkali w jej domu, brukając go obcymi wspomnieniami.

Wróciwszy do teraźniejszości, Kate zorientowała się, że Jane bacznie jej się przygląda. Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że twarz nie zdradziła jej uczuć.

- Muszę już iść.

Wstała, ale Jane skinęła ręką, by zaczekała, aż skończy się aria.

Głos zatrzymał się na dłużej przy ostatnich dźwiękach, rozciągając je, jakby nie miał ochoty się z nimi rozstać. W końcu ucichł, a Kate ponownie wstała.

- Sama wyjdę - powiedziała.

Obróciła się w stronę bramy, która prowadziła do ogrodu od frontu domu.

Jane chyba nieco odpoczęła i odzyskała siły, ponieważ uparła się, że podprowadzi Kate. Na pożegnanie delikatnie, niepewnie dotknęła jej ramienia.

Kate nie oglądała się za siebie, czuła jednak, że Jane bacznie ją obserwuje. Złapała się na tym, że próbuje poruszać się z wdziękiem, tak, jak nauczono ją, gdy była małą dziewczynką, a niania postanowiła wybić jej z głowy niezgrabny chód dziecka.

„Wyciągnij szyję. Rozluźnij ramiona. Wyobraź sobie, że niesiesz na głowie dzban z wodą...”

Kate otworzyła wysoką drewnianą bramę, osadzoną w drewnianym płocie, opuściła zaniebany teren i znalazła się w ładnym wiktoriańskim ogrodzie. Zajmował się nim wynajęty w tym celu człowiek - bezosobowe krzewy i zarośla stały w równych rzędkach, eksponujących fasadę rezydencji. Patrząc od ulicy, nikt by nie przypuszczał, że tak blisko, tuż poza zasięgiem wzroku, znajduje się dzicz.

Wróciwszy do swojego ogrodu, Kate zaczęła myśleć o małym oczku wodnym, które miała zamiar umieścić przy tylnych

drzwiach. Korzystając z taśmy mierniczej, zaczęła wykreślać plan. Było bardzo mało miejsca i dlatego projekt musiał idealnie pasować. Pracowała powoli, z namaszczeniem, póki nie usłyszała dobiegających zza płotu pierwszych taktów nowej piosenki. Wtedy zaskoczona uniosła głowę. Melodia była skoczna i wesoła, z wyraźnym, głośnym rytmem, całkiem odmienna od wcześniejszej arii. Kate rozpoznała ją dzięki często odtwarzanej w klinice płytce z piosenkami z lat sześćdziesiątych. Puppet on a String Sandy Shaw. Zdała sobie sprawę, że Jane puszcza przebój z czasów swej młodości, okresu, kiedy niecierpliwie czekała na to, co się wydarzy, pełna nadziei na przyszłość. Czy planowała właśnie coś takiego? Że będzie mieszkać sama? Kate doszła do wniosku, że ją czeka to samo. Przez całe życie będzie dryfować, zdana na siebie. Ta myśl była dziwnie uspokajająca - tak dobrze znane uczucie izolacji od innych ludzi.

Po raz pierwszy poznała je, gdy wysłano ją do Dodomy, do szkoły z internatem. Ale wtedy miała nieodłącznego przyjaciela, Jezusa, i czekających w domu rodziców. Langali leżało daleko od Dodomy, ale wystarczała świadomość, że zawsze może tam wrócić. Langali i Dodoma, dom i szkoła, stanowiły dwie części tego samego świata.

Gdy Kate trafiła do następnej szkoły z internatem, tym razem w Melbourne, wszystko wyglądało inaczej. Wtedy była naprawdę sama. Dom przepadł na zawsze, a rodzinę zabrał Jezus. Też mi przyjaciel! Jednak jakimś cudem udało jej się przetrwać. Koniec końców

zaczęła nawet cenić sobie swobodę, jaką miała z powodu braku rodziny. Nauczyła się być sama bez odczuwania samotności.

Zerkając przez płot, Kate obserwowała kłęby dymu unoszącego się z ogniska. Dziwna wydawała się myśl, że ona i Jane są tutaj, mieszkają obok siebie, każda w swoim domu. Niemające ze sobą nic wspólnego dwie kobiety, przedstawicielki dwóch różnych pokoleń, łączyło tylko jedno - że jako dzieci urządziły sobie dom pod tą samą wiśnią płaczącą.

33

2

Na półkach w spiżarni stały w równym rzędzie pojemniczki z naklejonymi etykietkami. Kate zerknęła na nie, rozpakowując artykuły spożywcze i ostrożnie układając każdą rzecz na swoim miejscu. Właśnie kończyła, gdy usłyszała pukanie do drzwi wejściowych. Szybko ułożyła ostatnie paczuski. Gdy to robiła, dźwięk się powtórzył. Był głośniejszy i bardziej natarczywy.

Kate energicznie otworzyła drzwi z uprzejmym uśmiechem odmowy na ustach. Rzadko się zdarzało, by ktoś wpadał do niej bez uprzedzenia, dlatego spodziewała się, że to jakiś akwi-zytor albo ankieter. Zobaczyła jednak stojącą na progu sąsiadkę. Jane była w tym samym ubraniu co poprzednio, ale teraz zawiązała na szyi jasną apaszkę. Włosy opadały jej luźno na ramiona. Wyglądała na znacznie silniejszą, pogodniejszą i młodszą.

- Możesz mi pożyczyć szklankę cukru? - spytała. Kate przez chwilę tylko na nią patrzyła, zastanawiając się,

czy Jane mówi poważnie. Potem przypomniała sobie jej pustą spiżarnię.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się. - Przyniosę. Wędrując korytarzem, zdała sobie sprawę, że Jane idzie za nią. Kate ukryła zaskoczenie i nie zatrzymała się. Kiedy dotarły do salonu, Jane stanęła. Kate obserwowała, jak sąsiadka lustruje pomieszczenie, jej przenikliwe spojrzenie przesuwając się po współczesnych skandynawskich krzesłach i stole, na którym stał wazon z pięknymi gerberami. Tylko jedna rzecz nie pasowała do wystroju wnętrza. Na gzymsie na kominku stała prymitywna afrykańska rzeźba przedstawiająca słonia. Jane podeszła prosto do niego.

- Skąd to masz? - spytała, obracając go w rękach jak dzieło sztuki.

- Dostałam od przyjaciółki - odparła Kate. Rokrocznie na Boże Narodzenie Lucy zamawiała prezenty z katalogu organizacji charytatywnej rozprowadzającej wytwor-

34

ry rękodzielnicze z całego świata. Kate zawsze trzymała dar do pierwszej wizyty Lucy, a następnie go wyrzucała.

Jane odstawiła rzeźbę i przyjrzała się rysunkom przyczepionym do tablicy z korka. Były to projekty ogrodów. W każdym rogu widniał podpis: Kate Creigh. Plany różniły się między sobą - na niektórych z nich były fontanny, na innych treliże, przyszyte żywopłoty lub starannie porożstawiane ławki -ale wszystkie przedstawiały duże, tradycyjne ogrody.

Kate zostawiła Jane studiującą rysunki i weszła do kuchni. Wyjęła z kredensu torebkę cukru.

- Proszę - powiedziała, wróciwszy do salonu. Ale Jane w nim nie było. Stała przy przeszklonych drzwiach wychodzących na ogród.

; Teren za tarasowym domkiem był bardzo wąski. Pasowałby tu ogródek w wiejskim stylu, pełen rabatki z ziołami i siejącymi się z roku na rok kwiatami. Kate zdecydowała się jednak na zaprojektowanie czegoś, co wyglądałoby na fragment okazałego, wspaniałego ogrodu. Całkiem nieźle jej się to udało. Między starannie przystrzyżonymi żywopłotami, zagrabionymi rabatkami i szerokimi ścieżkami można było wyczuć ducha i proporcje, które towarzyszą znacznie większej skali. Wystarczyło jedynie nie patrzeć na płoty.

Jane w zamyśleniu przekrzywiła głowę i bacznie przyglądała się zieleni. Jej wzrok zatrzymał się na miejscu przeznaczonym na oczko wodne.

- Chyba trudno będzie ci je zmieścić - skomentowała. Kate nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru rezygnować

z tworzenia ogrodu. Odkąd pamiętała, to zajęcie wypełniało jej weekendy i święta.

Po chwili milczenia Jane odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

- Dziękuję za cukier - powiedziała.

Kate poszła za nią do drzwi. Jane zatrzymała się na progu, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale pomachała tylko ręką na pożegnanie.

Kate zamknęła drzwi i zmarszczyła czoło. Ta kobieta ma

35

dziwne maniery - pomyślała. Zachowuje się, jakby coś ukrywała, czegoś nie mówiła. Kate pochyliła się, by wyjrzeć przez wziernik. Wysoka postać oddalała się wolno ścieżką. Gdy dotarła do skrzynki pocztowej, stanęła. Szybko obejrzała się przez ramię, a potem sięgnęła do środka i wyjęła czekający tam list. Trzymając go w obu rękach, bacznie przyglądała się wierzchowi koperty. Kate przymrużyła oczy. W adresie, który czytała Jane, nie było żadnej tajemnicy, sąsiadka mogła zatem jedynie sprawdzać nazwisko Kate.

Nazwisko fałszywe, przejęte...

Dorastając w Australii, Kate cieszyła się sławą córki zamordowanych misjonarzy. Dziewczęta ze szkoły zazdrościły jej, że miała do czynienia z tak szlachetnymi ludźmi i tak egzotycznym miejscem. To przyniosło jej popularność, którą przyjęła z prawdziwą ulgą. Potem odkryła, że nie wszyscy podzielają jej zapatrywania na pracę misjonarzy. Wówczas zaczęła mieć pewne wątpliwości co do swojego dziedzictwa, pogodziła się jednak z faktem, że zawsze będzie znana jako córka Carringtonów, a tragedia, jaka rozegrała się w Langali, na zawsze pozostanie częścią jej życia.

Potem, mniej więcej pięć lat temu, wszystko się zmieniło...

Do domu Kate doręczono małą, płaską paczuszkę. Otworzyła ją, idąc przez ogród. Wyjęła z opakowania książkę i kopertę. Książka miała gładką okładkę, na której widniał tylko sam tytuł. Księga współczesnych męczenników.

Kate patrzyła na nią, czując coraz większy niepokój. Wsunąwszy kopertę między ostatnie strony książki, odwróciła stronę tytułową. Wolumen przesłał jej sam autor, który ozdobnymi, błękitnymi literami napisał również dedykację: „Z błogosławieństwem, wielebny Christopher White”.

Mniej więcej w połowie książki tkwiła zakładka. Kate otworzyła w tym miejscu, na początku rozdziału szóstego.

Tragedia w Langali.

Zacząła czytać. Wbrew jej woli oczy nie odrywały się od tekstu, biegły do przodu i pociągały za sobą myśli. Autor za-

36

czywał od charakterystyki doktora Carringtona i jego żony. Pierwszy był Michael. Został opisany jako klasyczny, bohaterski lekarz z dżungli: silny, zaradny, obdarzony wspaniałymi umiejętnościami. Kate dobrze знаła ten portret. Odpowiadał jej dziecięcej wizji pozbawionego wad, potężnego ojca. Z pewnością nigdy później nie udało jej się spotkać takiego mężczyzny.

Sarah Carrington wypadła nieco bladziej. Zdaniem wielebnego była łagodną, oddaną żoną i matką, która niezmordowanie wspierała męża w jego pracy. Kate czytała ten opis z coraz większym uczuciem zawodu. Wielebny White mówił o Sarah tak samo jak ludzie z misji. We wspomnieniach Kate matka jawiła się jako osoba pogodna, pełna energii, ale to tylko dziecięca wizja, odległa i mało przekonująca. Kate czuła, że nie ma wyboru i musi przyjąć charakterystykę powtórzoną w książce, pogodzić się z faktem, że Sarah była osobą dającą z siebie wszystko i niemal całkowicie zapominającą o sobie, że reprezentowała typ kobiety, którego Kate nie lubiła i nie poważała.

Potem autor wychwalał pod niebiosa gotowość misjonarzy do poświęceń w imię powołania i fakt, że pozostali wierni swej wierze nawet w obliczu śmierci. Wszystko to sugerowało jakąś nieuchronność. Sam Bóg wybrał dla Michaela i Sarah taki los. Męczeńska śmierć nie była ostatnim etapem ich życia, lecz jego punktem szczytowym, chwilą, która nadała znaczenie wszystkiemu, co wcześniej zrobili.

A co ze mną? - zastanawiała się Kate. Zostawionym przez nich dzieckiem? Czyżby stanowiła tylko produkt uboczny całego przedsięwzięcia? Przypomniała sobie spotkanego niegdyś amerykańskiego kaznodzieję, który w swojej karierze wykorzystywał fakt, że był synem zamordowanych w Amazonii misjonarzy. Kate wiedziała, co kryje się za jego promiennym uśmiechem, rozumiała potrzebę znalezienia dla siebie roli w ponurym dramacie, jaki stał się udziałem jego rodziców. Wyglądało na to, że człowiek musi się przyłączyć albo obrać zupełnie inną drogę. Nie było trzeciej możliwości.

Następnie wielebny White opisywał okoliczności morder-

37

stwa Carringtonów. Kate weszła do domu i usiadła. Palce jej drżały, gdy odwracała sztywne strony. W kilku głupich akapitach autor opisał wydarzenia, które miały miejsce tuż przed Wielkanocą w Langali w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Nie było tam niczego, o czym Kate wcześniej by nie wiedziała.

Po przedstawieniu faktów wielebny White zaczął wyliczać plotki, jakie krążyły w owym czasie. Twierdzono na przykład, że ktoś włożył jajko do ust Sarah Carrington. Kate zamarła w bezruchu i z trudem przełknęła ślinę. Serce waliło jej w piersiach. Nie chciała czytać dalej, ale nie mogła oprzeć się pokusie. Autor napisał, że istotnie, w policyjnym raporcie wspomniano o małym jajku, ugotowanym na twardo i pomazanym kolorowymi farbami. Miseczka z podobnie ozdobionymi pisankami stała na stole. Jajko skojarzono z Wielkanocą i uznano, że powodem napadu było antychrześcijańskie nastawienie.

Wielebny White miał na ten temat odmienne zdanie. Przypomniał, że w praktykach afrykańskich szamanów znaczenie jajek jest inne. Na tym nie koniec - i tutaj do relacji wkradły się emocje - ponieważ w raporcie policyjnym odnotowano, że na miejscu zbrodni znaleziono „afrykański fetysz” w postaci lalczki z - jak się często zdarza - prawdziwymi

włosami, ale rudymi i prostymi. Takimi, jakie miała osoba goszcząca w domu Carringtonów, Annah Mason.

Po owej tragedii wielu ludzi nie mogło zrozumieć, jak to się stało, że druga biała kobieta - według jej słów - stawiała czoło mordercom, i chociaż była tak samo bezbronna jak jej towarzysze, nie odniosła żadnych obrażeń. W raporcie policyjnym odnotowano, że po owym tragicznym wydarzeniu była w potwornym szoku. Płatała się w zeznaniach i nie potrafiła odpowiedzieć na wiele pytań. W rzeczywistości nie istniało żadne logiczne wyjaśnienie, jakim cudem przeżyła.

Zdaniem wielebnego White'a Annah Mason nie powinna przebywać w gościnie u Carringtonów. Co prawda swego czasu z nimi pracowała, i to właśnie w Langali. Potem jednak wy-

38

dalono ją z misji. Nie bardzo wiadomo, dlaczego. Biskup Wade, który w owym czasie kierował działalnością misjonarzy, zawieruszył ważne dla sprawy dokumenty. Autor Księgi... był daleki od tego, by oskarżać Annah Mason o coś złego. Zasugerował jedynie, że tragedia w Langali stanowi ponurą tajemnicę, której prawdopodobnie nikt nigdy nie zdoła rozszyfrować.

Kate patrzyła na książkę zażenowana. Co sugerował wielebny White? Że w śmierci jej rodziców jakąś rolę odegrały czary? W czystej, nowoczesnej kuchni myśl o praktykach szamańskich wydawała się odległa, niemal absurdalna. Mimo to po plecach Kate przebiegł dreszcz, gdy przypomniawszy sobie chwile grozy przeżyte w dzieciństwie. Prawie zapomniane koło narysowane na piaszczystej ścieżce i, jak świadczyły ślady stóp, obchodzone szerokim łukiem. Rządek powiązanych sznurem, zaplamionych krwią kamieni. Paniczny strach Ordenu na widok martwej owcy wiszącej na drzewie. Historia, którą opowiedziano Kate w wiosce. Była to historia o czarnoskórej czarownicy, która jeździła nago na hienie, trzymając w ręce płonąca pochodnię, namoczoną w maśle hieny. Kate spytała wtedy matkę, czy to możliwe, by udało się wydoić hienę. Sarah tylko się roześmiała. Ale Kate czuła, że na moment ukazano jej coś tajemniczego, ponurego i bardzo prawdziwego.

Pochyliła głowę i przetarła twarz rękami, jakby chciała pozbyć się niemiłych myśli. Łokciem trąciła książkę. Wówczas wysunęła się z niej włożona tam koperta.

Kate podniosła list z podłogi. W środku znajdowały się dwie kartki. Na pierwszej widniało godło misji. Była to krótka notatka, mówiąca, że drugi z listów misja otrzymała kilka lat temu, ale sekretarz zdecydował, że przekażą go Kate, gdy skończy osiemnaście lat. Ostatnio znaleziono go w dokumentach Kate. Postanowiono więc dołączyć do niego książkę wielebnego White'a.

Kate wypuściła kartkę z ręki i rozłożyła drugi list. Jej wzrok powędrował w miejsce, gdzie widniało odręcznie wpisane imię i nazwisko.

Annah Mason.

39

Kate zamarła w bezruchu. Nie chciała tego czytać, wiedziała jednak, że musi...

List zawiadamiał jedynie, iż Annah Mason pragnie nawiązać kontakt z Kate, że była serdeczną przyjaciółką Sarah i chce przekazać jej córce pewne informacje. Jeżeli Kate otrzyma ten list - pisała Annah Mason - może odpisać na podany adres. To wszystko.

Kate wpatrywała się w zdecydowane litery. Nie mogła oderwać wzroku od adresu.

Kwa Moyo. Poczta Murchanza. Tanzania.

Murchanza! Miasto położone najbliżej Langali...

Znana nazwa wywołała gwałtowny ból. Kate skupiła się na pozostałych słowach. Kwa Moyo. Z łatwością je przetłumaczyła. „Dom Serca”. Niezależnie od tego, co to było - wioska czy farma - nigdy nie słyszała o takim miejscu.

Kate zaczęła chodzić tam i z powrotem. Próbowwała spokojnie, logicznie myśleć. Kim jest ta kobieta? Czy Kate ją zna? Od czasu do czasu w Langali pojawiali się różni misjonarze, którzy jechali do Ugandy. W szpitalu pracowało kilka pielęgniarek. Choć Kate długo grzebała w pamięci, nie mogła sobie przypomnieć żadnej kobiety, która miałaby na imię Annah. Albo była siostrą Mason. Czy też panią Mason.

Zatrzymawszy się przy oknie, Kate niewidzącym wzrokiem spojrzała na ogród. Gdzieś w głębi duszy chciała nawiązać kontakt z kobietą, która była świadkiem morderstwa jej rodziców, spędziła z nimi ostatni dzień ich życia. Jednak silniejszy okazał się strach przed tym, czego może się dowiedzieć. Po co zwiększać już odczuwany ból? Istniała tylko jedna rzeczywistość i nic nie mogło jej zmienić. Była to rzeczywistość jej koszmarnych snów, w których po podłodze płynęła krew, w środku nocy rozlegał się krzyk przerażenia, rąbano maczeta-mi ciała. To z powodu owych koszmarów swego czasu Kate szybko przechodziła obok okien wystawowych rzeźników i nie mogła oglądać filmów, które podobały się jej przyjaciółom. Próbowwała pokonać te zmary, szukając podobnych sytuacji - spędzając noce na oddziałach intensywnej terapii, zajmując się

40

ofiarami wypadków samochodowych i burd ulicznych. Potem starała się zamienić strach w fascynację sztuką posługiwania się igłą, delikatnym zadaniem zszywania pokiereszowanych ciał. Ale nic nie pomagało. Strach i ból stały się jej nieodłącznymi towarzyszami. W ciągu minionych lat tylko jedno było pewne i Kate dobrze o tym wiedziała. Że nie uda jej się przetrwać, jeśli ulegnie bólowi. Musi ukryć go głęboko i starać się o nim zapomnieć.

„Musisz być dzielna”.

Kate zmięła list. Wezbrała w niej fala złości. Jakim cudem tej kobiecie udało się wtargnąć w jej życie? Uwolnić ból, który tak pieczołowicie ukrywała. Za kogo ona się uważa? Prosi o rozmowę z Kate, jakby były przyjaciółkami.

Podeszła do kominka w salonie. W lecie stała przy nim dekoracyjna piramida szyszek sosnowych i drewna na podpałkę. Zapaliła w kominku.

Gdy płomienie były już wysokie, wrzuciła do nich list Annah Mason. Obserwowała, jak papier zwija się i czernieje, a atrament pali się na zielono. Potem zaczęła wrywać strony książki wielebnego White'a i jedną po drugiej wrzucać do ognia. Resztę położyła w całości i obserwowała, jak Księga... powoli ulega spopieleniu. Nie poruszyła się, póki resztki nie zmieniły się w popiół.

Potem wyszła z domu i kupiła gazetę. Przejrzawszy klepsydry, wybrała sobie nowe nazwisko. Mariannę Creigh. Uznała, że pożyczanie imienia i nazwiska od zmarłej obcej osoby jest swoistą ironią losu. Jednak wypełniając w urzędzie formularz, nie mogła rozstać się z imieniem, które wybrali jej rodzice. Zabrała je więc w nowe życie, rezygnując ze sławnego nazwiska.

Tego samego dnia napisała do misji, że nie chce więcej dostawać od nich żadnej korespondencji. Następnie wysłała list do Annah Mason, informując ją, że nie życzy sobie żadnych kontaktów ani teraz, ani w przyszłości. Na koniec zebrała wszystko, co w domu

więzało się z przeszłością - z Afryką, misją, chrześcijaństwem. Zamknęła te drobiazgi w żelaznym kufrze i wstawiła go w najdalszy kąt strychu.

41

Dom świecił pustkami. Kate z przyjemnością słuchała echa swoich kroków na podłodze pozbawionej afrykańskich dywaników. Gołe ściany, pozbawione ramek i ornamentów, odpowiadały jej nastrojowi. Czuła się pusta i obojętna. Jak czysta kartka, czekająca na rozpoczęcie nowej historii.

Kate nie odrywała wzroku od wziernika. Widziała, jak Jane z powrotem wsuwa kopertę do skrzynki pocztowej. Siwowłosa kobieta lekko marszczyła czoło, jakby była zdziwiona lub zaniepokojona.

Kate odeszła od drzwi. Dlaczego sąsiadka sprawdzała jej nazwisko? - zastanawiała się, wracając do kuchni. - Czego chciała się dowiedzieć? Kate najchętniej zapomniałaby o Jane, wychodząc z założenia, że jest to osoba ekscentryczna i nieco szalona. Tyle że starsza kobieta miała w sobie coś, co nie pozwalało na wyciągnięcie takiej konkluzji. Była to jakaś dziwna aura dostojności, głębi i siły, których nie dało się zignorować.

Kate pochyliła się nad krzewem, by oberwać przekwitłe kwiaty i wrzucić je do worka na śmieci. Zapachem przypominały stary papier. Zdążyła doprowadzić do porządku pół krzaka, gdy wyczuła, że ktoś ją obserwuje. Uniósłszy głowę, zauważyła, że przez płot zerka sąsiadka. Przez moment była zła, że Jane jej przeszkadza, i to zaledwie dzień po pożyczeniu cukru, szybko jednak stłumiła wściekłość, widząc ciepłe spojrzenie kobiety.

- Dzień dobry - powitała ją Jane. Objęła wzrokiem ogród i całą długość ścieżki, aż zatrzymała się na płocie. - Właśnie przyszło mi na myśl, że przydałoby ci się więcej przestrzeni. Nie potrzebuję całego ogrodu. - Jane uśmiechnęła się. - Mogłybyśmy przesunąć płot.

Kate patrzyła na nią, próbując zrozumieć sens usłyszanych słów. Nikt nie oddaje swojej ziemi komuś innemu. Słowa Jane brzmiały jednak całkiem poważnie. Kate nie wiedziała, co powiedzieć.

42

- Mogłybyśmy zawrzeć umowę - ciągnęła Jane. - Żebyś wiedziała, na czym stoisz. Na pewno nie chciałabyś napracować się przy tworzeniu ogrodu, nie wiedząc, czy pewnego dnia go nie stracisz. Wszystko dokładnie przemyślałam.

Powiedziawszy to, zamilkła, ale wciąż się uśmiechała. Był to delikatny, tajemniczy uśmiech kusicielki.

Kate patrzyła na nią, starając się zajrzeć głębiej w szarozielone oczy, by zobaczyć, o co tej kobiecie chodzi. Potrząsnęła głową.

- Dziękuję, to wspaniała propozycja. Ale nie mogę jej przyjąć.

- Po prostu zastanów się - zasugerowała Jane. - Mogłabyś dostać ten pas.

Zakreśliła ręką linię, po czym ruszyła w stronę domu.

Kate obserwowała oddalającą się postać. Potem stanęła przy płocie i spojrzała na teren, który pokazała Jane. Od razu zobaczyła, jak można w naturalny sposób przedłużyć ogród. Znalazłoby się nawet miejsce na przyzwoity stawek z obłożonym kamieniami brzegiem. Kamienne urny z lotosem...

Kate odsunęła kuszącą wizję i z powrotem przykucnęła. Wiedziała, że nie może przyjąć propozycji Jane. Ale jej słowa wisiały w powietrzu, niepokojąc i zwodząc. Kate zostawiła krzak z uschniętymi kwiatami i wróciła do domu.

Gdy wchodziła do salonu, wraz z nią do pomieszczenia wpadła delikatna bryza. Projekty ogrodów załopotwały na korkowej tablicy. Kate szybko przeszła obok, odwracając wzrok.

3

Ziemia, którą od lat nikt się nie zajmował, była bardzo twarda. Kate odłożyła motykę i zdjęła skórzane rękawiczki. Przygotowywanie gruntu to ciężka praca, zwłaszcza przy tak wysokiej temperaturze. Bluzka przesiąkła potem, a pęcherze na rękach bolały. Ale robiła wyraźne postępy. Niektóre z rabat

43

były już gotowe, ścieżki wytyczone. Wkrótce trzeba będzie wezwać hydraulika, by zainstalował fontannę, wcześniej jednak musi zdecydować, skąd powinna płynąć woda - od niej czy od Jane.

Minął prawie miesiąc od chwili, kiedy Kate przyjęła propozycję sąsiadki. Podjęła decyzję po przejrzeniu umowy, którą przygotowała Jane. Widząc warunki spisane czarno na białym, Kate uznała, że są do przyjęcia.

Pierwszy krok polegał na usunięciu płotu biegnącego wzdłuż dawnej granicy działki. Kate wciąż nie mogła się przyzwyczaić do tego, że teraz jej dom wygląda zupełnie inaczej. Denerwowało ją, iż wszystko widać jak na dłoni. Postawiły nowy płot, żeby koza i kury nie miały wstępu na jej teren, ale był to jedynie drut w plastikowej osłonce. Kate zamierzała jak najszybciej wyhodować płot z zieleni. Na razie całą energię skierowała na przygotowanie gleby, żeby pod koniec lata już coś zasadzić.

Gdy popołudniowe słońce zaczęło niemiłosiernie palić, Kate zrezygnowała z kopania i zajęła się kawałkiem spulchnionej ziemi, gotowej do użyźnienia. Klęczała, rozrzucając kulki nawozu, kiedy usłyszała ciche szuranie na suchej trawie. Gdy uniosła głowę, ku swemu zaskoczeniu zobaczyła zbliżającą się Jane, która niosła na tacy dwie szklanki soku limonowego.

Dotychczas, gdy Kate pracowała w nowej części ogrodu, Jane zostawiała ją w spokoju. Siedziała przy ognisku, puszczała płyty lub zajmowała się swoimi sprawami. Z czasem Kate zapomniała o początkowych obawach, że Jane będzie się narzucać i stanowić ciągle utrapienie. Ostatnio dziewczyna wręcz tęskniła za sąsiadką. W nowym ogrodzie było kilka rzeczy, które chciała pokazać Jane, pochwalić się drobnymi osiągnięciami. Podczas kopania często unosiła głowę, mając nadzieję, że przechwyci spojrzenie starszej kobiety i będzie mogła jej pomachać. Myślała nawet o zaniesieniu jakiegoś bukietu, który ozdobiłby spartańską kuchnię. Teraz jednak sąsiadka pojawiła się z własnej woli.

- Myślę, że przerwa dobrze ci zrobi! - zawołała Jane.

44

Kate uśmiechnęła się. Zimny, kwaśny napój stanowił miłą odmianę.

Jane podała jej jedną ze szklanek i stanęła przy płocie, przyglądając się dziełu Kate.

- Co tam będzie? - spytała, wskazując na okrągłą rabatkę.

- Róże - odparła Kate. - A wokół nich fiołki.

- I nic więcej?

Kate potrząsnęła głową. Efekt będzie prosty, niemal surowy.

- Lubisz, gdy wszystko jest na swoim miejscu, prawda? - domyśliła się Jane.

Próbowała ukryć uśmiech, ale w kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki.

Kate przytaknęła.

- Chyba tak.

W sympatycznej ciszy sączyły sok.

- Kiedyś miałam ogród - zaczęła po jakimś czasie Jane. -Ale wyglądał nieco inaczej niż ten. - Zerknęła na teren ogołocoony przez kozę. -1 tamten!

- Jaki był? - spytała Kate.

- No cóż... po prostu inny... - odparła Jane.

Odwróciła wzrok, a jej twarz zasnuł cień, nagle ujawniając wewnętrzne cierpienie.

Zapadła niemiła i trudna do zniesienia cisza. Jane nagle odwróciła się na pięcie i wróciła na swoje miejsce przy ognisku, zostawiając szklanki.

Kiedy Kate po chwili spojrzała w tamtym kierunku, zobaczyła strzelające wysoko płomienie. Jane stała blisko, nie zważając na żar, i dokładała jeszcze więcej drewna.

Przykrywa adaptera była zamknięta. Z ogniska unosiła się wąska smuzka dymu. Ciszę zakłócało jedynie beczenie kozy.

- Cześć! - zawołała Kate, zbliżając się od tyłu do krzesła Jane.

Jane wstała i odsunęła do tyłu spadający na twarz kosmyk włosów. Wyglądała tak, jakby właśnie się obudziła.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała Kate. -

45

Chciałam tylko zapytać, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli opryskam drzewa. - Machnęła ręką, pokazując ogród Jane i swój. - Lepiej zawsze spryskać cały teren, jeśli to tylko możliwe. Dzięki temu zapobiega się rozprzestrzenianiu szkodników.

Pokazała przyniesioną puszkę pestycydów.

Jane zerknęła na etykietkę.

- Wiesz, że jeśli posadzi się obok siebie odpowiednie rośliny, nie trzeba tego używać?

Kate nie odpowiedziała. Zdała sobie sprawę, że właśnie natknęła się na pierwszą komplikację w stosunkach z sąsiadką. Wzięła głęboki wdech, dopiero potem otworzyła usta.

- To bardzo skuteczny środek. Używam go co roku.

- A może spróbowałabyś pyrethrum? - zasugerowała Jane. -Środka owadobójczego spreparowanego z maruny? Jest bezpieczniejszy i równie skuteczny.

- Oczywiście. Jeśli tak wolisz.

Kate zgodziła się natychmiast. Uśmiechnęła się z ulgą. Nie miała ochoty na spieranie się z Jane. Wspólny ogród pozwolił na zadzierzgnięcie przyjaźni, ale była to delikatna roślina. Jak róża wyhodowana w cieplarni. Kate obawiała się, że to uczucie nie przetrwa próby czasu.

- Przyjdę jutro, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Odwróciła się, żeby odejść.

- Zaczekaj!

Jane położyła zdumiewająco chłodną dłoń na ramieniu Kate.

- Zostań na podwieczorek - zaproponowała. - Już prawie pora.

Wzięła do ręki kij i zaczęła grzebać między lśniącymi węgielkami na skraju ogniska. Z żaru wyłoniły się dwie czarne bryłki, poszarzałe od popiołu. Jane wsunęła jedną z nich

na emaliowany talerz. Podała go Kate, potem machnięciem ręki wskazała stół. Obok adaptera stał talerzyk z masłem i solniczka.

- Obsłuż się... tylko uważaj... może być gorące. Kate usiadła. Zdała sobie sprawę, że drugie krzesło wciąż stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym postawiła je

46

podczas pierwszej wizyty. Przyszło jej na myśl, że Jane mogła zostawić je tu celowo, czekając na jej powrót. Nikt inny jej nie odwiedzał. Od czasu do czasu Kate widywała kogoś wchodzącego i wychodzącego, ale ludzie ci nigdy nie zostawali dłużej. Sąsiadka wyraźnie nie miała krewnych ani przyjaciół.

- Potrzebny ci nóż i widelec? - spytała Jane. Kate zamarła w bezruchu. Pytanie zostało zadane obojętnym tonem, ale w spojrzeniu Jane czaiło się jakieś dziwne napięcie, które mogło wytrącić człowieka z równowagi. Kate czuła, że jest poddawana próbie.

- Nie, dzięki - odparła po chwili.

Przełamała palcami bryłkę, odsłaniając parujący miąższ patatu. Węgiel drzewny zaplamiał jej rękę na czarno. Dobrze знаła ten widok i uczucie. Pochodziły z dawnych, odległych czasów. Wtedy miała krótsze i grubsze palce. Zawsze brudne paznokcie...

- To jedyny sposób na ich zjedzenie - pochwaliła Jane. Swój patat zostawiła w popiele i oparła się o krzesło, obserwując jedzącego gościa. Kate ugryzła kawałek słodkiego ziemniaka. Potem musiała wciągnąć powietrze, żeby ochłodzić język. Jane roześmiała się, jakby ten widok sprawił jej przyjemność. Przez chwilę milczała, potem rozłożyła ręce, by ogarnąć wszystko wokół siebie - niebo, ogród, ognisko.

- Piękny dzień, prawda? - spytała. Kate spojrzała na nią. Oczy Jane płonęły, wargi były wilgotne. Uśmiechnięte.

- Tak - zgodziła się Kate, chociaż uznała tę uwagę za dziwną.

Był ciepły letni dzień, ale ładna pogoda utrzymywała się przynajmniej od tygodnia. Kate czuła, że dla Jane jest to chwila osobistej radości. Chociaż nie wiedziała, z czego sąsiadka tak bardzo się cieszy, odpowiedziała uśmiechem.

W wieczornym powietrzu unosił się zapach róż. Kate wzięła głęboki wdech, rozkoszując się tą wonią, gdy szła między gęstymi krzewami, które rosły wzdłuż ścieżki prowadzącej do

47

domu Jane. Dwa dni temu znalazła karteczkę, przyklejoną taśmą do swojej taczki. Jane zapraszała ją do siebie na kolację. Podała datę, godzinę i poprosiła o przyjście frontowymi drzwiami. Nie wymagała potwierdzenia. Sąsiadka pewnie zauważyła, że Kate większość wolnego czasu spędza w domu, sama. Podobnie jak Jane. Były ulepione z tej samej gliny.

Kate do pewnego stopnia wiedziała, czego spodziewać się po tym wieczorze. Wcześniej tego dnia widziała, jak Jane przy ognisku skubie ptaka i rzuca szare pierze na wiatr. Potem wyłoniła się z domu z długą, kremową sukienką na ramieniu. Kreacja długo wietrzyła się na gałęzi starej pigwy.

Kate zerknęła na własny ubiór - luźną sukienkę bez rękawów, w ciemnym odcieniu czerwieni, doskonale pasującym do koloru włosów. Dwukrotnie się przebierała, nim dokonała ostatecznego wyboru. Potem zaczęła się zastanawiać nad makijażem i dwa razy próbowała upiąć włosy. Robiła to wszystko w nerwowym podnieceniu, bardziej pasującym do pierwszej randki niż kolacji z sąsiadką w średnim wieku. A jednak Jane była dziwnie fascynującą osobą. Dzięki krótkim pogawędkom w ogrodzie, jedzeniu i muzyce przy

ognisku Kate czuła, że coraz bardziej lubi sąsiadkę, jakby obecność tej kobiety dodawała jej sił. Kate miała nadzieję, że tego wieczoru w końcu się dowie czegoś więcej o Jane -jak spędziła życie, gdzie i z kim...

Gdy Kate zapukała, drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Stała w nich Jane i z uśmiechem zapraszała do środka. Ale Kate przez chwilę przyglądała się gospodyni. Wysokiej kobiecie w kremowej jedwabnej sukni. Upięte do góry włosy ukazywały długą, kształtną szyję. Niewielki dekolt zdobiły afrykańskie paciorki - bursztynowe koraliki, mieniące się w świetle żółcią, czerwienią i pomarańczem, niczym maleńkie ogniska.

- Przejdźmy od razu do jadalni - zaproponowała Jane.

Nawet jej głos brzmiał inaczej, wyjątkowo.

Kate powędrowała za nią korytarzem. Słysząc było tylko ich kroki i cichy szelest długiej jedwabnej sukni.

Jadalnię oświetlało kilkanaście świec, porozstawianych po

48

całym pomieszczeniu i tworzących nastrój, jaki zazwyczaj panuje w świątyni. Jedzenie, czekające na długim dębowym stole, było ułożone jak ofiara. Na środku stał ogromny srebrny półmisek, na którym leżał upieczony ptak, a wokół niego pataty pokryte warstwą popiołu. Był też garnek ze szpinakiem i ugotowanymi na miękko orzeszkami ziemnymi. W następnym - gęsta zupa kukurydziana, ugali.

Kate patrzyła, nie poruszając się. Teraz wszystko nabierało sensu. Gotowanie na ognisku, broń palna, nieodłączna bransoletka z kości słoniowej, bursztynowe koraliki, nawet bugenwil-la w doniczce przy tylnych drzwiach - wszystko to wskazywało na Afrykę. Co więcej, Kate od początku wiedziała, że jej sąsiadka wróciła z oceanu. Dlaczego wcześniej nie powiązała faktów? A może nie chciała ich dostrzec...

- Możesz usiąść tutaj.

Jane wysunęła krzesło przy jednym z dwóch przygotowanych miejsc. Nakrycie składało się z kremowego porcelanowego talerza ze złotą obwódką i złożonej serwetki. Brakowało sztuców.

Kate posłusznie usiadła. W jej głowie kłębiły się myśli. Jane nie była misjonarką - wmawiała sobie. Dowodziły tego maniry tej kobiety, jej suknia, nawet dom. Nie należała do świata, który zostawiła za sobą Kate. Wszystko będzie dobrze...

- Przyniosę z lodówki szampana - powiedziała Jane. Wychodząc z pokoju, rzuciła w stronę gościa krótkie spojrzenie. Potężną strzałę, która przecięła dzielące przestrzeń.

Kate czekała w bezruchu. Świadomość, że ona i Jane mają tę samą ojczyznę, wywołała nagle w jej duszy tęsknotę, która jak gorączka coraz bardziej wzrastała. Kate chciała w tym momencie pobiec do Jane i otworzyć przed nią serce, zdradzić głęboko ukryte uczucia. Ta kobieta zna Afrykę, ale nie pracowała dla misji. Po raz pierwszy Kate mogła otwarcie porozmawiać z kimś, kto ją zrozumie. Opowiedzieć, przez co trzeba przejść, gdy się jest córką męczenników, a potem odkryć, że na tę historię można spojrzeć z innej strony. Praca misyjna to kompletnie chybiony pomysł. A jej rodzice zmarnowali życie.

49

Niepotrzebnie ponieśli śmierć. Ich cierpienie nie miało żadnego sensu.

Kate pochyliła głowę. Tak chętnie zrzuciłaby swój ciężar na barki kogoś innego... pozbyła się przynajmniej jego części... Wyobraziła sobie podchodzącą Jane. Dotyk jedwabiu. Piżmo-wo-ziolowy zapach skóry. Uścisk smukłych ramion. Poszukiwanie odpowiednich słów.

Słyszając kroki Jane, Kate uniosła głowę. Jej wzrok padł na rząd afrykańskich rzeźb stojących na kredensie. Sądząc po ich zniekształconych ciałach, Kate przypuszczała, że to Sheta-ni. Rzeźby duchów. Czuli, że ją obserwują. Ostrzegają. Jeśli zaczniesz mówić - uprzedzają - nie wiadomo, dokąd cię to zaprowadzi. Jak to się skończy...

Jane wstawiła szampana do wiaderka z lodem i usiadła na drugim krześle. Miała lekką zadyszkę. Oczy jej błyszczały.

- Zmówię modlitwę - zaproponowała. Kate pochyliła głowę, ale nie zamykała oczu. Jane również. Mówiąc, bacznie obserwowała gościa.

- Bóg dzisiaj nam pobłogosławił - powiedziała, używając suahili. - Mamy tyle jedzenia, że jest co wziąć w obie ręce. Zaczynajmy. Amen.

Jej słowa jak prąd przeszły Kate. „Mamy tyle jedzenia, że jest co wziąć w obie ręce”! To jej własna modlitwa. Ułożona przez nianię. Ordene. ;

Nikt inny jej nie odmawiał. Nikt inny jej nie znał. Tylko Carringtonowie.

Jane próbowała się uśmiechnąć, ale bezskutecznie. Wyglądała na zdenerwowaną, niemal przestraszoną.

- Jestem Annah Mason.

Zapadła śmiertelna cisza.

Kate siedziała w bezruchu, na jej twarzy widać było szok. Kiedy w końcu się odezwała, jej głos był piskliwy, niemal dziecięcy.

- Nie znam cię.

Jane nabrała powietrza w płuca. Gwałtownie, jakby była zaskoczona albo coś ją zabolalo.

50

- Owszem, znasz. Byłam serdeczną przyjaciółką twojej matki, Sarah. Dlatego tu jestem. - Jane nie odrywała wzroku od twarzy Kate. - Przyjechałam z Afryki, żeby cię odszukać. - Teraz mówiła powoli, wyraźnie, ważąc każde słowo. - Ponieważ muszę ci powiedzieć kilka rzeczy.

Kate patrzyła zdumiona, jej mózg pracował na pełnych obrotach, rozszyfrowując znaczenie słów wypowiedzianych przez starszą kobietę. Ale dominowała jedna myśl:

„Ona tam była. I nie umarła”.

Kate przypomniała sobie, co napisał autor Księgi współczesnych męczenników. Czary. Fetysz w postaci laleczki. Kobieta wydał ona z misji...

- Nie znam cię - powtórzyła Kate.

Ale wymawiając te słowa, czuli, że ogarniają ją wątpliwości. Te oczy... Zawsze wydawały jej się dziwnie znajome. Do tego modlitwa Ordene...

- To nie przypadek, że jesteśmy sąsiadkami - wyjaśniła Annah Mason. - Twój dom niegdyś należał do mnie. Dałam go w prezencie twoim rodzicom. - W oczach Annah pojawiła się czułość. - Prawdę mówiąc, dałam go Sarah. Martwiła się, że nie będą mieli gdzie wrócić po przejściu na emeryturę. Widzisz, była moją serdeczną przyjaciółką. Dałabym jej wszystko. Kochałam ją.

- Przestań! - przerwała jej szybko Kate. - Nie chcę tego w ogóle słuchać.

Czuła, jak zawisa nad nią lawina bólu, gotowa lada chwila się oberwać.

- Musisz - odparłaannah.

Kate zerknęła w stronę drzwi. Trzy kroki i już jej tu nie będzie. Opuści ten pokój. Ucieknie.

annah zakaszlała i pochyliła się nad swoją serwetką. Przygarbiła się, a jej ciałem wstrząsał atak kaszlu. Trwał i trwał. Wyglądało na to, że nie może go powstrzymać.

Wbrew sobie Kate patrzyła z niepokojem.

- Dobrze się czujesz? Przynieść ci wody?

annah potrząsnęła przecząco głową, starając się odzyskać

51

dech. Kate siedziała niemchomo na krześle. Słabość sąsiadki uniemożliwiała wyjście.

Gdyannah w końcu zapanowała nad kaszlem, natychmiast zaczęła mówić.

- Misja nie pozwoliła mi na skontaktowanie się z tobą. Powiedziano mi, że nie wolno cię niepokoić. Czekałam więc, aż dorośniesz. Wtedy napisałam do ciebie list...

- Odpisałam na niego - przerwała Kate. - Dałam wyraźnie do zrozumienia, że nie chcę cię widzieć na oczy.annah przytaknęła.

- Dlatego w końcu doszłam do wniosku, że muszę przyjechać tu osobiście i znaleźć sposób... Kate przymrużyła oczy.

- To dlatego dałaś mi ogród! Żeby się ze mną zaprzyjaźnić. Udawałaś kogoś innego. - Głos Kate się załamał. - Oszukałaś mnie!

Nienawidziła kobiety z zaczesanymi do góry włosami i w lśniącej sukni. Tęskniła za Jane w umazanych popiołem spodniach koloru khaki, z włosami zwisającymi w niechlujnych strąkach...

- Musiałam to zrobić. - Głosannah brzmiał pewnie, ale w oczach widać było błaganie. - Gdybym nagle pojawiła się na twoim progu, odesłałabyś mnie z kwitkiem.

Kate patrzyła na nią. Przypomniała sobie ostatnie tygodnie. Zrozumiała, że sąsiadka pod byle pretekstem nawiązała znajomość, a potem na tej bazie zbudowała przyjaźń. Zmuszała się do wykonywania małych kroczków i starannie ukrywała zniecierpliwienie.

- Masz rację - przyznała Kate chłodno. - Odesłałabym cię z kwitkiem. Nie chcę wracać do przeszłości. Zamknęłam ten rozdział. Raz na zawsze.

- Nie możesz tak mówić - orzekłaannah.

Kate wstała, odsunęła do tyłu krzesło, przy okazji potrącając kredens. Jeden z rzeźbionych duchów przewrócił się i upadł na podłogę. Kate oparła się o brzeg stołu i wychyliła w stronęannah z twarzą wykrzywioną ze złości.

52

- Nie mów mi, co mogę, a czego nie mogę! Nie wiesz, jak to jest, kiedy człowiek próbuje żyć tylko chwilą obecną. To nigdy się nie udaje. - Sapnęła, gdyż teraz to jej zabrakło tchu. - Życie toczy się do przodu. Dobrze sobie radzisz, a potem pewnego dnia wsiadasz do tramwaju. Obok ciebie stoi czarnoskóra mężczyzna. Jest godzina szczytu. Murzyn przyciska się do ciebie. Czujesz dotyk jego skóry. Jego oddech... Zaczynasz myśleć o tym, co wydarzyło się tam, w Afryce. Nie możesz wysiąść z tramwaju. Nie

możesz uciec od tego człowieka. Wiesz, że będziesz wymiotować. - Nagle jej głos zamienił się w szept. - Od tego wszystkiego robi ci się niedobrze.

Annah wychyliła się na krzesło do przodu. Jej oczy były czerwone od łez, które nie płynęły od dawna.

- Mogę ci pomóc, Kate. Jeśli tylko pozwolisz mi mówić. Opowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

- Nie -jęknęła Kate. - Nie chcę tego wiedzieć. Nic mnie to nie obchodzi.

- Musisz to usłyszeć. Powiem ci. - Głos Annah był szorstki. - Ze względu na Sarah.

- Przestań!

Kate odskoczyła od stołu i chwiejnym krokiem przebiegła przez pokój, po drodze trącąc łokciem jedną ze świec i rozlewając wosk.

Gdy dotarła do drzwi, usłyszała wołanie Annah. Słowa były głośne i wyraźne.

- Zawsze będziesz dzieckiem tej krainy. Nic tego nie zmieni.

Kate zatrzymała się w pół kroku. Te słowa brzmiały jak zaklęcie, błogosławieństwo... albo klątwa. Obejrząwszy się za siebie, ujrzała Annah, która wciąż siedziała na krzesle, zjedną ręką wyciągniętą w jej stronę.

Kate potrząsnęła głową. Czują, że powietrze wokół niej zamyka się jak pułapka. Odwróciła się i wybiegła z domu.

Szybko przeszła przez ciemniejszy ogród, zwolniła dopiero po dotarciu do swoich drzwi. Gdy wyjmowała z kieszeni klucz, oczy zasnuły jej łzy. Opadła ciężko do przodu i oparła głowę o twarde drewno.

53

W głowie dzwięczały jej ostatnie słowa Annah:

„Zawsze będziesz dzieckiem tej krainy. Nic tego nie zmieni”. Czując ból, Kate zamknęła oczy. Jakże kochała te słowa! Dziecko tej krainy. Używali go rdzenni mieszkańcy Afryki w stosunku do białych, którzy urodzili się na ich kontynencie. W dzieciństwie Kate czuła, że to miano czyni z niej kogoś wyjątkowego. Dzięki niemu czuła się bardziej związana z wszystkim, co tak lubiła w Afryce. Akacjami na tle nieba o zachodzie słońca. Różowymi flamingami. Unoszącym się w powietrzu smakiem pyłu i zapachem wyschniętego krowiego łajna. Ciągącymi się w nieskończoność kępami traw, tworzącymi gigantyczny, nierówny dywan. Wszystko to było częścią jej świata. Jej krainy. Jej domu. Miejsca, które kochała i straciła.

W następnych dniach Kate przestała dbać o ogród, nie zwracała uwagi na więdnące sadzonki i wysychającą w słońcu świeżo poruszoną ziemię. Wzięła dodatkowe dyżury, szukając ucieczki w ponadczasowym świecie kosztownych perfum, puszystych dywanów i uspokajającej muzyki. Wysłuchiwała szczegółów z życia pacjentek. Opowieści o małżeństwie, które zostanie uratowane, jeżeli żona będzie wyglądać młodziej;

o pracy, której się nie straci; usłyszała bolesne wspomnienia o jedynym dziecku, któremu nie pozwolono przyjść na świat... Za każdym razem na kilka godzin udawało jej się zapomnieć o wszystkim, potem jednak unosiła głowę i nagle przed jej oczami stawała twarz Jane-Annah. Kobiety, która wzywała ją powrotem do Langali, namawiała do ponownego przeżycia tamtych wydarzeń. Wydarzeń, z którymi wiązały się ludzkie krzyki, strach, krew na podłodze...

W końcu Kate musiała wziąć wolny dzień. Postanowiła go przespać. Ale bardzo wcześnie obudziła ją becząca w sąsiedztwie koza. Wyobraziła sobie zwierzę przywiązane

na sznurze z dala od soczystej trawy. Wstała i zjadła śniadanie. Koza nadal hałasowała. Nie mogąc dłużej tego znieść, Kate wyszła

54

z domu, by sprawdzić, co się dzieje. Korzystając z zasłony rosnących blisko domu drzew, zerknęła do sąsiedniego ogrodu. Ujrzała kozę przywiązaną blisko ogniska. Zwierzę wyjadło krąg w zasięgu sznura, zostawiając gołą ziemię. Kate zmarszczyła czoło. Niemożliwe, by sąsiadka na tak długo zostawiła kozę w jednym miejscu. Podeszła bliżej. Zobaczyła krzesło. Było puste. Ognisko całkiem wygasło - z popiołu nie unosiła się nawet smużka dymu.

Kate nieufnie zbliżyła się do zwierzęcia, mając nadzieję, że nikt jej nie widzi. Nie chciała spotkać się z Annah Mason. Pewnego dnia będzie musiała przyjąć do wiadomości, że w sąsiednim domu mieszka znajoma rodziców, ale na razie było na to za wcześnie.

Na widok Kate koza podskoczyła z radości.

- Jesteś głodna, prawda? - mamrotała dziewczyna, odwiązując sznur.

Nie oglądając się za siebie, koza wyrwała się do przodu. Kate rozejrzała dookoła. Tylne drzwi były otwarte. Na stoliku stał dzbanek z sokiem limonowym. Wieko adaptera uniesione. Na płycie leżała cienka warstewka popiołu. Dziewczyna zmarszczyła czoło. Zaczynała się martwić.

- Hej, jest tam kto?! - zawołała niepewnie. - Annah?

Nowe imię zawisło w powietrzu. Bez echa.

Kate skierowała się do tylnych drzwi. Weszła ostrożnie do środka i rozejrzała się po pustej kuchni, po czym pokonała całą długość korytarza. Zza jej pleców dmuchnęła lekka bryza, marszcząc zasłony. Odgłos kroków dudnił w pustym domu. Kate nieco szybciej wyszła z jadalni, wciąż ozdobionej do połowy wypalonymi świecami. Zajrzała do łazienki, magazynku, salonu. Wreszcie dotarła do sypialni.

Na łóżku leżała skłębiona pościel. Na stoliku stały brudne naczynia, flakon z uschniętymi kwiatami i ogromna liczba pudełeczek oraz fiołek z lekarstwami. Wchodząc z korytarza, Kate poczuła unoszący się w pomieszczeniu zapach, coś dziwnego, podobnego do piżma, dlatego zatrzymała się w drzwiach, by wziąć głęboki wdech i lepiej poczuć egzotyczną woń. Na-

55

stępnie pochyliła się nad nocną szafkę. Wśród kolekcji lekarstw rzuciło jej się w oczy jedno słowo: m.s.contin. Kate zerknęła na nazwy innych medykamentów - morfina, stemetii. Na wszystkich etykietach widniało nazwisko tego samego pacjenta: Annah Mason. Kate poczuła wewnętrzny chłód. Tylko w jednym przypadku przepisuje się te lekarstwa do zażywania w domu - by pomóc choremu cierpiącemu na nieuleczalną chorobę, kiedy nie ma już żadnej nadziei.

Wniosek nasuwał się sam. Annah była chora. Umierała.

Przed oczami Kate przewinęły się wspomnienia związane z sąsiadką. Ich pierwsze spotkanie: Annah leżała na ziemi, nie mogąc złapać tchu. „Podle się czuję” - powiedziała wtedy. Jednak pojawiała się przy ognisku, karmiła kozę, z przyjemnością słuchała muzyki. Tak pięknie wyglądała w długiej, kremowej sukni. Choroba trawiła ją od środka, ale na zewnątrz wyglądała na osobę odważną i mocną, jakby sił dodawał jej jakiś wewnętrzny ogień.

Gdzie ona jest?

To pytanie natarczywie kołatało w głowie Kate. Wybiegła z sypialni.

Znalazłszy się z powrotem w zaniedbanym ogrodzie, rozejrzała się dookoła. Wszystko wyglądało normalnie. Koza jadła skamieniały kawałek patatu. Kury przycupnęły na drzewie w pobliżu tylnego ogrodzenia. Potem pod płotem z boku Kate dostrzegła barwną plamę na tle zieleni.

- Annah!

Zaczęła biec. Chociaż wyciągała nogi, wydawało jej się, że bardzo wolno posuwa się do przodu. Nie odrywała wzroku od leżącej postaci. Wyciągniętej na trawie, twarzą do ziemi. Bosej, odzianej jedynie w błękitną koszulę nocną. Z bliska Kate zauważyła odwróconą na bok twarz. Siwe, poplątane włosy przysłaniały policzek.

Kate przyklękła obok ciała. Czuła, że pod wpływem szoku i bólu zeszytywniały jej ręce i nogi. Nie dostrzegała żadnych oznak życia. Potem jednak, poprzez brzęczenie cykad i odległy ruch uliczny, usłyszała cichy oddech. Był szybki i płytki, towa-

56

rzyszył mu świst flegmy blokującej drogi oddechowe. Kate nachyliła się. Wiedza pielęgniarki wzięła górę nad panicznym strachem. Przycisnąwszy drżące palce do szyi Annah, wyczuła puls. Słaby, ale regularny.

- Słyszysz mnie? - spytała przerażona.

Żadnej odpowiedzi.

Kate odwróciła sąsiadkę na bok. Robiąc to, wyczuła kości. Nie zdawała sobie sprawy, że ta kobieta jest tak wątpa.

Teraz Annah wyglądała niemal tak jak ktoś leżący z jedną ręką przytuloną do twarzy. Świszczący oddech przypominał równomierne, ciche chrapanie. Annah wciąż miała na szyi bursztynowe paciorki. Zwisły i opadały na ziemię.

- To nie potrwa długo - zapewniła Kate. - Zaraz wracam. Pobiegnę do siebie do domu, żeby wezwać pogotowie. Kurczowo ścisnęła słuchawkę i drżącymi palcami wykręcała numer. Podczas rozmowy z dyspozytorem kopała drzwi nogą, jakby próbowała zmusić go, by szybciej zadawał pytania. Gdy wróciła do Annah, uklękła obok niej.

- Wszystko w porządku - szepnęła, gładząc chude ramię. - Pogotowie jest już w drodze.

Brzmienie jej głosu musiało dotrzeć do świadomości chorej. Annah jęknęła i próbowała ruszyć głową.

- Leż spokojnie - powiedziała Kate. - Nie ruszaj się. Annah nagle otworzyła oczy i skupiła wzrok na Kate. Dziewczyna zamarła w bezruchu. Uspokajające słowa zamarły jej na ustach, gdy na twarzy chorej dostrzegła trudną do opisania desperację. Annah poruszyła wargami, próbowała coś powiedzieć. Świszczący oddech stał się głośniejszy. Nie wytrzymała jednak podjętego wysiłku i ponownie straciła przytomność. Leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Dopiero po dłuższej chwili Kate zdała sobie sprawę, że Annah przestała oddychać, że świst ustał, a ciało zamarło w absolutnym bezruchu.

- Nie! Proszę! - błagała Kate.

Z oczu płynęły jej łzy. Nie wiedziała, co robić... Wtedy do działania przystąpiła jakaś inna część jej samej. Kucnęła nad

57

chorą, sprawdziła puls i z ogromną ulgą zamknęła oczy. Wyczuła słabe tętno. Potem odchyliła głowę Annah do tyłu. Stercząca broda wydawała się rzucać wyzwanie.

Uratuj mnie, jeśli możesz...

Kate wzięła głęboki wdech, potem położyła wargi na ustach Annah. Mocno nacisnęła. Jakby składała na nich pocałunek.

Wypuściła powietrze, napelniając płuca Annah. Potem uniosła głowę, by popatrzeć, jak unosi się klatka piersiowa. Po kilku sekundach odwróciła się i poczuła na policzku wydychane powietrze.

Zrobiła to po raz drugi. I trzeci. Oddech. Liczenie. Oddech. Poczwała sól - zmieszany pot obu ciał.

Podczas krótkich przerw Kate nasłuchiwała, czy nie nadjeżdża karetka. Cisza. W takiej ciszy każdy dźwięk wydaje się głośny. Pocieranie materiału o materiał. Włosy muskające włosy. Żdźbła trawy gniecione kolanami.

Wargi Annah były blade, ale nie nabierały błękitnego koloru.

W końcu w oddali rozległ się dźwięk syreny. Zbliżał się, zbliżał, aż zamilkł.

- Tu, na tyłach! - zawołała Kate.

Słyszała otwierane i zamykane drzwi. W końcu obok niej pojawił się sanitariusz.

- Dobra robota - pochwalił, odsuwając Kate na bok. Wsunął do ust Annah rurkę. Kate pochyliła się nad nim. Bezradnie machała rękami, chcąc w czymś pomóc.

- Zajmę się nią, kochana pani. - Mężczyzna nachylił się nad Annah. - Może pani na mnie liczyć.

Kate odsunęła się i oparła o pigwę. Wciąż roztrzęsiona po doznanym szoku i sztucznym oddychaniu, zaciskała palce na gałęziach. Podskoczyła, gdy w pobliżu rozległ się głos:

- To pani matka?

Kate spojrzała na sympatycznego sanitariusza.

- Nie. Sąsiadka.

Przy tych słowach do oczu napłynęły jej łzy. Mężczyzna położył dłoń na jej ramieniu. Miał lateksowe rękawiczki.

58

- To już nie potrwa długo. Jej stan się ustabilizował. Wkrótce będzie w szpitalu.

Kate zerknęła mu przez ramię. Nieruchome ciało Annah było owinięte kocem, na twarzy miała maskę tlenową.

Po przymocowaniu Annah paskami do noszy sanitariusze przenieśli ją do karetki. Kate powędrowała za nimi aż na chodnik. Wokół ambulansu zebrała się grupka ludzi. Wszyscy patrzyli i szeptali.

Obok Kate ponownie pojawił się sympatyczny sanitariusz.

- Później może pani zadzwonić do szpitala. Dowiedzieć się, jak ona się czuje.

Annah zniknęła we wnętrzu karetki, nosze cicho wsunęły się na swoje miejsce. Nagle dziewczyna zdała sobie sprawę, że nie chce zostawiać jej samej, nie chce, by obcy człowiek trzymał Annah za rękę.

- Jadę z wami - oznajmiła.

Nie czekając na odpowiedź, wsiadła do karetki.

Wiele lat minęło od chwili, kiedy Kate po raz ostatni była w prawdziwym szpitalu. Zapomniała o charakterystycznym zapachu stęchłego powietrza, przesyconego wonią

środków dezynfekcyjnych i podgrzewanego jedzenia. O biegających pielęgniarkach i lekarzach, stukających obuwem na miękkich podszewkach, używanym przez długodystansowców. Wszyscy wyglądali na zestresowanych i zmęczonych.

Kate usiadła na ławce w ponurym korytarzu, czekając na informacje na temat stanu Annah. Wracając myślami do lekarstw stojących na szafce nocnej, zdała sobie sprawę, że uratowała ją tylko na chwilę. Annah i tak umrze na chorobę, na którą cierpi. Widocznie dlatego wróciła do Melbourne - pomyślała Kate -by umrzeć w domu. Chociaż to właściwie nie miało sensu. Od przyjazdu Annah postępowała tak, jakby nadal przebywała w Afryce, jakby ten daleki kontynent był jej prawdziwym domem. Poza tym chyba nie miała tu żadnych przyjaciół. Z wyjątkiem Kate.

„Przyjechałam z Afryki, żeby cię odszukać”.

59

Kate zamknęła oczy, gdy przypomniała sobie te słowa. Po chwili zdała sobie sprawę, że Annah postanowiła spędzić ostatnie miesiące życia w Australii nie dlatego, że miała na to ochotę, lecz dlatego, że koniecznie chciała coś powiedzieć Kate. Coś, czego K-ate nie chciała słuchać.

Minęły prawie dwie godziny, nim pojawiła się pielęgniarka, by zabrać Kate na salę Annah. Zbliżając się do łóżka, dziewczyna doznała szoku, wręcz się załamała. Annah wyglądała bardzo mizernie z rurkami przymocowanymi do rąk i nosa, z maską na twarzy. Oddech chorej regulował pracujący równomiernie respirator. Trudno było uwierzyć, że to ta sama osoba, która jeszcze nie tak dawno dosłownie obozowała w ogrodzie, a towarzystwa dotrzymywały jej jedynie kury i koza.

Kate prawie nie zauważyła, że ktoś wszedł na salę. Zaszeleścił kartką, uprzejmie chrząknął. Odwróciwszy się, ujrzała młodego lekarza z notatnikiem.

- Doktor Johnson - przedstawił się mężczyzna, delikatnie się uśmiechając. - Z tego, co wiem, jest pani przyjaciółką pacjentki.

- Co jej dolega? - przerwała mu Kate. Lekarz przez chwilę milczał, zastanawiając się, ile może ujawnić.

- Jestem pielęgniarką- wyjaśniła. - Wiem, że jest chora.

- Owszem - przyznał lekarz. - Ma zapalenie płuc. Ale... to tylko dodatkowa komplikacja. Rozmawiałem z jej lekarzem ogólnym. Znaleźliśmy go dzięki przepisanyemu lekom. Pani przyjaciółka choruje na raka. - Zerknął na Kate.

Przytaknęła, starając się udawać, że o tym wie.

- Zaawansowanego - dodał lekarz. - Nieuleczalnego. Kate ponownie kiwnęła głową. Miała kamienną twarz, ale

serce waliło jej niespokojnie w piersiach. Doktor zerknął na pacjentkę i zniżył głos.

- Nie zostało jej już wiele życia. Kryzys taki jak ten może być prawdziwym błogosławieństwem. - Westchnął. - Pozostaje pytaniem... czy interweniować, czy pozwolić jej odejść...

- O czym pan mówi? - spytała Kate.

60

- No cóż, możliwe, że po wyjściu ze szpitala nie da sobie rady w domu. To się często zdarza. A z tego, co mówi jej lekarz, chora nie ma żadnych krewnych. Nikogo, kto mógłby się nią zająć.

- Ma mnie - powiedziała Kate pewnie.

- Pani jest tylko jej sąsiadką...

Kate odwróciła się i stanęła twarzą do mężczyzny.

- Nie, nieprawda. Znam ją od dziecka. Była przyjaciółką mojej matki. Jest moja przyjaciółką.

Lekarz cofnął się, słysząc słowa płynące z ust Kate.

- Zajmę się nią. Mówiłam panu, że jestem pielęgniarką.

- Dobrze, już dobrze. - Lekarz machnął ręką, poddając się. - Wierzę pani.

- Musicie zrobić wszystko, co się da - zażądała Kate. - Musicie ją uratować.

- Tak, oczywiście.

Lekarz zaczął bazgrać po kartce. Po chwili podniósł głowę i napotkał pytające spojrzenie Kate.

- Antybiotyki dożylne - wyjaśnił.

- Co jeszcze? - spytała Kate.

- To wszystko. Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Dziękuję.

Doktor zamarł w bezruchu z długopisem w powietrzu i bacznie przyjrzał się twarzy Kate.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Gdy wyszedł, przysunęła krzesło i usiadła obok łóżka. Myślała tylko o jednym, czuła tylko jedno - rozpaczliwie chciała, żeby leżąca obok kobieta przeżyła. Nie dlatego, że była Annah Mason, nie dlatego, że chciała usłyszeć, co ta kobieta ma jej do powiedzenia. Chodziło o samą Annah. Jakimś cudem udało jej się dotrzeć do Kate, odkryć czułe miejsca, które najbardziej ucierpiały z powodu samotności. To było przerażające i bolesne. A jednocześnie miłe i sympatyczne. Przebywanie w towarzystwie Annah w jakiś dziwny sposób nadawało życiu sens. Kate nie chciała tego stracić.

61

Wyciągnęła rękę, by dotknąć spalonego przez słońce przedramienia Annah - najbliższego fragmentu skóry, gdzie nie było rurek ani plastrów. Kate zauważyła jaśniejszy pasek na nadgarstku, na którym Annah zawsze nosiła ozdobioną czarnymi liniami bransoletkę z kości słoniowej. Zerknąwszy na stolik przy łóżku, zobaczyła tę ozdobę na miseczce ze stali nierdzewnej. Obok leżał sznur bursztynów. Oba przedmioty ktoś zaopatrzył w etykiety z nazwiskiem i numerem pacjentki.

Odwróciwszy się do Annah, Kate dostrzegła coś, co widać było w dekolcie szpitalnej koszuli. Ciemniejszą plamę na jasnej skórze.

Dziewczyna pochyliła się i ostrożnie odsunęła materiał.

Ze zdumienia otworzyła usta. Na delikatnej skórze prawej piersi Annah widniał błękitno-czarny wzór, tworzony przez wygięte linie, wyryte w ciele i przyciemnione wtartym popiołem.

Blizna rytualna.

Kate wpatrzyła się w nią. Często widywała takie znaki u mieszkańców Afryki. Ale u białej kobiety...

Zsunęła koszulę na miejsce i oparła się o krzesło. Przypomniała sobie podejrzenia dotyczące Annah Mason, przytoczone w Księdze współczesnych męczenników. W milczeniu przyglądała się twarzy przyjaciółki. Nieruchome, zamknięte oczy ukrywały wszystkie sekrety.

Kate siedziała przy łóżku Annah, nie przyjmując proponowanego jedzenia, nie reagując na sugestie, by pojechała do domu i zaczekała na wiadomość. Wpatrywała się w rurki, które biegły do ręki chorej, obserwowała, jak płyny i lekarstwa sączą się równomiernie do nieruchomego ciała. Próbowwała przekazać jej własną siłę, przelać do żył Annah jak jakiś odżywczy eliksir.

Dzień dobiegał końca. Pielęgniarki przychodziły i wychodziły, okazując współczucie i poprawiając igły, ale nic się nie zmieniało. Kate próbowała się modlić, sięgając do przeszłości po stare formułki.

- Ojcze Niebieski, proszę, dodaj tej kobiecie sił i zdrowia.

62

Niegdyś modlitwa była dla Kate czymś tak naturalnym jak oddech, ale obecnie potrafiła się zdobyć jedynie na wymuszone, dziwnie brzmiące słowa.

Powtarzała sobie, że pora przestać się modlić, przestać mieć nadzieję. Lepiej - myślała - przygotować się na najgorsze. Zacząć się godzić...

Idąc przez ogród Annah, Kate napełniła wodą koryto kozy i podlała kilka roślin. Potem weszła do środka i wędrowała powoli przez cichy dom, rozglądając się w poszukiwaniu kluczy, żeby zamknąć drzwi od tyłu. Była bardzo zmęczona i marzyła o filiżance porządnej herbaty po całym dniu sączenia letnich napojów z plastikowych kubków.

Nie znalazłszy kluczy w kuchni ani korytarzu, Kate powędrowała do sypialni Annah. Sanitariusz zabrał wszystkie lekarstwa stojące na szafce nocnej, przy okazji odsłaniając kolorowe zdjęcie oparte o ścianę.

Kate podeszła do fotografii, zdając sobie sprawę, że skądś ją zna. Rzeczywiście, takie samo zdjęcie znajdowało się w zamkniętym na strychu rodzinnym albumie Carringtonów. Było to bliskie ujęcie dwóch młodych kobiet, trzymających głowy blisko siebie. Jedna z nich to Sarah. Młoda, spokojna, szczęśliwa. Obok uwieczniona została jej rudowłosa przyjaciółka. Matka chrzestna Kate. Ciocia Nań.

Kate nabrała powietrza w płuca.

- Annah... - szepnęła.

Porwała zdjęcie, zabrała je do światła i bacznie mu się przyjrzała. Policzki kobiety zapadły się. Rude włosy zsiwiały. Ale wyraziste oczy i wydatne usta prawie w ogóle się nie zmieniły. Teraz Kate zaczęła kojarzyć pewne rzeczy i dostrzegać podobieństwo. Niewątpliwie Annah Mason to ciocia Nań.

Kate wpatrywała się w zdjęcie. Słabo pamiętała tę kobietę. Prawdę mówiąc, najlepiej znała twarz cioci Nań z tego właśnie zdjęcia. Sarah często pokazywała odbitkę, opowiadając córce o jej matce chrzestnej. Kate wiedziała, że matka uważała ciocię Nań za swoją przyjaciółkę, chociaż odkąd wysłano ciocię do

63

innej placówki, obie prawie w ogóle się nie widywały. Jednak takie przypadki zdarzały się w pracy misyjnej. Najważniejsza była praca, przyjaźń dopasowywało się do reszty.

Kate zmarszczyła czoło, zażenowana. To, co pamiętała o cioci Nań, nie pasowało do tego, co mówiono na temat An-nah Mason. W opowieściach Sarah ciocia Nań zawsze była życzliwa, dobra i mądra.

Jednak na tym nie koniec historii - przypomniała sobie nagle Kate. Wśród najcenniejszych skarbów z dzieciństwa był prezent od matki chrzestnej (choć skazała go na banicję na strychu wraz z innymi pamiątkami z Afryki, nie przestawał być cennym przedmiotem). Kamienna rzeźba przedstawiająca kameleona. W Langali wybór dokonany przez ciocię Nań wywołał skandal, dlatego Kate musiała udąć, że rzeźba gdzieś jej się zapodziała, ponieważ inaczej musiałyby się z nią rozstać. Kłopot polegał na tym, że jak wie każdy, kto mieszka w Afryce, kameleon jest symbolem zła.

Odłożywszy zdjęcie na swoje miejsce, Kate zaczęła przeszukiwać pokój. Przy niewielu meblach osobiste przedmioty An-nah od razu rzucały się w oczy. Był tam mikroskop w zniszczonej, drewnianej skrzynce. Następne ubrania w kolorze khaki. Srebrna szczotka do włosów. Potem dziewczyna natknęła się na teczkę z materiałami piśmiennymi i zniszczonym papierem welinowym. Otworzyła ją po chwili wahania. Znalazła nieza-klejoną kopertę z grubego, kremowego kartonu. Wyjęła włożone do środka kartki.

„Ostatnia wola i testament Annah Mackay Mason...”

Pobieżnie przejrzała dokument. Wśród prawniczych zwrotów zauważyła swoje imię i nazwisko. Stare, prawdziwe imię i nazwisko - Kate Camngton.

Była jedyną spadkobierczynią całej posiadłości.

Z trudem przełknęła ślinę przez zaschnięte gardło, szukając daty. Testament został napisany prawie dwadzieścia lat temu. Annah od dawna chciała, żeby pewnego dnia chrześnica odziedziczyła po niej dom i ogród. W całości, nie tylko skrawek, który jej już dała.

64

Na końcu dokumentu Kate znalazła kodycył, napisany zaledwie dwa miesiące temu. Była w nim instrukcja dotycząca pochówku Annah. Jej prochy miały wrócić do Afryki, do domu w Kwa Moyo. Kate patrzyła na słowa napisane nowoczesną czcionką. To był dowód. Annah wiedziała, że nie wróci na Czarny Kontynent. Przyjeżdżając tutaj, by znaleźć Kate, pogodziła się z perspektywą samotnej śmierci w Australii, z dala od domu. Tymczasem jej poświęcenie poszło na mamę. Kate nie chciała jej wysłuchać. Teraz Annah leży nieprzytomna w szpitalu, a lekarze mówią o spokojnej śmierci.

Nagle Kate poczuła, że musi uciec z zacisznego, ciemnego pokoju. Zostawiwszy otwarte drzwi, przebiegła przez ogród, nie zwracając uwagi, że depcze rośliny.

Gdy była w pobliżu tylnych drzwi, usłyszała dzwonek telefonu. Szybko uporowała się z zamkiem i wpadła do środka. Chwyciła słuchawkę.

Niech Annah nie umiera - błagała bez słów. Niech nie umiera.

Kobięcy głos był spokojny. Wiadomość krótka.

- Pani Mason odzyskała przytomność. Odłączyliśmy respirator. Proszę przyjechać, jeśli pani może. Pacjentka bardzo o to prosi.

Lekarz stał w drzwiach i wyglądał na zadowolonego z siebie. Próbował coś powiedzieć, ale Kate odepchnęła go na bok.

Jej wzrok padł na twarz Annah. Na otwarte, szarozielone oczy. I gęste, siwe włosy, które kiedyś były rude.

- Kate - wymamrotała Annah. - Przyszłaś. - Używała sua-hili.

Łzy napłynęły Kate do oczu, gdy odpowiadała w tym samym języku.

- Czyż nie powinnam tu być?

- Powinnaś - potwierdziła Annah, a w jej słabym głosie brzmiała dziwna siła. - Chcę z tobą porozmawiać. Już tylko to zostało mi do zrobienia.

W ciągu najbliższych dni Kate ani na chwilę nie odstepo-

65

wała Annah. Zachęcała ją do odpoczynku, by nim zacznie mówić, nabrała nieco sił.

- Mamy czas - zapewniała. - Wyjdiesz stąd...

Annah ustąpiła, zdając sobie sprawę, że nawet po krótkiej rozmowie jest słaba i brakuje jej tchu. Poprosiła, by dziewczyna wykorzystała ten czas i opowiedziała jej o sobie. Leżąc w całkowitym bezruchu, słuchała z natężeniem, jak Kate mówi o swojej pracy, przyjaciółach, ostatnim mężczyźnie, którego bardzo chciała pokochać, ale w końcu z nim zerwała...

W przerwach Annah jadła i bardzo dużo spała, niczym żołnierz odzyskujący siły po ostatnim boju. Pewnego ranka poprosiła Kate, by pojechała do jej domu i poszukała torebek z suszonymi ziołami, korzeniami i innymi składnikami przywiezionymi z Afryki. Postępując zgodnie ze szczegółową instrukcją, Kate ugotowała z nich gęsty, ciemny wywar. Mieszając w garnku, wyobrażała sobie autora Księgi współczesnych męczenników zerkającego jej przez ramię. Gdy eliksir był gotowy, wlała go do buteleczki i w brązowej torbie papierowej ukradkiem wniosła do szpitala. Przygotowane w domu lekarstwo przywróciło Annah siły, których tak potrzebowała. Lekarz powiedział, że Kate może w końcu zabrać chorą do domu.

Wbrew otrzymanym zaleceniom Annah uparła się, by usiąść na świeżym powietrzu na krześle ogrodowym. Namówiła dziewczynę do rozniecenia ogniska, by mogła wdychać zapach palącego się drewna, chociaż dym wywoływał ataki kaszlu. Kate dotrzymywała jej towarzystwa, siedząc na drugim krześle, nalewając sok limonowy ze starego dzbanka na herbatę i zmieniając płyty w adapterze. Kiedy zapadła ciemność, przyniosła z kuchni lampkę i ustawiła ją między nimi.

Gdy drewno się wypaliło, a wokół zapadła cisza, Annah poruszyła się niespokojnie. Wychyliła się do przodu i wbiła wzrok w Kate.

- Myślę, że nadszedł czas - powiedziała - żebyś wysłuchała mojej opowieści.

4

1962 rok, Tanganika, Afryka Wschodnia

Annah leżała na wąskiej pryczy, owinięta białym prześcieradłem, wilgotnym od potu i poplamionym sadzą. Chociaż było wcześniej, nie spała i niespokojnie rzucała się z boku na bok. Wciąż przypominały jej się wydarzenia z poprzedniego dnia: jazda wczesnym rankiem ulicami Dar es-Salaam, zamieszanie na dworcu kolejowym, bagaże znikające na plecach tragarzy. Otaczające ją ze wszystkich stron ciemne twarze. Nachalny trędowaty, proszący o jedzenie.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi przedziału. Annah usiadła, odrzucając na bok splecione prześcieradła.

- Kto tam? - spytała niepewnie.

- Śniadanie, madam - odpowiedział dziarski głos, dochodzący z korytarza.

Annah szybko włożyła szlafrok i usiadła przy zasłoniętym oknie.

- Proszę - powiedziała, podnosząc głos, by przekrzyczeć hałas lokomotywy.

Mężczyzna w czerwonym turbanie wszedł tyłem do maleńkiego przedziału, trzymając tacę ze srebrną zastawą. Annah rozpoznała młodego Sikha, który poprzedniego wieczoru pościelił jej pryczę. Z uprzejmie odwróconym wzrokiem ustawił przed nią tacę.

69

- W nocy wspieliśmy się nieco wyżej - powiedział. Jego śpiewny akcent pasował do kołyszących mchów pociągu. - Powietrze jest tu suchsze. Łatwiej się nim oddycha.

- Naprawdę? - spytała Annah.

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła okiennice. Potem wciągnęła powietrze w płuca i spoglądała w milczeniu.

Za oknem roztaczał się malowniczy widok - rozległa, otwarta przestrzeń.

Plamy gołej, czerwonej ziemi poznakowanej nagimi skałami.

Zielone, smukłe akacje, rozkładające z wdziękiem gałęzie na tle błękitnego nieba.

- Równina środkowej Tanganiki, madam-wyjaśnił Hindus.

- Tak - westchnęła Annah, czując rosnące podniecenie. -Tak!

W końcu...

W czasie podróży poprzedniego dnia Annah podziwiała tropikalną roślinność nadmorskich nizin, szukając znaków zapowiadających, że wkrótce wyłoni się coś innego. Ale zapadła noc, a krajobraz wciąż wyglądał tak samo. Dopiero poranek przyniósł tak oczekiwaną zmianę, i to gruntowną. Za oknem rozciągała się Afryka jej marzeń. Kraina, o której śniła od wielu lat.

Sikh próbował zainteresować Annah tacą ze śniadaniem. Dziewczyna prawie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności, z tego, że nalał jej herbaty i podsunął kawałek tostu. Nie odrywała wzroku od krajobrazu.

Za oknem pojawiła się maleńka osada. Kilka długich, niskich chat, zbudowanych z wypiekanej gliny. Był tam też baobab o grubym pniu, z nieregularnymi, poplątanymi gałęziami. Zagroda dla bydła, ogrodzona gałązkami ciernistych krzewów. Kozy. Garbate krowy. Odziany na czerwono pastuch, wysoki, nieruchomy.

Annah się uśmiechnęła.

- Była pani tu wcześniej? - spytał uprzejmie Sikh. - Cieszy się pani z powrotu?

70

Zerknęła na niego.

- Nie - potrząsnęła głową. - To mój pierwszy pobyt w Afryce.

Ale w głębi duszy czuła się tak, jakby nie mówiła prawdy. Tak dobrze znała to miejsce. Kochała je.

- Moja ciocia tu mieszkała - wyjaśniła. - Opisywała tę krainę w listach.

Spojrzała na znikającą wioskę. Czuła się tak, jakby słowa Elizy zamieniły się w rzeczywistość.

Sikh zawiesił przy porcelanowej umywalce świeży ręcznik, potem skłonił się i wyszedł.

Annah sączyła gorącą, mocną herbatę. Była trochę gorzka, ale wyjątkowo orzeźwiająca.

- Chai - powiedziała, sprawdzając swój suahili. Zerknęła na dzbanek z mlekiem. - Maziwa.

Przypomniawszy sobie ostrzeżenia Elizy dotyczące niego-towanego mleka i gruźlicy, postanowiła nie dodawać go do herbaty. Bacznie przyjrzała się trójkątnemu tostowi i żółtej marmoladzie. Powinny być bezpieczne, chyba można je zjeść - pomyślała. Banana również, ponieważ jest zabezpieczony skórką.

Annah oparła się o siedzenie i zjadła śniadanie, przyglądając się mijanemu krajobrazowi. Potem sięgnęła do torebki i wyjęła kilka pożółkłych ze starości kartek. Rozłożyła je na stoliku. Były to zabrudzone, pełne oślich uszu stronic. Każdą pokrywały rządki lekko pochylonych, napisanych niebieskim atramentem liter. Gdzieś widniały rysunki, szkice, mapki i wykresy.

Zaczęła przeglądać listy, wychwytyjąc dobrze znane zdania i sentencje - opisy świata, który niemal dziesięć lat temu podbił jej serce. Mając szesnaście lat, odkryła listy cioci schowane na strychu rodzinnego domu. Niemal od pierwszego słowa oczarowała ją historia pielęgniarki pracującej w odległej Tanganice. Jakże marzyła o tym, by znaleźć się dokładnie w tym samym miejscu, w dzikiej krainie, gdzie za oknami sypialni polują lamparty, wojownicy koczowniczych plemion przy-

71

chodzą, by oczyścić im i opatrzyć odniesione w bitwach rany, a pierwszej pomocy udziela się przy lampce oliwnej.

Odsunęła na bok przeczytane kartki. Ostatnią z nich napisano na maszynie. Było to zawiadomienie nadesłane przez kwaterę główną misji w Tanganice. Miało urzędowy nagłówek. Informowało o nagłej śmierci Elizy Thwaite. Zmarła na malarię. Na dokumencie widniała data - 16 listopada 1937 roku. Annah przytrzymała tę kartkę w ręce. Czuła przebiegający po plecach dreszcz, taki sam jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzała tę datę. Tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy rok...

Rok jej urodzenia.

Annah zamknęła oczy. Znow znalazła się na zakurczonym strychu i kuciała nad stertą listów. Czuła przyspieszone bicie serca, z trudem oddychała... Powoli zdała sobie sprawę, że na tym nie koniec. Że odczuwa również dziwne ciepło. Czyjaś milcząca obecność.

Potem nagle uświadomiła sobie - i nie miała co do tego żadnych wątpliwości - że pójdzie w ślady Elizy. Na jej barki spadły obowiązki przejęte od kobiety, której życie dobiegło końca wtedy, kiedy Annah przyszła na świat.

- Pojadę-szepnęła.-Przyjmij mnie...

Gdy te słowa wypłynęły z jej ust, miała wrażenie, że ciepło zbliża się, obejmuje ją. Próbowała sobie wyobrazić istotę, do której się zwracała. Boga z listów Elizy, bóstwo, które wezwało ją do pracy misyjnej.

Ojca Niebieskiego. Króla królów. Pana na wysokościach...

Te słowa przychodziły jej łatwo, pamiętała je z licznych mszy w szkole. Ale w głowie Annah pojawił się obraz kobiety. W stroju koloru khaki, z włosami upiętymi w kok. Trzymającej delikatnie na rękach czarnoskóre niemowlę.

Elizy...

Annah uniosła głowę i dostrzegła zmianę w sposobie poruszania się pociągu. Po pokonaniu wielu kilometrów w linii prostej zaczęli teraz skręcać. Przez okno Annah widziała lokomotywę, zostawiającą za sobą białe obłoki, przypominające wspaniałą grzywę. Maszyna wyglądała na odważną i mocną, sunęła

72

do przodu, nie zniechęcając się odbytą drogą. Annah uśmiechnęła się. Odważna, młoda kobieta, która właśnie miała podjąć pierwsze prawdziwe wyzwanie w życiu.

Gdy pociąg dotarł na obrzeża Dodomy, Annah sprawdziła swój wygląd. Niemal godzinę temu przygotowała się na przyjazd. Przebrała się w czyste, wyprasowane ubranie, uczesała włosy, wymyła twarz i ręce. Potem stanęła przed małym, okopconym lusterkiem i bacznie przyjrzała się swojemu odbiciu, ćwicząc uśmiech, który będzie miała na ustach, wysiadając z pociągu. Chciała wyglądać przyjaźnie, ale nie nachalnie, sprawiać wrażenie pewnej siebie, ale nie zuchwałej. Ćwiczyła ten uśmiech, siedząc w całkowitym bezruchu w wyprasowanej spódnicy i próbując nie zwracać uwagi na łaskotanie spływającego po plecach potu.

Dla zabicia czasu wyglądała przez okno. Dodoma wyraźnie zmieniła się od czasów Elizy. Miasto rozbudowało się, postawiono w nim kilka nowoczesnych wieżowców, wytyczono parę ulic. Była nawet katedra - Annah zauważyła kopułę wznoszącą się nad liściastym baldachimem wysokich drzew. Duma misji - nowoczesny szpital wybudowany w miejscu, gdzie niegdyś znajdowało się ambulatorium, obsługiwane przez pielęgniarkę. Założone i prowadzone przez jedną kobietę - siostrę Elizę Thwaite.

Pociąg ze zgrzytem metalu i w obłokach pary wtoczył się na stację. Na peronie stało mnóstwo Afrykańczyków. Wielu z nich niosło na głowach ogromne pakunki, a w rękach trzymało klatki z kurami. Kobiety owinięte w barwne tkaniny, kitenge, dźwigały takie same ciężary jak mężczyźni, a często dodatkowo miały na plecach śpiące dziecko. Wzrok Annah wędrował po kolorowym, ruchliwym tłumie, potem zatrzymał się na rzędzie białych twarzy. Kilkanaście osób stało nieco dalej na peronie. Annah poczuła ucisk w żołądku. W liście, który otrzymała, zawiadamiano ją, że na stacji ktoś będzie czekał. Nie spodziewała się jednak, że powitają aż tylu ludzi.-

Lokomotywa po raz ostatni szarpnęła wagony, po czym cały

73

skład zamarł w bezruchu. Annah została w swoim przedziale, spoglądając na grupkę białych. Rozmawiali ze sobą, kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami. Było w nich coś, co od razu sygnalizowało, że to misjonarze, a nie farmerzy czy turyści, wybierający się na sfań. Wystarczyło popatrzeć na ich miny oraz sposób, w jaki się ubierali i w jaki stali. Wyglądali na ludzi rozsądnych, praktycznych, godnych zaufania i pewnych siebie, ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że mają coś ważnego do zrobienia, a jednocześnie doskonale wiedzą, że potrafią sprostać wszelkim wyzwaniom. Annah poczuła dumę, że już wkrótce będzie jedną z nich.

- Siostra Mason! - zawołał zaglądnący do wagonu mężczyzna.

Annah szybko wstała.

- To ja... Dzień dobry.

- Nazywam się Jack Masters. Jestem sekretarzem misji. Zamiast wyciągnąć rękę i pomóc Annah wysiąść, sam wsiadł

do wagonu. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się nowej

siostrze. Potem się uśmiechnął.

- Witamy w środkowej Tanganice.

Annah odpowiedziała uśmiechem, zwyczajnym uśmiechem, nie tym, który przygotowała. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Jack Masters ledwo na nią spojrział, potem przeniósł wzrok na jej walizki i torby, wciąż ułożone na półkach. Zmarszczył czoło. Annah próbowała sobie przypomnieć otrzymane z misji wskazówki, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyła i nie zabrała zbyt wielu rzeczy...

- Chodzi o to... - Jack sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Mówił do Annah, nie patrząc jej w oczy. - Wygląda na to, że czeka panią dalsza droga. Jutro. Biskup...

- Dalsza droga? - Annah powtórzyła słowa mężczyzny, próbując coś z tego zrozumieć.

- Nastąpiła zmiana planów. Po prostu przyszło mi na myśl, że łatwiej byłoby zostawić pani rzeczy. Będą bezpieczne w biurze naczelnika stacji. A jutro...

- Nie - przerwała mu Annah. - To jakiś błąd. Jestem nową

74

pielęgniarką. Mam pracować w szpitalu w Dodomie. - Niewiele brakowało^ a powiedziałyby: „w szpitalu Elizy”. - Zostaję

tutaj.

Poczuła, że ogarnia ją panika. Jej głos brzmiał piskliwie i żałośnie. Spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę, zmuszając go - błagając - by potwierdził jej słowa. Że przyjechała do Dodomy. I że tu zostanie.

Jack Masters wycofał się w stronę drzwi.

- Proszę posłuchać, siostrze Mason. Jest pani zmęczona. Na pewno głodna. - Mówił uspokajającym tonem. - Pani Menzies czeka z gotowym śniadaniem. Potem uda się pani na spotkanie z biskupem. On wszystko wyjaśni.

Odwrócił się i machnął ręką na tragarza.

Annah przez kilka sekund zbierała myśli. Potem odwróciła się do swojego rozmówcy.

- Panie Masters... - zaczęła.

- Jack - wtrącił mężczyzna. Annah kiwnęła głową.

- Jack.

Była o kilka centymetrów wyższa od niego. Starła się nie spoglądać na niego z góry, lecz wprost.

- Jestem pewna, że mnie zrozumiesz. Wolałabym nie zostawiać tu bagaży. Byłabym ci bardzo wdzięczna... gdybym mogła mieć je przy sobie... do spotkania z biskupem...

Zdobyła się na uśmiech. Tym razem odpowiedni.

Jack podniósł ręce na znak, że się poddaje.

- W porządku. Jeśli tak ci na tym zależy. To właściwie niczego nie zmienia. Daudi wszystko załatwi.

- Dziękuję.

Annah odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że biskup naprawi tę pomyłkę. Zostawienie bagażu tutaj tylko by wszystko utrudniło. Do wieczora rozpakuje się i zadomowi w kwaterze dla pielęgniarek ze szpitala w Dodomie. Na pewno...

- W takim razie co powiesz na śniadanie? - spytał Jack. - Pani Menzies piecze najlepsze babeczki w tym kraju. Annah kiwnęła głową.

- Dziękuję. Jestem głodna.

Skłamała. Prawdę mówiąc, była zdenerwowana i robiło jej się niedobrze. Chciała mieć już za sobą powitalne śniadanie, żeby iść na spotkanie z biskupem.

W ślad za Jackiem wyszła na peron. W ciągu kilku minut od przyjazdu pociągu tłum znacznie się przerzedził. Annah widziała czekających na nią misjonarzy. Gdy podeszła, wyciągali po kolei ręce, a ona je ścisnęła.

- Witamy w misji! - mówili, uśmiechając się serdecznie. - Witamy w diecezji! Witamy w Tanganice!

Annah czekała, aż ktoś powie: „Witamy w Dodomie!” Na próżno.

- To całkiem proste - powiedział biskup. - Jedna z naszych sióstr wzięła urlop. Wybrała się w rejs parowcem. Trzy dni na jeziorze Tanganika.

Mówiąc to, chodził tam i z powrotem za swoim biurkiem. Zachowywał się jak zwierzę w klatce, które próbuje zużyć nadmiar energii.

- Wygląda na to, że spotkała jakiegoś inżyniera, faceta z Ugandy. Zakochali się w sobie. - Zatrzymał się, a jego słowa zawisły w powietrzu. Zaciśnięte wargi wyrażały dezaprobatę. - Mają zamiar się zaręczyć. Oczywiście, złożyła rezygnację.

Annah otworzyła usta, by coś wtrącić, ale biskup ją zignorował.

- Żeby ją zastąpić, musiałem dokonać trzech posunięć. To nie taka prosta sprawa. Trzeba brać pod uwagę doświadczenie, przygotowanie i, oczywiście, dobro misji. - Machnięciem ręki wskazał na wiszącą na ścianie ogromną mapę Tanganiki. - Siostra Alison będzie musiała objąć wolną posadę w Beredze. Siostra Barbara z kolei zastąpi siostrę Alison w Kongwa. Pani zajmie miejsce siostry Barbary. Tym sposobem wszyscy będziemy...

- Nie! Wasza Ekscelencja nie rozumie - przerwała Annah. - Ja mam zostać tutaj. Wasza Ekscelencja nie może wysłać mnie gdzie indziej. - Jąkała się, zrozpaczona i zdesperowana. - To tutaj mnie skierowano.

Spojrzała nad głowę biskupa, na odległą ścianę, na której wisiał szereg oprawionych w ramki zdjęć. Jedno z nich przedstawiało Elizę, założycielkę misji w Dodomie. Annah patrzyła na nią bez słowa, modląc się o pomoc.

- Wiem, kim pani jest - oznajmił biskup chłodno. - Prawdę mówiąc, skoro już pani poruszyła ten temat, równie dobrze mogę powiedzieć, że od początku byłam zdecydowanie przeciwny pani przyjazdowi. To placówka misyjna, nie przedsiębiorstwo rodzinne. Nie odziedziczyła pani tego szpitala.

Przeniósł wzrok na Annah. Widziała, że biskup ocenia jej gładką i prostą w kroju sukienkę, kupioną w „Georges”. Schowała stopy, pragnąc ukryć pełne buty na płaskim obcasie, wykonane ręcznie we Włoszech.

- Jeśli mam być szczery, na pani niekorzyść działają dwa fakty. Jest pani siostrzenicą Elizy Thwaite. I jest pani córką bogatego człowieka. Niemniej postanowiłem dać pani szansę, ponieważ ma pani dwa ogromne plusy: kwalifikacje i referencje. Ale nie może pani oczekiwać, że będziemy panią traktować w sposób specjalny.

Annah patrzyła na swoje dłonie.

Biskup odsunął krzesło, które zaskrzypiało na wypolerowanej drewnianej podłodze, i podszedł do mapy.

- Będzie pani stacjonować w Langali. Czekają tam na panią posiadacze przełożonej pielęgniarek. Ma pani odpowiednie umiejętności do objęcia tego stanowiska, chociaż brak pani doświadczenia. Biorąc pod uwagę okoliczności, to wszystko, co mogę zrobić.

Annah uniosła głowę, z niedowierzaniem przyglądając się, jak palec kapłana przesuwają się po mapie z gęsto zaludnionego centrum kraju, gdzie widniało mnóstwo nazw placówek misyjnych i krzyżyków oznaczających kościoły, w kierunku odludzia w zachodniej części kraju. Zaszokowana, patrzyła bez słowa na daleki kraniec Tanganiki.

- To tutaj - powiedział biskup obojętnym tonem. - Najbliższe miasto to Murchanża. Niedaleko granicy z Ruandą. Oczywiście, obecnie, to znaczy od czasu oddzielenia się od Burundi,

77

jest to Republika Rwandy - zaznaczył, wskazując miejsce, gdzie widniał przekreślony napis RUANDA z dopisaną obok

nową nazwą.

Jednak nie te słowa przykuły uwagę Annah. Skupiła wzrok na ogromnych literach, które tworzyły nazwę regionu graniczącego z Tanganiką Zachodnią. KONGO BELGIJSKIE. Litery były rozrzucone, obejmowały ogromny obszar, sięgający daleko na południe. Oczywiście Annah raz za razem biegła w tamtą stronę.

KONGO.

To słowo kojarzyło się jej z rozlewem krwi i terrorem. Dwa lata temu wielu białych - kobiety, mężczyźni i dzieci - zostało tam zmasakrowanych przez Kongijczyków, gdy Belgia zwróciła im wolność. Annah czytała sprawozdania w biuletynach wydawanych przez belgijskich uchodźców, którzy uciekli do Tanganiki. Przybyli właśnie tu, do Dodomy, przerażeni tym, co widzieli, i w jednej koszu na grzbiecie.

- Będzie pani pracować z doktorem Michaeliem Carringtonem - wyjaśnił biskup. - Jest on bardzo doświadczonej, dobrze wyszkolony lekarz. To doskonała okazja, by nauczyć się czegoś od mistrza.

Urwał i czekał, aż Annah na niego spojrzy. Dopiero potem dodał:

- Proszę się nie martwić, nie będzie pani tam jedyną kobietą. Razem z doktorem Carringtonem jest „mała m”.

Annah bezgłośnie przytaknęła. Wiedziała, że w ten sposób określa się żony misjonarzy.

- Pani Carrington, Sarah, to również wspaniała osoba - dodał biskup. - Bardzo pomaga Michaelowi w szpitalu. Jestem pewien, że gdy się pani tam zdomowi, będzie pani szczęśliwa.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak wyzwanie.

Annah wstała. Pomimo wzburzenia zauważyła, że biskup jest o wiele, wiele wyższy od niej. Spojrzała na niego, starając się zapanować nad sobą, żeby nie dostrzegł jej drżących warg i cisnących się do oczu łez.

- Kiedy ruszam w drogę? - spytała.

- Pociąg wyjeżdża jutro rano.

78

Zerknął na zegarek, potem odwrócił się, by wyrzucić przez okno na zielony ogród, w którym przeważały ogromne drzewa

pieprzowe.

- Naprawdę ma pani szczęście - powiedział. - Carringtonowie to jedno z najlepszych misjonarskich małżeństw. No dobrze, a teraz moja żona oczekuje pani na porannej herbatce. Ach! - Zerknął na Annah, a jego twarz rozjaśniła się. - Oto i ona. Co za wycucie czasu! Jak zawsze...

Pod drzewem pieprzowym panował cień i chłód. Krzesła i stół celowo ustawiono tak, by można było prowadzić poufne rozmowy. Opadające niemal do ziemi gałęzie całkowicie odcinały ten zakątek od reszty ogrodu.

- Ma pani ochotę na cukier, kochana? - spytała żona biskupa, podnosząc porcelanową miseczkę z ozdobną srebrną łyżeczką.

- Nie, dziękuję - odparła Annah.

Siedziała wyprostowana na krześle, trzymając ostrożnie filiżankę i spodeczek w jednej ręce. Skrzyżowała nogi w kostkach i odsunęła je na jedną stronę, jak nauczono ją w szkole.

Żona biskupa przytaknęła z aprobatą.

- Każdy używa tyle cukru, ile potrzebuje. Upiła łyk ze swojej filiżanki, potem sięgnęła do koszyczka stojącego u jej stóp i wyjęła biały kapelusz. Podniosła go.

- Jak się pani podoba?

Wyglądało na to, że kapelusz został zrobiony dosłownie z wszystkiego: filcu, słomy, siatki i lnu. Annah uśmiechnęła się uprzejmie.

- Jest bardzo ładny.

Pani Wadę wyglądała na zadowoloną.

- Przerobiłam go dla jednej z sióstr, wyjeżdżającej do domu na urlop. Widzi pani, tu, w Dodomie, jestem w stanie nadążyć za modą. Spotykam różnych ludzi. Dostaję magazyny. -Mówiąc to, obracała kapelusz w ręce, podziwiając dzieło własnych rąk. - Panie często do mnie piszą, zadowolone, że miały odpowiednie nakrycie głowy. - Urwała, szybko przy-

79

giądając się ubiorowi Annah. - Co wcale nie znaczy, że możemy być bezkrytyczne wobec mody - dodała nieco ostrzej. -Na przykład pani sukienka jest chyba trochę za krótka.

Annah odwróciła się, ponieważ nagły ruch opadających gałęzi przepuścił do środka promienie słońca. Zza ściany zieleni wyłoniła się postawna kobieta.

- Siostra Barbara! - zawołała pani Wadę. - Właśnie rozmawiałyśmy o pani.

Filiżanka Annah zakołysała się na spodeczku, gdy dziewczyna próbowała szybko wstać.

- Proszę pozwolić, że przedstawię siostrę Annah Mason -powiedziała pani Wadę z łaskawym uśmiechem na ustach. -Jak pani wie, siostra Mason przejmie pani stanowisko w Lan-

gali.

Annah przygotowała rękę i czekała, gdyby siostra Barbara chciała ją uścisnąć. Ale potężna kobieta stała jak kamień, z natężeniem przyglądając się swojej następczyni. To nie było taksujące spojrzenie biskupa ani jego żony, która z wyraźnym zadowoleniem patrzyła na sukienkę i fryzurę Annah. Siostra Barbara zaglądała w głąb duszy, jakby chciała sprawdzić, co się w niej kryje...

Annah próbowała wytrzymać to spojrzenie. Przypomniała sobie, co słyszała na temat siostry Barbary. Stara. Otyła. Za krótkie włosy... Z drugiej strony olbrzymka wyglądała na silną i godną zaufania. Gdyby trzeba było powierzyć komuś życie -pomyślała Annah - można by wybrać siostrę Barbarę.

- Spodoba się pani w Langali - powiedziała w końcu starsza pani. - Było mi tam dobrze.

Annah drętwo kiwnęła głową. Wciąż nie mogła uwierzyć, że ma wyjechać z Dodomy. Nie wspominając o perspektywie zesłania na daleki zachód...

- Pracowałam z pani ciocią, Elizą - dodała siostra Barbara. - Była wspaniałą osobą.

Oczy Annah zaokrągliły się z zaciekawienia. Na usta cisnęło jej się mnóstwo pytań, ale nim zdołała zadać którekolwiek z nich, siostra Barbara zmieniła temat.

80

- Skoro już tu jestem - zaproponowała - mogę przejrzeć pani rzeczy i sprawdzić, czy ma pani wszystko, co potrzebne. Langali to nie Dodoma. Będzie pani musiała zadowolnić się tym, co pani ze sobą zabierze.

Pani Wadę odebrała od Annah filiżankę ze spodkiem i postawiła je na stole.

- Co za wspaniała możliwość, moja droga!

Zostawiwszy biały kapelusz na stole, wyprowadziła obie siostry z kryjówki pod drzewami na bezpośrednie słońce.

Wędrując przez trawnik za obydwiema kobietami, Annah wyobrażała sobie swoją walizkę, stojącą w wyłożonym boazerią korytarzu biskupa, i zastanawiała się, czy ktoś rozpozna monogram wytłoczony w skórze. Louis Vuitton. Jeszcze jeden dowód na to, że dorastała w luksusach.

Matka Annah, Eleanor, przyniosła ten prezent do sypialni córki kilka tygodni przed jej wyjazdem do Afryki.

- Chcę, żebyś to zabrała - powiedziała, rzucając walizkę na łóżko. - Kupiłam ją w Paryżu.

Walizka była niemal całkiem nowa. Droga skóra i złote okucia wciąż błyszcząły.

- Wystarczy mi moja stara - zapewniła Annah. Eleanor machnięciem ręki zbyła jej słowa.

- Louis Vuitton początkowo zaopatrywał poszukiwaczy przygód. W butik w Paryżu mieli zdjęcie kufra wykonanego dla sławnego badacza, Savorgnana de Brazzy. On również wyjechał do Afryki.

Dziewczyna westchnęła. Matka próbowała dodać wybranemu przez córkę sposobowi na życie odrobinę romantyzmu i dostojeństwa.

- Nie jestem poszukiwaczką przygód - zaprotestowała Annah. - Będę misjonarką. Eleanor potrząsnęła głową.

- Nie powinnam zostawiać tych listów. Żałuję, że ich nie spaliłam.

Annah odwróciła się, mając nadzieję, że uda jej się powstrzymać falę łez i oskarżeń. Na próżno...

81

Wyglądało na to, że ani pani Wadę, ani siostra Barbara nie dostrzegły niczego nadzwyczajnego w walizce Annah. O wiele bardziej interesowała je starannie spakowana garderoba.

Siostra Barbara wyjęła spódnicę, przy okazji rozrzucając po podłodze chusteczki higieniczne.

- Dobry materiał - pochwaliła. - Nie będzie na nim widać potu.

Obejrzała brzeg, by sprawdzić, czy da się podłużyć. Następnie znalazła uniformy Annah - trzy całkiem nowe, starannie wyprasowane białe kitle i małe czepki, które świadczą jedynie o tym, że ich właścicielka jest wykwalifikowaną pielęgniarką.

- Wszystko jest podpisane? - dopytywała się siostra Barbara. Annah przytaknęła.

- To dobrze.

Pani Wadę zmarszczyła czoło, gdy zobaczyła książkę w skórzanej oprawie. Jeszcze jeden prezent Eleanor.

- Isaak Dinesen, Pożegnanie z Afryką. Potrząsnęła głową i położyła książkę na kupce rzeczy nieodpowiednich albo niepotrzebnych w Langali.

- W bibliotece Camngtonów znajdzie pani mnóstwo książek do czytania.

Annah spuściła głowę, rozdarta między wzruszeniem z powodu troskliwości obu pań a konsternacją wywołaną faktem, że ktoś grzebie w jej rzeczach. Przypomniała sobie, co Eliza pisała o konieczności pokonywania swoich uczuć i godzenia się z sytuacją, w jakiej człowiek się znalazł. Ważne, by pamiętać - upominała - że wszystko służy jakiemuś celowi. Wyrabia lepszy, silniejszy charakter.

Annah spojrzała na swoje mocno zaciśnięte pięści. Niemal słyszała spokojny, cichy głos przemawiający w jej wnętrzu.

„Zaczynamy”.

Przemianę, odrzucanie wszystkiego, co zbędne.

Im wcześniej zaczniesz, tym szybciej nastąpi przemiana - stanie się prostsza, czystsza. Użyteczniejsza. Zaprawiona w bojach...

82

Annah uśmiechnęła się i kiwnęła głową, gdy panie odłożyły na bok jedną z koronkowych bluzeczek Eleanor. Potem siostra Barbara wyjęła z dna walizki różową kurtkę.

- To dość... śmiało - powiedziała z powątpiewaniem.

- Będzie przyciągać uwagę - zgodziła się pani Wadę. Annah próbowała spojrzeć na strój oczami obu pań. Niestety, widziała tylko to, co zobaczyła za pierwszym razem, gdy kurtka wisiała na wieszaku w sklepie. Wśród ponurych barw jesiennej kolekcji stanowiła jedyną wesołą plamę - ostry róż przypominał zachód słońca.

- Lubię ją - powiedziała Annah. - Chcę ją zabrać.

Siostra Barbara i pani Wadę przyglądały się jej w milczeniu.

- Specjalnie kupiłam ją na tę okazję - wyjaśniła Annah. - Mieszkanki Czarnego Łądu lubią zdecydowane kolory. Myślałam...

- Wielkie nieba! - pani Wadę potrząsnęła głową. - Nie ma potrzeby upodabniania się do Afrykańczyków, moja droga. Nie może pani tego robić. Ma pani... nieodpowiednią karnację.

Zamilkła, jakby zaskoczyły ją własne słowa. Obie z siostrą Barbarą obserwowały, jak Annah składa kurtkę i wkłada ją z powrotem do walizki.

- Po prostu proszę pamiętać - powiedziała siostra Barbara - że w przypadku jakichkolwiek wątpliwości zawsze może się pani zwrócić do pani Camngton. Proszę

skorzystać z jej rad, a nie popełni pani błędu. - Spojrzała Annah w oczy. -1... niech Bóg panią błogosławi.

Pod wpływem spokojnego spojrzenia siostry Barbary Annah poczuła, że robi jej się ciepło na sercu. Odżyło wspomnienie Elizy. Obraz starszej pani, która prowadziła, kierowała i pomagała. Annah poczuła, że wszystko się ułoży. Że tam, w Langali, wcale nie będzie sama. Będzie z nią Bóg. I pani Carrington. Annah spojrzała na zamkniętą już walizkę, gotową do następnej podróży. Pora pogodzić się ze zmianą planów - powiedziała sobie - przestać kurczowo trzymać się marzeń. Eliza została wychowana tak, by sprostać wymaganiom. Annah również.

83

W pociągu jadącym na zachód nie było wagonu pierwszej klasy. Annah siedziała na twardej ławce, a jej twarz owiewał gorący wiatr, który wpadał przez pozbawione osłon okna. W ciężkim powietrzu unosił się zapach palonego węgla. Na skórze i ubraniu Annah leżała sadza - nie urocze kropeczki, które trafiały jej się poprzedniego dnia, ale ciemna, gruba warstwa. Kobieta próbowała usunąć brud, ale sadza wymieszana z potem zostawiała tłuste, czarne smugi.

Na początku podróży w przedziale Annah jechali inni pasażerowie. W Dodomie wraz z nią wsiadła grupka Afrykańczyków w zniszczonych zachodnich ubraniach. Nadzieje na poćwiczenie suahili pry snęły, gdy na jej pozdrowienie odpowiedzieli w jakimś miejscowym narzeczu. Kilka przystanków dalej opuścili przedział. Potem miejsce obok zajęła stara czarnoskóra niania. Po wymamrotaniu krótkiego angielskiego pozdrowienia kobieta zapadła w kamienny sen. Obudziła się po trzech godzinach, gdy pociąg wjeżdżał na małą stacyjkę w szczerym polu. Staruszka kiwnęła głową na pożegnanie i wysiadła. Potem pojawiło się i zniknęło kilku pasażerów, ale na szczęście, gdy zapadła noc i nadeszła pora, by na siedząco i w podmuchach wiatru trochę się przespać, Annah miała cały przedział dla siebie. Czuli się pewniej, niż gdyby przebywała w towarzystwie obcych ludzi. Mimo to prawie nie zmrużyła oka.

Nadszedł ranek. Słońce wznosiło się powoli nad horyzontem, oświetlając krainę, która zmieniała się powoli, ale wyraźnie. Środkowa równina opisywanej przez Elizę Afryki stopniowo zniknęła. Jej miejsce zajmowała górzysta kraina, poprzecinana bagnistymi dolinami i obszarami porośniętymi gęstym lasem. Wszędzie dominowała zieleń. Nie jasna i świeża, taka jak na wybrzeżu, ale bardziej soczysta, głębsza. Dosłownie wszędzie widać było wijące się pnącza i czubki drzew.

Suche, gorące powietrze stało się wspomnieniem. Na tych

84

terenach utrzymywała się wysoka wilgotność. Annah czuła, jak pot wydostaje się z jej porów i pokrywa całe ciało cienką warstewką. Była wdzięczna Jackowi Mastersowi za to, że w koszyku z jedzeniem dostarczył jej sześć butelek wody. Annah prawie nie tknęła bułeczek ani kanapek, za to wykorzystała już połowę cennego płynu.

Wygodnie usadowiła się na twardym siedzeniu. Potem zamknęła oczy, żeby dać im odetchnąć od nadmiaru pyłu i podmuchu wiatru. Po kilku minutach równomierne kołysanie zaczęło ją usypiać.

W pewnym momencie dotarły do niej słowa, które płynęły z korytarza. Początkowo wydawało jej się, że to dalszy ciąg snu, potem jednak się obudziła.

- Łowiłem ryby w Yakanyaru. Na północ stąd, w pobliżu granicy z Rwandą.

Mężczyzna mówił po angielsku, z amerykańskim akcentem. Słysząc go było mimo łoskotu kół.

- Ryb jest tam pod dostatkiem. Niestety, pływały tam też ludzkie ciała. Niemowląt, dzieci, kobiet, mężczyzn. Afrykańczyków...

Annah odwróciła się w stronę drzwi. Z korytarza sączyła się cienka smużka błękitnawego dymu papierosowego.

- Niektórzy z nich byli okaleczeni. Nie mieli rąk, oczu... Przeróżające słowa nie przestawały płynąć.

- Musiano zmasakrować całą wioskę. Wszystkich cholernych mieszkańców.

Ktoś mruknął coś w odpowiedzi.

- Nazywają to niepodległością - ciągnął Amerykanin. - Najpierw mieliśmy rzeź w Kongu. Teraz Rwandyjczycy ruszyli jedni na drugich! - Rozległ się krótki, ponury śmiech. - To mi bardziej wygląda na prawo dżungli!

Annah zamknęła oczy i wyobraziła sobie czarne ciała, które wynurzały się z wirów szerokiej rzeki. Potem gdzieś blisko rozległy się kroki. Uniosła głowę i zobaczyła pulchnego mężczyznę o jasnej skórze, wciskającego na półkę zniszczony plecak. Usiadł naprzeciwko niej.

85

Patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o scenie, którą właśnie opisał. Mężczyzna rozparł się na siedzeniu i wyciągnął nogi.

- Nazywam się Dick Peterson.

- Dzień dobry - powiedziała Annah uprzejmym, ale chłodnym tonem.

- Jest pani z misji? - domyślił się.

- Tak - odparła Annah.

- Kim pani jest? - W błękitnych oczach Dicka Petersona pojawiło się delikatne szyderstwo. - Pielęgniarką czy nauczycielką? A może żoną?

- Pielęgniarką - odparła.

Odwróciła się i zaczęła przyglądać się krajobrazowi. Chciała, żeby Amerykanin zostawił jaw spokoju. Nie potrafiła oddzielić go od ponurej historii. Wydawał jej się zbrukany.

Dziewczyna przysunęła się bliżej okna. Sięgnęła do torebki po książkę. Był to należący do Eleanor egzemplarz Pożegnania z Afryką. Annah wsunęła go do bocznej kieszeni, gdy siostra Barbara nie patrzyła. Otworzyła tomik w przypadkowym miejscu i udawała, że czyta.

Czas mijał powoli. Annah próbowała zasnąć, ale koszmarne obrazy, które opisał mężczyzna, wracały jak zmora. Ucieszyła się, gdy pociąg zaczął zwalniać, a Amerykanin sięgnął po swój bagaż. Może ponure myśli znikną wraz z nim?

Stacyjka była mała, ale ruchliwa. Tragarze czekali z drewnianymi wózkami. Stała tu również budka z jedzeniem i piciem. Annah z utęsknieniem spojrzała na reklamę coca-coli. Wyobraziła sobie napój - zimny, czarny i szczypiący w język.

Amerykanin wyszedł bez słowa. Annah wyglądała przez okno i obserwowała, jak mężczyzna się oddala. Zauważyła, że wysiada wielu pasażerów. Patrzyła z rosnącym zaniepokojeniem. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy oprócz niej uważają, iż lepiej

opuścić pociąg tutaj. Niewiele brakowało, a sama również zebrałaby swoje bagaże i przyłączyła się do powszechnego exodusu.

Gdy w końcu lokomotywa gwizdnęła i pociąg ruszył ze sta

86

cji, Annah poczuła ulgę. Teraz nie mogła już nic zrobić, jedynie siedzieć nieruchomo i czekać.

Pierwsza ciemność nastąpiła tuż po dwunastej w południe. Pociąg bez ostrzeżenia zanurzył się w czymś, co wyglądało na tunel. Ale mrok nie był całkowity, a w przydymionym świetle majaczyły gałęzie i pnącza. Jechali przez gęsty las.

Prawdziwa dżungla - powiedziała sobie Annah. Jak w Księdze dżungli. Próbowła sobie wyobrazić małego chłopca, Mowglię, huśtającego się wśród lian, jakby łatwiej jej było pogodzić się z panującą na zewnątrz ciemnością, kojarząc ją z opowieściami z dzieciństwa. Tylko że tu nie było kolorowych ptaków ani ucinających sobie pogawędki małp. Drzewa stały w całkowitej ciszy i napierały na tory.

Ciemność od czasu do czasu się rozjaśniała, a las robił się rzadszy. Na chwilę pojawiało się niebo, wyraźne i błękitne jak zwykle, po czym znikało, zasłonięte przez dżunglę.

Na jednym z bardziej odsłoniętych obszarów pociąg zaczął zwalniać. Annah wychyliła się przez okno. Oczy zasły jej łzami, gdy próbowała zobaczyć coś pod wiatr. W oddali ujrzała kilka stożkowatych dachów, przykrytych trawiastą strzechą. Widok okrągłych domostw wywołał w niej uczucie żalu. Ugo-go, ludzie z plemienia Elizy, Afrykańczycy, wśród których zawsze chciała pracować jej siostrzenica, mieszkali w długich, niskich domach z płaskimi dachami.

Annah wzięła głęboki wdech i poczuła w ustach sadzę. Jeśli dobrze obliczyła, to powinien być siódmy przystanek od Dodo-my. Koniec linii prowadzącej na zachód. Murchanza.

Annah stała obok pociągu, twarzą do pokrytej złuszcządzającą się farbą ściany starej drewnianej budy. Zakładała, że to kasa biletowa, chociaż chyba nie używano jej od lat. Podobnie jak cała reszta barak był zniszczony i pusty. Właściwie nie dostrzegła tu żadnej stacji, żadnego peronu, nawet oczyszczonej ziemi obok torów. Co gorsza, żadnego znaku świadczącego o tym, że gdzieś w pobliżu jest jakaś osada. Annah przypuszczała, że Murchanza to wcale nie stacja końcowa,

87

tylko miejsce, w którym skończył się zapas podkładów kolejowych.

Była jedyną osobą, która wysiadła z pociągu. Maszynista zaproponował, że pomoże jej wynieść bagaże, podczas gdy konduktor i jeszcze jeden mężczyzna będą uzupełniali zapasy wody i drewna.

- Ktoś na panią czeka? - dopytywał się maszynista, starając się jak najlepiej mówić po angielsku.

Rozejrzał się po stacji. Wszędzie było pusto. Obok zbiornika z wodą siedziała kobieta sprzedająca banany. W pobliżu przycupnął żebrak, spoglądając niewidzącym wzrokiem w

niebo. Stał nad nim mały chłopiec w poszarpanym podkoszulku. Przesłał przybyłej pogodnej spojrzenie.

- Tak - odparła, uśmiechając się odważnie. - Dziękuję.

Trzej mężczyźni pomachali jej na pożegnanie i wrócili do uzupełniania zapasów lokomotywy. Potem w obłokach pary pociąg wycofał się ze stacji, ciągnąc za sobą wagony. Wracał na wschód. Wreszcie zniknął w oddali...

Na ziemię kładły się popołudniowe cienie. Annah, czekając, obserwowała swój powoli wydłużający się kontur. Doktor Carrington miał wyjechać po nią na pociąg, wiedziała jednak, że z wielu powodów mógł się spóźnić. W końcu to Afryka. Nie była zaniepokojona. Wykorzystując resztkę wody z butelki, przemyła chusteczką twarz. Potem rozpuściła długie, rude włosy, nie zważając na spojrzenia ludzi. Dobrze je wyszczotkowała, przy okazji nie tylko rozplątując, lecz również usuwając z nich drobinki sadzy. Potem upięła zgrabny kok. Tyle mogła zrobić, by przygotować się na spotkanie z nowym kolegą z pracy.

Chociaż nikt nie powiedział jej, jak wyglądał doktor Carrington, zdążyła już go sobie wyobrazić. Miał siwe włosy, okulary w złotych oprawkach i starannie przyciętą kozią bródkę. Zdecydowane, szlachetne rysy twarzy. Dopiero po dobrej chwili zdała sobie sprawę, czyją twarz ma przed oczami. Doktora Alberta Schweitzera, legendarnego lekarza pioniera, a jednocześnie myśliciela, którego zdjęcie pojawiała się w wielu podręcz-

88

nikach. Uśmiechnęła się. Prawdziwy doktor Carrington prawdopodobnie będzie miał niezgrabną sylwetkę i przerzedzone

włosy.

Obserwowała kobietę sprzedającą banany, zastanawiając się, czy nie podejść i nie zadać kilku pytań dotyczących Murchan-zy. Może w pobliżu jest jakaś wioska. Telegraf. Nawet hotel. To wydawało się mało prawdopodobne, ale Annah czuła, że pora zacząć się zastanawiać, co zrobić, gdyby doktor Carrington w ogóle się nie pojawił. Sprzedawczyni bananów wyglądała na biedną. Ubiór, który miała na sobie, był niemal całkiem wytarty. Przypuszczalnie Murzynka posługiwała się tylko miejscowym dialektem. Suahili nic by nie dało.

Annah bardziej wyczuła, niż usłyszała, że ktoś się do niej zbliża. Odgłos kroków tłumiał pokryty pyłem grunt.

Odwracając się, usłyszała:

- Przepraszam...

Głos nagle ucichł. Mężczyzna patrzył w osłupieniu.

Był to młody, wysoki człowiek o lekko opalanej skórze. Jasne włosy spadały mu na czoło, zasłaniając błękitne, wyraźne i głębokie oczy.

Mężczyzna szybko rozejrzał się po stacji, jakby przez chwilę się zastanawiał, czy nie czeka na niego ktoś inny. Wtedy Annah zdała sobie sprawę, że podczas gdy ona spodziewała się doktora Schweitzera, doktor Carrington musiał nastawić się na następną siostrę Barbarę. Na myśl o obopólnym zaskoczeniu zaczęła się śmiać. Nie mogła się powstrzymać. Tak duże były rozbieżności.

Przez kilka sekund doktor Carrington po prostu na nią patrzył. Ona natomiast pochylała głowę, ukrywając twarz i próbując się opanować. Długi kosmyk rudych włosów wymknął się z koka i opadł do przodu.

- Przepraszam - wydukała zasapana. - Po prostu... spodziewałam się...

- Wiem, spóźniłem się. Naprawdę przepraszam - powiedział doktor Carrington.

89

Annah spojrzała na niego. Pochylił się niezgrabnie nad jej bagażem.

- Miałem spory zapas czasu - ciągnął - ale na drogę upadło drzewo. Straciłem kilka godzin. W każdym razie... - Wyprostował się i wyciągnął rękę. - ... Witamy, siostrzo Mason. Witamy w Tanganice Zachodniej.

Uśmiechnął się. Był to chłopięcy uśmiech, promienny, rozjaśniający całą twarz.

- Dziękuję.

Odpowiedziała uśmiechem i odgarnęła do tyłu zbłąkany kosmyk włosów. Ujęła wyciągniętą dłoń, doskonale zdając sobie sprawę, że ma lepkie ręce. Ale skóra doktora była tak samo wilgotna, a na dodatek szorstka od pyłu.

- Bardzo się cieszę, że tu jestem.

Uśmiech zniknął z twarzy doktora równie szybko, jak się na niej pojawił.

- Naprawdę? - spytał. - Biskup ostrzegł mnie, że bardzo zależało pani na pracy w Dodomie.

Annah otworzyła usta, szukając słów. Nie mogła się przyznać, że właśnie skłamała. Będzie musiała zrobić to jeszcze raz.

- Och, rzeczywiście planowałam podjąć pracę w Dodomie - wyjaśniła. - Ale biskup opowiedział mi o Langali... o panu... pańskiej żonie... i pańskiej pracy. Uznałam, że to musi być cudowne miejsce. Więc zmieniłam zdanie. Zresztą dobro misji zawsze jest ważniejsze od indywidualnych planów.

Zakończyła swoją przemowę i zamilkła, czekając na aprobatę.

Doktor Carrington przytaknął.

- No cóż, z ulgą słucham pani słów. To miejsce bardzo odosobnione. Na tym terenie będziemy jedyną trójką białych... my i pani. Oczekujemy od pani pełnego zaangażowania.

Annah spojrzała mu w oczy. Ona też na to liczyła. Na pełne zaangażowanie.

- Oczywiście-zapewniła.

Doktor Carrington machnął ręką w stronę dalekiego końca stacji.

90

- Wycofam land-rovera i załaduję pani rzeczy. Annah obserwowała, jak się oddalał. W jego sposobie poruszania się wyczuwała pewne zniecierpliwienie i doskonale ukrywaną lekkomyślność. Kiedy się odwróciła, stanęła oko w oko ze sprzedawczynią bananów. Na twarzy Murzynki pojawiły się zmarszczki i promienny, porozumiewawczy uśmiech.

Droga przez dżunglę była tak wąska, że land-rover ledwo się na niej mieścił, a posuwanie się do przodu przypominało nieustanną walkę. W powietrzu rozbrzmiewało mnóstwo dźwięków: warkot silnika, wibracje podwozia, gdy opony z trudem pokonywały głębokie wyboje, i uderzenia gałęzi o karoserię. Boczna szyba była zamknięta, ale Annah musiała bardzo się pilnować, żeby każdorazowo nie uchylać się przed zielonymi konarami.

Doktor Carrington trzymał mocno kierownicę i nie odrywał wzroku od drogi. Nie próbował rozmawiać z pasażerką. Panująca w samochodzie cisza trochę ją niepokoiła. Koniec końców postanowiła poruszyć sprawę wydarzeń po drugiej stronie granicy, próbując mówić rzeczowo i jak osoba dobrze poinformowana.

Doktor Carrington słuchał, jak powtarzała wiadomości uzyskane od Amerykanina. Przytaknął ponuro.

- Rzeczywiście w tym regionie jest niespokojnie, odkąd opuścili go Belgowie. Ale należało się tego spodziewać. Wprowadzili tu straszny reżim, wykorzystywali ludzi. - Mówił z pasją, nie odrywając wzroku od drogi. - W ogóle nie przygotowali tubylców do przejęcia władzy. Po prostu wyjechali, przy okazji zabierając, co się dało.

Annah zerknęła w bok.

- Tanganika też ma odzyskać niepodległość, prawda?

- Afrykańczycy już przejęli sprawy wewnętrzne - wyjaśnił doktor Carrington. - Pod koniec roku nastąpi przekazanie reszty władzy. Nastanie republika. Ale proszę się nie martwić, tutaj jest zupełnie inaczej. Historia obu krajów bardzo się od siebie różni.

91

Annah przytaknęła. Wypowiedziane z przekonaniem słowa działały uspokajająco.

Mniej więcej po godzinie las zaczął się przerzedzać. Droga zrobiła się szersza, a rozciągający się nad nią baldachim rozdzielił się, przepuszczając światło. Annah poczuła się lepiej. Uchyliła boczną szybę, wpuszczając do wnętrza zapach świeżej zieleni.

- Proszę zobaczyć! - zawołała, zauważywszy w zaroślach małą antylopę. - Czy to nie dik-dik?

Kierowca zerknął we wskazanym kierunku, potem szybko zatrzymał land-rovera.

- Niech się pani nie rusza - szepnął, gdy auto zamarło w bezruchu.

Tego nie trzeba było jej mówić. Nie odrywała wzroku od wspaniałego zwierzęcia i ani drgnęła, jakby oczekiwała strachu i walki.

- Jest piękna - powiedziała cichutko.

Nastąpiła chwila spokoju. Potem doktor Carrington sięgnął na tylne siedzenie i wyjął strzelbę. Szybko ją załadował, wydając przy okazji delikatny dźwięk, który w pełnej napięcia ciszy sprawiał wrażenie bardzo głośnego. Pochyliwszy się na stronę pasażerki, wycelował przez jej okno.

Annah wcisnęła się w siedzenie. Rozległ się trzask. Kula wsunęła się na miejsce. Potem nastąpił strzał.

Antylopa drgnęła. Cieniutkie kolana ugięły się. Głowa poleciała do przodu.

Oniemiała i zaszokowana kobieta obserwowała, jak doktor zabiera zwierzę. Ruszył z powrotem z małym tobołkiem. Wyciągnął martwą antylopę w stronę Annah, jak mały chłopiec chwalcący się zdobyczą. Kobieta zmusiła się do uśmiechu.

- Są dobre... nadają się do jedzenia? - spytała. Mężczyzna przytaknął.

- Upieczone, stanowią istic królewski poczęstunek. Annah wyciągnęła rękę przez okno. Musnęła jedwabistą skórę. Przez ciało dik-dik przebiegł dreszcz, jakby ludzki dotyk przywrócił zwierzę do życia. Antylopa uniosła głowę

92

i spojrzała na kobietę smutnymi, jasnymi oczami. Nagle zaczęła walczyć, odrzucając do tyłu głowę. Trysnęła różowa krew. Annah sapnęła z przerażenia.

Doktor Carrington szybko cofnął się ze zwierzęciem.

- Przepraszam. Najmocniej przepraszam - powiedział. - Myślałem, że nie żyje.

Podszedł do tylnej części land-rovera.

Annah patrzyła prosto przed siebie, próbując się uspokoić. Wiedziała, że wszyscy misjonarze polują. W końcu w placówkach misyjnych nie było rzeźników. Będzie musiała się przyzwyczaić do patrzenia, jak ktoś zabija zwierzę. Na razie jednak nie mogła

zapomnieć wdzięku i piękna maleńkiej antylopy. Rozdzierającego spojrzenia niewielkich oczu, okolonych ciemnymi rzęsami.

Jechali w pełnym napięciu, nieznośnym milczeniu. Sam strzał był właściwie mało znaczącym epizodem, ale zburzył ich spokój, a każde z nich w jakiś sposób się odkryło.

Gdy doktor Carrington w końcu się odezwał, mówił nienaturalnie głośno.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Annah spojrzała na gęsty las, wciąż ciągnący się wzdłuż drogi. Wydawało się niemożliwe, żeby tu istniała jakaś placówka - szpital, kościół, wioska. Potem nagle land-rover skręcił i wyjechał z dżungli.

Annah wyprostowała się na siedzeniu. Z zaskoczenia zaokrągliły jej się oczy. Mieli przed sobą szeroką dolinę - obszar niskich zarośli i pastwisk, z trzech stron otoczony przez dżunglę, z czwartej odgradzony górami. Przypominał ukryte królestwo. Miejsce jak z obrazka, z łagodnymi, zielonymi wzgórzami, mnóstwem drzew i płynącym w środku strumieniem.

- To Langali - oznajmił doktor Carrington z nutką dumy w głosie.

Wskazał na kilka pobielonych, krytych strzechą budynków, stojących po jednej stronie strumienia. Oczom Annah ukazały się długie, niskie domki, w których znajdowały się sale szpitalne. I wzniesiony nieco na uboczu dom misyjny.

93

A także szkoła. I kościół z krzyżem na dachu. Ta ostatnia budowla stała na końcu drogi, jakby stanowiła blokadę. Dziwne umiejscowienie - pomyślała, ale już po chwili jej wzrok padł na kępkę wysokich drzew na środku ogrodzonego terenu. Nawet z tej odległości wyglądały dziwnie znajomo.

- To... -zaczęła.

Doktor Carrington przytaknął.

- Eukaliptusy. Zasadzone przez siostrę Barbarę. Wzrok Annah przesunął się po całym terenie. Na zboczu za szpitalem leżała afrykańska wioska. Ona również wyglądała na czystą i dobrze utrzymaną. Bydło stało w ogrodzonych ciemnymi krzewami zagrodach, a nad całą okolicą unosił się dym ognisk, na których gotowano jedzenie. Za wioską widać było szachownicę shamba, ogródków i pól uprawnych.

Patrząc na to wszystko, wyczuwało się spokój i porządek. Placówka wyglądała jak fatamorgana, cywilizowany świat otoczony ze wszystkich stron dziczą i dżunglą.

- To zdumiewające - przyznała Annah, odwracając się do doktora Carringtona i zapominając o niezręcznej sytuacji. - Dlaczego wybrano to miejsce? Ze względu na dolinę?

- Nie jestem pewien - odparł. - Chyba decydującą rolę odegrały warunki geologiczne. Poza tym wykarczowano tu kawał dżungli. - Uśmiechnął się. - Powoli się rozprzestrzeniamy.

Dalej jechali bez słowa. Zapadał zmierzch. Ostatnie promienie słońca padały z ukosa, rzucając długie cienie i obrzeżając każdą powierzchnię - liście, gałęzie, dachy i skały - żółta-wozłocistym blaskiem. To był wspaniały widok. Przed nimi czekały białe budyneczki. Niewielki mostek łączył brzegi strumienia. Bramy stały otwarte. Zbierał się tłum Afrykańczyków, mieszkańców Langali, chcących powitać nową pielęgniarkę z Australii.

Annah wysiadła z land-rovera. Błyskawicznie otoczyła ją chmara dzieciaków. W półmroku wszystkie wyglądały niemal tak samo. Miały krótko ostrzyżone, kędzierzawe, czarne włosy, pasujące do barwy skóry. Malcy byli jednakowo ubrani -

94

chłopcy w jasnoniebieskie koszule i spodnie, dziewczynki w skromne sukieneczki. Za nimi stali dorośli, podobnie wyglądający w zachodnich ubraniach. Ktoś wykrzyknął jakieś powitanie po angielsku czy w suahili, reszta po prostu się uśmiechała. Wszyscy - dorośli i dzieci - jak zauroczeni patrzyli na rude włosy Annah.

Mały chłopczyk odważnie wyciągnął rękę i dotknął dłoni białej kobiety. Pochyliła się, by się z nim przywitać. W tłumie rozległ się pomruk aprobaty. Kiedy Annah ponownie uniosła głowę, zauważyła, że doktor Carrington wyjmując z samochodu martwą antylozę. Starając się nie wywoływać zbytniego zainteresowania, szybko przekazał zwierzę czarnoskóremu mężczyźnie, który stał w pobliżu. Ostatecznie jednak antylopa trafiła do rąk dziecka, które japo prostu porwało. Doktor Carrington wyglądał tak, jakby poczuł ulgę, pozbywszy się łupu. Wycierając ręce o spodnie, podszedł do Annah. Nagle zamarł w bezruchu, wpatrując się w jej sukienkę. Kobieta zerknęła w dół. Ujrzała ciemnoczerwone smugi, wyraźnie odcinające się od jasnego materiału. Ślad po przedśmiertnych drgawkach antylopy. Szybko ukryła plamy dłonią. Przez krótką chwilę ona i lekarz patrzyli na siebie, potem mężczyzna się odwrócił.

- Chciałbym, żeby poznała pani mojego asystenta - powiedział szybko.

Skinął na wysokiego, chudego jak szczapa Murzyna w spodniach i koszuli koloru khaki.

- To Staniey Njima. Stanieyu, przedstawiam ci naszą nową przełożoną pielęgniarek, siostrę Mason.

Staniey uśmiechnął się i uprzejmie skinął głową. Annah od razu poczuła, że coś ją do niego ciągnie. Na jego twarzy malowały się życzliwość i dostojeństwo. Uścisk dłoni był pewny i ciepły.

- Witamy w naszej wiosce. - Mówił po angielsku z wyraźnym afrykańskim akcentem.
- Siostro.

Siostro. To słowo zostało powiedziane takim tonem, jakby asystent doktora Carringtona przyznawał Annah miejsce w swojej rodzinie, a nie używał po prostu stosownego tytułu.

95

Tłum nagle się poruszył i rozdzielił. W przejściu pojawiła się jakaś postać. Biała kobieta parła energicznie do przodu, a w jej oczach odbijał się złocisty blask.

- Witamy. Witamy. Nareszcie. Wyprzedzał ją radosny i przyjacielski głos.

- Musi być pani bardzo zmęczona.

- Sarah... - W głosie doktora Carringtona słychać było ostrzeżenie, które wychwyciła nawet Annah.

Pani Carrington dotarła do miejsca, z którego mogła już zobaczyć przybysza. Jej oczy lekko się zaokrągliły, na ułamek sekundy się zawahała. Wymieniła z mężem krótkie spojrzenie. Potem odzyskała rezon.

- Pociąg się spóźnił? To się często zdarza.

- To siostra Mason - przedstawił ją niepotrzebnie doktor Carrington.

- Wiem - powiedziała jego żona. - Musi być pani bardzo wyczerpana.

Zatrzymała się, szybko zmierzyła Annah od stóp do głów i z powrotem. Annah zrobiła to samo. Pani Carrington okazała się młoda, smukła i ładna. Jednocześnie stanowiła, jak sugerował biskup, wzór żony misjonarza. Miała na sobie skromną, gładką sukienkę i pełne buty. Długie, ciemne włosy czesała z przedziałkiem na środku i splatała z tyłu w warkocz. W jej szczerzej twarzy odznaczały się duże, wyraziste oczy, naturalnie czerwone wargi i różowe policzki. Wyglądała zdrowo i czerstwo. Była bardzo schludna.

Poprowadziła Annah przez ogrodzony teren w kierunku domu misyjnego, sporego, kwadratowego budynku z dużą werandą z przodu. Odmieciona, obłożona kamieniami ścieżka prowadziła do betonowych schodów. Wszystko było tu symetryczne - ustawienie dwóch krzeseł na werandzie i doniczek z kwiatami. Nawet zaciągnięte do połowy zasłony wydawały się zachowywać symetrię. Tuż przed schodami pani Carrington skręciła w lewo, na ścieżkę prowadzącą wzdłuż frontowej fasady domu.

- Najpierw zaprowadzę panią do pani domku! - zawołała

96

przez ramię. - Jestem pewna, że będzie się pani chciała odświeżyć, nim siądziemy do stołu. Chłopcy przyniosą bagaże.

- Dziękuję-powiedziała Annah.

Szła ścieżką za panią Carrington. Droga skręcała przy rogu domu i prowadziła między wysepkami trawy do drewnianej chaty.

- Posiłki będzie pani jadać w domu misyjnym - wyjaśniła pani Carrington. - Tutaj będzie pani spała.

Otworzyła drzwi obite siatką, chroniącą przez muchami, i weszła do środka, by zapalić światło. Potem skinęła na Annah.

Pokój oświetlony był elektryczną żarówką, osłoniętą różowym abażurem. Wyposażenie stanowiły: wąskie łóżko z białą, bawełnianą narzutą i okrągłą moskitierą, biblioteczka, stół, krzesło i szafa. Tylko to, co niezbędne. Pokój przypominał celę zakonnicy. Ale był w nim jeden barwny akcent. Na podłodze przy drzwiach leżało coś o bliżej nieokreślonym kształcie. Całość przypominała gigantyczny, patchworkowy ochraniacz na dzbanek z herbatą.

- To ciepła woda - wyjaśniła pani Carrington. - Barbara i ja uszyliśmy dla pani osłonę, kiedy dowiedziałyśmy się, że biskup planuje zmianę.

Podeszła i uniosła futerał. Pod nim znajdowała się szesna-stolitrowa puszka bez przykrycia. Niegdyś był to pojemnik na naftę albo benzynę, teraz zawierał wodę.

- Chłopcy co wieczór naniosą ciepłej wody - ciągnęła pani Carrington. - Jeżeli nałoży się ten ochraniacz, rano będzie jeszcze ciepła.

Przez chwilę milczała, podziwiając własne dzieło.

- Dziękuję, pani Carrington - powiedziała Annah. Była wzruszona tym gestem, chociaż wiedziała, że nie miał nic wspólnego z nią. Obie panie potraktowały go jako „powitanie pielęgniarki”, niezależnie od tego, kto to będzie.

- Mów do mnie Sarah, a do mojego męża Michael. -W tych słowach było więcej zdecydowania niż ciepła. - W końcu będziemy prawie rodziną. Nie ma tu nikogo więcej.

97

Annah spojrzała na Sarah. Trudno było powiedzieć, co kryje się za tymi słowami.

W tym momencie pojawiło się dwóch młodych mężczyzn, uginających się pod bagażem Annah. Wyglądali jak duże, niezgrabne zółwie. Annah nie zdołała powstrzymać uśmiechu, kiedy wpadli na siebie, próbując przejść tyłem przez obite siatką drzwi.

- Ostrożnie, chłopcy! - zawołała Sarah. Potem odwróciła się do Annah.

- Teraz zostawię cię samą, żebyś mogła się umyć. Jak będziesz gotowa, przyjdź do domu misyjnego. Nasza gosposia, Ordena, ma ciepłą zupę.

Zatrzymała się w drzwiach przy wiszącej latarence.

- Generator pracuje do wpół do dziewiątej. Potem trzeba korzystać z innego oświetlenia. Lepiej zabierz ją, idąc. Robimy wszystko, żeby nie trafiały tu przedmioty z domu misyjnego.

Annah przytaknęła. Patrzyła, jak Sarah się oddala, po czym ponownie omiotła wzrokiem pokój, który miał być jej domem. Tym razem dostrzegła coś nowego. Że nie ma ani śladu po poprzedniej lokatorce. Żadnych zdjęć, haftowanych serwetek, suszonych kwiatów. Nic.

Annah otworzyła torebkę i wyjęła złożoną kartkę. Ostrożnie ją wyprostowała. Była to jej misyjna „instrukcja”, urzędowy dokument, który otrzymała wraz ze skierowaniem na placówkę. Z chwilą wręczenia „instrukcji” wszystko się zmieniło. Panna Annah Mackay Mason została pełnoprawną pracownicą misji w Tanganice.

Położyła „instrukcję” na małym stoliku. W anonimowym pokoiku kartka stanowiła symbol. Była jak powiewająca nad pałacem królowej flaga brytyjska, która mówi: „Ona tu jest. Jest w domu”.

Annah rozejrzała się po wnętrzu chaty. Potem jej wzrok pobiegł za małe okienko, wychodzące na teren misji. Widziała jeden z eukaliptusów siostry Barbary. Miał rozszczepiony pień. Jakimś cudem, widząc go w tym miejscu, Annah nie wierzyła, że to jej dom. Sama placówka wyglądała jednak obiecująco.

98

Carrington, \ nastawionych przyjaźnie. Mit-^ sprawiali wrażenie lud^nieć o pobliskiej dżungli, cz^° to Annah nie „^a Znajdującej się nie tak daleko stąd ^eJ sie na ^raju doliny. I ‘ła czoło. Wiedziała, że będzie m^^cy z Kwandą. Zmarsz^i, było jej placówką, miejscem, j^iała się przyzwyczaić. LaA ^a dobre i na złe. Niczym mai..01^ zostało dla niej wybrać ^eństwo...

6

Annah v^ na skórze dotyk wy-krochmalone ła świeży kite1 l POCZUĆ ię^a do piersi pielęgniarzki zegar §0 materiału- Następnie przy^yieczoru, kiedy wraz z Camngton Była ^odna. Poprzednieg^ia niewiele zdołała przełknąć. A^? Jadła ^lację, ze zmęc^ opięcie panujące podczas posiłku etytu nie zaostrzało również v gfole siedziało troje obcych lud^ „ ^a dziwna sytuacja-pr towarzystwo. Annah była szczęśliwych k)S skazał na swój^ ^o swojej chaty.

Michael ^ a’ gdy mogła w końcu wróc^ ^^ obserwując, jak Annah idzie yszedł na werandę i czekał ^gp wzrok, kiedy odważnie zan^° siebie- czuła na Plecach J^tlając sobie drogę przenośną ła^B sie w ciemność, oś^ ^ ze Michael jest odpowiedzią] ^enką. Pielęgniarzka wied^ ^ego należało opiekowanie się ny za JeJ bezpieczeństwo. D<^ nią, ponieważ nie miała żadne całym ^niostwem, łącznie ^y ojca - który by się o nią ^ ^ego mężczyzny - męż^ świadomością, że zupełnie obc082”^- ^wnie się czuła ^pje skrzydła, jakby należała do • Mężczyzna przyjął ją pod ^. ani jej mężem, ani bratem, ani o, §0 „odziny, chociaż nie by. ^ jej otuchy.

Poranne 'em- ^mniej ta myśl dodaf ^głę okienko. Nim skończyła się latł0 Pi''zesączało się przez, zmiękczyć sztywny materiał. Wy ubierać i czesać, pot zdąży^ i wzięła głęboki wdech. Było sya na zewnątrz, na słoń^gobie zieleń i unoszące się w p ^o i wilgotno. Wyobrazil gU. „Kietrzu zarodki. Paliwo dzu^

99

Gdy Annah szła w stronę domu misyjnego, tubylcy przerywali pracę i wyśpiewywali pozdrowienia.

- Jambo!

- Jambo, siostró.

- Habari.

Annah uśmiechała się w odpowiedzi. Ponownie zdała sobie sprawę, że wszystkie oczy skupione są na jej włosach. Przyszło jej na myśl, że siostra Barbara i Sarah były jedynymi białymi kobietami, jakie ci ludzie widzieli na oczy. Obie miały ciemne włosy, chociaż Barbara zaczynała siwieć.

Na werandzie domu misyjnego garstka kobiet łuskała fasolę. Gdy Annah weszła na schody, odsunęły się, robiąc jej przejście. Nie próbowały się do niej odzywać. Annah zastanawiała się, czy dlatego, że nie znają suahili, czy też zakładają, iż ona może mieć kłopoty z tym językiem.

- Widzę, że łuskacie fasolę - powiedziała, starannie kładąc akcenty w odpowiednich miejscach zdania.

Egzotyczna melodyka nadawała słowom liryczny rytm, dlatego miło było posługiwać się suahili.

Kobiety były zaskoczone. Słowa Annah sprawiły im przyjemność.

- Tak, fasolę - zgodziły się.

Baczenie obserwowały, jak Annah wchodzi do środka. Na stole stało tylko jedno nakrycie. Pod ładną serwetką czekała cukierniczka, dzbanek mleka i plastikowy woreczek z prażoną kukurydzą. O flakonik z karmazynowymi kwiatami geranium była oparta karteczka.

Dzień dobry. Zjedz śniadanie. Potem przyjdź do szpitala. Sarah.

Jedząc z miseczki dziwne płatki kukurydziane, Annah rozejrzała się po pomieszczeniu. Tak samo jak jej chata było skromnie umeblowane i bardzo czyste. Już poprzedniego wieczoru

100

zauważyła, że nie ma w nim zdjęć rodzinnych ani fotografii przedstawiających dom, co najczęściej można zobaczyć w placówkach misyjnych. Brakowało również bibelotów. Najważniejszym elementem był stojący pod ścianą stół. Honorowe miejsce zajmowała na nim obita zieloną skórą skrzynka. Adapter. Annah poczuła żal. Wszystkie płyty zostawiła w domu -albumy muzyki klasycznej i nowinki: Sandy Shaw, Peter, Paul and Mary. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, jaką muzykę lubią Carringtonowie, ale nie dostrzegła żadnej płyty.

Kiedy usiłowała wyłowić łyżką pływające kawałki prażonej kukurydzy, zerknęła na zasłony - jedyne piękne wyposażenie pokoju. Zostały uszyte z krzykliwego materiału z nadrukowanymi bumerangami, włócznieami, kudłatymi głowami ciemnoskórych aborygenów i miniaturowymi Ayers Rock. Przez chwilę zastanawiała się, czy to Sarah

wybrała ten materiał. A może dostała go w prezencie od jakiejś grupy kobiet z parafii w swoim rodzinnym mieście? Australia w pigułce dla misjonarzy w samym sercu Afryki...

Gdy Annah wyszła z powrotem na werandę, kobiet łuskających fasolę już nie było. Nie zostawiły ani jednej łupinki. Spojrzawszy na przeciwną stronę ogrodzonego terenu, zauważyła, że zebrał się tam tłumek pacjentów, którzy czekali na otwarcie ambulatorium. Afrykańczyków można było podzielić na dwie grupy: noszących zachodnią odzież, prawdopodobnie mieszkańców wioski misyjnej, i odzianych w tradycyjne stroje przybyszów z zewnątrz - mężczyźni i chłopcy mieli na sobie tkaniny gładkie lub w paski, kobiety - w wesołe wzory.

Kobiety i dzieci zbierały się z jednej strony. Owinięte w ki-tenge o kontrastowych wzorach i kolorach, odcinających się od hebanowej skóry, wyglądały jak stadko tropikalnych ptaków. Przed nimi stała jedyna jasnoskóra osoba w jednobarwnym stroju. Sarah.

- Siostró Mason!

Zobaczywszy zbliżającą się Annah, pani Carrington przerwała swoją mowę.

- Przyszedł na czas. Właśnie miałyśmy zamiar zaczynać.

101

Kobiety i dzieci odwróciły się, by obejrzeć przybyłą, Sarah przesunęła się na skraj tłumu i gestem ręki zachęciła Annah, by do niej podeszła.

Gdy stały obok siebie, Sarah wyjaśniła:

- Takie koncerty organizujemy raz w tygodniu.

Annah przytaknęła. Zaskoczyło ją słowo „koncert”, uznała jednak, że lepiej zrobi, nie okazując zdumienia. Poszła więc za przykładem Sarah i wpatrzyła się w kawałek ubitej ziemi przed tłumem. Po chwili na tę prowizoryczną scenę wyszła grupka kobiet w strojach obowiązujących w misji. Zaczęły po kolei odgrywać proste scenki, demonstrując podstawowe zasady higieny i żywienia. Było to skrzyżowanie sztuki jarmarcznej, podczas której publiczność wykrzykuje rady i ostrzeżenia, z poważnym przedstawieniem. Gdy aktorki odgrywały swoje role, Sarah szeptem opowiadała Annah, wskazując konkretne osoby z tłumu - matki, dzieci i niemowlęta - jak uratowano je przed niedożywieniem albo jakąś chorobą. Gdy scenki dobiegły końca, aktorki zachęciły zgromadzonych do wspólnego śpiewu. Pierwsza piosenka nosiła tytuł Matki gotują wodę, potem nastąpiła Historia biegunki. W afrykańskiej wersji Dziesięciu Murzynków dzieci zniknęły po kolei z powodu braku higieny, ostatnie padło ofiarą ludowej medycyny.

Słuchając i oglądając, Annah przyglądała się tłumowi. Kobiety wyglądały jak normalne Murzynki z buszu, ale ich dzieci były zdrowe i dobrze odżywione. Ani śladu sterczących brzuszków, suchej skóry czy wyblakłych, prostych włosów, świadczących o niedożywieniu. Niemowlęta były czyste, muszki nie zbierały się wokół oblepionych śluzem oczu i nosków. Wielu małych pacjentów przed wizytą w misji wyraźnie nasmarowano oliwą i ozdobiono paciorkami. Również ich matki dołożyły wszelkich starań, żeby ładniej wyglądać. Wiele z nich miało na ramionach drugi kawałek kitenge. Piersi odsłaniały tylko matki karmiące. Była to idealna scenka z podręcznika dla misjonarzy.

Annah zdawała sobie sprawę, że pani Carrington obserwuje jej twarz, czekając na reakcję.

- To... cudowne - powiedziała.

102

Nie musiała udawać. Nie wyobrażała sobie lepszej prezentacji pracy misyjnej.

- Klub Matek działa prawie od sześciu lat - oznajmiła Sarah z dumą. - Śmiertelność niemowląt spadła o siedemdziesiąt procent.

.Gdy przedstawienie dobiegło końca, tłum nadal siedział, jakby nie chciał pogodzić się z faktem, że niczego więcej już nie zobaczy. Sarah odciągnęła Annah na bok i zaproponowała, że oprowadzi ją po szpitalu.

- Zaczniemy od początku - oznajmiła, kierując się w stronę błękitnych drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem: „Izba przyjąć”.

Annah weszła za Sarah do małego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Rozejrzała się po pokoju, zaskoczona, że nie ma nigdzie szafek na kartoteki, a nawet biurka. Tylko krzesło i podstawa pod nogi.

- Tutaj myjemy pacjentów i przebieramy ich w szpitalne stroje - wyjaśniła Sarah. - Zazwyczaj musimy usunąć z nich grubą warstwę brudu. Często również kolorowej glinki. I miejscową biżuterię. Trzeba się jej pozbyć. Stanowi siedlisko zarazków. Czasami prowadzimy prawdziwą batalię, by przekonać pacjenta, że to konieczne.

Mówiąc to, pokonała całą długość pomieszczenia i podniosła z podłogi kawałek sznurka. Wzięła go ostrożnie w dwa palce i wrzuciła do przykrywanego kosza na śmieci.

- Są jeszcze talizmany przygotowane przez tutejszych szamanów i woreczki z ludowymi medykamentami. Trzeba je również odebrać. I spalić. - Zatrzymała się i spojrzała na Annah. - W Langali stawiamy sprawę jasno. Jeśli ludzie chcą skorzystać z naszej pomocy, powinni zerwać z dawnymi wierzeniami. Muszą dokonać wyboru.

Annah przytaknęła. To brzmiało rozsądnie. Nie można służyć dwóm panom.

Sarah przyznała, że słyszała o lekarzach misyjnych, którzy zgadzają się oddać łożysko krewnym, by zakopali je w chacie i nie narażali się duchom przodków. Niektórzy zachowują na-

103

wet organy usunięte podczas operacji. Z podobnych powodów. W Langali nie pozwala się na takie rzeczy. Michael stawia sprawę twardo. Wszystkie łożyska i organy są wrzucane do dołu. Sarah pokazała za okno, na drugą stronę terenu szpitalnego, gdzie nad stertką ziemi krążyła para sępów.

- Miejscowa starszyzna to chrześcijanie. Popierają nas w tych sprawach - skomentowała Sarah. - Sami uznali, że każdy, kogo przyłapie się na braniu udziału w plemiennych obrzędach, zostanie obłożony ekskomuniką, póki nie wyrazi skruchy. Ale w naszej wiosce nie mamy większych problemów. Jej mieszkańcy od kilku pokoleń są chrześcijanami. Natomiast sporo kłopotu sprawiają przybysze z zewnątrz. Ludzie, którzy przychodzą z innych wiosek albo gospodarstw rolnych.

Mówiąc to, Sarah przeprowadziła Annah przez kilka magazynów, biur i sal zabiegowych. Wszędzie w koło leżały szczotki, wiadra, butelki ze środkami dezynfekującymi, stopy czystej pościeli, kostki błękitnego mydła - wszystko w rękach uśmiechniętych czarnoskórych pielęgniarek w różowych kitlach.

- Ważne jest leczenie - ciągnęła Sarah - ale nie można zapominać o szerzeniu oświaty zdrowotnej. Brud i niewiedza są potężnymi wrogami.

Zatrzymawszy się przy korkowej tablicy ogłoszeń, Sarah pokazała swemu gościowi serię zdjęć dzieci uratowanych przed skutkami niedożywienia. Ukazywały stan „przed” i „po”. Przypięte parami do ściany, stanowiły dowód codziennych cudów, które zdarzyły się w szpitalu misyjnym w Langali.

Annah, słuchając, szła za Sarah, z trudem panując nad emocjami. Szpital był wspaniały, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę, że znajdował się tak daleko od Dodomy. Biskup powiedział prawdę - miała szczęście, że wysłano ją właśnie tutaj. Jednak siostra Barbara tak wysoko ustawiła poprzeczkę, że Annah trudno będzie dorównać poprzedniczce. Dużą niewiadomą pozostawała również rola Sarah. Pokazywała szpital, jakby należał do niej. Sprawiała wrażenie dobrze zorientowanej w temacie, chociaż była tylko żoną lekarza.

104

- Widzę, że podchodzisz do tego wszystkiego z ogromnym zaangażowaniem - skomentowała Annah.

Jej słowa zawisły w powietrzu jak niezadane pytanie. Sarah się uśmiechnęła.

- Gdy wychodziłam za mąż za Michaela, studiowałam pielęgniarstwo. Miałam za sobą połowę nauki. Nie chciałam opóźnić objęcia przez niego placówki w Afryce, więc zrezygnowałam. - Zerknęła na Annah. - Oczywiście, oficjalnie nie jestem pielęgniarką. Ale w wielu przypadkach potrafię pomóc. Siostra Barbara na mnie polegała.

Annah bez słowa przytaknęła. Ani głos, ani wyraz twarzy Sarah nie zdradzały, co miała znaczyć jej uwaga. Trudno było również o jakąkolwiek wskazówkę, czy żona doktora żałuje, iż poświęciła własną karierę. Po prostu zachowywała stoicki spokój i pewność siebie.

Sarah niemal przebiegła z Annah przez mały, zadymiony pokój, w którym czarnoskóre pielęgniarki - a właściwie jedynie słabo widoczne cienie ludzi - za pomocą szczyptec wyjmowały metalowe instrumenty z puszek po nafcie, napełnionych wodą, która gotowała się na ogniu. W porównaniu z lśniąco czystymi pomieszczeniami szpitala okopcone puszki i gryzący zapach dymu stanowiły zgrzyt. Sarah z przyjemnością opuściła to pomieszczenie. Gestem ręki wskazała przed siebie, na drzwi z namalowanym pluszowym niedźwiadkiem.

- To mój ulubiony oddział - wyznała. - Pediatria. Odsunęła na bok siatkę chroniącą przed muchami i weszła do przestronnego, słonecznego pokoju z małymi łóżeczkami. Annah robiła to samo, zaskoczona ciszą i spokojem. Przez chwilę myślała, że nawet niemowlęta w szpitalu w Langali podporządkowują się obowiązującym zasadom i nie wzniesają hałasu. Potem zdała sobie sprawę, że sala jest pusta. W żadnym z łóżeczek nie było widać czarnej główki. Sarah również sprawiała wrażenie zdziwionej. Potem zerknęła na zegarek i kiwnęła głową.

- Wpół do jedenastej. Wszystkie są na zewnątrz. Zażywają kąpieli słonecznej.

105

Rozejrzała się z prawdziwą przyjemnością. Puste łóżeczka były starannie zasłane, przykryte obszytymi na niebiesko narzutami. Obok stolika do przewijania leżał zestaw miarek. Wzdłuż pobielonej ściany biegł typowy dla pokojów dziecińczych pastelowy fryz.

- To była duma i radość siostry Barbary - powiedziała Sarah.

W jej głosie słychać było żal. Szybko go ukryła, pokazując Annah odległy kąt oddziału, gdzie nieco z boku stały dwa łóżeczka.

- To miejsca dla dzieci bez matek. Siostra Barbara zawsze trzymała dwie sierotki. Na nich pielęgniarki uczą się wszystkiego, co powinny umieć matki, chociaż przy okazji strasznie rozpuszczają biedne maleństwa.

Annah właśnie miała zamiar zapytać, skąd biorą się owe sieroty, kiedy do Sarah podeszła jakaś pielęgniarka i spytała, czy może przyjść i udzielić rady.

- Oczywiście - odparła Sarah natychmiast.

Zaproponowała, żeby Annah zaczekała na nią na oddziale dziecięcym. Annah zgodziła się, chociaż była zaskoczona, że jej nie zaproszono - w końcu to ona miała być odpowiedzialna za pielęgniarki. Sarah nie dała jej jednak wyboru. Po chwili słychać było na korytarzu energiczny stukot skórzanych podeszew pani Carrington.

Annah usiadła ostrożnie na skraju maleńkiej pryczy. Postanowiła wykorzystać wolną chwilę i zapisać w notatniku pewne uwagi, by zapamiętać wszystkie rady i informacje, jakie przekazała jej Sarah. Wciąż powtarzała sobie motto współczesnych misjonarzy: „Bądź tak użyteczny, jak to możliwe, i pomagaj tak szybko, jak się da”.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Gdy uniosła głowę, zamarła w bezruchu. Ujrzała wojownika. Wysokiego, szczupłego mężczyznę. Nagiego, jeśli nie liczyć kawałka materiału okrywającego genitalia i obwiązanego wokół bioder. W ręce trzymał włócznię, z długim drzewcem i metalowym ostrzem. Szedł w stronę Annah. Patrzyła niemal zahipnotyzowana widokiem

106

zbliżającego się mężczyzny. Sprawiał wrażenie silnego i groźnego. W jego miękkich ruchach wyczuwało się potężną energię - poskromioną, ale w każdej chwili gotową do uwolnienia. Annah poderwała się na równe nogi, trzymając przed sobą notatnik jak tarczę.

- Czym mogę służyć? - spytała, używając suahili. W mgnieniu oka przypomniała sobie lekcje tegoż języka. „Uważaj, jak dobierasz słowa” - często ostrzegał ją nauczyciel. „Czym mogę służyć?” brzmiało dość dwuznacznie. Można je było potraktować jako nieprzyzwoitą propozycję.

- W czym mogę pomóc?

Mężczyzna zignorował te słowa. Stanął blisko i przyglądał się jej, ale niezbyt uważnie. Prawdę mówiąc, zauważyła, że na męskiej twarzy wcale nie widać zainteresowania, jedynie lekkie zaciekawienie, jakby stojąca przed nim biała kobieta była pozbawionym uroku okazem z zoo. Tymczasem Annah nie mogła się napatrzeć na jego piękne ciało. Podziwiała, jak mocne mięśnie przesuwają się pod skórą, błyszczącą od czerwonej glinki. Można by go odlać w brązie. Stanowił rzeźbiarską wizję boga...

- Weweje! Hej, ty tam! Co ty tu robisz?

Słyszając głos Sarah, wojownik się odwrócił. Przez chwilę patrzył na nią z ręką na włóczni. Potem wyszedł z oddziału. Annah obserwowała go. Gdy zniknął, czuła żal, jakby jego obecność była czymś namacalnym. Czymś tak ważnym i cennym, że pozostawił po sobie pustkę.

Sarah zmarszczyła czoło.

- Musiał przyjść prosto z dżungli. W takim stroju! Na dodatek chodził, jakby szpital należał do niego... - Potrząsnęła głową. - Mam nadzieję, że cię nie przestraszył.

Annah pochyliła się, by wygładzić zmiętą narzutę.

- Ależ skąd!

Na oddziale kobiecym znalazły Michaela, który robił poranny obchód. Miał na sobie workowate szorty, wysokie skarpetki i nylonową koszulę z krótkimi rękawami. Na szyi zawiesił ste-toskop. Rozmawiał głośno z pacjentką, biegle posługując się

107

suahili. Obok stał jego asystent, Stanicy, mężczyzna, którego Annah poznała zaraz po przyjeździe. Ubrany był wciąż w te same spodnie i koszulę koloru khaki. Patrząc na obu

mężczyzn, Annah wyobraziła sobie, że robi zdjęcie do gazety wydawanej dla misjonarzy. Doktor z dżungli i jego afrykański pomocnik przy ciężkiej pracy.

Gdy panie podeszły, Michael uniósł głowę. Uśmiechnął się do żony, potem odwrócił do Annah.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że dobrze spałaś - powiedział.

W jego głosie nie było ani śladu napięcia, jakie odczuwali poprzedniego dnia. Tu, w szpitalu, doktor Carrington był wyraźnie spokojniejszy i panował nad sytuacją. Machnięciem ręki wskazał na Stanieya.

- Już poznałaś mojego asystenta.

- Tak.

Annah uśmiechnęła się do Afrykańczyka, który uprzejmie skinął j ej głową.

- Pora na lunch.

Doktor Carrington zerknął na zegarek, potem podszedł do następnej pacjentki, wyciągając rękę po jej kartę. Jednocześnie powiedział przez ramię do Sarah:

- Porozmawiaj z chorą z łóżka numer sześć, dobrze? Całkiem nieźle posługuje się suahili. Przyjechała z Mbat. Poród przebiegł normalnie. Wszystko jest w porządku, ale chce dawać niemowlęciu krowie mleko zmieszane z wodą. Mówi, że jej poprzednie dziecko zmarło, ponieważ było karmione piersią.

Sarah zgodnie z poleceniem męża przeszła przez salę. Annah powędrowała za nią. Żona lekarza przez kilka minut kłóciła się z matką, ale kobieta potrząsała głową, nie dając się przekonać. Sarah na chwilę zamilkła i zaczęła się zastanawiać.

- W takim razie proszę spojrzeć na to z innej strony - powiedziała w końcu. - Dlaczego chce pani dawać dziecku mleko krowy? Czy to krowa jest jego matką?

Kobieta roześmiała się, jakby usłyszała dobry kawał. Potem

108

jednak kiwnęła głową i zaczęła się zastanawiać. Ten argument wyraźnie trafił jej do przekonania.

Sarah spojrzała na drugi koniec sali, skąd obserwował ja Michael. Uśmiechnęła się, zadowolona z odniesionego sukcesu. Potem odwróciła się do Annah.

- Czasami trzeba znaleźć odpowiedni sposób, żeby do nich trafić - powiedziała z dumą. - Spojrzeć na sprawę z ich punktu widzenia. Nauczyła mnie tego siostra Barbara.

Annah przytaknęła. Widziała, że Sarah z przyjemnością prezentuje swoją wiedzę. Nic dziwnego. W końcu musi jej być trudno przy ogromnej wiedzy praktycznej dzielić szpital męża z rówieśnicą, która oficjalnie jest jej zwierzchniczką i posiada kwalifikacje, jakich jej samej brak. Annah zdała sobie sprawę, że pracując w Langali, powinna zrobić wszystko, by mieć żonę lekarza po swojej stronie - nie rywalizować z nią, lecz uczynić z niej sojusznika.

- Dlaczego uważa, że jej mleko było powodem śmierci dziecka? - spytała Annah.

- Wydaje się, że nigdy do końca nie wierzą w to, czego ich uczymy na temat infekcji - odparła Sarah. - Wyciągają własne wnioski. Jeśli dziecko było przed śmiercią karmione piersią, to widocznie tu tkwi przyczyna. Możliwe są jeszcze czary.

Obie czekały przy łóżku, aż młoda matka przystawiła dziecko do piersi, potem Sarah odwróciła się i machnęła do Michaela.

- Do zobaczenia w domu! - zawołała. Stał przy łóżku następnej pacjentki.

- Trochę się spóźnię.

- Jak zawsze - powiedziała Sarah do Annah, wyprowadzając ją z oddziału. - Jest perfekcjonistą. - Roześmiała się. - To doprowadzało siostrę Barbarę do szaleństwa.

Michael przyszedł na lunch do domu misyjnego tuż przed drugą. Posiłek był gotowy od dwunastej, ale Sarah uznała, że nic nie zostanie podane, póki on się nie pojawi.

Obie kobiety uniosły głowy, gdy usłyszały kroki Michaela na ścieżce.

109

- Ordeno! - zawołała Sarah w stronę kuchni. - Bwana idzie.

Michael wszedł do salonu. Nie zatrzymując się, powędrował prosto do łazienki.

- To zasada, której przestrzegamy z żelazną konsekwencją - wyjaśniła Sarah. - Zawsze po przyjeździe z zewnątrz myjemy się, niezależnie od tego, co i gdzie robiliśmy. Dzięki temu w domu misyjnym jest zawsze czysto. Kiedyś zdejmowaliśmy również buty, ale ktoś bez przerwy je zabierał. Podejrzewaliśmy psy wioskowe...

Drzwi kuchenne otworzyły się. Do salonu weszła tyłem postawna kobieta. Jej szerokie biodra w marszczącej spódnicy ledwo zmieściły się w drzwiach. Pokonawszy przeszkodę, odwróciła się. W rękach trzymała tacę z miseczkami zjedzeniem.

- Witaj, Ordeno - powiedziała Annah do gospośi. Poznały się poprzedniego wieczoru, gdy podawano zupę.

- Jambo, siostró Annah - odparła Ordena. - Jambo, pani Carrington. Jambo, bwana.

Annah podeszła, żeby pomóc Murzynce w opróżnianiu tacy. Z misek unosiły się dobrze znane zapachy. Gotowane ziemniaki. Duszona marchewka. Peklowana wołowina. Sos.

- To wygląda wspaniale - pochwaliła Annah, ukrywając uczucie zawodu na widok tak zwyczajnych potraw.

- Nie zawsze tak jadamy - wyjaśniła Sarah, przyłączając się do Annah przy stole. - Niestety, często musimy poprzestawać na tym, co jest dostępne na miejscu.

Pojawił się Michael. Stał u szczytu stołu i obserwował, jak żona usadawia się po przeciwnej stronie. Potem ręką wskazał Annah krzesło z boku, między nimi. Dawne miejsce siostry Barbary. Dopiero gdy obie kobiety usiadły, on również to zrobił. Następnie pochylił głowę i zczekał, aż panie pójdą w jego ślady. Wtedy odmówił modlitwę.

- Pobłogosław, Panie, ten pokarm, żebyśmy mogli go spożyć, i nas, abyśmy Ci służyli. Amen.

Odczekał, aż Sarah weźmie do ust pierwszą łyżkę. Potem zaczął jeść sam. Posiłek przebiegał spokojnie, każda czynność

110

przechodziła w następną, niczym poszczególne kroki dobrze znanego tańca.

Przez kilka minut jedli w milczeniu. Michael pochłaniał jedzenie jak żarłok - dużymi kęsami. Sarah jadła powoli, biorąc do ust maleńkie porcje.

- Powiedz mi, proszę - zagał w końcu Michael - jak wypadło zwiedzanie szpitala?

- Jestem zdumiona - odparła Annah. - Wszystko przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Aż trudno uwierzyć, że znajdujemy się z dala od cywilizacji.

Michael uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony.

- W znacznej mierze to zasługa siostry Barbary. Przybyła tu w latach trzydziestych. Była pierwszą białą kobietą na tym terenie.

- Zaczęła pracę od zera. Miała do dyspozycji tylko przerobioną skrzynkę po herbacie, rozkładany stolik i taboret, piec na drewno i rondel - uzupełniła Sarah.

- Pracowała tutaj sama przez dwadzieścia lat - ponownie podjął Michael.

Ich opowieść przywodziła na myśl swoistą liturgię. Mówili, jakby wspólnie opowiadali jakiś mit albo przekazywali legendę. Wspomnieli, że siostra Barbara pewnego razu wypłoszyła z oddziału lamparta, że nie chciała uczyć się suahili, nienawidziła brudu i nieporządku.

- Do szafu doprowadzał ją widok afrykańskiej tkaniny na szpitalnym łóżku - wspominał Michael.

- Najbardziej nienawidziła - dodała Sarah - wyjedzonych kolb kukurydzy porzrzucanych po terenie należącym do szpitala.

Początkowo Annah czuła się nieswojo, słuchając tych przekazywanych z czułością opowieści. W końcu była obcą osobą, która przyjechała tu, by zająć miejsce siostry Barbary. Potem jednak zdała sobie sprawę, że Carringtonowie w ten sposób żegnają się z wieloletnią współpracownicą i przyjmują Annah. Uspokoila się i wraz z nimi śmiała się z opowiadanych anegdotek.

111

Sarah i Michael wyraźnie wyczuli jej dobry nastrój. Michael zaczął snuć plany na przyszłość, z entuzjazmem opisując, jak wraz z Annah będzie pracował w szpitalu i przeprowadzał operacje, a Sarah będzie kontynuować swoje szkolenia dla kobiet i dzieci.

Ordona przyniosła talerz. Leżały na nim owoce mango, przecięte na pół, pozbawione nasion, ponacinane i wywinęte środkiem na wierzch. Dzięki temu każda połówka wyglądała jak maleńkie wzniesienie naszpikowane długimi kawałkami złocistego mięszu. W powietrzu rozszedł się wspaniały zapach dojrzałych owoców.

- To jedyny sposób serwowania ich - wyjaśniła Sarah. - Chyba że człowiek lubi się brudzić.

Jedli w milczeniu. Michael skończył pierwszy i otarł usta serwetką.

- Jednak będziemy musieli wprowadzić pewne zmiany - powiedział.

Annah zamarła w bezruchu z otwartymi ustami i kawałkiem mango w połowie drogi. Wbrew własnej woli zerknęła na Sarah. Pani Carrington wpatrywała się w talerz, a na jej ustach widać było delikatny uśmiezek. Zarumieniała się.

Michael podniósł się i stanął za plecami żony. Położył dłonie na jej wątlých ramionach. Spojrzała na niego ogromnymi, ciemnymi oczami. Dzięki delikatnemu rumieńcowi wyglądała wyjątkowo pięknie.

- Spodziewamy się dziecka - wyjaśnił Michael. - Za pięć miesięcy.

- Nikomu nie mówiliśmy - dodała Sarah wstydlíwie. -Czekaliśmy, aż minie najbardziej niebezpieczny okres. - Surowo spojrzeła na Annah. - Nie widzę jednak konieczności wprowadzania wielkich zmian. Chciałabym kontynuować swoją pracę. To dobra sposobność, żeby dać innym przykład.

- Owszem - przyznała Annah.

Sarah miała rację - biała kobieta, która sama wprowadza w życie to, czego uczy, mogła działać dużo dobrego.

- Gratuluję wam obojgu.

112

Widząc Sarah z ręką na dłoni męża, stojącego za jej plecami niczym anioł stróż, Annah poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Dotychczas marzyła tylko o tym, by zostać pielęgniarką misyjną, i nie snuła żadnych planów. Wszelkie inne sprawy, głównie mężczyzn, traktowała jak pułapki, których należało starannie unikać. Jednak uśmiechając się do Michaela i Sarah, wiedziała, że scena rozgrywająca się przed jej oczami stanowi wizję tego, czego również i ona pragnie od życia. Kochającego męża. Wspólnego powołania. A potem, w odpowiednim czasie - dziecka.

Które idealnie uzupełniałoby cały obrazek.

Michael szedł przodem, prowadząc obie kobiety wąską, krętą ścieżką. To on zaproponował, żeby we trójkę wybrali się na wieczorny spacer. W ten sposób Annah będzie mogła poznać najbliższą okolicę. Powiedział, że misjonarze często to robią. Nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, dopóki trzymają się znanej trasy i nie zapuszczają za daleko.

Annah patrzyła pod nogi, wypatrując czegoś czarnego - wijącego się węża, lśniącego odwłoku skorpiona, roju ruchliwych, gryzących mrówek. Powoli oswajała się z odgłosami dżungli. Ściana zieleni była teraz bliżej, gałęzie i pnie przypominały szkielet, na którym spoczywała gruba warstwa liści. Z wilgotnej, ponurej płataniny dochodziły różne dźwięki - las budził się do nocnego życia. Polowania i ucieczki, rozmnażania się i umierania. Jedzenia i rodzenia. Wszystkiego. Poza snem.

Ścieżka prowadziła pod górę niewielkim grzbietem ciągnącym się nad Langali. Annah widziała przed sobą szerokie plecy Michaela. Słyszała dochodzące z tyłu ciche kroki Sarah. Szli drożyną, która zaczynała się tuż za kościołem. Sarah wyjaśniła, że to pozostałość po szerszej drodze i że w rzeczywistości był to niegdyś trakt używany przez arabskich handlarzy niewolników. Szlak ten biegł przez Langali. Na nim zbudowano kościół misyjny - wyjaśniła. Nawa jest dokładnie w tym samym miejscu. Symbolizuje nadzieję zastępującą rozpacz.

113

Annah po drodze starała się nie myśleć o niewolnikach. Ile tysięcy pokonywało tę drogę, szło po tej samej ziemi, po której właśnie stąpała? Mieli złamane serca, krwawiące rany. Zostawiali za sobą kwaśny zapach potu, krwi i smutku.

Nie zauważyła rozciągającego się widoku, póki Michael nie zatrzymał się i nie powiedział, że zaszli dość daleko. Annah stanęła obok niego i spojrzała w dół, na misję. Dachy srebrzyły się w gasnącym świetle. Promienie słońca nie docierały już do powierzchni płytkiego strumienia, dlatego jak ciemna i tajemnicza wstążka wił się przez całą osadę. Z wioskowych ognisk unosiły się smużki dymu. Szare obłoczki stanowiły dowód, że w tym miejscu toczy się jakieś życie. Życie tętniące jak puls na szyi.

Annah odwróciła się w stronę zachodzącego słońca. Żłocista kula dotykała krawędzi horyzontu. Kobieta zamknęła oczy i wystawiła twarz na działanie ostatnich promieni. Od dzieciństwa uwielbiała czuć na policzkach światło zachodzącego słońca. Lubiała odchodzące ciepło. Uważała je za obietnicę świtu. Dowód bożej dobroci. Nawet tutaj, tak daleko od domu, na skraju świata.

- To Stożek.

Słowa Michaela przerwały chwilę spokoju. Annah otworzyła oczy. Wskazywał na zachód, na skałę wznoszącą się nad dżunglą. Nagi, szary kształt. W rzeczywistości wcale nie był to stożek, ale coś łagodniejszego, pełnego sympatycznych wypukłości i wklęsłości. Oczy Annah zaokrągliły się, gdy zdała sobie sprawę, co przypomina jej ten zarys. Pierś. Pełną, kształtną pierś. Szczyt był brodawką, sterczącą na tle barwnego nieba. Starając się ukryć zażenowanie, przeniosła wzrok w inne miejsce. Potem spojrzała na Michaela. Z natężeniem wpatrywał się za Stożek, jakby chciał zobaczyć coś znajdującego się w oddali.

- Tam niczego nie ma - powiedział. - Niezbadana dżungla, ciągnąca się aż do granicy.

Annah wbiła wzrok w linię horyzontu. Przed jej oczami pojawiły się czarne, brutalne słowa, jakby ktoś wypisał je na nie-

114

bie. KONGO. RWANDA. Przypomniała sobie, co mówił mężczyzna z pociągu. Poczula, że po plecach przebiegł jej dreszcz.

- Langali leży najdalej na zachód - ciągnął Michael z nutką dumy w głosie. - Chciałbym otworzyć ambulatorium wysunięte jeszcze dalej w tamtą stronę. Już zaczęliśmy nawiązywać kontakty z pobliską wioską. Kilka osób ze starszyny przeszło na chrześcijaństwo. Teraz czekamy, aż wódz ujrzy światło...

Stali we trójkę na grzbiecie, obserwując, jak kolory zanikają na ciemniejącym niebie. Stożek stał się czarnym zarysem na purpurowym, jedwabistym tle.

W końcu Michael odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Obie kobiety poszły w jego ślady.

Ogniska Langali wyglądały teraz jak małe, czerwone kropki w zalegającej dolinie szarości. Misjonarze dziarskim krokiem wędrowali w stronę osady. Wyglądała przyjaźnie. Jak bezpieczna kryjówka w środku dziczy.

7

Misjonarze wstawali codziennie wczesnym rankiem i zaczynali dzień od skromnego śniadania. Potem z pochylonymi głowami zbierali się przy adapterze, a Michael czytał na głos fragment z modlitewnika. Następnie każdy szedł do swojej pracy. Sarah do szkółki, Annah i Michael do szpitala.

Pierwszą część poranka Annah spędzała u boku Michaela, towarzysząc mu w obchodzie. Zatrzymywali się przy łóżku każdego pacjenta, sprawdzali notatki, przebieg leczenia i wykonywali badania. Gdy przeszli wszystkie oddziały, zaczynali przyjmować pacjentów w ambulatorium. Tu pomagał Staniey, ale Annah nigdy nie wierzyła, że zdołają się uporać z długą kolejką. Stali w niej pacjenci z różnymi dolegliwościami, od drobnych skaleczeń po głębokie rany, od łagodnych wirusów po raka i choroby serca.

W środowe i piątkowe popołudnia Michael operował, a An-

115

nah mu asystowała. Szybko poznała sposób, w jaki doktor lubi pracować, i potrafiła uprzedzić każde jego życzenie. Wiedziała, jaki instrument będzie za chwilę potrzebny, i zawsze miała pod ręką gazę, żeby otrzeć mu czoło. Wkrótce umieli sprawnie przeprowadzać razem wszystkie operacje. Często zostawał im nawet czas.

Wieczorami Sarah, Michael i Annah jedli wspólnie posiłek, przygotowany przez Ordeń. Potem, gdy pomocnicy kuchenni zmywali naczynia i hałasowali przy tej okazji, misjonarze mieli chwilę wytchnienia. Czytali lub pisali w salonie w domu misyjnym. Wtedy też szedł w ruch adapter, choć, jak zauważyła Annah, korzystał z niego tylko Michael i tylko po to, by puszczać swoje płyty. Nie miał ich dużo, ale widać było, że bardzo starannie wybrał kolekcję. Była tam więc Muzyka na wodzie Handla, Koncerty brandenburskie Bacha i hymny w wykonaniu chóru męskiego.

Gdy grał adapter, nikt się nie odzywał. Sarah przestawała stukać na maszynie niezliczone listy i raporty. Wydawało się, że nawet chłopcy kuchenni mniej hałasowali. Annah zastanawiała się, czy powodem takiego stanu rzeczy była magia muzyki, czy też szacunek dla pana domu. Ona sama, ilekroć Michael unosił wieko adaptera, szła za przykładem Sarah, odkładała na bok to, co właśnie robiła, i udawała, że muzyka Handla sprawia jej przyjemność. W głębi duszy tęskniła jednak do piosenek, które zostawiła w kraju. Love Me Tender, Let Me Be.

Raz w tygodniu, gdy dźwięki muzyki ustawały, a adapter wracał na swoje miejsce, Michael wyjmował broń. Powoli, metodycznie rozkładał ją na części i czyścił każdy element. Nie przyglądając się zbyt nachalnie, Annah obserwowała widowiskowy rytuał. Ostrożne ruchy rąk chirurga na lufach i spustach, cichy dźwięk szmatki trącej o gładki metal i ciepły zapach smaru do broni. Wszystko to dawało uspokajający, wręcz hipnotyzujący efekt.

W niedzielę misjonarze szli na mszę do kościoła misyjnego. Pokonywali razem nawę, podążając tropem niewolników. Ich

116

buty stukały o zamiecione deski podłogi, gdy zbliżali się do ołtarza - zwyczajnego stołu, przykrytego sztandarem wyhaftowanym przez uwolnione niewolnice. Słowa wyszyte zostały krwistoczerwonym jedwabiem.

„W Chrystusie jesteście naprawdę wolni”.

Siadali w jednej z frontowych ławek, Michael w środku, panie po bokach. Niedziela była dniem odświętnych ubiorów. Prosty strój, noszony przez resztę tygodnia, odkładano na bok. Annah i Sarah wkładały kolorowe sukienki i ozdobne kapelusze. Pewnego razu Annah próbowała nawet ubrać się w różową kurtkę. Wprawdzie Michael pochwalił kolor, jednak milczenie Sarah sugerowało, iż podziela ona opinię siostry Barbary i pani Wade. Michael nigdy nie zmieniał stroju. Świeże każdego dnia długie skarpetki i szorty, które nosił w szpitalu, stanowiły również jego świąteczny ubiór. Gdy podczas mszy wstawali i siadali zgodnie z nakazami liturgii, nagie kolana doktora Carringtona z każdej strony delikatnie pocierała sukienka w innym kolorze.

Mszę odprawiał misyjny kaznodzieja - poważny i wrażliwy mężczyzna z plemienia mieszkającego w Langali - który wyjechał z wioski do seminarium. Odmawiano modlitwy, czytano fragmenty Pisma Świętego, śpiewano hymny, tak samo jak robiono to w Londynie czy Melbourne, chociaż tutejsze przetłumaczone były na suahili. Jednak, jak zauważyła Annah, różnica polegała nie tylko na odmiennym języku. Dostrzegało się ją w pełnych wigoru głosach, charakterystycznym rytmie, delikatnych ruchach bioder i stóp. Jakby czuło się w nim puls Afryki, ukryty pod grubą warstwą anglikańskiej liturgii.

Oficjalny rozkład zajęć - poranny obchód, nauka, modlitwa, msza i wolne niedzielne popołudnie - nigdy się nie zmieniał. Niczego nie odkładano ani nie pomijano, chyba że zdarzył się jakiś nagły wypadek. Czy w nocy, czy w dzień, należało się nim zająć. W pobliżu nie było innego szpitala, do którego można by odesłać ludzi, nie było też innego

lekarza. Michael często nie kładł się do łóżka przez większą część nocy, radząc sobie z nagłymi wypadkami, chorobami i komplikacjami przy

117

porodzie. Niekiedy wzywał Annah. Rozlegało się Wtedy pukanie do drzwi. Głośny dźwięk powoli docierał do niej przez sen. Potem dobiegał głos pełniącej dyżur pielęgniarki:

- Siostró! Siostró! Proszę wstać. Bwana pani potrzebuje! Annah z trudem otwierała oczy i niewidzącym wzrokiem

wpatrywała się w szare zarysy moskitiery. W końcu docierał

do niej głos pielęgniarki:

- Siostró! Siostró! Słyszysz mnie pani?

Koniec końców Annah w pośpiechu wkładała coś na siebie i wciąż nieprzytomna wyłaniała się z chaty. Czasami wracała do łóżka już po kilku minutach, jednak często trwało to znacznie dłużej.

Początkowo myślała, że ona i Michael po spędzeniu w szpitalu długich godzin nocnych pośpią sobie dłużej nazajutrz. Ale mogła o tym tylko marzyć.

- Raz tak zrobiłem - wyjaśnił Michael. - O dwie godziny później pojawiłem się w ambulatorium. Gdy tam dotarłem, okazało się, że zmarło czekające na mnie dziecko. - Wskazał na eukaliptusy siostry Barbary. - Tutaj, na terenie szpitala. - Potrząsnął głową. - Obiecałem sobie wtedy, że nie dopuszczę, by taka sytuacja się powtórzyła.

Annah przytaknęła. To było całkiem zrozumiałe. Odniosła wrażenie, że Michael Carrington jest człowiekiem, który długo się zastanawia, nim wyciągnie jakiś wniosek, ale potem, niezależnie od sytuacji, trzyma się raz podjętej decyzji.

Sala operacyjna była najgorętszym pomieszczeniem w szpitalu. Aby zachować sterylne albo prawie sterylne warunki, nie otwierano okien ani drzwi. Nie docierał tu zapach zielonej dżungli, czuło się jedynie środki antyseptyczne i delikatny zapach potu.

Annah zerknęła na drugi kraniec pomieszczenia, na Stan-leya. Afrykańczyk układał instrumenty. Na rękach miał pomarańczowe gumowe rękawice. Zielony kitel chirurgiczny włożył na swój nieodłączny strój koloru khaki. Musi mu być gorąco - pomyślała Annah. Ale nigdy nie było tego po nim widać. Na-

118

wet pod koniec długiej operacji sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego. Stworzenie boże w swoim naturalnym środowisku. W porównaniu ze swoim kolegą ona czuła się jak kiepski wyrób z importu.

Stanicy wyjął z kąpieli sterylizacyjnej ogromny instrument. Była to normalna piła stolarska. Annah odwróciła wzrok, nie chcąc, by przedmiot ten przypominał jej, co ich czeka. Przez chwilę czuła w żołądku zjedzony niedawno obfity lunch - dwie miseczki orzeszków ziemnych Ordeny i zupę z dzikiego szpinaku.

Stanicy ukończył układanie instrumentów, potem odwrócił się do tacy ze środkami znieczulającymi. Annah obserwowała, jak asystent doktora Carringtona przygotowuje lekarstwo. Wciąż nie mogła się nadziwić, że tubylcowi powierzano zadanie zazwyczaj zarezerwowane dla lekarzy. Jednak Michael upierał się, że Stanicy wie wszystko na temat podawania środków znieczulających na sali operacyjnej w dżungli. Gdy kilka lat temu zepsuł się respirator, Stanicy na poczekaniu zrobił jego namiastkę z dętki piłki i starej pompki do roweru.

Drzwi się otworzyły i sanitariuszka wwiozła pacjentkę. Wraz z nią pojawił się charakterystyczny odór - słodkawy zapach zgorzeli, pokrytej grubą warstwą środków antyseptycznych. Annah przełknęła ślinę, gdyż zrobiło jej się niedobrze. W ciągu dwóch miesięcy spędzonych w Langali często miała do czynienia z tym zapachem, ale wciąż nie mogła się do niego przyzwyczaić.

Mała dziewczynka na wózku była całkiem przytomna. Z przerażenia napięła wszystkie mięśnie, w jej oczach czaił się strach. Annah zastanawiała się, czy mała wie, że za chwilę będą jej amputować nogę. Michael wyjaśnił rodzicom, że nie ma innej możliwości. Typowy dla tropików wrzód zbyt długo nie był leczony i dotarł do kości.

Staniey szybko podszedł do dziewczynki i zaczął cicho do niej przemawiać. Mała wbiła w niego wzrok, jakby był jej jedyną deską ratunku. Staniey mówił i mówił, póki dziecko nie rozluźniło palców i nie położyło rąk obok siebie.

119

Michael wszedł tyłem, trzymając w górze dłonie w rękawiczkach, żeby niczego nie dotknąć. Nawet to pomieszczenie, codziennie szorowane środkami dezynfekcyjnymi, nie budziło zaufania.

- Pomódlmy się - powiedział z zapalem i pochylił głowę.

Staniey stanął przy dziewczynce i położył dłoń na jej ciele, jednocześnie wyraźnie wypowiadając słowa, które rozbrzmiewały w całym pomieszczeniu. Ani Annah, ani Michael nie rozumieli tego, co mówił. Na sali operacyjnej, o ile tylko było to możliwe, modlitwy odmawiano w języku pacjenta, a Staniey korzystał z jednego z trzech czy czterech narzeczy, którymi się posługiwał. Annah z Michaelem powiedzieli tylko „Amen”.

Lekarz zaczął operować, wykonując staranne nacięcie w zdrowym ciele powyżej poziomu, do którego dotarło zakażenie. Annah obserwowała prosty ślad, pozostawiony przez skalpel, za którym ciągnęła się czerwona smużka na ciemnej skórze. Wyglądało to zupełnie inaczej niż czerwień na tle bieli, do czego Annah przywykła. Może kontrast był mniej szokujący, natomiast miał w sobie coś z koszmaru sennego.

Reagując na sygnały chirurga, osuszała krew, podawała klamerki i ocierała pot ze skroni. Wkrótce ujrzała odsłoniętą, białą kość.

- Dobrze nam idzie - powiedział Michael. - Teraz unieś ją i przytrzymaj.

Annah ujęła w ręce wątłą, zabandażowaną nóżkę. Kiedy podniosła ją do odpowiedniej wysokości, Michael zaczął piłować. Pielęgniarka nie mogła odwrócić wzroku, ponieważ musiała obserwować przebieg operacji i być w pogotowiu. Dlatego tylko lekko przymknęła powieki, żeby mieć rozmazany obraz. Niestety, nie mogła odciąć się od odgłosów. Próbowwała wsłuchiwać się w równomierny szum wentylatora, ale dominował zgrzyt piły. Po twarzy Annah spływał pot. Czuła niesmak w ustach. Zerknąwszy w bok, napotkała spojrzenie Stanieya. Nie zareagował, Annah zdawało się jednak, że Murzyn wie, co się z nią dzieje. I że rozumie konieczność ukrywania tego przed Michaelem. Staniey odwrócił od niej wzrok

120

i ponownie spojrzął na pacjentkę. Potem zaczął śpiewać niskim i zaskakująco mocnym jak na tak szczupłe ciało głosem. Był to hymn przetłumaczony na suahili.

W oddali, za murami wielkiego miasta, jest zielone wzgórze, Gdzie nasz Pan został ukrzyżowany I oddał życie dla naszego zbawienia...

Michael przerwał i, zaskoczony, uniósł wzrok. Nie wiadomo, czy dlatego, że Staniey śpiewał podczas operacji, czy też z powodu samego hymnu - smutnej pieśni, którą

śpiewano w kościele tylko w Wielki Piątek. Tak czy inaczej, Annah była wdzięczna. Głos Stanieya zagłuszył dźwięk piły przecinającej cieką kość dziecka.

Wreszcie amputacja dobiegła końca. Martwa, zaskakująco ciężka część została w rękach Annah. Odniosła ją w róg sali i wrzuciła do kosza. Staniey dotarł do końca wersu i przestał śpiewać tak samo nagle, jak zaczął.

Wracając do stołu operacyjnego, Annah oddychała już nieco spokojniej. Najgorsze miała za sobą. Teraz pozostała normalna pomoc przy szyciu, wycieranie i bandażowanie. Sprząatanie. Odkładanie wszystkiego na miejsce.

- Dobra robota, siostrze. - Michael zdjął maskę. - Niektóre pielęgniarki nie mogą patrzeć na amputację. Annah zmarszczyła czoło, jakby ją to dziwiło.

- W każdym razie na pewno zdałaś egzamin. - Doktor uśmiechnął się. - W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z biskupem. Prosił o raport na temat tego, jak sobie radzisz. Po dzisiejszym dniu mogę powiedzieć, że jesteśmy z ciebie bardzo zadowoleni.

Annah opuściła wzrok. Radość w powodu pochwały ogrzała ją jak letni wietrzyk. Próbowwała nie myśleć o Stanieyu - cichym świadku jej słabości. Czuła jednak jego obecność, zdawała sobie sprawę, że jest przez niego obserwowana. Gdy uniosła głowę, starała się nie patrzeć w jego stronę.

121

Sarah siedziała przy przenośnej maszynie do pisania. Miała wyprostowane plecy i ręce przygotowane do uderzenia w klawisze. Po chwili zastanowienia zaczęła stukać jak głodny ptak, szybko zapisując czystą kartkę.

Nieco wcześniej Annah napisała jeden z nielicznych listów do matki. (Eleanor postawiła sprawę jasno - powiedziała, że chce otrzymywać tylko korespondencję związaną z określonymi okazjami. Wyjaśniła, iż wystarczająco wyczerpujące było pisanie przez tyle lat do siostry, Elizy. I na co to wszystko? Żeby sterta listów sprowadziła jej jedyne dziecko na niebezpieczną drogę). Słowa przychodziły Annah łatwiej niż zwykle, gdyż dzięki popołudniowej operacji odzyskała pewność siebie. Przy kolacji Michael powtórzył swoją pochwałę. Sarah chętnie się z nim zgodziła. Annah rzeczywiście stanowiła cenny nabytek.

Po skończeniu listu Annah podeszła do biblioteczeki. Na najwyższej półce znalazła pudełko z napisem: „Węże i drabiny”.

- Kto chce zagrać? - spytała.

Stukanie ustało. Michael odłożył czasopismo lekarskie.

- Wiem, że to głupia gra - dodała Annah, nagle tracąc pewność siebie - ale w dzieciństwie bardzo ją lubiłam.

- Ja też - przyznał Michael, podchodząc i zerkając na planszę, którą Annah rozłożyła na stole.

Oboje uśmiechnęli się, widząc dobrze znane rysunki - siatkę z numerkami i groźne węże, wijące się wśród drabinek.

Annah zaczęła ustawiać pionki.

- Zagrasz z nami? - spytał Michael Sarah. Potrząsnęła przecząco głową.

- Chciałabym skończyć. :

Z głową pochyloną nad maszyną do pisania i zmarszczonym czołem stukała w klawisze.

Michael rzucił kostkę, odliczył pięć kratek i zatrzymał się o jedno miejsce przed drabinką.

Annah potrzęsnęła kostką w zamkniętych dłoniach i zerknęła na Sarah. W wyprostowanej sylwetce i krótkiej odmowie udziału w grze wyczuwało się niechęć. Nie był to pierwszy taki

122

przypadek. Przy innych okazjach Annah też zauważyła, że Sarah ją obserwuje. Bacznie jej się przygląda, jak okazowi pod mikroskopem. Co więcej, nie przepuszcza żadnej okazji poprawienia Annah, zwłaszcza przy Michaelu. Często były to błahostki. Na przykład mówiła Annah, żeby nie nuciła afrykańskich piosenek, skoro nie rozumie ich słów. (Kto wie, o co mogło jej chodzić?) Albo udzielała rady dotyczącej higieny i bezpieczeństwa. Zazwyczaj Annah zgadzała się z Sarah, ale ciągłe, delikatne „przypominanie” sygnalizowało ukrywaną antypatię. Znajomość zaczęła się bardzo dobrze. Początkowo Sarah była przyjacielska i skora do pomocy. Niestety, potem, nie wiadomo kiedy, coś się między nimi popsulo.

Annah miała wrażenie, że potrafi dokładnie wskazać moment, kiedy Sarah odwróciła się od niej. Wszystko wydarzyło się pewnego ranka, gdy we trójkę przebywali na oddziale kobiecym. Sarah przysłała wypisać jedną z matek. Stała obok Annah, Michaela i Stanieya, gdy starszka leżąca na sąsiednim łóżku zaczęła się śmiać. Skrzeczała, przy okazji odsłaniając szare dziąsła. Potem coś powiedziała. Żaden z misjonarzy nie rozumiał jej narzecz, ale wszyscy zauważyli rozbawienie, jakie zapanowało na sali.

- O co jej chodzi? - spytała Annah Stanieya. Wyglądał na zażenowanego i nie odpowiedział. Annah odwróciła się do Michaela. Ten zerknął na Sarah. Starszka wciąż się śmiała.

- O co jej chodzi? - przejęła pytanie Sarah. Staniey wbił wzrok w stopy. Gdy pani Carrington ponownie zażądała odpowiedzi, w końcu się odezwał.

- Stwierdziła, że bwana jest szczęśliwym człowiekiem. Bo ma takie... piękne... żony. Sarah patrzyła na niego. Staniey wzruszył ramionami.

- To głupia starszka...

- Na tym koniec? - upierała się Sarah. Staniey zmarszczył czoło.

- Powiedziała również, że jedna jest w ciąży. A... - Głos

123

mu się załamał, ale Sarah patrzyła na niego z kamienną twarzą, póki nie dokończył. - A druga tylko czeka.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem Sarah odwróciła się do Annah. Zmusiła się do niewyraźnego uśmiechu.

- Nie przejmuj się nią - powiedziała miłym głosem. - Ci ludzie lubią żartować. Przekonałam się, że najlepiej ich ignorować, wtedy szybko się zniechęcają.

Sarah wkrótce wróciła do grupki kobiet. Annah obserwowała, jak żona doktora opuszcza oddział sztywnym krokiem, z ustami wykrzywionymi w ponurym grymasie.

Michael rzucił kostkę. Potoczyła się i upadła na podłogę. Annah roześmiała się, gdy zaczął na czworakach szukać zguby. Sarah przerwała pisanie.

- Idę do łóżka - oznajmiła.

Chociaż było jeszcze wcześniej, Annah spakowała pudełko z grą. Nie mogła zostać z Michaeliem w salonie, nie mogła również zwlekać z wyjściem, skoro Carringtonowie szykowali się do snu.

Przy drzwiach wzięła latarenkę i zapaliła knot. Zdawała sobie sprawę, że Michael stoi w pobliżu. Niezdarnie założyła szklany klosz, osłaniający błękitny płomyk.

Za Michaeliem wyszła na werandę Sarah. Stała obok niego i podczas pożegnania położyła głowę na jego ramieniu.

Annah wędrowała tonącą w ciemności ścieżką. Zdawała sobie sprawę, że dwie osoby stoją za jej plecami i obserwują ją w milczeniu. Ciepłe światło latarenki rozjaśniało ścieżynę. Stanowiło symbol intymności, uspokajającą cząstkę z życia uroczej pary.

Leżąc na wąskim łóżku, Annah widziała przez okno dom misyjny. Przez zasłony sypialni Sarah i Michaela sączyło się sympatyczne, różowe światełko. Annah czekała, aż w domu misyjnym będzie ciemno. Potem ogarnęła ją fala samotności, rozjaśniana przez cudowne marzenia o przyszłej miłości. Przypomniała sobie dawne lata i czerpała otuchę ze wspomnień. Wróciła do swojej pierwszej miłości, do wybuchu jasnego światła, które nie ma szansy na przetrwanie. Do niepokoju

124

oczu, warg i rąk, które zaczynają zdawać sobie sprawę, że istnieje coś nieznanego i zakazanego.

Na przykład ten dzień, kiedy została ze swoim chłopcem, Jamiem Lesterem, na plaży, w pobliżu wydm. Był wieczór, pod sobą czuli ciepły, wilgotny piasek. Leżeli twarzami do siebie, z jedną ręką wolną, a drugą wciśniętą w piach. Całowali się z zamkniętymi oczami, by lepiej poczuć smak ukochanej osoby. W pewnym momencie Annah zdała sobie sprawę, że jej bluzka przesuwa się po skórze. Potem pod wpływem chłodnego powietrza po plecach przebiegł jej dreszczyk. W końcu ciepła dłoń wsunęła się pod materiał. Palce poruszały się w górę i w dół, poznając wygięcie jej kręgosłupa i przy każdym delikatnym muśnięciu przesuwał się coraz bardziej do góry. Dziewczyna nie czuła, kiedy puściło zapięcie stanika. Po prostu nagle zauważyła, że nic już nie powstrzymuje wędrującej po jej ciele dłoni.

Zamarła w bezruchu. Wiedziała, że powinni przestać, nim posuną się dalej. Ale Jamie był starszy od niej. Cieszył się wśród chłopców dużym autorytetem. Wiedział, co robi...

Muskał obiema rękami plecy Annah. Poruszające się synchronicznie dłonie rysowały kółka na jej skórze. Annah czuła, że twardnieją jej brodawki. Pragnęła tego dotyku. Jęknęła. Jamie znieruchomiał, jego dłonie zamarły. Potem odsunął się i usiadł.

- Przepraszam - powiedział, przeczesując palcami włosy, jakby chciał zapomnieć, że jeszcze przed chwilą dotykał dziew* częcego, a właściwie kobiecego ciała. - Nie powinienem...

Spojrzał na morze. Annah sięgnęła po stanik i włożyła go, zamykając szybko piersi w elastycznym więzieniu.

- Naprawdę przepraszam - powtórzył. Nie odpowiedziała. Odsunął się.

- Lepiej nie wracajmy razem - mruknął. - Ja pójdę pierwszy. Dziewczyna leżała na piasku. Wcisnęła sztywne nogi

w ustępujący grunt. Patrzyła na jasne gwiazdy, czekając, aż ochłonie.

Tu, w Langali, gwiazdy świeciły równie jasno, ale gdy An-

125

nah na nie spojrzała, zobaczyła coś innego. Starannie złożone ubranie na stołku obok łóżka. Światło lampy przesączające się przez moskitierę. Pościel pachnącą lawendowymi saszetkami Sarah. I pochylającego się wysokiego, jasnowłosego mężczyznę. Ciężkiego. Ciepłego. Twardego.

Mężczyzna nachylił się nad stołem i potrząsnął zabandażowaną ręką. Na blat upadły białe, wijące się larwy. Annah wzdrygnęła się na ten widok i wcisnęła plecy w krzesło. Podbiegła do niej jedna z pielęgniarek. Zebrała larwy i zniknęła.

- To robactwo trochę łaskocze - poskarżył się mężczyzna, ponownie pochylając się nad stołem. - W środku jest ich więcej.

Annah zmarszczyła czoło. To nie same larwy napawały ją takim obrzydzeniem, lecz fakt, że zadomowiły się w ranie, którą osobiście wyczyściła środkiem dezynfekcyjnym i obwiązała sterylnym bandażem. Czowała się tak, jakby prastare siły natury sprzysięgły się przeciwko niej i odniosły wyraźne zwycięstwo. Annah wzięła do ręki nożyczki i rozcięła opatrunek. Zaskoczyło ją, że chociaż rana została zaatakowana przez robactwo, wcale nie śmierdziała. Co więcej, nie było widać ani śladu infekcji. Raczej wyglądało na to, że ciało dobrze się goi.

- Siostrzo, siostrzo! Muszę z siostrą porozmawiać! Jakiś głos dotarł do świadomości Annah. Gdy uniosła głowę, ujrzała starego Murzyna, kłócącego się z pielęgniarką, która próbowała wepchnąć go z powrotem do kolejki. Tego dnia na przyjęcie czekało wiele osób. Annah sama zajmowała się pacjentami w ambulatorium. Sarah, Michael i Stanicy wyjechali land-roverem, by pomóc chorym mieszkańcom sąsiedniej wioski.

- Musi pan poczekać na swoją kolej - odparła. - Nie widzi pan, że pracuję tak szybko, jak mogę?

Mężczyzna wyrwał się pielęgniarce. Nim zdołała go złapać, podbiegł do Annah. Dotarłszy do stołu, zacisnął dłonie na drewnianym brzegu, jakby próbował czerpać energię z twardego przedmiotu.

126

- Błagam - jęknął. - Mój jedyny wnuczek umiera. Musi pani go zbadać. Musi pani przyjść do mojej chaty.

Patrzył na nią przerażony. Drżały mu wargi, kropelka śliny prysnęła na policzek.

Annah zerknęła na kolejkę oczekujących. Wszyscy wpatrywali się w starca. Mieli widowisko. Przy starym Murzynie zebrały się pielęgniarki.

- Niech pan przyniesie dziecko tutaj - mówiły uspokajającym tonem, jakiego używa się w stosunku do ludzi nerwowych. - Taka jest zasada.

- To niemożliwe! - krzyknął starzec. Wzmocnił uścisk na stole i wychylił się w stronę Annah. - Błagam panią. Błagam, wraz ze wszystkimi moimi przodkami. Proszę iść ze mną. Jeśli pani tego nie zrobi, dziecko umrze.

Annah nie potrafiła zlekceważyć potwornej rozpacz widocznej w oczach starego człowieka i brzmiącej w jego głosie.

- Czy to daleko? - spytała.

- Blisko - zapewnił mężczyzna.

W oczach o białkach pożółkłych ze starości Annah dostrzegła iskierkę nadziei. Dłonie puściły brzeg stołu, a plecy się wyprostowały.

- Chodźmy! - zawołał.

Do Annah podeszła jedna z pielęgniarek.

- Muszą przyjść tutaj - przypomniała po angielsku. - Taki jest przepis.

Annah przytaknęła. Znała zasady obowiązujące w szpitalu w Langali. Ale za nic w świecie nie chciała zgasić nadziei, która pojawiła się w oczach starego człowieka. Wstała. Pielęgniarka zamarła w bezruchu. Miała zamiar coś jeszcze powiedzieć, ale Annah ją uprzedziła.

- Proszę mnie zastąpić - poleciła. - Proszę zrobić, co pani będzie mogła. Resztę proszę zostawić mnie. To nie potrwa długo.

Żadna z osób cierpliwie czekających w kolejce nie zaprotestowała, gdy Annah zabierała swoją torbę medyczną i przygotowywała się do drogi. Po prostu obserwowali ją z ogromnym

127

zaciekawieniem, ich spojrzenia śledziły każdy jej mch. Oddalając się od szpitala, Annah wciąż czuła na sobie wzrok zdziwionych pacjentów.

Wczesnopopołudniowe słońce mocno grzało, ścieżka, którą staruszek prowadził kobietę, była wąska i stroma. Zgodziwszy się na wizytę u chorego dziecka, Annah martwiła się, którędy będzie musiała iść. Przez gęstą i ciemną dżunglę... Jednak gdy drożyna doprowadziła na skraj doliny, w której leżało Langali, skręciła na północ. Początkowo wydawało się, że trzeba pokonać bujne zarośla, potem jednak okazało się, że nie ma tam zbyt wielu drzew. Promienie słońca przebijały się przez niezbyt gęstą zieleń i wcale nie było tak ciemno. Mimo to Annah nie odrywała wzroku od ścieżki, próbując nie myśleć o węzach spuszcających się z pochyłonych nad drogą gałęzi ani błyszczących w cieniu oczach. Co jakiś czas zatrzymywała się, żeby odpędzić muszki, które zbierały się wokół nosa i oczu, albo przelożyć torbę do drugiej ręki.

W pewnym momencie wokół Annah zebrała się niewielka grupka ludzi, którzy pojawili się znikąd. Dzieci, nastolatki, młodzi mężczyźni i kobiety. Wszyscy w tradycyjnych tkaninach i sznurach paciorków. Nie próbowali rozmawiać z białą kobietą, tylko bacznie się przyglądali, śledząc każdy jej ruch, studiując każdy fałd sukienki, wygląd skóry i twarzy. Wielu proponowało pomoc w niesieniu torby, ale Annah uprzejmie odrzucała te oferty. Nie chciała się rozstawać z przyrządami nieodzownymi w jej zawodzie. W końcu jaki byłby pożytek z pielęgniarki, gdyby nie miała lekarstw i bandażu?

Droga okazała się wcale nie taka krótka, jak zapewniał starzec, dlatego wędrując, Annah zaczęła się zastanawiać, czy mądrze postąpiła, ulegając jego prośbie. Wiedziała, że pielęgniarki nie pochwały jej decyzji. Zastanawiała się, co zrobiłby Michael. W głębi duszy była przekonana, że twardo trzymałby się zasad i został w ambulatorium. Próbowała sobie jednak wmówić, że na widok starca poczułby dokładnie to samo, co ona... uległby jego błaganiom...

W końcu jej oczom ukazało się osiedle. Położone na dużej

128

polanie, składało się z czterech chat i kilku zagród dla bydła. Przed domem starca zebrała się grupka ludzi. Nagie dzieci biegały i bawiły się, ale dorośli stali w milczeniu i całkowitym bezruchu.

Towarzysz Annah wybiegł do przodu i rozpędził tłumek na boki, robiąc przejście dla pielęgniarki. Potem odwrócił się i kiwnął ręką.

- Szybko, szybko!-ponaglił.

Przybyła musiała się pochylić, by wejść do środka. Potem pochłonęła ją ciemność. Gęsta ciemność, wypełniona dymem, zapachem krowiego łajna, nieświeżego jedzenia i czegoś, co Annah bez trudu rozpoznała - biegunki.

Po kilku chwilach z mroku zaczęły wyłaniać się bliżej nieokreślone cienie, z czasem nabierając bardziej konkretnych kształtów - klatka z kurami, koza, niemal wygasłe ognisko, kucający w kącie mężczyzna. I jeszcze coś. Na skórach rzuconych na podłogę siedziała kobieta, przyciskając do piersi owinięty w materiał tobołek.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

- Jambo - zagaiła Annah.

- Jambo - brzmiała trzygłosowa odpowiedź.

Znów zapadła cisza. Annah zastanawiała się, czy ma kontynuować długie pozdrowienia, typowe dla mieszkańców Afryki. Co u ciebie w domu? Jak twoje bydło? Co jesz? Jak idzie ci praca? Na każde z tych pytań należało odpowiedzieć krótko... i pozytywnie. Wyobraziła sobie, ile czasu by to zajęło.

„Jak miewa się twoja rodzina?”

„Dobrze. Wszyscy są zdrowi. Tylko dziecko niedomaga”.

- Pokażcie mi dziecko - powiedziała.

Okrzyżyla ognisko i podeszła do skór. Matka delikatnie położyła przed nią zawiniątko, potem uniosła głowę i spojrzała na zbliżającą się białą kobietę. Annah zobaczyła parę dużych, błyszczących w cieniu, przerażonych oczu.

- Obejrzę je, dobrze? - mamrotała Annah spokojnym głosem pielęgniarki.

Usiłując nie wdychać ciężkiego, zanieczyszczonego powie-

129

trza, pochyliła się nad niemowlęciem i rozsunęła gałganki, w które owinięte było dziecko. Natychmiast zauważyła, że maleństwo jest w stanie krytycznym. Nie miało nawet siły płakać - gdy uniosła mu główkę, by sprawdzić gruczoły na szyjce, pisnęło jak kociątko. Miało suchą jak papier, gorącą skórę.

- Matka nie zna suahili - uprzedził starzec, pojawiając się obok nich.

Annah spojrzała na niego.

- To dziecko jest bardzo chore - powiedziała. Stary człowiek spokojnie przytaknął.

- Musimy zabrać je do szpitala.

Głos Annah brzmiał pewnie. Przyszła przygotowana na to, że poda antybiotyki, jakieś lekarstwo na malarię albo preparat na odwodnienie. Ale jeśli chłopczyk miał przeżyć, trzeba mu było zaaplikować wszystko, co się da.

Annah pochyliła się, żeby jej twarz znalazła się na tym samym poziomie co twarz matki, ale mówiła przez ramię, do starca.

- Proszę jej powiedzieć, że dziecku grozi poważne niebezpieczeństwo. Może umrzeć.

- Nie ma sensu - zapewnił stary człowiek. - Od początku chciała pójść do domu białego doktora. Ale mąż nie pozwolił. Zanieśli tam poprzednie dziecko, które umarło w szpitalu, wśród obcych. Pod blaszanym dachem, pod którym nie mieszkają żadni przodkowie. Teraz to ich jedyny potomek. Ojciec mówi, że chłopiec musi tu zostać.

Z kąta dobiegł pomruk aprobaty.

- Czy to jego ojciec? - spytała Annah, wskazując nieruchomą, kucającą postać.

- Tak - potwierdził starzec. - Nie zmieni zdania. Boi się. Annah próbowała użyć różnych argumentów, takich, z jakich korzystała Sarah, szybko jednak doszła do wniosku, że nic nie wskóra. Niemowlę leżało przed nią, z trudem oddychając. Matka zaczęła płakać. Początkowo rozległo się ciche, tłumione łkanie, potem pełen cierpienia szloch. Jakby dziecko było już stracone.

130

- Ona panią błaga, siostró - powiedział stary człowiek. - Niech pani nie pozwoli umrzeć jej jedyńemu dziecku.

Annah stała nieruchomo, próbując odciąć się od dźwięków i zapachów wypełniających wnętrze chaty. Chciała się zastanowić. Nie potrafiła powiedzieć, co dziecku dolega. Gdyby znalazło się w szpitalu, dostałoby preparat zapobiegający odwodnieniu, zostałyby wykąpane w celu obniżenia temperatury, nim dostanie drgawek. Potem przyszlaby kolej na antybiotyki. I, oczywiście, znalazłoby się w izolatce. Annah otworzyła torbę, by sprawdzić, co zabrała ze sobą. Matka przestała płakać i spojrzała na pielęgniarkę opuchniętymi, zaczerwienionymi oczami. Wygląda tak młodo - pomyślała Annah - jakby sama była jeszcze dzieckiem. I tak bardzo boi się o swoje maleństwo.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała Annah. Starzec przetłumaczył jej słowa. Murzynka z rozpaczą wpatrywała się w białą kobietę.

- Obiecuję - dodała Annah. - Zrobię wszystko, co mogę, by dziecko nie umarło.

Tłumacząc te słowa z suahili, staruszek wyrzucił do góry ręce, zadowolony. Mężczyzna kucający w rogu uniósł głowę. Matka krzyknęła z radości, potem pochyliła się nad dzieckiem, a jej łzy spłynęły na rozpaloną twarzyczkę maleństwa. Widząc ich reakcję, pielęgniarka poczuła, iż musi ostrzec całą rodzinę przed zbytnim optymizmem. Powiedzieć, że na przekór wszelkim wysiłkom dziecko może umrzeć. Uznała jednak, że podkreślanie tego w takiej chwili byłoby bezcelowe, wręcz bezduszne.

Annah skupiła uwagę na niemowlęciu. Lada chwila mogło dostać drgawek. Szybko sporządziła preparat zapobiegający odwodnieniu, mieszając sól, cukier i gotowaną wodę. Potem naląła jeszcze trochę wody ze swojej manierki na miseczkę i zaczęła przygotowywać kąpiel ochładzającą. Gdy zaglądała do torby w poszukiwaniu potrzebnych rzeczy, natknęła się na maleńką buteleczkę. Rozpoznała złotą nakrętkę, czerwoną, woskową pieczęć i dobrze znaną etykietkę. Woda kolońska nr 4711. Jeszcze

131

jeden z prezentów Eleanor, która nie mogła sobie wyobrazić podróży bez perfum. Annah otworzyła korek i wylała zawartość na przód swojej sukienki. Ostry, kwiatowy zapach wypełnił powietrze, przytłaczając ciężką woń. Annah z radością nabrała powietrza w płuca.

Starzec kiwnął głową z aprobatą.

- Dobre lekarstwo.

Annah patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

- Tu jest gorąco. Trudno oddychać. Szkoda, że nie ma okna. Staruszek wymienił z matką kilka zdań. Potem mężczyzna kucający w kącie wstał bez ostrzeżenia, wziął do ręki włócznię i podszedł do Annah. Kiedy się uchyliła, wbił ostrze w wysuszoną, glinianą ścianę za jej plecami. Po kilku chwilach pojawiło się w tym miejscu niewielki otwór. Do środka wpadło

światło i świeże powietrze.

Mężczyzna spojrział z góry na siostrę, czekając na jej reakcję.

Otarła pył z twarzy.

- Dziękuję - powiedziała.

Położyła sobie dziecko na kolanach i zaczęła łyżeczką wlewać mu do ust wodę z solą i cukrem. Większość spływała na boki, ale za każdym razem odrobina trafiała do ust i zaczynała działać. Drugą ręką Annah obmywała drobniutkie rączka i klatkę piersiową maleństwa, wykorzystując w tym celu wilgotną szmatkę. Przyszło jej na myśl, by poprosić młodą matkę o pomoc, ale Murzynka obserwowała jej poczynania z takim respektem, jakby patrzyła na jakiś skomplikowany rytuał. Widocznie nie uczęszczała na zajęcia założonego przez Sarah Klubu Matek. W chacie nie było ani śladu po programie „Idealny dom”. Nie było pryczy do spania, co zapobiegało ukąszeniom kleszczy, ani kołków do wietrzenia odzieży. Co więcej, pod tym samym dachem mieszkały zwierzęta.

Mijał czas. Nikt nie zwracał na to uwagi. Pomimo kąpeli dziecko miało coraz wyższą gorączkę. Znow dała znać o sobie biegunka - niewielkie, niemal bezbarwne kropelki wsiąkały w brudne gałganki. Oddech stał się jeszcze cięższy. Annah zdała sobie sprawę, że nieprędko uda jej się odejść od dziecka,

132

dlatego poprosiła, by posłano do Langali jakiegoś chłopca z wiadomością. Chciała, żeby Carringtonowie wiedzieli, co robi i że może nie wrócić na podwieczorek. Obserwując, jak odpowiednio poinstruowany młody mężczyzna znika z pola widzenia, Annah poczuła podniecenie. Tak właśnie postępowała Eliza. Pielęgniarka z dżungli. Samodzielnie zmagająca się ze śmiercią.

Minęło kilka godzin. Jasnoniebieska plama widoczna w otworze okiennym wyblakła, sygnalizując, że jest już późne popołudnie. Nagle na zewnątrz zapanował ruch - słychać było podęskcytowane głosy i podjeżdżający samochód. Potem w wejściu do chaty pojawiła się Sarah. Annah ze zdziwieniem spojrzała na panią Carrington.

- Jak się tu dostałaś? - spytała. - Tu nie ma drogi dojazdowej.

- Przejechałam przez zarośla - wyjaśniła Sarah. W jej głosie słychać było determinację. - Chcę cię stąd zabrać. Michael przyjmuje pacjentów w ambulatorium. - Przerwała, by wziąć oddech. - Myślałam, że zrozumiałaś. W Langali obowiązują niepodważalne zasady. Ludzie muszą zgłosić się do szpitala. Nie możemy jeździć po okolicy z wizytami domowymi.

W jej głosie słychać było tylko częściowo tłumioną wściekłość.

- Myślałam, że...

- Wcale nie myślałaś - wtrąciła Sarah, przerywając Annah w pół słowa. - Gdybyś pomyślała, doszłabyś do tego, że postępując samowolnie, niweczysz lata ciężkiej pracy.

Annah spojrzała na leżące na jej kolanach dziecko, potem uniosła wzrok na Sarah. Na pewno widzi...

- Pora na nas - orzekła pani Carrington. Annah ani drgnęła.

- Wsiadaj do land-rovera, siostró Mason - poleciła ponownie. Annah dalej się nie ruszała. Wzięła głęboki wdech, potem spokojnie próbowała wyjaśnić swoje postępowanie, opowiadając, co się stało. Sarah była nieugięta.

133

- Jeżeli ojciec nie chce oddać dziecka do szpitala, powinien ponieść konsekwencje swojego postępowania. Tego właśnie ci ludzie muszą się nauczyć.

Annah milczała, zaszokowana bezdusznymi słowami Sarah. Zdawała sobie sprawę, że młoda matka z coraz większym przerażeniem obserwuje wymianę zdań. Wpatruje się w pielęgniarkę błagalnym wzrokiem.

- Muszę zostać - powiedziała Annah, unosząc głowę i wracając do pojenia maleństwa.
- Obiecałam, że nie pozwolę dziecku umrzeć.

- Co takiego?

Sarah patrzyła na Annah z przerażeniem. Potem weszła w głąb chaty, zbliżyła się i szepnęła przez zaciśnięte zęby:

- Musisz to odwołać! Nie wiesz, co robisz! Tylko jeden Bóg ma prawo decydować o życiu... lub śmierci. Bóg albo potężne lekarstwa białych ludzi. Ale nie pojedyncza osoba. Zachowujesz się, jakbyś posiadała nadnaturalną moc.

Ręka Annah zamarła w bezruchu z łyżeczką w połowie drogi do ust niemowlęcia. Przypomniawszy sobie, jakie wrażenie wywarła jej obietnica na Afrykańczykach, zaczynała rozumieć logikę kryjącą się w słowach Sarah. Ale teraz było już za późno. Złożyła obietnicę.

- Nie wracam z tobą - powiedziała Annah.

Sarah przez kilka minut spokojnie patrzyła w oczy pielęgniarki, czekając, aż się podda. Ale ona nie zmieniała zdania. W końcu pani Carrington spytała, czy ojciec zgodzi się, by cała rodzina udała się do szpitala w Langali. Mężczyzna natychmiast odmówił, przekrzykując starca i zapewniając, że woli, by biała kobieta zajęła się jego dzieckiem tu, w domu jego przodków.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Niemowlę popiskiwało. Pies szczekał. Gdzieś śmiała się jakaś kobieta.

Sarah odwróciła się i wyszła. Chwilę później do Annah dotarł odgłos uruchamianego silnika i odjeżdżający samochód. W tych dźwiękach niemal było słychać wściekłość Sarah.

Gdy zapadła cisza, Annah zajęła się dzieckiem, wykonując

134

miarowe, mechaniczne ruchy. Teraz nie czuła już podniecenia ani dumy, pojawił się strach. Obawa o to, co ją czeka po powrocie do Langali. Lęk, co może się zdarzyć, jeśli pozwoli niemowlęciu umrzeć.

Tuż przed świtem nastąpił kryzys - moment, kiedy ciało przechodzi ostatni test i żyje nadal albo umiera. Annah trzymała maleństwo na rękach, skłaniając je w myślach do walki, do przetrwania ostatniej próby. Starala się nie myśleć o obserwujących ją oczach. Zdawała sobie sprawę, że w przekonaniu rodziny używa czarów, by pomóc dziecku. Przyszło jej na myśl, że Afrykańczycy do pewnego stopnia mają rację. Była tutaj - w Afryce, w tej chacie - tylko dlatego, że Bóg powołał ją do podjęcia dzieła miłości. Z pewnością miłość to magiczna moc. Coś, czego można użyć.

Skupiła się więc na miłości. Miłości bożej. Miłości rodziców niemowlęcia, swojej miłości. Wydobyła ją z głębi serca, skierowała w każdą komórkę maleństwa. Uparta i zdeterminowana.

Jakimś cudem to zadziało. Bezwładne rączki powoli zacisnęły się w piąstki. Suche wargi rozchyliły się, by przyjąć płyn. Niemowlę łyknęło trzy czy cztery razy, potem drgnęły mu zupełnie nieruchome dotychczas powieki. Oddech wyrównał się. Nadszedł sen. Nie śmierć, ale odpoczynek. Powrót do świata żywych.

Annah uniosła głowę i popatrzyła matce w oczy. Żadna z nich nie odezwała się ani słowem, ale obie odetchnęły z ulgą. Ojciec wstał i podszedł. Po jego twarzy płynęły łzy, gdy przemawiał do Annah łamiącym się ze wzruszenia głosem. Starszy człowiek tłumaczył.

- Oszukała pani śmierć! Sama jedna przepędziła ją pani z mojej chaty. Moje dziecko żyje!

Annah próbowała wyjaśnić, w jaki sposób jej proste zabiegi uratowały dziecku życie. Ale nikogo to nie interesowało. Po całej osadzie rozeszło się słowo „cud”. Do pracy przystąpił dobosz. Wybił wiadomość na tam-tamach, potem położył ręce na skórze wołowej i nasłuchiwał płynącej z oddali odpowiedzi.

135

Było to ledwo słyszalne dudnienie, świadczące o tym, że wieść jest przekazywana dalej, z wioski do wioski.

Nim Annah zdążyła zjeść śniadanie - tykwę wypełnioną herbatą z mlekiem i banany - zebrał się spory tłumek ludzi, którzy chcieli jej pogratulować. Postanowili, że odprowadzą białą pielęgniarkę do Langali. Annah nie mogła ich powstrzymać. Uformowali rząd, zamieniając jej powrót do domu w triumfalną procesję.

Był wczesny świt. Słońce dotarło nad czubki drzew, zalewając okolicę złocistym blaskiem. Chociaż Annah z braku snu miała czerwone oczy, szła spokojnie leśną ścieżką. Na duchu podtrzymywała ją świadomość tego, czego udało jej się dokonać.

Staruszek niósł jej torbę. Inni członkowie rodziny dźwigali prezenty - gdaczące kury ze związanymi nóżkami, ozdobne tykwy, kolby kukurydzy i gliniany garnek do gotowania. Ojciec, który w ciszy i bezruchu znosił ból, teraz śpiewał i tańczył. Wymachiwał w niebo włócznią, którą wybił okno, zostawiając na zawsze znak owej pamiętnej nocy, kiedy biała kobieta uratowała jego dziecko. Trudno było nie ulec powszechnej radości. Annah uśmiechała się. Jadła melona, którego wciśnięto jej do ręki. Pochylała się, żeby dzieci mogły dotknąć jej włosów i sprawdzić, czy są prawdziwe. Jedyne przerwy w podróży następowały, gdy pielęgniarka w regularnych odstępach czasu sprawdzała stan niemowlęcia, niesionego na rękach przez dumną matkę. Chłopczyk dobrze sobie radził, ale Annah wciąż się o niego martwiła. Była zadowolona, że stan dziecka się poprawia, a ojciec zgodził się zostawić je w szpitalu. Pod warunkiem, że zajmie się nim Annah.

Gdy zbliżali się do Langali, Annah nieco zwolniła kroku. Bielone budynki wyglądały statecznie i czysto. Nie było widać żadnego poruszenia na widok zbliżających się ludzi. Życie biegło tu normalnym torem. Sprzątaczkę sprzątały. Pacjenci cierpliwie czekali na otwarcie ambulatorium. Pielęgniarki były zajęte swoją pracą. Annah zobaczyła Sarah i Michaela, którzy stali obok misyjnego land-rovera. Poczuli strach. Miała ochotę

136

ukryć się za tłumem, pozwolić, by procesja weszła na teren misji bez niej. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Nie miała wyboru, musiała stawić czoło tej parze. Podejść do nich spokojnie. W końcu to na nią czekali przy aucie.

- Dzień dobry - powiedział Michael, gdy Annah się zbliżyła.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, na dłużej zatrzymując się na pomiętej, poplamionej gliną, potem i kałem sukience.

- Pewnie chcesz się przebrać i zjeść śniadanie, nim zaczniemy obchód.

W jego głosie pobrzmiwała życzliwość, która dawała Annah iskierkę nadziei. Nie śmiała natomiast spojrzeć na Sarah, czuła tylko, że żona Michaela stoi nieruchomo i wszystkiemu bacznie się przygląda.

- Ja w tym czasie przyjmę dziecko do szpitala - powiedział Michael, podchodząc do matki i ojca.

Zachowywał się, jakby wszystko wiedział. Annah uznała, że to możliwe. Ktoś mógł mu przetłumaczyć historię przekazywaną przez tam-tamy. A swoją drogą, ciekawe, jak brzmiała owa wiadomość?

Ranek upłynął jak zwykle. Michael był uprzejmy i wyraźnie przejął się stanem dziecka. Sarah zachowywała dystans. Dopiero podczas lunchu, gdy spotkali się we trójkę w domu misyjnym, Michael wyraził swoje zdanie na temat decyzji Annah o pójściu do osady i pozostaniu tam, pomimo pojawienia się Sarah. Nie szczędził słów krytyki, był wyraźnie zawiedziony. Jednak gdy mówił, Annah wyczuwała pewne wahanie, jakby w głębi duszy wcale nie był pewien swego. Tym razem dzięki złamaniu zasad uratowane zostało życie ludzkie. Musiał jednak opowiedzieć się za przestrzeganiem reguł. Słuchając Michaela, Annah zerknęła w bok, na Sarah. Żona doktora nie miała nawet cienia wątpliwości. Jej oczy były ponure, broda wysunięta do przodu. Lekko wygięty kącik ust świadczył o tym, że rozgrywająca się scena sprawia jej przyjemność. Wręcz radość.

137

8

Zapadał zmierzch. Annah stała na wąskim drewnianym mostku, spoglądając na czysty, głęboki strumień. Skąd on płynie? - zastanawiała się.

Z zachodu.

Z Rwandy.

Zeszywniała na tę myśl. Szybko przeszła na drugi brzeg, zostawiając mostek za sobą i wchodząc między porzucane drzewa.

Ostatnio zaczęła chadzać po kolacji na samotne spacerki, tłumacząc, że ponieważ poród Sarah jest coraz bliżej, Carringtonowie powinni mieć trochę czasu dla siebie. Z prawdziwą ulgą uciekała z Langali. Od wrogości Sarah. I Michaela, który udawał, że nic się nie stało, chociaż wszyscy wiedzieli, że między misjonarzami nie ma już ani śladu po poprzedniej zażyłości. Minęło kilka miesięcy od chwili, kiedy Annah w murzyńskiej chacie odmówiła wykonania polecenia Sarah, ale przepaść dzieląca obie kobiety nie zmniejszała się. Wręcz stawała się coraz wyraźniej szą.

Annah z trudem przypominała sobie kobietę, która kiedyś serdecznie ją witała i chętnie udzielała pomocy. Teraz Sarah była wrogo usposobiona i zimna. Nic więc dziwnego, że Annah nie mogła uwierzyć, gdy pewnego ranka podczas wizyty na oddziale dziecięcym ujrzała panią Carrington z całkiem innej strony. Po wejściu na salę zobaczyła Sarah pochyloną nad łóżeczkiem jednej z sierot. Twarz kobiety jaśniała radością, gdy czule przemawiała do malca. Lekko go połaskotała, rozpromieniając się, gdy na drobniutkiej twarzyczce pojawił się uśmiech. Annah cofnęła się, nie chcąc przeszkadzać. Potem zrobiło jej się żal, że Sarah przestała okazywać jej serdeczność i sympatię.

Zazwyczaj Annah trzymała się dobrze wydeptanych ścieżek, które biegły w pobliżu misji. Tego wieczoru po raz pierwszy zapuściła się nieco dalej w dół strumienia i na jego drugą stro-

138

nę. Po kilku minutach zatrzymała się i zamarła w bezruchu. Niewiele brakowało, a nadepnęłaby na sterczący z gruntu kawałek rozbitego garnka. Udzieliła sobie surowego napomnienia za brak ostrożności - mogła przeciąć skórzane obuwie albo nawet nogę. Obchodząc stertkę glinianych skorup, zauważyła grot starej włóczni, do połowy zagrzebany w ziemi. Potem zwróciła uwagę na widoczne między drzewami niewielkie kupki gruzu. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to rozsypujące się pozostałości domów z suszonej gliny. Po plecach przebiegł jej dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że idzie przez starą, opuszczoną wioskę. Niemal słyszała ludzkie głosy, wciąż rozbrzmiewające wśród drzew. Śmiech dzieci i stukot wydawany przez ich matki przy mieleniu kukurydzy. Gdaczące kury i muczące krowy. Annah weszła między powalone chaty. Znalazła sznur paciorków, zawieszoną na skórzanym pasku tykwę do picia, mieszadło z wyłamanym zębkiem. Annah nie dotykała niczego. Czowała, że i tak posunęła się za daleko, przychodząc tutaj i oglądając to miejsce.

Gdy dotarła na przeciwległy kraniec wioski, ujrzała ułożony po jednej stronie ścieżki spory stos kamieni rzecznych. Wyglądał na czyjś grób - coś w rodzaju nagrobka dla marynarza, który zginął na morzu, człowieka obcego, nieznanego i niekochanego. Tyle że nie było na nim krzyża. Mieszkańcy wioski od wielu lat chowali zmarłych na cmentarzu obok kościoła, tymczasem stos kamieni wyglądał na stosunkowo świeży. Pewnie pochowano tu psa - pomyślała. Albo kurę, z której śmiercią ktoś nie mógł się pogodzić. Nigdy nie wiadomo, co ludzie sobie cenią.

Właśnie miała zamiar zawrócić, gdy ujrzała przed sobą budynek stojący na niewielkiej polance między trzema drzewami. Chatę, której nie tknął czas. Ściany były proste, słupki i nadproża dobrze się trzymały we wzniesionej z gliny ścianie. Gdyby nie to, że po jednej stronie dach trochę się zapadł, wciąż mógłby tam mieszkać jedyny żyjący mieszkaniec wioski...

Podeszła bliżej i nieufnie zajrzała do środka. Na słupie, poza zasięgiem kleszczy i roztoczy, wisiał kawałek tkaniny. Tkwił

139

nieruchomo, jakby nikt nie tknął go od lat, nadal jednak mienił się barwami tęczy. Było tam jeszcze kilka rzeczy - poczerniały garnek do gotowania, pusta klatka na kury, dziurawy koszyk. Nic ciekawego. Usłyszawszy szelest, Annah podskoczyła. Coś przemknęło nad jej głową, wzbijając chmurkę kurzu. Pewnie nietoperz. Mimo to czuła potworny, irracjonalny strach, że lada chwila coś spadnie jej na głowę i zapłacie się we włosy. Spojrzała w górę, by sprawdzić, co ją tak zaniepokoiło. Z sufitu zwisały różne drobiazgi - zeschnięte liście i kwiaty, wysuszone korzenie i poźółkłe kości. Były tam też jakieś dziwnie powykęcane formy, trudne do rozpoznania... Przełknęła ślinę. Ogarnęło ją obrzydzenie. Miała nad głową martwe zwierzęta i ptaki. Porozbierane na części. Wysuszone. Poczerniałe od dymu, pokryte warstwą kurzu.

Wyszła z chaty. Wiedziała, że są to składniki miejscowych medykamentów. Ponure i niebezpieczne. Koszmarne. Odrażające. Odwróciła się, by ruszyć w drogę powrotną. Drżała na myśl o makabrycznym wnętrzu chaty. Oto nagroda za podjęcie samodzielnej wyprawy...

Robiło się coraz ciemniej, powoli zapadała noc. Annah odsunęła gałązkę, w którą zaplątały jej się włosy, i niemal zderzyła się z osobą, która nagle pojawiła się na ścieżce. Był to ktoś bardzo wysoki. Czarnoskóry. Annah sapnęła, ogromnie przerażona.

Napotkany człowiek krzyknął zaskoczony:

- Siostra Mason!

- Stanicy?

Zabarwiony strachem głos Annah brzmiał ostro. Po chwili poczuła ulgę i trochę się uspokoiła.

- To ty...

- Co tu robisz? - spytał mężczyzna. - To nie jest miejsce dla ciebie. - W jego głosie słyhać było zaniepokojenie. Annah wzięła głęboki wdech, próbując się opanować.

- Po prostu wyszłam na spacer. Nie odpowiedział.

- A ty? - spytała Annah.

140

Stanicy przez chwilę się zastanawiał, nim udzielił odpowiedzi.

- Ja również postanowiłem się przewietrzyć. Właśnie wracam. Zapada noc.

Annah rozejrzała się wokół siebie, na rozpadające się gliniane ściany i zapadnięte strzechy.

- Co to jest? - zainteresowała się nagle.

Jej słowa zabrzmiały głośno, niemal bezczelnie w ciszy, zakłócaanej jedynie przez budzące się do życia owady.

W mroku twarz Stanieya stała się prawie niewidoczna. Kiedy się odezwał, wydawało się, że słowa nie pochodzą od niego - równie dobrze mogły je wypowiadać drzewa.

- Tutaj mieszkali moi ludzie, nim na tym terenie pojawiła się siostra Barbara i nim przyszedłem na świat. To dawne Lan-gali. - Urwał.

W ciszy Annah słyszała własny oddech.

- Co się stało? - spytała.

Przypomniała sobie widziane dawno temu obrazki, które przedstawiały francuską wioskę opuszczoną podczas czarnej ospy. Ponownie usłyszała błakające się głosy, życie, które zniknęło.

- Siostra Barbara zadomowiła się po drugiej stronie strumienia - odparł Staniey. - Ludzie, którzy przechodzili na chrześcijaństwo, dołączali do niej. Powstała nowa wioska. W miarę jak się rozrastała, stara coraz bardziej się kurczyła. Z czasem dawne Langali przestało istnieć.

Annah obejrzała się przez ramię na chatę szamana - pojedynczy budynek, wciąż stojący, jakby wspierały go złe moce, a jego rozkład postępował bardzo wolno, wbrew prawom natury.

, - Została tylko jedna stara kobieta - zaczął Staniey. Potem się zawahał.

- Sama? - dopytywała się Annah. - Sama w całej wiosce?

- Była szamanką i wróżbitką. Bała się, że jeśli przestanie odprawiać swoje rytuały, ucierpią wszyscy. Nie zgodziła się przejść na chrześcijaństwo i zamieszkać po drugiej stronie stru-

141

mienia. - Stanicy mówił rzeczowym tonem. - Została w tej chacie. Ludzie błagali ją, prosili nawet członkowie rodziny jej matki. Bez skutku. W końcu umarła. Tam leży jej ciało. - Stan-ley wskazał na stertę kamieni.

Annah spojrziała na sterczący w cieniu nagrobek. Wyobrazila sobie zgarbioną staruszkę, którą tu pochowano, kucającą w swojej chacie, pod krokwiami, z których

zwisały składniki sporządzanych przez nią medykamentów. Praktykującą czarną magię... Widząc to, Annah poczuła smutek. Nie mogła się pogodzić z myślą, że stara, słaba, bezbronna kobieta dokonała żywota w całkowitej samotności, wśród ruin. Tymczasem życie członków jej plemienia toczyło się dalej bez niej. Niedaleko stąd... a mimo to w całkiem innym świecie.

- To smutna historia - westchnęła.

- Była bardzo uparta - wyjaśnił Stanicy. - I szalona. Światło samo do niej przyszło, ona jednak wolała ciemność. - Zamilkł. Gdy ponownie się odezwał, w jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie. - Powinnaś już wracać.

- Tak - przyznała Annah. - Wkrótce zaczną się martwić. Stanicy posuwał się przodem, odciągając na bok gałęzie i przepuszczając Annah. Szła szybko, zadowolona, że ma towarzystwo i że Stanicy prowadzi ją z powrotem do domu, na teren misji.

Gdy dotarli do domu misyjnego, było już prawie całkiem ciemno. Stanicy nagle rozplątał się w mroku, a jego ciche „dobranoc” zagłuszyła muzyka płynąca zza przysłoniętych okien. Nagranie walijskiego chóru. Annah rozpoznała pieśń. Mężczyźni śpiewali swój hymn - Land of My Fathers, Kraina moich ojców. Mocne, niskie głosy zlewały się w jedno, pewnie wyrażając przynależność do tego, a nie innego kraju. Gdy Annah wchodziła schodami na werandę, uznała za bezsensowne odtwarzanie tej pieśni tutaj, w Langali - w miejscu, gdzie misjonarze nigdy nie będą czuli się jak w domu. W miejscu, które, jak mogłoby się wydawać, nie jest również prawdziwym domem tubylców.

142

Słuchając, jak pielęgniarka przedstawia przebieg leczenia pacjenta, Annah niecierpliwie stuknęła ołówkiem w notatnik. Tego ranka sama robiła obchód. Pomagał jej Stanicy, wyglądało jednak, że zajmie im to więcej czasu, niż mogą sobie pozwolić.

Michael wyjechał o brzasku do Murchanzy. Chciał, by przed przyjściem na świat dziecka mechanik zrobił przegląd samochodu. Pewnie było tam jakieś miasto, niewidoczne ze stacji kolejowej, na której Annah czekała na przyjazd doktora Car-ringtona. (Jej przypuszczenia okazały się właściwe. Tory miały bieć dalej, ale gdy dotarli do bagien o półtora kilometra od miasta, kierownik budowy uznał, że to wystarczająco blisko i musi ludziom wystarczyć). Michael miał wrócić o zmierzchu. Annah wyobrażała sobie, co kierownik placówki może przywieźć ze sklepów arabskich kupców. Na przykład rybę w puszcze. Suszone owoce. Kiedyś podobno udało mu się nawet znaleźć bekon. Prawdziwy, wędzony bekon. Na tę myśl Annah poczuła, że ślinka cieknie jej do ust. Doszła do wniosku, że chętnie by go nawet przyrzędziła, dla samej przyjemności, jaką sprawia zapach i widok topiącego się tłuszczu.

- Annah!

Słyszając głos Sarah, Annah się odwróciła. Spodziewała się następnej skargi albo jakiegoś nie milego pytania. Jednak gdy spojrzała na twarz pani Carrington, wiedziała, że stało się coś złego.

- Zaczęło się - szepnęła Sarah.

Dziecko.

Annah wpatrywała się w nią, ukrywając zaniepokojenie.

- Skąd wiesz? - spytała.

Za pierwszym razem matki często się mylą. Czasami coś gdzieś je zaboli. Gorzej się poczują. Źle interpretują sygnały.

- Wody odeszły.

- Skurcze? - spytała Annah. - Bolesne? Sarah przytaknęła.

- Co ile?

- Co dziesięć minut.

143

Annah zamknęła oczy. Wmawiała sobie, że to niemożliwe. Do terminu porodu zostały jeszcze ponad cztery tygodnie. Poza tym nie ma Michaela. Nie ma lekarza, nie ma ojca. Jest tylko ona.

- Pierwsze dzieci nie spieszą się z przyjściem na świat - powiedziała Annah spokojnie.

- Taki stan na pewno potrwa jakiś czas. Idź i połóż się. Przyślę kogoś z tabletkami nasennymi.

Sarah nagle zgięła się w pół, a jej twarz wykrzywiła się z bólu. Annah obserwowała ją ze stoickim spokojem. W głębi duszy czuła, że powinna podejść, objąć rodzącą i próbować ją jakoś uspokoić. Ale ten gest byłby fałszywy, ponieważ relacje między obydwoma kobietami nie wyglądały najlepiej. Sarah na pewno by to wyczuła. Sama bez wątplenia nie darzyła przełożonej pielęgniarek zbyt wielką sympatią. Poza tym nie przyszła prosić ją o współczucie. Potrzebowała pomocy.

Annah zawołała jedną z czarnoskórych pielęgniarek, młodą kobietę o imieniu Barbari. Mieszkała w Langali i urodziła się w tutejszym szpitalu, a nadano jej takie, a nie inne imię ku pamięci pielęgniarki, która pomogła jej przyjść na świat. Siostry Barbary.

- Zaprowadź panią Carrington do domu misyjnego - poleciała Annah. - Dopilnuj, by na miejscu była Ordona. - Odwróciła się do Sarah. - Wypij filiżankę słodkiej herbaty - zasugerowała - i spróbuj myśleć o czymś innym.

W momencie, kiedy mówiła te słowa, zrobiło jej się wstyd. Wiedziała, że brzmią twardo i obojętnie. Jednak ujawnianie własnych obaw na pewno nie pomogłoby Sarah. Lepiej zlekceważyć sygnały, uspokoić przyszłą matkę i mieć nadzieję, że Michael wróci na czas.

Annah zdążyła sprawdzić stan trzech następnych pacjentów, kiedy wróciła Barbari. Poprosiła, żeby siostra przełożona poszła do domu misyjnego i obejrzała Sarah.

- Sądzę, że dziecko już chce wydostać się na świat - powiedziała Barbari. - Sprawdziłam ułożenie. - Uśmiechnęła się. - Spogląda w dół. Nie ma zamiaru sprawiać nam kłopotów.

144

Annah potrząsnęła głową. Pomimo wielu lat nauki pielęgniarka wciąż mówiła tak, jakby to od dziecka zależało, kiedy i w jaki sposób przyjdzie na świat.

- Jak skurcze? - spytała Annah.

- Co pięć minut i dziesięć sekund - odparła Barbari. - Coraz częstsze.

Annah nie odpowiedziała. Zawrzała złością. To Michael powinien być u boku żony, nie ona. Nie chciała asystować przy porodzie Sarah. Nie były krewnymi, nie zdążyły się nawet zaprzyjaźnić. Ale nie czuła się też osobą postronną. Zdjęła stetoskop i rzuciła go na stół.

- Stanieyu! - zawołała.

Stał na środku oddziału i rozmawiał z jednym z pacjentów.

- Będziesz musiał dokończyć obchód sam. Wróć tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Kiwnął głową na znak zgody. Nie pytał, dlaczego ani dokąd Annah idzie. Po prostu przyjmował do wiadomości jej słowa. Między innymi dlatego przełożona pielęgniarek tak lubiła z nim pracować. Nie tracił czasu ani energii na sprawy, które nie miały żadnego znaczenia.

Annah nigdy nie była w głównej sypialni w domu misyjnym. Czasami ukradkiem do niej zaglądała. Widziała wówczas stojący na toalecie słoiczek z kremem do twarzy. Obok leżała należąca do Michaela szczotka do włosów, wykonana ze skorupy żółwia. W pokoju stało również starannie zasłane łóżko z jedną poduszką wyższą od drugiej, ponieważ leżała pod nią złożona męska piżama. Annah dziwnie się poczuła, wchodząc za Barbari do sanktuarium państwa Carringtonów.

Na widok twarzy Sarah, zszokowana, zamarła w bezruchu. Pani Carrington miała oczy okrągłe z przerażenia. Włosy opadały jej na ramiona w mokrych strąkach i sprawiały wrażenie zaskakująco ciemnych na tle zbyt bladej skóry. Leżała spokojnie na łóżku. Wciąż w bawelnianej sukience.

- Annah - sapnęła pełnym przerażenia głosem. - Dzieje się coś złego. Czuję to.

Annah zamierzała postąpić jak typowa pielęgniarka i powie-

145

dzieć coś uspokajającego, ale się powstrzymała. Podeszła do łóżka.

- Pozwól, że sprawdzę.

Z bliska zobaczyła cieniutką warstewkę potu na jasnej jak kość słoniowa skórze Sarah, poczuła zapach lawendowych perfum.

- Barbari! - zawołała Annah, unosząc sukienkę Sarah. - Pomóż mi rozebrać panią...

Urwała. Czerwona, świeża krew przesączała się przez figi Sarah i spływała strumyczkiem na kremową narzutę. Annah zamarła w bezruchu. Przez głowę przemknęło jej tysiąc myśli. Popłątanych, szalonych. Szokujących. Ale jasnych.

Krew płynęła z łożyska.

Wypychana przy każdym skurczu.

Placenta praevia.

W głowie Annah zabrzmiały łacińskie słowa, a wraz z nimi wszystko, co miało związek z takim rozpoznaniem. Annah poznała ten termin oraz wszystko, co się z tym wiąże, przygotowując się do egzaminów pielęgniarskich. Oznaczał on, że łożysko uformowało się w szyjce macicy zamiast na bocznej ścianie. Błąd natury. Bardzo rzadka komplikacja, którą można rozpoznać dopiero wtedy, kiedy zaczyna się poród. Wynik jest przesądzony. Przy każdym skurczu główka dziecka naciska na łożysko. Wkrótce je rozerwie. Matka wykrwawi się na śmierć, nim jej pociecha przyjdzie na świat. A ponieważ zapas krwi stopniowo będzie maleć, płód również nie ma szans na przeżycie.

Istniało tylko jedno wyjście. Cezarskie cięcie.

Annah zasłoniła dłonią usta, by ukryć drżące wargi.

- Co się stało? - dopytywała się Sarah, głosem piskliwym ze strachu.

- Krwawisz - odparła Annah. , Jej słowa zabrzmiały bezceremonialnie i mało optymistycznie. Annah unikała wzroku Sarah, zdając sobie sprawę, że nawet pielęgniarka o niepełnym wykształceniu aż za dobrze będzie wiedziała, co to oznacza.

- Przecież wszystko było w porządku - zaprotestowała Sarah. - Nic nie zapowiadało żadnych komplikacji.

Mówiła jak dziecko, które ma nadzieję, że uda mu się przekonać kogoś starszego i większego do zmiany zdania.

Annah nie odpowiedziała. W jej głowie po kolei zapalały się czerwone lampki. Walka z czasem. Działanie. Nagły przypadek. Annah czuła się osaczona, niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek działania. Tymczasem moment krytyczny dopiero się zbliżał. Trzeba walczyć, pokonać przeciwności losu...

- Sprowadź Stanieya - poleciła Barbari. - Powiedz mu, żeby przyniósł kroplówkę i woreczek z solą fizjologiczną. Potrzebne będą również nosze. Jak najszybciej.

Barbari przez sekundę przyglądała się swojej przełożonej, potem odwróciła się i wybiegła z pokoju. Słysząc było stukanie jej butów w korytarzu i na podłodze w salonie.

- O Boże! O Jezu! - mamrotała Annah.

Było jej niedobrze ze strachu. Co ona teraz pocnie? Jest pielęgniarką, nie lekarzem. Jak może w ogóle brać pod uwagę wykonanie cesarskiego cięcia u Sarah? Przez chwilę szukała w myślach odmiennych przyczyn krwawienia, które wymagałyby podjęcia innych działań. W głębi duszy wiedziała jednak, że to jedyne wyjaśnienie. I jedyne rozwiązanie.

- Która godzina? - spytała Sarah, próbując usiąść.

- Nie ruszaj się! - zawołała Annah. Zerknęła na zegarek. - Trzecia.

- Chciałabym, żeby tu był Michael - powiedziała Sarah. Potem zaczęła wołać go po imieniu, coraz bardziej podnosząc głos, jakby dzięki temu mógł ją usłyszeć przez szeroki pas dżungli.

- Michael! Michael!

- Nie przyjedzie - oznajmiła Annah zdecydowanie. - Nie będzie go jeszcze przez kilka godzin.

Sarah wbiła wzrok w stojącą obok niej kobietę. Ciemne, przepelnione strachem oczy nie odrywały się od Annah, wytrzymując jej wzrok.

- Ale jesteś ty - przypomniała.

Annah przytaknęła. >:

Sarah błagalnie wyciągnęła do niej rękę. Białe, potwornie białe. Jak szyja łabędzia.

- Boję się - jęknęła. - Nie pozwól mi umrzeć. Napływające łzy sprawiły, że jej oczy wyglądały jak głębokie, ciemne studnie.

- Nie pozwól umrzeć mojemu dziecku. - Po chwili powiedziała to jeszcze raz. Głośniej. - Proszę, nie pozwól, by moje dziecko umarło.

Annah z przerażeniem wpatrywała się w leżącą kobietę. Wargi wciąż jej drżały.

- Nie jestem lekarzem - przypomniała.

- Musisz nas uratować - upierała się Sarah. - Proszę. Wiem, że sobie poradzisz. Że ci się uda... - Głos jej się załamał.

Jezu! Boże! - myślała Annah. Ona umiera.

Potem zaczął się skurcz. Sarah wyprostowała się pod wpływem bólu. Chwyliła kurczowo dłoń Annah i sapała, gdy ból rozrywał jej ciało. Annah nie odrywała wzroku od

kremowej narzuty. Czerwona plama powiększała się, powoli tworząc coś na kształt kontynentów. Gdy skurcz się skończył, osłabiona Sarah oparła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Annah wyrzwała przez okno, by sprawdzić, czy Stanley już idzie. W tym momencie jej wzrok padł na stojące w rogu sypialni drewniane łóżeczko. Od tygodni Sarah obrębiała i haftowała pościel, a potem starannie układała ją na materacyku. Ordena była przeciwna takim przygotowaniom. Ostrzegała, że żadna czarnoskóra matka nie myśli o robieniu pościeli przed urodzeniem dziecka. Takie postępowanie przypomina kuszenie losu.

- Nie wierzymy w takie bzdury - oznajmiła Sarah, lekceważąc obawy gosposi. - Wierzymy w Boga.

Dobry Boże!

Dopomóż...

Ale tylko wtedy, jeśli taka jest Twoja wola.

Koniecznien trzeba było to zaznaczyć. W końcu w Afryce umarło wiele dobrych żon misjonarzy. Annah często czytała przerażające historie i biografie...

148

„Jego młoda żona padła ofiarą malarii”.

„Dziecko urodziło się martwe, a mniej więcej godzinę później z tym światem rozstała się również pani Cameron”.

Nosze stuknęły o drzwi, a do pokoju weszło czterech sanitariuszy. Za nimi pojawił się asystent doktora Carringtona. Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach, by przyjrzeć się scenie.

- Mamy problem, Stanieyu - powiedziała Annah. Mówiła prawie szeptem. Wydawało się, że brak jej powietrza w płucach i nie może wydobyć z siebie głosu.

- Czeka nas cesarskie cięcie. To nagły przypadek. Stanicy odwrócił się do niej. Jego oczy były okrągłe z niedowierzania.

- Inaczej Sarah umrze - ciągnęła Annah, patrząc Murzynowi prosto w oczy. - I dziecko również. Po chwili Stanley przytaknął.

- Jesteś pewna - zauważył.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Podłączmy jej kroplówkę - zaproponowała Annah. Póki jeszcze możemy wbić igłę - pomyślała. Nim żyły zaczną wiotczeć...

Stanley od razu przystąpił do działania. Szybko, ale spokojnie rozpakował woreczek i dobrał sterylną igłę.

- Zajmiesz się tym? - spytał, gdy wszystko było gotowe. Annah potrząsnęła głową. Nie chciała niczego robić. Najchętniej by stąd uciekła. Gdziekolwiek...

Stanley ujął białą rękę, wsunął igłę, w skupieniu marszcząc

czoło, i zaczął czekać, aż w zbiorniczku pojawi się krew.

- Gotowe - oznajmił.

Annah z wdzięcznością kiwnęła głową. Teraz przynajmniej coś będzie płynęło w żyłach Sarah - choć sól fizjologiczna spływająca rurką w dół wyglądała niepozornie i nieprzekonująco w porównaniu z czerwoną plamą na łóżku.

- Przenieśmy ją.

Stanley odwrócił się do sanitariuszy, którzy stali w kącie, jakby nie chcieli brać udziału w rozgrywającej się na ich oczach tragedii. Przemówił do nich w miejscowym narzeczu.

149

Jego słowa brzmiały spokojnie, ale wywołały piorunujący efekt. Mężczyźni potrzebowali zaledwie paru sekund, by przesunąć Sarah na nosze i przygotować się do wyniesienia jej z pokoju.

- Zostań ze mną.

Głos Sarah przebił się przez chaos spowodowany szuraniem nóg i stukaniem noszy. Był to cichy, piskliwy dźwięk, który jakimś cudem zdołał pokonać panujący hałas.

- Nie opuszczaj mnie. Annah...

- Jestem przy tobie.

Annah podeszła i ujęła chłodną, szczupłą dłoń. Musiała prawie biec, by dotrzymać kroku sanitariuszom, którzy pędzili ze swoim ładunkiem co sił w nogach. Nie było czasu na myślenie ani uczucia. Nawet strach gdzieś zniknął, pokonany przez śmiertelne przerażenie Sarah. Staniey biegł obok niej.

- Mamy zaledwie kilka minut - szepnęła Annah. - Musisz od razu dać jej narkozę. Maskę i eter. Staniey przytaknął.

- Tak jest, siostrze.

Jakimś cudem zachowywał się całkiem normalnie. To pomogło Annah się opanować.

- Annah?! - zawołała Sarah. - Gdzie jesteś, Annah? W jej głosie brzmiała czułość, jakby wzywana kobieta była jej matką albo najlepszą przyjaciółką.

- Jestem tutaj - odparła Annah. Czowała, że do oczu napływają jej łzy. - Wszystko będzie w porządku - zapewniła. - Jestem z tobą.

Każda minuta na sali operacyjnej ciągnęła się w nieskończoność. Było mnóstwo do zrobienia. Staniey i Barbari pomagali Annah. Spiesznie ściągnięto ze szpitala jeszcze dwie inne pielęgniarki. Annah czuła, że wszyscy obecni bacznie obserwują każdy jej ruch. Przemyśla wacikiem wydęty, biały brzuch Sarah. Jak przez mgłę słyszała, że Staniey się modli, szybko wymawiając słowa i jednocześnie trzymając maskę na ustach i nosie pani Carrington. Nie zwracali sobie głowy mierzeniem ciśnienia - nawet gdyby drastycznie spadło, nic nie można było zro-

150

bić. Na szczęście Barbań trzymała palec na pulsie pacjentki, więc gdyby się zatrzymał, wiedzieliby, że muszą zacząć myśleć o ratowaniu dziecka...

Annah wzięła do ręki skalpel i skierowała go w stronę ciała Sarah. Przez moment pomyślała o Michaelu, potem odsunęła na bok tę wizję. Zamiast niego wyobraziła sobie pana Haywor-tha, potężnie zbudowanego, starego położnika, z którym pracowała w Royal. Nawet przy najbardziej skomplikowanych przypadkach starszy pan się nie denerwował, po prostu spokojnie wykonywał swoje zadanie, jakby ciało leżącej na stole operacyjnym kobiety było jedynie skomplikowaną maszyną. Annah próbowała zapomnieć o własnych odczuciach i wyobrazić sobie, że brzuch Sarah to worek, na którym uczą się przyszli adepci medycyny. Cesarskie cięcie jest całkiem proste - powtarzała sobie. Naprawdę, żaden problem...

Tylko pośpiesz się. Pośpiesz się. Pośpiesz...

Annah dotknęła lśniącym ostrzem skóry, zostawiając równiutką czerwoną kresczkę na białym polu. Cięła aż do warstewki tłuszczu. Powoli, spokojnie przesuwiała dłoń, która ani drgnęła. Potem odłożyła instrument i ostrożnie wsunęła osłonięte rękawiczkami palce między mięśnie brzucha. Były naciągnięte przez ciężę, ale nadal mocne. Rozchyliwszy je na boki, sięgnęła do ściany macicy. Gładkiej, różowej, twardej... Wyobraziła sobie, że jest wielkim położnikiem. Ten człowiek grzebał w brzuchu, wyjaśniając każdy ruch słuchającym go pielęgniarkom. Rozmawiał i opowiadał kawały. I nim ktokolwiek się zorientował, było już po wszystkim. W otwartej macicy pojawiała się dziecko. Zwinięte w kłębek, różo-wiutkie...

Tym razem nie było czasu na podziwianie niemowlęcia. Annah mocno chwyciła śliską istotkę i wyciągnęła ją na zewnątrz. Podała małeństwo Barbari, która stała obok w pogotowiu. Małe usteczka otworzyły się i wydały głośny krzyk, jakby dziecko wiedziało, że wokół panuje atmosfera strachu. Annah ledwo zerknęła na czerwoną, wykrzywioną buźkę, jednocześnie zaciskając i przecinając pępowinę. Potem skupiła uwagę na

151

Sarah. Jednak gdzieś w głębi duszy odetchnęła z ulgą. Udało jej się ocalić przynajmniej jedno życie.

Dla Michaela.

- Ergometrina - poleciła Annah.

Staniey czekał ze strzykawką w ręce. Gdy wlał lekarstwo do kroplówki, Annah zaczęła szukać łożyska. Chwyciła je mocno. To był jej wróg. Kanał, przez który z Sarah uciekało życie. Annah nie odrywała wzroku od macicy. Tkanka zrobiła się jasna, wręcz biała, gdy podany specyfik zatamował dopływ krwi. Annah lekko szarpnęła łożysko, żeby sprawdzić, czy zaczyna odchodzić. Zerknąwszy na Stanieya, napotkała jego wzrok. Nie mieli masek. Ani kitli. Stali nad otwartym brzuchem Sarah jak przypadkowi mordercy w przeczniczy. Przez chwilę Annah czuła, że ogarnia ją panika. Zamknęła oczy, ręka jej drgnęła...

- Oddech jest równomierny. Puls szybki - powiedział Staniey. Jego głos brzmiał ostro. Annah nigdy nie słyszała, by używał takiego tonu. Ale dzięki temu przywołał ją do porządku. Skupiła się na łożysku. Czuła, że odchodzi. Odeszło... Uniosła je jak pokonanego przeciwnika, przy okazji plamiąc się krwią. Potem wrzuciła do kosza.

Pielęgniarka podała igłę i nitkę. Annah otarła nacięcie waci-kiem, żeby zdecydować, gdzie zacząć zamykanie rany. Podświadomie zdawała sobie sprawę, że Staniey stoi obok i co chwila sprawdza ciśnienie krwi.

- Nie sądzisz, że przydałaby się krew? - spytał. Przez chwilę Annah nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. Czyżby wokół nich było mało krwi...? Potem zrozumiała. Transfuzja. Sarah potrzebowała transfuzji.

- Ciśnienie spadło do dziewięćdziesięciu - ciągnął Staniey spokojnym głosem. Za spokojnym. - Nie mogę dopuścić, by jeszcze bardziej się obniżyło. Puls bardzo szybki.

Annah starała się logicznie myśleć. Wiedziała, że kiedyś mówiono jej, jaką grupę krwi ma Sarah. Utkwiło jej to w pamięci, ponieważ była rzadka.

- AB - przypomniała sobie pomimo napięcia. Może wziąć krew od każdego.

152

- W takim razie po kogo posłać? - spytał Staniey pona* glająco.

W szpitalu nie przechowywano krwi. Na lodówce nie można było polegać, poza tym Afrykańczycy raczej niechętnie brali pod uwagę możliwość oddania krwi komuś obcemu.

Annah nie mogła być dawcą i jednocześnie szyc. Trzeba znaleźć kogoś z zewnątrz. Co prawda istniała szansa zarażenia się chorobą przenoszoną przez krew, ale jeśli Sarah jej nie dostanie, i to szybko, ma niewielkie szanse na przeżycie...

- Po Ordene - rozkazała Annah. - Wezwijcie Ordene. Gospodyni była niemal przyjaciółką rodziny i jedyną osobą, jaka przyszła Annah na myśl. Pielęgniarka nie odrywała wzroku od szycia. Musiała połączyć każdą warstwę tkanki. Pot spływał jej po skroniach, gdy zmuszała się, by nie przerywać pracy.

Staniey przekazał wiadomość na zewnątrz. Po minucie pojawiła się Murzynka w kitlu i masce. Ale nie była to gosposia, lecz jedna z członkiń założonego przez Sarah Klubu Matek. Erica. Annah rozpoznała ją - pomimo maski - dzięki pięknym, mającym kształt migdałów oczom. Kilka tygodni temu Erica przywiozła do szpitala synka chorego na malarię. Nim podano jej krew małemu, przeprowadzono odpowiednie badania, dzięki czemu wiadomo było, że matka nie jest nosicielką żadnej choroby.

- Przyszłam - oznajmiła Erica, wchodząc. - Chcę dać krew. Staniey spojrział na nią zaskoczony. Erica wyprostowała rękę.

- Proszę - powiedziała. - Moja krew nauczyła się już, jak opuścić moje ciało i podróżować po cudzym.

Pielęgniarki przygotowały kobietę do transfuzji, tymczasem Annah dokończyła szycie i zabrała się do przygotowywania opatrunku. Po zeszytciu nacięcie wydawało się o wiele mniejsze. Było elegancko naznaczone ciemnymi szwami, które wyglądały jak rząd maleńkich muszek, posilających się z jakiegoś ukrytego źródła. Przyglądając się efektowi swojej pracy, Annah poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Ulga wyzwoliła

153

uczucia, które blokował strach. Annah przypomniała sobie twarz i oczy Sarah. Jej ledwo słyszalne słowa.

„Uratujesz nas...”

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Czarnoskóra kobieta leżała obok Sarah, obserwując, jak jej krew spływa rurką w dół, do bladej ręki nieprzytomnej białej kobiety. Owinięte w kocik niemowlę spało na rękach Barbari. Staniey zdjął maskę, przez którą płynął eter, i odtąd Sarah mogła swobodnie oddychać. Annah stała obok pacjentki, wypatrując na bladej twarzy rumieńca - znaku życia. Trzymała bezwładną dłoń, jakby była matką albo przyjaciółką, chociaż w rzeczywistości zaciskała palce na nadgarstku. W miejscu, gdzie wyczuwała słaby puls. Jedyne dowód, że leżąca w bezruchu postać wciąż żyje.

- Broń się, walcz - szepnęła Annah. - Zostań z nami, Sarah...

Te słowa musiały przeniknąć mrok i dotrzeć do ukrytego, cichego miejsca, w którym schroniła się Sarah. Poruszyła się i przekręciła głowę z boku na bok, jakby próbowała otrząsnąć się z głębokiego snu.

Annah pochyliła się nad nią. Dostrzegła drgnięcie powiek. Machnęła na Barbari, żeby przyniosła dziecko, pragnąc, by małeńka twarzyczka była pierwszą rzeczą, na jaką padnie wzrok Sarah.

W tym momencie Annah po raz pierwszy przyjrzała się noworodkowi. Na buźce wciąż miał ślady krwi i śluzu, mimo to widać było idealne rysy. Piękne, urocze maleństwo. Zupełnie jak Sarah.

- Co to jest? - spytała pielęgniarkę. - Dziewczynka czy chłopiec?

- Pani Carrington ma córeczkę - powiedziała Barbari z dumą. - Śliczną dziewczynkę. Sprowadzi do domu wiele krów.

- Sarah - szepnęła Annah. - To twoja córeczka. Annah dokładnie wiedziała, jak dziewczynka będzie miała na imię. Carringtonowie przejrzeni Biblię, szukając odpowiednich imion. W końcu zgodzili się na Davida, jeśli będzie chłopiec, a w przypadku dziewczynki - Mary.

154

Annah uśmiechnęła się do maleństwa.

- Mary.

- Nie...

Sześć osób znajdujących się w pomieszczeniu zamarło w bezruchu. Sarah przemówiła.

Miała szeroko otwarte oczy. Rozglądała się wokół siebie, zaskoczona jak dziecko obudzone ze snu, niezbyt pewne, gdzie się znajduje.

Noworodek pisnął, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę matki. Sarah spojrzała na trzymane nad nią zawiniątko. Ani drgnęła, jakby najlżejszy ruch mógł rozproszyć jej uwagę. Patrzyła w niemym zachwycie. Bacznie przyglądała się noskowi, oczętom, policzkom i czołu. Obserwowała, jak maleńkie paluszki uwalniają się spod kocyka, zaciskają w piąstkę i poruszają. Nie mogła się nacieszyć widokiem swojego dziecka - żywego i zdrowego.

Po kilku minutach odwróciła się, szukając wzrokiem Annah.

- Udało ci się - szepnęła. - Uratowałeś nas obie. Annah się uśmiechnęła.

- Teraz musisz odpocząć. Leż spokojnie.

- Chcę, żebyś wybrała dla niej imię - powiedziała cicho Sarah. - Ona w jakiś sposób należy również do ciebie.

Annah potrząsnęła głową, nie wiedząc, jak zareagować.

Sarah zamknęła oczy i zasnęła.

Na widok jej spokojnej twarzy Annah poczuła, że robi jej się ciepło na sercu.

Teraz wszystko między nami się zmieni - pomyślała. Po tym, co się wydarzyło...

Nareszcie poprawiło jej się samopoczucie. Teraz była z kimś związana. Jakby obie z Sarah należały do jednej rodziny. Nie łączyły ich więzy krwi, ale los chciał, by zostały siostrami.

W pomieszczeniu znów zapadła cisza. Słysząc było, jak Staniey sprawdza ciśnienie krwi i przebieg transfuzji. Posapywanie dziecka. Oddechy ludzi. Skrzywienie skórzanego obuwia. Tarcie materiału o skórę...

Minęło sporo czasu, nim głuchą ciszę przerwał odgłos zbli-

155

zającego się land-rovera. Nikt się nie poruszył. Jakby znajdowali się w innym świecie. To, co działo się na zewnątrz, nie miało żadnego znaczenia.

Ktoś powinien wyjść i ostrzec Michaela - pomyślała Annah. Ale nie potrafiła się zdobyć na wykonanie najmniejszego ruchu, zrobienie czegokolwiek. A zwłaszcza wyjaśnianie zwierzchnikowi, co się stało. Co była zmuszona zrobić...

Sarah poruszyła się, jakby do jej świadomości dotarł znajomy dźwięk wracającego samochodu.

Chwilę później w drzwiach sali operacyjnej pojawił się Michael. Stał, usiłując zrozumieć, co się tu właściwie dzieje. Na jego skamieniałej twarzy malowało się przerażenie i niedowierzanie. Strach. Dziecięcy strach. Przeniósł wzrok z nieruchomej postaci Sarah na Annah i z powrotem.

Co zrobiłaś?!

Nie powiedział tych słów, ale miał je wypisane na twarzy.

Annah otworzyła usta, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Cofnęła się i oparła o ścianę. Jakby na widok Michaela cała zgromadzona siła nagle gdzieś wyparowała. Jak szmaciana laleczka ledwo trzymała się na nogach.

Usłyszała, że Stanicy wyjaśnia coś Michaelowi spokojnym tonem. Zauważyła, że obaj mężczyźni pochylili się nad Sarah. Potem podeszli do Barbari i noworodka. Afrykańska pielęgniarka opisała wszystko, co wydarzyło się w sypialni w domu misyjnym.

Krew. Tyle krwi...

- Sto na pięćdziesiąt, siostró Mason - usłyszała wyraźne, pewne słowa Stanieya.

Odczytując ciśnienie, przypomniał Annah, że jej praca jeszcze nie dobiegła końca. Nadal kierowała zabiegiem. Sarah wciąż by ła jej pacjentką.

- Dziękuję - powiedziała Annah słabym głosem. - To dobrze.

Mogła się cieszyć. Sarah opuściła niebezpieczne wody i wróciła na przyjazną płyciznę.

Niemowlę obudziło się i zaczęło płakać. Był to głośny, zdro-

156

wy krzyk. Ten dźwięk wyraźnie poruszył Michaela, uświadomił mu, co się stało podczas jego nieobecności. Odwrócił się do Annah z oczami pełnymi łez.

Chwilę później stanął obok niej i położył ręce na jej ramionach.

- Annah - wydusił łamiącym się głosem, nie znajdując innych słów.

Patrzyła na niego odrętwiała.

- Zrobiłam, co mogłam - powiedziała w końcu. Z piersi wyrwał jej się szloch. Sapnęła. - Tak się bałam.

Michael wziął ją w ramiona i mocno przytulił do siebie. Kurczowo do niej przywarł i przytrzymał.

Annah opuściła głowę na jego ramię. Czowała pył i pot. Jego łzy spływające po jej policzku. Bliskość tego człowieka spowodowała, że zapomniała o zapachu i smaku krwi, o panicznym strachu. Powoli uwalniała się od wszystkiego.

W tym momencie ugięły się pod nią nogi. Zapadła w długi, uzdrawiający sen.

1

9

Następnego dnia Sarah ponownie poprosiła Annah o wybranie imienia dla noworodka, któremu pomogła bezpiecznie przyjść na świat. Michael nie miał nic przeciwko temu, więc Annah z przyjemnością przystała na ich propozycję. Po długich rozważaniach postanowiła nazwać dziewczyneczkę Kate. Po prostu Kate, nie Katherine. Annah nie знаła nikogo, kto

nosiłby takie imię, nie kojarzyło jej się ono z żadną przyjaciółką ani nikim sławnym. Odpowiadało jej, gdyż było krótkie i ładnie brzmiało.

Po ciężkim przeżyciu, jakim było cesarskie cięcie, słaba i wyczerpana Sarah potrzebowała pomocy przy dziecku. Poproszono Ordene, żeby zrezygnowała z funkcji gosposi i przejęła rolę niani. Chociaż Murzynka podczas wychowywania

157

swoich dziewięciu pociech nigdy nie korzystała ze stolika do przewijania, delikatnych pieluszek ani kocyków, to doskonale wywiązywała się w powierzonego jej zadania. Wychodziła z założenia, że biała dziewczynka urodziła się z dala od swojej ojczyzny, dlatego powietrze, którym oddycha, i ziemia, po której w przyszłości będzie chodzić, są dla niej obce i niebezpieczne.

Postanowiono również, że Annah przeprowadzi się ze swojej chaty, by nocami pomagać przy Kate. Sypiała razem z małą w drugiej sypialni, z łóżeczkiem ustawionym tuż przy głowie. Sprawdzała, czy moskitiera została starannie wetknięta pod materacyk i czy nogi łóżeczka stoją w metalowych puszkach z naftą, żeby do śpiącego maleństwa nie miały dostępu węże, skorpiony, mrówki ani kleszcze.

Kiedy Kate budziła się na karmienie, Annah zanosila ją do głównej sypialni i czekała, aż niemowlę zaspokoi głód przy piersi rozspanej matki. Annah przyzwyczaiła się do przebywania w małżeńskiej sypialni. Wdychania zapachu rozgrzanego, dzielonego przez małżonków łoża. Słuchania odgłosów ssania. Widoku Michaela, śpiącego z twarzą wtuloną w poduszkę i ręką wsuniętą pod policzek, jakby sam wciąż był dzieckiem. Odkryła, że dziwnie uspokajają siedzenie w starym fotelu, gniecienie leżących tam ubrań, które w tych dniach rzucono na oparcie bez składania. Czula się tak, jakby należała do rodziny.

Kiedy karmienie dobiegało końca, bez cienia protestu spacerowała po cichym domu z rozbudzonym niemowlęciem, śliniącym się na jej ramię. Bardzo lubiła czuć na szyi dotyk pokrytej meszkiem główki i łaskotanie maleńkich paluszków na twarzy. Łapała się na tym, że rozmawia z maleństwem i śpiewa mu piosenki z dzieciństwa, chociaż nawet nie wiedziała, że je pamięta. Po prostu wyłoniły się z przeszłości, przy okazji wywołując wspomnienia. Obraz Eleanor pochylającej się nad córką. Uśmiechającej się. Głaszczącej. Choć może zapamiętała twarz jednej z nian? Annah nie miała co do tego pewności.

158

Trudno było znaleźć gosposię na miejsce Ordene. Brano pod uwagę kilka kobiet z osady, ale gdy Sarah usłyszała o pojawieniu się młodego mężczyzny nie mającego domu ani rodziny, gdyż pochodził z innej części kraju, postanowiła zaproponować tę pracę właśnie jemu. Michael uważał przyjmowanie obcego człowieka, który nie zna ich zwyczajów, za nierozsądne. Ale Sarah odparła, że nie zawsze najważniejszy jest rozsądek. Ten młody człowiek ma gdzieś matkę, która go kocha. Gdyby Sarah była na jej miejscu, liczyłaby na to, że gdzieś daleko jakaś inna matka pomoże jej synowi. Żeby nie musiał bez celu tułać się od wioski do wioski. Michael był zaskoczony tą odpowiedzią, uznał jednak, że wybór należy do Sarah.

Takim oto sposobem odpowiedzialność za prowadzenie domu misyjnego przejął przybysz o imieniu Tefa, wysoki, wyjątkowo szczupły mężczyzna o lekko kędzierzawych włosach i skórze tak czarnej, że przypominała welwet. Często można było zobaczyć jego chudą postać, gdy kręcił się w pobliżu domu i w jego wnętrzu, gdy biegał z miejsca na miejsce, z zapalem ucząc się nowych rzeczy i próbując jak najszybciej opanować potrzebne umiejętności. Ordene dokładała wszelkich starań, żeby go przyuczyć, w jednej

ręce trzymając białe dziecko, a drugą machając przy udzielaniu wskazówek. Niemniej upłynęło sporo czasu, nim posiłki podawane były w spokojnej jak niegdyś atmosferze.

Właściwie to i tak nie miało żadnego znaczenia, gdyż Kate często zakłócała obowiązujący harmonogram. Wyraźnie uważała, że może jeść, spać i płakać wtedy, kiedy przyjdzie jej na to ochota. Nie uznawała żadnych świętości. Ani czasu posiłku, ani modlitwy, nie oszczędzała nawet trzydziestu minut, kiedy wieczorami jej ojciec puszczał płyty.

Wszyscy wiedzieli, że Sarah inaczej wszystko sobie wyobrażała. Przygotowując się do macierzyństwa, przeczytała zniszczoną książkę, którą zostawiła jej siostra Barbara. Stara pielęgniarka powiedziała, że to coś w rodzaju Biblii dla matki - zawiera wszystkie rady, jakich Sarah będzie potrzebować.

159

Autor, doktor Trubi King, był światowej sławy ekspertem, jeśli chodzi o niemowlęta. Opowiadał się za stałym rozkładem dnia, odpowiednio dobranymi dawkami świeżego powietrza, ćwiczeń i karmienia. Niemowlę, według Trubiego Kinga, od chwili narodzin powinno być karmione piersią co cztery godziny. Między posiłkami i w nocy nie wolno mu dawać niczego do jedzenia. Książka nie należała do najnowszych, powstała w latach dwudziestych, ale siostra Barbara uważała, iż zdrowy rozsądek nigdy nie traci na ważności. Wczoraj jest takie samo jak dziś i jutro. Jak Bóg.

Sarah zamierzała ściśle przestrzegać rad doktora Kinga, okazało się jednak, że nie jest w stanie znieść wiercenia się i płaczu niemowlęcia. Michael i Annah pomagali jej, kiedy tylko mogli, często na zmianę próbując zabawiać płaczące z głodu maleństwo, póki nie nadejdzie pora karmienia. Ordona nie rozumiała zasad, do których musiała się dostosować, ale starała się jakoś pomóc. Na przekór wszelkim staraniom Sarah nie bardzo udawało się przestrzegać reżimu narzuconego przez Trubiego Kinga.

- Z jego książki można by wnioskować, że to jest o wiele łatwiejsze niż w rzeczywistości - skarżyła się zdenerwowana Sarah. - Czuję się jak wyrodna matka.

Razem z Annah obserwowała niemowlę, które leżało na dywaniku na podłodze w salonie i próbowało wsadzić do buźki paluszki nóżek. Była pora popołudniowego karmienia, ale poprzedni posiłek Kate zjadła z dużym opóźnieniem i teraz miała ochotę tylko na zabawę.

Annah nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Wciąż przypominała sobie czytana podczas studiów książkę o pielęgnacji niemowląt. Jej autorem był Amerykanin, doktor Spock. Proponował on zupełnie inne podejście do wychowania dzieci, sprzeczne ze stosowanymi dotychczas metodami. Annah uważała propozycje doktora Spocka za ciekawe, nie wierzyła jednak, by przypadły do gustu Sarah, więc nawet nie wspominała, że zna inne rozwiązanie.

Teraz ponownie rozważała całą sprawę. Kate była szczęśli-

160

wa, bawiąc się na podłodze. Tymczasem matka z zaniepokojeniem obserwowała maleństwo. To nie miało sensu.

- Można postępować inaczej - wyznała w końcu Annah. - Nie przejmować się żadnymi zasadami ani harmonogramem. Po prostu szanować wolę dziecka. I postępować zgodnie z tym, co podpowiada instynkt.

Instynkt. To słowo wydawało się prymitywne i nie na miejscu.

Sarah zerknęła jednak na Annah z zaciekawieniem, lekko rozchylając usta.

- To znaczy - powiedziała po chwili - że robi się to, co się... czuje... tak?

Jej głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu, jakby wyrażała jakiś szokujący pogląd.

- Tak - odparła Annah, z powątpiewaniem marszcząc czoło. - Czytałam coś takiego. Autor twierdził, że matki nie powinny tak bardzo przejmować się tym, co słuszne, a co nie. Lepiej, żeby się uspokoiły i cieszyły dziećmi. Robiły wszystko, na co mają ochotę.

Sarah siedziała nieruchomo z głową lekko przekrzywioną na bok, jakby nadal bacznie słuchała. Annah widziała, jak młoda matka zastanawia się nad usłyszanymi słowami, stara się przyjąć je do wiadomości. Widać było, że bardzo jej na tym zależy. Jednak wcześniej musiała pokonać opory wewnętrzne. Zerknęła na półkę z książkami, gdzie leżał poradnik siostry Barbary, a obok Biblia i potężny podręcznik Michaela.

Tymczasem Kate zrezygnowała z zabawy paluszkami i wsadziła do bużki kciuk. Zamknęła oczka i zasnęła, zadowolona z miejsca na podłodze i usypiającego dźwięku kobiecych głosów, unoszących się nad nią niczym wiatr szumiący wśród drzew.

Po tej rozmowie Sarah przestała zmuszać Kate do przestrzegania ścisłego harmonogramu dnia. Karmiła dziecko, gdy wydawało się głodne, i pozwalała mu spać, ilekroć wyglądało na zmęczone. Od tego momentu życie domowników stało się o wiele spokojniejsze. Wkrótce dom misyjny w Langali roz-

161

brzmiewał głosem roześmianej, przyjaźnie nastawionej do wszystkich i wszystkiego Kate.

Nadal jednak obowiązywały pewne zasady. Gdy Sarah odzyskała siły, wróciła do prowadzenia Klubu Matek. Często na wykłady zabierała ze sobą Kate i karmiła ją piersią przy Murzynkach, pragnąc dać im dobry przykład. Zawsze jednak przed rozpięciem bluzki sprawdzała, czy w pobliżu nie kręci się jakiś mężczyzna. A w domu misyjnym po prostu karmiła córeczkę w sypialni. Pewnego dnia poprosiła Annah, żeby przyszła i dotrzymała jej towarzystwa.

- Dlaczego nie karmisz jej tutaj? - spytała Annah. - Nikt nie będzie jej przeszkadzał.

- Nie chodzi o to - odparła Sarah, prowadząc Annah do sypialni. - Po prostu nigdy nie wiem, kto się pojawi. Tefa bez przerwy biega tu i tam. Czasami wpada Stanicy, szukając Mi-chaela. Nie należy również zapominać o człowieku, który przynosi jajka - bez ostrzeżenia wstawia głowę przez okno i potrząsa puszką na pieniądze.

Annah spojrzała na nią zaskoczona.

Sarah się zarumieniła.

- Pamiętaj - powiedziała - że czarnoskórzy mężczyźni też są mężczyznami.

Annah zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem...

- Może trudno ci w to uwierzyć - wyznała Sarah - mówiono mi jednak, że niektóre żony urzędników kolonialnych rozmyślnie prowokują służących. Każą podawać sobie śniadanie do łóżka, kiedy mają na sobie cieniutkie koszule nocne! - Sarah ściszyła głos. - Czasami proszą nawet służących w ich domach chłopców, żeby pomogli im umyć włosy!

Annah wpatrywała się w Sarah. Z pochyloną głową trzymała przy jasnej, pełnej piersi niemowlę. Jak zwykle miała kremową skórę, zaróżowione policzki i wargi przywodzące na myśl płatki róży. Wyglądała jak madonna z porcelany. Annah nie mogła powstrzymać

się od uśmiechu na myśl, że jej przyjaciółka mogłaby kogoś uwodzić. To wydawało się śmieszne.

162

Sarah uniosła głowę i dostrzegła spojrzenie Annah. Zarumieniła się.

- Wiem, że to głupio brzmi - szepnęła, tracąc pewność siebie.

Potem w kącikach jej ust zaigrał uśmiech.

Annah zaczęła się śmiać. Sarah przez chwilę się wahała, ale również ona nie mogła się powstrzymać. Śmiały się długo i głośno. Kate wypuściła brodawkę z buźki i patrzyła zaskoczona.

Za drzwiami rozległy się czyjeś kroki, potem pojawił się Michael.

- Co was tak śmieszny? - spytał, przechodząc przez pokój po czystą koszulę.

Nagle zamarł w bezruchu na widok odsłoniętej piersi Sarah. Jego oczy zaokrągliły się z zaskoczenia, jakby zupełnie zapomniał o istnieniu niemowlęcia, które trzeba nakarmić, i niespodziewanie natknął się na rozneglizowaną żonę.

- Nic - odparła Sarah, próbując się opanować. Annah pochyliła głowę, ukrywając twarz za zasłoną rudych włosów. Gdy zerknęła zza niej, Michaela już nie było. Spotkawszy ponownie spojrzenie Sarah, zaczęła chichotać. Była to głupia reakcja nastolatki na pozbawiony sensu żart, ale obie kobiety nie mogły się opanować. Śmiały się, aż łzy popłynęły im po policzkach. W końcu Kate postanowiła im przerwać zabawę. Doszła do wniosku, że dość tego dobrego, otworzyła maleńkie, czerwone usteczka i zaczęła głośno krzyczeć. Ordena wpadła jak błyskawica.

- Co się dzieje? - spytała oskarżycielskim tonem. - Do czego próbujecie ją zmusić? - Ze zmarszczonym czołem odebrała Kate od Sarah i posadziła ją sobie na potężnym przedramieniu. - Myślałam, że białe kobiety zmieniły sposób postępowania - powiedziała, udając, że zwraca się do małej, ale mówiła głośno, żeby było ją słyhać. - Że w końcu pozwolą ci być szczęśliwym afrykańskim dzieckiem. - Ponuro zerknęła na Sarah. - Niech pani nie wraca na złą drogę - powiedziała, parafrazując słowa ewangelisty. Potem przymrużyła oczy i ostrzegła: - To grzech.

163

Wyniosła niemowlę, zostawiając je same. Przeszły się śmiać i z prawdziwą przyjemnością siedziały w milczeniu. Wzrok Annah wędrował po dobrze już znanym pokoju. Przyjrzała się toaletce, na której leżał lawendowy talk Sarah i jej krem do twarzy. Szafie, w której w równym rzędzie wisały wyprasowane koszule Michaela, przypominając wyprostowanych żołnierzy pozbawionych ciał. Zobaczyła stojące pod łóżkiem pary butów. Nagle zamarła, zauważywszy na dywanie plamę w kształcie łzy. Zdała sobie sprawę, że to krew, krew Sarah, pozostałość po dniu, w którym niewiele brakowało, by pani Carrington umarła właśnie tu, w swoim pokoju. Zerknąwszy w tę samą stronę, Sarah również dostrzegła plamę. Uniosła głowę, szukając wzrokiem swej towarzyszki. Żadna z nich nie odezwała się ani słowem. Nie musiały, każda wiedziała, co myśli druga. Że tak dużo się zmieniło od momentu, kiedy popłynęła ta krew. Stało się tak, jak przewidziała Annah, gdy znalazła się obok Sarah na sali operacyjnej. Narodziny Kate związały obie kobiety nierozzerwalnym węzłem.

Annah spojrzała na drugą stronę pokoju, a potem za okno, za którym widać było rosnące na dziedzińcu eukaliptusy siostry Barbary. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że kiedyś na widok australijskich drzew na terenie misji ogarnęła ją tęsknota za

domem. To również się zmieniło. Teraz czuła, że jej dom jest tutaj. Była kochana i akceptowana. Szczęśliwa.

W jadalni stało otwarte kartonowe pudło. Miało zaplamione, brudne boki, wierzch z oślimi uszami i zniszczone rogi. Na wierzchu wciąż było widać resztki etykiety. I skreślone zamasztytem, ale starannym pismem słowa:

„Prezent od przedstawiciela misji w Afryce Wschodniej.

Dla doktora Michaela Carringtona i jego żony.

Langali.

Za pośrednictwem kwatery głównej misji.

Dodoma”.

Dodoma.

Annah patrzyła na nazwę miasta, w którym niegdyś chciała

164

pracować. Jak dobrze - pomyślała - że zaufała biskupowi. Że zaufała Bogu. ^

- Wypakuj wszystko - poprosiła Sarah z drugiego krańca pokoju. - Potem wybierzemy to, na co będziemy miały ochotę.

W jej głosie słychać było podniecenie i niemal dziecięce oczekiwanie.

Annah wyjęła ze środka kilka puszek i pudełeczek. Ustawiała je rzędkiem na stole, odczytując po kolei etykiety.

- Koktajl krewetkowy. Galaretka owocowa. Peklowana wołowina. Kandyzowane migdały. Sardynki w sosie pomidorowym. Tuńczyk.

Czuła, że do ust cieknie jej ślinka na wspomnienie znajomych smaków, o których od dawna mogła tylko marzyć.

- Krakersy. Ciasto owocowe. Pasta z szynki.

- Nie ma wiśni? - spytała Sarah.

Przygotowywała ciasto. Tefa bacznie ją obserwował, jakby w jej sposobie poruszania łyżką tkwił jakiś sekret. Na jego czarnych jak noc rękach widać było plamy mąki.

- Wygląda na to, że nie.

Annah jeszcze raz pogrzebała w pudle. Wyjęła męskie slipy i garść zużytych do połowy kredek. Potem wyczuła pod palcami jakiś pakiecik. W opakowaniu było coś twardego, ale rozbitego. Wyjęła pokruszone pisanki. Kawałki gorzkiej czekolady, pokryte białym nalotem i wymieszane ze złotkiem.

- Za to znalazłam pisanki - pochwaliła się.

- No tak - westchnęła Sarah. - Zapomniałam o nich. Nie zjedliśmy ich podczas świąt wielkanocnych. Gdy byłam w ciąży, nie mogłam patrzeć na czekoladę.

Sarah wręczyła Tefie miskę z gotowym ciastem i podeszła do Annah. Podparła dłonią policzek, jakby ciężko myślała.

- Zaczniemy od koktajlu krewetkowego - zasugerowała. - Potem podamy tuńczyka w białym sosie. Oczywiście ozdobimy go gotowanymi jajkami. W następnej kolejności pójdzie galaretka i ciasto owocowe. - Uśmiechnęła się beztrąsko. - Pastę szynkową rozsmarujemy na krakersach. Na koniec pisanki i kawa.

- Chcesz dać wszystko? - spytała Annah. - Niewiele zostanie.

- Michael powiedział, że chce odpowiednio uczcić to wydarzenie - odparła Sarah. - Pokazać, jak się cieszymy.

Miała na myśli uznanie Tanganiki za niepodległą republikę, wolną od wszelkich zależności kolonialnych.

- Tak czy inaczej - dodała Sarah - to podwójne święto. W końcu nie uczciliśmy jak należy chrzcin Kate. Annah zaskoczona zmarszczyła czoło.

- Musieliście przeprowadzić wtedy operację, pamiętasz? - spytała Sarah.

Annah przytaknęła. Dzień chrzcin zaczął się dobrze. Kate w białej sukieneczce, uszytej przez Sarah ze starego prześcieradła, wyglądała jak miniaturowa panna młoda. Czarnoskóry kaznodzieja z poważną twarzą odprawił mszę. Annah została matką chrzestną, ojca chrzestnego nie było. Kapłan niespiesznie odczytał przysięgę. Gdy przyszedł czas na odpowiedź, Annah podniosła głos. Wszyscy musieli usłyszeć, że w imieniu dziecka wyrzeka się diabła i potwierdza wiarę.

Planowano wtedy uroczysty lunch, ale nim otwarto puszkę i nakryto do stołu, Annah i Michael musieli zająć się nagłym wypadkiem. Od tego czasu minęło wiele tygodni, ale nikt nie myślał o ponownym organizowaniu lunchu z okazji chrzcin.

- To będzie wspaniałe wydarzenie! - zawołała Sarah przez ramię, niosąc puszkę do kuchni. - Chrzciny i Święto Wyzwolenia jednocześnie.

Annah uśmiechnęła się do siebie. Od jakiegoś czasu z niecierpliwością oczekiwała na uroczysty posiłek. Miała ku temu konkretny powód. Chciała na swój sposób uczcić tę okazję...

Afrykańczycy również byli zajęci przygotowaniami. Ludzie czekający przed ambulatorium mówili mniej niż zwykle, a kilku pacjentów ze szpitala poprosiło o wypisanie ich do domu. Misjonarze nie mieli nic przeciwko temu. Cieszyli się, że przynajmniej raz będą mogli skończyć pracę na czas.

Kiedy zniknęły ostatnie promienie słońca, zasiedli we trojkę

do kolacji. W domu panowała wyjątkowa cisza. Kate twardo spała, a kuchnia była pusta - cała służba wcześniej poszła do domu.

Sarah zapaliła kilka świec - nie normalnych, jakich używano, gdy zepsuł się generator, ale ozdobnych, odlanych z ciemnoczerwonego wosku. Annah rozlała sok z owoców mango do szklanek i ustawiła po jednej przy każdym nakryciu. Potem wraz z Sarah usiadły nieruchomo, czekając, aż Michael odmówi modlitwę.

Zamiast zwykłego podziękowania za strawę tym razem poprosił Boga o błogosławieństwo dla nowego kraju i błagał, by niepodległość oznaczała dla Tanganiki spokój. Jego głos brzmiał dziwnie ponuro, a gdy podniósł głowę, przez chwilę panowało milczenie. Dobry nastrój prysnął. Sarah uniosła szklankę, jakby wznosiła toast.

- Za przyszłość - powiedziała. - Za Republikę Tanganiki. Za nas.

Gdy wszyscy troje tręcili się szklankami, wrócił uroczysty nastrój. Zaczęli jeść. Nabijali krewetki na widelce do ciasta i przymykali oczy z rozkoszy, kosztując zapomniane smakołyki. Sarah przypomniała Michaelowi, że tego wieczoru świętują

również chrzest Kate i fakt, że Annah została formalnie członkiem rodziny. Jako matka chrzestna Kate.

Nadeszła pora, żeby coś powiedzieć - pomyślała Annah. Odłożyła widelec i uniosła głowę.

- Postanowiłam dać wam prezent - oznajmiła. - Prezent z okazji chrztu. Dla was wszystkich.

Sięgnawszy do kieszeni, wyjęła zdjęcie i położyła je na stole, żeby wszyscy mogli zobaczyć, co na nim jest. Była to czar-no-biała fotografia przedstawiająca wiktoriański domek z tarasem, obramowany liśćmi eukaliptusa rosnącego od frontu. Sarah i Michael wyglądali na zaskoczonych.

- To dom. W Melbourne - wyjaśniła Annah. - Daję go wam w prezencie.

Nastąpiła pełna zaskoczenia cisza.

- Wiele lat temu babcia kupiła go z myślą o mnie. Sama

167

mieszkała wówczas obok, w rodzinnym domu Masonów. Chciała mieć mnie blisko siebie. - Annah urwała.

Michael potrząsał głową. Sarah wpatrywała się w zdjęcie z niedowierzaniem i rozmarzeniem.

- Wiem, że nie macie krewnych, po których moglibyście coś odziedziczyć, co oznacza, że nie będziecie mieli gdzie wrócić po opuszczeniu Langali. Co więcej, teraz musicie myśleć również o Kate.

- A co z tobą? - spytała Sarah. - To twój dom.

- To wyjątkowo szczodra oferta - wtrącił Michael. - Wspaniała. Ale nie możemy przyjąć takiego prezentu.

Annah zignorowała jego słowa i zwróciła się do Sarah:

- Babcia zostawiła mi w spadku swój dom. Dlatego ten nie jest mi już potrzebny. Chcę, żebyście go przyjęli. Zapadła cisza.

- To nie jest chwilowy kaprys - zapewniła Annah zdecydowanym, wyraźnym głosem. - Długo nad tym myślałam. Nawet... - Zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć. - Nawet się modliłam. W moim przekonaniu Bóg chce, żebyście go wzięli.

Sarah westchnęła z ulgą i radością. Gdy spojrzała na Annah, w jej oczach błyszczały łzy.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jestem ci wdzięczna - powiedziała drżącym głosem. - Jak mamy ci dziękować?

- Nie robię tego z myślą o was - przyznała się ofiaro-dawczyni. - Postępuję tak z czysto egoistycznych pobudek. - Michael spojrzał na nią, lekko marszcząc czoło. - Chcę, żebyśmy na starość, po skończeniu pracy w Afryce, byli sąsiadami.

Michael się uśmiechnął.

- Nie wyobrażam sobie ciebie jako przygarbionej staruszki - wyznał, nie odrywając wzroku od rudych włosów Annah. - Po prostu nie potrafię.

- Zestarzemy się - zapewniła go Annah. - Wtedy będziemy rozmawiać przez płot i skarżyć się na młodsze pokolenie. Na Kate i jej przyjaciół...

168

Sarah odepchnęła talerz i wyciągnęła rękę do Annah. Drugą chwyciła Michaela.

- Nigdy nie myślałam, że będę taka szczęśliwa - szepnęła. - Chcę, żeby zawsze tak było. Żebyśmy nigdy się nie rozstawali.

Trzy pary oczu spotkały się. Wszyscy wiedzieli, że życzenie Sarah nigdy się nie spełni. Możliwe, że na starość zostaną sąsiadami w dalekim Melbourne. Ale na razie byli misjonarzami. Pionkami na szachownicy biskupa. Prawdopodobnie jeszcze przez jakiś czas nic im nie grozi, ale kiedyś na pewno będą musieli się rozstać.

- Chciałabym, żebyśmy mogli wziąć ślub - powiedziała nagle Sarah. Po chwili uśmiechnęła się, pragnąc obrócić swoje słowa w żart. - Tak jak Afrykańczycy. Ja byłabym pierwszą żoną. Annah drugą. Wtedy moglibyśmy zawsze być razem.

Wybuchnęli śmiechem. Musieli. Sugestia Sarah wydała im się zbyt śmieszna - a jednocześnie zabrzmiała zbyt poważnie - by zareagować w inny sposób.

Potem jedli w milczeniu, jedynie od czasu do czasu rozmawiając o konsumowanych potrawach. Sarah co chwila zerknęła na zdjęcie. Annah czuła, że przyjaciółkę dręczy mnóstwo pytań. Jak wygląda dom? Ile jest w nim sypialni? Czy ma z tyłu ogród?

- Narysuję go wam - zaproponowała.

Wzięła ołówek i naszkicowała plan parteru.

Przez godzinę opisywała każdy szczegół małego domku. W końcu urwała, by umożliwić Sarah przyniesienie deseru. Pokroili ciasto, potem śmiali się z byle jakiej czerwonej galaretki. Nagle ciszę zakłócił jakiś dźwięk. Dochodzące z wioski tępe, monotonne dudnienie tam-tamów. Trójka misjonarzy spojrzęła na siebie. Nie był to normalny, beztroski rytm, towarzyszący zabawie. Głośne, ciężkie uderzenia bardziej przypominały płynące z głębi gardła wezwanie dla innych tam-tamów.

Nikt się nie odezwał. Annah przypomniała sobie rozmowę, jaką przeprowadzili kilka tygodni wcześniej. Zastanawiali się wówczas, jakie zmiany przyniesie niepodległość. Michael

169

twierdził, że Afrykańczycy, z którymi rozmawiał, niechętnie wypowiadali się na temat tego wielkiego wydarzenia. Podobno w wiosce przygotowywano się na tę okazję, ćwicząc piosenki, ale część z nich stanowiły hymny, kolędy i stare pieśni towarzyszące inicjacji. Nie układano nowych ballad, chociaż byłby to całkiem naturalny sposób na poinformowanie wszystkich o rozgrywających się wydarzeniach. Poprzestano na pojedynczym słowie, które powtarzano raz za razem.

Uhuru! Uhuru!

Wolność! Wolność!

Tam-tamy dudniły coraz głośniejsze, coraz szybciej. Przyłączyły się do nich skandujące głosy. Nie było słyhać słów, ale w samym dźwięku, tempie i dobiegającym co chwila szalonym śmiechu wyczuwało się coś dzikiego, wręcz groźnego.

- Nie będą pili, prawda? - spytała Sarah. W jej słowach słyhać było zaniepokojenie.

- Nie, nie - zapewnił Michael. - Starszyzna plemienna nigdy by na to nie pozwoliła.

Podał paniom krakersy z pastą szynkową, ale ani Sarah, ani Annah nie skorzystały.

- Zamknij drzwi - poprosiła Sarah. Michael potrząsnął głową.

- Nie sądzę, by to było potrzebne - zapewnił. - To Tanganika. Nie Kongo.

Kongo. To słowo zawisło w powietrzu. Nikt nie musiał wspominać o masakrze białych, urządzonej przez Kongijczyków po odzyskaniu niepodległości - wszyscy doskonale pamiętali to wydarzenie.

Wstali od stołu, rezygnując z iście królewskich dań. Michael zaproponował, żeby posłuchali muzyki. Gdy wybierał płytę, Sarah poszła do sypialni po Kate.

- Słyszałam jej płacz - utrzymywała. - Widocznie obudziły ją tam-tamy.

Jednak gdy wróciła, trzymała na rękach dziecko pogrążone w głębokim śnie.

Michael ostrożnie położył igłę na płycie, potem odsunął się

170

od adaptera. Po początkowych trzaskach zabrzmiały pierwsze takty starej walijskiej kołysanki. Sarah spojrzała na męża i uśmiechnęła się. Położywszy głowę na pokrytej puszkami główce córeczki, zaczęła śpiewać wraz z chórem:

Spij, dziecinko moja luba, Przez calutką noc. Anioł stróż nad tobą czuwa Przez calutką noc.

Michael i Annah zawtórowali jej przy drugim wersie. Głosy amatorów nie pasowały do idealnie zgranego chóru, były ostrzejsze, mocniejsze z powodu strachu i niepewności. Cała trójka zbliżyła się do siebie. Sarah oparła głowę na klatce piersiowej męża. Jedną ręką trzymała Kate, a drugą wyciągnęła do Annah, wciągając przyjaciółkę w bezpieczny krąg. Michael objął Annah. Poczula, jak smukłe, mocne i delikatne palce głaszczą ją po ramieniu. Męskie ciało łączyło ją i Sarah.

Długo stali przytuleni, słuchając muzyki, czując ciepło swych ciał i wdychając zapach śpiącego niemowlęcia. Odcięli się od świata zewnętrznego, od ponurego dudnienia tam-tamów.

10

Obawy misjonarzy okazały się nieuzasadnione. Odzyskanie przez Tanganikę niepodległości przebiegło bez żadnych wypadków. Komisarze okręgowi teraz nosili tytuły komisarzy regionalnych. Część białych urzędników zastąpiono Afrykańczykami. Podobno sporo czarnych mercedesów odebrano ich hinduskim właścicielom. Oprócz tego właściwie nic się nie zmieniło.

Nic nie zakłócało pracy w Langali. Szpital działał sprawnie, a programy oświatowe dawały dobre rezultaty. Michael uznał, że pora przystąpić do realizacji planu utworzenia placówki na

171

zachodzie. On i Annah mieli wybrać się do małej wioski w głębi dżungli i spędzić tam dzień, przyjmując pacjentów. Afrykański kaznodzieja odwiedzał to miejsce od ponad roku, przygotowując grunt dla misjonarzy.

- Wielu mieszkańców osady przeszło na chrześcijaństwo -zapewniał czarnoskóry kapłan. - Być może wkrótce nawróci się ich wódz.

Długie cienie rozpląwały się w pierwszych promieniach słońca, gdy land-rover jechał dawnym traktem niewolników, zostawiając za sobą wysoki dach kaplicy w Langali i starannie utrzymane murzyńskie poletka. Wkrótce droga niemal całkiem zniknęła w dżungli, a Michael często musiał się zatrzymywać, by wyrwać młode drzewko albo odsunąć gałęzie. W jednym miejscu na drodze leżał gruby konar mangowca, blokując przejazd.

Annah zadarła głowę i spojrzała na wysokie, piękne drzewo, tymczasem Michael wjechał w chaszczę, żeby ominąć przeszkodę. Annah wiedziała, że mangowce wyrosły tu z nasion wyrzuconych przez niewolników. Aż trudno uwierzyć, że coś tak pięknego może mieć swoje źródło w tragicznym wydarzeniu. A jednak tak właśnie wyglądała rzeczywistość, co w jakiś sposób budziło nadzieję.

Wczesnym przedpołudniem wyjechali z dżungli. Land-rover o wiele sprawniej posuwał się po równinie porośniętej niską trawą. Nagle nie wiadomo skąd pojawiły się dwie postacie - starszy mężczyzna i chłopiec. Biegli przed land-roverem w równym tempie, jak ludzie, którzy mają do pokonania sporą odległość. Chłopiec wyprzedzał towarzysza i potrząsał nad głową czymś w rodzaju grzechotki. Podążający za nim staruszek wydawał wysokie, przenikliwe okrzyki, przez cały czas energicznie wymachując rękami i poruszając palcami. Obaj byli dziwnie ubrani - ze źle dobranych skór zwierzęcych zwisały rzemyki z egzotycznymi przedmiotami - patykami, kośćmi, piórami.

Annah uśmiechnęła się na ten komiczny widok.

- Podejrzewam, że to wędrowni aktorzy albo ktoś w tym rodzaju - powiedziała.

172

Michael ponuro potrząsnął głową.

- Staruszek jest szamanem, chłopiec - jego niewolnikiem albo uczniem.

Annah wyprostowała się, żeby lepiej zobaczyć Afrykańczyków. Chociaż od ponad roku była w Langali, dotychczas nie spotkała szamana. Nawet rzadko widywała ślady ich pracy. Z paroma wyjątkami ludzie z okolic Langali nauczyli się przychodzić do szpitala białego człowieka. Miał skuteczne lekarstwa, a biedni mogli płacić tyle, na ile było ich stać.

Land-rover dogonił egzotyczną parę. Dźwięk zbliżającego się samochodu nie wywołał u żadnego z nich reakcji - wręcz wydawało się, że go nie słyszą. Jednak gdy auto ich mijalo, szaman uniósł głowę. Spojrzał Annah prosto w oczy. Było to przenikliwe, ciągnące się bez końca spojrzenie. Annah nie odwracała wzroku. Niemal bezwiednie uniosła rękę w geście pozdrowienia. Zdawała sobie sprawę, że Michael bacznie ją obserwuje i potrząsa głową, jednak coś kazało jej wykonać ten gest. Musiała w jakiś sposób zareagować na badawcze spojrzenie starca. Szaman przestał potrząsać rękami i odpowiedział na pozdrowienie białej kobiety. Potem się uśmiechnął, ukazując dwa rzędy zepsutych zębów. Chłopiec również wygiął usta, bezwiednie naśladując starszego kompana. Gdy land-rover się oddalał, Annah odwróciła się, by dłużej widzieć obie postacie.

- Ten chłopiec - zauważył Michael, skręcając przy czerwonym kopczyku mrowiska - powinien chodzić do szkoły.

Annah prawie go nie słyszała. Myślała o spojrzeniu starca. Wpatrywał się w nią, jakby widział na wskroś jej wnętrze, jej duszę. Wciąż miała przed oczyma pomarszczoną twarz, chudą szyję, uśmiech odsłaniający zielone zęby...

Potem przypominała sobie kilku pacjentów, którzy wcześniej korzystali z pomocy szamana. Dobrze pamiętała te przypadki - rany zainfekowane gorącymi okładami z gnoju, oczy osłepione sokiem z jakiegoś drzewa i jadem węża, poparzenia i rany cięte. Mnóstwo niepotrzebnych cierpień. Najbardziej utkwił jej w pamięci jeden konkretny przypadek - niemowlę z poparzonymi plecami. Aż wzdrygnęła się na to wspomnienie.

173

Chłopczyk wił się z bólu. Maleńkie paluszki chwyciły rozpaczliwie powietrze. Ochrypnięte krzyki ustały dopiero wtedy, gdy Michael wstrzyknął maleństwu morfinę.

Potem ostrożnie zdejmowali warstwa po warstwie brudne szmaty, odsłaniając maleńkie plecki ze śladami wielu poparzeń. Annah przypomniała sobie ponure słowa matki, która opisała leczenie zastosowane przez szamana. Otóż przykładał on do delikatnej skóry niemowlęcia gorące kawałki drewna, trzymane w garnku z wrzącą wodą. W ten sposób chciał pokonać gorączkę, na litość boską... Michael spokojnie mówił o tym, że maleństwu powinno się przeszczepić skórę, a Annah płakała, zraszając łzami czysty, biały opatrunek.

Na wspomnienie okaleczonego niemowlęcia Annah poczuła, że robi jej się niedobrze. W tej chwili aż trudno było jej uwierzyć, że początkowo uznała szamana i chłopca za zabawnych. Teraz doszła do wniosku, że ich złowieszczy wygląd sugerował złe intencje. Pomimo odrazy Annah odczuwała jednak dziwne zauroczenie, do czego za nic w świecie by się nie przyznała.

- Czy zdarza się, by szaman pomógł? - spytała Michaela niepewnym głosem.

Obie z Sarah niechętnie rozmawiały o praktykach czarnoskórych uzdrowicieli.

- Bardzo rzadko - odparł. - Przede wszystkim ci ludzi do własnych celów wykorzystują strach, przesady i niewiedzę. Często bezwzględnie żądają zapłaty za swoje usługi. Nie ma wynagrodzenia, to nie będzie pomocy. Trudno mówić o medycynie ludowej jako takiej, ponieważ wszystko głównie opiera się na czarach. Magii.

Magia. To słowo dziwnie zabrzmiało w ustach Michaela.

- Mówisz o prawdziwej magii? - spytała kobieta. - To znaczy... że ci ludzie naprawdę posiadają... jakąś moc? Michael zerknął na nią z ukosa i zmarszczył czoło.

- Nawet jeśli tak - wyjaśnił - pochodzi ona z mrocznych źródeł. Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Nie warto nawet myśleć.

Annah przytaknęła. Wiedziała, że Michael ma rację.

174

Istnieją rzeczy czyste.

Istnieją rzeczy piękne.

Istnieją rzeczy cieszące się dobrą opinią...

Myśl o nich.

Land-rover wjechał między kępki wysokich traw. Poranny chłód był już teraz tylko wspomnieniem. Powietrze robiło się ciężkie od gorąca. Annah jedną z kolorowych jedwabnych chusteczek Eleanor starła pot z twarzy i szyi. Poczowała delikatny zapach perfum matki.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Musimy być przygotowani na wszystko, Annah - ostrzegł Michael. - Tutaj będzie inaczej niż w Langali.

Tutaj. Na dzikim, pogańskim zachodzie...

Annah przytaknęła. Czowała, że ogarnia ją strach. I jeszcze coś. Podniecenie, gwałtowne, silne podniecenie.

Odgłosy silnika znacznie wyprzedzały land-rover, dlatego gdy w końcu ujrzeli wioskę, ludzie czekali już na ich przybycie. Przerwali pracę, zamarli w bezruchu i patrzyli. Dzieci zerkały zza drzew. Nawet pilnujące chat psy zachowywały się z dużą nieufnością.

Michael zmarszczył czoło, był zaskoczony. Kaznodzieja przekazał tubylcom wiadomość o przyjeździe białego doktora. Oboje z Annah spodziewali się, że przywita ich

tłum pacjentów. Tymczasem wydawało się, że zakłócili jakieś przygotowania. Pomimo wczesnej pory płonęły spore ogniska, a w glinianych garnkach gotowało się jedzenie. Na matach leżały sterty kolorowych owoców i warzyw. Niedaleko od miejsca, w którym zatrzymał się land-rover, stara kobieta stała nad stosem zarżniętych kur. Miała ręce czerwone od świeżej krwi.

- Wyglądają na bardzo zajętych - zauważyła Annah, otwierając drzwi.

- Zaczekaj chwileczkę - ostrzegł Michael. - Na razie nie wysiadaj.

Annah odwróciła się do niego zaskoczona. Przyzwyczaiła się do spokoju i opanowania doktora, dlatego dopiero po chwili

175

zdała sobie sprawę, że dzieje się coś złego, a Michael nie jest pewien, jakie czeka ich przyjęcie.

Do samochodu od strony Michaela podszedł młody Murzyn. Baczenie przyjrzał się białemu mężczyźnie i zrobił groźną minę. Jednak po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Witam - powiedział. - Mam na imię Noah. Chrześcijański kaznodzieja poinformował nas o waszym przyjeździe. Niestety, jesteśmy dziś bardzo zajęci. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Jutro czeka nas ślub. - Machnięciem ręki wskazał na ludzi, którzy wciąż stali nieruchomo, przerwawszy swoje zajęcia. - Ale choroby nigdy nie przejmują się naszymi planami - skonstatował z promiennym uśmiechem na ustach. - Przychodzą, kiedy chcą. Dlatego...

- Gdzie możemy się rozłożyć? - spytał Michael. Noah wskazał plac na środku wioski. Rosło tam ogromne, stare drzewo. Powyginane konary sięgały aż do ziemi, jakby z roku na rok robiły się coraz cięższe i pień nie mógł sobie z nimi poradzić. Z pęknięć i szczelin w korze wyrastały pnącza.

- Na placu spotkań.

- Przyślij nam kilku ludzi do pomocy - powiedział Michael. Słyszając jego głos, Annah zorientowała się, że jest zły. Przyjechał, by pomóc ludziom. Nie spodziewał się, że będą zajęci

czymś innym.

- Dobrze - obiecał Noah. - Ja również będę wam asystował.

Krzyknął coś w miejscowym narzeczu. Ludzie natychmiast przestali przyglądać się misjonarzom i wrócili do swoich zajęć. Kobiety owinięte w barwne kitenge wróciły do mielenia ziarna i grzebania w ogniskach. Zza drzew wyłoniły się nagie dzieci i zaczęły znosić drewno na opał. Annah wysiadła z land-ro-vera i oderwała spódnicę od lepkich od potu ud. Stanęła w pobliżu auta i obserwowała scenę. Pomimo gorączkowych działań wyczuwało się w tym miejscu coś ponadczasowego. Początkowo nie bardzo wiedziała, skąd to wrażenie, potem zdała sobie sprawę, że wszystko, co widzi, jest afrykańskie.

176

Nie ma żadnych sukienek, spodni, plastikowych kłapek, kolorowych grzebieni we włosach. Żadnych rowerów. Tak samo wioska musiała wyglądać dziesiątki, może nawet setki lat temu.

Po kilku minutach pojawiło się trzech młodych mężczyzn. Pomogli Michaelowi i Annah wyjąć sprzęt z samochodu. Annah w jednej ręce trzymała swoją podręczną torbę, a w drugiej - drewnianą skrzynkę z cennym mikroskopem. Cennym, ponieważ po ukończeniu szkoły dla misjonarzy wydała na to urządzenie wszystkie oszczędności. Gdy

podeszła do starego jak świat drzewa i znalazła się w jego cieniu, poczuła lekki chłodek. Zerknąwszy do góry, zobaczyła, że z niektórych gałęzi zwisają kawałki kolorowych, postrzępionych, wyblakłych i bardzo starych tkanin. Szybko odwróciła wzrok. Wolą nie zastanawiać się, co one oznaczają. Zerknęła na duży, kolorowy prostokąt, przyczepiony w jednym miejscu do pnia. Podeszła, żeby zobaczyć, co to takiego. Okazało się, że ktoś przybił gwoździem metalową tabliczkę. Farba wyblakła i zniszczyła się, ale wciąż można było odczytać napis. „Pij coca-cole”.

Mimo przygotowań do ślubu szybko zebrał się tłumek chorych i ciekawskich. Annah i Michael wkrótce ciężko pracowali, stawiając diagnozy, lecząc i udzielając porad. Wędrowny kaznodzieja jednak dobrze się spisał. Mieszkańcy wioski nie mieli wątpliwości co do dobroczynnego działania lekarstw białego człowieka. Otwierali usta, pozwalając zaświecić sobie latarką do gardła, wyciągali ręce, żeby zrobić im zastrzyk, i prawie nie reagowali, gdy stetoskop wędrował po ich klatkach piersiowych. Annah zauważyła, że niemal wszystkie dzieci cierpią na chroniczne niedożywienie. Nie mogła się temu nadziwić, widząc w wiosce tyle jedzenia. Niewątpliwie przydałaby się Sarah - pomyślała Annah. Następnym razem powinni przyjechać tu we trójkę.

Podczas lunchu Annah i Michael zrobili sobie krótką przerwę. Usiedli na rozkładanych krzesłach, popijając letnią wodę z manierek i jedząc nieświeże kanapki, które zapakowała im

177

Ordona. Noah przykucnął w pobliżu i przeżuwał garść prażonej fasoli. Wskazał na parę nastolatków - dziewczynę i chłopca -którzy stali przed j edną z chat.

- To państwo młodzi - oznajmił.

Oboje byli uderzająco piękni - smukli, proporcjonalnie zbudowani, ich skóra kolorem przypominała kakao z mlekiem. Dziewczyna owinęła się luźno kawałkiem tkaniny i zawiesiła na szyi sznur paciorków. Chłopiec miał jedynie umocowany na biodrach woreczek na genitalia. Na nagiej klatce piersiowej widać było ślady po ledwo zagojonych bliznach inicjacyjnych. Para wyglądała wyjątkowo niewinnie, wręcz dziecięco, a jednocześnie cechowała ją jakaś siła, szlachetność.

- Wezmą chrześcijański ślub - wyjaśnił Noah.

- Przyjedzie kaznodzieja? - spytał Michael, zaskoczony. Noah potrząsnął głową.

- Spodziewamy się wędrownego pastora.

- Afrykańczyka? - dociekał Michael.

- Tak - potwierdził Noah. - Pochodzi z bardzo daleka. Annah odwróciła się do Michaela i zmarszczyła czoło. Michael kiwnął głową. Nie był zaskoczony.

- Sponsoruje ich misja katolicka. Jeżdżą na rowerach. Potrafią dotrzeć wszędzie.

- To będzie również europejski ślub - powiedział Noah z dumą.

Znów coś zawołał. Po chwili pojawiła się grupka kobiet z czymś białym na rękach. Annah patrzyła zaskoczona. Była to długa suknia ślubna z satyny, pełna marszczeń, koronek i kokardek. Dziwny strój jak na ślub mający się odbyć w głębi afrykańskiej dżungli. Annah zdała sobie sprawę, że wszystkie oczy zwrócone są na nią i że tubylcy czekają na jej werdykt. W tym momencie przypomniała jej się żona biskupa i jej przerobiony kapelusz.

- Jest... bardzo ładna - wydukała.

- Europejska - dodał Noah z powagą.

- Tak - zgodziła się Annah. - Zdecydowanie europejska. Noah, zadowolony, gestem ręki kazał kobietom odejść. An-

178

nah patrzyła w ślad za nimi. Bezskutecznie próbowała sobie wyobrazić nastoletnią pannę młodą w białej sukni, pocącą się w gorącym, wilgotnym powietrzu. Ciekawe, w co ubierze się pan młody? - zastanawiała się. Czy na którymś z drzew wisi trzyczęściowy garnitur?

- Gdybyście przyjechali jutro, zobaczylibyście ceremonię - powiedział Noah z żalem.

- Gdybyśmy przyjechali jutro - odparł sucho Michael -musielibyśmy zorganizować przychodnię dla gości weselnych.

Noah przez kilka sekund się nad tym zastanawiał, potem wybuchnął gromkim śmiechem. Odchodząc, jeszcze trzymał się za brzuch.

Annah i Michael późnym popołudniem przyjęli ostatniego pacjenta i zapakowali rzeczy. Oboje wiedzieli, że muszą się spieszyć, jeśli chcą wrócić do misji przed zapadnięciem zmroku. Nie skorzystali z zaproszenia na spotkanie z rodziną panny młodej i pana młodego, i szybko się pożegnali.

Michael naciskał pedał gazu i pochylał się nad kierownicą. Annah widziała jego napięte mięśnie. Była zmęczona upałem i całodzienną pracą. Najbardziej dały się jej we znaki próby porozumiewania się przez tłumacza, który znał zaledwie podstawy suahili. Mimo wyczerpania również ona siedziała wyprostowana. Nie mogła się rozluźnić. Nagle tył land-rovera zarzuciło, auto poślizgnęło się i zjechało z traktu w błotnistą kałużę. Michael, trzymając mocno kierownicę, dodał gazu, ale lewa tylna opona zabuksowała w błocie.

Michael przez chwilę nie ruszał się. Wziął głęboki wdech, włączył reduktor, a potem próbował powoli ruszyć do przodu. Błoto prysnęło na boki, niestety samochód ani drgnął.

- To nic nie da - powiedziała Annah.

Spojrzał na nią bez słowa. Otworzył drzwi, wysiadł z auta i zniknął z pola widzenia. Chwilę później pojawił się z rękami pokrytymi warstewką błota. Wylał czerwoną glinę o spodnie.

- Nie wydostaniemy się stąd bez pomocy - oznajmił. Oparł się o błotnik land-rovera i wbił wzrok w las.

179

Słońce chowało się za drzewami. Słychać było budzące się nocne owady.

- Muszę wrócić do wioski - powiedział Michael, marszcząc czoło.

- To kawał drogi - przypomniała Annah.

- Nie mamy wyboru - odparł Michael. - Nie możemy siedzieć tu przez całą noc. Annah otworzyła drzwi.

- Nie zostanę sama.

- Będziemy musieli iść szybko - uprzedził Michael. Kobieta stanęła obok niego.

- Mam nogi tak samo długie jak ty - przypomniała. Próbowała się roześmiać, żeby rozładować rosnące napięcie. Oboje mocno wyciągali nogi. Nie zwalniali kroku, chociaż wkrótce brakowało im tchu, a po plecach spływały strużki potu. Robiło się coraz ciemniej, powoli zapadała noc. Sarah czeka na nich w Langali.

Wkrótce usłyszeli dudniące w oddali tam-tamy. To dziwne, że ich dźwięk tak dobrze się rozchodzi wśród drzew - pomyślała Annah. Doszła do wniosku, że odgłos bębnów dodaje jej otuchy. Wyobraziła sobie mieszkańców wioski odpoczywających po całodziennych przygotowaniach.

W końcu zobaczyli między drzewami blask ognia. Annah westchnęła z ulgą. Jeden z butów otarł jej nogę. Cieszyła się na myśl, że będzie mogła choćby na kilka minut się zatrzymać. Dudnienie tam-tamów przybrało na sile. Stało się głośniejsze i szybsze. Pobudzało do działania, nie uspokajało. A ogień był tak duży, że bardziej przypominał ogromne ognisko niż żar, na którym gotuje się posiłek.

Annah zatrzymała się na widok strzelających wysoko płomieni.

- Co tu się dzieje?

- Nie zatrzymuj się - ostrzegł Michael. - To prawdopodobnie uroczystość poprzedzająca zaślubiny.

Annah, idąc, wpatrywała się przed siebie. Widziała tancerzy zgromadzonych wokół ogniska. Czarne postacie, które

180

skakały i kręciły się w rytm bębnów, machały rękami i przytupywały.

Odblask ognia połyskiwał na skórze lśniącej od potu. Gołej skórze...

Annah wciągnęła powietrze w płuca. Tancerze byli nadzy.

Michael chwycił ją za rękę i gwałtownie zatrzymał.

- Zaczekaj tutaj - powiedział. - Nie ruszaj się. Zaraz wracam.

Usiadła pod krzakami. Serce szybko waliło jej w piersiach z powodu szoku i nagłego strachu. Zamknęła oczy, nie chcąc widzieć szalonych tancerzy. Nagiej, lśniącej skóry. Tam-tamy dudniły bardzo głośno. Ich dźwięk wwiercał się w mózg, zagłuszał wszelkie myśli. Kobieta jak przez mgłę zdawała sobie sprawę, że w docierających do niej dźwiękach jest coś dziwnego, niezwykłego. Oprócz bębnów słychać było trzeszczenie płomieni i krzyk małego dziecka. Ale nikt się nie śmiał ani nie rozmawiał, jak to bywa na normalnych przyjęciach. Jedynie nieskrępowane żadną odzieżą ciała poruszały się z niezwykłą swobodą.

Słyszając brzęczenie komarów, Annah obciągnęła spódnicę, żeby osłonić nogi. Gdzie jest środek odstraszący? - pomyślała. Ale, zamiast wyobrazić sobie tubkę leżącą na półce w land-roverze, zobaczyła pomarańczowy blask ognia. Poruszające się ciała, naśladujące tańczące płomienie, imitujące pożar.

Przyklękła i wyjrzała zza krzaków. Gdy jej oczy przywykły do jasnego światła rzucanego przez ognisko, dużo wyraźniej ujrzała tancerzy, ich ciała i twarze. Poruszali się z przymkniętymi powiekami i rozchylonymi ustami. Byli pogrążeni w dziwnej ekstazie. Wokół ogniska tańczyły młode kobiety, beztrąsco potrząsając piersiami i sznurami koralików. I pomalowani gliną wojownicy, kołyszący genitaliami. Annah nie mogła oderwać wzroku od nagich ciał, poruszających się w rytm tam-tamów...

Z tłumu wystąpiła dwójka tancerzy. Zbliżyli się do siebie, ich ciała dotknęły się. Skóra musnęła o skórę. Annah ze zdumieniem ich rozpoznała.

181

Była to niewinnie wyglądająca przyszła panna młoda i jej narzeczony.

Mężczyzna jak wąż prześlizgnął się wokół ciała partnerki. Opadł na kolana i wtulił twarz w jej brzuch. Chwyciła go mocno za głowę i zsunęła niżej, niżej...

Annah rozchyliła usta. Drżały jej kolana, czuła rozplywające się po ciele ciepło. Wbrew własnej woli wyobraziła sobie, że przyłącza się do tancerzy. Czuje płomień przesuwany się po skórze. Jej ciało otwiera się, ukazując delikatne, ciepłe wnętrze, przypominające owoc mango. Gotowe do skonsumowania. Zamknęła oczy, ale obraz stał się jeszcze wyraźniejszy. Pomarańczowy blask przedzierał się przez zaciśnięte powieki. Jej ciało - ogniste mango - stało się kuszącym kąskiem. A ponaglące uderzenia tam-tamów, bijące w tym samym rytmie co jej serce, wzywały...

Nagle zdała sobie sprawę, że obok niej ktoś jest. Wyczuła ciepło. Usłyszała oddech. Przestraszyła się.

Sapnęła i odwróciła się.

Michael.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Annah nie odrywała od niego wzroku. Wyciągnął do niej rękę. Podciągnął ją do pozycji stojącej.

- Nie jest dobrze.

Jego głos przebił się przez dudnienie tam-tamów, ale wydawał się dochodzić z daleka... Jakby i Michael był tylko widmem. Całkowicie odcięty od realnego świata.

- Nie mogę znaleźć Noaha. Nie mogę znaleźć nikogo do pomocy.

Annah przytaknęła. Patrzyła Michaelowi w oczy. Odbijał się w nich blask ognia. Były błyszczące, wilgotne. Tak samo jak zroszona potem skóra. Dziwna skóra, z przodu pozłociona przez blask ognia, z tyłu błękitna od promieni księżyca. Annah czuła zapach potu wydzielanego przez ciało Michaela.

Michael nie odrywał od niej oczu. Potem przesunął wzrok w dół, na jej ciało. Zatrzymał się na piersiach, na delikatnych

182

wzniesieniach tuż nad stanikiem, pod przyklejoną do skóry bluzką.

Podszedł bliżej. Dźwięk tam-tamów wypełniał powietrze, bijąc jak gigantyczne serce. Michael położył dłoń na ramieniu Annah. Jak przez mgłę przypomniła sobie ten gest, dotyk bliskości, który nie tak dawno wymienili między sobą. Wszyscy troje - Michael, Sarah i Annah. Nie było w nim niczego niezwykłego.

Teraz uderzenia tam-tamów nadały mu swoiste znaczenie - obcą dotychczas szorstkość, tęsknotę, wołanie o więcej.

Więcej...

Michael zacisnął dłoń na ramieniu Annah. Potem powoli zsunął rękę niżej, niżej...

Tam-tamy zamilkły, powietrze zamarło w bezruchu.

Annah przyglądała się Michaelowi. On patrzył na nią jak urzeczony.

Po sekundzie bębny odezwały się ponownie, tym razem nieco szybciej. Czar prysnął. Michael wziął głęboki wdech i odsunął się. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

Annah powędrowała za nim w głąb dżungli, drogą oświetlaną przez światło księżyca. Szła, potykając się, z oczami wlepionymi w plecy Michaela. Stopy natrafiały na pnącza, ręce czepiały się gałęzi, palce lepiły się od soku roślin.

Gdy dotarli do land-rovera, Michael wpuścił Annah do środka. Sam został na zewnątrz.

Dla ochrony przed owadami szyby były podniesione, w związku z tym w samochodzie panował zaduch. Annah siedziała na swoim miejscu w kompletnym odrętwieniu. W uszach wciąż brzmiało jej dudnienie tam-tamów. Teraz wydawały się z niej szydzić. Kiedy oparła głowę na ramieniu, poczuła, że ma rozpalony i mokry od potu policzek. Widziała przez szybę, jak Michael krąży tam i z powrotem. Ogarnęło ją złowieszcze przeczucie.

Koniec końców Michael usiadł z tyłu land-rovera. Nie odezwał się ani słowem. Annah wyczuwała jego napięcie. I to, że jej towarzysz nie śpi.

183

Chciała się do niego przytulić i zapewnić, że wszystko jest w porządku. W końcu nic się nie stało. Nie zrobili niczego złego.

Tylko wcale nie była tego pewna.

O brzasku grupka myśliwych natknęła się na zagrzebanego w błocie land-rovera. Annah patrzyła nieprzytomnie na twarze zerkających przez szybę Murzynów. Była zmęczona, miała piasek w oczach. Zdawała sobie sprawę, że mężczyźni nie pochodzą z pobliskiej wioski - gdyby przetańczyli całą noc, nie mieliby tyle energii. Byli przygotowani na długi dzień pracy.

- Michaelu! - zawołała przez ramię. - Obudź się!

Były to jej pierwsze słowa od momentu, kiedy usiadł na tyle samochodu. Oboje spędzili noc w milczeniu, usypiani przez zapracowane insekty, odgłosy cichych oddechów i przesuwanie zmęczonych niewygodną pozycją ciał. Na dobre zasnęli dopiero tuż przed świtem.

Myśliwi nie znali suahili, ale zrozumieli, na czym polega kłopotliwe położenie misjonarzy. W szóstkę wypychali samochód, podczas gdy Michael wykrzykiwał instrukcje, a Annah siedziała za kierownicą land-rovera. Po chwili auto znalazło się z powrotem na drodze. Nie mając pod ręką żadnych prezentów, Michael dał myśliwym kilka bandaży ze swojej torby. Mężczyźni ucieszyli się i jeszcze przed zniknięciem w dżungli zaczęli owijać się paskami białej gazy.

Kiedy Michael i Annah powoli oddalali się od wioski, napięcie między nimi stopniowo topniało. Swobodnie wymieniali uwagi na temat starych jak świat metod polowania, jakby nic się nie wydarzyło. Potem omówili nawet przypadki, z jakimi zetknęli się, przyjmując poprzedniego dnia pacjentów. Nie wspomnieli tylko o tańcu przy ognisku i późniejszym napięciu. Nie uzgadniali, co powiedzą po powrocie do Langali - myśl o szukaniu wyjaśnień dotyczących spędzonej razem nocy wydawała się występkiem.

Na miejscu przywitał ich oczekujący tłum.

Gdy land-rover wjechał na ogrodzony teren, Sarah wybiegła

184

1

z domu misyjnego. Michael i Annah wysiedli. Pani Carrington najpierw podeszła do Michaela i go objęła.

- Tak się martwiłam - powiedziała. - Oczywiście, wiedziałam, że wszystko dobrze się skończy, ale to było silniejsze ode mnie.

- Ugrzęźliśmy w błocie - wyjaśnił Michael.

Gdy to mówił, Annah wbrew sobie spojrzała na niego. Zachowywał się jak nastolatek, który coś przeskrobał. Wyglądało jednak na to, że Sarah niczego nie dostrzeża. Rozłożyła ręce, by przywitać się również z przyjaciółką.

- Biedactwa - powiedziała, odsuwając się. - Okropnie wyglądacie.

Annah nagle poczuła, że jest zmęczona, głodna i brudna. Nie wiedziała, czego bardziej potrzebuje - kąpieli, jedzenia czy snu.

- Pamiętam, jak kiedyś musieliśmy zostać w wiosce -ciągnęła Sarah. - Ze względu na dym, muchy i hamaki wolelibyśmy przenocować w land-roverze. Ale ci ludzie zadają sobie tyle trudu, żeby zapewnić nam wygody. A dla was musieli opróżnić dwie chaty...

- Nie spaliśmy w wiosce - przerwała jej Annah. Słowa wypłynęły z ust, nim zdążyła się zastanowić.

- Och... - Sarah wyglądała na zaskoczoną.

- Spędziliśmy noc w land-roverze.

Pani Carrington zamarła w bezruchu. Przez tłum przebiegł pomruk.

Michael zaczął rozpakowywać sprzęt. Nie przyjął pomocy. Sam ładował naręcza.

Sarah przez chwilę stała w bezruchu, potem się uśmiechnęła. Spojrzała na Kate stojącą na stopniach domu misyjnego. Mała ledwo trzymała się na nogach i wołała:

- Nannah! Nannah!

Annah odwróciła się w stronę dziecka. Z przyjemnością słuchała swojego nowego imienia, jakie wybrała dla niej chrześ-nica.

- Już jest! - zawołała Sarah do Kate. - Ciocia Nań wróciła.

185

Nie zwracała uwagi na to, że wszyscy Afrykańczycy bacznie przyglądają się jej twarzy.

- Zostaw to chłopcom, kochanie - powiedziała do Mi-chaela. - Musicie coś zjeść.

Wzięła Annah za rękę i odciągnęła od samochodu. Pani Car-ington zrobiła to świadomie. Annah nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia tego gestu. Sarah dołożyła wszelkich starań, żeby całe wydarzenie zostało odpowiednio potraktowane. Nie chciała dopuścić do tego, by coś zbrukało opinię misjonarzy. Albo, co gorsza, zagroziło tak kochanemu przez nią światu, światu, który dzieliła z ukochanym mężczyzną, najlepszą przyjaciółką i małym dzieckiem. Swoimi najbliższymi.

Annah doszła do wniosku, że Sarah ma rację. Muszą zrobić wszystko, by wyglądało na to, że nic się nie zmieniło. Ujęła dłoń Sarah, doskonale zdając sobie sprawę, że obserwuje ich mnóstwo oczu.

Weszli do domu misyjnego.

„Dwie szczęśliwe żony...”

Minęło kilka tygodni i całe wydarzenie poszło w niepamięć. Annah czuła, że Michael za nic w świecie nie chce przebywać z nią sam na sam. Nikt więcej nie wspomniał o otwarciu wysuniętej bardziej na zachód placówki, ale poza tym wszystko pozostało bez zmian.

Mniej więcej po miesiącu w Langali pojawił się posłaniec z Murchanzy. Spodziewano się go dopiero w przyszłym tygodniu, toteż jego widok wywołał poruszenie, zaczęto snuć przypuszczenia. Młodzieniec był wyczerpany, ledwo trzymał się na nogach, ciężko dyszał i udawał, że mdleje, w nadziei, iż dostanie dużo jedzenia. Annah obserwowała wszystko z

oddziału pediatrycznego. Była zdziwiona. Pilne wiadomości zazwyczaj przekazywano im drogą radiową.

Posłaniec zniknął w domu misyjnym, więc Annah wróciła do pracy. Kilka minut później za jej plecami rozległy się niemal niesłyszalne kroki bosych stóp, a potem przed jej twarzą mignęło coś białego.

186

- To dla siostry - powiedział młodzieniec.

Trzymał w ręce list. Annah wbiła wzrok w godło widoczne w rogu koperty. Dwie włócznie i Biblia. Misja. Biskup. Z rosnącym uczuciem strachu Annah oderwała brzeg.

„Eleanor jest chora. Pani ojciec...”

Przebiegła wzrokiem krótki list, wybierając najważniejsze zdania.

Zmiana miejsca pracy. Nowa placówka. Od zaraz.

Annah z niedowierzaniem wpatrywała się w kartkę, trzymaną w drżącej ręce. Wiadomość była krótka i prosta.

Zabierano jaz Langali. Wysyłano daleko stąd.

Tylko to się liczyło. Nieważne gdzie, jak i dlaczego...

Pobiegła do domu misyjnego. Sarah, Kate i Ordna przygotowywały się do lunchu.

Sarah po przeczytaniu listu zbladła.

- Ordno! - powiedziała słabym głosem. - Zawołaj Mi-chaela.

Zacisnęła palce na papierze i zmięła białą kartkę w kulkę.

- On do tego nie dopuści! - zapewniła przyjaciółkę. - Nie martw się. Na pewno mu się uda. Na pewno. - Uniosła oczy pełne łez. - Musi...

Michael po przyjściu odczekał, aż Ordna z ociąganiem wróci do kuchni. Dopiero potem otworzył usta.

- Wiem, co jest w liście - wyznał. - O wszystkim zawiadomiono mnie wcześniej drogą radiową. Biskup przynosi Annah do Germantown.

- Germantown?! - Sarah patrzyła na niego zaskoczona. - Mieli wysłać tam kogoś z Dodomy. To jakaś pomyłka.

- Nie - powiedział Michael niespiesznie i z rozwagą. - Wiedziałem, że tak będzie. i Obie kobiety spojrzały na niego. - Odkąd o tym wiesz? - spytała Sarah.

- Od tygodnia - odparł.

Annah stała nieruchomo, nie mogła wydusić ani słowa. Przypomniła sobie wszystko, co wie na temat Germantown. Dzień drogi na południe... Stara placówka, opuszczona przez

187

Niemców... Ostatnio odbudowana przez misję... Przypomniła sobie, jak Michael i Staney po powrocie stamtąd opowiadali, że niemal wszystko już jest gotowe. Wkrótce ma tam przyjechać jakaś pielęgniarka.

Jakaś pielęgniarka. Jakakolwiek pielęgniarka. Nie ona...

- Moje miejsce jest tutaj - szepnęła.

Michael skrzywił się, próbując dodać sobie odwagi. Pomimo odczuwanego bólu Annah serdecznie mu współczuła - był rozdarty między osobistymi uczuciami a wymaganiami, jakie stawiała mu funkcja pełniona w Langali.

- To dowód uznania dla twoich umiejętności - wyjaśnił. Zwracał się do Annah, ale patrzył w okno. - Biskup doszedł do wniosku, że poradzisz sobie sama z prowadzeniem tej placówki, chociaż w Afryce jesteś od niedawna. Oczywiście, gdy wszystko już zorganizujesz, dadzą ci ludzi do pomocy. Wyobraź sobie tylko wdzięczność tubylców, którzy po bez mała dwudziestoletniej przerwie w końcu będą mieli zapewnioną opiekę medyczną.

Gdy skończył przemowę, zapadła cisza.

- Postanowiłem, że pojedzie z tobą Staniey - dodał Michael, zerkając na Annah. - Bardzo ci się przyda. Myślę, że jakoś poradzimy sobie bez niego. Praktykant szybko się uczy. Dołożyłem wszelkich starań, żeby Staniey mógł pojechać z tobą.

Annah poczuła, że uginają się pod nią kolana. Zrobiło jej się niedobrze.

Sarah chwyciła Michaela za ramię.

- Powinieneś nas uprzedzić - powiedziała. - Powinieneś temu zapobiec. Musisz zrobić to teraz.

Michael milczał. Zaciśnął wargi w wąską kreseczkę, jakby ktoś go atakował. Jakby czuł się odpowiedzialny.

Annah powoli zaczynała domyślać się prawdy. Sarah widocznie doszła do tego samego wniosku, gdyż odsunęła się od męża i stanęła u boku przyjaciółki.

Obie kobiety spoglądały na Michaela. Nie powiedziały ani słowa. Nie musiały.

- W porządku - westchnął. - Przyznaję się.

188

W końcu popatrzył Annah prosto w oczy. Było to puste spojrzenie człowieka pokonanego.

- To ja prosiłem, żeby cię przeniesiono. - Głos mu się załamał. - Musiałem tak postąpić.

Nastąpiła długa cisza.

Annah nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Chciało jej się płakać, krzyczeć, protestować. Wiedziała jednak, że to nic nie da. Stała nieruchomo, a w jej głowie krążyła jedna myśl.

Mój świat rozpada się na kawałki.

Potem głos zabrała Sarah.

- Annah wpadła ci w oko - powiedziała spokojnie do męża. - Kochasz ją. Dlatego chcesz, żeby stąd wyjechała. Było to stwierdzenie faktu. Nie wymagało odpowiedzi.

- Ciebie też kocham - zapewnił Michael zachrypniętym, ledwo słyszalnym głosem. - Jesteś moją żoną.

- Kochasz nas obie - ciągnęła Sarah pewnie. - Kochamy się nawzajem. Wszyscy troje. Dlatego jesteśmy tacy szczęśliwi, tacy zadowoleni z życia. - Potem jej głos stał się nieco ostrzejszy, gdyż górę wzięły ból i złość. - Jak mogłeś nam to zrobić? Jak mogłeś?

- Nie miałem innego wyjścia - zapewnił Michael.

- Miałeś - odparła Sarah. - Annah mogła wrócić do chaty. Mogliśmy dobudować jej kuchnię, wtedy nie przebywałaby z nami przez cały czas.

Annah spojrzała na Sarah. Pani Carrington miała rację. Mogli wprowadzić pewne zmiany. Mogli coś zrobić... Cokolwiek, tylko nie to...

- To by nie pomogło - zapewnił Michael, potrząsając głową. - Zresztą decyzja już zapadła.

Decyzja już zapadła!

Bezlitosne słowa zawisły w powietrzu. Wszyscy wiedzieli, że to prawda. Michael zwrócił się z prośbą, a biskup spełnił jego życzenie. Annah musi wyjechać. Koniec. Kropka.

- Myślałem, że dadzą ci lżejszą pracę - zapewnił Michael błagalnym głosem. - Może nawet w Dodomie. Tam, gdzie zawsze chciałaś być. - Zabrakło mu słów.

189

Zapadła grobowa cisza.

Annah zwiesiła głowę i ukryła twarz za gęstą zasłoną włosów. Łzy kapały na gładką betonową podłogę. Usłyszała kroki Sarah, potem poczuła na plecach jej chłodne, delikatne ramię. Obie kobiety odwróciły się i przywarły do siebie. Michael stał nieco z boku, tymczasem one mocno się ścisnęły. Płacząc i pojękując, godziły się z bólem, jakby świadomość rozstania była niegrzecznym dzieckiem, które i tak musiały urodzić.

11

Tego ranka, kiedy Annah miała wyjechać z Langali, land-rover stał przed domem misyjnym gotowy do drogi. Walizkę od Louisa Yittona przywiązano na dachu, a wraz z nią torbę medyczną i mikroskop. Na tylnym siedzeniu leżały dwa płócienne tobołki Stanieya. Pozostałą przestrzeń wypełniały zapasy lekarstw i sprzętu, a także koszyki i koszyczki, klatka z kurami, garnki do gotowania, przybory kuchenne, koce i ubrania. Wszystko to należało do żony Stanieya, Judithi. Ona również miała opuścić Langali. Zdecydowała, że na razie zamieszka w wiosce matki - w połowie drogi do Germantown - a dołączy do Annah i Stanieya, gdy na dobre uruchomią nową placówkę. Annah była zaskoczona, słysząc o jej planach, ale Sarah wyjaśniła, że Judithi nie ma dzieci, więc po wyjeździe Stanieya nic nie będzie trzymało jej w Langali.

Gdy nadeszła pora wyjazdu, wszyscy pracownicy misji i mieszkańcy wioski zebrali się wokół land-rovera. Najbliżej Annah, Stanieya i Judithi stali: Ordena z Kate na rękach, Michael, Sarah, Tefa, Barbari i Erica.

Słowa z trudem przechodziły im przez gardła. Sarah przypomniała Annah, że Ordena spakowała koszyczek z jedzeniem, a na tył samochodu wrzuciła termos z gorącą herbatą. Gdy to mówiła, drżały jej wargi. Annah spuściła wzrok. Nie mogła

190

spojrzeć przyjaciółce w oczy. Michael kiwnął na Stanieya, ponieważ chciał mu powiedzieć coś na temat samochodu.

- Mechanik z Murchanzy nie naprawił pompy paliwowej - powiedział. - Jeśli nawali, będziesz musiał jakoś sobie poradzić.

Stanicy cierpliwie przytaknął.

- Przecież zdarzało mi się to już wiele razy - przypomniał.

- Opony są prawie łyse - dodał Michael. - Oczywiście, to też wiesz.

Annah obserwowała Stanieya, który słuchał uwag Michaela. Czuła wyraźną ulgę, widząc, jak znajoma postać pochyla się nad zniszczonym, szarym land-roverem, którym tyle razy jeździła. Przynajmniej będzie miała przy sobie kogoś i coś bliskiego.

Pożegnanie nie mogło ciągnąć się w nieskończoność. Ani Annah, ani Sarah, ani Michael nie wspomnieli o odwiedzinach czy listach - myśl o utrzymywaniu sporadycznego kontaktu po tylu wspólnych przeżyciach była zbyt bolesna, by w ogóle brać ją pod uwagę. Minął czas na wymianę ostatnich uścisków. Na oczach Afrykańczyków misjonarze po raz ostatni podali sobie dłonie i uśmiechnęli się, powstrzymując łzy. Tylko mała Kate nie dostosowała się do obowiązujących reguł. Wyrwała się z rąk niani i wyciągała rączki do Annah.

- Nannah! Nannah! - wołała.

Annah pocałowała ją i uściśnęła - nie mając odwagi przytulić dłużej - a potem się odsunęła. Dziecko zaczęło płakać.

Podróźni wsiedli do land-rovera. Staniey zajął miejsce za kierownicą, Annah na przednim siedzeniu, z tyłu Judithi z kurami.

Gdy pojazd ruszył, Kate głośno zaprotestowała.

Często to robiła, gdy ktoś odjeżdżał land-roverem - perspektywa rozstania ją przerażała. Ale tym razem jej jawna rozpacz kontrastowała z obojętnością osób stojących wokół niej i ukrywających ból.

Gdy samochód opuszczał teren misji, Annah patrzyła prosto przed siebie. Przypominała sobie miejsce, które stało się jej do-

191

mem - dom misyjny z zasłonami w bumerangi, doniczkami geranium w oknach, drugą sypialnią, którą do końca dzieliła z małą chrześnicą, śmiejącą się i kwilącą przez sen. Staniey i Judithi odwrócili się, by po raz ostatni pomachać na pożegnanie. Annah tego nie zrobiła - nie mogła obejrzeć się za siebie.

Długo biegły za nimi głośne i wyraźne krzyki Kate. W końcu stopniowo ucichły...

Annah siedziała w odrętwieniu. Czuła, że ze wszystkich stron otaczają ją bagaże. Stanowiły złowieszczy dowód, że czeka ją długa droga.

I że już nigdy nie wróci do domu.

Ta myśl wypełniła ją bólem. Klucha w gardle utrudniała oddychanie. Annah zaczęła myśleć o Judithi, koniecznie chcąc skierować uwagę na coś innego.

- Cieszysz się, że zobaczysz matkę? - spytała, posługując się prostym suahili i zerkając przez ramię na siedzącą za nią Murzynkę.

Judithi obojętnie kiwnęła głową.

- Ale pewnie będziesz tęsknić za mężem.

Odpowiedź wyglądała dokładnie tak samo. Annah zdała sobie sprawę, że nie powinna zadawać tak osobistych pytań. W końcu prawie nic ich nie łączyło.

Zerknęła w bok, na Stanieya. Tak dobrze знаła jego pociągłą twarz - wystające kości policzkowe, łagodne oczy - mimo to zdawała sobie sprawę, że pod wieloma względami on również jest dla niej człowiekiem obcym. Nawet nie wiedziała, co Staniey sądzi o konieczności opuszczenia Langali. Gdy go spytała, czy jest zadowolony ze zmiany, przytaknął z udawanym entuzjazmem. Annah mogła się tylko domyślać, jak asystent doktora Carringtona traktuje fakt, że o życiu jego i jego żony decyduje misja. Biały biskup z dalekiego miasta.

Biskup Wade. Człowiek, który najpierw wysłał Annah do Langali, a potem bezwzględnie ją stamtąd zabrał.

Na prośbę Michaela.

To Michael tego chciał.

Annah pochyliła głowę i przetarła dłońmi twarz, jakby

192

chciała pozbyć się niemiłych myśli. Jednak na przekór usilnym staraniom wciąż dręczyły ją ponure pytania. Dlaczego Michael nie zwrócił się ze swoimi problemami do Sarah i Annah? Na pewno zdołałyby go przekonać, że jego reakcja jest niewspółmierna do sytuacji. Że wcale nie musi odsyłać Annah.

Choć z drugiej strony może miał rację? - pomyślała Annah. Może przebywając razem, naprawdę robili coś złego, narażali się na ogromne niebezpieczeństwo. Trójka misjonarzy z Langali...

Annah wiedziała, że Michael jest przekonany, iż zgrzeszył -nie uczynkiem, ale sercem i myślą, a to też jest grzech.

„A ja wam powiadam: każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”.

Annah zastanawiała się, czy ona również w grzeszny sposób pożałowała Michaela. Nie potrafiła odpowiedzieć na to proste pytanie. Była młodą, zdrową kobietą. Tęskniła za mężczyzną, a jedynym widywanym przez nią przedstawicielem tej samej rasy był Michael. Czy można się więc dziwić, że gdy wyobrażała sobie ukochanego - przyszłego męża - miała przed oczami jego twarz?

I że go kochała? Mocno i szczerze?

Z perspektywy czasu widziała, że między nią i Michaeliem stopniowo powstawała coraz bliższa więź. Ale przecież było ich troje, liczyła się również Sarah. W jakiś sposób pani Car-rington stanowiła centrum ich maleńkiego kosmosu. Wszystko było takie piękne, takie bliskie... takie dobre. Dlaczego musiało się skończyć? Kto był winien? Przez kogo to wszystko...

Oparwszy głowę na dłoni, Annah wystawiła łokieć za okno i przyglądała się mijanej okolicy. Niegdyś całkiem obca dżungla teraz wydawała się znajoma, kojarzyła się z Langali i dotychczasowym życiem, które Annah musiała zostawić za sobą. Gałęzie drzew zaczepiające o boki land-rovera przypominały ręce przyjaciół, którzy błagali, żeby nie wyjeżdżała.

Późnym rankiem dojechali do wioski, w której mieszkała matka Judithi. Chatki stały na skraju dżungli.

193

- Nie będziemy zatrzymywać się na długo - zapewnił Stanley Annah.

- Nie - zaprotestowała Annah. -^ Musisz przywitać się z wszystkimi. Nie na pośpiechu.

Judithi wpadła prosto w objęcia serdecznie witających ją kobiet. Ściskana i całowana, promieniała jak nigdy wcześniej. Staniey wyładował dobytek żony, a potem powściągliwie przywitał się z mężczyznami z wioski. Annah została w samochodzie. Bawiła się z dziećmi, które wzniewały wrzawę i wyciągały ręce, by dotknąć jej miękkich, rudych włosów.

Wkrótce Staniey wrócił do auta. Gdy usiadł za kierownicą, Annah bacznie przyjrzała się jego twarzy. Zerknęła, gdy żegnał się z Judithi. Zgodnie z afrykańskim obyczajem nie okazywali sobie żadnych uczuć, chociaż istniała możliwość, że zobaczą się dopiero za

kilka miesięcy. Annah próbowała dopatrzeć się na twarzy mężczyzny ukrywanych emocji, ale niczego nie zauważyła.

- Jeśli w Germantown uda nam się wszystko szybko zorganizować - powiedziała po kilku minutach jazdy - wkrótce Judithi będzie mogła do nas dołączyć. Uznajmy to za nasz najważniejszy cel. Coś, na czym najbardziej nam zależy.

Annah miała kłopoty z suahili, nie mogła sobie przypomnieć słowa oznaczającego „priorytet”. Liczyła, że Staniey zrozumiał, o co jej chodzi.

Minęła długa chwila, nim się odezwał. Słuchając słów Murzyna, Annah wyczuła w jego głosie smutek.

- Istnieje takie stare afrykańskie przysłowie - powiedział. - „Kobieta zawsze z przyjemnością wraca do wioski matki”. Nie przejmujemy się więc tą sprawą. Zobaczymy, jaka będzie wola boska...

Annah kiwnęła głową, zdając sobie sprawę, że tym samym temat został zamknięty. Oparła się o siedzenie i poczuła, jak twarda winylowa tapicerka klei jej się do skóry.

Po rozstaniu z Judithi można było uznać, że pożegnania mają już za sobą. Teraz podróż zaczęła się na dobre.

Dżungla ustąpiła miejsca rzadszym zaroślom, droga stała się

194

szersza i prowadziła na południowy wschód. Annah nie mogła wręcz uwierzyć, że ma przed sobą jakiś widok. Przyzwyczyła się do przebywania wśród gęstych drzew, między którymi tylko gdzieniegdzie widać było szczyty skał takich jak Stożek, stanowiących punkty charakterystyczne.

Po południu Staniey zatrzymał samochód w cieniu rzucanym przez kępkę akacji. Annah zerknęła w górę na rozchodzące się na boki, skąpo pokryte listowiem gałęzie. Drzewa Elizy, pełni wdzięku wartownicy sawanny. W pobliżu stał stary baobab. Eliza opisywała również i to drzewo. Odnotowała, że Afrykańczycy nazywają je diabelskim drzewem. Według ich wierzeń zasadzone przez Boga baobaby były proste i wysokie, jednak potem przyszedł diabeł i obrócił drzewa do góry nogami. Tak właśnie wyglądają - pomyślała Annah. Powykręcane, skarłowaciałe gałęzie przypominają korzenie.

Gdy Staniey rozpakowywał przygotowane przez Ordenę pudełko z lunchem, Annah podeszła do baobabu. Kora przypominała starą, pomarszczoną skórę, jednak miejscami była zaskakująco gładka, jak policzek starej kobiety. Widząc, że pień w środku jest pusty, Annah nachyliła się, by zajrzeć do środka. Wydała cichy krzyk. Wewnątrz wisiało ciało - obciążone skórą, kościste, z otwartymi ustami. Zmumifikowany człowiek. W nieruchomym powietrzu nie brzęczała żadna mucha. Zwłoki zdążyły już się zasuszyć. Annah zadrżała, odwróciła się... i stanęła twarzą w twarz ze Stanieyem.

- To drzewo duchów - powiedział, biorąc Annah za ramię i energicznie odciągając na bok. - Nikt nie powinien zaglądać do środka.

Machnięciem ręki kazał Annah wrócić do land-rovera, przy którym rozłożył składany stolik. Annah posłusznie oddaliła się od drzewa, ale ku własnemu zaskoczeniu odkryła, że Staniey wcale nie idzie za nią. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczyła, że Murzyn podbiegł do niskiej akacji. Urwał gałązkę i zaniósł ją do baobabu, po czym szybko, ale starannie ułożył ją u stóp pustego w środku pnia. Annah odwróciła się, nie chcąc, by Staniey się zorientował, że jest obserwowany... Zmarszczyła

195

czoło. Chociaż nie mogła w to uwierzyć, jej towarzysz podróży wyraźnie odprawiał jakiś pogański rytuał. Zaufany pomocnik Michaela... Zresztą wcale nie wyglądało to groźnie. Może -wmawiała sobie - chodzi tylko o jakieś przesady, coś w rodzaju plucia przez ramię. Ale Stanicy był chrześcijaninem, a chrześcijanie nie powinni wierzyć w przesady. Na przykład Michael celowo przechodził pod drabinami i planował podróżę na trzynasty dzień miesiąca.

Kiedy Stanicy przyłączył się do Annah i jedli wspólnie posiłek, ani słowem nie wspomniała o baobabie. Potem, gdy wyruszyli w drogę, natknęli się na następny. Na jednym z jego powykręcanych konarów wisiało ścierwo zarżniętego niedawno zwierzęcia.

- Zło panoszy się w tej okolicy - orzekł Stanicy, gdy mijali drzewo.

Annah przytaknęła. Michael oficjalnym tonem, jakim omawiał wszystkie sprawy związane z wyjazdem Annah, wyjaśnił, że niemieccy misjonarze pracowali przez wiele lat w tej okolicy, ale prawie nikogo nie udało im się nawrócić. Od ich wyjazdu nic się nie zmieniło.

Annah wyjrzała przez szybę land-rovera. Krajobraz nagle wydał jej się nieprzyjazny, drzewa wyciągały zachłanne ramiona ku obcemu niebu. W oddali krążył sęp. Przeniosła wzrok, skupiając się na znajomym, bezpiecznym wnętrzu land-rovera.

- Jak sądzisz, czemu pracujący w tej okolicy misjonarze ponieśli porażkę? - spytała Stanleya. Wzruszył ramionami.

- Bóg raczy wiedzieć.

Annah zmarszczyła czoło, rozdrażniona tą odpowiedzią. Często słyszała jaw szpitalu, gdy o coś pytała. Bóg raczy wiedzieć. Jakby mogła po prostu sama wznieść oczy ku niebu i osobiście Go o to zapytać.

- Ale dotarli do mnie pewne pogłoski - dodał Stanicy. Annah kiwnęła głową, a potem czekała w milczeniu, wiedząc, że we właściwym czasie jej towarzysz opowie o tym, co usłyszał.

196

- Mieszkała tu biała kobieta - zaczął Afrykańczyk po chwili. - Podobno sama zajmowała ogromny dom. Była Amerykanką. Zaprzyjaźniła się z tutejszym wodzem. Człowiekiem o ogromnej władzy. Niektórzy uważają, że to właśnie ona namówiła go, by wypędził misjonarzy.

Annah odwróciła się do Stanleya z otwartymi ustami. Zasłyszana opowieść wzbudziła w niej ciekawość.

- Czy ona wciąż tam jest?-spytała.

- Tak - odparł Stanicy. - Leży w grobie.

- Kim była? - dociekała Annah. - Co tu robiła?

- Bóg raczy wiedzieć - powtórzył Stanicy.

Annah wpatrywała się w dal. Próbowała sobie wyobrazić białą kobietę, która zdołała tak bardzo zaprzyjaźnić się z afrykańskim wodzem, że miała wpływ na jego decyzje. Czy przychodziła do jego chaty i spożywała z nim posiłki? Czy cały czas mieszkała sama, bez opieki mężczyzny - białego mężczyzny? Dlaczego była przeciwna obecności misjonarzy? Co po sobie zostawiła?

- Ale teraz ludzie nas chcą - przypomniała Annah. W jej głosie pobrzmiewał niepokój, jakby była dzieckiem, które czeka na zapewnienie kogoś starszego. - Prosimy, żebyśmy przyjechali.

- Tak mi powiedziano - odrzekł Staniey. - Tubylcy zwrócili się do biskupa i rządu z prośbą o ponowne uruchomienie starego szpitala.

Nagle coś przyszło Annah na myśl.

- Kto o to prosił? Ci sami ludzie, których wódz przyjaźnił się z Amerykanką?

Staniey przez chwilę się zastanawiał.

- Tak - odparł. - Wydaje mi się, że to właśnie oni. Plemię Waganga. Bardzo mocni ludzie. Annah zmarszczyła czoło.

- Czyżby zmienili zdanie?

- Tylko częściowo - wyjaśnił Staniey. - Chcą mieć szpital, ale nie godzą się na kościół ani szkołę. Annah przytaknęła.

197

- Na początek szpital wystarczy - orzekła.

Próbowała nie myśleć o czekającej ją pracy. Będzie musiała robić wszystko krok po kroku. Powoli dążyć do zwycięstwa. Miała zamiar wygrać. Żeby pokazać Michaelowi.

- Oczywiście - przyznał Staniey z uśmiechem. - Jeśli kościół chce tu powstać, tylko Bóg może temu przeszkodzić.

O zachodzie słońca ich oczom ukazała się stara niemiecka misja - kilka widocznych w oddali pobielanych budynków, usadowionych u podnóża stromego wzniesienia. Teren wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Michael: był dobrze utrzymany i malowniczy. Brakowało tylko przyjaznego blasku ognisk albo latami, czegoś, co witałoby podróżnych, którzy pokonali długą drogę.

Annah wyobrażała sobie, że szpital jest gotowy do użytku. Są w nim łóżka, a w magazynie pod okiem miejscowego dozorczy czeka pościel i inne niezbędne rzeczy. Powiedziano jej, że jest tu również radio, dzięki czemu można będzie utrzymywać kontakt z Langali i innymi placówkami. Staniey i Michael byli w Germantown zaledwie sześć tygodni temu. Na własne oczy widzieli, że wszystko jest w porządku. Czeka na nową pielęgniarkę z Dodomy...

W ostatnich promieniach słońca powoli zbliżali się do zabudowań. Proste białe bryły budynków wyraźnie ukazywały detale - zarysy drzwi i okien.

Jednak dachy wyglądały jakoś dziwnie. W padającym z ukosa żółtawym świetle nie było widać błysku blachy.

Annah uniosła brwi i odwróciła się do Stanieya. Murzyn pochylił się nad kierownicą i bez słowa wpatrywał się przed siebie.

Gdy land-rover wjechał na teren misji, oboje usiedli w pełnym zdumienia milczeniu, rozglądając się dookoła. Budynki nie miały drzwi ani okiennic. Powyrywano nawet framugi. Brakowało dachów, w ich miejscu widać było tylko krokwie. Ktoś splądrował placówkę.

Panowała cisza i spokój, jak w ruinach po wojnie. Staniey i Annah wysiedli z samochodu i oniemiała obszli cały teren.

198

Widzieli rury wystające ze ścian w miejscach, gdzie niegdyś były umywalki. Zajrzeli do kuchni. Miejsce po piecu świeciło pustką, ślady po sadzy wciąż wskazywały jego kształt na tle białej ściany.

- Poszukam dozorcę - zaproponował Staniey.

Jednak w jego głosie pobrzmiewała wątpliwość. Oboje dobrze wiedzieli, że nie znajdują żadnego dozorcę. Niezależnie od tego, czy był winny, czy nie, na pewno dawno zdążył stąd uciec.

Annah rozejrzała się wokół siebie. Aż trudno było ogarnąć skalę zniszczeń. Zastanawiała się, co pomyślałby Michael, gdyby się tu znalazł. Wyobraziwszy sobie wściekłość na jego twarzy, wybuchnęła śmiechem. Śmiała się głośno, z głową odrzuconą do tyłu i twarzą wzniesioną ku niebu. Do oczu napłynęły jej łzy, potem potoczyły się po skroniach w stronę zakurzonych włosów.

Nagle zdała sobie sprawę, że wokół zbiera się tłum ciekawskich. Gromadzili się na obrzeżach misji i w milczeniu obserwowali Annah. Zastanawiała się, czy są przyjaźnie nastawieni, czy raczej powinna się ich bać. Ale nie zwracała na to uwagi.

Obok niej pojawił się Staniey.

- Powiedzieli mi, co się stało. Dozorca sprzedał wszystko i uciekł do Nairobi. Magazyn jest pusty, nie ma nawet radia. - Ściszył głos. - Myślę, że niektórzy z nich przyłożyli do tego rękę. Opowiadając, odwracają wzrok. - Potrząsnął głową wyraźnie zaniepokojony. - Ale reszta - dodał nieco weselszym tonem - jest bardzo zła na dozorcę. Mówią, że wodza nie ma. Wyjechał daleko stąd. Gdyby tu był, nie dopuściłby do tego.

- To miłe - zadrwiła Annah. Staniey ponuro przytaknął.

- Co teraz zrobimy? Annah westchnęła.

- Zostaniemy tu na noc, a jutro wrócimy do Langali. Staniey spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie mamy wyboru - wyjaśniła Annah. - To nie nasza wina.

199

Podeszła do land-rovera. Otworzyła drzwi i stała nieruchomo, patrząc obojętnie na stos przedmiotów.

- Gdzieś powinien tu być namiot. Po nocy spędzonej przez nich w land-roverze namiot stał się standardowym wyposażeniem podczas wszelkich wypraw.

- Jest tutaj. - Staniey wskazał maleńki rożek zielonego materiału, wystający spod pudeł.

- To dobrze - ucieszyła się Annah.

Wolała spędzić noc w namiocie niż w land-roverze. Wiedziała, że Staniey z radością położy się pod gołym niebem, byle mieć moskitierę, która zabezpieczy go przed owadami i węzami. Zawsze tak postępował podczas podróży. Nie zależało mu na dachu nad głową, chyba że padało. Annah nagle poczuła, że jest zmęczona, głodna i brudna. Wykorzystując odrobinę cennej wody do picia, zwilżyła ręce, a potem wytarła je w czysty ręcznik. Z materiału uniósł się zapach jednej z lawendowych saszetek Sarah. Przez chwilę Annah myślała o przyjaciółce, wyobraziła sobie jej współczucie i pocieszenie. Zamrugła powiekami, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy, po czym zajrzała do przygotowanego przez Ordenę pudełka z jedzeniem. Wyjęła jeden z zimnych placuszków, przełamała go i podała połowę Stan-leyowi, który już zajął się rozbijaniem namiotu. Przez chwilę krążył po placu, aż na samym środku misji znalazł kawałek płaskiego gruntu. Annah uśmiechnęła się, widząc, że jej namiot montowany jest właśnie w takim miejscu, jakby była dowódcą

wrogiej armii okupującej obce terytorium. Nie misjonarką, siostrą przełożoną, która przygotowuje się do spędzenia pierwszej nocy w swoim nowym szpitalu.

Annah obudziła się i powoli otworzyła oczy. Pierwsze promienie słońca wpadały do środka przez otworki w zniszczonym materiale namiotu. Nagle poczuła zapach palonego drewna. I usłyszała jakiś dźwięk - wycie psa. A może płacz niemowlęcia? Uniosła głowę i nadstawiła uszu.

Z zewnątrz dochodził cichy, równomierny pomruk ludzkich głosów. Wielu głosów.

200

Annah odrzuciła prześcieradło, podpełzła do otworu okiennego i uniosła rożek materiału.

Na placu aż roiło się od ludzi. Było tam pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Siedzieli na nagiej ziemi, bez słowa wpatrując się w namiot.

Pomruk zamienił się w jęk zachwytu, kiedy rozpięła zamek i wyszła na zewnątrz. Nie zwracając uwagi na reakcję tłumu, zaczęła rozglądać się za Stanieyem. Ujrzała wreszcie dobrze sobie znaną wysoką, chudą postać w stroju koloru khaki wśród innych Afrykańczyków, odzianych w tradycyjne tkaniny.

- Stanieyu! - zawołała.

Rozkładał za land-roverem jeden ze stolików. W pobliżu na ziemi leżało kilka pudeł z medykamentami.

- Co tu się dzieje?

- Przyszli po pomoc - wyjaśnił, machnięciem ręki pokazując tłum.

Annah patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Co takiego?

- To pacjenci - odparł Staniey.

- Chyba żartujesz - syknęła Annah. Staniey bez słowa sięgnął do samochodu i wyjął składane krzeselko. Ustawił je przy stoliku. Potem spojrzał na Annah.

- Odeślesz potrzebujących?

Przyglądała mu się w milczeniu. Staniey wyraźnie nawiązał do biblijnej przypowieści i proponował Annah odegranie jednej z dwóch głównych ról. Samarytanina albo faryzeusza. Bohatera albo łajdaka.

Ludzie spokojnie ich obserwowali.

Annah westchnęła i przeczesła palcami splecione włosy.

- Gdzie moja torba? - spytała.

Staniey wręczył Annah zgubę. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Tłum potraktował ten gest jak sygnał. Rozległo się ciche szuranie nóg. Najbliżsi ludzie wstali i podeszli do przodu, a inni przesunęli się na ich miejsce.

- Jutro o brzasku wyjeżdżamy - powiedziała Annah do Stanieya.

201

Staniey energicznie kiwnął głową, a potem zawołał do stolika pierwszego pacjenta.

Oczekujący w kolejce Murzyni z ogromnym zainteresowaniem obserwowali, jak pracują pielęgniarka i jej asystent. Oglądali każdy przyrząd - stetoskop, nerkę, strzykawkę - i każde pudełeczko, buteleczkę czy fiolkę, jakie Annah lub Staniey brali do ręki. Po zabiegu niemal każdy pacjent próbował za pomocą prostego suahili wyrazić wdzięczność,

że w Germantown znów otwarto szpital. Zachowywali się, jakby nie zauważyli, że budynki zostały ogołoczone. Biała kobieta za każdym razem wyjaśniała, że szpital wcale nie został otwarty, ponieważ nie nadaje się do użytku. Nie ma leków, nie ma nawet radiostacji, za pośrednictwem której można by wezwać pomoc. Ludzie słuchali Annah, ale właściwie nie przyjmowali jej wyjaśnień do wiadomości.

- Najważniejsze, że pani tu jest - mówili, jakby tylko to się liczyło. - Że pani przyjechała. W końcu mamy szpital. Wreszcie Annah straciła cierpliwość.

- Nie ma bieżącej wody - powiedziała, podnosząc głos, by słyszała ją nie tylko uśmiechnięta kobieta, stojąca z przodu kolejki. - Kurki, umywalki, nawet rury zniknęły. Nie da się tu pracować.

Z tłumu wystąpił starszy mężczyzna. Miał przedziurawione i rozciągnięte niemal do pasa małżowiny uszne. Zmarszczył czoło zaskoczony.

- Żyję od dawna i nigdy nie widziałem budynku, w którym płynęłaby woda - powiedział. - Woda może zaczekać na panią w tykwach, garnkach i innych naczyniach.

Patrzył Annah prosto w oczy, czekając na odpowiedź. Unikała jego wzroku, czując się jak rozkapryszone dziecko, uparcie domagające się luksusów. Wszystko jest względne - powtarzała sobie - w tym cały kłopot. Widziała w Royal lekarzy, którzy odmawiali przeprowadzenia operacji z powodu źle ułożonej tacy z instrumentami. Tu miała do czynienia z odwrotną sytuacją. Chyba może żądać podstawowych udogodnień, prawda? Ale jak wytłumaczyć coś takiego Afrykańczykom z buszu?

202

Annah podniosła głowę i napotkała spojrzenie starca. Nie odezwała się ani słowem, jedynie w milczeniu na niego patrzyła. W końcu Murzyn potrząsnął głową i kołysząc uszami, wrócił między swoich.

Do śniadania Annah i Staniey przyjęli dwudziestu pięciu pacjentów. Jednak liczba oczekujących rosła, wydawało się więc, że nie uczynili niemal żadnego postępu. Annah i Staniey spojrzeli na siebie. Oboje zaczęli się zastanawiać, jak stąd wyjechać? Annah przez chwilę rozważała możliwość utworzenia tymczasowej przychodni, potem jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Zapasy przywiezione przez nią i Stanieya zaczynały topnieć. Zawartość pudeł znajdujących się w land-roverze miała jedynie uzupełnić braki w dość dobrze wyposażonym magazynie. Dysponowali więc podkładkami gumowymi, kocykami do dziecięcych łóżeczek i igłami. Brakowało natomiast strzykawek, antybiotyków, środków przeciwbólowych - rzeczy, których zużywa się najczęściej. Praca bez nich nie miała sensu. Nie do przyjęcia był również stan budynków. Z powodu braku drzwi i okien do środka dostały się zwierzęta i ptaki, wypełniając pomieszczenia odchodami. Kilka tykw wody nie wystarczy, by zapewnić higieniczne warunki. Annah i Staniey nie mają wyboru, muszą wyjechać. Niezależnie od tego, jak bardzo wszyscy będą się starali odwieść ich od takiego zamiaru, misjonarze mogą zrobić tylko jedno.

- Będziemy pracować do zmroku - zdecydowała Annah, gdy po szybkim zjedzeniu ugali wrócili do pracy - niestety, jutro musimy wyjechać. Przykro mi, ale nie ma innej rady.

Tubylcy uprzejmie kiwali głowami, Annah czuła jednak, że nie zdoła ich przekonać.

Nazajutrz Annah wstała o brzasku, zamierzając złożyć namiot i odjechać, nim zbierze się tłum. Jednak po wyjściu z namiotu natknęła się na niewielką grupkę już czekających ludzi. Ujrawszy ją, z podnieceniem zaczęli wskazywać za siebie. Gdy podeszła do nich, rozstąpili się na boki, ukazując rzeczy starannie poukładane na brudnym szpitalnym kocu. Były tam kurki, kawałki rur, poplątane prześcieradła i koce, muszla klo-

zetowa upstrzona odchodami kur, drzwiczki pieca kuchennego i inne rzeczy. Obok niej pojawił się stary Murzyn z długimi uszami.

- Widzi pani - odezwał się dumnie. - Rzeczy wracają. Gdy Annah oglądała rupiecie, ludzie wokół niej uśmiechali się i kiwali głowami. Pojawił się Staniey. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Annah nie dopuściła go do słowa.

- Nic nie mów - zaprotestowała. - Postanowili przywrócić szpital do stanu używalności. Staniey tylko się uśmiechnął.

Annah i Staniey powoli obchodzili placówkę misyjną w Germantown, poddając każdy pawilon dokładnym oględzinom. Oddziały, które ostatnio wyremontowano, nie nadawały się do użytku, ponieważ złodzieje ukradli przykrywającą je blachę. Niektóre budynki gospodarcze miały nietknięte dachy z gliny, ale w środku zamiast podłóg było klepisko, co uniemożliwiało utrzymanie czystości. Patrząc na to wszystko, Annah przypomniała sobie coś, co wyczytała w listach Elizy - opis, w jaki sposób pierwsze pielęgniarki radziły sobie w prymitywnych warunkach. Rzucaly na klepisko słomę i siano, po czym codziennie zmieniały wyściółkę. A czasami poprzestawały na zamiataniu podłogi zwykłą miotłą z gałązek. Tym sposobem pozbywały się tropikalnej pchły piaskowej, chociaż Eli-za zaznaczyła, że zamiatający musiał dobrze natrzeć sobie podeszwy naftą, by zabezpieczyć się podczas pracy.

Annah wędrowała za Stanieyem z budynku do budynku. Po drodze przypominała sobie inne rady Elizy. Muł rzeczny doskonale nadaje się do gorących okładów - pisała ciotka. Jeśli brakuje opatrunków, na otwarte skaleczenie można nałożyć pajęczynę. Skorpiony nie są straszne, jeśli trzyma się w chacie kilka kur. Kufry dobrze jest stawiać na kamieniach, gdyż to zniechęca insekty. Zawsze można obejść się bez pewnych rzeczy.

A przy bożej pomocy wszystko jest możliwe.

Annah zatrzymała się przed jednym z największych budynków gospodarczych i wskazała na trawiasty teren na jego tyłach.

- Musimy zacząć - powiedziała - od wykopania w tym miejscu dziury.

Staniey sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Przecież zwrócono nam muszle i zamontowano je, gdzie trzeba.

- Tam będziemy przemywać zainfekowane rany - wyjaśniła Annah. - Otwór musi mieć przykrywę, a po każdym użyciu przysypimy go warstwą popiołu.

Staniey przytaknął.

- To niezmiernie ważna zasada - ciągnęła Annah, cytując Elizę - i wszyscy będziemy musieli jej przestrzegać. W budynkach bezwzględnie trzeba dbać o czystość.

Szła dalej, przyspieszając kroku, by dorównać galopującym myślom. W głębi duszy wciąż nie mogła się nadziwić, że oboje ze Stanieyem w ogóle zastanawiają się nad rozpoczęciem pracy w takich warunkach. A jednak odczuwała rosnące podniecenie na myśl o podjęciu ogromnego wyzwania.

- Będziemy musieli poprosić tubylców o zniesienie drewna na opał, żeby było na czym gotować wodę. Wkrótce skończą się nam środki antyseptyczne.

Staniey wysunął się do przodu, potem odwrócił się twarzą do Annah. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, powstrzymał się jednak, niezbyt pewien, czy to zrobić.

- O co chodzi? - spytała Annah.

- Widziałem w tamtych zaroślach pewną roślinę - powiedział, wskazując poza teren misji, w miejsce, gdzie zaczynały się drzewa i krzewy. - Znam ją. To bluszcz. Jeśli zgniecione liście zagotuje się w wodzie, uzyska się skuteczny środek przeciwko zarazkom.

Annah zmarszczyła czoło.

- Nie używano go w Langali, prawda? Staniey potrząsnął przecząco głową.

205

- Biali ludzie mają swoje skuteczne i mocne lekarstwa, które pochodzą z pudełek z naklejkami. Ale tu nimi nie dysponujemy. Musimy wykorzystać miejscowe sposoby.

- Czy Michael wie o bluszczu? Staniey wzruszył ramionami.

- Nie mówiłem mu nic na ten temat.

- Ale wszyscy Afrykańczycy znają tę roślinę?

- Nie. Zaledwie kilku.

- W takim razie skąd ty o niej wiesz? Staniey przez chwilę milczał. Wyglądało na to, że zastanawia się, ile może ujawnić.

- Ktoś cię nauczył? - naciskała Annah. Staniey przytaknął.

- Moja babcia. Znała wiele lekarstw. Przed śmiercią powiedziała mi o kilku z nich.

Annah nie odrywała od niego wzroku.

- To znaczy, że w Langali był ktoś, kto wyrabiał miejscowe specyfiki?

- Nie mieszkała w naszej wiosce.

Annah popatrzyła Stanieyowi w oczy. Nagle przypomniała sobie wieczór, kiedy spotkała swojego obecnego pomocnika po drugiej stronie strumienia - w dawnej osadzie. W pobliżu chaty szamanki.

- Była twój ą babcia... - szepnęła Annah. Staniey nie odwrócił głowy. Buntowniczo wysunął brodę do przodu.

- Odwiedzałem ją ukradkiem. Słuchałem jej opowieści i uczyłem się wszystkiego, co chciała mi przekazać. Tylko ja u niej bywałem. - Po chwili dodał łagodniejszym głosem: - To ja, będąc dzieckiem, trzymałem ją na rękach, gdy umierała.

Annah pochyliła głowę. Nie wiedziała, co powiedzieć. Do pewnego stopnia była wstrząśnięta słowami Stanieya, ale coś chwyciło ją za serce, gdy wyobrażała sobie wiernego wnuka, przychodzącego w odwiedziny do starej kobiety.

- Czego cię nauczyła? - spytała Annah. - Co ci opowiadała?

206

Tak jak poprzednio przed udzieleniem odpowiedzi Staniey chwilę milczał.

- Babcia miała wiele powiedzonek. Jedno z nich brzmiało:

„Biali ludzie nie potrafią zrozumieć tego, co wiedzą czarni”. -Wzruszył ramionami, potem uśmiechnął się, by złagodzić swoje słowa. - Jej opowieści nie są dla ciebie.

Annah nie pytała o więcej. Oto do czego doszło - dumiała. Znalazła się splądrowanej placówce misyjnej. Nie ma radia, jest kompletnie odcięta od świata, znikąd nie może oczekiwać żadnej pomocy. A zaufany asystent Michaela jest wnukiem czarownicy. To nie

jego wina - wmawiała sobie Annah - w końcu był wtedy tylko dzieckiem. O dziwo, nie miał wyrzutów sumienia z powodu tego pokrewieństwa, wręcz się nim szczycił.

Widząc pustą butelkę leżącą w pobliżu jednego z budynków pozbawionych dachów, Annah przypomniała sobie, dlaczego Staniey wspomniał o babce. Bluszcz. Jeśli mówił prawdę, miała w zasięgu ręki naturalny środek dezynfekcyjny. Skoro chcą tu pracować, będą musieli skorzystać z ziół, gdy skończy się dettol. Nieważne, skąd pochodzi przepis Stanieya - pomyślała Annah - warto sprawdzić wywar z bluszczu. Nie ma wyboru.

Wyposażeni w różne środki i sposoby, częściowo zapożyczone od Elizy, częściowo od babci Stanieya, Annah i Staniey uruchomili przychodnię i zaczęli przyjmować pacjentów. Zapotrzebowanie na ich usługi było ogromne - od dziesięcioleci ludzie z tych okolic nie mieli żadnej opieki medycznej. Każdego dnia pojawiała się wiele osób cierpiących na trąd, malarię, owrzodzenia, infekcje oczu. Wśród powszechnych dolegliwości zdarzały się też rzadkie przypadki, o których Annah tylko czytała w podręcznikach lekarskich, na przykład słoniowatość, choroba, która zamienia stopy i kostki w okrągłe, pokryte grubą skórą pnie. Oczywiście, nie brakowało niedożywionych dzieci i kobiet, które nie wróciły do zdrowia po trudnych porodach. W wielu przypadkach Annah nie mogła zaproponować żadnego lekarstwa ani zabiegu. Ale przybyłym wystarczało, że

207

ich zbadała i postawiła diagnozę. Na szczęście najczęściej można było pomóc.

Niemal każdego dnia Annah stykała się ze śladami pozostawionymi przez rękę szamana: poparzeniami, niewidzącymi oczami, dziećmi bliskimi śmierci z powodu wysokiej gorączki, „lekarstwami” zawieszonymi w woreczkach na smukłych szyjach. Często, lecząc ofiary owych praktyk, łapała się na tym, że myśli o tutejszych uzdrowicielach. Czy za ich działaniem kryje się złośliwość, czy ignorancja? A może i jedno, i drugie? Zakładała również, że w większości przypadków stosowane przez nich metody mogą być skuteczne, a do niej trafiają jedynie chorzy, których leczenie się nie powiodło. Każda medycyna ma swoje słabe i mocne punkty. Wioskowych „uzdrowiaczy” można porównać do lekarzy ogólnych, którzy nie mając do dyspozycji specjalistów, muszą podejmować działania znacznie przekraczające ich wiedzę. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak trudno powiedzieć: „Przepraszam, nie wiem. Nie mogę panu czy pani pomóc”. Zwłaszcza jeśli jest się jedyną osobą posiadającą jakąś wiedzę.

Sprawę dodatkowo utrudniał fakt, że szamani byli jednocześnie kapłanami. Czerpali siłę z praktyk magicznych - tak przynajmniej sądzili misjonarze - trudno więc się dziwić, że czasami ich kuracje przynosiły mizerny czy wręcz odwrotny efekt. Annah nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Zastanawiała się, czy nie poruszyć tej kwestii w rozmowie ze Stanieyem, wiedziała jednak, że nie powinna prowadzić takich dyskusji z czarnoskórym pracownikiem misji. W końcu pogląd ich władz na temat szamanów i „medycyny” ludowej był jasny. W podręczniku, z którego uczyła się Annah, znajdował się nawet rozdział poświęcony temu tematowi. Jego tytuł mówił sam za siebie: Wróg lekarza misyjnego.

Przyjmując chorych, Annah zdawała sobie sprawę, że brakuje jej czasu, by należycie zbadać każdego z nich. Wiedziała jednak, że na dwudziestu pacjentów jedna lub dwie osoby są poważnie chore. Nie mogąc skorzystać w wyuczonym sposobu stawiania diagnozy, uciekała się do modlitwy. Błagała

208

Boga, by pozwolił jej wyczuć, czy badanej osobie grozi poważne niebezpieczeństwo. Owa modlitwa zrodziła się w wyniku ogromnej desperacji, ale przyjmując niezliczone rzesze ludzi, Annah odkryła, że naprawdę ma jakiś szósty zmysł. Gdy do stolika

podchodził kolejny pacjent, przez chwilę siedziała w milczeniu i bezruchu, wsłuchując się we własne odczucia, nim zaczęła czerpać informacje poprzez dotyk, patrząc oczami duszy, nim skorzysta ze wzroku. Ta metoda przynosiła efekty. Pozwalała na określenie, któremu pacjentowi trzeba poświęcić więcej czasu. Potem pozostawało już tylko postawienie diagnozy, chociaż rzadko można było zaproponować konkretne leczenie.

Brakowało podstawowych lekarstw. Annah i Staniey musieli wspólnie zdecydować, któremu z pacjentów podać cenny specyfik. Nie chcieli uszczuplać skąpych zapasów, ordynując to czy tamto osobom, które prawdopodobnie i tak umrą. Albo które poradzą sobie bez kuracji. Często musieli dokonywać bolesnych, wręcz nieludzkich wyborów. Ale nikt nie mógł ich w tym zastąpić.

Annah przyłapała się na tym, że próbuje zapamiętać pacjentów - ich wygląd i strój - i nie zapominać, iż są to ludzie, a nie wieczne źródło kłopotów. Afrykańczycy pojawiający się na terenie misji niewątpliwie należeli do kilku plemion. Część z nich miała bardzo ciemną skórę i typowo negroidalne rysy twarzy. Zdarzali się też wyżsi, o jaśniejszej karnacji. Mieli dumne, ładne twarze i zawsze nosili afrykańskie stroje. Mężczyźni zawieszali na szyjach kolorowe paciorki i malowali ciała czerwoną gliną. Przypominali dystyngowanych Masa-jów, koczownicze plemię wojowników z sawanny, których pochodzenie owiane było mgiełką tajemnicy.

- Kim oni są? - spytała pewnego wieczoru Stanleeya, gdy siedzieli we dwoje i obserwowali ostatnich pacjentów opuszczających teren misji.

- To wojownicy z plemienia Waganga - odparł Staniey. Annah przytaknęła. A więc ludzie, którzy przyjaźnili się z Amerykanką.

209

- Pochodzą z wioski znajdującej się po drugiej stronie wzgórza - ciągnął Staniey.

Wskazał skały wznoszące się na tyłach szpitala. Na tle ciemniejszego nieba widać było granie, gdzieś porośnięte niskimi krzewami.

- Dlaczego tak bardzo różnią się wyglądem od sąsiadów? - spytała Annah.

- Wiem tylko, że to bardzo stare i wojownicze plemię - odpowiedział Staniey.

Wrócił do przygotowywania posiłku. Jak zwykle tubylcy przynieśli w prezencie dla przybyszów jedzenie. Zazwyczaj były to orzeszki ziemne, jajka, pomidory, cebula i kasawa. Tego dnia pojawił się też garnek z duszoną kurą.

- Porządnie ugotowane mięso powinno być bezpieczne - skomentowała Annah.

Pochyliła się i wciągnęła w nozdrza wspaniałą zapach potrawy. Staniey gwałtownym ruchem wyrwał jej naczynie.

- Nie dotykaj go - powiedział. - Może być zatrute. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Co takiego?

- Czarownicy i czarownice mogą zazdrościć ci skuteczności - wyjaśnił Staniey. - Mogą się obawiać, że pozbawisz ich władzy. Pewnie z przyjemnością ujrzeliby, jak umierasz.

Zaczął przyrządzać własne danie, wrzucając do garnka starannie obrane i oskrobane surowe składniki. Potrawę z kury odsunął na skraj paleniska. Annah przyglądała się garnkowi z rezerwą. Przypomniła jej się szaman, którego widziała podczas wyprawy z Michaeliem. Przenikliwe spojrzenie, zepsute zęby. Potem pomyślała o babce Stanieya. Jej napar z bluszczu okazał się skuteczny i stanowił podstawę wielu kuracji. Zawsze mieli pod ręką garnek z tym specyfikiem i obficie skraplali nim każdą otwartą ranę czy owrzodzenie. Staniey sam poruszył ten temat, więc Annah postanowiła zadać kilka dręczących ją pytań.

- Muszą być dobrzy i źli czarownicy - zagaiła. Staniey potrząsnął głową.

210

- Czarownik to ktoś, kto próbuje wyrządzić innym krzywdę. Ludzi, którzy rzeczywiście posiadają ogromną moc i wiedzę i wykorzystują je dla dobra innych, nazywamy inaczej.

- Jak? - Zadając to pytanie, Annah wspomniała Michaela. Nie warto o tym myśleć - usłyszała znów jego słowa.

- Zaklinaczami deszczu. Wróżbitami. Uzdrowicielami. Jasnowidzami. Kapłanami. Mędrkami. Różnie. - Staniey zerknął tam, gdzie leżał świeżo ścięty bluszcz, czekający na użycie. - Moją babcię początkowo nazywano wróżbitką, ponieważ potrafiła odczytywać różne znaki. Była też uzdrowicielką. Naraziła się swoim ludziom, gdy odmówiła przeniesienia się na drugą stronę strumienia. Wtedy zaczęto nazywać ją czarownicą.

- W takim razie kogo masz na myśli, mówiąc o szamanie? - spytała Annah. Staniey się uśmiechnął.

- Afrykańczyka robiącego rzeczy, których nie potrafią zrozumieć biali! - Roześmiał się głośno nad garnkiem.

Annah zadrżała, po plecach przebiegł jej dreszcz niepewności. Czula się tak, jakby siedzący obok niej mężczyzna, jej jedyny towarzysz, okazał się kimś obcym.

- Powiedz mi, jaką posiadają moc - powiedziała przyciszonym głosem, jakby już samo wypowiedzenie tych słów stanowiło profanację.

Staniey zmarszczył czoło.

- Niektórzy posługują się jedynie sztuczkami. Inni bardzo dużo potrafią. Niektórzy są dobrzy. Inni źli. Nie ma rzeczy prostych.

- Ale ty jesteś przecież chrześcijaninem - przypomniała Annah.

Nie była pewna, czy to pytanie, czy stwierdzenie faktu, które miało dodać jej otuchy. Czula się jak dziecko śpiące w ciemności.

- Oczywiście - zgodził się Staniey. Zrobiło się ciemno. Białka jego oczu odcinały się na tle ciemnej twarzy.

- Tak zostałem wychowany. - Zaczął łamać gałązki i dorzu-

211

cać je do ognia. - Poza tym lubiłem opowieści o Jezusie. Gdyby pojawił się w naszej wiosce, powiedzielibyśmy: „Ten człowiek ma ogromną moc, ale nigdy nie wykorzysta jej w niecnym celu”. Gdyby ktoś taki był między nami, nie musielibyśmy się dłużej bać. Nawet nasi przodkowie by go uszanowali i przestali zsyłać na nas choroby. Bylibyśmy szczęśliwi.

Annah się nie odezwała. Patrzyła jedynie, jak Afrykańczyk dorzuca drwa do ognia. Przypomniała sobie Biblię Michaela, wyrocznię, w której zawarta była czasem prosta, czasem niezwykle zawiła odpowiedź na każde pytanie, jakie można postawić. Staniey interpretował te same opowieści biblijne o wiele prościej. Zbyt prosto. Ale dzięki temu pokonywały wszelkie niejasności. I trafiały człowiekowi prosto do serca.

Gulasz Stanieya bulgotał na ogniu, unosiły się z niego obłoczki pary. Annah otworzyła swoją torbę i sprawdziła jej zawartość. Zgromadziła tu najcenniejsze leki z kurczących się zapasów - antybiotyki, środki przeciw malarii, dwa zastrzyki morfiny i jeden adrenaliny, zestaw lekarstw na trąd, tubkę maści do oczu. Były cenne i rzadkie - jak złoto.

Staniey obserwował, jak Annah przelicza tabletki.

- Śniła mi się kiedyś - zaczął - zawsze pełna szafka z lekarstwami. Niezależnie od tego, ilu ludzi przychodziło po pomoc, nigdy nie trzeba było odsyłać ich z kwitkiem. - Spojrzał na Annah. W jego oczach odbijał się blask ognia. - Gdybym miał taką szafkę, zabrałbym ją w głąb kraju, tam gdzie nie ma szpitali misyjnych. Zatrzymałbym się pod drzewem i rozdawał lekarstwa białych ludzi wszystkim chorym.

Annah się uśmiechnęła.

- Niektóre sny się spełniają - powiedziała lekkim, niezbyt poważnym tonem.

Szpitale i ambulatoria misyjne w dżungli robiły więcej, niż mogłoby się wydawać. Zawsze jednak znajdują się ludzie, którzy nie trafią do tych placówek i umrą, chociaż życie mogłaby im uratować tabletką za kilka dolarów.

- Ten się spełni - zapewnił Staniey. - Babcia odwiedziła mnie we śnie i powiedziała, że mogę na to liczyć.

212

Annah przyjrzała się swojemu rozmówcy. Mówił z tą samą niezachwianą pewnością jak wędrowny kaznodzieja, który wygłaszał kazania z ambony kaplicy w Langali. Jedyna różnica polegała na tym, że Staniey mówił o snach i duchu zmarłej sza-manki.

- A teraz zmówmy modlitwę - zaproponował Staniey. Pochylił głowę i czekał na słowa Annah.

- Pobłogosław Panie ten pokarm, żebyśmy mogli go spożyć, i nas, abyśmy Ci służyli.

Annah powtórzyła codzienną modlitwę Michaela. Jej słowa zabrzmiały w ciemności słabo i niepewnie. I dlatego koniec wypowiedziała głośniejsz:

- W imię Jezusa Chrystusa. Amen. Zawtórował jej głębszy, cichszy głos Stanieya:

- Amen.

Żadne nie odezwało się, gdy Staniey rozlewał gulasz warzywny do dwóch misek i stawiał miskę z ugali. W powietrzu rozszedł się smakowity zapach, pobudzając apetyt i odsuwając na bok zmęczenie. Na niebie widać było pierwsze gwiazdy. Przypominały szpilki na ciemnej zasłonie, przez którą przebija się niebiański blask.

12

Poranne słońce grzało Annah w szyję, a lekki wietrzyk rozwiewał pasemka długich włosów, które wysunęły się z koka. Tego dnia pracowała sama w tymczasowej przychodni, przyjmując czekających. Przez cały czas nadstawiała uszu, by wychwycić odgłosy zbliżającego się land-rovera. Tydzień temu Staniey pojechał na najbliższą stację telegrafu, znajdującą się kilka godzin drogi stąd i umiejscowioną w szczerym polu, by wysłać telegram do biskupa. Po długich rozważaniach Annah uznała, że to najlepszy sposób. Chętnie wróciłaby do Langali i zrzuciła kłopot na barki Michaela. W końcu nadal był jej bez-

213

pośrednim zwierzchnikiem. Ale Langali znajdowało się za daleko, by któreś z nich mogło w pojedynkę wybrać się w tak długą drogę. A gdyby wyjechali razem, ludzie z Germantown uznaliby, że zostali opuszczeni. Dlatego Annah w dużym skrócie wyjaśniła biskupowi swoje kłopotliwe położenie i prosiła o szybką pomoc.

Staniey miał czekać na pocztę na odpowiedź. Nie zajęło mu to dużo czasu. Wkrótce nadszedł krótki i lekceważący telegram. Wyglądało na to, że biskup Wadę potraktował wiadomość od Annah jako histeryczną reakcję rozkapryszonej młodej kobiety, która nie potrafi poradzić sobie z wyzwaniem, jakim jest nowa placówka. Wyraźnie wątpił w

dokładność przekazanego przez nią opisu sytuacji zastanej w Germantown. Dorzucił nawet uwagę, że Annah w pewnym sensie zasłużyła sobie na trudności, na jakie się natknęła, gdyż to ona ponosi winę za „kłopoty”, które powstały w Langali i doprowadziły do jej wyjazdu.

Annah raz za razem czytała telegram biskupa. Zdania, proste ze względu na możliwości telegrafisty, sprawiały wrażenie szorstkich i niemiłych. Zdenerwowały ją. Przygotowała odpowiedź, ponownie opisując sytuację i żądając podjęcia działań.

Dzisiaj Staniey powinien wrócić z odpowiedzią.

Było już prawie ciemno, gdy na drodze pojawił się land—rover. Staniey sztywno wysiadł z samochodu. Wystarczyło, że Annah ujrzała jego twarz - od razu wiedziała, że nie przywiózł dobrych wieści.

- Biskup wyjechał - powiedział. - Musimy zaczekać dwa tygodnie.

Dwa tygodnie. Czternaście dni przyjmowania pacjentów bez żadnych lekarstw i planu na przyszłość to nieskończoność. Annah westchnęła i przetarła dłońmi twarz.

- Ale przy okazji czegoś się dowiedziałem - dorzucił Staniey. Wyczekująco uniosła głowę.

- Powiedziano mi, że jesteśmy nowym krajem. Tanganika to przeszłość. Połączyliśmy się z Zanzibarem i zmieniliśmy nazwę na Tanzanię.

214

Annah kiwnęła głową, ale się nie odezwała. Decyzje podejmowane przez polityków w Dar es-Salaam wydawały się bez znaczenia w porównaniu z wyzwaniem, którym musiała stawić czoło tu na miejscu, w Germantown.

- Tanzania. - Staniey powtórzył nową nazwę. Nie była tak melodyjna jak dawna. Miała ostrzejsze, odważniejsze, nowsze brzmienie.

- Myślę, że to dobrze - powiedziała Annah uprzejmie.

- Tak - przyznał Staniey. - Mam nadzieję.

Nie mając wyboru, Annah i Staniey pracowali, skazani na koszmar, jakim było przyjmowanie niekończącego się tłumu pacjentów. Każdego dnia pojawiał się nowy problem. Lampart buszujący po dżungli spowodował brak drewna na opał, a co za tym idzie - brak gorącej wody na ciepłe okłady. Mrówki zaatakowały jeden z „oddziałów”, niemal zabijając dziecko, które nawet nie zdołało krzyknąć, gdyż owady błyskawicznie wypełniły mu usta. Wąż udusił kury, które miały strzec przed skorpionami. Annah często nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Z perspektywy czasu szpital w Langali wydawał jej się snem - wymarzoną areną do walki z chorobami. Tymczasem Germantown bardziej przypominało front.

Tego dnia, kiedy Staniey miał pojechać po wiadomość od biskupa, nagle zaczęło padać. Ulewa przyszła nie wiadomo skąd. Rano niebo było czyste. Przed południem pojawiły się chmury i lunął deszcz.

Annah stała w jednym z „oddziałów”, wyglądając z ponurą miną przez okno na płynące z nieba strugi. Słyszała za plecami mamrotanie któregoś z pacjentów.

- Taka ulewa poza porą deszczową - powiedział - to bardziej przekleństwo niż błogosławieństwo.

- Racja - przyznał inny chory. - Ktoś musiał deszcz wywołać. Annah nie zwróciła uwagi na tę wymianę zdań. Nie zastanawiała się, dlaczego pada. Zauważyła natomiast, że podłoga powoli zamienia się w błoto.

- To ostatnia kropla, która przepelniła kielich goryczy - powiedziała.

Za jej plecami coś skrzypnęło. Pacjenci zeszli z łóżek i ruszyli w stronę drzwi, odsuwając Annah na bok. Patrzyła z niedowierzaniem, jak dach zaczyna się wyginać. Potem rozległ się trzask i wszystko runęło w dół. Czyjeś mocne ramię wyciągnęło kobietę na zewnątrz, na deszcz.

Staniey wskazał na stertę glinianych cegieł i połamanych belek stropowych.

- Białe mrówki poprzegryzały dźwigary! - zawołał, żeby przekrzyczeć deszcz. - Ciężar mokrej gliny zgniół dach.

Annah stała, czując, jak krople deszczu kapią jej na głowę. Po kilku chwilach krzyknęła w odpowiedzi:

- Jedziemy do Murchanzy! Może jest tam ktoś, kto zdoła nam pomóc. Na pewno znajdziemy jakiegoś urzędnika państwowego. Albo przedstawiciela misji katolickiej. Kogokolwiek...

Staniey kiwnął głową. Zerknął na brudne ubranie Annah i jej mokre włosy. Wiedział, że misjonarze zawsze porządnie się ubierają na wyprawę do miasta.

- W takim razie musimy się przygotować! - zawołał przez deszcz.

- Nie, jedziemy tak, jak stoimy! - krzyknęła Annah. - Wtedy może uwierzą, że mamy kłopoty.

Miała zamiar wzbudzić w kimś odrobinę współczucia. A jeśli to tylko możliwe - skłonić go, by zajął się jej sprawą. Jeszcze lepiej, gdyby, pełen oburzenia, chciał porozmawiać z biskupem w jej imieniu. Uśmiechnęła się na myśl o wściekłości biskupa. Dobrze mu to zrobi.

Deszcz ustał równie szybko, jak się zaczął. Po chwili nad ich głowami znów rozciągał się niewinny błękit. Staniey wyjaśnił wszystkim, na czym polega plan Annah, jednak gdy próbowali odjechać, pacjenci otoczyli ich murem. Annah obiecała, że wróci jak najszybciej, ale na wielu twarzach widziała niedowierzanie. Nastrój pacjentów nieco się poprawił, gdy Staniey ostentacyjnie wyładował cały sprzęt medyczny. Wszystko zo-

stało wniesione do jednego z ocalałych budynków gospodarczych i oddane pod opiekę członków miejscowego plemienia.

Po opuszczeniu Germantown Annah poczuła ulgę. Zmęczenie, spowodowane przez długotrwały stres, ustąpiło. Droga była gładka, szeroka i przyjemna. Toteż gdy silnik land-rovera nagle zaczął się dusić, a potem przestał pracować, nie bardzo się przejęła.

- To nic strasznego - zapewnił Staniey, wysiadając z auta. - Poradzę sobie. Nie ma sprawy.

Z nieba lał się żar, zwłaszcza że deszcz oczyścił powietrze.

- Usiądź w cieniu - zasugerował Staniey. - To mi chwilę zajmie.

Próbowała beczynn timer czekać, ale po chwili postanowiła wspiąć się na wzgórze, z którego roztaczał się widok na Germantown. Od przyjazdu marzyła o tym, by zobaczyć, jak wygląda najbliższa okolica, ale nigdy nie miała czasu.

Stromą, kamienistą ścieżkę Annah pokonała bez zadyszki. Od przyjazdu z Melbourne nabrała krzepy i sprawności fizycznej.

Ze szczytu było znacznie lepiej i więcej widać, niż myślała. Spojrzała w dół, na Germantown i skupisko szpitalnych budynków. Podziwiała białe, gołe ściany, puste otwory po dachach i „oddział”, który niedawno się zawalił. Ten widok wzbudził w niej niepokój. Obiecała swoim pacjentom, że wróci. A jeśli biskup będzie miał inne plany? Gdy zrozumie, że w jej opisie nie było żadnej przesady, może zrezygnować z uruchamiania tej placówki.

Pragnąc uciec od ponurych myśli, Annah odwróciła się, by spojrzeć w przeciwnym kierunku. U podnóża rósł gęsty las, który ciągnął się w stronę wyglądającego jak klejnot jeziora. Nagle zamarła z wrażenia. W pobliżu wody, na polance, stała różowa rezydencja.

Annah pomyślała, że to fatamorgana, zjawa z innego świata. Słyszała, że takie domy można zobaczyć w Kenii. Wybudowali je bogaci ziemianie. Ale tu była Tanganika - czy raczej Tanzania - kraina, gdzie diabeł mówi dobranoc.

217

Odwróciła się i spojrzała na Germantown, jakby próbowała sprawdzić, czy dobrze widzi. Potem ponownie popatrzyła na budynek położony w pobliżu jeziora. Był prawdziwy. Nie miała halucynacji. Znajdował się tak blisko miejsca jej udręki. Aż trudno uwierzyć, iż nie wiedziała o jego istnieniu. O tym, że gdzieś tu dotarła cywilizacji.

Annah zbiegła ze wzgórza, drapiąc sobie łydki. Włosy wysunęły się z węzła upiętego z tyłu głowy i opadły na ramiona. Dotarła do Stanieya, gdy zamykał ciężką maskę landrovera.

- Co się stało? - spytał.

Powiedziała mu, co zobaczyła. Afrykańczyk wyglądał na zaskoczonego.

- Nikt o tym nie wspomniał.

- To dom Amerykanki - domyśliła się Annah. Nie mogło być inaczej. Mało prawdopodobne, by w tym odległym zakątku Afryki mieszkał jeszcze jeden ekscentryczny obcokrajowiec.

- Chcę obejrzeć tę rezydencję - dodała. - Gdzieś w pobliżu musi być rozjazd.

Mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że jedynym uzasadnieniem tej wizyty jest ciekawość. I że to strata czasu i benzyny. Ale bardzo chciała tam jechać. Co więcej, przynajmniej raz mogła spełnić swoją zachciankę.

Stanicy bez trudu znalazł rozwidlenie. Potem przez jakiś czas jechali, podskakując na źle utrzymanej drodze, pełnej dziur. Prowadziła przez las akacjowy. Gałęzie drzew sięgały nad szosę, tworząc cienisty baldachim. Pokonali w ten sposób kilka kilometrów. Gdy Annah już zaczęła się zastanawiać, czy nie obrali złej drogi, ich oczom ukazał się ostry wiraż w lewo. Staniey zwolnił i skręcił.

Wjechali na podjazd, obłożony z obu stron kamieniami i obsadzony starannie porozmieszczanymi krzewami. Potem las nagle się skończył, a ich oczom ukazała się rezydencja - piękne, pomalowane na różowo włoskie palazzo z wieżyczkami, szczytami i wysokimi murami. Z tyłu błyszczało jezioro, plamki lśniącego błękitu migotały wśród bujnych, zielonych drzew

218

i krzewów. Annah wstrzymała oddech. Chociaż widziała budynek ze szczytu wzgórza, nie była przygotowana na tak wspaniały widok. Patrzyła na dom, próbując jednocześnie ogarnąć wzrokiem wszystkie szczegóły. Znajdowały się tu również budynki gospodarcze i wspaniałe ogrody, zarośnięte, ale wciąż pamiętające dawną świetność. Rozległe trawniki porastała zaskakująco bujna jak na tę porę roku trawa. Wyglądała tak, jakby jej

utrzymaniem zajmowały się zwierzęta, nie kosa, ale efekt był bardzo dobry. Tylko w paru miejscach prześwitywały kręgi poczerniałej ziemi. To dziwne - pomyślała, ale szybko przesunęła wzrok dalej.

Land-rover zatrzymał się ze zgrzytem. Annah i Staniey siedzieli przez chwilę nieruchomo, czekając, aż ktoś się pojawi. W domu panował spokój. Nie było kur, dzieci ani psów. Nie wyczuwało się zapachu dymu. Dominowała przejmująca cisza, zakłócana jedynie przez przypadkowy skrzek małp w lesie. Annah uniosła głowę i spojrzała na okna. Większość okiennic była zamknięta, zasłony zaciągnięte, jakby dom był pusty. Między kotarami któregoś pokoju błysnęły meble, a na werandzie stały trzcinowe krzesła. Na haku na drzwiach wisiał nawet słomkowy kapelus. Dokoła panował spokój. Annah miała wrażenie, że od dawna niczego tu nie ruszano ani nie używano.

Wymienili ze Stanieyem spojrzenia. Było tu coś dziwnego. Chociaż rezydencja sprawiała wrażenie opuszczonej, nie czuło się pustki tak charakterystycznej dla niezamieszkanym domów. Zastanawiali się, czy wysiąść, gdy nagle pojawił się Murzyn. Podszedł powoli do land-rovera. Na widok białej kobiety zawahał się, oczy zaokrągliły mu się z zaskoczenia. Zakręcił i podszedł od strony Stanieya.

Obaj mężczyźni wymienili pozdrowienia, używając w tym celu suahili i pokonując tradycyjną listę pytań. Co u ciebie w domu? Jak praca, zbiory? Co jecie? Serce zamarło Annah w piersi, gdy usłyszała następne zdanie. Ni mgongwa. Człowiek chory. Żona mężczyzny była chora. Annah zamknęła oczy, mając nadzieję, że Staniey nie zdradzi, iż jest pielęgniarką. Potem poczuła wyrzuty sumienia.

219

- To dozorca - wyjaśnił Staniey. ;

- Kto tu mieszka? - spytała Annah, zwracając się bezpośrednio do dozorca.

Słyszając suahili, Murzyn spojrzał na nią zaskoczony.

- Pani zna nasz język?

- Tylko suahili - odparła.

- To dom mamy Kiki - powiedział poważnym, pełnym szacunku tonem.

- Tej Amerykanki? - dopytywała się Annah. Mężczyzna przytaknął.

- Tak o niej mówią. Ale dla nas jest po prostu mamą Kiki. Annah wyglądała na zaskoczoną. Dozorca mówił tak, jakby właścicielka posiadłości nadal tu mieszkała, jakby wciąż

żyła.

- Czy ona tutaj jest? - spytała Annah z powątpiewaniem.

- Przebywa wśród przodków - wytłumaczył dozorca. Machnął ręką, zakreślając w powietrzu obszerny krąg.

- W takim razie kto jest właścicielem rezydencji? - spytała Annah.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się niegrzecznie, zadając tyle bezpośrednich pytań, ale nie mogła się oprzeć pokusie. Staniey zerknął na nią ostrzegawczo. Uśmiechnęła się do dozorca.

- Białe krewny mamy Kiki - odparł mężczyzna. - Mieszka w Ameryce. My, Waganga, jesteśmy tu, na miejscu. A mama Kiki należała do naszego plemienia.

Mówiąc to, dozorca zerknął, co jest w land-roverze. Zajrzał na tył, potem na dach. Jego wzrok zatrzymał się na walizce Annah.

- Ma pani takie samo pudełko jak ona! - zawołał. Ponownie spojrzął na kobietę. Przymrużył oczy z ciekawości. - Kim pani jest? Dlaczego pani tu przyjechała?

- Jesteśmy misjonarzami - odparł Staniey, wskazując godło misji, wymalowane na boku land-rovera. Dozorca cofnął się o krok.

- Mama Kiki nie lubiła misjonarzy - powiedział.

220

Jego słowa zabrzmiały tak, jakby miał zamiar ich przepędzić.

- Leczymy ludzi - uściśliła szybko Annah. Dozorca gwałtownie uniósł głowę.

- Jest pani lekarzem? - spytał.

- Nie, pielęgniarką - odparła.

- Nie szkodzi - powiedział w przypiływie entuzjazmu. -Serdecznie zapraszam. Wsiądźcie. Bądźcie moimi gośćmi.

Skinął na nich ręką, ale sztywność jego ruchów świadczyła o poważnym zaniepokojeniu. Annah zastanawiała się, czy zapraszając ich, dozorca nie postępuje wbrew rozkazom.

Z bliska dom wyglądał tak samo intrygująco jak z daleka. Miał sporo małych okienek, ukrytych przejść, zacisznych dziedzińców, a nawet starą miedzianą fontannę bez wody, obrośniętą zielonym nalotem. Wszystko było w dobrym stanie. Mimo woli Annah porównała rezydencję mamy Kiki z Germantown, które zaledwie na kilka miesięcy pozostawiono własnemu losowi, w rękach tubylców.

Dozorca oprowadził ich po całym terenie, pokazując po drodze to i owo. Ulubione drzewo mamy Kiki. Pokój, gdzie mama Kiki lubi czytać. Krzesło, w którym siaduje na słońcu. Wciąż mówił o niej tak, jakby nadal tu mieszkała.

- Bardzo ją pan szanuje - skomentowała Annah.

- Była przyjaciółką wodza plemienia Waganga - odparł dozorca. - Dała wiosce wiele prezentów. - Potrzęsął głową. -To życzliwa kobieta. Dobra kobieta. Pomogła wielu ludziom. Gdy umarła, stary wódz powiedział, że została przyjęta przez przodków plemienia. W świętej chacie umieszczono dla niej taboret, żeby mogła na nim siadać. Teraz stary wódz również dołączył do przodków.

Mówiąc o śmierci, dozorca rozejrzał się wokół siebie, jakby chciał zwrócić uwagę na jej ciągłą obecność.

- Plemię wyznaczyło pana na dozorcę? - spytała Annah. Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Nie, to byłoby zbędne. Nikt nie odważyłby się obrazić Kiki ani niszczyć jej domu. Ale pewnego razu przyjechał z Ameryki spadkobierca i obecny właściciel posiadłości. Po-

221

wiedział, że nim podejmie decyzję, co dalej, ktoś musi pilnować domu. To działa się dawno temu. Może krewny Kiki zapomniał. Może próbuje sprzedać posiadłość. Nie wiadomo.

Annah zerknęła do środka przez zakurzone okna. Zobaczyła pomalowane na biało ściany, ozdobione obrazami, portretami rodzinnymi, włóczniami, maskami afrykańskimi i skórą dzikich zwierząt. Drewniane, ręcznie rzeźbione i zarzucone jedwabnymi poduszkami meble. Perskie dywany. Piękne rzeźby. Świeczniki. Widocznie Kiki prowadziła całkiem inny tryb życia niż biali misjonarze, którzy pracowali w Afryce. Zgromadzone w jej domu przedmioty świadczyły raczej o ekscentryczności i zamiłowaniu

do luksusu niż o chęci przewycięzania trudności i gotowości do poświęceń. Przy przeszkłonych drzwiach do jadalni stała rzeźba przedstawiająca Afrykańczyka naturalnej wielkości. Dzięki idealnym proporcjom i wspaniale oddanym zarysom mięśni w jakiś sposób przypominał Dawida Michała Anioła, ale został wykonany z hebanu, nie z marmuru. Ciemne drewno dodawało mu ciepła, był prawie jak żywy. Obserwując promień słońca, igrający na szerokich barkach mężczyzny, Annah przypomniała sobie afrykańskie przysłowie, które przytoczyła kiedyś Ordena, ku niezadowoleniu Sarah... „Młody mężczyzna stanowi część Boga”.

Obchodząc budynek od tyłu, minęli kuchnię. Annah nachyliła się do okna. Ujrzała kilka pieców i rzędy półek z garnkami i miskami. Była to kuchnia nastawiona na obsługiwanie gości. Annah wyobraziła sobie organizowane przez Kiki wystawne przyjęcia, niemal ucztę. Tylko kto ją odwiedzał? Na pewno nie Niemcy z drugiej strony wzgórza. Może przyjeżdżali tu ludzie z Nairobi? To byłaby ekstrawagancja, szczególnie na tle panującej na tym terenie biedy. Annah wiedziała jednak, że tak wygląda afrykańska rzeczywistość. Biali przyjeżdżają tu z wielu powodów, czasami tylko po to, żeby uciec ze swojego kraju, od dotychczasowego życia. Wielu z nich nie zamierzało rezygnować z dotychczasowych przyzwyczajzeń, w przeciwieństwie do misjonarzy, którzy byli zobowiązani do prowadzenia życia zbliżonego do tego, jakie wiedli ich afrykańscy podopieczni.

222

Kiki została przyjaciółką Waganga, ale na pewno nie żyła tak jak oni. Potem wzrok białej pielęgniarki padł na duży, podwójny zlew z białej emalii. Z jednego kurka kapą.

Woda. Bieżąca woda.

Na ścianach wisały kinkiety.

Wszystko tu było. Światło. Woda. Dużo miejsca. Wyposażenie.

Z tych rozważań wyrwał ją dozorca. Nagle zdała sobie sprawę, że Murzyn dosłownie nad nią wisi. Coś go dręczyło. Na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Błagam panią - powiedział. - Proszę iść ze mną. Annah spojrzała na niego zmieszana.

- Moja żona leży w łóżku. Jest ciężko chora. Boję się, że umrze. Proszę ją zbadać.

- Oczywiście - odparła. - Już idę. Właśnie zamierzała zrobić pierwszy krok, kiedy dozorca chwycił ją za ramię.

- Chcę, żeby pani naprawdę spróbowała ją wyleczyć - powiedział. - Żeby nie poprzestała pani na pustych słowach. Nawet gdyby miały być skierowane do waszego Boga.

Nie odezwała się. Zdawała sobie sprawę, że Murzyn krytycznie podchodzi do działalności misjonarzy, może nawet ma takie same poglądy jak Kiki. Należało jakoś zareagować, ale Annah nie bardzo wiedziała, jak.

- Tylko zabiorę swoją torbę - mruknęła.

Torbę, w której nie było już prawie żadnych lekarstw. Jedynie wsunięty do specjalnej przegródki gruby modlitewnik.

Dozorca poprowadził ją do jednego z budynków gospodarczych, zamienionych na kwatery dla służby. Na wyblakłym szeszlunku leżała wychudzona kobieta. Była pogrążona w malignie, mającyla i nie zareagowała na pozdrowienia Annah.

Annah szybko zorientowała się, że kobieta jest ciężko chora. Miała gorącą i suchą jak papier skórę, rozszerzone źrenice. Przyspieszony puls. Płytki oddech. Dozorca się nie mylił. Jego żona zmagала się ze śmiercią.

Murzyn, właściwie odczytując milczenie białej kobiety, z rozpaczyny padł na kolana.

223

- Błagam, proszę coś zrobić - powiedział.

- Możemy zabrać ją do Germantown - zasugerował Stan-ley. - Mamy jeszcze jakieś kroplówki. I sól fizjologiczną. Przynajmniej uzupełnilibyśmy jej płyny.

- Jest zbyt chora, żeby ją ruszać - stwierdziła Annah. Kiedy mówiła te słowa, w głowie zaświtał jej pewien pomysł. Odwróciła się do Stanieya. Spoglądał za jej plecy, na drzwi prowadzące do domu i licznych pomieszczeń. Olbrzymie pojemniki z wodą. Duże okna, zabezpieczone moskitierą.

Przez kilka minut nie padło ani jedno słowo. Ciszę zakłócał jedynie chrapliwy oddech kobiety.

- Moglibyśmy utworzyć w tym domu tymczasowy szpital - powiedziała w końcu Annah.

To była szalona propozycja, ale nikt się nie śmiał.

- Możemy pozbierać rzeczy Kiki i zmagazynować je bezpiecznie w jednym pomieszczeniu. Gdy będziemy mieli gdzie się przenieść, wszystko porozstawiamy tak, jak było.

Dozorca stał bez słowa, próbując zrozumieć propozycję Annah. Przez chwilę bił się z myślami. Ale jedno spojrzenie na żonę wystarczyło, by odsunął na bok wszelkie wątpliwości.

- To jest możliwe - powiedział do Annah. - Wszystko załatwię.

Wyjaśnił, że poprosi o zgodę osobę, przed którą odpowiada - białego mieszkającego w Murchanzie. Nie umiał powiedzieć, ile czasu mu to zajmie, uważał jednak, że Annah może od razu przystąpić do realizacji swego planu.

- Tylko jedno musi mi pani obiecać - zastrzegł. - Że moja żona będzie pierwszą pacjentką przyjętą do szpitala.

Annah się zgodziła. Wzruszył ją ból widoczny na twarzy dozorca, ilekroć spoglądał na żonę. Chciałaby go zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Niestety, nie mogła. Dlatego tylko delikatnie ostrzegła go, że pomimo wszelkich starań kobieta może nie przeżyć.

- Przecież i tak umiera - powiedział dozorca, bezradnie rozkładając ręce.

224

Kiedy wracali do Germantown, żeby powiedzieć ludziom o nowym planie i zabrać pozostawiony tam sprzęt, Annah siedziała sztywno, obojętnie wpatrując się w drogę. Dręczyły ją niespokojne myśli. To absurd - wmawiała sobie - by w ogóle brać pod uwagę takie rozwiązanie i na własną rękę wprowadzać je w życie. I bez tego nie może dogadać się z misją. Wyobraziła sobie twarz biskupa i przymrużone ze złości oczy. Potem jednak przypomniała sobie chorych, zwłaszcza dzieci, które umierają, ponieważ brakuje miejsca, a tutaj można by było zająć się nimi w godziwych warunkach. Dlaczego prawa nieobecny od dawna właściciela albo protokół obowiązujący w misji mają być ważniejsze od nich? Dręczyły ją jednak poważne obawy. Zgoda czarnoskórego dozorca prawdopodobnie w świetle prawa będzie bez znaczenia. Mogą ją oskarżyć o wtargnięcie na teren prywatnej posiadłości albo nawet o kradzież. Perspektywa pobytu w afrykańskim

więzieniu wyglądała przerażająco. Co więcej, Annah wiedziała, że jeśli świadomie złamie prawo, nie powinna liczyć na wsparcie ze strony misji.

Jednak koniec końców wróciła do tego, od czego wyszła - do śmiałej decyzji, by zaryzykować wszystko, niezależnie od konsekwencji. W końcu po to przyjechała do Afryki. I z pewnością tak właśnie postąpiłby Jezus, gdyby znalazł się na jej miejscu.

Zerknęła na Stanieya. Zastanawiała się, czy jego dręczą podobne wątpliwości. A może myśli o żonie, wciąż czekającej w wiosce matki. Szansa na to, by mogła przyjechać do Stanieya do Germantown, była obecnie mniejsza niż kiedykolwiek.

- Co z Judithi? - spytała Annah.

Było to typowo afrykańskie pytanie - uprzejme, ale niezobowiązujące, na które można różnie odpowiedzieć. Stanicy przez chwilę milczał. Annah czuła, że jej towarzysz zastanawia się, jak to ująć.

- Powiem ci prawdę - wyznał. - Afrykańczyk może się ożenić z wielu powodów. Czasami jest nim miłość, jak to bywa u białych. Czasami co innego.

225

Urwał. Annah wiedziała, że lepiej zrobi, jeśli nie będzie o nic pytać. Czekala, aż Stanicy sam postanowi to jej wyjaśnić.

- Judithi była żoną mojego młodszego brata, Daudiego - powiedział w końcu. - Mieli jedno dziecko. Potem Daudi umarł na malarię. - Zerknął na swoją towarzyszkę. - Zgodnie z tradycją powinienem ożenić się z Judithi. To zapewniłoby synkowi Daudiego ojca tej samej krwi, człowieka, który nie będzie go bił ani nie pozwoli mu cierpieć z głodu. Moja mama bardzo kochała malca, dlatego prosiła mnie, żebym dopełnił obowiązku. Starszyzna kościelna nie miała nic przeciwko temu. Znaleźli nawet w Biblii słowa, które pochwały taki zamiar. Poślubiłem więc Judithi.

Lekko zmarszczył czoło i nie odrywał wzroku od drogi.

- Synek mojego brata również zmarł - ciągnął. - Bóg nie zesłał nam następnego dziecka. Siostra Barbara wyjaśniła, że Judithi po porodzie była bardzo chora, stąd nasze kłopoty.

Stanicy zamilkł. Annah kiwnęła głową. Rozumiała złożoność problemu. Stanicy postąpił tak, jak nakazywała tradycja, i poślubił Judithi, żeby zapewnić opiekę dziecku, które później zmarło. Potem okazało się, że nie będzie miał własnego potomstwa. Gdyby nie był chrześcijaninem, po prostu zaoszczędziłby na kilka krów i kupił sobie drugą żonę. Ale Staniey nie mógł tego zrobić. Stał się zakładnikiem dwóch norm moralnych - starej i nowej, afrykańskiej i chrześcijańskiej. Zerknąwszy na jego twarz, Annah dostrzegła potworny ból i żal. Trwało to tylko krótką chwilę, potem Staniey się opanował.

- Mamy afrykańskie przysłowie - powiedział Staniey. - „Kobieta zawsze z przyjemnością wraca do wioski matki”. - Na jego pociągłej twarzy pojawił się uśmiech. - Więc nie spieszmy się ze sprowadzaniem mojej żony.

Mieszkańcy Germantown byli zaskoczeni na widok tak szybko wracającego land-rovera. Staniey wyjaśnił, że oboje z Annah przyjechali tylko po sprzęt i zapasy. Przenoszą szpital w miejsce, do którego łatwo dojść na piechotę, ścieżką prowadzącą przez wzgórza. Obiecał, że gdy wszystko tam przygotują, wróci land-roverem do Germantown i przewiezie wszyst-

226

kich zbyt chorych, by mogli pokonać ten dystans o własnych siłach. W trakcie jego przemowy ludzie kiwali głowami, ale gdy on i Annah zaczęli ładować rzeczy na

samochód, pacjentów ogarnęła panika. Byli pewni, że para misjonarzy chce ich opuścić na zawsze. Na przednie siedzenie land-rovera wskoczył młody farmer, uzbrojony w kosę, i oznajmił, że się nie ruszy. Staniey próbował z nim pertraktować, ale Murzyn nie dał sobie wytłumaczyć, że jego strach jest nieuzasadniony. W końcu Annah zaproponowała, żeby Staniey pojechał załadowanym land-roverem do domu Kiki, a ona ze wszystkimi pójdzie na piechotę na drugą stronę wzgórza. Stanie się dobrowolną zakładniczką.

Słońce stało wysoko na niebie, gdy Annah wyruszyła w drogę, kierując się prosto na wzgórze oddzielające Germantown od różowej rezydencji Kiki. Za nią gęsiego szli inni. Większość ich dźwigała wyposażenie - drewno na opał, garnki, koce i ubrania. Część chorych niesiono na prowizorycznych noszach. Dzieci jechały na plecach krewnych.

Na szczycie wzgórza Annah się zatrzymała. Spojrzała w dół, na przyszły szpital: porządne, mocne budynki, rozległe trawniki, spokojne, mieniące się jak klejnot jezioro. Czuła się jak Mojżesz prowadzący swoich ludzi do Ziemi Obiecanej. Albo bohaterski misjonarz z dawnych czasów. Wystawiła spoconą twarz na ochładzające działanie wiatru i się uśmiechnęła.

13

Annah stała w otwartym oknie, wdychając świeże powietrze. Za nią dwie kobiety na czworakach zmywały z parkietu resztki brudu. Nastolatek strzepywał szmatkę przez okno wy-kuszone. Annah miała sztywne plecy i skórę szorstką od kurzu. Przez cały ranek ciężko pracowała ze Stanieyem, dozorcą i kilkoma osobami, które przyszły z nią z Germantown. Zwinęli jedwabne chodniki, poprzestawiali antyczne kanapy, pozdej-

227

mowali obrazy i draperie, powynosili biurka, kredensy i regały, pełne oprawionych w skórę książek. Jadalnię, salon i długi, słoneczny korytarz dosłownie ogołoco z wszelkich ozdób. Pozostały tylko meble, które mogły się przydać. Wszystkie cenne bibeloty zmagazynowano bezpiecznie w sypialni na piętrze.

Chociaż Annah czuła, że boli ją każdy mięsień, nie była zmęczona. Podtrzymywała ją na duchu świadomość, że sama, bez niczyjej pomocy, znalazła rozwiązanie problemu związanego z Germantown. Plan, który początkowo wydawał się czystym szaleństwem, uznała w końcu za jedyne słuszne rozwiązanie.

Odwróciła się od okna i rozejrzała po pokoju. Chciała, żeby Sarah i Michael tu byli, by zobaczyli jej „oddział”. I ludzi, którzy z własnej woli pomogli jej wszystko przygotować. Wyobraziła sobie małą Kate, niezgrabnie wędrującą po ogromnym pomieszczeniu. Śmiejącą się z promieni słońca, padających na skos przez witrażowe okno i tworzących na podłodze tęcze plamy. Ta wizja wywołała u Annah tępy ból. Pora wracać do pracy - powiedziała sobie. I zająć się gabinetem Kiki.

Znajdował się na końcu korytarza. Panował w nim łagodny, tajemniczy półmrok - przez pojedyncze niewielkie okno nigdy nie wpadało do środka światło słoneczne. Pokój zaprojektowano z myślą o tym, by najcenniejsze drobiazgi nie padły ofiarą jasnych promieni i spojrzeń obcych ludzi. Annah niepewnie weszła do środka. Odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje, jakby dozorca miał rację, utrzymując, że umarli nie przebywają ani w niebie, ani w piekle, ale zostają na tym świecie, wśród żywych.

Niemal całą powierzchnię biurka zajmowały oprawione w ramki czarno-białe zdjęcia. Wszystkie przedstawiały Kiki. Były tam studyjne portrety i zwykłe fotki. Annah pochyliła się, by obejrzeć jedną z nich. Przedstawiała Kiki jako młodą dziewczynę - typowego podlotka z lat dwudziestych, z odsłoniętymi ramionami, w błyszczących pantofelkach i z

bezczelnym uśmiechem na ustach. Trzymała na rękach małe lwiątko z jedwabną wstążeczką na szyi. Na następnym zdjęciu miała strój myśliw-

228

ski i strzelbę. Na innym - skórzaną czapkę lotniczą i gogle. Kolejna fotografia ukazywała ją leżącą na szezlongu w skąpym stroju, jakby pozowała artyście. Była kobiecym odpowiednikiem kameleona - istotą o wielu twarzach, wielu nastrojach. Raz wyglądała na poważną, kiedy indziej na próżną czy radosną. Ale zawsze była niezależna. Nie nosiła pierścionków, nigdy u jej boku nie pojawił się żaden mężczyzna. Z wyjątkiem jednego, ostatniego zdjęcia, ustawionego z tyłu, niemal ukrytego przed ludzkim wzrokiem. Kiki stała na nim obok wysokiego Murzyna. Miał przerzuconą przez ramię skórę lamparta i nakrycie głowy świadczące o tym, że jest wodzem. Na pierwszy rzut oka była to fotografia, jakie często widuje się w albumach podróżników... albo misjonarzy. Opatrzona podpisem: Ja i wódz tubylców. Ale przyjrząwszy się dokładniej, można było zobaczyć coś więcej. Intymność łączącą tę parę. Sposób, w jaki patrzyli sobie w oczy. W jaki dotykały się ich ramiona.

Obok zdjęć stała kryształowa karafka, do połowy wypełniona alkoholem w kolorze miodu. Obok znajdował się kryształowy kieliszek. Wszystko gotowe, tylko skorzystać. Annah nalała sobie drinka. Zapach dobrego koniaku i dźwięk bulgoczącego płynu ożywił wspomnienia z Melbourne. Z domu rodziców. Annah uśmiechnęła się do siebie. Co Eleanor zrobiłaby, mając do dyspozycji taką rezydencję? Bezcenne antyki, gobeliny, obrazy - rzeczy, za które matka Annah dałaby wszystko - pozostawione pod opieką tubylców? Kobieta uniosła szklaneczkę do ust. Zamknęła oczy i upiła łyk, rozkoszując się dobrze znanym pieczeniem w język.

- Zabieramy się za to pomieszczenie?

Drgnęła, słysząc głos Stanieya. Z poczuciem winy odstawiła kieliszek. Ale Staniey zdążył go zauważyć. Przeniósł wzrok z warg Annah na karafkę.

- Pijesz alkohol?! - zawołał zaszokowany.

Annah poczuła, że płoną jej policzki, pojawia się na nich rumieniec. Dla misjonarzy alkohol stanowił tabu. Mieli obowiązek wypowiadania się przeciwko złu, jakim jest piwo, warzone w każdej wiosce, dlatego sami musieli być abstynentami.

229

Nie wolno im korzystać nawet z tak cywilizowanych przyjemności jak wieczorny kieliszek sherry. To wynikało z charakteru ich pracy.

Annah nie potrafiła wymyślić żadnego wyjaśnienia. W końcu Stanicy się odwrócił. Jednak co chwila oglądał się za siebie, a w jego oczach widać było powątpiewanie. Potrafiła sobie wyobrazić, co myśli jej współpracownik - że pielęgniarka, z którą ma pracować, wcale nie jest taka porządna, jak początkowo sądził. Stanowią niezłą parę - pomyślała z lekką drwiną. Wnuk szamanki i pijąca misjonarka...

Pod koniec następnego dnia dom Kiki wyglądał już całkiem inaczej. W jadalni pozostawiono proste stoły i krzesła, tworząc prowizoryczny „kącik zabiegowy”. Dwa olbrzymie salony zamieniono na „oddziały” - pozoszono z całego domu łóżka i poustawiano je wzdłuż ścian. Wyjęto materace i poukładano je na podłodze, podwajając w ten sposób liczbę miejsc do spania. Kolejne „posłania” zrobiono z dywanów i ławek wymontowanych z okien wykuszowych. Annah miała wyrzuty sumienia, że wykorzystują cenne perskie dywany, i zastanawiała się nad usunięciem ich, w końcu jednak zdecydowała się je odwrócić.

Całą pościel, moskitiery i inne przydatne rzeczy złożono w pokoju zamienionym na „magazyn”. Była również „apteka”. Zamknięto w niej resztki cennych zapasów i kilka wielkich pojemników z solą i cukrem, które Annah znalazła w spizami. Po wymieszaniu z gotowaną wodą mogły zastąpić płyn zapobiegający odwodnieniu - środek ratujący życie pacjentom chorym na dyzenterię.

W kuchni jeden z pieców przeznaczono do gotowania instrumentów i podgrzewania wody oraz gorących okładów. Podłogi i ściany zostały wymyte wodą wymieszaną z naparem z bluszczu. Jeden z dziedzińców Kiki przeznaczono na kuchnię dla Afrykańczyków.

Na zewnątrz Staniey doglądał czyszczenia studni i starał się o przywrócenie bieżącej wody. W jednej ze stajni znalazł stary jak świat generator i beczki z czymś, co wyglądało na paliwo.

230

Wkrótce silnik działał. Annah pobiegła do jadalni, by sprawdzić włącznik. Gdy błysnęło żółtawe światło, była tak samo zdumiona i zadowolona jak Afrykańczycy, którzy zebrali się wokół niej i spoglądali na wszystko zaokrąglonymi ze zdziwienia oczyma.

W końcu przygotowania dobiegły końca. Nadeszła pora, by przyjąć do nowego szpitala pierwszych pacjentów. Wielu przyszło na piechotę, a ich rodziny usadowiły się w budynkach gospodarczych. Wkrótce Staniey przywiezie land-rove-rem resztę.

Annah zatrzymała się na chwilę na korytarzu. Zostawiono tu większość oryginalnych mebli. Na ścianie zawieszono usunięty z jadalni olejny portret Kiki. Było to dla niego odpowiednie miejsce - w szanujących się szpitalach zawsze w sali przyjęć wiszą podobizny założycieli albo sponsorów. Annah przyjrzała się wyrazistym, fioletowym oczom Kiki. Igrał w nich uśmiezek, jakby właścicielka domu chciała jej przypomnieć, że warto pracować i pomagać innym, ale na tym życie się nie kończy. Annah się odwróciła. W tym momencie stanęła twarzą w twarz z dozorcą. Mężczyzna milczał, ale jego sztywne ramiona i zaciśnięte dłonie świadczyły o napięciu.

- Staniey chce ruszać w drogę - oznajmił. - Możemy otwierać szpital.

- Nie zapomniałam o swojej obietnicy - zapewniła go łagodnie. - Chodźmy po naszą pierwszą pacjentkę.

Od przyjazdu z Germantown leczyła żonę dozorca, Ndatałę, resztkami posiadanych antybiotyków. Ale kuracja nie przynosiła żadnego efektu. Annah nie wierzyła, by przeniesienie kobiety z domu do „szpitala” mogło coś zmienić, widziała jednak, że dozorca bardzo na tym zależy. Co gorsza, bała się, że Murzyn wiąże z tym jakieś nadzieje. Oczekuje cudu. Idąc przez ogród do domu dozorca, niespokojnie marszczyła czoło. W głębi duszy podejrzewała, że mąż Ndatali wpuścił ich do domu Kiki tylko dlatego, że liczył na cud. Jeśli tak, Annah go wykorzystała. Tylko czy miała wybór?

Ostrożnie przeniesiono Ndatałę do małego przedpokoju,

231

który pełnił funkcję izolátky. Annah uniosła bezwładną dłoń i wstrzyknęła następną porcję antybiotyku. Bardzo chciała, by lekarstwo zadziałało, by pokonało chorobę, która wysysała życie z drobnego ciała. Dozorca usiadł przy łóżku żony.

Annah zatrzymała się w drzwiach i przez chwilę obserwowała, jak Murzyn delikatnie głaszcząc bezwładną rękę, spoczywającą na materacu. Oddanie mężczyzny było wzruszające i zaskakujące. Nim poznała historię Stanieya i Judithi, wiedziała, że

większość afrykańskich małżeństw zawieranych jest z myślą o zachowaniu związków plemiennych i z czysto praktycznych względów. Czytała, że mąż i żona rzadko bywają „zakochani”. Często nawet nie spędzają ze sobą zbyt wiele czasu. Widocznie jednak dozorca i jego żona stanowili wyjątek. Ich związek łączyło głębokie uczucie.

Wychodząc z pokoju, usłyszała, jak mężczyzna zaczyna śpiewać. Nuci jak matka uspokajająca dziecko, tylko nieco niższym i mocniejszym głosem. Annah wyobraziła sobie, jak ten dźwięk dociera do nieprzytomnej kobiety. Pieśń ukochanego, dodająca siły, odwagi i otuchy. Coś, czego można się chwycić, kiedy na próżno walczy się ze śmiercią.

Annah poszła niespiesznie na piętro, oświetlając sobie drogę świecznikiem. Po poręczy przemykały cienie. Na parterze cicho spali przyjęci tego wieczoru chorzy. Dyżur pełniła „nocna pielęgniarka”, która zgłosiła się na ochotnika. Annah i Stanicy wymyli się i zjedli. Teraz nadeszła pora na odpoczynek.

Ziewnęła, skręciła na podeście i skierowała się do swojej sypialni. Gdy po raz pierwszy oglądała pokoje na piętrze, z łatwością potrafiła powiedzieć, który z nich należał do Kiki. Było to przestronne pomieszczenie na końcu korytarza. Dla pewności zajrzała do szaf. Zobaczyła kilkadziesiąt sukni. A w komodzie - mnóstwo starannie poskładanych strojów koloru khaki:

bluzek, spodni i kurtek. Wyjęła kilka i przyłożyła je do siebie. W trudnych warunkach, jakie panowały tu i w Germantown, okazało się, że spódnice i sukienki utrudniają pracę. Nie można się w nich pochylać, co gorsza, krępują swobodę ruchów. Poza

232

tym kiepsko chronią przed słońcem, krwią i ropą, których nie sposób uniknąć, pracując w takim tempie. Przymierzyła spodnie Kiki, a potem bluzkę safari z długimi rękawami i mnóstwem kieszeni. Pasowały jak ulał.

Nie chcąc spać w ogromnym, udrapowanym i ozdobionym baldachimem łożu, które należało do nieżyjącej kobiety, Annah wybrała mniejszą sypialnię po drugiej stronie domu. Zabrała tam naręczę praktycznych ubrań Kiki. Pokój był skromny, jedyną dekoracją stanowił obraz w prostych ramkach. Wisiał na środku nagiej ściany, przykuwając uwagę. Annah bacznie mu się przyjrzała, wręcz odciągnęła na bok zasłony, by wpuścić resztki światła.

Była to stara rycina, wykonana na pożółkłym papierze, rysunek przedstawiający ciemnoskórą kobietę w wyszukanym stroju, biorącą udział w jakimś obrzędzie. Wyciągała ręce ku niebu. Miała rozchylone usta i wzniesione do góry, szeroko otwarte oczy. Annah bacznie przyjrzała się tłu. Na przedstawionym z wyjątkową dokładnością niebie kłębiły się chmury, w jakiś dziwny sposób pasujące do sugestywnych ruchów kobiety. Pod spodem znajdował się podpis: Królowa Deszczu z plemienia Lovedu. Poniżej - napisany odręcznie akapit. Wyjaśniał on, że podobno przywódczyni plemienia Lovedu były tak blisko związane z siłami natury, iż ich emocje miały wpływ na pogodę. Annah jeszcze raz przeczytała tekst, zaintrygowana. Owszem, słyszała, że pogoda wpływa na nastrój, ale nie na odwrót. Zastanawiała się, dlaczego Kiki powiesiła na ścianie właśnie ten obrazek. Czy Królowa Deszczu interesowała ją w jakiś szczególny sposób? Czy potraktowała rycinę jako jeden z egzotycznych, typowo kolonialnych bibelotów? Tak czy inaczej, postanowiła zdjąć obrazek i powiesić na jego miejscu zdjęcie kaplicy w Langali. Dostała je na pożegnanie od Sarah i Michaela. Ale krążąc po pokoju, czuła, że rysunek raz po raz przyciąga jej wzrok. Było w nim coś urzekającego. Kobieta, która żyła w bliskim związku z chmurami, wiatrem, niebem... Skończyło się na tym, że zdjęcie z Langali znalazło się na stoliku obok łóżka.

233

Annah postawiła lichtarz na pustym regale. Świece oświetlały delikatnym blaskiem cały pokój i rzucały szare cienie na skórę rozbierającej się kobiety. Układając ubranie na oparciu fotela, powędrowała wzrokiem w stronę podwójnego łóża pod oknem. Po wielu nocach spania w namiocie na cienkiej macie szerokie i długie łóżko bardzo ją kusiło, zwłaszcza świeżo przewietrzoną pościelą. Szybko położyła się i podciągnęła kołdrę, potem poprawiła koszulę nocną. Leżała z jednej strony, odwrócona plecami do pustego miejsca. Pamiętała jednak o nietkniętej poduszce i zagłębieniu obok wzniesienia, tworzonego przez jej ciało. Wysunęła w bok stopę, wkradając się na obce terytorium. Zamknęła oczy. Pod powiekami migotało jej pomarańczowe światło świec. Nigdy nie była w łóżku z mężczyzną. Ale wyobrażała sobie w takiej sytuacji Michaela. Posunęła stopę nieco dalej. Wyobraziła sobie ciepło. Dotyk gładkiej, delikatnej skóry...

W ogrodzie za domem stadko mały skakało po czubkach drzew i ucinało sobie pogawędkę. Znad położonego za domem jeziora docierało wołanie ptactwa wodnego, smutno pokrzykującego w ciemności. Annah odcięła się od tych dźwięków i skupiła uwagę na ciszy panującej w pokoju, na szmerze własnego szybkiego i płytkiego oddechu. Wydawało jej się, że słyszy drugi. Że ktoś leżący obok właśnie wciąga powietrze...

Annah pochyliła się nad chłopcem, któremu właśnie przemyła owrzodzoną nogę naparem z bluszczu. Zrobiła mały namiot z gazy, wyciętej z jednej z moskitier Kiki, żeby muchy nie siadały na wrzodach.

- Pora iść - powiedział Stanicy, stając, w drzwiach. Zmarszczyła czoło, zaskoczona. Potem przypomniała sobie, że postanowili wybrać się do pobliskiej wioski i złożyć wizytę wodzowi plemienia Waganga. Wymagała tego etykieta, a ponieważ to on prosił o ponowne uruchomienie szpitala w Ger-mantown, istniała szansa, że pomoże im w obecnych trudnych warunkach.

- W porządku - zgodziła się Annah. - Właśnie skończyłam.

234

Uśmiechnęła się do chłopca i odwróciła na pięcie.

- Asante, mama Kiki - szepnął. - Dziękuję.

Nie on pierwszy zwrócił się do Annah w taki sposób. Pacjenci raczej się nie mylili, chociaż misjonarka chodziła w strojach Kiki. Annah zakładała, że to raczej tytuł kurtuazyjny. Poprawiła jednak chłopca:

- Mam na imię Annah.

Przytaknął uprzejmie, ale nie wyglądał na przekonanego.

Wioska znajdowała się niedaleko położonej nad jeziorem rezydencji Kiki. Na prośbę Stanleya zaprowadził ich tam pewien chłopiec. Mimo to Annah z nieufnością przyglądała się ścieżce, szukając węży i skorpionów.

Nie mogła się doczekać spotkania z wodzem. Czytała opowieści o przywódcach, którzy mieli dwie żony i sto pięćdzie-sięcioro dzieci, nosili skóry lwów i mieszkali w zbudowanych z błota pałacach, otoczonych przez wojowników. Po przyjeździe do Langali poprosiła, by przedstawiono ją tamtejszemu wodzowi, ale bardzo się rozczarowała. Ujrzała wtedy mężczyznę o zwyczajnym wyglądzie. Jedynymi symbolami jego statusu były czarny parasol i stary, poplamiony smoking. Stan-ley powiedział Annah, że Waganga są potężnym plemieniem. Jego wódz to bardzo ważna osobistość. Wyjątkowo skutecznie poprowadził negocjacje z biskupem. Wywalczył uruchomienie szpitala, chociaż nie zgodził się na kościół!

Na widok dachów wioski Annah poczuła zdenerwowanie. Staniey też był spięty. Trzymał się bardzo prosto, a ręce zwisały mu sztywno po bokach. Annah przypominała sobie, jak pewnego dnia razem z Michaelem wjechali odważnie do wioski, pewni serdecznego powitania. To plemię jednak nie lubiło misjonarzy. Zastanawiała się, jakie czeka ich przyjęcie. Co prawda wódz chciał, by otwarto szpital w Germantown, ale co powie na to, że usadowili się tutaj, niemal za jego progiem? Na dodatek w domu Kiki, miejscu, które ludzie z plemienia Waganga przez lata utrzymywali w idealnym stanie. Annah próbowała pocieszyć się myślą, że dozorca nigdy nie odważyłby się zrobić czegoś, czego nie pochwaliliby wódz. Ale wiedziała też,

235

że mąż Ndatali prawdopodobnie zgodziłby się na wszystko, byle uratować ukochaną żonę.

Wioska położona była na niewielkim wzniesieniu, między kępkami wysokich akacji. Drzewa wyglądały niezwykle zdrowo, mimo że rosły w takim, a nie innym miejscu. Nikt nie zrąbał na opał żadnej z dolnych gałęzi. Stożkowe chaty wykonano wyjątkowo starannie, a obok każdej z nich znajdowała się zagroda dla zwierząt. W ogródkach kwitły kwiaty, barwne motyle tańczyły nad kołyszącymi się kłosami prosa. Mieszkańcy wioski wykonywali codzienne zajęcia bez pośpiechu, ich piękne ciała spowijały barwne tkaniny. Annah przypuszczała, że w chatach na pewno znalazłaby dowody na brak higieny i istnienie chorób endemicznych, ale ze ścieżki domostwa te wyglądały wręcz sielankowo. Były dziwnie naturalne, nieskażone przez świat zewnętrzny. Ani śladu plastikowych opakowań, spodni, koszul czy rowerów. Żadnych reklam coca—coli.

Jak zwykle Stanieya i Annah otoczyła gromadka dzieci. Kilkunastoletni chłopcy byli niezwykle wysocy, niektórzy wręcz dorównywali wzrostem Annah. Ich młodzieńcze oblicza cechowała charakterystyczna dla tego plemienia uroda.

Podążając w stronę centralnego punktu wioski, Annah i Staniey napotykali bezpośrednio, oceniające ich spojrzenia. Kilka osób machnęło ręką w stronę, skąd przyszedli. Z którejś z chat wyłoniła się stara kobieta. Gdy przyglądała się Annah, na jej pokrytej zmarszczkami twarzy pojawiło się zdumienie. Potem odsłoniła w uśmiechu bezzębne dziąsła i zawołała:

- Kiki!MamaKiki!

- Jest pani w błędzie. - Annah potrząsnęła głową. - Jestem inną białą kobietą.

Robiła sobie wyrzuty, że wybierając się do wioski, nie włożyła normalnego stroju pielęgniarki. Wiedziała przecież, iż mieszkańcy wioski wierzyli, że zmarli mogą wrócić do życia. Tymczasem pojawiła się tutaj w ubraniu Kiki, jakby naprawdę nią była. Zwariowaną Amerykanką. Przyjaciółką wodza.

236

Poprowadzono Annah i Stanieya w kierunku dużej chaty. Na progu powitał ich młody mężczyzna, który przedstawił się jako Kitamu. Biegłe posługując się suahili, wyjaśnił, że jest młodszym bratem wodza. Wódz wybrał się na inspekcję pastwisk. Regent - wuj wodza, człowiek, który do niedawna był przywódcą plemienia -jest tam razem z nim. W związku z tym rodzinę królewską reprezentuje tylko on. Nie wyglądał na zbyt zadowolonego z faktu, że spoczywa na nim taka odpowiedzialność.

Annah opowiedziała mu o tymczasowym szpitalu.

Kitamu kiwał głową.

- Myśli pani, że o tym nie wiem? Od początku obserwujemy pani poczynania. Leczyła pani kilku członków naszego plemienia.

W jego głosie słychać było niezdecydowanie, jakby jedynie stwierdzał fakty, nie wyrażając żadnej opinii. Zapadło długie milczenie. Kitamu wyglądał na zaniepokojonego. Annah spytała, czy brat wodza popiera jej plany. Mężczyzna westchnął i rozłożył ręce.

- Nie potrafię powiedzieć, jak ustosunkuje się do tego mój brat, wódz. Czy regent. Nie mogę ich spytać o zdanie. Posłałem im wiadomość i poprosiłem, by jak najszybciej wrócili. A na razie, jak wiem, przystąpiła pani do realizacji swoich planów.

- Owszem - przyznała Annah. - Zgłasza się do mnie wielu chorych ludzi. Potrzebuję drewna na opał. Jedzenia. Zostało jeszcze dużo do zrobienia. Nie poradzę sobie bez waszej pomocy. Nie mogę czekać na powrót wodza i regenta.

Stanley skrzywił się, słysząc stanowcze słowa Annah. Kitamu, zmartwiony, zmarszczył czoło. Rozejrzał się wokół siebie, jakby liczył na podpowiedź. W końcu obiecał pomoc. Ale powiedział też, że Annah musi zdawać sobie sprawę, iż wódz po powrocie podejmie własną decyzję. Gdyby był, wszystko zależałoby od niego.

Annah uśmiechnęła się z ulgą.

237

- Dziękuję.

Kitamu szarmancko skłonił głowę.

- Przyślę pani swoich wojowników. Przyniosą jajka i proso z naszych magazynów. Kobiety dostarczą drewno na opał.

Po tych słowach odwrócił się i wszedł do chaty, ewidentnie uznając dyskusję za skończoną.

- W takim razie chodźmy - powiedziała Annah do Stanleya. Była już myślami przy szpitalu i czekającej ją pracy. Gdy zbliżali się do skraju wioski, Annah kątem oka dostrzegła kolorowy kwadrat - kawałek zadrukowanego papieru - przypięty do jednej z chat. Podeszła bliżej. Oczy jej się zaokrągliły, gdy rozpoznała plan londyńskiego metra. Taki sam wisiał na ścianie jej sypialni. Eleanor przywiozła go z podróży po Europie i podarowała Annah wraz z zużytymi biletami.

- Ktoś sporo podróżuje - mruknęła do Stanleya. Uznała to za żart, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, jak inaczej mapka mogłaby trafić do afrykańskiej wioski. Właśnie chciała odwrócić się na pięcie, gdy na ścianie sąsiedniej chaty zauważyła coś, co wyglądało na suszące się zioła. Był wśród nich również bluszcz.

- Popatrz - odezwała się do Stanleya. - Oni też go używają. Mężczyzna wzruszył ramionami, nie zamierzając wcale rozwijać tego tematu. Annah przywołała jakiegoś chłopca.

- Posługujesz się suahili? - spytała.

- Tylko rozmawiając z obcymi - odparł Murzynek. -Z mieszkańcami wioski porozumiewam się w naszym narzeczu. Tak jest mi wygodniej.

- Czy to dom szamana? - spytała go.

- Nie, ochronnego doktora.

Kobieta nie kryła zdziwienia. Odwróciła się do Stanleya, ale on tylko potrząsnął głową. Wyraźnie też nie znał tego określenia. Annah poprosiła chłopca, żeby powtórzył, podejrzewając, że źle go zrozumiała.

- W tej chacie mieszka ochronny doktor - powiedział nastolatek. - Jego zadanie polega na chronieniu ludzi przed niebezpieczeństwami.

238

Mówił ze spokojem i pewnością siebie, jakie rzadko można spotkać u tak młodych ludzi.

- To znaczy, że jest uzdrowicielem? - drążyła temat Annah.

- Nie tylko. Odpędza duchy. Rozmawia z przodkami. Sprowadza deszcz. Robi wszystko, by zapewnić ludziom bezpieczeństwo. Ma na imię Zania.

Jak na zawołanie z chaty wyłonił się mężczyzna. Miał na ramionach pelerynę ze skór zwierzęcych. Zerknął na Stanleya i zmarszczył brwi, widząc zachodni strój Murzyna. Zignorował go i wbił wzrok w białą kobietę. Z jego ruchów emanowało dziwne dostojeństwo. Annah pozdrowiła go, starając się nie zaglądać mu przez ramię, w miejsce, gdzie na framudze wisiało coś dziwnego - powykręcane, zakrwawione i pokryte futerkiem.

- Jestem pielęgniarką - przedstawiła się. - Chciałabym wiedzieć, do czego używa pan tych liści.

Zania przyjrzał jej się podejrzliwie, zacisnął wargi i milczał jak głaz.

- Czy on mnie rozumie? - spytała Annah chłopca.

- Tak.

Nie chcąc wywierać nacisku na ochronnego doktora, Annah spytała chłopca, czy mógłby pójść do Kitamu i poprosić, żeby dostarczył do domu Kiki duże ilości bluszczu.

- To bardzo pożyteczne zioło - skomentowała. - Dzięki niemu szybciej goją się rany.

Słyszając słowa Annah, Zania gwałtownie uniósł głowę.

- To jeszcze nic - powiedział lekceważąco. - Mam lekarstwa, które leczą różne choroby.

Annah uśmiechnęła się, próbując ukryć niedowierzanie. Słyszała kiedyś o pewnej kuracji na zapalenie wątroby. Należało ugotować całą perliczkę - z wnętrznościami i pierzem - a następnie wszystko zjeść. Jej reakcja wyraźnie pobudziła Zanię do działania.

- Dam pani jedno z nich do wypróbowania - oznajmił. Zniknął w swojej chacie. Po chwili wrócił z małym zawiniątkiem, zapakowanym w liść bananowca.

239

- Trzeba to zemleć i połknąć. Proszę. Zania ostrożnie rozpakował zawiniątko. W środku znajdowały się pokryte pleśnią listki.

- Mimo wszystko dziękuję - powiedziała Annah uprzejmie. Zania się roześmiał.

- One tak właśnie mają wyglądać. Specjalnie zawinąłem je w zielone liście, żeby urosły im „włosy”.

Annah wsunęła pakiecik do kieszeni i się pożegnała.

- Będę czekać na pani powrót - oznajmił Zania poważnie. - Na pewno będzie pani chciała podzielić się ze mną swoimi lekarstwami.

Annah patrzyła na niego bez słowa. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przyjmując zawiniątko, nieświadomie zawarła ze starcem swego rodzaju pakt. Nawet bez oglądania się

wyczuwała dezaprobatę Stanieya. Starła się nie myśleć, co powiedziałby Michael. Jak to się stało, że nie dostrzegła zbliżającego się niebezpieczeństwa? - pomyślała. Dlaczego tak późno zauważyła, dokąd prowadzi obrona ścieżka?

Odwróciła się i powędrowała za Stanieyem. Czuła ciężar wsuniętego do kieszeni zawiniątka Zanii. Potrząsnęła głową na myśl, że miałyby wykorzystać „lekarstwo”, na którym celowo wyhodowano pleśń. Potem jednak przypomniał jej się jeden z wykładów z historii medycyny. W laboratorium popełniono błąd, w rezultacie próbki do eksperymentu spleśniały. W nagłym przebłysku geniuszu - albo szczęśliwym trafem - naukowiec postanowił ich nie wyrzucać. I dobrze. Wypadek ten zmienił oblicze zachodniej medycyny. Dzięki niemu odkryto antybiotyki. Annah zatrzymała się w pół kroku i obejrzała przez ramię. Ochronny doktor kucnął przy ognisku, przesuwając kości w popiele i odpędzając muchy.

Brat wodza dotrzymał słowa. Jeszcze tego samego dnia w rezydencji Kiki pojawił się regiment Kitamu, składający się z piętnastu młodych wojowników. Wraz z nimi przybyły kobiety i młodzież, niosąc zapasy jajek, mleka i drewna na opał. Zebrali się na trawniku przed domem i cicho czekali.

240

Annah wyszła na werandę. Niepokoiła ją myśl o konieczności wydawania poleceń wojownikom, wyćwiczonym, silnym młodym mężczyznom, którzy stali przed nią w promieniach popołudniowego słońca. Zamiast tego postanowiła im po prostu powiedzieć, w czym mogliby jej pomóc. Może wtedy sami wybiorą sobie zadania.

Niestety, czuła, że mówi do ściany. Mężczyźni ani nie przytakiwali, ani nie wygłaszali żadnych komentarzy. Kobiety przez cały czas wpatrywały się we własne stopy. Annah sprawdziła zapasy. Była z nich zadowolona. Uznała, że może kobiety zgodzą się coś zrobić. Wiedziała bowiem, że hołdujący starym afrykańskim zwyczajom mężczyźni starannie dobierają sobie zajęcia. Na razie wyglądało na to, że stojący przed nią wojownicy postępują tak samo.

Jak się okazało, Annah błędnie oceniła wojowników Kitamu. Owszem, sprzątanie i gotowanie zostawili kobietom, ale z radością pomagali w tym, co uznali za prawdziwą pracę - w opiece nad chorymi. Prawdopodobnie w okresie inicjacji sami zadali i odnieśli mnóstwo ran, nie reagowali więc na widok krwi i wszystkiego, co normalnie towarzyszy chorobom. Nigdy w życiu nie polegali na słowie pisanym, dzięki czemu szybko zapamiętywali instrukcje i rzadko popełniali błędy. Co więcej, wykonywali swoje obowiązki z prawdziwym oddaniem. Reprezentowali Kitamu i nie chcieli, by ktoś miał im coś do zarzucenia. Annah szybko przywykła do widoku niemal nagich, pomalowanych gliną młodych mężczyzn, którzy uwijali się przy łóżkach pacjentów. Z prawdziwą ulgą zrzuciła część odpowiedzialności, spoczywającej dotychczas na niej i na Stanieyu, na barki tych dziwnych, ale silnych pomocników.

Rezydencja Kiki chroniła przed kapryсами pogody, co więcej, zapewniała porządne, czyste pomieszczenia, a także luksusy w postaci prądu i bieżącej wody. Pozostały problemy ze zbyt dużą liczbą pacjentów i brakiem lekarstw. Dzień po dniu na trawnikach zbierał się tłum chorych, nic więc dziwnego, że napięcie rosło. Annah czuła się tak, jakby jechała na

241

grzbiecie spienionej fali. Z pomocą Stanieya i ludzi Kitamu na chwilę udało jej się opanować sytuację, ale nadal groziła

im powódź.

Najbardziej martwił ją stan żony dozorca. Ndatała nie reagowała na antybiotyki, a Annah nie wiedziała, czego jeszcze spróbować. Chciałaby zasięgnąć opinii lekarza - rady Michae-la - niestety, nie mieli radiostacji. Gdy tylko uzna, że poradzi sobie przez jeden dzień sama, będzie musiała ponownie wysłać Stanieya na pocztę. Niestety, nawet gdyby pojechał w tej chwili, zostawiając ją samą z bałaganem, który wtedy zamieniłby się w całkowity chaos, mogłoby się okazać, że dla Ndatali jest już za późno. Kobieta z godziny na godzinę opadała z sił.

Gdy minęło następne długie popołudnie i z ogrodu zniknął ostatni pacjent, Annah jak zwykle weszła do izolatki, by sprawdzić stan Ndatali. Wchodząc, była niemal pewna, że żona dozorca zmarła - że zastanie zrozpaczonego męża, trzymającego w dłoni stygnącą rękę ukochanej kobiety... Ale jakimś cudem Ndatała kurczowo trzymała się życia. Leżała nieruchomo, a słaby oddech delikatnie unosił jej klatkę piersiową. Pielęgniarka stała przez chwilę i patrzyła na chorą, zdając sobie sprawę, że dozorca nie odrywa wzroku od jej pleców. Zastanawiała się, co mu powiedzieć, żeby złagodzić ból.

- Mamy zgodę na skorzystanie z tego budynku? - spytała po odejściu od łóżka. - Miał pan porozmawiać z białym człowiekiem, który mieszka w Murchanzie. Osobą odpowiedzialną za tę posiadłość.

Dozorca przetarł zaczerwienione z braku snu oczy.

- Zrobiłem, co do mnie należało - zapewnił ponuro. - Obiecał, że skontaktuje się z właścicielem w Ameryce. Ma mu przekazać wiadomość, że chce pani wynająć ten dom.

- Czy on wie, że my już tu jesteśmy? - spytała Annah. Dozorca nie odpowiedział od razu. Gdy w końcu się odezwał, jego słowa były wyraźne i jednoznaczne.

- Moja żona jest bardzo chora. Powinna znajdować się w szpitalu. Pod pani opieką. - Bezradnie rozłożył ręce.

Annah kiwnęła głową. Wiedziała, że od samego początku

242

dozorca starał się zrobić wszystko, by tu została. Prawdopodobnie nawet nie skontaktował się ze swoim zwierzchnikiem. Postanowiła nie zadawać więcej pytań. Może lepiej nie znać odpowiedzi.

Przed wyjściem zatrzymała się, by sprawdzić puls Ndatali. Był bardzo słaby. Nie musiała mierzyć ciśnienia. Widać było, że chora stoi nad grobem. Pora postawić sprawę jasno - powiedzieć prawdę.

Annah zatrzymała się przed dozorcą. Zauważyła, że się skurczył, jakby wiedział, co za chwilę usłyszy. Nim otworzyła usta, ułożyła sobie w myślach mowę, wykorzystując afrykańskie określenia, których często używał Staniey.

- Obawiam się, że nasze starania poszły na mamę - powiedziała. - Powinien pan przygotować się na najgorsze.

Wypowiedziawszy te słowa na głos, Annah odwróciła się i wybiegła. Nie zważając na płynące z oczu łzy, na oślep pędziła korytarzem. Na jego końcu znajdował się gabinet Kiki. Annah wyjęła klucz z kieszeni, otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka.

Natychmiast poczuła się lepiej. Prawie niczego tu nie ruszano, powietrze nadal przesycone było zapachem starej skóry i perfum. Na biurku wciąż stały zdjęcia. I koniak. Annah chwyciła karafkę za smukłą kryształową szyjkę i uniosła ją do ust. Odchyliła głowę do tyłu i zaczęła pić. Alkohol palił ją w gardle jak oczyszczający ogień, zagłuszając ból. Spływał kącikami ust, zostawiając ślad na szyi.

Chciałabym mieć cię przy sobie - pomyślała.

Te słowa dźwięczały jej w głowie - całkiem wyraźne, a jednocześnie dziwnie niejasne. Annah nie wiedziała, za kim tęskni. Za Sarah... Michaeliem.... Jezusem... Kiki...

Może kimś innym.

Kimś, kto objąłby ją mocny m ramieniem. Przytulił do siebie i nigdy nie puszczał.

Późnym wieczorem Annah skończyła pracę i powędrowała schodami do swojej sypialni. Była tak zmęczona, że z trudem

243

radziła sobie z guzikami, gdy rozpiniała bluzkę. Zdejmując spodnie, znalazła w kieszeni maleńki pakunek. Wsunąwszy do niego palce, wyczuła coś chłodnego, wilgotnego, lepkiego. Zioła ochronnego doktora. Podeszła do okna, mając zamiar wyrzucić spleśniały preparat. Gdy jednak otwierała skrzydło, w jej głowie zaświtała pewna myśl - pojawiła się wizja. Całkiem wyraźna, jakby tylko czekała. Pleśń w okrągłym szklanym naczynku, jakich używa się w laboratoriach. Pleśń ratująca życie... A może tutejszy szaman powiedział prawdę. Może przez przypadek odkrył sposób na wytwarzanie któregoś z antybiotyków? - pomyślała Annah. Na dole w izolatce leży umierająca kobieta. Kochający ją mężczyzna ma złamane serce. Próby podejmowane przez Annah nie przyniosły żadnego efektu. Może warto spróbować lekarstwa Zanii?

Annah zrezygnowała z tego pomysłu. Położyła się do łóżka, ale nie mogła przestać o nim myśleć. Nie było odwrotu.

W cichej, pustej kuchni rozdrobniła zioła szamana, używając w tym celu tłuczka i moździerza. Potem wymieszała uzyskaną miazgę i dodała odrobinę różowego syropu aspirynowe-go. Starła się nie zastanawiać nad tym, co robi. Gdy zaczęła działać, nie mogła przestać.

Dozorca wciąż tkwił przy łóżku żony, pogrążony w półśnie. Podskoczył na widok zbliżającej się wysokiej, smukłej kobiety w długiej, białej koszuli nocnej, z bosymi stopami i rozpuszczonymi długimi, kasztanowymi włosami.

- To pani! - zawołał zaskoczony, jakby myślał, że ujrzał ducha.

Annah pokazała mu lekarstwo.

- Chcę dać pańskiej żonie środek przeciwbólowy - wyjaśniła tak zdecydowanym i pewnym głosem, na jaki było ją stać. -Nie lekarstwo.

Ndatała zakrztusiła się, ale przełknęła lekarstwo. Annah czuła, że ze strachu ścisła ją w gardle. Co ona właściwie wyprawia? Co będzie, jeśli to trucizna? Albo dawka była za duża? Czy źle przygotowała?

Niestety, było już za późno. Annah wyszła z sali. Wyobra-

244

ziła sobie szczupłe ciało wijące się w konwulsjach. Potem trudne do uniknięcia drgawki przedśmierne, tylko bardziej rozpaczliwe.

Spowodowane przez nią...

Gdy Annah w końcu zasnęła, rzucała się z boku na bok, płacząc prześcieradła i próbując odpędzić ponure sny. Znów była dzieckiem. Co gorsza, przyłapano ją na tym, że zrobiła coś złego. Nawet nie wiedziała, co przeskrobała, ale Eleanor wpadła w szal. Chwyliła ją za ramiona i mocno potrząsnęła, pragnąc przywołać córkę do porządku. Raz na zawsze. Szarpnęła nią jeszcze raz, wbijając palce aż do kości.

- Proszę się obudzić! Proszę się obudzić!

Annah gwałtownie otworzyła oczy i próbowała przeniknąć ciemność. Zesztywniała ze strachu. Ujrzała nad sobą czarną twarz.

- Szybko! Musi pani to zobaczyć!

Kobieta oprzytomniała. Wyskoczyła z łóżka i pobiegła na dół. Dozorca za nią. Jak bomba wpadła do izolatki. Wciąż paliła się tu mała lampka. Annah uniosła światełko i oświetliła łóżko. Ndatała miała otwarte oczy. Poruszała ustami, próbując coś powiedzieć. Pielęgniarka dotknęła jej czoła - było zimne i suche. Sprawdziła puls - wyczuła miarowe i silne uderzenia.

- Widzi pani? - powiedział dozorca. - Moja żona lepiej się czuje. Uratowała ją pani!

Annah milczała. Wmawiała sobie, że cuda się zdarzają. Czasami pacjenci zdrowieją, chociaż wszyscy stracili nadzieję. Ale - w głębi duszy odzywał się drugi głos - byłby to dziwny zbieg okoliczności. Pora uwierzyć, że jest to efekt działania lekarstwa Zanii - spleśniałych liści, które chciała wyrzucić.

Zdała sobie sprawę, że dozorca czeka na jej słowa. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła, widząc na jego twarzy radość.

- Wygląda na to, że Ndatała odzyskuje siły - przyznała Annah. - Bóg ją uratował.

A raczej Zania - pomyślała. Mężczyzna uniósł ręce i zaczął tańczyć z radości.

- Podziękujmy Bogu! - zawołał głośno, tak że było go sły-

245

chać w całym domu. - Pani Bogu, naszemu Bogu, każdemu bogu, którego potrafimy nazwać!

W tym momencie do izolatki wpadł Stanicy. Był zaspany, jeszcze zapinał koszulę.

- Co się stało? - spytał.

Słyszając słowa dozorczy i widząc wyraźne ozdrowienie Nda-tali, nie krył zdumienia.

- Nie możemy jej męczyć - ostrzegła Annah zdecydowanym głosem.

Wyciągnęła Stanieya na korytarz. Gdy byli sami, szepnęła:

- Dałam jej lekarstwo, które przyniosłam z wioski. Oczy Stanieya się zaokrągliły.

- Od ochronnego doktora?

Przytaknęła. Staniey patrzył na nią. Na jego twarzy widać było szok, przerażenie i zaskoczenie.

- To cud - orzekł.

- Tak - przyznała.

Żadne nie powiedziało ani słowa więcej.

Rano Annah wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że nocne wydarzenia były tylko snem. Ale kiedy po cichutku podeszła do drzwi izolatki, ujrzała żonę dozorczy, która siedziała na łóżku, jadła kleik i rozmawiała z jednym z wojowników Kitamu. Annah

zostawiła ich w spokoju i powędrowała do kuchni. Tam zjadła kilka łyżek ugali, traktując to jak śniadanie. Potem skierowała się do drzwi.

Szła szybko przez wioskę, zdążając prosto do chaty Zanii. Po drodze porządkowała w myślach pytania, które chciała mu zadać. Czy zdarzyły mu się podobne cuda? Czy ma inne preparaty? Zbliżywszy się, ujrzała starca siedzącego przy ognisku. Jakby na nią czekał. Ale gdy się do niego zbliżyła, usłyszała ciche mamrotanie. Dźwięk wydobywał się z ust, z których jednocześnie spływała ślina. Kościste ramiona mężczyzny podrygiwały, kiedy kołysał się do przodu i do tyłu.

Annah zamarła w pół kroku. Miała ochotę odwrócić się na

246

pięcie i uciec. Ale czując, że ludzie na nią patrzą, postanowiła przywitać się ze starcem.

- Dzień dobry panu - powiedziała. - To ja, biała kobieta z domu Kiki.

Przez długą chwilę Zania się nie odzywał. Potem uniósł oczy. Mogło się wydawać, że patrzy na stojącą przed nim białą kobietę, ale chyba jej nie rozpoznawał. Miał błędny wzrok.

Annah zrobiła krok do tyłu i potknęła się o kawałek drewna na opał. Słyszając nagły hałas, Zania zaczął krzyczeć w dziwnym języku. Chociaż jego oczy nadal niczego nie widziały, szorstkie i pełne złości słowa wyraźnie skierowane były do przybysza. Annah poczuła, że serce wali jej ze strachu. Odwróciła się i uciekła.

Z trudem łapiąc powietrze, biegła przez wioskę. Ludzie obserwowali ją bez słowa. Nie stanowili żadnego zagrożenia, ale też zachowywali przerażającą obojętność. Mogłaby upaść i zrobić sobie krzywdę, a oni nawet by jej nie pomogli. Zresztą dlaczego mieliby pomóc? - pomyślała Annah. W końcu sama z własnej woli postanowiła tu przyjść i skonsultować się z ich szamanem. Musi bardziej uważać. Jest tu przecież całkiem obca. Jak to powiedziała babcia Stanieya? „Biali ludzie nie potrafią zrozumieć tego, co wiedzą czarni”.

Nie mogą zrozumieć. Wręcz nie powinni wiedzieć.

Niestety, w niewiedzy kryje się niebezpieczeństwo.

W pomieszczeniu do sterylizacji panował hałas, w powietrzu było gęsto od dymu. Mieszaly się odgłosy bulgoczącej wody, trzaskającego węgla drzewnego i cichych rozmów.

- Musi się gotować przez dziesięć minut - przypomniała Annah kilku kobietom, które zostały tu skierowane przez wojowników Kitamu. Wskazała im stojącą na starej jak świat ławie kuchenną klepsydrę. - Za każdym razem, kiedy będziecie ją przekręcać, wystawcie jeden palec. Wtedy na pewno się nie pomylicie.

Kobiety przytaknęły, ale Annah wcale nie była pewna, czy

247

ją rozumiały. Otarłszy z twarzy pot i sadzę, odwróciła się do wyjścia. Na progu stał Staniey. Trzymał ręce za plecami a w jego oczach widać było prawdziwą dumę.

- Mam coś - oznajmił.

Nie mógł już dłużej się powstrzymać i wyjął zza pleców swój skarb. Był to spory kawałek bakelitu, ozdobiony kablami, gałkami i przewodami.

- Radioodbiornik - powiedziała z westchnieniem Annah.

- Dotarł aż tutaj - zauważył Staniey. - To aparat, który zginął w Germantown. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech. -Gdy go uruchomię, będziemy mogli porozumieć się z całym światem.

Annah patrzyła na krótkofalówkę, którą Staniey trzymał w rękach. Ogniwko łączące ich ze światem zewnętrznym. Radiostację.

- Skontaktujemy się z Michaeliem - powiedziała Annah. -Powie nam, co powinniśmy zrobić.

Poczuła ulgę. Jednak po chwili ogarnął ją niepokój. Opuszczenie Germantown bez zgody misji i przeniesienie się do rezydencji Kiki było jedynym słusznym rozwiązaniem. Ale gdy wyobraziła sobie, jak do tej decyzji podejdzie ktoś znajdujący się daleko stąd, ogarnęły ją wątpliwości. Skoro ma radio, powinna nawiązać kontakt nie z Langali, lecz z kwaterą główną misji. Z biskupem. W końcu od kilku dni myślała o wysłaniu Stanieya na pocztę z telegrafem. W tymczasowym szpitalu rozpaczliwie brakowało lekarstw, przydałoby się też kilka innych podstawowych rzeczy - na przykład pieniądze.

Annah postanowiła jednak, że najpierw skontaktuje się z Langali. Co prawda sytuacja między nią a Michaeliem trochę się skomplikowała, ale doktor Carrington wciąż był jej zwierzchnikiem. Nadal uznawała Michaela i Sarah za swych najbliższych przyjaciół.

Przygotowując się do rozmowy, Annah powtórzyła w myślach argumenty w swojej obronie, łącznie z etycznym aspektem sprawy. Musiała przyznać, że prawdopodobnie złamała prawo. Ale co z przykazaniem miłości? Miłości, o której na-

248

uczał Jezus? Z prawdziwym dachem nad głową, który nie przemaka podczas deszczu? I zbiornikami, które zapewniają bieżącą wodę?

Michael zrozumie - pocieszała się Annah. Sam często bywał w ciężkiej sytuacji i musiał dokonać trudnego wyboru. Przypomniała sobie opowieść o tym, jak pewnego razu zamknął szpital w Langali. Tubylcy zaczęli traktować placówkę misyjną jak coś, co im się należy, przestali pomagać przy codziennych obowiązkach i chodzić do kościoła. Lekceważyli ostrzeżenia Michaela, że tak dłużej być nie może. Pewnego dnia zamknął więc szpital, aptekę i szkołę. Wszystko. Na dwa tygodnie. Annah wyobrażała sobie, jak musiał się czuć, gdy wszystkie oddziały świeciły pustkami, a chorych odprawiano z kwitkiem. Ktoś mógł umrzeć. Może nawet umarł. Wiedziała jednak, że Michael się nie ugiął. Twardo bronił swego. Ona też znajdzie na to siły.

Bez trudu udało im się połączyć z Langali. Odezwała się jakaś kobieta z wyraźnym szkockim akcentem. Powiedziała, że jest nową pielęgniarką. Jak wyjaśniła, rodzina Carringtonów wyjechała na zasłużony urlop nad jezioro Tanganika.

Serce zamarło w piersiach Annah, gdy usłyszała tę wiadomość. Przez chwilę nie odpowiadała, w końcu Szkotka spytała, czy jej rozmówczyni wciąż tam jest. Annah zostawiła wiadomość dla Sarah i Michaela, prosząc, żeby po powrocie się z nią skontaktowali. Potem się rozłączyła. Usiadła nieruchomo, nie odrywając wzroku od słuchawki. Zrobiło jej się niedobrze, gdy wyobraziła sobie osobę, z którą rozmawiała - swoją następczynię - obsługującą radiostację w Langali. Kobietę zajmującą chatę na końcu ścieżki. Pracującą pod czujnym okiem Michaela. Wkradającą się w łaski Sarah. I rozśmieszającą małą Kate.

Annah była zmuszona skontaktować się z główną kwaterą misji w Dodomie. Zostawiła dla biskupa zuchwałą wiadomość, w której wyjaśniała, co zrobiła. Słyszała zdumienie operatora, który zapisywał jej słowa.

- To wszystko? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak. To wszystko - odparła Annah.

249

Wiedziała jednak, że na tym nie koniec. Oj, nie... . Ledwo zdążyła wrócić do pracy, kiedy Staniey wezwał ją z powrotem do radia. Biskup koniecznie chciał z nią rozmawiać. Osobiście obsługiwał radiostację, słyhać więc było jego wściekłość. Nie mógł uwierzyć w to, co mu powiedziano. Przypomniał Annah, że owszem, otrzymała zgodę na pracę, ale tylko w jednym miejscu - w nowym szpitalu w Germantown. A ponieważ złamała obowiązujące w Tanzanii prawo, nie może liczyć na jakiegokolwiek poparcie misji. Biskup postanowił natychmiast wysłać na miejsce kogoś, kto uporządkuje cały bałagan. Annah próbowała wytłumaczyć, dlaczego podjęła takie działania, ale biskup przerwał jej, przypominając, że powinna znajdować się tam, gdzie ją posłano, czyli w Germantown.

Annah skorzystała z wyćwiczonej wcześniej odpowiedzi.

- Jestem przekonana, że gdyby Jezus znalazł się na moim miejscu... - zaczęła.

- Siostrze Mason - przerwał jej biskup. - Jest pani jedną z moich pracownic. Nie Jezusem. Koniec. Kropka.

Annah pokonała trawnik i weszła między grządki. Panowała tu błoga cisza. Odgłosy szpitala - płacz niemowląt, trajkotanie pracowników, podzwanianie garnków w kuchni - ustępowały miejsca innym dźwiękom. Szumowi skrzydełek owadów, wybierających nektar z pochylonych główek kwiatów. Trzaskowi pękających pod nogami gałązek. Szelestowi, z jakim zażywające kąpieli słonecznej jaszczurki znikwały w trawie, gdy się zbliżał człowiek. W pięknym, spokojnym miejscu tyrada biskupa powoli traciła znaczenie. Zaczerwieniona twarz Annah odzyskiwała normalny kolor, a bicie serca wracało do normy. Spacer zaczął sprawiać jej przyjemność. Od przybycia do rezydencji Kiki Annah bez przerwy pracowała, nigdy nie miała czasu, by zająć tak daleko. Ujrzała przed sobą drzewo pieprzowe z opuszczonymi aż do ziemi długimi konarami. Dotarłszy do niego, odsunęła gałęzie i weszła do środka, do ukrytego

250

sanktuarium. Nagle zamarła w bezruchu. Ujrzała starą Murzynkę, kucająca przy pniu i układającą kwiaty. Długie łodyżki krzyżowały się na ziemi, jasne płatki wyglądały jak barwne plamki. Słyszac kroki Annah, staruszka, zaskoczona, gwałtownie odwróciła głowę.

- Samaheni - powiedziała Annah. - Przepraszam. Odwróciła się, żeby wyjść. Nie miała zamiaru reagować na to, że ludzie czczą święte drzewa. W Germantown postawiono sprawę jasno - Annah i Staniey są pracownikami służby zdrowia, a nie kaznodziejami.

- Nie, proszę zaczekać. Może zechciałaby pani chwilę ze mną posiedzieć?

Starsza pani posługiwała się piękną angielszczyzną. Jednocześnie kiwnęła ręką.

Młoda kobieta zatrzymała się, zaskoczona jej mową- doborem słów i pewnym tonem. Nie miała innego wyjścia, musiała ulec prośbie staruszki. Annah podeszła i usiadła. Jakiś wewnętrzny głos próbował ją ostrzec. Co ona właściwie robi? Nie wystarczy, że już skonsultowała się z szamanem i użyła jego lekarstwa? Czyżby miała zamiar przyglądać się pogańskiemu obrzędowi?

- Ona tu leży - wyjaśniła stara Murzynka. - Panna Kiki. Wymówiła to imię z ogromnym żalem i ciepłem.

- Znała ją pani? - spytała Annah, pod wpływem zaskoczenia i nagłego zainteresowania podnosząc głos.

- Byłam jej pokojówką - odparła Afrykanka z dumą. - Robiłam dla niej wszystko. - Przynęła się do Annah. Otaczał ją zapach wysuszonego potu i zgniecionych płatków kwiatów. - Ufała mi nawet w sprawach intymnych. Kiedy miała gości, przygotowywałam jej łożo miłosne.

- Łoże miłosne? - powtórzyła Annah, niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Tak. Pilnowałam, by prześcieradła były dobrze wygładzone. A na poduszkach zawsze kładłam świeże kwiaty. To był mój pomysł. Najbardziej lubiła róże.

Annah nie odpowiedziała, próbując zrozumieć znaczenie

251

usłyszanych słów. Goście. Kochankowie. Mężczyźni. Schadzki. Róże na poduszkach.

Jej rozmówczyni uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Słyszałam... - zaczęła. - Ktoś mi powiedział... - Urwała.

- Co takiego? - spytała Annah.

- Że pani śpi w jej łożu miłosnym! Annah patrzyła z osłupieniem na staruszkę.

- W pokoju Królowej Deszczu - dodała kobieta. - Czyż nie to właśnie pomieszczenie wybrała pani dla siebie?

Annah milczała. Spotkanie ze starą Murzynką wydawało jej się snem. Z otaczającymi ją ze wszystkich stron konarami drzewa pieprzowego, dziwaczną, starą kobietą, kolorowymi kwiatami. I rozmową o miłości.

Annah wstała.

- Mam na imię Louisa - przedstawiła się staruszka. - Gdyby potrzebowała pani pokojówki, jestem do usług.

- Dziękuję - rzuciła Annah w pośpiechu.

Przedarła się między gałęziami, a potem zatrzymała na zewnątrz, żeby wyplątać z włosów zabłąkaną gałązkę. Po wyjściu na pełne słońce zdała sobie sprawę, że pod drzewem, obok grobu Kiki, panował miły chłodek. Szybko wróciła do domu. Do szpitalnych zajęć.

Gdy weszła na korytarz, czekał tam na nią jeden z wojowników Kitamu. Obok niego stał Staniey. Jego strój koloru khaki wyraźnie kontrastował z nagą skórą wojownika, który miał na sobie jedynie kawałek materiału, okrywający genitalia.

- Ma dla ciebie wiadomość - wyjaśnił Staniey.

- Od kogo? - spytała Annah.

Miotły nią z jednej strony niepokój, a z drugiej nadzieja. Obawiała się następnego kontaktu z biskupem, ale bardzo chciała usłyszeć Michaela.

- Od Kitamu - odparł Staniey.

Annah wychwyciła w głosie współpracownika lekkie zaniepokojenie.

- Co się stało?

- Chcą zorganizować ngoma. Tu, na trawniku.

252

Słyszając te słowa, Annah zmarszczyła czoło. Ngoma w sua-hili oznaczało ogromne zgromadzenie, podczas którego członkowie plemienia tańczą, śpiewają i grają na tam-tamach. Ale na tym nie koniec. Według podręczników używanych w szkole

przygotowującej przyszłych misjonarzy uczestnicy ngoma piją alkohol domowej produkcji, uprawiają miłość i starają się nawiązać kontakt z duchami.

- Tutaj? - pisała Annah, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała.

Oglądana przez nią nie tak dawno w dżungli uroczystość przedślubna do pewnego stopnia przypominała ten rytuał. Młoda kobieta nie miała ochoty na ponowne przeżycie czegoś takiego.

Wojownik przytaknął.

- Trawniki przed rezydencją to miejsce znane wszystkim - wyjaśnił. - Tu się zbieramy od chwili, kiedy mama Kiki zaproponowała plemieniu Waganga organizowanie ngoma przed swoim domem.

Słuchając słów Murzyna, Annah zerknęła na portret Kiki. Ponownie dostrzegła w jej oczach rozbawienie. A może figlar-ność...

Wojownik wskazał ręką na poczerńiałe kamienie znaczące zielony trawnik. -

- Tam palimy ogniska - wyjaśnił. - A tam, w pobliżu starych drzew, widać kręgi pozostawione przez tancerzy.

Zerknąwszy w tamtą stronę, Annah dostrzegła wydeptaną ziemię i gigantyczne koła, przypominające pierścienie baśniowego wielkoluda.

- Tym razem będzie to specjalna uroczystość - zaznaczył. - Powitanie wodza wracającego z pastwisk. - Nastąpiła krótka pauza. - Pani też weźmie w niej udział - oznajmił.

Annah miała zamiar odmówić. W końcu była misjonarką. Nie mogła uczestniczyć w takiej ceremonii. Jednak, nim zdołała otworzyć usta, wtrącił się Staniey.

- Czujemy się zaszczytzeni - zapewnił. - Przyjdziemy. Przez chwilę Annah patrzyła na niego zaszokowana. Potem

253

zdała sobie sprawę, że nie mogą odpowiedzieć inaczej. Muszą powitać wodza. Gdyby tego nie zrobili, ich zachowanie uznano by za jawną zniewagę. Zmusiła się do uśmiechu.

- Kiedy... ta uroczystość... ma się odbyć?

- Wódz powinien pojawić się jutro - odparł wojownik. - Ngoma odbędzie się wieczorem.

Po przekazaniu wiadomości młody człowiek odwrócił się i odszedł.

Nazajutrz po południu kobiety i dzieci przyniosły naręcza chrustu i poukładały go w stosy obok każdego z kamiennych palenisk. Postawiono prymitywny pawilon ze skór wołowych rozpiętych na patykach. Na ziemi rozłożono tkane maty. O zachodzie słońca na trawnikach zaczęli zbierać się mieszkańcy wioski. Annah obserwowała ich przez okna. Udawała, że jest bardzo zajęta. Niemal wszyscy członkowie plemienia mieli na sobie uroczyste szaty - skóry dzikich zwierząt, naszyjniki z paciorków, ozdoby na głowy ze strusich piór. Pomalowali również ciała, co dodawało uroku i tak niezwykle przystojnym Wa-ganga. Wyglądali jak dostojnicy.

Annah zerknęła na swój strój, zwyczajny i nieciekawym. Zdjęła spodnie Kiki i włożyła schludną, typowo misjonarską spódnicę, a do niej bluzkę. Przypięła do piersi zegarek i misyjną plakietkę. Celowo dokonała takiego wyboru. Jeśli miała wziąć udział w niecodziennej uroczystości, chciała przynajmniej wyglądać tak, jak powinna. Jak godna szacunku misjonarka. Zauważyła, że Staniey był w normalnym stroju koloru khaki. Widziała go na werandzie. Stał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Annah uznała, że

wybrał sobie znaczące, odpowiednie do swojej pozycji miejsce. Jako afrykański pracownik misji nie należał do zbierających się na trawniku mieszkańców wioski, ale też nie mógł rościć sobie prawa do tego, by znaleźć się w środku i zająć miejsce u boku Annah. Utknął między dwoma światami.

Gdy słońce stanęło nad horyzontem, złociste światło zalało trawniki i zaczęło odbijać się od pomalowanych ciał. Pomruk głosów zagłuszał rytm wybijany przez małe bębny. Zapalono

254

ogniska, a przybysze zaczęli tańczyć wokół nich. Płomienie zabarwiały ich skórę na czerwono i rzucały groźne cienie.

Annah przestała udawać, że pracuje, i stanęła w oknie. Ceremonia wyglądała sympatycznie, niemal beztrzesko. Jak rodzinne przyjęcie, które umożliwia spotkanie dzieciom i dziadkom. Nie wyłączono nawet chorych. Wojownicy wynieśli na trawnik kilka łóżek, żeby pacjenci szpitala mogli na leżąco obserwować to wydarzenie. Annah nie zauważyła, kiedy Staniey do niej podszedł, dlatego aż podskoczyła, gdy się odezwał.

- Musimy się do nich przyłączyć - powiedział - nim przybędzie wódz.

Annah szła za Stanieyem przez tłum. Ludzie rozstępowali się, żeby ją przepuścić, jednak bliskość tyłu nagich ciał poważnie ją niepokoiła. Nagich, silnych i obcych. Pachnących gliną, olejem, potem i dymem.

Gdy Annah i Staniey dotarli do pawilonu, zostali powitani przez Kitamu. Zachowywał się po przyjacielsku, ale był dziwnie niespokojny. Nie mógł się zdecydować, jakie miejsce przyznać Annah - w pawilonie wśród gości honorowych czy skromniejsze, bliżej tłumowi. W końcu wybrał to ostatnie. Annah czuła się wyjątkowo niezręcznie. Rozejrzawszy się, zauważyła starą kobietę w pozycji półleżącej w lektyce wyłożonej skórą, takimi samymi jak w pawilonie. Murzynka bacznie obserwowała białą kobietę.

- Kto to jest? - spytała Annah Staniey a, szepcząc mu do ucha.

Zakładała, że będzie wiedział. Zawsze lubił podczas pracy zbierać różne informacje.

- Stara królowa - odparł. - Matka wodza.

Annah kątem oka zerknęła na lektykę. Kobieta nie wyróżniała się ubiorem, ale jej kościste ręce zdobiły grube bransolety z kości słoniowej, a szyję - kawałki bursztynu.

Tłum nagle się poruszył, a ludzie zaczęli mrużyć coś w swoim narzeczu.

- Mówią, że przybył wódz - przetłumaczył Staniey.

255

Annah stanęła na czubkach palców, żeby go zobaczyć. Na przeciwległym krańcu trawnika, nad głowami zgromadzonych, lśniło kilkanaście włóczy. Żelazne groty mieniły się w blasku płomieni. Kierowały się w stronę pawilonu. Gdy znalazły się nieco bliżej, Annah dostrzegła sporą grupkę wojowników. Szli ramię w ramię. W samym środku szyku podążał wysoki mężczyzna.

Wódz.

Jego szeroką klatkę piersiową częściowo osłaniała zawiązana luźno skóra lamparta. W ręce trzymał pomalowaną na niebiesko skórzaną tarczę i włócznię ozdobioną piórami i paskami skóry. Na pięknej twarzy malowała się duma i dostojeństwo. Annah nie mogła oderwać od niego wzroku. Wyglądał niczym afrykański wódz z bajek dla dzieci. Trudno było odgadnąć jego wiek. Miał gładką skórę i sprężyste ciało młodego mężczyzny, ale twarz sugerowała wyjątkową dojrzałość.

Zbliżywszy się do pawilonu, wódz powitał matkę, brata i innych mężczyzn. Potem odwrócił się do tłumu. Wojownicy wzniesli okrzyk, którego Annah nie rozumiała. Tłum odpowiedział. Potem wódz uniósł włócznię i przemówił do swoich ludzi. Miał wyraźny, donośny głos, który bez trudu docierał do najdalszych zakątków. Miejscowe narzecze w jego ustach brzmiało nader pięknie, melodyką przypominając język nordycki albo celtycki.

Nagle wódz przerwał mowę i kiwnięciem ręki wezwał kogoś. Obok niego stanął puciołowaty mężczyzna z podniesioną głową i butnym wyrazem twarzy. Był znacznie starszy od wodza i miał okazalszy strój. Oprócz skóry lamparta zawiesił sobie na szyi skórę małpy, a głowę ozdobił strusimi piórami. Tłum pozdrowił i jego, ale z mniejszym entuzjazmem. Annah zauważyła, że Staniey rozmawia szeptem ze swoim sąsiadem. Po chwili pochylił się do ucha Annah.

- To regent - poinformował. - Wuj wodza. Po śmierci starego wodza przez wiele lat rządził plemieniem, pozwalając młodemu wodzowi dorosnąć do swojej roli. Teraz nadszedł

256

czas. Dzisiaj regent kończy urzędowanie. Władzę przejmuje wódz.

Wódz zakończył mowę, potrząsając włócznią trzymaną w jednej ręce, a drugą, zaciśniętą, wznosząc nad głową.

- Waganga! - krzyknął. - Waganga!

Ludzie odpowiedzieli, powtarzając słowa przywódcy. W tym momencie na twarzy wodza pojawił się uśmiech, w mgnieniu oka zmieniając dumnego wojownika w zadowolone dziecko. Jednak nawet w takiej chwili z jego rysów emanowało dostojeństwo, a w oczach miał skupienie. Okrzyki trwały bardzo długo. Ilekroć wydawało się, że lada chwila ucichną, odzywał się ktoś z tłumu i wszystko zaczynało się od nowa. W końcu przebrzmiały ostatnie owacje. Odezwały się tam—tamy, a wódz i jego świta zaczęli przesuwać się w stronę ognisk i tancerzy. Droga pocztu honorowego prowadziła blisko Annah i Stanieya. Gdy się zbliżał, młoda kobieta poczuła, że serce wali jej w piersiach. Zdawała sobie sprawę, że wśród wymalowanych glinką Murzynów jej gładki, jasny uniform bardzo się odznacza. Na pewno zostanie dostrzeżona...

Wódz zauważył stojącą w cieniu białą kobietę, gdy znajdował się od niej zaledwie na odległość ramienia. Zamarł w bezruchu, wyraźnie zaskoczony. Zmierzył Annah od stóp do głów, na dłużej zatrzymał się na twarzy, przyjrzał się włosom, na koniec spojrzał jej w oczy. Annah nie odwracała wzroku. Po chwili opamiętała się i wykonała coś w rodzaju półukłonu. W tym momencie podbiegł do wodza Kitamu. Wyglądał na przestraszonego, wyraźnie za coś przeproszał. Prawdopodobnie zapomniał powiedzieć wodzowi, że zaprosił białą kobietę. Możliwe nawet, że wojownicy przyszli na ngoma prosto z pastwisk i wódz nic nie wiedział o pojawieniu się misjonarzy ani zmianach, jakie wprowadzono w rezydencji. Kitamu cofnął się. Wódz kiwnął głową, nie odrywając wzroku od Annah. Wydawało się, że zamierza podejść do niej i coś powiedzieć, ale wojownicy przepychali się, chcąc, żeby wódz zaprowadził ich między tańczących. Koniec końców skinieniem ręki zaproponował Annah i Stanieyowi, by przyłączyli się do osób zgroma-

257

dzonych w pawilonie, potem odwrócił się i odszedł. Annah czuła, że nie może oderwać wzroku od tego mężczyzny, że ciągnie ją do niego jak ćmę do światła albo podróznego do ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Posadzono Annah na taborecie obok królowej matki. Tym razem Murzynka całkowicie ignorowała białą kobietę - nie odrywała oczu od starszego syna. Obserwowała,

jak wódz staje na czele wojowników i wraz z nimi podchodzi do tancerzy. Uśmiechnęła się na widok młodych kobiet, próbujących się do niego zbliżyć i zwrócić na siebie uwagę.

Z miejsca w królewskim pawilonie dobrze było widać, jak tancerze okrążają ognisko. Wykonywali ruchy pełne gracji, ale wydawało się też, że skoki, podrygiwanie, przytupywanie, szum piór i wirującego materiału dostarczają im mnóstwa radości. W niczym nie przypominało to dzikiej, szalonej orgii, jaką Annah widziała w wiosce w dżungli.

Od czasu do czasu w tłumie mignął wódz, wciąż otoczony przez wojowników. Wbrew własnej woli przyłapała się na tym, że szuka wśród pozłoconych blaskiem ognia i pomalowanych brązową glinką tancerzy jego ozdobionej koralikami głowy.

Wojownicy co chwila wybuchali śmiechem. Traktowali swoje ciała jak zabawki, ciesząc się, że bez trudu potrafią wykonywać najdziwniejsze ruchy. Pot spływał im po nagich klatkach piersiowych. Kiedy kręcili się i podrygiwali, kapał srebrnymi kroplami. Annah ujrzała młodą kobietę, stojącą blisko wodza. Pot kapnął z jego ciała na uniesioną do góry twarz dziewczyny. Nie wzdrygnęła się. Powoli i ostrożnie potarła skórę jednym palcem, a potem zlizwała pot.

Rytm tam-tamów wzywał Annah, by przyłączyła się do tańczących. Lekko przytupywała ukrytą w cieniu stopą. Pilnowała jednak, by reszta ciała ani drgnęła. Przypomniały jej się potańcówki z czasu studiów. Grywał na nich miejscowy zespół, którego głośna muzyka jakimś cudem miała zadziwiająca moc. Wtedy często siedziała tak jak teraz i starała się wytrwać w bezruchu. W tamtych czasach dziewczyna, żeby zatańczyć, musiała mieć partnera, niestety chłopcy woleli niższe partner-

258

ki, które mogły spoglądać na nich z dołu i delikatnie oprzeć głowę na ich ramieniu. Zmarszczyła czoło na to wspomnienie. Sama zwróciła sobie uwagę, że obecna uroczystość to coś zupełnie innego. Była tu tylko widzom. Zaproszoną misjonarką. Nie młodą kobietą, pełną marzeń i tęsknot.

Spojrzała na Stanieya. Stał w pobliżu pawilonu. Obserwował tancerzy, ale tak jak ona trzymał się sztywno, nie zwracając uwagi na panujący wokół niego ruch. Podeszła do niego młoda kobieta i podsunęła mu półmisek z pieczonymi kolbami kukurydzy. Uśmiechnęła się do niego, delikatnie zakołysała biodrami w rytm tańca. Staniey wziął kukurydzę, ale potem się odwrócił.

Chwilę później królowa matka postanowiła udać się na spoczynek. Grupa wojowników wzięła jej lektykę na ramiona i oddaliła się.

- Teraz możemy już iść.

Annah ledwo usłyszała szeptań na ucho słowa. Obserwowała wodza, który pobiegł za lektyką matki, żeby powiedzieć jej „dobranoc”. Miał smukłe, wysportowane ciało. Ciało wojownika, nie studenta.

- Teraz możemy już iść - powtórzył Staniey. - Królowa matka opuściła zgromadzenie. Mamy prawo pójść w jej ślady.

Annah wstała i wraz ze Stanieyem wróciła przez trawnik do domu Kiki.

Gdy znalazła się w pokoju na piętrze, spojrzała na dół, na tłum. Zobaczyła niemowlęta śpiące na rękach starych kobiet. Dzieci biegające i szukające kukurydzy. Młode pary znikające razem w krzakach. Ludzi obserwujących tancerzy i pokazujących sobie coś nawzajem. Starców palących fajki. Węszące psy. W tej scenie było coś uroczego i pełnego

życia - wrażenie jedności, jakby każdy uczestnik korzystał z okazji, żeby przyłączyć się do tętniącej życiem wspólnoty.

Na czele której stał wódz.

Mężczyzna, który mówił, uśmiechał się i poruszał jak bóg...

Annah położyła się do łóżka i próbowała zasnąć. Odwróciwszy twarz od okna, zamknęła oczy. W ciemności słyszała swój

259

płytki i szybki oddech. Dochodzące z ogrodu dudnienie tam-ta-mów powoli zawiądnęło jej ciałem, rozeszło się tętnicami od koniuszków palców po czubek głowy. Zaprzętnęło umysł, zablokowało myśli, przepędziło strach, pozwoliło zapomnieć o wyrzutach sumienia.

Wciągnęła powoli powietrze w płuca i wychwyciła unoszącą się w powietrzu woń.

Zapach marzeń. Wspaniałych wizji.

Zapach róż na poduszce.

14

Nastał cichy i spokojny ranek. Annah ubrała się w swój codzienny strój - bluzkę i spodnie Kiki - i zeszła na parter, by wcześniej zacząć obchód. Przez okno wykuszowe największej z sal trudno było zobaczyć zbyt wiele dowodów na to, że poprzedniego wieczoru odbywała się tu jakaś uroczystość - pozostała jedynie wygnieciona trawa, wypalone ogniska, z których wciąż unosiły się smużki dymu, i małe białe przedmioty porzucane po trawnikach. Początkowo nie wiedziała, co to jest, potem rozpoznała je jako wyjedzone do czysta kolby kukurydzy. Siostra Barbara tego nienawidziła. Na ich widok Annah poczuła wyrzuty sumienia, jakby była nastolatką i zorganizowała niedozwoloną prywatkę. Z dużym trudem znalazła chłopców kuchennych i poprosiła ich, żeby posprząтали.

Gdy skończyła poranny obchód, przygotowała się do otwarcia ambulatorium. Zastanawiała się, ilu będzie pacjentów. Może tak jak w Australii w Nowy Rok wszyscy zostaną w domu, żeby odzyskać siły. Drugi stycznia zawsze był najpracowitszym dniem w roku. Annah poszła do magazynu po kilka butelek z naparem z bluszczu i trochę czystych płócien na opatrunki. Nagle zatrzymała się z ręką na klamce. Z oddali dobiegał warkot zbliżającego się samochodu. Każdego innego po-

260

ranka zostałby zagłuszony przez toczące się rozmowy, popiskiwanie niemowląt i szczekanie psów. Ale tego dnia panowała niczym niezmacona cisza, dzięki czemu bez trudu można było rozpoznać charakterystyczny dźwięk.

- Stanieyu! - zawołała Annah w głąb cichego domu, jednocześnie podbiegając do okna. - Chodź! Szybko!

Przez głowę przemknęło jej tysiąc myśli. Zamarła przy szybie, z obawą oczekując na pojawienie się pojazdu. Szarego land-rovera z godłem misji. A w nim zdenerwowanego przedstawiciela biskupa...

Ale na podjazd wtoczył się czarny mercedes. Annah z przerażeniem zauważyła tablicę rejestracyjną z numerami tanzań-skiego rządu. Ze strachu zrobiło jej się niedobrze. Przypomniała sobie afrykańskich policjantów, których spotykała. Ich mundury wyglądały wyjątkowo groźnie w połączeniu z ciemnymi twarzami. Przez boczne okno widziała, jak dozorca biegnie w stronę dżungli. Przez moment miała ochotę pójść w jego ślady, wpaść między drzewa i zniknąć z pola widzenia. Potem się opanowała. Nie miała czasu, by

pobiec na piętro i przebrać się, poprzestała więc na przyglądzeniu włosów i strzepnięciu ubrania. Pora na mnie - powiedziała sobie. Trzeba wziąć odpowiedzialność za własne czyny.

Idąc korytarzem, zerknęła do jednej z mniejszych sal. Na łóżku siedziało dziecko, które po przywiezieniu z Germantown było bliskie śmierci. Uśmiechnęło się nieśmiało i pomachało rączką. Przechodząc pod portretem Kiki, Annah przyspieszyła kroku i z podniesioną głową wyszła na werandę.

Staniey bez słowa przyłączył się do niej. Idąc w stronę mercedesa, wymienili spojrzenia. Przed domem pojawiło się kilku wojowników i gapiów. Stali w oddali, bacznie obserwując.

Za kierownicą mercedesa siedział Afrykańczyk w mundurze. Przywiózł dwóch mężczyzn - białego i czarnego. Pierwszy wysiadł biały. Właściwie wypadł z auta, potem przystanął, trzymając się kurczowo drzwi. Reprezentował modę kolonialną w najlepszym stylu: wyprasowane szorty, wysokie skarpetki, koszula w kolorze khaki. Wyglądał na emeryta. Annah

261

przypuszczała, że to dawny urzędnik kolonialny, któremu jakimś cudem udało się zachować posadę. Nie wiadomo czemu, widok rezydencji wyraźnie go przygnębił. Przyglądał się jej zaokrąglonymi z niedowierzania oczami i sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał dostać ataku serca.

Z drugiej strony wysiadł Afrykańczyk. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o jowialnej twarzy. Zupełnie nie interesował się swoim towarzyszem, za to królewskim gestem przywitał zebranych Murzynów. Annah patrzyła to na jednego, to na drugiego i próbowała zgadnąć, który z nich jest wyższy rangą. Afrykańczyk podszedł do niej i Stanieya. Spojrzał Annah w oczy, potem z czystej złośliwości najpierw przywitał się ze Stanieyem, posługując się suahili. Obaj panowie uścisnęli sobie ręce w afrykański sposób, najpierw dotknęli się wnętrzami dłoni, potem po kolei chwycili się za kciuki, by z powrotem wrócić do pierwszej sekwencji. Kiedy zbliżył się do Annah, mruknął coś pod nosem, ale nie wyciągnął ręki.

- Zna pani suahili? - spytał.

- Oczywiście - odparła Annah, starając się jak najlepiej naśladować tanzański akcent.

Afrykański urzędnik kiwnął głową z aprobatą.

- Jestem komisarzem regionalnym - powiedział, żeby mogli go usłyszeć również gapie. - Towarzyszący mi biały człowiek to przedstawiciel ministerstwa zdrowia. - Gdy patrzył na Annah, na jego ustach błąkał się niewyraźny uśmiezek. - Ale doktor Marchant przyjechał tu dzisiaj z dwóch powodów. Po pierwsze, odpowiada przed tanzańskim rządem za pracę służb medycznych w tym regionie. Po drugie, reprezentuje interesy

właściciela tej posiadłości.

Annah z zaskoczenia otworzyła usta. Mężczyzna, spoglądający z niemym przerażeniem na dom, był białym, przed którym odpowiadał dozorca. Sądząc po reakcji doktora Marchanta, mąż Ndatali nie próbował się z nim kontaktować. Nic dziwnego, że wolał zniknąć.

- Wasz biskup poinformował nas, że tu jesteście - ciągnął komisarz, siląc się na spokój. - Postanowiłem wybrać się w te

262

okolice. Przyszło mi na myśl, że obaj z doktorem Marchantem powinniśmy sprawdzić, co tu się dzieje.

Słyszając te słowa, doktor Marchant przeniósł wzrok na Annah, po czym nabrał powietrza w płuca i rozpoczął tyradę:

- Za kogo się pani uważa? Nielegalnie zajęła pani prywatną posiadłość. Zamieniła ją w „szpital”. Chyba pani zwariowała! - Ruszył szybko w stronę domu. - Przecież nawet nie jest pani lekarzem!

Annah pobięła za nim.

- Zapewniam pana - powiedziała - że wszystkie przedmioty wartościowe i kruche zostały zamknięte. Są bezpieczne.

- Bezpieczne! - Doktor Marchant niemal zadławił się tym słowem. - W domu jest pełno... - Annah zauważyła, że komisarz sztywnieje. Wyglądało na to, że doktor także. - Pełno ludzi - dokończył szybko. Zatrzymał się i odwrócił twarzą do Annah. - Zapewniam panią, że znam każdy przedmiot w tym domu. Osobiście odpowie pani za wszystko, co uległo zniszczeniu albo zginęło.

- Był pan przyjacielem Kiki?

Pomimo napięcia Annah nie zdołała oprzeć się ciekawości. Przyglądała się podstarzałej twarzy, szukając na niej śladów romantycznej przeszłości, dowodu, że ten człowiek mógł być jednym z gości Louisy.

Doktor się odwrócił.

- Nie. Chodziłem do szkoły z jej kuzynem - odparł lodowatym tonem.

Stanicy po cichu wyjaśniał coś komisarzowi. Widząc to, biały lekarz dołożył wszelkich starań, by zapanować nad emocjami. W końcu sprawa była złożona i nie ograniczała się do interesów nieobecnego właściciela. Prawdę mówiąc, z każdą chwilą narastała postkolonialna niechęć białych do czarnych i vice versa. Doktor Marchant zwolnił kroku i zamilkł, dopuszczając do głosu komisarza.

- Proponuję, by oprowadziła nas pani po swoim „szpitalu” - zwrócił się afrykański urzędnik do Annah. - Żebyśmy zobaczyli, co pani tu robi. Sama jedna. Bez niczyjej zgody.

263

Słyszając starannie dobrane, niemal groźne słowa, Annah zadrżała ze strachu. Zauważyła, że ten mężczyzna o pogodnej twarzy ma zimne, przebiegłe oczy.

- Nie spodziewaliśmy się was - zaczęła. Komisarz parsknął niemiłym śmiechem. Gdy zbliżali się do szerokich schodów prowadzących na werandę, doktor Marchant potrząsał głową z niepokoju.

- Kiki przewraca siew grobie-jęknął.

Zerknął w okno sypialni Annah, pokoju, w którym stało łożo miłosne. Nowa właścicielka poczuła w tym momencie, że się rumieni.

Prezentując kolejne pomieszczenia, Stanicy i Annah spoglądali na siebie z prawdziwą ulgą. Wszędzie lśniło czystością. Pokój zabiegowy, magazyn, kuchnia, pokój opatrunkowy, oddziały były czyste i schludne. Gdy wędrowali od sali do sali, początkową wściekłość doktora Marchanta zastąpił sceptycyzm, potem zwątpienie, zażenowanie, w końcu górę wzięła niechętna aprobata. Przedstawiciel ministerstwa zdrowia przypomniał sobie początki swojej pracy w terenie. W tamtych czasach Afryka stanowiła bardzo trudny teren - wyjaśnił. Lekarze przypominali żołnierzy na froncie. Musieli ratować życie, zadowolając się tym, co mają pod ręką. Trochę tak jak tutaj.

Tłum gapiów na zewnątrz szybko rósł. Nie było jednak słyhać bezsensownej paplaniny ani śmiechu. Annah przypuszczała, że ludzie zdają sobie sprawę, iż ich szpitalowi grozi niebezpieczeństwo. Niektórzy weszli nawet na werandę i zaczęli przyciskać zaniepokojone twarze do szyby, śledząc każdy krok gości.

Po zwiedzeniu całego szpitala komisarz zaproponował, żeby usiedli na wiklinowych krzesłach na werandzie. Tubylcy stali w pobliżu, wypchnąwszy wojowników na czoło. Komisarz udawał, że ich nie zauważa, Annah widziała jednak, że niepokoi go to dziwne towarzystwo. Doktor nikogo nie dostrzegł.

- Stawia nas pani w trudnej sytuacji - oznajmił komisarz. Zaskoczył Annah doskonałą angielszczyzną i idealnym, oksfordzkim akcentem.

264

- Taka sytuacja to dyplomatyczny koszmar. „Otworzyła” pani dom bogatego białego pod jego nieobecność. Udostępniła pani rezydencję biednym z najbliższych okolic. To można zaakceptować. - Potrząsnął głową. - Ale jeśli rząd Tanzanii ma być wiarygodny w oczach zagranicznych inwestorów, musi bronić praw Amerykanina.

Nie pytając o zgodę, Staniey zaczął tłumaczyć słowa komisarza na suahili, żeby tłum rozumiał, o czym mowa. Afrykański urzędnik zmarszczył czoło, uznał jednak, że nie może powstrzymać Stanieya.

- Z drugiej strony - ciągnął komisarz - nie mogę wyeksmitować stąd chorych Afrykańczyków, którzy nie mają gdzie się podziać. - Odwrócił się do tłumy. - Zasięgnijmy opinii człowieka, który reprezentuje właściciela domu.

Wszystkie oczy zwróciły się na doktora Marchanta. Starszy mężczyzna spojrział wilkiem na Annah.

- Stawia mnie pani w sytuacji bez wyjścia - powiedział. - Muszę wybierać między diabłem a czartem.

Westchnął ze złością. Tubylcy niespokojnie się poruszyli. Zrobili kilka kroków do przodu, a ostrza ich włóczni błysnęły w słońcu.

Annah czekała w odrętwieniu na słowa doktora albo komisarza. Nagle poczuła zmęczenie, niemal wdzięczność, że w końcu ktoś inny podejmie decyzję i weźmie odpowiedzialność za tubylców. Uniosła głowę. W tym momencie zauważyła, że wśród gapiów pojawił się wódz. Pomimo zaniepokojenia wyczuła jego obecność. Siłę i pewność siebie. Stał cicho z tyłu. Miał na sobie zwykły kawałek czerwonej tkaniny, ale prezentował się równie wspaniale jak podczas ngoma. Z natężeniem przysłuchiwał się dyskusji doktora i urzędnika na temat „szpitala”.

W końcu obaj mężczyźni wysunęli wspólną propozycję. Komisarz zasugerował, żeby nie zamykać szpitala, póki nie wypisze się z niego wszystkich chorych. Ministerstwo obiecało zapewnić leki i wynagrodzenie dla personelu. Ale Annah nie miała prawa przyjmować nowych pacjentów. Gdy wszystkie

265

łóżka będą puste, dom zostanie przywrócony do stanu pierwotnego. Jednocześnie rząd zachęci misję, by wyremontowała Germantown. Komisarz skończył mowę i uśmiechnął się do Annah.

- To wcale nie jest dobre rozwiązanie - zaprotestowała, posługując się suahili, żeby Staniey nie musiał tłumaczyć. - Nasza placówka powinna funkcjonować, póki w okolicy nie uruchomi się innej.

- To niemożliwe - oznajmił komisarz.

- Absolutnie - zgodził się doktor Marchant.

Wśród tubylców rozległ się pomruk niezadowolenia. Annah odwróciła się do białego doktora z błagalną miną. W tym momencie z tłumu wystąpił wódz. Zrobił krok do przodu. Zapadła cisza.

- Obiecano nam opiekę medyczną w Germantown - powiedział, używając suahili. - Na razie otrzymujemy ją tutaj. Szpital powinien funkcjonować dopóty, dopóki jest potrzebny. Żądam, by władze wzięły pod uwagę potrzeby mojego plemienia.

- Plemiona to przeszłość! - Komisarz podniósł głos. - Teraz wszyscy jesteście Tanzańczykami.

- Owszem, jesteśmy Tanzańczykami. Ale nie przestajemy być Waganga - odparł wódz.

Komisarz wstał i podszedł na skraj werandy. Spojrzał z góry na wodza. Zdziwiony, zmarszczył czoło.

- To ty, Jacobie? - spytał.

Annah odwróciła się zaskoczona. Słowa komisarza skierowane były do wodza.

- Jacobie, przyjacielu. To ja-dodał urzędnik.

- Witam cię - odparł wódz, nie rezygnując z suahili. Wszedł na werandę i wyciągnął rękę. - Tutaj mam na imię Mtemi.

Komisarz patrzył na niego, nie wierząc własnym oczom.

- Co u ciebie słyhać? - ciągnął wódz. Nagle komisarz się uśmiechnął.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty, Jacobie! Myślałem, że wciąż

266

jesteś w Anglii. Ostatnio wysłałem list do ciebie na Harland Road!

- Wróciłem - wyjaśnił Mtemi, nadal posługując się suahili. - W końcu jestem wodzem plemienia Waganga.

Annah ze zdumieniem odwróciła się od komisarza w mundurze koloru khaki do wodza, mającego na sobie zaledwie skrawek materiału. Komisarz również przyglądał się pomalowanemu glinką, półnagiemu ciału Mtemiego.

- Czemu jesteś tak ubrany? - spytał po angielsku. Mtemi się uśmiechnął.

- Dopiero wczoraj wróciłem z pastwisk. To tereny opanowane przez tse-tse. Glinka stanowi dobrą ochronę. Czyżbyś zapomniał?

Komisarz nie odrywał od niego wzroku. Brakowało mu słów.

- Co ty wyprawiasz? Jesteś prawnikiem po Oksfordzie -perswadował. Z jego twarzy zniknęło ciepło. - Wodzowie to już przeszłość, jak wszystko, co prymitywne. - Teraz również on używał suahili, co więcej, podniósł głos, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. - Tanzańczycy muszą wypełniać obowiązki wobec swojego kraju. Masz ojczyźnie coś do zaoferowania. Powinieneś być w Dar es-Salaam.

Mtemi potrząsnął głową.

- Może myślałbym tak samo, gdybym wrócił do kraju w tym czasie co ty, kiedy wszystko się zaczynało. Ale ja obserwowałem tamte wydarzenia z zagranicy. Nie zgadzam się ze wszystkim, co zrobił Nyerere.

Twarz komisarza znieruchomiała, zacisnął na brzuchu ogromne dłonie.

- Nie wierzę, żebyśmy w imię postępu musieli rezygnować z naszych tradycji - ciągnął Mtemi. - Możemy czerpać to, co najlepsze, z obu światów.

Przy tych słowach oczy wodza i Annah na moment się spotkały. Jego uwaga w takim samym stopniu była skierowana do niej, jak i do afrykańskiego urzędnika.

„To, co najlepsze, z obu światów”. Słowa Mtemiego długo

267

dźwięczały Annah w głowie. Czy to właśnie wódz miał na myśli, prosząc misję o ponowne uruchomienie szpitala w Ger-mantown? Chrześcijańskiego szpitala dla plemienia, które będzie się trzymało swoich tradycji - tak wyglądałoby czerpanie z dwóch źródeł tego, co najlepsze. Nic z tego nie będzie! Annah przypomniała sobie słowa Sarah: „Muszą dokonać wyboru”. Należało jednak pamiętać także o pierwszym sukcesie szpitala w domu Kiki - Ndatai. Wyleczonej dzięki lekarstwu miejscowego szamana...

Komisarz podszedł do Mtemiego i zaczął mu coś cicho tłumaczyć. Obaj Afrykańczycy byli niemal tego samego wzrostu. Komisarz w ciasnej koszuli i spodniach wyglądał na otyłego i niekorzystnie się prezentował przy smukłym, prawie nagim wodzu. Po chwili urzędnik państwowy odwrócił się od wodza z wyraźną dezaprobatą. Stał twarzą do gapiów.

- Przypominam wam, że czasy wodzów dobiegły końca - powiedział. - Gdy umiera stary wódz, nasz prezydent wyprawia mu wspaniały pogrzeb. To wszystko. Nowych wodzów już nie będzie.

W tłumie rozległ się gniewny pomruk.

- Nasz wódz nie jest starym wodzem! - zawołał jeden z wojowników. - Właśnie zaczął swoje rządy. Plemię Waganga ma szczęście.

Inni entuzjastycznie go poparli. Komisarz patrzył bez słowa.

- Wróćmy do sprawy, która was tu sprowadziła - zaproponował Mtemi uprzejmie.

Komisarz i doktor zerkali na niego z ogromną rezerwą. Annah widziała, że obaj mężczyźni nie bardzo wiedzą, jak traktować wodza. Prawnik stanowił wielką niewiadomą. Opowiadał potworne herezje, ale kto wie, jakich przyjaciół może mieć gdzieś wysoko... i daleko.

Po długiej dyskusji komisarz obiecał, że rząd odbuduje szpital w Germantown, niezależnie od tego, czy misja pomoże, czy nie. Tymczasowa placówka będzie działać aż do zakończenia prac w Germantown. Doktor Marchant miał uzupełnić zapasy. Te słowa spotkały się z aprobatą tłumu. Komisarz mach

268

nięciem ręki podziękował słuchaczom. Potem odwrócił się do Annah.

- Złożymy raport biskupowi. Powiemy mu, co ustaliliśmy. - Roześmiał się. - Podejrzewam, że nie będzie zbyt zadowolony z wyniku naszej wizyty. Ale kto by się tym przejmował? Jego czas prawie dobiegł końca. Następną głową kościoła anglikańskiego w Tanzanii będzie czarnoskóry.

Obaj panowie uprzejmie, ale chłodno skinęli głowami wodzowi, potem wrócili do samochodu. Annah obserwowała oddalającego się mercedesa, za którym biegł tłum roześmianych dzieciaków. Szybko zrezygnowały z próby dogonienia pojazdu i zaczęły

rzucąc za nim drobnymi kamyczkami. Ktoś powinien nauczyć je dobrych manier - pomyślała Annah. Odwróciła się, żeby poszukać Stanieya. Rozmawiał z wodzem. Nie bardzo wiedziała, czy ma do nich podejść. Dotychczas nikt jej nie przedstawił wodzowi, poza tym nie była pewna, jak wygląda protokół. Potem jeden z pomocników zawołał ją do szpitala. Była tam potrzebna.

Gdy po jakimś czasie ponownie wyszła na zewnątrz, Mtemiego nie było. Stanicy stał na werandzie.

- O czym rozmawiałeś z wodzem? - zagała Annah obojętnym tonem.

- Pytał o ciebie - odparł Staniey.

- To znaczy? - zdziwiła się.

Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Chciał usłyszeć, jak to się stało, że znaleźliśmy się w domu Kiki - wyjaśnił Staniey. - Kitamu naszkicował mi z grubsza całą sytuację, ale wódz nie mógł zrozumieć jednej rzeczy: dlaczego nie opuściłaś Germantown i nie zwróciłaś się o pomoc do którejś z misji, dlaczego wzięłaś wszystko na swoje barki. - Tu zrobił przerwę. - Ta sprawa nie dawała mu spokoju.

Annah starała się ukryć zaciekawienie.

- I co mu powiedziałaś?

- Że baliśmy się, iż misja nie zechce po raz drugi odbudowywać Germantown. Opowiedziałem mu, jak wszyscy się cie-

269

szyli, że w końcu mają pielęgniarkę i szpital. A ty nie chciałaś ich zawieść.

Słowa Stanieya sprawiły, że Annah poczuła, jak coś chwyta ją za serce. Przedstawił ją jako osobę szlachetną i zdecydowaną. Nie zdołała oprzeć się pokusie i spytała o reakcję wodza na to wyjaśnienie.

- Był pod wrażeniem - przyznał Stanicy. - Naprawdę. Annah się uśmiechnęła, nie kryjąc zadowolenia. Potem postanowiła zmienić temat.

- Aż trudno uwierzyć, że wódz studiował w Anglii. Nie mogę go sobie wyobrazić w spodniach i płaszczu! Stanicy potrząsnął głową.

- To wcale nie jest takie trudne - zapewnił ją. - Widziałem wielu czarnych ubierających się jak biali. - Uśmiechnął się. - Widziałem nawet białego w afrykańskim stroju i z afrykańską włócznią.

Annah była zaskoczona.

- Naprawdę?

- Tak - odparł Stanicy. - Kilka lat temu doktor Carrington brał udział w jasełkach. Był jednym z żołnierzy króla Heroda. Na tułowiu miał skórę jeszcze jaśniejszą niż na twarzy i dłoniach. Aż dzieci się wystraszyły. Myślały, że widzą ducha.

Wyobrazwszy sobie tę scenę, Annah wybuchnęła śmiechem. Uspokoila się, mając świadomość, że teraz już legalnie przebywa w domu Kiki. Po jej stronie stoją komisarz regionalny, lokalny przedstawiciel ministerstwa zdrowia i wódz plemienia, chociaż każdy z innych względów.

- Czy teraz, kiedy wódz wrócił, nie powinniśmy ponownie złożyć wizyty w wiosce? - spytała Annah.

- Mtemi sam może nas wezwać. Jeśli tego nie zrobi, rzeczywiście powinniśmy się wybrać. Ale za jakiś dzień lub dwa.

Niechętnie przyznała mu rację. Po wszystkim, czego dowiedziała się tego ranka, była ciekawa, jaki naprawdę jest wódz. Wychował się tutaj, w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, potem wysłano go do Anglii, skąd właśnie wrócił. Takie historie nie należały do rzadkości. Wiedziała, że często misje opła-

270

cają zdolnym uczniom studia za granicą. Nierzadko wybór pada na synów wodzów i przywódców. Ale ci młodzi ludzie zawsze są chrześcijanami. Tymczasem wioska Mtemiego oparła się wpływom misjonarzy. Kto w takim razie pokrył koszty? I dlaczego? Czy ten człowiek po to kończył prawo na Oksfordzie, żeby potem wrócić do swojej wioski i malować się gliną jak każdy inny wojownik? Te pytania dręczyły Annah nawet wtedy, gdy wróciła do pracy. Co więcej, bez przerwy przypominała sobie, jak wyglądał Mtemi, stojąc wśród swoich ludzi jako ich wódz i przywódca. Zgodnie z afrykańskim przysłowiem-jak „część Boga”.

Annah szła szybko korytarzem, niosąc tacę pełną wysterylizowanych narzędzi. W myślach planowała zajęcia na cały poranek. Pierwsze na liście było dziecko z wrzodem, czekające na zmianę opatrunku. Następnie chciała się zająć młodym wojownikiem, który pojawił się tydzień temu z otwartym złamaniem prawej ręki. Annah i Staniey zdołali nastawić kość. Podali pacjentowi resztki środka znieczulającego, ale to z pewnością nie przytępiło bólu do końca. Wojownik jednak leżał na noszach nieruchomo jak głaz i nawet się nie skrzywił.

- Przecież poradziłem sobie z lwem - wyznał przez zaciśnięte zęby.

Jak było do przewidzenia, larwy błyskawicznie zaatakowały ranę - wylęgły się z jajeczek złożonych na zewnętrznej stronie gipsu i wpełzły do środka. Annah chciała zdjąć gips, ale wojownik zaprotestował.

- Widziałem owada składającego jajeczka - wyjaśnił. - To była mszyca. Jej larwy pomogą ranie się zagoić. Annah zmarszczyła czoło.

- Kto ci to powiedział?

- Ochronny doktor. Za tę informację dostał ode mnie dwie kury.

Uznała, że nie warto protestować, i zostawiła larwy w spokoju. Co prawda pacjent skarżył się na silne swędzenie, ale

271

wszystko wskazywało na to, że rana goi się zdumiewająco szybko. Po kilku dniach niczego już nie czuł. Dzisiaj Annah zamierzała usunąć gips i sprawdzić, jaki efekt przyniosły rady Zanii.

Annah skrzyła za róg, nie odrywając wzroku od tacy i starając się utrzymać równowagę.

- Ostrożnie!

Dwie czarne dłonie chwyciły tacę od przodu i przytrzymały ją. Gdy Annah uniosła głowę, stanęła oko w oko z wodzem. Przez chwilę oboje przyglądali się sobie nawzajem. Chociaż Annah była przyzwyczajona do patrzenia mężczyznom prosto w oczy, musiała lekko unieść głowę, by napotkać wzrok Mte-miego.

- Przepraszam - wydukała po chwili, z trudem łapiąc dech. -Nie patrzyłam...

Zmierzyła mężczyznę od stóp do głów. Dostrzegła byle jak związany kawałek materiału i ciemnobrązową skórę, tym razem pozbawioną śladu glinki.

- Habari - pozdrowił ją Mtemi, używając suahili. - Co u pani słyhać?

Annah odpowiedziała tak, jak nakazywała tradycja.

- Wszystko w porządku. A u pana?

- Też - odparł Mtemi z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Co pani jada?

- Tylko ugali - wyznała Annah. Czowała się jak uczennica podczas testu. - A pan?

- Też tylko ugali. Co u pani w domu?

Annah zająknęła się. W domu? Przypomniała sobie dom rodziców w Melbourne, chatkę pielęgniarki w Langali i swój pokój na piętrze. Nie mam domu - pomyślała. Była zaszokowana tym wnioskiem. Zmusiła się do uśmiechu.

- A co u pana w domu? - spytała.

- Wszystko w porządku - powiedział, kończąc oficjalną część powitania. - Dobrze, że przyszła nam pani z pomocą.

- Zrobiłam to z prawdziwą przyjemnością-odparła. Cieszyła się, że w suahili jest tyle gotowych formułek. Po-

272

zwały jej na utrzymanie pewnego dystansu między sobą a Mtemim. Nie wiedziała, jak zwracać się do mężczyzny, który był jednocześnie afrykańskim wodzem i wykształconym w Anglii prawnikiem.

Mtemi wziął od Annah tacę i bez słowa skierował się na oddział. Kobieta kątem oka obserwowała smukłe, czarne ręce, które trzymały srebro Kiki.

Na sali Mtemi podszedł z Annah do łóżka dziecka z owrzodzoną nogą. Dziewczynka należała do plemienia Waganga. Matka poszła na wieś, żeby przynieść coś do jedzenia. Dziecko leżało nieruchomo, niepewnie zerkając na białą pielęgniarkę. Potem zauważyło, że tuż obok łóżka pojawił się wódz.

Mtemi powiedział coś łagodnym, ciepłym głosem, używając miejscowego narzecza. Dziewczynka uspokoiła się, a na jej twarzyczce pojawił się nieśmiały uśmiech.

Annah z wdzięcznością zerknęła na Mtemiego. Łatwiej zmienia się opatrunek małemu pacjentowi, który się nie boi. Wzięła z tacy nożyczki i zaczęła przecinać stary bandaż. Skrepowana faktem, że wódz stoi obok, zahaczyła o opatrunek. Dziewczynka krzyknęła. Wódz odezwał się ponownie, uspokajając małą i dodając jej otuchy. Annah uniosła głowę i napotkała spojrzenie wodza. Gestem ręki zaproponował, że przytrzyma chorą kończynę.

Uniósł i pewnie chwycił małą nóżkę, ułatwiając pielęgniarce zadanie. Gdy przemywała ranę i bandażowała ją, wódz pytał o pracę w szpitalu. Jak zawsze posługiwał się suahili. Odpowiadała w tym samym języku, starając się nie popełniać błędów gramatycznych. Wciąż odnosiła wrażenie, że jest poddawana jakiemuś testowi. Po raz ostatni czowała się tak podczas egzaminu praktycznego w szkole pielęgniarek. Bardzo się wtedy bała, że popełni jakiś błąd, z utęsknieniem wypatrywała najmniejszej wskazówki świadczącej o aprobacie.

Wkrótce opatrunek był gotowy. Mtemi położył tacę na stoliku obok łóżka.

- Muszę już iść - powiedział. - Ale gdybym mógł ci w czymś pomóc, prosz.

273

Powiedział to po przyjacielsku. Annah się uśmiechnęła. Gdzieś w głębi duszy czuła, że zdała egzamin.

Tego wieczorem Annah i Staniey usiedli na werandzie, by zjeść ugali, szpinak i gulasz z orzeszków ziemnych. Od jakiegoś czasu jadali razem pod gołym niebem, usadowiwszy się w wiklinowych fotelach K-iki. Rozkoszowali się spokojnym zmierzchem i świeżym powietrzem, przesyconym zapachem kwiatów. Zgodnie z niepisaną umową nigdy nie rozmawiali o pracy. Opowiadali sobie za to różne historie. Zaczęło się od tego, że Annah spytała Stanieya, czy pamięta opowieści swojej babci. Z pewnością niektóre z nich - zasugerowała - nadają się nawet dla białych.

- Opowiem ci jedną z nich - zgodził się Staniey. - Ale najpierw chcę wysłuchać twojej. Annah wybrała historyjkę o trzech misiach.

- Kaznodzieja nigdy jej nie opowiadał - skomentował Staniey.

Annah się roześmiała. Potem wyjaśniła, że nie wszystkie opowieści białych pochodzą z Biblii.

Staniey był zaskoczony.

- Teraz kolej na ciebie - przypomniała Annah. Staniey zdradził jej, dlaczego kogut pieje o świcie. Tego wieczoru, po opróżnieniu misek i talerzy oboje siedzieli w milczeniu, obserwując, jak ćma obija się skrzydełkami o rozgrzane szkło latarenek. Dzisiaj Staniey powinien zaprezentować coś ciekawego, on jednak zaczął opowiadać, co usłyszał tego dnia w szpitalu.

- Waganga bardzo dużo mówią - powiedział. - Zastanawiają się, która z wiejskich dziewcząt zostanie żoną wodza. Wuj, którego nazywają regentem, gdyż rządził plemieniem pod nieobecność Mtemiego, zaproponował swoją siostrzenicę. Podobno to piękna dziewczyna.

- Podoba się... wodzowi? - spytała Annah. Staniey wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Powiadają, że siostrzenica regenta nigdy nie

274

opuszczała wioski. Nie wyobrażam sobie, jak człowiek, który dużo podróżował i ukończył studia, może ożenić się z taką dziewczyną. W każdym razie zawarcie małżeństwa należy do obowiązków wodza.

Zamilkł. Annah przypuszczała, że Staniey myśli o własnym małżeństwie, zawartym niegdyś z obowiązku, a teraz właściwie bez żadnego znaczenia. Postanowiła zmienić temat.

- Słyszałeś może, w jaki sposób plemię Waganga zdołało zapewnić synowi wodza studia w Anglii? - spytała.

- Owszem, słyszałem - odparł Staniey. Ręką wskazał na posiadłość Kiki. - To ona. Biała dama. Przekonała wodza, że jego ludzie nie mogą już dłużej unikać zmian. Będą potrzebowali kogoś, kto rozumie współczesny świat i pomoże im zrobić krok do przodu. To ona wszystko zaplanowała i pokryła koszty. - Staniey spojrział na rozległe trawniki przed domem. - Mtemi kilkakrotnie opuszczał wioskę i do niej wracał. Przed wyjazdem do Anglii przebywał w szkole z internatem w Nairobi. Podobno po każdym powrocie udawał się na pastwiska i wykonywał te same prace co inni wojownicy. Pozostał członkiem plemienia Waganga. Nie zamienił się w białego człowieka.

Annah przytaknęła zamyślona. Nie wyobrażała sobie, jak młody człowiek, który miał w przyszłości zostać wodzem, mógł żyć w dwóch różnych światach. Równie trudno było jej uwierzyć, by ten sam mężczyzna zgodził się na małżeństwo z młodą dziewczyną z

afrykańskiego buszu. Ale czy mógł postąpić inaczej, skoro zamierzał zostać w tej zapadłej dziurze?

Mtemi przez kilka dni nie pojawiał się w szpitalu, ale jego wojownicy niemal codziennie przynosili dary.

- Od naszego wodza - powtarzali, wręczając pielęgniarce jajka, drewno na opał, kury, warzywa i inne zapasy.

Przyszedł również Zania. Przyniósł torby ziół, które ją interesowały. Kiedy chciała mu zapłacić, wyjaśnił, że wódz już pokrył koszty. Annah wykorzystała możliwość, żeby powiedzieć ochronnemu doktorowi o cudownym ozdrowieniu Ndatali. Sprawiał wrażenie zadowolonego, ale nie zaskoczonego.

275

- Przygotuję ci więcej liści z „włosami” - obiecał.

Podziękowała mu uprzejmie. Nie miała jednak zamiaru ponownie korzystać z tego specyfiku, chyba że tylko w ten sposób będzie mogła uratować komuś życie. Bądź co bądź była wykształconą pielęgniarką. Nauczono ją, że lekarstwa należy podawać zgodnie z załączoną instrukcją, każdorazowo sprawdzając etykiety i dawki. Owszem, można użyć ziołowych środków odkażających czy łagodzących bóle żołądka, ale eksperymentowanie z bardzo mocnym specyfikiem to zupełnie inna sprawa.

Mniej więcej tydzień po ostatnich odwiedzinach Mtemiego w szpitalu Annah zrobiła sobie krótką przerwę i wybrała się na spacer po terenie posiadłości. Nagle usłyszała jakieś głosy dochodzące z szopy, w której znajdował się generator. Zmarszczyła czoło. Tego dnia przyjęła do szpitala kilku ciężko chorych i nawet nie dopuszczała myśli o kłopotach z prądem. Gdy podeszła nieco bliżej, usłyszała śmiech. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Dwaj mężczyźni klęczeli obok generatora i sprawdzali pracujący silnik. Słyszając ruch przy wejściu, unieśli głowy. Jednym z nich był Stanicy. Drugim wódz.

Stanicy poderwał się na równe nogi.

- Naprawiamy generator - wyjaśnił, chociaż wcale nie musiał tego robić.

Mtemi również wstał. Uprzejmie skinął głową, a potem wyciągnął rękę w afrykański sposób, dłonią do góry. Annah wyczuła zaskoczenie Stanicya. Prawdopodobnie wódz rzadko witał się z kobietą w taki sposób. Lekko dotknęła różowej dłoni, nie odrywając wzroku od podłogi.

Potem Mtemi zaczął regularnie pojawiać się w szpitalu. Rozmawiał z leżącymi pacjentami, przyłączał się do czekających na otwarcie ambulatorium. Unikał Annah, natomiast sporo czasu spędzał na rozmowach ze Stanicyem. Młoda kobieta zastanawiała się, czy wodzem miotają tak samo sprzeczne uczucia jak nią. W końcu mieli ze sobą więcej wspólnego niż z kimkolwiek innym tutaj. Nie zmieniało to faktu, że żyli w dwóch całkiem różnych światach. Annah czuła, że ten czło-

276

wiek ją pociąga, starała się jednak trzymać od niego z daleka. Oczywiście, istniała jeszcze jedna możliwość - że Mtemi woli rozmawiać ze Stanicyem, ponieważ uważa Annah, kobietę i człowieka z ludu, za osobę niegodną uwagi.

Wyraźnie jednak było widać, że chociaż Mtemi unikał rozmowy z białą pielęgniarką, to zawsze ją zauważał. Prawdę mówiąc, Annah coraz częściej zdawała sobie sprawę, że wódz obserwuje ją przy pracy. Czuła na sobie jego wzrok, gdy od czasu do czasu podchodziła do okna, by zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy odgarniała kosmyki włosów ze spoconej twarzy. Mtemi przyglądał jej się w milczeniu, gdy się śmiała albo rozmawiała

z grupką matek. Kiedy siedziała pod drzewem i wymieniała uwagi z Zanią. Kiedy jadła lunch albo kołysała na rękach niemogące zasnąć, rozpalone gorączką niemowlę.

Od czasu do czasu ich oczy się spotykały. Wtedy Annah szybko się uśmiechała. Mtemi odpowiadał tym samym. Trudno jednak było zgadnąć, co wódz naprawdę myśli.

Po jakimś czasie życie w rezydencji Kiki stało się znacznie ważniejsze niż wszystko, co działo się poza granicami posiadłości. Każdy dzień dostarczał nowych wrażeń, nie zostawiając zbyt dużo czasu na zastanowienie.

Annah spodziewała się, że biskup albo ktoś z Langali spróbuje skontaktować się z nią przez radio, była jednak zaskoczona, gdy pewnego dnia zawołano ją do pokoju, w którym Stanczy rozłożył radiostację.

- Kto to? - spytała chłopca, który po nią przybiegł.

- Bwana Michael - odparł.

Miała wrażenie, jakby to imię należało do przybysza z kosmosu. Jednak po chwili pociągnęło za sobą lawinę myśli i uczuć.

- Dzięki Bogu - westchnęła.

Powie mi, co robić - pomyślała.

Zniekształcony przez radio głos Michaela brzmiał dziwnie chłodno i obco. Doktor Carrington natychmiast zarzucił Annah wieloma pytaniami. Wszystko wskazywało na to, że rozmawiał już z biskupem i słyszał, co się tu wydarzyło, nie może jednak

277

uwierzyć w prawdziwość tych słów. Przede wszystkim nie rozumiał, dlaczego Annah nie wróciła do Langali, by spytać go o radę. Szybko dodał, że podziwia jej troskę o pacjentów, ale też zwrócił uwagę, że pewne sprawy można załatwić dobrze lub źle. Nie bez kozery misjonarzy obowiązują pewne zasady działania. Biskup jest wściekły.

Annah słuchała w milczeniu. Po jakimś czasie Michael się opamiętał i przerwał w połowie kazanie.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Nagle w jego głosie zabrzmiała troskliwość i czułość. Mówił jak stary przyjaciel. I zwierzchnik.

Annah wybuchnęła płaczem. Ogarnęły ją ukrywane dotychczas obawy i wątpliwości, zdała sobie sprawę, że jest potwornie samotna. Pochyliła się nad aparatem radiowym i bezradnie szlochała.

Michael znów się odezwał. Tym razem przemawiał życzliwie, uspokajająco, wręcz pobłażliwie, jakby okazana przez nią słabość wystarczyła zamiast przeprosin.

- Przyjadę - postanowił.

Annah wstrzymała dech. Ucieszyła się, że Michael przez cały dzień będzie jechał z Langali, żeby się z nią zobaczyć. Może przywiezie ze sobą Sarah i Kate...

- Misja zgodziła się na odbudowę Germantown - ciągnął. - Pojawię się w odpowiednim czasie, by sprawdzić postęp prac. Przy okazji cię odwiedzę.

Annah bez słowa przytaknęła.

- Muszę już iść - kończył Michael. - Sarah cię pozdrawia. Modlimy się za ciebie.

Gdy się rozłączył, Annah stała nieruchomo nad słuchawką. Czuła się potwornie samotna. Skazana na pobyt w miejscu, które nie było jej domem. Jedyna biała wśród czarnych. Marzyła o tym, by znaleźć się wśród przedstawicieli swojej rasy. Zastanawiała

się, jak do tego doszło, że wpakowała się w taką kabałę. Sięgając pamięcią wstecz, odtworzyła wydarzenia, które ją tu przywiodły. Nie wiedziała jednak, co powinna wtedy zrobić, by wszystko skończyło się inaczej...

278

Informacje Michaela o podjęciu prac w Germantown zostały potwierdzone następnego dnia przez krótką wiadomość od biskupa. Obiecał zawiadomić, kiedy szpital będzie gotów przyjąć pacjentów.

Ani słowem nie wspomniał, jak widzi jej przyszłość.

Annah leżała w szerokim, wygodnym łóżku, spoglądając w okno, przez które wpadało światło księżyca, połyskujące na złotych nitkach gobelinowych zasłon. Podskoczyła, słysząc, że ktoś podchodzi do jej drzwi. Po chwili ujrzała głowę jednej z miejscowych kobiet, która na ochotnika pełniła nocny dyżur.

- Chodź do szpital - szepnęła ponaglająco „nocna pielęgniarka”. - Ty być potrzebna. Annah zamknęła oczy.

- Czy ta sprawa nie może poczekać do jutra?

- Nie, nie. Musi przyjść. Tam dziecko. Bardzo chora. Biała kobieta usiadła na łóżku.

- Lepiej, żeby naprawdę tak było - mruknęła. Na parterze stała wysoka Murzynka. Miała na plecach tobolek z dzieckiem.

„Nocna pielęgniarka” stanęła obok Annah.

- To matka - wyjaśniła, posługując się łamanym suahili. - Ona iść cztery dni, żeby tu być. Sama.

Annah zaprowadziła kobietę do pokoju zabiegowego, czując wyrzuty sumienia z powodu wcześniejszej irytacji.

Murzynka delikatnie położyła dziecko na noszach. Annah zerknęła na „nocną pielęgniarkę”. Maleństwo albo mocno spało, albo było nieprzytomne.

Matka zaczęła mówić, jeszcze bardziej kalecząc suahili niż „nocna pielęgniarka”. Zmęczonym, pełnym przerażenia głosem opisała przebieg choroby córeczki.

Annah ujęła bezwładną rączkę i poszukała pulsu. Ciało było ciepłe, delikatne. Ale serce nie biło. Chwyciła latarkę, uniosła powieki dziecka i zaświeciła mu w oczy. Żadnej reakcji. Dziewczynka nie żyła. Zmarła niedawno, nie dalej jak godzinę temu.

279

Annah powoli spojrzała matce w oczy. Kobieta kiwnęła głową bez słowa. Z ogromną czułością wzięła dziecko na ręce i odeszła, nie oglądając się za siebie. Annah patrzyła za nią ze łzami w oczach. Słyszała równomierny stukot bosych stóp, idących korytarzem i wychodzących w ciemność nocy.

Po długiej chwili milczenia odwróciła się do „pielęgniarki”.

- Wygląda na to, że to był dyfteryt - powiedziała. Zaskoczyło ją spokojne, rzeczowe brzmienie własnego głosu. - Jest szczepionka przeciwko tej chorobie. Wystarczy jeden zastrzyk. Za dwa dolary.

Potrząsnęła głową. Jej słowa nie miały sensu. Dla Murzynki, która pojawiła się tej nocy, były równoznaczne ze stwierdzeniem, że na księżycu można za darmo dostać ser.

Annah opuściła oddział i powlokła się schodami na piętro. Przy każdym kroku wyobrażała sobie młodą, zrozpaczoną matkę, która wraca do swojej wioski ze stygnącym, sztywniejącym ciałkiem.

Jeden zastrzyk. Dwa dolary.

Uśmiechnęła się ponuro, przypomniawszy sobie marzenie Stanieya - szafkę zawsze pełną lekarstw. W opowieści biblijnej Bóg obdarzył wdowę dzbanem, w którym niezmiennie była oliwa. Ale to działo się dawno temu. W obecnych czasach dokonywanie cudów przypadło w udziale szpitalom misyjnym. To było wszystko, co mogli zrobić.

Położyła się do łóżka. Księżyc wciąż jasno świecił. Jego srebrne promienie padały na poplątane prześcieradła i wypełniały pokój łagodnym blaskiem. Zamknęła oczy, by zapomnieć o bólu młodej matki.

Dobry Boże...

Chciała się pomodlić, ale nie mogła znaleźć słów. Próbowала sobie wyobrazić zasłuchanego w jej słowa Boga. Mędrca. Wszehmocnego, kochającego wszelkie stworzenia Ojca. Ale w pokoju Kiki nie potrafiła przywołać tego obrazu.

Otworzywszy oczy, rozejrzała się po ścianach i zasłonach, szukając czegoś, co przykułoby jej uwagę.

Królowa Deszczu.

280

Annah przesunęła się na skraj łóżka, żeby lepiej się przyjrzeć rycinie. Skupiła wzrok na kobiecie z rękami wzniesionymi ku niebu - pragnącej, błagającej, żądającej. Wierzącej. Nagle Annah poczuła, że coś łączy ją z nieznaną Murzynką, której gest doskonale oddawał odczuwaną przez nią mieszaninę nadziei i rozpacz. To wrażenie dziwnie zaniepokoiło młodą kobietę. Było niewłaściwe, niebezpieczne. Odwróciła się w poszukiwaniu jakiegoś innego obrazka. Oprawionego zdjęcia kaplicy w Langali. Wbiła wzrok w budynek. Był ładny, biały, mocny. Bezpieczny.

15

Gdy Annah wyszła na zewnątrz, Stanicy siedział już za kierownicą land-rovera. Pod wpływem ostrych promieni porannego słońca zamrugła powiekami. Podchodząc do samochodu, uświadomiła sobie, że Staniey bacznie jęj się przygląda.

- Coś ci się nie podoba? - spytała. Staniey przecząco kiwnął głową.

- Wszystko w porządku. Pięknie wyglądasz. To wszystko. Powiedział to spokojnie, zwyczajnie. Stwierdził fakt, nie próbował prawić jej komplementów. Annah się uśmiechnęła.

- Dziękuję - odparła.

Potem przyjrzała się swojemu odbiciu w bocznym lusterku. Świeżo umyte włosy opadały kaskadą na ramiona. Miała na sobie prostą, bawełnianą, turkusową sukienkę bez rękawów, przewiazaną w pasie szeroką szarfą. Było jej do twarzy w tym kolorze. Tak powiedziała Eleanor, kiedy kupowały tę kreację. Podkreślała rudy kolor włosów i jasną, kremową karnację.

- Miałam ochotę na niewielką odmianę. W końcu wybieramy się do miasta - wyjaśniła Annah.

- Słusznie - zgodził się Staniey.

Miał na sobie ten sam co zawsze strój w kolorze khaki, jed-

281

nak, jak zauważyła Annah, jakimś cudem udało mu się go wyczyścić i wyprasować.

Na oczach rosnącego z każdą chwilą tłumu gapiów Annah wsiadła do land-rovera, co wcale nie było takie łatwe, zważywszy na to, że wąska sukienka krępowała ruchy, a siedzenie pasażera znajdowało się dość wysoko. Pielęgniarka uświadomiła sobie, jak praktyczne były spodnie Kiki. Gdy zajęła miejsce, Stanicy wrzucił bieg i samochód ruszył z miejsca. Przez chwilę biegła za nimi roześmiana, rozkrzyczana gromadka dzieci. Annah odwróciła się, by im się przyjrzeć. Uśmiechnęła się, widząc ich rozradowanie.

- Nie mogę uwierzyć - westchnęła. - Dzień wolny od pracy.

Gdy to mówiła, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jednak koniecznie musieli wybrać się do Murchanzy. Obiecana przez komisarza regionalnego dostawa leków wciąż pozostawała w sferze marzeń, Annah uznała więc, że nie zaszkodzi, jeśli złoży wizytę doktorowi Marchantowi. Miała nadzieję, że gdy stanie z nim twarzą w twarz, zmusi go do natychmiastowego działania.

Poprawiła się na siedzeniu i skupiła uwagę na twarzy prowadzącego wóz Stanieya. W miarę upływu czasu coraz swobodniej czuli się w swoim towarzystwie - bezpiecznie i bez skrępowania. Annah przyjrzała się spoczywającym na kierownicy pewnym, sprawnym dłoniom pomocnika. W głowie zaświtała jej pewna myśl.

„Mogłabym powierzyć mu swoje życie”.

Jej wzrok przyciągnęło coś, co błysnęło na piersi Stanieya. Okazało się, że przypiął do koszuli emaliowaną plakietkę z godłem misji. Przedstawiało ono Biblię między dwiema afrykańskimi włóczniami. Jakby te trzy przedmioty stanowiły jedną całość. Tylko że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej -pomyślała Annah. Włócznie, tarcze, taniec, legendy i pieśni, o medycynie ludowej nie wspominając - muszą zniknąć. Nic nie ma prawa konkurować z Biblią.

Staniey i Annah dotarli do głównej drogi i skręcili w lewo, w stronę Murchanzy, położonej w przeciwnym kierunku niż

282

Germantown. Niebawem dostrzegli Afrykańczyka stojącego pod rosnącym na poboczu drzewem. Staniey zwolnił. Annah wpatrywała się w krzaki, spodziewając się, iż zobaczy ukrytych tam ludzi. Dotychczas, ilekroć zatrzymywała samochód, żeby zabrać jednego człowieka, nieuchronnie pojawiali się inni. W mgnieniu oka samochód wypełniał się mężczyznami, kobietami, dziećmi, niemowlętami, kurami i rowerami...

- To wódz - oznajmił Staniey.

- Wcale nie - zaprzeczyła Annah.

Byli wystarczająco blisko, by dostrzec zachodni strój.

- Powiedział, że wybierze się z nami - wyjaśnił Staniey, zwalniając. - Na wypadek, gdybyśmy mieli jakieś problemy.

Annah spojrzała na rozmówcę. Wiedziała, że nie powinna pytać, czemu jej nie uprzedził. Taki był afrykański sposób na życie - nie marnować słów i pozwolić wypadkom toczyć się własnym trybem. Zresztą, skoro wódz chciał się do nich przyłączyć, raczej nie mogli mu odmówić.

Kiedy land-rover się zatrzymał, Staniey przywitał się z Mte-mimjak ze starym znajomym.

- Świetnie się prezentujesz - zauważył. Miał rację. Ubranie wodza było nowiuteńkie. Rękawy niebieskiej koszuli nadal nosiły ślady fabrycznego prasowania. Mtemi uśmiechnął się promiennie.

- Prawda, że wyglądam jak współczesny Tanzańczyk? Mógłbym nawet zostać prawnikiem. Muszę się dowiedzieć, co do tego potrzeba - zażartował, jak zwykle posługując się suahili.

Staniey się roześmiał. Annah ze zdumieniem przyglądała się obu mężczyznom. Wyglądało na to, że jej asystent i wódz zdążyli się już zaprzyjaźnić.

Pragnąc przywitać się z Annah, Mtemi okrążył samochód. On również dostrzegł zmianę w jej ubiorze. Kobieta, zastanawiając się, gdzie przywódca plemienia zamierza usiąść, zaczęła niepewnie wiercić się na siedzeniu. Mtemi bez wahania zajął miejsce z tyłu.

Ruszyli. Annah była spięta, krępowała ją obecność obcego

283

mężczyzny. Wydało jej się, że zachowuje się niegrzecznie, siedząc do niego plecami. Cieszyła się jednak, że wódz nie widzi jej twarzy i że rozpuszczone włosy niczym zasłona okrywają jej ramiona. Podróżując w towarzystwie Mtemiego, czuła się niezręcznie. W końcu nie był zwykłym Afrykańczykiem. Przez jakiś czas przebywał w świecie, który niewiele różnił się od jej własnego - skończył uniwersytet i mieszkał w Londynie. To wszystko sprawiło, że ich wzajemne stosunki stały się nieco skomplikowane. Byli sobie równi.

Po drodze Mtemi pokazywał punkty orientacyjne, machając ręką między swymi towarzyszącymi podróżni. Opowiadał Stan-leyowi o zbliżających się żniwach. Zapytał Annah o jej wrażenia z pobytu w Afryce. Wyglądał na zupełnie odprężonego. W końcu udało mu się przełamać lody. Annah odwróciła się na siedzeniu, żeby go zobaczyć. Gdy mówił, na jego twarzy często pojawiał się niespodziewany uśmiech. W takich chwilach wyglądał młodziej, wręcz figlarnie. Jakby wcale nie był wodzem.

Wsluchana w jego opowieści i żarty, poczuła, jak towarzyszące ostatnim miesiącom napięcie powoli ustępuje, a jego miejsce zajmuje spokój. Zaczęła się cieszyć, że jest właśnie tutaj. Podróżuje przez piękny kraj i chociaż na chwilę może zapomnieć o szpitalu. Obok, za kierownicą wozu, który jeszcze nigdy ich nie zawiódł, siedzi dobry przyjaciel. A za plecami -interesujący nieznajomy - ktoś nowy, kto ma w zanadrzu jeszcze wiele opowieści. Annah uśmiechnęła się do mijanych drzew.

Do Murchanzy dotarli koło południa. Chaty i liche szopy ustąpiły miejsca wyższym budynkom, typowym dla centrum miasta. Annah przypomniała sobie, jak przyjechała po raz pierwszy na dworzec kolejowy. Wtedy nawet nie przyszło jej do głowy, że poza zasięgiem wzroku miasto kipi życiem. Mtemi poprosił, żeby Stanicy zatrzymał się przy indyjskiej budce. Wódz zniknął na kilka minut, po czym pojawił się z brązową papierową torebką.

- Samosa - oznajmił, wskakując na tylne siedzenie wozu.

284

Poczęstował Annah smażonym, chrupiącym, lśniącym od oleju trójkącikiem. Nim zdążyła wziąć go do ręki, Mtemi wycisnął nań sok ze świeżej limonki. Płyn spłynął po skórcie sa-mosa, plamiąc jej palce.

Wbiła zęby w trójkącik. Pod warstwą chrupiącego ciasta kryło się nadzienie z przyprawionego, drobno zmielonego mięsa, którego smak uwydatniał ostry sok owocu cytrusowego. Annah uznała, że od lat nie jadła równie smacznego dania.

- Weź jeszcze-zaproponował Mtemi.

Zaskoczona, spojrzała na reszteczkę, którą trzymała w palcach. Nie zdawała sobie sprawy, że tak szybko pochłonęła ów smakołyk.

Stanicy, nieprzyzwyczajony do ostrych przypraw, podejrzliwie przeżuwał swoje samosa. Ale on również niebawem sięgnął po następny kawałek. Annah wzięła z tylnego siedzenia plastikową butelkę z wodą. Pili kolejno po afrykańsku - nie dotykając szyjki ustami.

- Prawda, że jesteśmy świetnie przygotowani na spotkanie z doktorem? - spytał Mtemi.

- Rzeczywiście - przyznała Annah.

Ale wcale nie miała na myśli pokrzepiającego pożywienia. Chodziło jej o to, że perspektywa wizyty u doktora w towarzystwie wodza była mniej przygnębiająca.

Bez trudu znaleźli pobielony parterowy domek przedstawiciela ministerstwa zdrowia. Doktor Marchant wyszedł im na powitanie. Ujrawszy Annah w turkusowej sukience i jej dwóch czarnoskórych towarzyszy, na chwilę stracił pewność siebie.

- Mam leki - oznajmił natychmiast. - Właśnie zamierzałem je wam wysłać.

Ani Annah, ani Stanicy, a tym bardziej wódz nie zapytali o powód opóźnienia w dostawie. Mieli lekarstwa - tylko to się liczyło. Szybko załadowali do land-rovera ciężkie pudła o obiecujących rozmiarach. Annah weszła do budynku, by podpisać jakieś papiery. Doktor wyjął z sejfu gruby plik banknotów.

- Wynagrodzenia - wyjaśnił, wręczając je Annah. - Dla au-

285

stralijskiej pielęgniarki i jej wykwalifikowanego afrykańskiego pomocnika. Oraz dofinansowanie budżetu placówki.

Annah trzymała w dłoni ciężki zwitek, zastanawiając się, gdzie go schować. Żałowała, że nie ma na sobie spodni z kieszeniami. Ani torebki. Wreszcie zwinęła banknoty i wsunęła je za szarfę. Poniewczasie przypomniała sobie, że właśnie tam chowają zarobek miejscowe prostytutki. Swego czasu dowiedziała się tego od Stanleya, kiedy tłum Murzynów wybuchnął śmiechem na widok złożonego na pół banknotu, który chciała

komuś wręczyć.

- Patrzcie - mówili, uśmiechając się i trącąc łokciami. -

Ona ma „kobiece pieniądze”.

Cóż, to rzeczywiście są kobiece pieniądze - pomyślała Annah. Bo to właśnie kobiety najczęściej przychodziły do szpitala z chorymi dziećmi na rękach. To one miały złamane serca...

Cel podróży został osiągnięty. Stanicy postanowił wykorzystać sposobność i wybrać się do mechanika, żeby zrobić przegląd land-rovera. Gdy odjechał, zostawiając Annah i Mtemiego na skraju chodnika, oboje nagle poczuli się skrzepowani swoim towarzystwem.

- Napijmy się czegoś - zaproponował Mtemi, jak zwykle w suahili, chociaż Stanleya z nimi nie było.

Annah uznała, że wódz celowo trzyma się zasady: skoro jesteś w Rzymie, postępuj tak jak rzymianie, a jeśli jesteś w Tanzanii, używaj języka miejscowej ludności. Niemniej Mtemi jako absolwent wydziału prawa na Oksfordzie musiał władać angielskim równie dobrze jak ona, tylko prawdopodobnie posługiwał się bardziej wyszukany słownictwem.

Mężczyzna przeprowadził ją na drugą stronę szerokiej, zabłoconej ulicy do budynku opatrzonego wywieszką z ręcznie wykonanym szyldem. Proste, czerwone litery tworzyły napis:

HOTEL.

- To jedyny hotel w mieście - wyjaśnił Mtemi, otwierając wąskie drzwi.

Wewnątrz panował chłód, ale powietrze przesiąknięte było zapachem potu i tanich perfum. Za skąpo oświetlonym barem

286

mężczyzna leniwie tłukł brudnym ręcznikiem muchy. Dwie umalowane krzykliwie Murzynki opierały się o kontuar, głośno ze sobą rozmawiając. Kiedy nowi goście weszli do środka, zamilkły i przyglądały się im z otwartymi ustami. Żaden szczegół twarzy, ciała ani ubioru Annah nie uszedł ich uwagi. Następnie przeniosły wzrok na Mtemiego. Z głębi budynku dobiegały chaotyczne dźwięki rozstrojonego fortepianu.

- Usiądźmy - zaproponował Mtemi, kiwnięciem ręki wskazując dwuosobowy stolik w rogu sali.

Przez pobliskie okienko wpadało świeże powietrze. Gdy Annah usiadła, jej krzesło zachwiało się. Przez chwilę przesuwiała je po nierównej podłodze, usiłując usadowić się w dogodniejszym miejscu. Przez głowę przemknęło jej mnóstwo pytań. Co zamówić? Kto zapłaci? Czy będzie musiała wyjąć cały plik banknotów na oczach kobiet, które wyglądały na prostytutki...?

- Coca-cola? Lemoniada? - spytał Mtemi.

Zawahała się. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma ochoty na bezalkoholowy, potwornie słodki napój. Prawdę mówiąc, chętnie napiłaby się zimnego piwa. Ale nie powinna zamawiać alkoholu. Wyobraziła sobie przykrytą warstwą białej piany szklanice z bursztynowym płynem...

- Proszę o piwo - zdecydowała.

Jej towarzysz nieznacznie uniósł brwi, po czym zawołał barmana.

- Tuska mbili. Dwa razy tuska. Panienki przy barze zachichotały.

- Nie zwracaj na nie uwagi - uspokajał Mtemi. - Są po prostu zaskoczone naszą obecnością. To wszystko.

Na stoliku pojawiły się dwie butelki piwa i dwie brudne szklanice.

- Pij prosto z butelki - zaproponował. - Jest czystsza. Zastosowała się do tej wskazówki, ale dziwnie się czuła. Eleanor z pewnością wybrałaby szklanice, nawet kosztem zdrowia. Napój był zimny i musujący, pikantny, ale nie za słodki. Przechyliwszy głowę do tyłu, wypila łyk. Rozkoszowała się smakiem. Mtemi również sączył piwo. Oboje milczeli. Annah

287

uznała, że może jej towarzysz czuje to samo, co ona - że gdy padnie pierwsze pytanie, nie będą mogli przestać.

Mtemi podszedł do wciśniętej w róg pomieszczenia staromodnej szafy grającej i wrzucił monetę. Zabrzmiała piosenka. Annah natychmiast ją rozpoznała. Zaledwie parę lat temu ten utwór był w Melbourne przebojem wakacyjnym.

- Skąd wzięło się tu to nagranie? - spytała Mtemiego, gdy wrócił do stolika.

- Dzięki handlarzom - wyjaśnił z uśmiechem. Jego ciemne wargi odłoniły rząd białych zębów. - To Afryka. Nigdy nie wiadomo, na co człowiek się natknie.

Annah odwzajemniła uśmiech. W tym momencie uświadomiła sobie, że Mtemi bacznie przygląda się jej twarzy. Mężczyzna nieznacznie kiwnął głową, jakby dziękował za prezent.

Zasłucham w melodię, znów pogrążyli się w milczeniu. Kątem oka Annah zauważyła, że jedna z Murzynek usiłuje pocałować barmana. Mężczyzna cofnął się zażenowany i pełen odrazy. Przez chwilę Annah dziwiła się jego reakcji. Potem przypomniała sobie, że mieszkańcy tego kontynentu się nie całują. Czytała o tym w którymś ze swoich misjonarskich podręczników. Autor wspominał o tym, pragnąc uświadomić białym, że na świecie panują różne obyczaje. Afrykańczycy nie znają pocałunków. Pocierają się nosami. O tym, co na Czarnym Kontynencie zastępuje pocałunek, autor książki nie wspominał.

W barze pojawiła się grupa Murzynów, którzy zamówiwszy przy barze piwo, zaczęli bacznie obserwować Annah i Mtemiego. Po chwili z ulicy niepewnie weszła biała kobieta. Miała na sobie skromną sukienkę misjonarki. Szybko zamówiła coca—colę i wręczyła barmanowi pieniądze. Przez cały czas omijała wzrokiem panienki przy barze. Annah ze zdumieniem obserwowała całą scenę. Była zadowolona, że spotkała w Murchan-zie inną białą kobietę. Chciała wstać i serdecznie przywitać się z nieznajomą, jak to było we zwyczaju, ilekroć w afrykańskiej głuszy spotykali się biali. Jednak nim zdążyła się poruszyć, misjonarka odwróciła się i spojrzała na nią z kamiennym wyra-

288

żem twarzy. Następnie przywołała na wargi sztuczny uśmiech, wzięła butelkę coli i szybko wyszła.

Annah wbiła wzrok w swoją szklanicę. Czuła, że oblewa się rumieńcem. Wiedziała, że obca kobieta udzieliła jej milczącej reprimendy nie dlatego, że piła piwo w hotelowym barze w towarzystwie mężczyzny, chociaż już sam ten fakt stanowił dostateczny powód. Prawdziwym powodem był kolor skóry jej towarzysza oraz sytuacja sugerująca, że są kochankami. W kręgach misjonarskich taki związek był czymś niesłychanym. Stanowił tabu nawet wśród białych pracujących dla rządu i zachodnich osadników. Zdarzało się, że biali mężczyźni romansowali z czarnymi kobietami, ale nigdy na odwrót. Tak wyglądała żelazna zasada, chociaż trudno powiedzieć, skąd się wzięła. Annah nigdy się nad tym nie zastanawiała. Dotychczas nie musiała...

Spojrzała na Mtemiego, zastanawiając się, czy zauważył całe zajście. Napotkał jej wzrok i się roześmiał.

- Wiesz, po raz pierwszy od powrotu pomyślałem o sobie jak o czarnym - przyznał.

Annah nie wiedziała, co powiedzieć.

- Musiałeś się dziwnie czuć - zauważyła, unikając jego spojrzenia.

- Rzeczywiście - przyznał. - Zacząłem dostrzegać różne rzeczy, z których wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Na przykład, że tutaj ludzie nigdy się nie śpieszą. I że wojownicy z mojej grupy wiekowej, chociaż teraz są nieco starsi, wcale się nie zmienili. - Mtemi mówił beztrząsco, a w kącikach jego ust igrał uśmieszek. - Nie uważasz, siostrze, że to dziwny kraj?

- Owszem - przytaknęła Annah.

Jej odpowiedź była tak zwięzła i pewna, że obydwójce wybuchnęli śmiechem.

Zaczęła się następna piosenka. W barze pojawiło się więcej osób. Prawdopodobnie przyjechał jakiś autobus albo skończył się targ. Nowo przybyli zajęli wszystkie stoliki i miejsca stojące przy barze. Barman zaczął gorączkowo przygotowy-

289

wać drinki. Z szafy grającej rozległo się kolejne nagranie, tym razem była to popularna, rytmiczna piosenka afrykańska. W mgnieniu oka wszyscy obecni z wyjątkiem Annah i Mte-miego poderwali się z miejsc. Połączyli się w pary i zaczęli tańczyć, poruszając się w rytm, jak to potrafią tylko Afrykańczycy.

Mtemi i Annah pozostali przy stoliku - dwie nieruchome postacie w środku tanecznego wiru. Odosobnienie wywołało poczucie intymności, niczym kochankowie postanowili zostać w swoim świecie. Annah zastanawiała się, czy nie powinni wstać i przyłączyć się do tańczących. Ale wtedy jeszcze bardziej przypominaliby zakochaną parę.

Annah podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Mtemiego. Przez chwilę miała wrażenie, że rzeczywiście są sobie bliscy. Bardzo bliscy.

Skończyli piwo i wyszli.

W drodze powrotnej Mtemi musiał usiąść na przednim siedzeniu land-rovera, ponieważ tylne było załadowane pudłami z lekarstwami i artykułami kupionymi u drobnych handlarzy. Annah siedziała między dwoma mężczyznami. W wozie zrobiło się ciasno. Musiała przysunąć się nieco bliżej do Mtemiego, aby nie przeszkadzać Stanieyowi w prowadzeniu samochodu. Chociaż próbowała zachować dystans, czuła, jak ciepło ciała wodza pieści jej skórę. Pasma jej długich, rudych włosów opadło na jego ramię, kontrastując z błękitem koszuli.

Po dwóch godzinach jazdy dotarli do miejsca, gdzie droga wiodła wzdłuż rzeki. Przy brzegu tu i ówdzie Murzynki robiły pranie. Dzieci pływały, śmiały się i pluskały. W land-roverze panował upał i unosił się kurz. Annah z zazdrością obserwowała kąpiących się. Zauważyła, że prąd w rzece jest dość szybki, co oznaczało, iż nie ma w niej pijawek.

- Są tu krokodyle? - spytała.

- Nie w tym miejscu - uspokoił ją Mtemi. - Tutaj zawsze wszyscy się kąpią.

Annah patrzyła na wodę. Wyobraziła sobie jej kojący chłód. Ostatni raz pływała w basenie w Melbourne.

290

1

- Szkoda, że nie zabrałam stroju kąpielowego - mruknęła. Stanicy wskazał na tylne siedzenie samochodu:

- Coś by się znalazło.

Wyglądał na zadowolonego z siebie. Annah wiedziała, że stawiał sobie za punkt honoru, by zawsze o wszystko zadbać - o narzędzia, leki, informację, gorącą wodę.

- Chcesz się tu zatrzymać? - spytał.

- Lepiej nie - odparła. Nie powinni...

Rzeka płynęła tuż obok drogi, wzywając, obiecując rozkoszną ochłodę.

- Jesteś przekonany, że nie ma tu krokodyli? - upewniała się.

Staniey zatrzymał land-rovera.

Po wyjściu z samochodu obaj mężczyźni przeszli kawałek w górę rzeki, zostawiając Annah samą. Znalazła gęstą kępę krzewów i zaczęła się przez nie przedzierać. Kiedy już

zyskała pewność, że nikt jej nie widzi, zdjęła turkusową sukienkę i zawiesiła na gałęzi. Metka „Georges” wśród kolców wyglądała nedorzecznie. Annah zdjęła bieliznę. Naga, czuła się całkiem bezbronna, podatna na ukąszenia i zadrapania. Obserwowana. Szybko owinęła się kawałkami materiału dostarczonymi przez Stanieya, mocno zawiązując węzły.

Weszła do zimnej wody, rozkoszując się jej dotykiem. Słyszała niskie głosy Stanieya i Mtemiego, odbijające się echem w całym lesie. Zanurkowała, pogrążając się w ciszy. Odbiła się od dna, przypominającego w dotyku delikatny jedwab. Wynurzyła się na powierzchnię, odwróciła na plecy, zamknęła oczy i pozwoliła, by prąd kołysał ją i unosił. Kiedy wreszcie obejrzała się, dostrzegła, że znajduje się w sporej odległości od miejsca, w którym weszła do wody. Skierowała się do brzegu, ale zniosło ją na środek rzeki, gdzie był silny prąd. Annah czuła, że woda porywa ją ze sobą. Nie poddawała się panice. Wiedziała, co należy zrobić: powoli, na ukos płynąć w stronę brzegu. Jednak jej wysiłek okazał się daremny. Przestraszyła się, serce gwałtownie łomotało w piersi. Otworzyła usta, aby wezwać pomocy.

291

Nagle poczuła, że obok ktoś jest. Objęły ją ramiona silniejsze od prądu.

Szybkimi, pewnymi ruchami Mtemi przyholował ją na mieliznę i pomógł wyjść na brzeg. Annah usiadła na trawie, podciągnęła stopy i oparła czoło na kolanach. Usiłowała złapać oddech. Jej towarzysz przykucnął obok niej. Czuła, że mężczyzna przygląda się potokom wody spływającym z jej włosów na plecy, mokremu, lepiącemu się do ciała materiałowi.

Obejrzała się i napotkała jego spojrzenie. Uświadomiła sobie, że niewiele brakowało, a została porwana przez rzekę. Przypomniała sobie dotyk ramion Mtemiego, mocny uścisk palców.

- Dziękuję - powiedziała. - Przestraszyłam się. Przez kilka sekund jej się przyglądał.

- Myślałem, że Australijczycy są dobrymi pływakami - wyznał beztróskim, kpiącym tonem.

Annah uśmiechnęła się. Spojrzała na spoczywające tuż przy jej kolanie ramię Mtemiego. Jego ciemna skóra była idealnie gładka. Nie miała ani jednego włoska. Zupełnie inaczej niż u mężczyzn jej własnej rasy. Mężczyzn, których kiedyś pragnęła pieścić... Ogarnęła spojrzeniem ciało Mtemiego i zatrzymała wzrok na jego piersi. Zauważyła coś dziwnego. Jakąś bliznę. Przyjrzawszy się dokładniej, dostrzegła, że to znak plemienny: trzy wygięte linie, wycięte głęboko w skórze. Wzdrygnęła się na ten widok. Blizna przypominała, kim naprawdę jest ten mężczyzna - wodzem, odzianym w skórę zwierząt, a nie w koszulę i spodnie. Wojownikiem.

Nagle pojawił się Stanicy. Pochylił się nad Annah, marszcząc z niepokojem brwi.

- Nie upilnowaliśmy cię - powiedział. - Myślałem, że jak wszystkie kobiety zostaniesz na płyciźnie. Annah zrobiła minę winowajczyni.

- Nie przypuszczałam, że prąd jest taki silny.

- Cóż, dzięki Bogu nic ci się nie stało. - Stanicy wskazał na słońce. - Pora ruszać w drogę.

Siedząc w land-roverze, śmiali się z tej przygody. Stanicy

292

spokojnie prowadził, pokonując kolejne kilometry. Skłaniające się ku zachodowi słońce załało okolicę złocistym blaskiem.

Wreszcie dotarli do wzgórza w pobliżu posiadłości Kiki. Annah odwróciła głowę i zobaczyła, że Mtemi bacznie się jej przygląda. Uśmiechnęła się do niego półgębkiem i odwróciła wzrok. Wydarzenia kończącego się dnia wywołały w jej głowie zamęt. Nastąpiła dziwna zmiana w relacji między nią a tym mężczyzną. Annah nie miała na to wpływu. Wmawiała sobie, że jutro ta podróż będzie przypominać jeszcze jeden sen. Mtemi znów przeistoczy się w wodza, odgrodzi się od niej za pomocą plemiennego naszyjnika, kawałka tkaniny, włóczni i glinki na ciele. Ona wróci do roli białej pielęgniarki z włosami upiętymi w kok, dłońmi pachnącymi środkiem dezynfekującym i głową zaprzątniętą myślami o potrzebach pacjentów.

Następnego dnia, późnym popołudniem, kiedy pod koniec zmiany upał i zmęczenie zaczęły dawać się Annah we znaki, w aptecę pojawił się Mtemi.

- Przyszedłem, żeby pokazać ci jezioro - oznajmił. Annah zamarła z ręką nad rządkiem buteleczek. Była przekonana, że źle go zrozumiała. Po raz drugi w myślach przetłumaczyła jego słowa - wynik był ten sam. Mtemi uśmiechnął się promiennie.

- Nie martw się, nie proponuję ci kąpieli.

Patrzyła na niego z osłupieniem. Nie wiedziała, co powiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że spoufalanie się z Afrykańczykami nie jest mile widziane. I że nie powinna chadzać na spacerzy z przywódcą miejscowego plemienia.

- Zaczekam na skraju ogrodu, tam gdzie zaczynają się zarośla.

Powiedziawszy to, wyszedł.

Śledząc go wzrokiem, Annah nabrała powietrza w płuca. Przez szpitalne zapachy unoszące się w aptecę przebiła się słaba woń dymu i gliny.

293

Bez trudu znalazła miejsce, w którym ogród graniczył z dzikimi chaszczami. Afrykańskie pnącza stykały się z angielskimi krzewami i niegdyś starannie strzyżonym żywopłotem. Annah spacerowała tam i z powrotem, rozglądając się dookoła.

Mtemiego nie było.

Po chwili postanowiła wrócić. Usiłowała dojść do tego, co czuje. Ulgę. Rozczarowanie. Zażenowanie...

Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka. Pielęgniarka odwróciła się na pięcie. Tuż za nią stał wódz. Miał na sobie strój plemienny. W dłoni trzymał włócznię. Wyglądał dziko, niemal groźnie. Annah zamarła w bezruchu.

- Nie zauważyłam cię - wyznała, próbując zapanować nad głosem.

- W końcu jestem myśliwym, prawda? - odrzekł mężczyzna.

Mtemi prowadził ją wąską ścieżką między porośniętymi pnączem drzewami, aż dotarli na brzeg jeziora. Annah krzyknęła, zdumiona roztaczającym się przed jej oczyma widokiem. Widziała wodę z daleka, ale nigdy nie miała czasu, żeby tu przyjść. Jasna woda w kolorze kawy z mlekiem, czerwona ziemia na brzegu, delikatne szuwary. Na odległych mieliznach przechadzały się setki cienkonogich różowych flamingów. Panował cudowny spokój. Annah nie mogła uwierzyć, że przebywając w pobliżu tak wyjątkowego zakątka, nie wiedziała o jego istnieniu.

- Chodźmy.

Poszli dalej brzegiem jeziora. Po drodze Mtemi pokazywał Annah ptaki, zwierzęta, rośliny i opowiadał o każdym z nich jakąś legendę. Zachowywał się jak dumny właściciel, który oprowadza gościa po swojej posiadłości.

Dotarli na przeciwległy brzeg jeziora. Zatrzymali się tylko raz, w pobliżu miejsca, które było nawiedzane przez duchy. Annah chciała zapytać swego przewodnika, jak godzi oks-fordzkie wykształcenie z pogańskimi wierzeniami plemiennymi. Ale ta sprawa w końcu wydała jej się nieistotna. Liczyła się tylko rzeczywistość i piękno chwili. Różowe flamingi naje-

294

l

ziorze. Zachód słońca. Zabarwione niebo. Stojący na skraju jeziora Mtemi - wysoki, nieruchomy jak skała.

Wódz niedbale oparł się na włócznie. Tkanina na jego ramionach lekko falowała, poruszana przez wiejący znad wody wietrzyk. Mężczyzna odwrócił się od Annah i wpatrzył w dal. Skorzystała z okazji i zaczęła mu się przyglądać. Podziwiała misternie utkany materiał w paski. Szyję ozdobioną naszyjnikiem z bursztynowych paciorków. Prześledziła zdobiący ciało wzór, wymalowany czerwoną gliną. Potem przyjrzała się własnym nogom, zabrudzonym tym samym mułem, który na jej mlecznobiałej skórze wyglądał jak rozsmazane błoto. Znów przeniosła wzrok na Mtemiego. Jego postawa sugerowała głęboką więź z otaczającą go przyrodą. Nagle Annah zapragnęła się do niego upodobnić. Stać się częścią tego dzikiego, magicznego świata...

Czas szybko mijał. Wkrótce musieli wracać. Mtemi wybrał drogę na skróty - wąską ścieżkę, wijącą się przez gęste zarośla. Annah szybko straciła orientację. Poruszała się jak we śnie. Mtemi zatrzymał się pod jakimś drzewem i podniósł z ziemi owoc. Nigdy wcześniej nie widziała takiego. Wódz rozdzielił owoc na dwie części, odsłaniając ukryty pod gładką skórą wilgotny miąższ. Sok trysnął na ziemię. Mtemi podał Annah część owocu, a resztę zatrzymał dla siebie.

Obserwując, jak mężczyzna wbija zęby w miąższ, Annah przypomniała sobie mango, oczyszczone i elegancko poukładane przez Sarah, tak, by można było je spożyć w cywilizowany sposób - małymi kęsami, bez brudzenia się. Annah podniosła swoją połówkę do ust i spróbowała tajemniczego owocu. Był pyszny, słodko-kwaśny jak ananas. Pachniał jak liczi z puszek - dyżurny deser Eleanor. W głowie Annah zabłysnęło czerwone światełko. Zachowywała się jak dziecko przyjmujące słodczyce od obcej osoby...

Mtemi zrobił kilka kroków. Nagle zatrzymał się przy grubym pniu jakiegoś drzewa.

- Teraz muszę się pożegnać - oznajmił i wskazał Annah ścieżkę. - Masz do pokonania zaledwie kilka kroków.

295

Annah spojrzała we wskazanym przez Mtemiego kierunku. Nie widziała niczego, oprócz gęstych, splątanych krzewów i ledwo widocznej ścieżki.

Mtemi się uśmiechnął.

- Musisz mi uwierzyć - powiedział.

Kiwnęła głową i odwróciła się, gotowa do drogi. Nie była zachwycona perspektywą samotnego przedzierania się przez zarośla, nawet jeżeli to miało być „zaledwie kilka kroków”. Zdawała sobie jednak sprawę, że powrót ze spaceru w towarzystwie wodza może zaszkodzić jej opinii.

- Niech noc minie ci spokojnie - wypowiedział jeszcze tradycyjną formułkę pożegnalną cicho, niemal szeptem. Annah obejrzała się przez ramię.

- Tobie też - odparła. - I twoim ludziom.

W gęstniejącym mroku coraz słabiej było widać Mtemiego. Zmierzch pochłaniał jego ciemną postać.

Wódz nie skłamał. Po kilku krokach wąska ścieżka wychodziła na tyły jednego z budynków gospodarczych. Kobieta przemknęła pod ścianą i niedbałym krokiem wyszła na trawnik. W ustach ciągle miała posmak wonnego owocu. Objęła się ramionami - zrobiło jej się zimno.

Chłodny wieczór - usprawiedliwiała się sama przed sobą. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Ale towarzyszył mu uśmiech.

Annah powtarzała sobie, że powinna przestać myśleć o Mte-mim i zająć się pracą. Jednak czekała na niego przez cały następny dzień. Kiedy do zachodu słońca Mtemi się nie pojawił, zdecydowała się na spacer po ogrodzie. Potem skręciła w kierunku prowadzącej nad jezioro ścieżki. Zamierzała tylko trochę się przejść. Nad jezioro i z powrotem. Poprzedniego dnia flamingi były takie pięknie...

Wyczuła obecność wodza, jeszcze nim go zobaczyła. Serce zaczęło jej mocniej bić. Napięła wszystkie mięśnie i dostała gęsiej skórki.

Stał na brzegu jeziora. Nic nie robił, jedynie czekał. Na nią.

- Przyszłaś - odezwał się.

296

Zwykła powitalna formułka wypowiedziana w suahili zabrzmiała tak, jakby miała jakieś ukryte znaczenie.

- Rzeczywiście przyszłam - wydusiła przez zaciśnięte ganiło. Patrzył na nią, nie poruszając się. A ona zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć.

- Chciałam popatrzeć na ptaki - wypaliła.

- Tam są - odrzekł, wskazując ręką flamingi.

Nagle krzyknął. Dźwięk rozszedł się nad wodą. Niemal jednocześnie flamingi poderwały się do lotu. Nad jeziorem uniósł się różowy obłok. Annah odrzuciła do tyłu głowę, aby lepiej przyjrzeć się płynącej po niebie barwnej fali. Różowe pióra spadały, wirując w powietrzu, i niczym pojedyncze płatki śniegu lądowały na powierzchni wody i brzegach jeziora. Jedno z piór opadło na ramię Annah, następne - u jej stóp.

Mtemi zebrał pióra w bukiet, jak kwiaty, i wręczył go Annah. Kiedy po niego sięgnęła, ich dłonie się zetknęły. Spojrzenia spotkały. Kobieta była pewna, że gdyby był to biały mężczyzna, na pewno by ją pocałował. Ale wódz tylko na nią patrzył.

Milczenie i brak fizycznego kontaktu miały niezwykłą moc - moc ognia.

- Muszę wracać - powiedziała Annah.

Nie kłamała. Stanicy będzie jej szukał. Mtemi odprowadził ją do wielkiego drzewa, przy którym po raz kolejny mieli się pożegnać.

- Więcej nie przyjdę - uprzedził ją. - Ktoś nas wczoraj widział. Jestem wodzem. Muszę uważać, co robię.

Annah miała ochotę się roześmiać. W końcu była misjonarką.

- Mimo to dzisiaj przyszedłeś - powiedziała z wyzwaniem w głosie.

Mężczyzna się uśmiechnął. Był to spokojny, ciepły uśmiech. Ciemny kolor ust podkreślał biel zębów.

Po tym spotkaniu Mtemi codziennie przychodził do szpitala. Ale, tak jak poprzednio, trzymał się z dala od Annah, natomiast

Wiele czasu spędzał ze Stanieyem. Często widywali ich razem, ramię w ramię, pograżonych w rozmowie. Ilekroć między nimi zachowywał się z niezwykłą uprzejmością. Ona traktowała go przyjaźnie, ale trzymała się na dystansie. Postępowali nienagannie. Anna zauważyła, że kiedy ich spojrzenia się spotkają, nie mogą oderwać od siebie oczu, jakby w głębi duszy marzyli tylko o tym, by

ulec pożądaniu.

Pewnego popołudnia Anna podeszła do Mtemiego i Stanieyego i poprosiła ich o herbatę na werandzie. W obecności Stanieyego obydwoje mogli się odprężyć i uspokoić. Anna złapała się na tym, że bez trudu wypytuje wodza o jego przeszłość i o plany na przyszłość. Chętniej mówił o tym drugim. Z zapałem opowiadał o zamiarze wprowadzenia plemienia Waganga do współczesnego świata, bez rezygnacji z przeszłości, jak zrobiło to wielu Afrykańczyków. Anna była zaniepokojona jego poglądami na temat doniosłości jedności przodków i konieczności zachowania starych rytuałów oraz legend. W końcu były to prymitywne, pogańskie

obrzędy. „Nie, nie, nie, nie. >”, - Wcale nie trzeba wybierać - obstawał przy swoim Mierni - Można mieć to, co najlepsze, z obydwu światów. Z wielu

światów.

Stanieyego słuchał z napięciem. Raz po raz kręcił głową, by

kazać, że nie zgadza się z poglądami Mtemiego. Ale nie miał ochoty na sprzeczenie się z wodzem. Również Anna złapała się na to, że niechętnie oponuje. Trafiła jej do przekonania pewność, z jaką on towarzysz wygłaszał poglądy. Kogoś jej

Q^dał. Wykazywał pewność siebie, przekonanie i szczerść tak charakterystyczne dla ludzi, którzy mają przed sobą konkretny cel. Podobnie jak Michael. Anna była również wzruszona sposobem, w jaki Mtemi się do niej zwraca, jakby naprawdę mu zależało, żeby dobrze go zrozumiała. Jakby naprawdę mu na niej zależało...

Nie nrzs^^^ myśleć o Mtemim. Wyraźnie ją fascynował. Łączył w sobie przeciwności, jednak w jakiś niepojęty sposób

sprawił wrażenie osoby konsekwentnej. Poza tym nawet jak na członka urodzonego plemienia Waganga był zaskakująco

przystojny.

Zastanawiała się, co czuje Mtemi. Wiedziała, że go pociąga. W końcu to on zaprosił ją nad jezioro. To on utrzymywał subtelny nić porozumienia, które zrodziło się w trakcie podróży do miasta, i jak dotąd jej nie przeciął.

Młoda kobieta w głębi duszy ze zdumieniem i niedowierzaniem przyglądała się swoim myślom i uczuciom. Wiedziała, że w prawdziwym świecie nic podobnego by się nie zdarzyło. Ale obecnie jedyną rzeczywistością dla niej były posiadłość Kiki i prowizoryczny szpital. A codzienne życie toczące się w ekscentrycznej rezydencji stało się niemal tak samo dziwaczne jak myśl o zakochaniu się w tubylcu.

Bądź ostrożna - uprzedzał ją wewnętrzny głos.

Mimo to w głębi duszy pragnęła wskoczyć w dziki wir i na chwilę się zapomnieć.

Tak czy inaczej to nie potrwa długo.

Gdy budynki w Germantown zostaną odnowione, skończy się pobyt w posiadłości Kiki. Możliwe, że biskup wyśle swą pielęgniarkę do innej, odległej placówki. A nawet

jeśli pozwoli jej zostać w położonym nieopodal wioski plemienia Waganga Germantown, wszystko się zmieni. Annah wróci w objęcia misji.

Pewnego wieczoru postanowiła wspiąć się na wzgórze leżące między posiadłością Kiki a Germantown. Wzięła ze sobą uzbrojonego we włócznię chłopca, ale czuła się, jakby była sama.

Wspinaczka po stromym zboczu okazała się nużąca. Kobieta musiała się kilka razy zatrzymać, by złapać oddech. Gdy dotarła do szczytu, podeszła do miejsca, z którego widać było misję.

To, co zobaczyła, zamroziło jej krew w żyłach. Na pierwszy rzut oka widać było, że prace restauracyjne znacznie się posunęły. Położono nowe dachy i wstawiono szyby. Niebawem Annah dostanie od biskupa polecenie, by przenieść pacjentów z powrotem do misji.

Niebawem będzie musiała pożegnać się z Mtemim.

299

Nazajutrz usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu. Przerwała pracę. Zamarła z wacikiem w dłoni i czekała. Nawet nie próbowała się domyślać, kto to może być, ani przygotowywać na spotkanie...

Na podjazd wtoczył się nowiutki szary land-rover z godłem misji. Annah przyjrzała się kierowcy. Blondyn. W schludnej koszuli.

- Michael! - krzyknęła, zaskakując pacjentów. Wypadła na zewnątrz. Nagle zatrzymała się. Owładnęły ją sprzeczne uczucia. Chciała podbiec i uściskać starego przyjaciela. Jednak zdawała sobie sprawę, że od momentu, kiedy widzieli się po raz ostatni, wiele się wydarzyło. Teraz była kimś zupełnie innym. Bardzo różniła się od kobiety, która szlochała do słuchawki nadajnika radiowego, kobiety, którą Michael odesłał z Langali. Co więcej, czuła, że jego przyjazd niemal na pewno oznacza koniec pobytu w posiadłości Kiki.

Michael wolnym krokiem podszedł do Annah. Widziała, że przygląda się jej spodniom safari, potarganym włosom i niezwyklej scenerii. Jego zmarszczone czoło świadczyło o zaintrygowaniu.

- Masz pozdrowienia od Sarah! - zawołał na powitanie, jakby chciał zasłonić się żoną jak tarczą albo wykorzystać ją jako ogniwo łączące, a może i jedno, i drugie. Tego Annah nie potrafiła odgadnąć.

Nagle znaleźli się bardzo blisko siebie. Tak dobrze znali swoje twarze, które przez ten czas wcale się nie zmieniły. Mijały sekundy. Przyjaźń przebiła się przez zakłopotanie, spowodowane mieszanymi uczuciami. Padli sobie w ramiona. Annah mocno objęła Michaela. Czuła się jak dziecko, rozpaczliwie potrzebujące bliskości. Michael zbyt wcześnie uwolnił się z uścisku.

- Tęsknimy za tobą - powiedział ciepłym, łagodnym tonem.

- Opowiedz mi o wszystkich - poprosiła Annah, uśmiechając się i powstrzymując łzy.

- O Kate, Sarah, Ordenie. O sobie.

300

i Wypili herbatę na werandzie. Gdy tak siedzieli na trzciniowych krzesłach, spoglądali na uroczy krajobraz, śmiali się i plotkowali, mogliby uchodzić za porannych gości Kiki. Michael poruszył kilka zdawkowych tematów, po czym nieco spoważniał.

- Trochę martwię się o Sarah - wyznał. Annah poważnie się zaniepokoiła.

- Co się stało?

- Właściwie nic takiego - uspokoił ją Michael. - Tylko gdy twoje miejsce zajęła nowa pielęgniarka, urocza Szkotka, Sarah oznajmiła, że nie będzie dłużej pomagać w szpitalu. Uważa, że z powodzeniem mogą ją zastąpić przeszkolone Murzynki, i do pewnego stopnia ma rację. Problem polega na tym, że Sarah chce pracować na własną rękę. - Michael sposepniał. Nie rozumiał pobudek kierujących żoną. - To do niej zupełnie niepodobne. Zawsze dostosowywała się do innych. Uważałem taką postawę za jedną z jej zalet. Niestety, teraz bardzo nalega na zmianę, co mnie niepokoi.

Annah kiwnęła głową, ale nie odezwała się ani słowem. Fakt, że Sarah nie zgodziła się współpracować z nową pielęgniarką, sprawił jej przyjemność - wyglądał na gest lojalności.

- Zajęła się matkami i niemowlętami - kontynuował Michael. - Nie organizuje już zajęć grupowych, tylko odwiedza poszczególne domostwa. Zabiera ze sobą jedną z miejscowych pielęgniarek.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł - pochwaliła Annah. Michael uśmiechnął się krzywo.

- Przypuszczałem, że ją poprzesz. Prawdę mówiąc, moim zdaniem to twoja wina - powiedział i popatrzył Annah prosto w oczy. - Bierze przykład z ciebie. Próbuje udowodnić, że ona również potrafi dokonać czegoś samodzielnie. - Wzruszył ramionami. - Pewnie nie ma w tym nic złego, ale wybrała ciężką pracę. Myślę, że gdy Sarah się zmęczy, wróci do zajęć w szpitalu. A skoro już o tym mowa, pochwal się swoimi osiągnięciami. Muszę wyjechać przed lunchem.

- Z przyjemnością-zgodziła się Annah.

301

Kiedy wprowadziła Michaela w głąb budynku i przechodzili obok portretu Kiki, poczuła niepokój.

Niepotrzebnie. Od samego początku Michael był zachwycony wszystkim, co zobaczył. Wyraził podziw dla pomysłowości Annah, zwłaszcza tego, że wykorzystwała stare sposoby, by jakoś sobie poradzić.

- Siostra Barbara byłaby zadowolona - przyznał. - Prezentujesz dość niekonwencjonalne, może nierozsądne podejście, ale odwalilaś kawał dobrej roboty.

Słuchając pochwał, Annah poczuła się Jak kot wygrzewający się na słońcu.

- Dużo zawdzięczam Stanieyowi - zaznaczyła.

- Nie wiem, jak ci się to udało... Przy tak nędznym zaopatrzeniu. - Michael kiwał głową z niedowierzaniem.

Przez chwilę Annah zastanawiała się, czy nie opowiedzieć mu o naparze z bluszczu, nawet o cudownym ozdrowieniu Ndatali. Musiałaby jednak wytłumaczyć, że skutecznym lekiem okazały się zioła od szamana, dlatego przemilczała tę sprawę.

Idąc przez sale w towarzystwie Michaela, Annah znów poczuła się bezpiecznie, jak pielęgniarka u boku lekarza. Kiedy jeszcze przyłączył się do nich Stanicy, wszystko było jak za dawnych, dobrych czasów. Czasów „bwany”. Czarnoskórego asystenta. Przełożonej pielęgniarek. Pracujących razem.

- Na szczęście wkrótce twoje męczarnie dobiegną końca -oznajmił Michael na zakończenie obchodu. - Ludzie po drugiej stronie wzgórza prawie skończyli robotę. To dobrze. Przedstawiciel ministerstwa zdrowia w Murchanzie, doktor Marchant, odszedł na

emeryturę i na razie nie wiadomo, kto zostanie jego następcą. Germantown będzie ważniejszą placówką niż poprzednio.

- Co będzie z nami? - spytała Annah, siląc się na obojętność.

- Oboje ze Stanicy em wróćcie do Germantown. Dołączy do was siostra Margaret, którą mają przenieść z Iringi.

Annah przytaknęła. Targały nią sprzeczne uczucia: perspek-

302

tywa powrotu na łono misji przyniosła jej ulgę, jednocześnie jednak odczuwała dotkliwy ból na myśl o pożegnaniu z Mte-mim. Starając się ukryć emocje, poczuła na sobie spojrzenie Stanleya. Domyślała się, że jej asystent wie o niej i o Mtemim. Oraz o kłopotach, jakie mogą z tego wynikać. Na wieść o rychłym wyjeździe na jego twarzy pojawiła się ulga.

Kiedy wracali do samochodu, Annah poruszała się jak we śnie, zatopiona w niewesołych myślach. Okrążając budynek, natknęli się na Mtemiego. Annah zamarła. Miała wrażenie, że ściągnęła go tu myślami. Szybko się otrząsnęła i przedstawiła sobie mężczyzn.

- To wódz plemienia Waganga - powiedziała do Michaela. - Niedawno wrócił ze studiów w Londynie. Potem odwróciła się do Mtemiego.

- Przedstawiam ci doktora Carringtona z Langali. Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Oczywiście, słyszałem o panu - przyznał Michael. - Od biskupa.

Przez chwilę wymieniali zdawkowe uwagi. Annah zauważyła, że Michael nieufnie podchodzi do Mtemiego. Nic dziwnego - w końcu Afrykańczyk był synem wodza, który oficjalnie zwalczał chrześcijaństwo. Biały mężczyzna z pewnością zastanawiał się, jak taka spuścizna ma się do zdobytej w Anglii edukacji. Mtemi nie ułatwiał mu zadania. Rozmawiał z Michael'em jak równy z równym, wypytując o Germantown. Do Annah zwracał się, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Ona sama, udzielając mu odpowiedzi, próbowała przemawiać chłodnym, oficjalnym tonem, przez co przesadnie kontrolowała każde wypowiedzane słowo. Wkrótce wszystko, co mówiła, zaczęło brzmieć niezgrabnie i nienaturalnie. Michael nie spuszczał z Annah wzroku, jakby próbował odczytać jej myśli.

Gdy znajdowali się blisko werandy, Michael zaczął mówić o zamknięciu szpitala polowego.

- Już nie będziemy was dłużej niepokoić - powiedział półżartem do Mtemiego.

Wódz spojrział na Annah. Nie odezwał się. Jakby się spo-

303

dziewał, że usłyszy: „Będę za tobą tęsknić” albo „Mam nadzieję, iż zostaniemy przyjaciółmi”.

Albo...

Annah była pewna, że ma wypisane na twarzy wszystkie miotające ją uczucia. Uparcie patrzyła przed siebie, czuła jednak, że Michael usiłuje spojrzeć jej w oczy.

Zapadła trudna do zniesienia cisza. Michael zerknął na zegarek.

- Muszę wracać - poinformował.

W jego głosie słyhać było troskę, jakby niepokoił się o tych, których tu zostawia. Mtemi przeprosił i się oddalił. Annah i Stanicy odprowadzili Michaela do land-rovera.

- Byłbym zapomniał - powiedział Michael, otwierając drzwi samochodu po stronie kierowcy. - Sarah przysłała kawałek placka urodzinowego Kate.

Michael wyjął z samochodu owiniętą pergaminem i przewiazaną kawałkiem wstążki paczuszkę. Annah położyła pakunek na dłoni. Był ciężki. Typowe ciasto Sarah, z ogromną ilością suszonych owoców i orzechów. Przetrwą nawet potop.

- Siostró, siostró!

Annah podskoczyła, słysząc wołanie chłopca. Właśnie przelewała napar z bluszczu. Omal nie upuściła butelki.

- O co chodzi?

- Ktoś koniecznie chce z panią porozmawiać - wyjaśnił malec. - Ktoś na panią czeka.

Serce podskoczyło jej w piersiach.

- Gdzie? - spytała szeptem.

- Nad jeziorem.

Przekazawszy wiadomość, chłopiec odwrócił się na pięcie i uciekł.

Annah weszła do jednej z sal. Zastała tam Stanieya, przeprowadzającego transfuzję krwi cierpiącemu na malarię niemowlęciu.

- Wychodzę na chwilę - uprzedziła go Annah.

Staniey kiwnął głową. Chociaż była dopiero dwunasta i jak

304

zwykle czekało ich jeszcze mnóstwo pracy, o nic nie pytał. Była mu za to bardzo wdzięczna.

Przebiegła przez trawnik i las, po czym zatrzymała się, by uspokoić oddech i odgarnąć spadające na twarz luźne kosmyki włosów. Dopiero po chwili wyszła na brzeg jeziora.

Wódz stał nad wodą i wpatrywał się w miejsce zamieszkałe przez duchy. Odwrócił się, słysząc kroki Annah.

- Przyszedłś - przywitał się.

- Przyszłam - odrzekła.

- Chciałbym prosić cię o radę - wyjaśnił Mtemi. - Jeśli zechcesz mi jej udzielić. Annah zmarszczyła czoło.

- Oczywiście. Pytaj, o co chcesz, a ja ci odpowiem.

- Pokłóciłem się z wujem, regentem - zaczął Mtemi i umilkł.

Jego spojrzenie ponownie powędrowało na drugi brzeg.

Czekając, aż Mtemi znów się odezwie, Annah przypominała sobie wszystko, co wiedziała o regencie. Po raz pierwszy spotkała go podczas ngoma. Następnym razem widzieli się w wiosce. Była z wizytą u Zanii, kiedy zauważyła mężczyzn stojących rzadkiem przed wielką chatą. Szaman wyjaśnił, że pomagają regentowi liczyć przygotowane na sprzedaż worki z mąką kukurydzianą. Wuj wodza to bogaty człowiek. Miał tyle worków z mąką, że musiał liczyć je dwudziestkami. Każdy mężczyzna, dzięki palcom u rąk i nóg, stanowił jednostkę. Regent, ujrawszy białą kobietę przyglądającą się całej procedurze, niegrzecznym machnięciem dłoni kazał jej się wynosić. Annah nie była

zdziwiona jego zachowaniem. Słyszała plotki, że to właśnie rządzący plemieniem pod nieobecność Mtemiego regent pozwolił na splądrowanie szpitala w Ger-mantown.

Wreszcie Mtemi odwrócił się do Annah.

- Będę mówił po angielsku - zaczął. - Zależy mi, żebyś dobrze mnie zrozumiała.

Annah rozchyliła usta. Mtemi mówił po angielsku z lekkim afrykańskim akcentem: przeciągał samogłoski i stosował cha-

305

rakterystyczną dla suahili intonację. Jego słowa brzmiały pięknie i śpiewnie.

- Nadszedł czas, żebym zdecydował się na małżeństwo -kontynuował wódz. - Regent zaproponował mi swoją siostrzenicę i teraz niecierpliwie oczekuje na moją zgodę.

Mtemi ponownie zamilkł. Nie była to tak charakterystyczna dla Afrykańczyków przerwa, lecz pełna napięcia, potęgowana ledwo słyszalnymi szmerami cisza. Annah wstrzymała dech. Miała wrażenie, że słyszczyć szybkie bicie jej serca.

- Podczas pobytu w Londynie - mówił niespiesznie - trzymałem się z dala od kobiet. Żadnej nie pozwoliłem zbliżyć się do siebie. - Uśmiechnął się. - Nie chciałem ryzykować, że się zakocham. Zawsze planowałem, że wrócę do swojej wioski i że w niej zostanę. Żadna Angielka nie zgodziłaby się na życie w takich warunkach. To byłoby zbyt trudne. - Mtemi rozłożył ręce. Miał różowe dłonie i długie palce. - Białe kobiety nawet nie wiedzą, jak wygląda afrykańska wioska.

Annah kiwnęła głową. Mtemi miał rację. Chociaż od przyjazdu do Tanzanii sporo przeżyła, zdawała sobie sprawę, że nadal nie zna lub nie rozumie wielu szczegółów z życia społeczności plemiennej.

Wódz kontynuował opowieść o wszystkich trudach, z którymi musi zmagać się żona. Mówił o noszeniu wody, braku elektryczności, walce z pchłami i innym robactwem, o licznej, namiętnie plotkującej rodzinie. Przez cały czas bacznie obserwował swoją rozmówczynię. Słuchała go, próbując się zorientować, do czego zmierza wódz, chociaż bardzo się tego obawiała.

- Oczywiście żona wodza - dodał - ma pewne przywileje. Ale i sporo obowiązków.

Umilkł, jakby nie miał odwagi dokończyć swojej myśli. Annah wbiła wzrok w ziemię. Czowała, że to decydująca chwila - punkt zwrotny. Wiedziała również, że wszystko, o czym mówił Mtemi, jest prawdą. Niemal bezwiednie powiedziała:

- Biała kobieta nie poradziłaby sobie z tym wszystkim.

Po tych słowach pomimo bólu i żalu Annah poczuła ulgę.

306

Wiedziała, że postąpiła słusznie. Spojrzawszy na Mtemiego, miała wrażenie, że widzi w jego oczach podobne uczucia.

- Jaka jest siostrzenica twojego wuja? - spytała. Nagle głos uwiązł jej w gardle.

- Piękna - odparł Mtemi. - Będzie dobrą żoną wodza. Moja matka bardzo ją lubi.

- A ty? - nie zdołała się powstrzymać. Mtemi udzielił odpowiedzi dopiero po długim zastanowieniu.

- Zawsze zamierzałem ożenić się z członkinią mojego plemienia.

Kobieta skinęła głową w milczeniu.

Stali na brzegu jeziora. Nie mieli już sobie nic do powiedzenia, ale ociągali się z pożegnaniem. Nie chcieli się rozstawać. Nie chcieli, by ostatnia wspólna chwila dobiegła końca.

Po tym spotkaniu trzymali się od siebie z daleka. Annah słyszała rozmowy o zbliżających się uroczystych zaręczynach, niebawem okazało się jednak, że to tylko pogłoski. Słuchając plotek, starała się ukrywać swoje uczucia. W końcu ślub wodza to nie jej sprawa.

Jednak w głębi duszy nie mogła się z tym pogodzić.

Kocham go. Kocham - myślała.

Te słowa raz za razem przemykały jej przez głowę, wracały jak refren piosenki, rozpały ciało, koły duszę.

Ilekcioć Stanicy wspominał przy Annah o Mtemim, bardzo starał się zachowywać obojętny ton. Jednak traktował ją z niezwykłą delikatnością, co sugerowało, iż wie, co dzieje się w jej duszy. Gdy więc rozmawiali o powrocie do Germantown, Stan-ley z entuzjazmem opowiadał o nowych, specjalnie zbudowanych pawilonach, dobrze zaopatrzonej aptece, a także mających powstać w przyszłości kościele i szkole. Zachowywał się jak rodzic wychwalający szkołę z internatem, a jednocześnie zdający sobie sprawę, że żadne boisko ani biblioteka nie zastąpią miłości, której dziecku będzie tam brakowało.

Pewnego dnia nadeszła przez radio wiadomość, że klinika

307

w Germantown jest gotowa i że nazajutrz z samego rana przyjedzie wóz, by zabrać pacjentów i wyposażenie. Annah i Stan-ley mieli zamknąć budynek i wrócić swoim land-roverem. Siostra Margaret czekała już na ich przyjazd.

Nazajutrz o poranku przed dom Kiki zajeżdżał land-rover z Germantown. Za kierownicą siedział Afrykańczyk z Dodo-my. Wóz przez cały dzień kursował między Germantown a posiadłością Kiki, dopóki nie zostały opróżnione wszystkie sale.

Annah i Staniey nadzorowali przemeblowanie. Kiedy na ścianach z powrotem zawisły należące do Kiki obrazy, a meble wróciły na swoje miejsca, Annah poczuła, że do domu powrócił duch Kiki. Wędrując w otępieniu z pokoju do pokoju, bezgłośnie błagała niewidzialną właścicielkę: „Pozwól mi zostać. Pomóż mi odejść. Uchroń mnie. Dodaj mi sił”.

Mtemi wraz z grupką swoich współplemieńców pomagał Annah i Stanieyowi w przeprowadzce. Musiał się pojawić -w końcu był wodzem plemienia Waganga. Wielu jego ludzi korzystało z dobrodziejstw szpitala. Jednak przez cały czas trzymał się od Annah z daleka.

Po skończeniu pracy przed budynkiem zebrał się tłum ludzi, pragnących pożegnać Annah i Stanieya. Dozorca i Ndatała szlochali, wręczając misjonarzom podarunki. Wrzawa ucichła, gdy Mtemi wystąpił do przodu, by w imieniu plemienia Waganga złożyć oficjalne podziękowania.

- Dziękujemy wam - powiedział najpierw w miejscowym narzeczu, a następnie w suahili. - Dziękujemy z całego serca. -Przemawiając, nie odrywał wzroku od Annah. W jego oczach widać było ślady łez, błysk, który wcale nie był odbiciem słońca. - Jesteś drugą białą kobietą, która zasłużyła sobie na to, by zostać członkinią naszego plemienia - kontynuował.

Machnął ręką, a wówczas z tłumu wystąpił mężczyzna z rzeźbionym taboretem. Annah wyciągnęła ręce, by go odebrać. Mtemi pokręcił przecząco głową.

- Twój stołek stanie w domu naszych przodków. Taboret Kiki też tam jest.

Teraz przyszła kolej na nią.

308

- Żegnajcie. Najmocniej za wszystko dziękuję. - Annah z trudem wydobywała głos. - Nigdy nie zapomnę spędzonych tu chwil.

Po skończeniu swego pożegnania stała nieruchomo, z pochyloną głową. Zaciskała dłonie, aż zbieleły jej palce.

- Co ci się stało? - spytał cicho Mtemi. Spojrzała na niego otepalym wzrokiem.

- Skaleczyłaś się - stwierdził.

Idąc za jego wzrokiem, Annah popatrzyła na swoje dłonie. Z jednego z palców płynęła krew. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że zahaczyła o ostry kant ramy obrazu.

- Zacięłam się - przyznała.

Serce mi krwawi. Umieram... - pomyślała.

- Trzeba przemyć ranę - powiedział Mtemi zdecydowanym głosem.

Poprosił Stanieya, żeby przyniósł z land-royera bandaż i butelkę naparu z bluszczu. Tłum obserwował w milczeniu, jak Mtemi prowadzi Annah do budynku.

Stanęli przy zlewie w kuchni, tuż obok dużego okna wychodzącego na podjazd, gdzie zgromadzili się członkowie plemienia Waganga. Nie podeszli bliżej, lecz ich spojrzenia śledziły każdy ruch wodza.

Mtemi ujął dłoń Annah i włożył krwawiący palec pod płynący z kranu strumień. Zabarwiona na różowo woda trysnęła na jego ciemną skórę. Po chwili zakręcił kurek i brzegiem zarzuconej na ramiona tkaniny wytarł rękę kobiety, delikatnie dotykając jej palców, wnętrza dłoni, nadgarstka i przedramienia. Następnie polał skaleczenie naparem z bluszczu. Annah poczuła nagle, ale niezbyt mocne pieczenie. Liczyło się tylko jedno. Mtemi trzyma ją za rękę. Jest taki bliski. Taki ciepły. Taki silny.

Sięgnął po bandaż i zaczął owijać nim zraniony palec. Jego ręce poruszały się powoli, z ociąganiem wykonując swoje zadanie. Annah z zapartym tchem wpatrywała się w twarz mężczyzny. Jego dotyk był delikatny, czuły. Wódz po raz ostami owinął bandaż na palcu i zawiązał go. O wiele za wcześnie.

- Koniec - powiedział.

309

Koniec.

Mtemi uśmiechnął się do Annah, ale było to jedynie wygięcie ust. Oczy pozostały smutne. Ostatnie słowa wypowiedział przytłumionym z bólu głosem:

- Wkrótce zacznie się goić.

- Dziękuję.

Spojrzała mu prosto w oczy. Przez długą chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Wreszcie Mtemi odwrócił się i wyszedł.

Na zewnątrz skinął głową Stanieyowi, po czym oddalił się, nie oglądając się za siebie. Annah, zdając sobie sprawę, że oczy wszystkich skupione są na niej, starała się zachować kamienny spokój. Nie zdołała jednak oprzeć się pokusie i spoglądała za Mtemim.

Obserwowała spokojnie oddalającą się wysoką postać.

Znikającą w zaroślach.

Wkrótce ludzie powędrowali za wodzem, zostawiając Annah, Stanieya i dozorcę na podjeździe, obok załadowanego land-rovera.

- Za minutę będę gotowa - obiecała Annah.

Przebiegła przez ogród i wśliznęła się pod baldachim z gałęzi drzewa rosnącego nad grobem Kiki. Usiłowała przypomnieć sobie twarz zmarłej kobiety. Przywołała w pamięci jej śmiałe spojrzenie, buntowniczy uśmiech. Próbowała wyczarować Kiki, pragnąc zaczerpnąć sił od tej mocnej, niezależnej i odważnej kobiety.

Spojrząwszy w dół, Annah dostrzegła wśród suchych kwiatów barwną plamę. Pochyliła się

Była to ciemnoczerwona róża.

Annah przytuliła kwiat do twarzy i wciągnęła w nozdrza jego woń. Róża pachniała słodko, intensywnie. Zapach przeniknął w głąb duszy Annah, ożywiając wspomnienia.

Ujrzała Mtemiego zbliżającego się do niej powoli z uśmiechem na ustach. Mówiącego. Trzymającego na rękach wiercące się niemowlę i delikatnie tulącego je do piersi. Tańczącego z włócznią w dłoni podczas ngoma. I wreszcie spokojnego, nieruchomo czekającego na nią w lesie.

310

Wydał jej się bardziej rzeczywisty niż cokolwiek innego, co ją w życiu spotkało.

Bardziej rzeczywisty i jakże drogi jej sercu...

Annah wróciła do land-rovera, otworzyła boczne drzwi, sięgnęła do środka i wyjęła swoją walizkę. Następnie odszukała torbę z lekarstwami, mikroskop w zniszczonej, drewnianej skrzynce i postawiła wszystko na ziemi obok samochodu. Odnosiła wrażenie, jakby to wszystko działo się we śnie, a ona sama przygląda się temu z boku.

Potem odwróciła się do Stanieya.

- Nie jadę - oznajmiła.

Na twarzy mężczyzny pojawił się szok, strach, zwątpienie i ból. Spojrzał jej w oczy. Nie odezwał się, Annah wiedziała jednak, że jej pomocnik zdaje sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, jaką na siebie wzięła. Powoli skinął głową.

- Pomódlmy się - powiedział.

Na dźwięk tych słów coś chwyciło Annah za gardło. Gdyby Staniey próbował ją przekonywać, skłaniać do rozwagi, byłoby jej łatwiej się pożegnać. Pochyliła głowę. Jej oczy napełniły się łzami, gdy słuchała, jak jej pomocnik wypowiada wszystkie znane formułki, polecając Annah boskiej opiece. Po skończeniu modlitwy zamilkł, jakby dawał jej czas na zastanowienie, nim wypowie ostateczne „Amen”.

Mocno uścisnął wyciągniętą przez nią dłoń, potem wsiadł do land-rovera, zapuścił silnik i wolno odjechał.

Pod wpływem paniki Annah poczuła, że robi jej się niedobrze. Nie odrywała wzroku od Stanieya, od jego rąk pewnie trzymających kierownicę, pochylonej głowy, niezmiennej

koszuli koloru khaki. Chciała pobiec za nim, powiedzieć, że zmieniła zdanie. Nie poruszyła się jednak. Staniey zniknął.

Stało się. Została sama.

311

16

Droga do wioski wiała się po zboczach między drzewami i wystającymi z ziemi skałami. Annah, obciążona bagażem, szła powoli. Wiedziała, że rozsądniej byłoby zostawić coś w domu Kiki. Jednak ten skromny dobytek był wszystkim, co posiadała, dlatego nie chciała się z nim rozstawać.

Wspinając się pod górę, Annah myślała o bolących mięśniach i wpijającym się w dłoń uchwycie walizki. Potem wpatrywała się w ziemię w poszukiwaniu insektów i kolców. Dzięki temu nie musiała myśleć o dokonanych przez siebie wyborze.

Wiadomość o nadchodzącej białej kobiecie dotarła do wioski na długo przed nią samą. Gdy Annah weszła między pierwsze chaty, mieszkańcy wioski czekali już na progach swoich domostw. Dobrze znała wielu z nich - byli jej pacjentami. Ale tego dnia nie powitali jej tak serdecznie, jak się spodziewała. Jedyne ją obserwowali, nie odzywając się ani nie oferując pomocy. Uznała, że nie wiedzą, czy mają ją powitać, czy też nie, ani jak powinni to zrobić. Przedtem była misjonarką, która zorganizowała szpital. Kim jest teraz, gdy ze swoim dobytkiem pojawiła się w ich wiosce?

Nie podnosząc głowy, Annah wędrowała między chatami, zmierzając w stronę wielkiego, starego drzewa, pod którym spotykali się mieszkańcy. W jej głowie kołatała się tylko jedna myśl. Miała tylko jeden cel. Zobaczyć Mtemiego. Może z nim porozmawiać. Dotknąć go... Nie snuła żadnych dalszych planów, żadnej wizji przyszłości.

Potknęła się o ostry kamień. Odzyskawszy równowagę, po raz pierwszy uniosła wzrok. Pod drzewem stała grupa wojowników. Przekazywali sobie z rąk do rąk skóry antylopy. Jeden z nich odwrócił się i dostrzegł Annah. W mgnieniu oka pozostali poszli w jego ślady. Zastygli w dziwnych pozach. Minęła dłuższa chwila. Potem z grupki wystąpił jeden mężczyzna.

Annah zamarła. Na widok Mtemiego poczuła radość

312

i strach. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, powoli postawiła bagaż na ziemi.

Wódz niepewnie zrobił kilka kroków w jej stronę, jakby nie wierzył własnym oczom. Na jego czole pojawiły się zmarszczki. Annah z trudem przełknęła ślinę.

On mnie nie chce - pomyślała.

Jednak w tej samej chwili twarz Mtemiego rozpromieniła się pod wpływem radości i zaskoczenia, rysy złagodniały. Wódz ruszył biegiem, wyciągając długie nogi.

Zatrzymał się dwa kroki od Annah i spojrzał na stojące na ziemi walizki i torby.

- Przyszłaś!-powiedział wyraźnie zdumiony.

Kiwnęła głową. W jej głowie zabrzmiała odpowiedź:

„Przyszłam”.

Poruszyła wargami, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Mtemi z natężeniem patrzył jej w oczy. Jego spojrzenie było czułe i ciepłe. Ale się nie poruszył. Stał sztywno, z rękami przy ciele. Annah czuła dzielącą ich przestrzeń, brak fizycznego kontaktu. Pragnęła przebić ten mur, rozproszyć wątpliwości, dotykając prężnej, ciemnej skóry. Ale ani drgnęła, tak samo jak Mtemi. Całą siłę i odwagę zużyła, przychodząc tutaj. Teraz była wyczerpana, czuła się jak bezpański pies.

Wokół nich zebrał się tłum. Staruszkowie, dorośli i młodzież, dzieci, niemowlęta i psy - wszyscy gapili się na wodza i białą kobietę.

Wojownicy Mtemiego stanęli u jego boku. Chociaż oni również wyglądali na zaskoczonych tym, co się dzieje, przybrali postawę obronną, otaczając swojego wodza i jego towarzyszkę ciasnym kołem. Annah wdychała zapach ich wymalowanych gliną ciał i ostrą woń niegarbowanej skóry zwierzęcia. Między pochylonymi drzewcami długich włóczy wojowników widziała tłum.

Mtemi szepnął coś do jednego ze swoich ludzi. Posłuchał się swoim narzeczem, ale Annah rozpoznała imię królowej matki.

Po chwili czterech wojowników Kitamu przyniosło w lektyce matkę wodza. Ludzie Mtemiego rozstąpili się, by przepuścić

313

orszak. U boku starej królowej siedł regent. Poruszał się sztywno. Jego zaciśnięte usta tworzyły wygiętą, ponurą linię.

Mtemi pominął regenta i zwrócił się bezpośrednio do matki. Używał suahili, żeby Annah mogła go zrozumieć.

- Powitaj tę kobietę. Zostanie w naszej wiosce. Królowa matka przyjrzała się Annah spod przymrużonych powiek i uprzejmie skinęła głową.

- Witamy w naszej wiosce - powiedziała. Potem odwróciła się do wodza i spytała: - Kto zbuduje dom dla pielęgniarki?

- Zamieszka w mojej chacie.

Usłyszawszy słowa Mtemiego, ludzie milczeli, oszołomieni. Annah nie miała odwagi rozejrzeć się dookoła.

- Co znaczą twoje słowa? - spytała królowa matka, podejrzliwie marszcząc brwi.

- Że biała kobieta - odrzekł Mtemi najpierw w suahili, a potem w swoim narzeczu - zostanie żoną waszego wodza.

Członkowie plemienia sapnęli, potem zaczęli coś szeptać.

Annah nie odrywała wzroku od Mtemiego. Usiłowała zrozumieć jego wypowiedź. Żona. Biała kobieta. Wódz.

Żona...

Poczuła, że kształty, dźwięki i słowa rozplywają się. Była bezbronna i otepiała, jakby porwała ją fala. Zażenowana, zadała sobie niejasne pytanie. Czego spodziewała się, przychodząc do wioski? Prawdę mówiąc, nie miała żadnego planu. Po prostu zrobiła krok do przodu.

Mtemi uśmiechnął się do niej. Jego twarz wyrażała siłę, pewność siebie i miłość. Bez cienia wątpliwości.

Annah odwzajemniła uśmiech, nie mogąc oderwać od Mtemiego oczu. Poczuła, jak ogarnia ją ciepło, zaczyna błyszczeć iskierka nadziei, że niewyobrażalne może się ziścić. Że ona i stojący przed nią mężczyzna jakimś cudem będą mogli zostać razem.

Mtemi ujął dłoń Annah. Dotknął palcami białego bandaża, który założył jej w kuchni Kiki. Tak niedawno, a jednak w zupełnie innym świecie.

Wiadomość rozeszła się po wiosce lotem błyskawicy. Pod

314

drzewem zbierało się coraz więcej ludzi. Niebawem na placu pojawili się wszyscy mieszkańcy. Kobiety przeciskały się do przodu, zdumione i podniecone przemianą pielęgniarki z posiadłości Kiki. Wokół kręciły się również dzieci. Annah pogładziła kędzierzawą główkę berbecia, który uczeplił się jej nogi, zadowolona, że może skupić na czymś uwagę.

Kiedy uniosła głowę, ujrzała przed sobą królową matkę. Murzynka miała głęboko osadzone oczy o przenikliwym spojrzeniu, którym przewiercała Annah na wylot.

Nagle do przodu wysunął się regent. Jego twarz świadczyła, że z trudem panuje nad złością.

- To niemożliwe! - wyrzucił z siebie.

Podobnie jak Mtemi posługiwał się suahili, Annah doszła więc do wniosku, że regentowi zależało, by i ona wysłuchała jego słów.

- Wódz plemienia Waganga nie może ożenić się bez zgody plemienia. Takie jest prawo. Mtemi poważnie skinął głową.

- Dobrze o tym wiem - zapewnił. - Zamierzam zwołać zebranie plemienne, aby przedyskutować tę kwestię. Regent roześmiał się ponuro.

- Nie wyrazimy zgody.

Mtemi nie odpowiedział. Po prostu stał u boku Annah. Jego wojownicy bardziej zwarli szranki. Annah bacznie przyglądała się ich kamiennym twarzom, próbując zgadnąć, co sądzą o planach wodza. Wiedziała, że nie będą kwestionować jego decyzji - byli jego rówieśnikami, przyjaciółmi z czasów dzieciństwa. Oddaliby za niego życie, a on za nich. Mieszkańcy wioski niepewnie przestępowali z nogi na nogę, czekając na jakiś sygnał. Annah stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ziemię. Czuła na dłoni delikatny uścisk ręki Mtemiego - hebano-;

wa skóra kontrastowała z jej białą dłonią, jego spokój pokonywał jej panikę.

Chata królowej matki była przestronna, choć mroczna. W powietrzu unosił się słaby zapach dymu i piżmowa woń ka-

315

dzidla. Annah siedziała na niskim łóżku i wyglądała przez wąskie drzwi. Na zewnątrz nieprzerwanie płynął potok mężczyzn. Każdy z nich niósł prosty drewniany taboret na trzech nogach. Szli w stronę głównego drzewa, pod którym setki członków plemienia czekały na rozpoczęcie rady.

Annah zerknęła na królową matkę, wspierającą się na łokciu na drugim posłaniu zrobionym ze zwierzęcych skór. Jej pomarszczona twarz była nieprzenikniona, nie wyrażała niczego. Od chwili, kiedy obie znalazły się w tej chacie, Murzynka nie odezwała się ani słowem. Młoda kobieta nie wiedziała, dlaczego. Zastanawiała się, czy królowa matka nie chce używać sua-hili, czy też ma jakieś inne powody, by zachować milczenie. Annah przypomniała sobie, że matka Mtemiego chciała, by ożenił się z siostrzenicą regenta. Skoro tak, nie ma się co dziwić, że niechętnym okiem spogląda na zmiany planów małżeńskich syna. A może jest oburzona, że do jej chaty - i życia - wtargnęła biała kobieta.

Annah ponownie odwróciła twarz w stronę drzwi. W tym momencie uświadomiła sobie, że królowa matka nie po raz pierwszy znalazła się w takiej sytuacji. Jeżeli wierzyć pogłoskom, w przeszłości musiała dzielić się mężem, ojcem Mtemiego, z inną białą kobietą. Z Kiki. Annah wyobraziła sobie, jak Kiki uśmiecha się figlarnie, obserwując to, co dzieje się w chacie. Misjonarka i jej przyszła afrykańska teściowa.

- Jaka jest twoja rodzina? - spytała królowa, płynnie posługując się suahili.

Annah podskoczyła. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Skąd pochodzą? - nalegała Murzynka. - Czy są szanowani? Ile będą chcieli za ciebie dostać?

Annah zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Po chwili Murzynka niedbale machnęła ręką.

- Za bardzo wybiegam w przyszłość - uznała. - Zaczekajmy na decyzję mężczyzn.

Niebawem zaczęła się rada plemienna. Dom królowej matki stał tuż przy głównym drzewie, dlatego Annah wyraźnie sły-

316

szła przenikające przez ściany głosy członków plemienia. Obydwie kobiety siedziały zasłuchane.

Annah wbiła wzrok w swoje stopy. Wymiana zdań odbywała się w niezrozumiałym dla niej języku, co nie zmieniało faktu, że ważyła się tam jej przyszłość. Wielu mężczyzn z gniewu podnosiło głosy. Od czasu do czasu odzywał się Mtemi. Jego spokojny, pewny głos wybijał się ponad zgiełk.

Annah nie mogła dłużej znieść niepewności, dlatego odwróciła się do królowej matki:

- Co tam się dzieje?

Murzynka przekrzywiła głowę w stronę ściany, uważnie słuchając.

- Chcesz wiedzieć? - spytała.

Annah przytaknęła.

Królowa matka wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Zacząła tłumaczyć na suahili urywki dyskusji. Jak wyjaśniła, jej syn został oskarżony o to, że rozmyślnie wybrał taką, a nie inną żonę, by bez wyrzutów sumienia opuścić swój lud. Białą kobietę, potrzebującą rzeczy, których nigdy nie dostanie w wiosce.

- Czy to prawda? - spytała królowa matka, wpatrując się w Annah przenikliwym wzrokiem.

- Nie - zapewniła ją Annah.

Przypomniała sobie, jak wyglądała wioska, gdy ujrzała japo raz pierwszy - tonęła w zieleni, panował w niej porządek, życie toczyło się w naturalny sposób. Było to spokojne, idylliczne, a jednak kipiące życiem miejsce.

- Jest tu wiele rzeczy, które bardzo sobie cenię. Przede wszystkim Mtemi - dodała w myślach. Annah rozpoznała głos kolejnego mówcy. Był nim regent. Wygłosił mowę długą i porywczą. Tłum pomrukiwał z aprobatą.

- Co powiedział? - spytała zniecierpliwiona Annah.

- Jego słowa można streścić w jednym zdaniu - odrzekła

317

staruszka. - Zapytał, co by się stało, gdyby każdy zaczął lekceważyć prawo i mówić o miłości?

Królowa umilkła i uniosła brwi, jakby sama chciała znać odpowiedź na to pytanie.

Annah potrząsnęła głową. Takie podejście do życia wydało jej się dziwne, odważne i... niebezpieczne. A jednak na to się zdecydowała.

- Następny mówca - oznajmiła królowa matka - uważa, że syn starego wodza opuścił wioskę i wyjechał daleko stąd, by poznać prawa białych ludzi i potem lepiej rządzić. Teraz wzgardził prawem plemienia Waganga, samodzielnie wybierając sobie żonę.

Annah słuchała odpowiedzi Mtemiego. Oczy królowej matki zaokrągliły się ze zdumienia. Nagle skuliła się, jakby ktoś zadał jej cios.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Annah. Murzynka bez słowa potrząsnęła głową.

- Proszę mi powiedzieć.

Annah wychyliła się do przodu, kurczowo trzymając się brzegu łóżka.

- Mój syn mówi, że nie weźmie żony bez zgody plemienia - tłumaczyła z bólem Murzynka. - Ale nie zamierza z ciebie zrezygnować. Jeśli zajdzie taka potrzeba, opuści nasze plemię.

Młoda kobieta wpatrywała się w staruszkę, gorączkowo szukając słów.

- Ja też tak postąpiłam - wydusiła wreszcie niepewnym głosem. - Dla niego opuściłam swoich ludzi. Królowa matka powoli skinęła głową.

- To prawda. Ale jesteś białą kobietą. Kto wie, ile dla ciebie znaczą twoi ludzie?

W chacie zapadła cisza. Annah bacznie przyglądała się nogom łóżka, śledząc wzrokiem wyrzeźbione na nich długie, głębokie linie. Zanim królowa wróciła do tłumaczenia, swoje zdanie wyraziło wiele osób.

Dyskusja trwała do późnej nocy. Z czasem zaczęło zwyciężać bardziej praktyczne podejście do sprawy. Czy biała kobieta

318

podoba obowiązkowi żony wodza? Czy umie gotować, zajmować się zwierzętami i pracować w ogrodzie? Kilku mężczyzn przypomniało, że Annah jest silna i nie boi się pracy, co zdążyła udowodnić. Zastanawiano się nad rodowodem kandydatki. Skąd plemię może wiedzieć, czy biała kobieta pochodzi z dobrej rodziny? Poruszono również kwestię dzieci. Ktoś spytał, czy plemię bierze pod uwagę, że w przyszłości może mieć wodza Mulata. Mtemi przypomniał, że rząd zniósł sukcesję wodzów. Ta uwaga skierowała dyskusję na inne tory, jednak regent ponownie wrócił do tematu białej kobiety, którą wódz wybrał za żonę.

- Jest stara - powiedział. - Na pewno ma ponad dwadzieścia lat.

Ktoś mu przerwał. Annah rozpoznała głos Zanii.

- Wiek będzie jedną z jej zalet - argumentował. - Nasz przywódca dużo podróżował i ma sporą wiedzę o świecie. Czy mógłby być szczęśliwy, mając za żonę młodszą dziewczynę, która nie rozumiałaby jego opowieści?

Do debaty dołączali kolejni ludzie. Annah była zmęczona wyczerpaniem słuchu, śledzeniem wypowiedzi w obcym języku i próbami odgadnięcia ich sensu.

- Szaman jest po twojej stronie - odezwała się po jakimś czasie królowa. W jej głosie brzmiało zdziwienie. Była pod wrażeniem tego, co słyszała. - Mój drugi syn, Kitamu, również.

Światło dnia widoczne w prostokącie otwartych drzwi powoli przygasło i zmieniło się w rozproszony blaskiem małych ognisk mrok. Do chaty weszła młoda kobieta z dwoma parującymi garnkami. Złożone liście chroniły jej dłonie przed poparzeniem.

- To Patamisha, żona Kitamu - wyjaśniła królowa matka. Patamisha odwróciła się do Annah i uśmiechnęła do niej ciepło.

- Witaj, siostrze.

Podeszła bliżej. W pomieszczeniu rozszedł się zapach duszonej kury. Nagle Annah poczuła, że jest głodna. Od wschodu słońca niczego nie jadła.

319

Patamisha najpierw podała jedzenie królowej. Annah patrzyła, jak Murzynka bierze do ręki niewielką ilość ciasta kukurydzianego, nadaje mu kształt miseczki a potem czerpie nim potrawę z garnka. Chociaż Annah widziała to nie po raz pierwszy, z uwagą obserwowała cały proces. Towarzyszące mu ruchy były tak oszczędne, tak precyzyjne i skuteczne, że nie powodowały zbędnego zamieszania.

- Obserwujesz mnie - burknęła królowa matka szorstko. -Zastanawiasz się, czy jedzenie nie jest zatrute. Jak widzisz, nadaje się do spożycia. Jemy z tego samego garnka.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję - powiedziała Annah.

Nie była pewna, za co dziękuje. Za jedzenie? Za to, że nie zostanie otruta? A może za coś więcej - za akceptację, ostrożną i powściągliwą, ale jednak akceptację, którą wyczuła u matki Mtemiego.

Po posiłku Annah poczuła ogromne zmęczenie. Była wyczerpana wagą i doniosłością tego, co się działo, potrzebowała snu. Murzynka gestem ręki zaproponowała, by biała kobieta położyła się na tym samym łóżku, na którym siedzi. Okazało się, że posłanie ze zwierzęcych skór rozłożonych na twardych deskach jest zaskakująco wygodne.

Zapadając w sen, Annah słyszała przybierające na sile i słabnące głosy członków plemienia oraz dobiegające z oddali, z lasu nad jeziorem, wołanie ptactwa.

Kiedy nazajutrz otworzyła oczy, ujrzała przed sobą zjawę -bladą, przezroczystą postać z jasnymi włosami, oświetloną wpadającymi przez otwarte drzwi promieniami słońca. Annah powoli wracała do rzeczywistości. Nagle podskoczyła, całkowicie rozbudzona.

- Michael!

- Annah.

Michael mówił łagodnym, zaniepokojonym, nieco protekcyjnym tonem.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Jechałeś całą noc!-zawołała.

320

To było oczywiste. Twarz mężczyzny nosiła oznaki wyczerpania.

- Przyjechałem, żeby zabrać cię do domu - wyjaśnił. Otworzyła usta, chcąc zaproponować, jednak Michael nie zwracał na to uwagi.

- Dobrze cię rozumiem - wyznał spokojnie. - Zbyt długo byłaś poddana ogromnej presji.

Zamilkł, omiół spojrzeniem chatę i łóżko, po czym znów popatrzył na Annah. Pomimo słów współczucia na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Nie rozumiał, jak mogła zdecydować się na coś takiego.

- To moja wina - zapewnił. - Powinienem zauważyć, co się dzieje. Ale... - Michael uśmiechnął się - ...już jestem. Jeżeli zaraz wyjedziemy, przed zmrokiem dotrzemy do Langali. Sa-rah się tobą zajmie.

Nagle przerwał przemowę. Musiał zauważyć, że Annah nie reaguje, nie zamierza wstać ani wyjść.

- O co chodzi?

- Nigdzie nie jadę - oznajmiła. - Zostaję tutaj. Michael zmarszczył czoło. Na jego twarzy widać było rosnące zaniepokojenie.

- Nie bądź śmieszna. Jechałem przez całą noc. Nie mam nastroju do głupich żartów. Annah wstała.

- Postanowiłam zostać żoną Mtemiego. Wodza. Wypowiadając te słowa, sama nie bardzo mogła w nie uwierzyć. Patrzyła na Michaela zdecydowanym, niezdradzającym wahania wzrokiem.

Jego twarz zmartwiała. Bezgłośnie poruszył wargami. Potem się roześmiał.

- Chyba żartujesz. Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Annah milczała.

Kiedy Michael zdał sobie „sprawę z powagi sytuacji, nabrał powietrza w płuca.

- Jeśli to zrobisz, nie będziesz miała odwrotu - uprzedził. -W ten sposób spalisz za sobą wszystkie mosty.

321

- Wiem, co robię - zapewniła.

Nagle poczuła się jak mała dziewczynka, która musi w gabinecie ojca tłumaczyć się, dlaczego zgubiła mundurki szkolny, w jej pokoju panuje bałagan albo nie odrobiła lekcji.

- Jedź ze mną - błagał Michael. - Wtedy wszystko zostanie ci zapomniane. Inaczej... - Przybrał ostry ton. - ...inaczej będziesz zdana tylko na siebie.

- Nie będę sama - zaprotestowała Annah. - Będzie ze mną Mtemi.

W końcu powiedziała to, co należało, a podejmowane przez Michaela próby przekonania jej jedynie potwierdzały, że podjęła słuszną decyzję.

Michael wpatrywał się w nią z osłupieniem i niedowierzaniem. Starał się zachować spokój i rozsądek. Znaleźć inne argumenty.

- Posłuchaj, Annah - powiedział. - Nie jesteś pierwszą misjonarką, która zdecydowała się wyjść za mąż za Afrykańczyka. Inne też się zakochiwały. Ale... ich wybrańcy... byli pastorami albo czarnoskórymi pracownikami misji. Mimo to musiały pokonać ciernistą drogę. Ilu mieszkańców Czarnego Łądu żyje w Australii? Jak ten mężczyzna będzie się tam czuł?

- Zostaniemy tutaj, w jego wiosce - oznajmiła Annah, opanowując drżenie głosu.

Michael z osłupieniem pokręcił głową. Zamknął oczy.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz. Jesteś atrakcyjną kobietą. Wcześniej czy później spotkasz kogoś innego. Kogoś bardziej... - Michael się zawahał.

- Bardziej białego? - dobiegł od drzwi głos Mtemiego. Na widok wysokiego Afrykańczyka serce Annah zaczęło mocniej bić. Poczuła, że ogarnia ją ciepło.

Wyszła mu na spotkanie. Nagle znalazła się między dwoma mężczyznami. Jednym białym, ubranym w szorty i koszulę, a drugim ciemnoskórym, prawie nagim. Młoda kobieta wyczuła ich gwałtowne emocje - niechęć, zazdrość albo coś w tym rodzaju.

- On nie jest chrześcijaninem - przypomniał Michael,

zwracając się tylko do Annah. - Na tym polega najpoważniejszy problem - podkreślił, po czym zacytował Biblię: - „Nie wprzęgajcie się z niewierzącymi w jedno jarzmo”.

Annah wbiła wzrok w klepisko. Dobrze знаła ten fragment. Był tematem wielu powieści zalecanych jako lektura dla początkujących misjonarzy. W tradycyjnym scenariuszu bohaterka ze względu na swoją wiarę musiała wyrzec się ukochanego, który nie był chrześcijaninem. Jednak pod koniec książki zawsze spotykała przystojniejszego, milszego - a co najważniejsze, wierzącego - mężczyznę. W tamtych czasach Annah uważała owe opowiadania za całkiem sensowne. Ale teraz, w obecności mężczyzny z krwi i kości, z wypełniającą serce miłością, zupełnie inaczej podchodziła do tego dylematu.

- Cóż - westchnął Michael - skoro podjęłaś decyzję, jestem zmuszony prosić cię o złożenie rezygnacji z pracy na rzecz misji. Na piśmie.

Kobieta wpadła w panikę. Spojrzała na Mtemiego. Przyglądał się jej spokojnie, ale się nie odzywał.

- Dobrze. - Annah była zdziwiona spokojem i pewnością we własnym głosie. - Ale musisz mi dać papier i długopis. Michael przeszukał kieszenie.

- Mam tylko długopis - powiedział.

Annah otworzyła walizkę i szybko wymacała pod rzeczami powieść od Eleanor, Pożegnanie z Afryką, w twardej oprawie. Wyrwała stronę tytułową i pragnąc powstrzymać drżenie dłoni, kurczowo ścisnęła długopis, po czym szybko skreśliła na odwrocie kilka słów.

„Ja, Annah Mason, niniejszym rezygnuję z pracy misyjnej w Tanganice”.

Rzuciła okiem na krótką notatkę i przekazała ją Michaelowi. Widniejące na papierze słowa wydały jej się zbyt krótkie, zbyt proste, by mogły tak dużo znaczyć.

- Zaczekaj chwilę.

Annah sięgnęła do walizki i wyjęła z niej złożoną kartkę. Była to instrukcja, cenny dowód jej statusu. Drżącą ręką podała ją Michaelowi.

Biorąc niewielki arkusik, doktor Carrington spojrzał jej w oczy. Annah poczuła moment, kiedy kartka przechodziła z ręki do ręki, kiedy rezygnacja stała się rzeczywistością.

- Jeszcze możesz zmienić zdanie - przypomniał Michael.

Potrząsnęła przecząco głową.

Michael zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- W takim razie na pewno rozumiesz, że to koniec naszej przyjaźni, Annah. Przyjaźni ze mną i moją rodziną.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z chaty.

Annah podbiegła do okienka. Patrzyła, jak Michael idzie przez wioskę, otoczony zgrają dzieci i psów. W głowie kołatały jej ostatnie, wypowiedziane przez niego słowa.

„Koniec naszej przyjaźni. Przyjaźni ze mną i moją rodziną”.

Obok niej stanął Mtemi. Nie dotykał jej, był jednak tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

Stali obok siebie, w milczeniu obserwując oddalającego się jasnowłosego doktora.

Kiedy wreszcie Michael zniknął, Annah ciężko westchnęła. Nie była już misjonarką. Nie mogła uwierzyć, że coś, do czego tak długo dążyła, tak nagle się skończyło. Próbowwała się z tym pogodzić, gdy w głowie zrodziła jej się jeszcze jedna, mroząca krew w żyłach myśl. Teraz zapewne nie będzie mogła uważać się za chrześcijankę. W końcu postanowiła zamieszkać wśród pogan i wyjść za ich wodza. Przez chwilę miała wrażenie, że znajduje się na skraju mrocznej przepaści. Z trudem odsunęła od siebie tę wizję. Wmawiała sobie, że przecież to nie wszystko. Mtemi nie był zwykłym Murzynem. Mieszkał w Oksfordzie, mieście starych kościołów i słynnych kazań. Był mężczyzną twardo stąpającym po ziemi i znał dwa całkiem odmienne światy. Annah żywiła nadzieję, że przy nim również i ona znajdzie dla siebie miejsce w niewyobrażalnej rzeczywistości. Że wiele zyska, niczego nie tracąc.

Mtemi położył dłoń na ramieniu Annah - był to całkiem zwyczajny gest, ona jednak doznała wrażenia, jakby tą dłonią dotykał każdego jej nerwu. Odwróciła się. Stali twarzą w twarz, tak blisko siebie, że czuła na policzku oddech Mte-

324

miego, słyszała bicie jego serca, powtarzającego rytm jej własnego tętna.

- Hodi! - zawołał ktoś na powitanie, cicho zbliżając się do chaty.

Mtemi szybko odsunął się od Annah. Po chwili w drzwiach stanęła kobieta, która na widok pary przy oknie zeszywniała z zaskoczenia.

- Elia...

Annah uśmiechnęła się, rozpoznając starzejącą się kobietę. Asystowała przy jej ostatnim porodzie.

Murzynka jakby nie widziała towarzyszki wodza. Zwróciła się do niego i z szacunkiem pochyliła głowę, rzucając jednocześnie karcące spojrzenie.

- Pora na posiłek - oznajmiła.

- To prawda. Jesteśmy gotowi - odpowiedział szybko. W tej chwili Annah poczuła się jak uczennica przyłapana na gorącym uczynku. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, choć próbowała zachować poważny wyraz twarzy. Mtemi spojrzał na nią. Przez sekundę wyglądał na zaskoczonego, po czym kąciki jego ust również drgnęły. Elia nastroszyła się jeszcze bardziej.

Mtemi uśmiechnął się przepraszająco do Murzynki i odwrócił się do wyjścia.

- Chodźmy.

Elia odsunęła się, przepuszczając wodza przodem. Potem jednak ruszyła w jego ślady, nim Annah zdążyła się do niego przyłączyć.

Annah i Mtemi jedli śniadanie w towarzystwie królowej matki i najbliższej rodziny. Siedząc przed chatą królowej, Annah dostrzegła Kitamu, Patamishę oraz kilkoro dzieci. Młoda dziewczyna chodziła wśród zebranych i polewała im dłonie odrobiną wody z tykwy. Elia przyniosła wielki gliniany kocioł, wypełniony ugali.

- Dać ci miskę i łyżkę? - spytał Mtemi. Annah poczuła na sobie wyczekujące spojrzenie kilku par oczu.

325

- Na pewno nie. - Królowa matka zbyła pytanie syna. -Z przyjemnością zje tak jak my wszyscy. Jadłyśmy już z jednego garnka. Prawda? - zwróciła się do Annah.

Annah uśmiechnęła się z wdzięcznością, czując, że dzięki gestowi królowej matki stała się członkiem rodziny i wszyscy obecni powinni to uszanować.

- Prawda - przyznała Annah.

Mtemi pierwszy zaczerpnął potrawę z ustawionego wewnątrz kręgu kotła. Potem dorośli i dzieci, mężczyźni i kobiety zaczęli wyciągać ręce po jedzenie. Annah wiedziała, że to dość niezwykle zjawisko. W Afryce jako pierwsi zazwyczaj jadali mężczyźni. Kobiety i dzieci wskrobywały resztki. Ciekawe, czy Waganga zawsze rządzili się odmiennymi prawami, czy też ich zwyczaje uległy zmianie pod wpływem Mtemiego. A może Kiki? - zastanawiała się Annah.

Po śniadaniu odbyło się następne zebranie. Annah znów siedziała w chacie i uważnie wsłuchiwała się w wypowiedane słowa. Królowa matka od czasu do czasu coś tłumaczyła. Tym razem znacznie więcej mówił Mtemi.

- Twierdzi, że biała królowa zrobi dla Waganga wiele dobrego - wyjaśniła matka wodza. - Gdy wódz stanie przy niej, wszyscy się przekonają, że można połączyć stare i nowe, przeszłość i przyszłość, czarnych i białych.

Słuchając tych słów, Annah zastanawiała się, co stara kobieta o tym wszystkim sądzi. Ale nawet jeśli Murzynka miała jakiegokolwiek wątpliwości, w żaden sposób ich nie zdradzała. Ilekroć przytaczała wypowiedzi syna, dało się wyczuć, że wierzy w jego słowa.

Niebawem ponownie głos zabrał regent. Przemawiał długo i głośno.

- Jak to wszystko się skończy? - spytała Annah z niepokojem.

- Mój syn jest wodzem - odrzekła stara kobieta. Jej słowa były proste, ale jasne. „Mój syn jest wodzem. Może zrobić wszystko. Nie martw się”.

Decyzję podjęto dopiero o zmierzchu. Gdy ostatni mówca

326

podzielił się swoimi uwagami, kilku wojowników zaczęło śpiewać jedno jedyne, powtarzane w kółko słowo:

Maji! Afaji! Maji!

Reszta zgromadzonych przyłączyła się do śpiewu, aż pieśń przemieniła się w ogłuszający krzyk.

Królowa matka uśmiechnęła się do Annah:

- Śpiewają: „Deszcz! Deszcz! Deszcz!” To znaczy, że się zgodzili. - Dumnie uniosła podbródek. - Mtemi wygrał. Zostaniesz j ego żoną.

Nim Annah zdążyła do końca pojąć znaczenie tych słów, w drzwiach pojawił się jeden z wojowników wodza i gestem ręki przywołał obydwie kobiety. Poprowadził je do głównego drzewa. Annah szła samodzielnie, starą królową niesiono w lektyce. Członkowie plemienia rozstąpili się, by przepuścić orszak. Zbliżając się do miejsca, w którym stał wódz, Annah czuła na sobie spojrzenia wielu oczu.

Na widok Annah twarz Mtemiego wyraźnie się rozjaśniła. Wpatrywał się w nią uważnie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół jej twarzy i ciała. Oczy lśniły mu pod wpływem ogromnej radości.

Kiedy Annah stanęła obok niego, tłum ponownie wzniosł radosny okrzyk:

- Maji! Maji!

Tym razem śpiew był adresowany do Annah. Oznaczał błogosławieństwo. Ludzie z plemienia Waganga najbardziej cenili sobie deszcz. Ożywczą siłę, karmiciela nasion, żywiciela rzek. Życiodajną moc...

Gdy okrzyki przybierały na sile, Annah zauważyła, że stojący nieopodal regent patrzy na nią z kamiennym wyrazem twarzy. Wiedziała, że triumfalna pieśń na cześć małżeństwa stanowi dla niego dotkliwą porażkę. Obrazę majestatu. Kobieta poczuła dreszcz na myśl o nienawiści regenta. Odwróciła głowę, żeby zapomnieć o jego obecności.

Krzyki powoli ucichły. Mtemi zdjął sznur bursztynowych paciorków i zawiesił go na szyi swej towarzyszki. Gdy dotykał jej włosów, uszu i karku, poczuła mrowienie. Jednak po chwili

327

Mtemi cofnął dłonie, zostawiając bursztynowe paciorki na szyi Annah. Miała wrażenie, że wciąż promieniują ciepłem jego ciała. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Mtemiego. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Żadne słowa nie mogłyby oddać tego, co wyrażały ich spojrzenia.

Następnie z tłumu wysunął się Zania i sprezentował Annah szeroką bransoletę z kości słoniowej, z prostym, lecz wyraźnym czarnym wzorem. Gdy szaman włożył bransoletę na rękę przyszłej żony Mtemiego, królowa matka skinęła z aprobatą.

Annah rozejrzała się po twarzach otaczających ją ludzi. Prawie wszyscy promiennie się uśmiechali. Teraz, gdy obecność białej kobiety została formalnie zaakceptowana przez radę plemienną, wspaniałomyślnie ją witali. Poczuła przypływ optymizmu. Annah wręcz wyobraziła sobie świetlaną przyszłość. Życie u boku ukochanego mężczyzny w położonej nad brzegiem jeziora pięknej wiosce. Będzie mogła do woli przyglądać się flamingom. A w chłodne wieczory zasiądzie przy ognisku razem z przyjaciółmi i krewnymi.

U boku Mtemiego - wodza plemienia.

Będą patrzyli sobie w oczy.

Będzie czuła jego dłonie na swoim ciele.

17

Ślub miał się odbyć za kilka tygodni, żeby można było zaprosić dalekich krewnych. Annah telegraficznie powiadomiła swoich rodziców. Napisała, że jej narzeczony jest prawnikiem, który z wyróżnieniem ukończył Oksford, a także czarnoskórym wodzem plemienia.

Niebawem nadeszła odpowiedź. Eleanor uznała, że córka chyba żartowała. Jednak jeżeli Annah rzeczywiście zdecydowała się na taki krok, może zapomnieć o powrocie do Australii. Czarnoskóry mąż, niezależnie od tego, kim jest, nigdy nie zostanie zaakceptowany.

328

Czytając telegram, Annah uśmiechnęła się z goryczą. To była cała Eleanor - nie wspomniała, kto miałby nie zaakceptować Mtemiego. Śmietanka towarzyska Melbourne? A może tylko rodzice Annah? Prawdopodobnie sama Eleanor nie bardzo wiedziała. Jej córka kilka razy przeczytała telegram, po czym wrzuciła go do ognia. Skrawek papieru zwinął się i zniknął.

Przez kilka dni Annah sypiała w chacie królowej matki, potem dostała własny dom. Był to prezent od narzeczonego, choć wprowadzenia Annah dokonały królowa matka i Patamisha.

Chata była nowa, czysta i skromnie umeblowana. Stało w niej typowo afrykańskie łóżko, kilka taboretów i niski stół. Patamisha zwróciła uwagę Annah na kolorowe zasłony w oknach.

- W taki sposób biali ozdabiają swoje domy - wyjaśniła z powagą. - Postarałam się o dobrej jakości kitenge.

- Dziękuję. Wygląda bardzo ładnie.

Annah była wzruszona tym gestem. Już teraz czuła, że zaprzyjaźni się z Patamisha.

Narieczona wodza stanęła na środku chaty i rozejrzała się. Symetryczne ornamenty, przedmioty wykonane przez doskonałego rzemieślnika, klepisko zamiast podłogi, drewno i strzecha tworzyły naturalną atmosferę spokoju i harmonii. Annah położyła dłonie na słupie podtrzymującym dach. Świeże drewno nadal było wilgotne w dotyku i wydzielało ostry zapach.

- Jesteś zadowolona? - spytała zatroskana Patamisha.

- Tak - odparła Annah z uśmiechem.

Wyjęła z walizki kilka rzeczy, resztę ułożyła w tylnej części chaty, po czym udała się na poszukiwanie Mtemiego. Wędrowała lekkim krokiem, skąpana w promieniach słońca. Towarzyszyła jej powiększająca się chmara dzieci. Annah dostrzegła Mtemiego przy głównym drzewie. Ujrawszy ją, usiadł na pniu i przywołał gestem ręki.

Ostrożnie podeszła do narzeczonego. Jako przyszła żona wodza była nieustannie obserwowana, a Mtemi uprzedził ją, że nie powinna publicznie okazywać mu uczuć. Podkreślił, że nikt nie może zobaczyć jej sam na sam z mężczyzną, nawet

329

z przyszłym mężem. Musi zachowywać się nienagannie, pamiętając, że regent zawsze będzie szukać okazji, by ją zdyskredytować. Słuchając tych zaleceń, Annah ukryła rosnące zaskoczenie i przerażenie. Zakładała, iż wyrwawszy się spod skrzydeł misji, będzie cieszyła się swobodą. Wszystko wskazywało jednak na to, że przynajmniej do ślubu będzie musiała jeszcze bardziej się pilnować. Pomimo oficjalnych zaręczyn nie mogła wybrać się z Mtemim nad jezioro flamingów ani nawet do domu Kiki. Przebywali razem tylko w większym towarzystwie.

Annah usiadła na pniu, w odległości kilku centymetrów od Mtemiego.

Obserwowani przez tuzin dzieciaków, nadal zafascynowanych każdym ruchem białej kobiety, narzeczeni wymienili tradycyjne powitanie w suahili.

Zapadło milczenie. Mtemi podniósł głowę, jakby wpatrywał się w niebo.

- Wyobraź sobie, że jesteśmy gdzie indziej - powiedział po angielsku. - Na przykład nad jeziorem. O zachodzie słońca. Pamiętasz, jak wtedy wygląda?

Annah przytaknęła. Jezioro zapadło jej głęboko w pamięć. Ogniste odbicie pomarańczowego nieba w wodzie.

- Wędrujemy. Jesteśmy sami - ciągnął Mtemi cicho. - Chcę dotknąć twojego ramienia, ukrytego pod puszystymi włosami.

Kobieta uśmiechnęła się, odgarniając do tyłu długie, rude pasma.

Obok przeszła staruszka. Pomachała im ręką. Wódz odwzajemnił pozdrowienie, nie przerywając wywodu.

- Nad jeziorem zapada zmierzch. Nadal tam jesteśmy... Annah wpatrywała się w ptaszka, który przycupnął na okapie pobliskiej chaty.

- Robi się coraz chłodniej - wtrąciła. - Stoimy blisko siebie. Mtemi posadził sobie na kolanach dziecko. Zerknął na Annah. Jego szczere spojrzenie wyrażało pewność, że można na

nim polegać.

- Już nie stoimy. Znaleźliśmy miejsce, w którym można się położyć. W którym jest długa i soczysta trawa...

330

Poczuła, że brakuje jej w piersiach tchu.

- Tak...

Patrzyła na usta Mtemiego, czekając, aż znów się odezwie. Miał szerokie, pięknie wykrojone wargi. Ciemne jak skóra jego twarzy. Lekko zabarwione czerwienią...

- Annah! - rozległ się głos młodej kobiety. - Wszędzie cię szukam.

- Tutaj jest! - krzyknęły chórem dzieci. Pojawiła się Patamisha. Prawie nie było widać jej twarzy Zza stosu kitenge.

- Pora, żebyś nauczyła się ubierać. Annah zamrugała oczami. Patamisha zwróciła się do Mtemiego:

- Królowa matka prosiła, żebym ją tego nauczyła. Z aprobatą kiwnął głową szwagierce.

- Nie znajdziesz lepszej nauczycielki wśród przedstawicielek plemienia Waganga.

Patamisha rozpromieniła się z dumy.

- Już czas - powtórzyła. - Chodź ze mną.

Annah posłusznie wstała i poszła za czarnoskórą kobietą. Oddalając się, czuła na plecach wzrok Mtemiego. Z prawdziwą przyjemnością myślała, że jego oczy wędrują po jej ciele. Po wielu miesiącach ciężkiej pracy była szczuplejsza niż kiedyś. Mięśnie wzmocniły się i nabrały sprężystości. Pośladki, ciągle jeszcze nieco zbyt pulchne, były jędrne, uda - twarde. Tylko piersi pozostały miękkie.

Kitenge zajęły całe łóżko w chacie Annah. Patamisha przyjrzała się im w zamyśleniu, po czym wybrała dwie kolorowe, wzorzyste, zdaniem Annah zupełnie do siebie niepasujące tkaniny.

- Rozbierz się - powiedziała Murzynka, niedbałym gestem wskazując bluzkę i spodnie Annah.

Po chwili wahania Annah wykonała polecenie Patami shy. Gdy została w bieliźnie, Murzynka przyjrzała jej się z nieskrywaną ciekawością.

- Po co to? - wskazała stanik.

331

Annah nie odpowiedziała. W Afryce piersi służyły głównie do karmienia niemowląt. Gdy były zwiotczałe i bezkształtne, dumnie wystawiano je na pokaz jako dowód godnej szacunku pozycji matki. W związku tym wszelkie wyjaśnienia dotyczące biustonosza zabrzmiałyby zbyt absurdalnie.

Annah rzuciła stanik na łóżko. Patamisha przyjrzała się jej białym piersiom i różowym sutkom. Następnie dokładnie zbadała całą figurę. Na jej twarzy pojawił się pełen zdziwienia, promienny uśmiech.

- Jesteś dwukolorowa - zauważyła, pochylając się nad Annah.

Smukłym palcem musnęła ramiona, ręce i kark Annah, wzdłuż linii oddzielającej opaleniznę od tych partii ciała, które dotychczas były wstydliwie ukrywane pod ubraniem. Chociaż było ciepło, Annah poczuła, że dostaje gęsiej skórki.

Nie odrywając oczu od ciała swojej podopiecznej, Patamisha sięgnęła po kawałek materiału rozpostarty na łóżku i powoli udrapowała go wokół jej ramion. Kątem oka Annah widziała ciemne palce i półksiężycowate paznokcie na tle białych piersi i szyi. Patamisha wzięła drugi kawałek materiału i owinęła go wokół jej talii i pośladków. Potem cofnęła się, by ocenić swoje dzieło. Po chwili zdjęła obydwie tkaniny i spróbowała inaczej ułożyć fałdy. Składanie, owijanie, zawiązywanie, rozprostowywanie, wygładzanie i szelest materiału wprowadziły Annah w przyjemny, głęboki trans.

Wreszcie Patamisha się wyprostowała.

- Gotowe.

Annah spojrzała w dół. Spowijały ją wdzięczne fałdy materiału, a dwa wybrane przez Murzynkę wzory teraz wyjątkowo dobrze do siebie pasowały.

- Sama nigdy bym ich nie połączyła - skomentowała. - Jednak wyglądają doskonale. Patamisha wzruszyła ramionami.

- W końcu jestem żoną członka królewskiego rodu - odrzekła, jakby to było wystarczające wyjaśnienie jej zdolności i gustu. - Teraz jesteś gotowa.

332

Annah spojrzała na nią z obawą.

- Na co?

Patamisha roześmiała się, odsłaniając szereg równych, białych zębów, i odparła:

- Na rozpoczęcie codziennego życia, jakie przystało kobiecie z plemienia Waganga.

Murzynka wskazała na drzwi.

Annah pokręciła głową. Z nagimi ramionami i odsłoniętymi kolanami czuła się niezręcznie. Nie ufała węzłom i zwojom tkaniny. Guziki, zatrzaski i zamki, do których się przyzwyczaiła, wydawały się o wiele bezpieczniejsze. Poza tym czuła się tak, jakby miała na sobie suknię wieczorową.

Patamisha powtarzała, że Annah wygląda ładnie. Pięknie. Jej brzuch i pośladki będą przyciągały spojrzenia wszystkich mężczyzn w wiosce.

W końcu kobiety zawarły kompromis. Annah zrezygnowała ze stanika, ale włożyła bluzkę, natomiast spodnie zastąpiła jednym z kawałków materiału.

Patamisha krytycznym okiem przyjrzała się ubiorowi.

- Może być. Ale pewnego dnia zaczniesz nosić tylko afrykańskie stroje.

- Być może - zgodziła się Annah. Kiedy to nastąpi - pomyślała - rozpuszczę włosy, by ukryć pod nimi nagie ramiona...

Przez kilka tygodni Patamisha nie odstępowała Annah ani na krok. Uczyła ją mieszać składniki i przyrządzać jedzenie na ognisku, pokazywała również, jak należy uprawiać ogród. Często widywano je razem w ogródku na skraju wioski. Kucaly między grządkami, plewiąc i usuwając szkodniki. Jednocześnie śmiały się i prowadziły długie rozmowy.

Czasami wokół nich zbierała się spora grupka kobiet. Oddawały się pogawędkom i opowiadały wesołe anegdotki. Annah była zaskoczona tym, jak bardzo cieszą ją owe spotkania i nowe przyjaźnie. Swego czasu, obserwując z zewnątrz miejscowe zwyczaje, doszła do wniosku, że afrykańskie kobiety

333

o wiele mniej interesują się światem niż mężczyźni, że trzymają się z boku i jedynie zaglądną przez ramię prawdziwym graczom - swoim ojcom, mężom i synom. Teraz

odkryła, że kobiety żyją we własnym królestwie, całkiem odmiennym niż świat mężczyzn, same kierują swoim losem, mają pewne tajemnice i wcale nie brakuje im siły przebicia. Z każdym dniem coraz lepiej się czuła w grupce spotykających się w ogrodzie Murzynek. Powoli zaczynała odnosić wrażenie, że należy do tego świata. I że ta słaba na razie więź powoli, stopniowo staje się coraz mocniejsza.

Annah przedzierała się przez zarośla. Uchylała się przed gałęziami, które ciągle czepiały się włosów. Poruszała się ostrożnie, żałując, że nie postawiła na swoim i nie włożyła mocnych spodni, należących niegdyś do Kiki. Na szczęście miała na nogach buty, w odróżnieniu od Zanii, który beztrudno maszerował przodem, machając rękami i gwizdząc przez resztki zębów.

O poranku, kiedy Annah nie zdążyła się jeszcze dobrze obudzić, pod jej chatą pojawił się szaman.

- Idziemy - powiedział, jakby wcześniej umówili się na tę wyprawę. - Zabieram cię do lasu po zioła.

Szaman wsunął do chaty żyłastą rękę, w której trzymał plecioną torbę. Annah zerknęła zaciekawiona. Wiedziała, że jeśli chce w przyszłości być uzdrowicielką, musi zdobyć nowe umiejętności i wiedzę.

- Zaraz będę gotowa.

Kiedy parę minut później wyjrzała z chaty, zauważyła, że Zania jest sam.

- Idziemy tylko we dwoje? - Zmarszczyła czoło. Staruszek uspokajająco machnął ręką.

- W końcu jestem uzdrowicielem, prawda? Człowiekiem, któremu ludzie powierzają swoje ciała. Jestem jedynym mężczyzną, któremu wolno przebywać z tobą sam na sam.

W słowach szamana było tyle pewności siebie, że Annah wyszła z chaty i powędrowała ze starcem do lasu. Dopiero gdy wioska zniknęła im z pola widzenia, kobieta zaczęła się zasta-

334

nawiać, czy postąpiła słusznie. Potem, gdy szli wśród drzew, jej niepokój ustąpił miejsca poczuciu wyzwolenia. Doznała ulgi, uświadomiwszy sobie, że znajduje się poza zasięgiem wścibskich oczu, że nie myśli bez przerwy o Mtemim, że się za nim nie rozgląda z nadzieją i na nic nie czeka... Tutaj byli tylko ona, las i Zania. Zwyczajnie i po prostu.

Annah obserwowała idącego przodem mężczyznę. Był to niezwykle widok - postrzępione kawałki tkaniny objęły się o chude łydki, amulety zdobiły kościste członki. Pomyślała, że ten człowiek czuje się w lesie jak w domu, jest pewny siebie i niezależny. Uśmiechnęła się czule. Od jej przybycia do wioski przyjacielska rywalizacja pomiędzy dwójką uzdrowicieli przekształciła się we współpracę. Początkowo niektórzy członkowie plemienia w razie potrzeby woleli zwracać się do Annah. Inni zasięgaliby porad u Zanii. Wielu chodziło do obydwójga. Zamiast ze sobą konkurować pielęgniarka i ochronny doktor z zainteresowaniem przyglądali się swoim metodom leczenia. Niebawem zaczęli się konsultować. Często Annah stawiała diagnozę, badając pod mikroskopem próbki krwi czy moczu lub słuchając przez stetoskop pracy serca i płuc. Brakowało jej jednak odpowiednich lekarstw. Z kolei Zania miał wyjątkową wiedzę, ogromne zapasy miejscowych medykamentów, ale stosował całkiem inne metody. Razem osiągnęli o wiele więcej, niż działając w pojedynkę. Niemniej w wielu przypadkach nic nie mogli zrobić i jedyną radą były lekarstwa białego człowieka. Jeśli taka choroba dotykała kogoś z mieszkańców wioski, trzeba było odesłać go do szpitala w Germantown. Na kartkach wyrwanych z notesu Annah wypisywała węglem wstępną diagnozę i wręczała ją rodzinie

chorego. Zania dostarczał niezbędnych w podróży środków przeciwbólowych. Za każdym razem siostra Margaret przysyłała napisany na maszynie uprzejmy list, opisując na papierze firmowym misji przebieg leczenia. Annah nabijała te informacje na patyk, sterczący ze ściany jej chaty. Kartki - jedyna więź z dotychczasowym życiem - zwijały się od gorąca. Ich widok wywoływał w niej mieszane uczucia - przypominał straconych

335

przyjaciół. Sarah, Michael i malutka Kate byli daleko, w Lan-gali, Staniey - w Germantown, tuż za wzgórzem, a jednak w zupełnie innym świecie.

Annah miała wrażenie, że minęło sporo czasu, nim szaman wreszcie zatrzymał się i odłożył koszyk. Stała obok niego i się rozejrzała. Znajdowali się na ocienionej łące, obficie porośniętej sukulentami i pnączami. W powietrzu unosił się zapach grzybów. Zania natychmiast przystąpił do pracy. Zrywał listki, zdejmował korę, wykopywał korzenie i bulwy. Annah przykucnęła obok, uważnie słuchając wyjaśnień, do czego służy każda z roślin. Metody ochronnego doktora były skomplikowane. Niektóre liście należało zrywać w nocy albo o określonej porze roku. Niewłaściwe przygotowanie mogło zmienić lek w śmiertelną truciznę. Liczyły się też względy natury duchowej.

- Niektórych roślin nie wolno używać - wyjaśnił. -W przypadku innych trzeba uzyskać zgodę przodków. W krzewach i drzewach Bóg umieścił leki na każdą ludzką chorobę - tłumaczył Zania. - Dobrze to obmyślił. Potem jednak pojawiły się kłopoty, ponieważ wszystko się pomieszało. Ludzie zaczęli się przemieszczać, zabierając ze sobą swoje choroby tam, gdzie nie ma odpowiednich ziół. Dlatego czasami potrzebujemy leków białych ludzi, tabletek mieszkających w pudełkach i umiejących pokonywać duże odległości.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że ludzie „zabierają ze sobą swoje choroby”? - dopytywała się Annah.

Podejrzewała, że szaman wie coś na temat sposobów rozprzestrzeniania się chorób, i to ją zaintrygowało.

- Jestem pewien, że doskonale wiesz, jak to się odbywa - odrzekł Zania. - Choroba żyje w ludzkim umyśle. Kiedy człowiek o niej wie, często o niej myśli i podróżuje z nią. Czyż nie tak?

Annah wytrzymała przenikliwe spojrzenie starca. W myślach sformułowała odpowiedź. Chciała grzecznie i uprzejmie udowodnić Zanii, że się myli. Gdy jednak otworzyła usta, nie mogła znaleźć właściwych słów. Nagle zdała sobie sprawę

336

z niczym niezmaconej ciszy leśnej, jakby całe otoczenie czekało na jej mowę. Dowód mądrości. Nie wiadomo czemu, w tym momencie doszła do wniosku, że jej wiedza wcale nie jest taka pewna. Ani głęboka.

Kiedy Zania napełnił torbę, poprowadził Annah z powrotem tą samą drogą, którą przybyli na łąkę. Gdy zbliżali się do skraju lasu, powitał ich śmiech. Głęboki, męski śmiech wielu osób.

- Wojownicy - szepnęła Annah.

Poczuła, że mocniej bije jej serce.

Mtemi...

Annah i Zania skierowali się w stronę, skąd dochodziły męskie głosy. Po drodze Annah wyobraziła sobie pokładających się ze śmiechu, klepiących się po udach, rozbawionych wojowników. Podczas codziennych zajęć opowiadali sobie kawały i psocili,

czerpiąc z życia tyle radości, ile się tylko da. Uświadomiła sobie, że śmiech kojarzy jej się przede wszystkim z wiedzionym od niedawna życiem. Był to nie tylko śmiech wojowników, ale również staruszków, kobiet, matek, ciotek i dzieci. A także jej własny. W ciągu kilku ostatnich tygodni śmiała się więcej niż poprzednio w ciągu wielu miesięcy.

Zauważyła to już w Langali. Misjonarze harowali i zamartwiali się, tymczasem Afrykańczycy podchodzili do życia ze znacznie większą beztrąską, co zawsze dziwiło i gniewało białych. W końcu to Murzyni byli chorzy, głodni, ubodzy i wystraszeni...

- Afrykańczycy lubią się śmiać - stwierdziła Annah.

- Oczywiście! - Szaman energicznie kiwnął głową. - Każdy powinien być szczęśliwy wtedy, kiedy może! Kłopoty i tak się pojawią. Po co więc martwić się na zapas?

Zania zerknął na Annah, jakby czekał na odpowiedź.

- Masz rację - przytaknęła. - Po co?!

W głowie niespodziewanie zadźwięczał jej wers z Biblii:

„Jest czas rodzenia i czas umierania”. Annah odsunęła od siebie te słowa i pogрузzyła się we własnych rozważaniach.

Jest czas na małżeństwo...

337

Wyłoniwszy się z lasu z Zanią u boku, Annah zatrzymała się, zachwycona nieoczekiwanym widokiem. Na tle zaróżowionego nieba widać było grupę wysokich, smukłych wojowników z włóczniami zarzuconymi na nagie, szerokie ramiona. Ich ciemne ciała okrywała częściowo czerwona tkanina i dobrana pod kolor warstwa glinki.

Mimo rozbawienia wyglądali wyjątkowo dostojnie. Wzbudzali respekt. I strach.

Zania zawołał coś na powitanie. Mężczyźni odwrócili się, by odpowiedzieć. Annah po kolei przyglądała się twarzom. Niemal natychmiast dostrzegła w środku grupy Mtemiego. Serce zadrzętało jej w piersiach, gdy wódz ruszył jej na spotkanie.

- Dobrze się miewasz? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Tak.

- Ładnie wyglądasz - ciągnął Mtemi, po czym szeptem dodał: - A właściwie: pięknie.

Annah poczuła, jak na jej policzki powoli wypływa rumieniec.

- Widzę, że macie mięso!

Zania wskazał na piętrzący się w pobliżu stos upolowanej zwierzyny. Zadowolona ze zmiany tematu, Annah podeszła bliżej. Rozpoznała leżącą na wierzchu antylopę dik-dik. Spo-chmumiała, przypomniawszy sobie, jak Michael zastrzelił takie samo zwierzę w drodze do Langali. Wtedy antylopa jeszcze przez chwilę żyła... Od tamtego czasu w domu misyjnym wiele razy jedzono dziczyznę. Ordena potrafiła wybornie ją doprawić i upiec, ale Annah nigdy nie cieszył taki posiłek.

- Nie martw się - uspokoił ją Mtemi, widząc wyraz jej twarzy. - Mamy oboje.

Annah spojrzała na niego bez wyrazu.

- Upolowaliśmy parę.

Potrząsnęła głową. Nadal nie wiedziała, o co chodzi.

- Nigdy nie zabijamy jednego - wyjaśnił Mtemi, po czym zamilkł. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie słychać było czułość. - Antylopy dobierają się w pary na całe życie. Kiedy tracą partnera, są skazane na samotność.

338

Annah patrzyła na nieruchome ciało zwierzęcia, które spoglądało na nią jednym martwym okiem. Potem przyjrzała się pozostałej zwierzynie. Dostrzegła delikatną, płową, zakończoną filigranowym, czarnym kopytem raciczkę drugiej antylopy. Razem żyły, razem umarły.

Jak to się dzieje, że wiele stworzeń bożych po stracie towarzysza znajduje sobie nowego, a jednocześnie są też takie, które poprzestają na jednym? Życie w samotności to surowy wyrok. Z drugiej strony należało tylko pozazdrościć tak silnej więzi. Jak tyle innych zjawisk w Afryce również to miało dwie strony medalu. Myśliwy, zabijając parę, okazywał miłosierdzie.

Annah grzebała patykiem w żarze, usiłując rozpalić ogień. Coś trzasnęło, w powietrze wystrzelił snop iskier. Nigdy nie dawała sobie z tym rady. W Australii rozpalanie ogniska było obowiązkiem mężczyzny, podobnie jak rąbanie drewna i pilnowanie grilla. Tutaj, w wiosce, robiły to kobiety, Annah postanowiła więc opanować tę sztukę. Pochyliła się i zdecydowanie dmuchnęła. Czerwony żar rozprzestrzenił się, a jej twarz zasypał biały popiół. Cofnęła się. Mrugając podrażnionymi przez dym powiekami, dostrzegła przed sobą jakiś cień. Kanciastą brązową sylwetkę.

- Przyjechałem do pani, siostró Mason - powiedział przybysz po angielsku.

Odwróciwszy głowę, Annah ujrzała młodego Murzyna w niebieskiej koszuli i spodniach.

- Kim pan jest? - spytała.

- Gońcem. Pracuję w Germantown. Przyniosłem pani pocztę. Chłopak wręczył jej niewielką, zniszczoną, przewiazaną kawałkiem sznurka brązową paczuszkę, zaadresowaną do siostry Annah Mason. Za pośrednictwem misji w Germantown. Annah od razu rozpoznała pismo. Przycisnęła pakiecik do piersi i nie zwracając uwagi na rozczarowanie gapiów, zaniósła go do swojej chaty. Wewnątrz niecierpliwie rozerwała opakowanie i długo szarpała się z węzłem. W końcu sznurek ustąpił. Jej

339

oczom ukazała się para poszewek na poduszki. Rozłożyła je na przykrytym skórą lamparta posłaniu. W rogu jednej z poszewek widniała wyszyta drobnymi krzyżykami litera „A”. Na drugiej - „M”. Annah wpatrywała się w podarunek. Coś chwyciło ją za serce, gdy wyobraziła sobie pochyloną nad robótką ciemną głowę Sarah. Musiała robić to w tajemnicy przed Mi-chaelem - podczas jego dyżuru w szpitalu. Nie zważając na dręczące ją wyrzuty sumienia.

W pakieciku był również list. Annah otworzyła go. Cienkie kartki szeleściły cicho między palcami. List został napisany ręcznie, a nie jak inne - wystukany na maszynie w jadalni w domu misyjnym. Nierówne pismo świadczyło o tym, że Sarah zasiadała do niego kilka razy.

Droga Annah - pisała. - Bardzo za Tobą tęsknię. Michael zabronił mi kontaktowania się z Tobą. Nie wiem, co robić. Muszę być posłuszna mężowi, ale zawsze będę Cię uważała za najlepszą przyjaciółkę. Tak bardzo chciałabym się z Tobą zobaczyć.

Sarah wypełniła swoim starannym pismem cztery strony. Pisała o pierwszych krokach Kate, o tym, że dziewczynka upiera się przy jedzeniu rękami. Wylczyła

wszystkie kuchenne nieszczęścia, jakie dotknęły Tefę, oraz wspomniała o nieustannej życzliwości Ordeny. Następnie przeszła do opisu swojej pracy. Odkryła, że odwiedzając młode matki i niemowlęta w ich chatach, wiele można się dowiedzieć. Przyjaciółka nie komentowała decyzji Annah o zamieszkaniu w takich warunkach. Pisała tak, jakby Annah zakochała się w misjonarzu, mężczyźnie, z którym będzie wiodła normalne życie, w normalnym domu z normalnym łóżkiem, poduszkami, prześcieradłami i bielizną, oznaczoną „Ona” i „On”.

W połowie drugiej strony Sarah przeszła do wiadomości ogólnych. Misjonarzom przebywającym bliżej zachodniej granicy kazano spakować artykuły pierwszej pomocy. Istniały obawy, że zamieszki w Kongu przeniosą się na drugą stronę jeziora. Konflikt plemienny nie ma nic wspólnego z białymi, jed-

340

nak nigdy nie wiadomo, do czego może doprowadzić. Sarah napisała również kilka zdań na temat pracy Michaela w szpitalu. W całym liście nie było ani jednej wzmianki o tym, czy będzie jeszcze próbowała skontaktować się z Annah. Ostatnie linijki listu były rozmazane, dolny brzeg kartki - pofałdowany od łez.

Bardzo za Tobą tęsknię. Czasami myślę, że Kocham Cię bardziej, niż powinnam, i że dlatego musieliśmy się rozstać. Może to wyjdzie nam na dobre. Ale na razie czuję jedynie ból.

Ordena, Tefa i matka Kate też za Tobą tęsknią. ‘ Z wyrazami miłości

Twoja przyjaciółka na zawsze Sarah

Z trudem powstrzymując łzy, Annah zawinęła poszewki w kawałek czystej tkaniny i schowała do walizki. Następnie otarła rękawem oczy i próbowała się opanować, bo wiedziała, że gdy tylko wyjdzie na zewnątrz, wszyscy sąsiedzi będą bacznie jej się przyglądać.

W drzwiach pojawił się jakiś gość.

- Pozdrawiam panią tego domu.

Annah uniosła głowę. Ujrzała królową matkę.

- Pozdrawiam cię, matko - odrzekła.

Stara kobieta usiadła na łóżku i kiwnęła na nią. Annah zastanawiała się, co takiego ma jej do powiedzenia matka Mtemie-go. Podczas poprzednich odwiedzin po raz drugi próbowała uświadomić przyszłej synowej, jakie to ważne, by nie widziano jej sam na sam z żadnym mężczyzną.

- Chciałabym coś z tobą omówić, córko - oznajmiła. Annah czekała.

- Słucham.

Murzynka przekrzywiła głowę na bok.

- Chodzi o kwestię pożycia małżeńskiego. Na twarzy młodej kobiety pojawiło się zdziwienie, jednak jej rozmówczyni tego nie zauważyła.

341

- Chcę się upewnić - ciągnęła - czy twoja matka powiedziała ci wszystko, co powinnaś wiedzieć.

- Jestem pielęgniarką! - zawołała Annah. - Wiem, jak... Urwała, ponieważ nie potrafiła przetłumaczyć określenia „przekazuje się życie”.

- To dobrze - westchnęła z ulgą królowa matka. - Nie wiedziałam, czy pracujące w szpitalu białe kobiety potrafią dawać rozkosz. Słyszałam tylko, że opatrujecie rany i leczycie choroby, a czasami zadajecie ból.

Annah zaniemówiła.

- To znaczy, że zostałam pouczona - powtórzyła królowa matka, wyraźnie uspokojona. - Wiesz, w jaki sposób kobieta przygotowuje się do pierwszego stosunku, żeby odczuwać jak najmniejszy ból. A także jak używa swojego ciała, by zatrzymać w sobie mężczyznę. No i wszystkie inne rzeczy. - Kiwnęła głową. - Oczywiście te umiejętności są ważne również dla białych kobiet. Dlaczego miałyby być inaczej?

Usadowiła się wygodnie na łóżku i przez chwilę milczała. Annah zauważyła, że matka Mtemiego bacznie przygląda się jej jasnym nogom i ramionom. Sprawdza starannie zawiązane kitenge, pomietą koszulę. Wreszcie jej wzrok zatrzymał się na piersiach przyszłej synowej.

- Jest jeszcze coś - odezwała się królowa matka poważnym tonem. - Chcę omówić twoje przygotowania do ceremonii ślubnej.

Annah poruszyła się niespokojnie. Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia o rytuałach towarzyszących ślubom członków plemienia Waganga. Od przyjazdu do Afryki słyszała krążące wśród misjonarzy mgliste opowieści o różnych dziwnych praktykach. Co więcej, oboje z Michaeliem widzieli szaloną przedślubną uroczystość w zaszytej w dżungli wiosce. Annah liczyła na to, że ukochany uchroni ją przed takimi potwornościami. Często słyszała jednak, jak podkreślał wagę obrzędów, bez których ludzie straciliby poczucie bezpieczeństwa i przynależności plemiennej. W końcu to ona sama przyszła do wioski. Powinna zrobić wszystko, by ułatwić Mtemiemu zadanie.

342

Stara kobieta siedziała w milczeniu i czekała na reakcję przyszłej synowej. Gdy ta ostatnia podniosła głowę, napotkała spojrzenie Murzynki. Chociaż matka Mtemiego była uprzejma i chętnie służyła pomocą, to przez cały czas zachowywała pewien dystans wobec narzeczonej syna, jakby starała się nie ujawniać swojego zdania, póki nie dowie się i nie zobaczy więcej. Annah czuła, że właśnie nadszedł decydujący moment, sprawdzian przed wydaniem ostatecznej opinii.

- Musisz mnie tego nauczyć, matko - powiedziała - ponieważ moja mama jest daleko.

Stara Murzynka przytaknęła, przez cały czas przyglądając się Annah spod przymrużonych powiek.

- Za dawnych czasów to ja musiałabym... naznaczyć cię... symbolem królewskiej linii plemienia Waganga.

Rozsunęła materiał i odsłoniła prawą pierś. Na zwiędłej skórze widniała ciemna szrama stworzona przez trzy wygięte linie. Annah natychmiast rozpoznała ten znak - Mtemi miał na piersi taki sam. Nagle poczuła, że ogarnia ją przerażenie.

- Oczywiście, nowy rząd zabronił kontynuowania tej tradycji - zaznaczyła Murzynka, po czym zamilkła i znów przyglądała się białej kobiecie.

Annah wbiła wzrok w podłogę. Serce waliło jej w piersiach. Wiedziała, że wbrew wypowiedzianym słowom królowa próbuje nakłonić ją do poddania się staremu obrzędowi. Annah podejrzewała, że był to temat wielu rozmów w wiosce, a matka Mtemiego nie jest jedyną osobą, która niecierpliwie czeka na jej decyzję.

- Co oznacza ten symbol? - spytała przez zaciśnięte gardło, pragnąc zyskać na czasie i się zastanowić.

Królowa matka zamknęła oczy i zaczęła mówić śpiewnym głosem, niczym bard. Opowiedziała o Mazengo, człowieku, który dawno, dawno temu przyszedł na świat w plemieniu Waganga, chociaż nie miał rodziców. Przez wiele lat mieszkał wśród tubylców i pomagał ludziom przezwycięzać wszystkie trudności. Wywoływał deszcz, gdy była taka potrzeba. Leczył choroby i rany. Potrafił zażegnać spory i doradzać w każdej

343

sprawie. Niektórzy ludzie zazdrościli mu popularności, dlatego go pobili. Umarł, ale jego dusza uniosła się ku słońcu.

Stara kobieta przerwała opowieść. Annah wychyliła się do przodu, czekając na dalszy ciąg.

- Mazengo jest teraz z Bogiem - wyjaśniła królowa matka. - Waganga mają wiele świętych miejsc i rytuałów związanych z jego ziemskim życiem. Wierzimy, że pewnego dnia nastąpi koniec świata, a wtedy Mazengo uratuje plemię Waganga - zarówno jego żywych, jak i umarłych członków. Dlatego pilnujemy, by rodzina królewska nosiła ten znak. Żeby Mazengo mógł rozpoznać swoich ludzi.

Królowa matka skończyła opowieść i zamilkła. Nie odrywała od Annah wzroku. Jej oczy przypominały lśniące paciorki, otoczone ogromną ilością zmarszczek.

Minęła długa chwila. Biała kobieta kiwnęła głową na znak zgody.

Na twarzy królowej matki pojawił się uśmiech.

Inicjacja odbyła się w chacie matki Mtemiego. Obrzędu dokonano w obecności zaledwie kilku kobiet. Reszta członków plemienia, łącznie z Mtemim, czekała na zewnątrz.

Patamisha siedziała obok Annah i ją podtrzymywała. Królowa matka odsłoniła prawą pierś białej kobiety i delikatnie przemyła ją naparem z bluszczu. Annah zamknęła oczy i skupiła się na swoich doznaniach. Czuła się, jakby lizał ją kot. Delikatnym, a jednocześnie szorstkim języczkiem. Zdawała sobie sprawę, że jej myśli i odczucia nie są zbyt klarowne. Godzinę wcześniej wypiła przygotowany przez Zanię wywar przeciwbólowy. Gdy zioła zaczęły działać, uspokoiła się, a otaczająca ją rzeczywistość stała się dziwnie odległa. Czuła się jak sparaliżowana, mimo to z niezwykłą ostrością postrzegała szczegóły. Na przykład dotyk królowej matki, przypominający języczek kota. I uspokajający szept Patamishy, brzmiący tak, jakby tuż przy uchu trzepotała skrzydełkami jakaś ćma. Wreszcie błysk jej własnego skalpela, skierowanego w stronę skóry.

344

Piekący, powoli przemieszczający się ból.

Stłumione oddechy, oczy wpatrzone w krew. Krew białej kobiety. Szokująco czerwoną na tle jasnej, delikatnej skóry.

Otumaniona, obserwowała powstające na jej piersi cięcia. Traktowała je jak wizję, zapowiedź otwarcia ciała w noc poślubną. Wtedy, podobnie jak teraz, jej ukochany ucieszy się na widok krwi. Krwi miłości.

Krwi kochanki...

Ponowny dotyk materiału. Tym razem nie przypominał już kociego języczka. Ścierał, tamował krew.

Zamknęła oczy. Całą uwagę skupiła na swojej piersi, na trzech łagodnie wygiętych, głęboko żłobionych liniach.

W krwawiące rany wtarto garść popiołu. Kawałek ciała pokrył się zabarwionym czerwieniem mazidłem.

- Gotowe.

Królowa matka podniosła głowę. Następnie zaintonowała pieśń. Reszta kobiet podchwyciła wysoki dźwięk.

Annah oparła się o szczupłe ciało Patamishy, słuchając przenikliwego, wysokiego dźwięku. Czuła w piersi pulsujący ból, złagodzony przez lekarstwo Zanii.

- Teraz - szepnęła opiekunka - musisz pokazać się ludziom. Annah potrząsnęła głową. Nie była w stanie podnieść się, a co dopiero mówić o przejściu kilku kroków.

- Dasz radę - zapewniała Patamisha. - To przypomina chwilę tuż po porodzie. Twoje ciało zostało rozdarte, mimo to jesteś silna.

Gdy Annah wstawała, kobiety stłoczyły się wokół niej tak, że trudno było powiedzieć, czy ją podtrzymują, czy stoi o własnych siłach. Grupka powoli ruszyła do drzwi i wyszła na słońce.

Mężczyźni w milczeniu obserwowali podtrzymywaną Annah.

- Spójrz tylko na regenta - zwróciła jej uwagę królowa matka. - Nie wierzy własnym oczom. Miał nadzieję, że nie starczy ci odwagi.

Nagle tłumek kobiet stopniał. Została tylko ona. Nie była jednak sama. Obok niej stał Mtemi, dumnie przeżąc

piers.

345

Wojownicy z szacunkiem wzniesli włócznie ku niebu. Potem w tłumie dało się słyszeć znajome zawodzenie.

- Maj i! Maj i! Deszcz! Deszcz!

- Witaj, królowo! - krzyknął Kitamu, zagłuszając wrzask. - Witaj, narzeczone naszego wodza!

Annah rozejrzała się dookoła. Pomimo oszołomienia, rozpierała ją radość, że przypieczętowała swoją przynależność do tego grona. Czuła się bezpieczna i kochana. Nawet pochylające się nad nią akacje wyglądały jak schronienie. A błękitne niebo przybrało delikatny, przyjemny odcień.

Annah, Mtemi i reszta członków rodziny królewskiej stali przed tłumem zebrany pod drzewem spotkań. Zania miał odprawić obrzęd zaklinania deszczu. Była to pierwsza od czasu inicjacji oficjalna uroczystość, w której uczestniczyła narzeczona wodza. Dzięki codziennemu smarowaniu maścią przygotowaną przez szamana rana po trzech tygodniach prawie się zagoiła. Ból zniknął.

Patamisha pomogła Annah wystroić się na pierwszą oficjalną okazję, starannie owijając jej wysoką, kształtną sylwetkę piękną, starą tkaniną, która pachniała dymem, kadzidłem i kurzem. Kiedy biała kobieta stanęła przed współplemieńcami, w tłumie rozległ się pomruk aprobaty. Najbardziej wzruszyła ją jednak reakcja Mtemiego. Gdy szła w jego stronę, uśmiechał się, nie kryjąc podziwu. On też miał na sobie uroczysty strój - wyglądał tak samo jak podczas ngoma.

Mtemi i Annah czekali na rozpoczęcie ceremonii. Stali bardzo blisko siebie, ale się nie dotykali. Gdy jednak on się poruszył, skóra lamparta musnęła nagie przedramię Annah pieszczotliwie jak aksamit.

Szaman przecisnął się do przodu i kopniakiem odpędził spod drzewa wioskowego psa, który właśnie podnosił tylną łapę. Kundel wściekle warknął. W tłumie rozległy się śmiechy. Zamknięte w klatkach i spokojnie drzemiące w słońcu kury zaczęły gdakać, wystraszone hałasem.

Ochronny doktor stanął za rytualnym ołtarzem, położył

346

dłonie na jego drewnianym, przesiąkniętym starą krwią blacie, wygładzonym przez lata użytkowania. Przygotowując się do obrzędu, starzec ułożył w jednym rzędzie pięć ponawiercanych kamieni. Były to odziedziczone po przodkach amulety, które miały wywołać deszcz.

Annah wpatrywała się w jego dumną twarz, która nie zdradzała wieku, w odziane w skóry kościste ciało, w obwieszane amuletami nadgarstki, kostki i szyję. Nagle przypomniała sobie babcię Stanieya, samotną kobietę, która nie przyjęła szerzonej przez misjonarzy wiary. Zmuszony do dokonania wyboru Zania podjąłby taką samą decyzję jak staruszka, nawet gdyby to miało go drogo kosztować. Szaman bardzo kochał swój lud. Pełniąc funkcję strażnika ciał i dusz, był obecny przy narodzinach, przepędzał z chat demony i przygotowywał na śmierć. Zaspokajał wszystkie potrzeby i leczył wszelkie choroby. Annah nie chciała nawet myśleć, że Zania mógłby zostać samotnym wygnańcem.

Pogrążona w ponurych rozważaniach, jak przez mgłę obserwowała, jak Zania zmienia układ świętych kamieni. Przyszło jej na myśl, że być może Kiki miała rację, zachęcając starego wodza do walki z misją. Tylko jak w takim razie traktować misjonarzy i ideę szerzenia przez nich wiary chrześcijańskiej? Czyżby wszyscy - siostra Barbara, biskup, Sarah i Michael żyli złudzeniami?

Annah rozważała tę kwestię na różne sposoby. Nie znalazła prostej odpowiedzi. Pewność i niezłomność wiary Zanii oraz równowaga i harmonia w wiosce stanowiły zaledwie dwa aspekty całej sprawy. Istniało coś jeszcze - ciągły strach, który rzucał cień na każdą chwilę życia tych ludzi. Przodkowie w jednej chwili byli siłą inspirującą, w następnej -destrukcyjną. Ciemność przez moment mogła dawać miłe schronienie, a potem przemienić się w królestwo samotności, w którym czai się niebezpieczeństwo. Pory roku, niebo, deszcz - to wszystko powodowało radość i wdzięczność, ale też niepokój i podejrzliwość. Stanicy po przejściu na chrześcijaństwo uwolnił się od tego paraliżującego strachu.

347

W przeciwieństwie do mieszkańców wioski promieniował spokojem i pewnością. A jednak również i jego sytuacja była skomplikowana...

Nagle kobieta zeszywniała - rozległ się głośny pisk. To Za-nia chwycił za szyję jedną z kur i wyciągnął ją z klatki. Położył na ołtarzu i uniósł nóż. Ptak przewracał przerażonymi ślepkami. Annah z trudem się opanowała. Wiedziała, że musi na to patrzeć - musi przyglądać się z niewzruszonym spokojem, jak z odciętej szyi tryska fontanna krwi, skrzydła trzepocą w śmiertelnym skurczu.

Zania złożył w ofierze siedem kur i spokojnie skropił ich krwią kamienie. Potem przekazał ptaki kobietom do ugotowania. Przy zalanym krwią ołtarzu wzniósł ku niebu modły, używając w tym celu tylko sobie znanej, starej odmiany plemiennego narzecza. Po

skończeniu przez kilka długich minut nie poruszał się. Następnie zebrał kamienie, odwrócił się i odszedł. Rytuał dobiegł końca.

Ludzie nawet nie drgnęli. Wpatrywali się w czysty błękit nieba, jakby spodziewali się, że zobaczą chmury.

Annah przyjrzała się porytualnemu poboju. Na ziemi tu i ówdzie poniewierały się pióra. W powietrzu unosił się spotęgowany przez upał zapach krwi. Kobieta zastanawiała się, jakim cudem to wszystko mogłoby spowodować opady.

Pochyliła się do Mtemiego i cicho spytała:

- Czy on naprawdę potrafi wywołać deszcz? Mtemi się uśmiechnął.

- Ochronny doktor umie interpretować zachowanie owadów i inne znaki przyrody. Kiedy zapowiadają zmianę pogody, odprawia ceremonię, która ma zachęcić przodków do sprowadzenia dobrego deszczu.

- Ale to nie zawsze działa - odpowiedziała. Mtemi potrząsnął głową.

- Czasami zdarza się powódź.

- To znaczy... że chociaż Zania jest zaklinaczem deszczu, nie ma takiej mocy.

Mtemi odwrócił się do Annah.

348

- A czy twój Bóg ma taką moc?

Annah drgnęła, słysząc tak bezpośrednie pytanie.

- Oczywiście - zapewniła.

- Czy kiedy chrześcijanie modlą się o deszcz - ciągnął Mtemi - nie robią przypadkiem tego samego, co Zania? Deszcz może spaść albo nie. Bóg szybciej odpowie na wasze modły w porze deszczowej niż suchej...

Annah spuściła wzrok. Przypomniała sobie fragmenty z Pisma Świętego: „roście, a będzie wa, mm dane...”

„On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych”.

Kobieta zmarszczyła brwi. W głowie miała mętlik.

- Tymczasem - powiedział Mtemi - zebraliśmy się tutaj. Wszyscy członkowie plemienia. Myślmy o deszczu. Tylko o deszczu. O tym, że nakarmi nasze ogrody. A ogrody nakarmią nas. Przypominamy sobie wszystkie dobre zbiory. To też stanowi część ceremonii.

Annah skinęła głową. Czowała, że znajduje się na granicy, po której przekroczeniu jej sposób myślenia ulegnie diametralnej zmianie. Przestanie przeciwstawiać sobie „tak” i „nie”, „fakt” czy „bajka”, uzna je raczej za dwa różne sposoby postrzegania tej samej rzeczywistości. Na razie nie potrafiła wyrazić swoich myśli, jednak widziała w nich niepokojący i kuszący przeblysłk czegoś dziwnego, nowego.

Jej rozważania przerwał głos Mtemiego:

- Słyszałem kiedyś, że Tangańska Korporacja Rolnicza zatrudniła kilku zaklinaczy deszczu. Annah słuchała go z uwagą.

- Trzeba było wykarmić osiem tysięcy sztuk bydła, a deszcze się spóźniały. Zaklinacze deszczu przybyli aż z Anglii. Przywieźli ze sobą sprzęt, wiele map i papierów - wszystko spakowane w wielkich pudłach.

- Udało im się sprowadzić deszcz?

Mtemi nie odpowiedział od razu. Przez chwilę się z nią drażnił, zachowując milczenie. Potem na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech.

349

- Przygotowania zajęły im dużo czasu - usłyszała. - Zanim zabrali się do prawdziwej pracy, spadł deszcz.

Annah się roześmiała. Odczuwała potrzebę śmiechu. Ten optymistyczny dźwięk swobodnie wydostawał się na zewnątrz, biorąc swój początek w przepełniającej ją radości. I w tym, że Mtemi wpatruje się w jej twarz.

Nagle pochylił się, niemal dotykając ustami ucha narzeczonej .

- Dzisiaj jest pełnia - szepnął po angielsku. - Chcę, żebyś zobaczyła, jak księżyc lśni na powierzchni wody.

Umilkł, rozejrzał się i lekko skinął wszystkim osobom, których spojrzenia napotkał. Następnie znów przemówił wolno i wyraźnie:

- Gdy powiesz wszystkim „dobranoc” i wrócisz do swojej chaty, zczekaj, aż w wiosce zrobi się cicho. Potem spotkamy się nad jeziorem. Tam, gdzie stare drzewo wpadło do wody. -Rozejrzał się. - Słyszałaś? - spytał, przechodząc na suahili.

Przytaknęła. Serce biło jej jak szalone.

- Słyszałam.

Na brzegach srebrnego jeziora połyskiwała gładka, przypominająca atłas glinka. Annah czuła jej chłód na podeszwach bosych stóp. Miękka ziemia gładko prześlizgiwała się między palcami.

Stare drzewo znajdowało się niedaleko miejsca, gdzie ścieżka wylaniała się z lasu. Zbliżając się, kobieta nie odrywała wzroku od jego kanciastych kształtów. Szukała ciemniejszych plam.

Najpierw dostrzegła skórę lamparta - czarne plamki na żółtym tle. Potem udało jej się rozróżnić zarys ciała Mtemiego. Bez wahania parła do przodu. Zamiast oczekiwania pojawiło się poczucie nierealności. Aż trudno uwierzyć, że po tak długim czasie wreszcie mogli być sami.

Wciąż miała na sobie odświętny strój. Gdy szła, tkanina muskała jej kończyny i roztaczała zapach kadzidła. Annah

350

chłonęła woń, która mieszała się z wilgotnym podmuchem znad jeziora.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Stali obok siebie, patrząc na księżyc w pełni, lśniący na czystym, bezchmurnym niebie. Pomimo pisku nocnych ptaków, kumkania żab i nieustannego brzęczenia owadów otaczała ich wszechobecna cisza.

Pierwsza odezwała się Annah. Pod wpływem zdenerwowania doszedł do głosu stary, wpojony jeszcze w dzieciństwo nawyk, że w żadnym wypadku nie należy zaniedbywać konwersacji.

- Kiedy byłam mała... - odezwała się cichym, niepewnym głosem - ...wierzyłam, że na księżycu mieszka człowiek. Mtemi potrząsnął głową.

- To nie człowiek. To królik. Tam widać jego uszy. Wskazał na księżyc. Spojrzenie Annah wędrowało wzdłuż jego ramienia.

- Ale nie zaprosiłem cię tu, żeby podziwiać niebo. Spojrzała na jego twarz. Na ciemne oczy pełne ciepła. Powoli dotarło do niej znaczenie usłyszanych słów. To było szalone, niewiarygodne...

- Masz ochotę? - spytał łagodnym, niskim głosem. - Musisz mi powiedzieć.

Patrzyła na niego zmieszana. Tyle razy słyszała o konieczności przestrzegania zasad plemiennych. Czy to możliwe, żeby teraz mogli samodzielnie podjąć decyzję, że zostali od nich uwolnieni przez srebrzysty dotyk księżycy albo piękno spokojnego jeziora?

Annah wyciągnęła blade, skąpane w księżycowej poświacie ramiona. Jej palce przypominały płatki lilii wodnych.

- Tak.

Mtemi poprowadził ją na łączkę na skraju lasu, porośniętą długą, suchą trawą. Rozłożył na ziemi skórę lamparta, tworząc posłanie na wygniecionej trawie. Następnie stanął blisko swojej towarzyszki. Z zapytaniem czekała na jego dotyk.

351

- Chcę, żebyś mnie pocałowała - szepnął.

Annah była zaskoczona. Potem przypomniała sobie, że ten gest jest dla Mtemiego czymś zupełnie obcym. To dodało jej sił i odwagi. Ujęła twarz ukochanego w dłonie. Dotknęła jego policzków i podbródka. Musnęła palcem jego usta - miękkie, a jednocześnie silne. Potem przycisnęła do nich rozchylone wargi. Przypomniała sobie inne pocałunki. Ale tym razem to ona grała pierwsze skrzypce, posłuszna wezwaniu zmysłów.

Mtemi objął ją, mocno przytulił do siebie, przycisnął jej piersi do swojej klatki piersiowej. Zanurzył palce w długich, rudych włosach. Annah zamknęła oczy. Jej dłonie wędrowały po prawie nagim, wspaniale umięśnionym ciele, po gładkiej skórze mężczyzny. Dotykając ustami ramienia Mtemiego, poczuła smak soli.

Kilkoma ruchami uwolniła się od szat, w które z taką troską ubrała ją Patamisha. Królewski materiał niedbale leżał u jej stóp, a ona sama stała naga, skąpana w srebrzystym świetle księżycy. Mtemi, również nagi, stanowił jej dopełnienie w przeciwnym kolorze. Tajemnicze cienie drzew przypominały kolorem jego skórę.

Mężczyzna dotknął prawej piersi Annah - badał palcami pociemniałą bliznę w kształcie trzech wygiętych linii. Potem pochylił głowę i musnął znak ustami. Czowała, jak jego ciepły język wygładza poszarpane krawędzie szramy. Odrzuciła do tyłu głowę. Długie włosy opadły jej niżej na plecy. Przez półprzy-mknięte powieki widziała czerwone światło księżycy.

Mtemi opuścił Annah na skórę lamparta. Potem położył się na narzeczonej i rozsunał kolanami jej nogi.

Ukryta włócznia.

Te słowa Ordenu przypomniały się Annah, gdy Mtemi się do niej przytulał. Był silny, ale delikatny. Jego dotyk pobudzał każdą komórkę jej ciała. Cała reszta wydawała się nieistotna - uszy, niepotrzebnie wychwytyjące dźwięki, stopy i nogi, leżące na cętkowanej skórze.

Kobieta wygięła plecy w łuk, wychodząc ukochanemu na spotkanie. Przyciągnęła go do siebie.

352

Ukryta włócznia zanurzyła się głęboko, wypełniła ją i ofiarowała spełnienie.

Annah i Patamisha na zmianę mełły kukurydżę, kijem o zaokrąglonym końcu tłukąc ziarna wsypane do wgłębienia w kawałku drewna. Dzień był ciepły i obydwie ciężko dyszały z wysiłku.

- Nie odpoczywaj - uśmiechnęła się Patamisha. - Czas ucieka.

Annah się roześmiała. Przebiegł ją sympatyczny dreszczyk oczekiwania.

Jutro ślub. Od tygodnia wszystkie kobiety przygotowywały potrawy. Na skraju wioski znajdowało się obozowisko gości. Wojownicy, poza tymi, którzy byli potrzebni na miejscu, wybrali się na polowanie, by dostarczyć na ucztę świeżego mięsa. Mtemi również poszedł do lasu. Annah patrzyła, jak bladym świtem oddalał się z włócznią i łukiem w ręce, z zawieszonym na ramieniu kołczanem. W myślach namawiała go, żeby odwrócił się, nim zniknie za zakrętem. W ostatniej chwili rzeczywiście to zrobił. Pomachała mu na pożegnanie. Odczucie łączącej ich więzi wywołało falę radości. ;

Już stanowimy jedność - pomyślała.

Mogę nosić pod sercem jego dziecko...

Uśmiechnęła się, hołubiąc swoją tajemnicę jak skarb. Wiedziała, że dzień ślubu będzie należał do plemienia Waganga -do wojowników i rodziny królewskiej. A kiedy nadejdzie noc poślubna, ona i Mtemi zostaną odprowadzeni do chaty z odświętnie zaścielonym łóżkiem. Staną się wodzem i nową królową. Jak to dobrze - pomyślała Annah - że chwila pierwszego zbliżenia należała tylko do nich. Byli wtedy zwyczajną kobietą i zwyczajnym mężczyzną. A stało się to na brzegu srebrnego jeziora. W ciągu siedmiu dni, które minęły od owej nocy,

353

nie udało im się tam powrócić ani spotkać sam na sam w jakimkolwiek innym miejscu. Rozłąka jednak tylko podnieciła płomień.

- Zrobimy sobie przerwę? - przerwała jej rozmyślenia Pa-tamisha. - Mogłybyśmy pójść po drewno na opał...

Murzynka umilkła, słysząc jakieś zamieszanie. Zerknąwszy na Annah, odłożyła tłuczek. W tym momencie do wioski wpadł wojownik. Ledwo trzymał się na nogach i sapał z wyczerpania. Został natychmiast otoczony przez ludzi wykrzykujących pytania, na które z braku tchu nie mógł odpowiedzieć. Annah zamarła, gdy skreślił w jej stronę.

- Co się stało? - zapytała, kiedy wojownik zatrzymał się przed nią.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem Kitamu. Jeżeli pojawiły się jakieś problemy, ich rozwiązaniem powinien zająć się brat wodza, nie ona.

- Wódz upadł - wydusił z siebie wojownik. Annah zamarła, przerażona.

- To znaczy? - spytała. - Coś sobie złamał? Wojownik potrząsnął głową.

- Upadł na ziemię i więcej się nie podniósł. Bez powodu.

- Gdzie on jest? - Annah wykonała kilka kroków w stronę, z której przybiegł mężczyzna.

- Nie, musisz poczekać tutaj. - Chwycił ją za ramię. - Już go niosą. - Wojownik wbił w nią wzrok. Na jego twarzy widać było ogromne poruszenie. - Ty i ochronny doktor musicie się przygotować do udzielenia mu pomocy.

Annah wpatrywała się w niego sparaliżowana potwornym strachem. Po chwili odzyskała panowanie nad sobą.

- Powiedz im, żeby go przynieśli do mojej chaty - poleciła wojownikowi, po czym zwróciła się do najbliższej stojącej osoby: - Sprowadź Zanię.

Odwrociła się na pięcie i chwyciła Patamishę za rękę.

- Chodź ze mną. Musimy zagotować wodę. Potrzebujemy drewna.

Woda. Drewno. Annah potrząsnęła głową. To było niedo-

354

rzeczne. Potrzebna była karetka i oddział intensywnej terapii. Zdrowy, sprawny mężczyzna nie pada, chyba że stało mu się coś naprawdę złego.

Wojownicy niosący na ramionach Mtemiego precyzyjnie przeszli przez drzwi chaty, odcinając na chwilę światło. Ostrożnie położyli wodza na łóżku Annah i cofnęli się. Każdy z nich wbił wzrok w krzątającą się obok białą kobietę, która zbielełymi palcami chwyciła zawieszony na szyi stetoskop.

Mtemi leżał kompletnie nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Jego twarz tchnęła spokojem. Wyglądał jak posąg z hebanu.

W celu sprawdzenia tętna Annah drżącą ręką dotknęła jego szyi. Z ulgą zamknęła oczy, gdy wyczuła pod palcami równomierne pulsowanie. Potem zbliżyła policzek do nosa ukochanego. Poczula wydobywające się z płuc powietrze. Żył, ale był nieprzytomny.

- Uderzył się w głowę? - spytała przez ramię.

- Nie. Szedł. Potem nagle upadł - odpowiedzieli chórem.

- Zdążył coś powiedzieć?

- Nie.

Annah stała nieruchomo. Przez głowę przemykały jej różne możliwości, przyczyny, sposoby diagnozowania i leczenia. Tutaj jednak nie można było ich zastosować. Zamknęła oczy, czując, że ogarniają ją histeria. Próbowwała przypomnieć sobie, że leżący przed nią mężczyzna jest pacjentem i że trzeba spokojnie postawić diagnozę. Niestety, jedynie ze wzmożoną jasnością uświadomiła sobie, jak bardzo kocha tego człowieka. Mtemiego. Swojego męża.

Jak przez mgłę zauważyła, że wojownicy się rozstąpili, kogoś przepuszczając. Poczula znajomy zapach i dźwięk pobrząkujących amuletów.

- Zania! - zawołała.

- Przyszedłem. Jestem gotów, by z tobą pracować. Spokojne spojrzenie szamana i jego rzeczowy ton pobudziły Annah do działania.

Pochyliła się nad Mtemim i rozpoczęła kompleksowe badanie.

355

- Tętno mocne, ale przyspieszone - mruknęła, jakby ktoś stojący obok notował jej uwagi. - Oddech szybki i płytki.

Przesuwała dłońmi po ciele mężczyzny, szukając pewnych znaków - wilgotnej skóry, napiętych mięśni. Tymi samymi, przypominającymi lilie dłońmi po tym samym ciemnym ciele, z którym nie tak dawno dzieliła rozkosz.

Jak przez mgłę zauważyła królową matkę. Murzynka opuściła lektykę i z trudem przykuśtykała do łóżka. W milczeniu spoglądała na syna.

Podczas badania Zania stał tuż obok. Marszczył w skupieniu czoło i przyglądał się Mtemiemu, przesuwając wzrok w górę i w dół, w prawo i w lewo.

- To coś poważnego - zawyrokował. - To wszystko, co mogę powiedzieć.

Odwrócił się, żeby odejść.

- Dokąd idziesz? - spytała Annah.

- Do swojej chaty. Mam tam rzeczy, które mogą mi się przydać.

Potrząsnęła głową.

- Potrzebujemy prawdziwych leków - powiedziała tępo. - Prawdziwego lekarza.

Zania chyba jej nie usłyszał. Nawet się nie zatrzymał.

Annah rozpaczliwie jęknęła. Najbliższy lekarz, Michael, znajdował się o cały dzień drogi stąd. Zresztą stan Mtemiego nie pozwalał na to, by go przetransportować w podskakującym na drodze land-roverze. Pochyliła głowę, po czym przetarła dłońmi twarz i oczy, jakby chciała usunąć ponury obraz. Kiedy podniosła głowę, jej wzrok padł na przyszpilone do ściany listy siostry Margaret.

Germantown. Tam są leki. Co więcej, misjonarka może mieć większą wiedzę i doświadczenie niż Annah. Tylko trzeba by było zanieść tam Mtemiego w lektyce. Niestety, choćby tragarze poruszali się niezwykle ostrożnie, przy każdym kroku wódz podskakiwałby na ich ramionach.

Annah się odwróciła.

- Który z was najszybciej biega?

356

- Chewi - brzmiała odpowiedź.

Lampart. Do przodu wysunął się wyjątkowo wysoki mężczyzna o luźno zwisających ramionach.

- Biegnij do Germantown. Powiedz siostrze Margaret, co przydarzyło się waszemu wodzowi. Poproś, żeby skompletowała torbę medyczną.

Annah mówiła powoli, zdając sobie sprawę, że jeśli wojownik dobrze ją zrozumie, nie zapomni żadnego szczegółu.

- Poproś, żeby natychmiast tu przybyła. - Po chwili wahania dodała: - Błagaj ją, żeby przyszła.

Chewi wybiegł z chaty. Annah spojrzała na Mtemiego. Przez głowę przemykały jej modlitwy, niemal błagania o pomoc, o siłę. O cud. O to, żeby siostra Margaret przywiozła ze sobą lekarza. Kogoś, kto w drodze zatrzymał się na kilka dni w Germantown. Kto by powiedział:

- Bóg mnie tu przysłał, ponieważ wiedział, że będziecie potrzebowali pomocy.

Wszystko było możliwe...

Zania po powrocie natychmiast wyprosił z chaty wojowników i wszystkich pozostałych ludzi. Nawet Kitamu. Pozwolił zostać tylko Annah i królowej matce.

Kobiety wyczekująco patrzyły na szamana. Pielęgniarka rozglądała się za pękatymi torbami, w których ochronny doktor przechowywał lekarstwa. On jednak miał w dłoni tylko kilka amuletów, a pod pachą niósł ołtarz. Annah zmarszczyła brwi.

Zania napotkał jej spojrzenie i pokręcił głową.

- Mtemi nie potrzebuje lekarstw. Opętał go zły duch. Z ust królowej matki wyrwał się szloch.

- Będę z nim walczył - oznajmił Zania.

Podszedł do drzwi i zaczął rozkładać na progu amulety. Następnie wyjrzał na zewnątrz i zawołał, by ktoś przyniósł mu płonącą szczapę.

- Nie możesz zadymić pomieszczenia. Mtemi potrzebuje świeżego powietrza - ostrzegła go Annah.

Przerwała nagle, gdyż w drzwiach pojawił się regent. Ostrożnie przestąpił nad amuletami Zanii i wszedł do środka.

357

- Jak miewa się mój bratanek, wódz? - spytał. - Co mówi biała pielęgniarka?

Annah bezgłośnie potrząsnęła głową i rozłożyła ręce. Nic nie mogła zrobić.

- Przyniosłem wodę.

Regent wyjął tykwę spomiędzy fałdów tkaniny.

- On nie powinien pić... - zaczęła pielęgniarka. Mężczyzna udał, że nie słyszy, pochylił się nad Mtemim i odkorkował pojemnik. Królowa matka machnęła ręką, żeby wytrącić mu tykwę. Woda wylała się na podłogę, tworząc błotniste kałuże, po czym szybko wsiąkła.

Twarc regenta stężała, ale się nie odezwał.

- Nie powinien pić - podjęła Annah - dopóki nie dowiemy się, co mu dolega.

Dopóki nie dowiemy się... Poczuała się, jakby drwiła z własnej wiedzy.

- W porządku - odrzekł uprzejmie regent. - Zostawiam go w waszych rękach.

Skierował się do wyjścia. W drzwiach obejrzał się i obrzucił wszystkich twardym, gorzkim spojrzeniem. Annah poczuła dreszcz na plecach.

Usiadła przy Mtemim, wpatrując się w niego i czekając. Widziała każde uderzenie serca, każdy oddech, słabe ruchy gałek ocznych pod powiekami. Nic się nie zmieniało. Z bezsilności tylko raz po raz krzyżowała nogi, zaciskała pięści, szurała stopami. Nie mogła znieść świadomości, że nie potrafi pomóc ukochanemu. W przeciwieństwie do niej królowa matka trwała w bezruchu. Klęczała na podłodze w nogach łóżka, sękatymi dłońmi obejmując nagie stopy syna.

Zania ustawił pod oknem ołtarz. Słabe promienie słońca ślizgały się po kamieniach, roślinach i amuletach, które szaman troskliwie układał na odpowiednich miejscach. Biała kobieta obserwowała go jak zahipnotyzowana. Paniczny strach jej nie opuszczał.

Pełną napięcia ciszę wioski niemal bez uprzedzenia zakłócił hałas land-rovera. Annah podbiegła do drzwi. Ujrzała siwo-

358

włosa kobietę w typowym ubraniu misjonarki. Dźwigała wypchaną torbę i lekko utykała.

- Dzięki Bogu... - szepnęła Annah. - Przyszła pani. W nagłym przebłysku świadomości zdała sobie sprawę, że przybyła pielęgniarka musiała jechać na przelaj, inaczej nie pojawiłaby się tak szybko. I że jest sama. Nie ma u jej boku zesłanego przez opatrzność lekarza.

Siostra Margaret nie marnowała czasu na powitania. Weszła do chaty i zaczęła badać Mtemiego. Robiąc to, rzuciła Annah kilka pytań. Co się stało? Czy jego stan uległ zmianie? Jakie leczenie zostało zastosowane? Tam, gdzie to było możliwe, Annah udzielała odpowiedzi, ale nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Po kilku minutach siostra Margaret się wyprostowała. Na jej twarzy malowała się powaga.

- Pacjent jest ciężko chory. Nie wiem, co mu dolega. Nie da się tego stwierdzić bez prześwietlenia i badań krwi.

Mówiła rzeczowo, ale gdy patrzyła na spiętą twarz stojącej przed nią kobiety, w jej oczach malowało się współczucie.

- Będziemy musieli zrobić wszystko, co w naszej mocy. Otworzyła torbę i wyjęła kroplówkę. Zawiesiła ją na wbitym nad łóżkiem haku na latarnię.

- Antybiotyki - wyjaśniła, wbijając igłę w przedramię Mtemiego i przymocowując ją kawałkiem różowego plastra, który na ciemnym tle wyglądał jak fragment obcej skóry. - I chinina - dodała. - Na wypadek, gdyby okazało się, że to malaria.

Annah tępo kiwnęła głową. Rozumiała to, co mówi i robi przybyła siostra. Ale cała scena wydawała się młodej kobiecie koszmarnym snem.

- Nie wolno go ruszać - uprzedziła siostra Margaret. Zamknęła torbę i przygotowała się do wyjścia. - Zresztą w Ger-mantown i tak nie moglibyśmy zrobić dla niego nic więcej. Wracam do siebie, żeby skontaktować się przez radio z Langa-li. I zasięgnąć porady lekarza.

Misjonarka zrobiła kilka szybkich kroków, ale przy wyjściu się zawahała. Obejrzała się przez ramię i skinęła głową na pożegnanie. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, jakby do-

359

piero teraz naprawdę zobaczyła dziwną scenę: szamana, białą kobietę w afrykańskim stroju, walizkę od Louisa Vuittona użytą jako stół i pacjenta - prawie nagiego, z wymalowaną skórą. Annah wytrzymała wzrok pielęgniarki.

- Teraz możemy się już tylko modlić - powiedziała siostra.

Pozostawiona w towarzystwie Mtemiego, Zanii i królowej matki Annah próbowała zastosować się do pożegnalnej rady misjonarki. Zamknęła oczy, żeby nie widzieć wnętrza chaty i palonych amuletów, nie słyszeć dobiegających z zewnątrz głosów członków plemienia Waganga i brzęczenia much. W głowie czuła jednak kompletną pustkę. Zawładnęły ją natychmiast miłość, strach, niedowierzanie. Ożyły wspomnienia. Śmiejący się Mtemi. Biegnący. Tańczący. Leżący na niej. Kochający się z nią...

Otworzyła oczy. Jej spojrzenie padło na ołtarz Zanii. Kiedy przyglądała się ułożonym na nim talizmanom i amuletom, nagle odniosła wrażenie, że czegoś wśród nich brakuje. Mtemi należał do dwóch światów, nie do jednego.

Podeszła do swojej walizki i uniosła przykrywą. Przejrzała skromny dobytek. Najpierw wzięła do ręki Biblię, następnie oprawioną w ramkę fotografię kaplicy w Langali, wyszyte przez Sarah poszewki i starą pocztówkę z biblijnym wersem: „Wszystkie wasze sprawy niech się dokonują w miłości” i troskliwie ułożyła na ołtarzu. Szaman kiwnął głową z aprobatą.

Annah siedziała u boku Mtemiego przez całą noc. Przyglądała mu się, modliła, próbując pocieszać się faktem, że stan jej ukochanego się nie zmienił. Towarzyszyli jej Zania i królowa matka. Wątle, płonące przy drzwiach ognisko rzucało na nich ciepłe światło. Trójka czuwających z niepokojem czekała na każdy wdech Mtemiego,

zadowolona z każdego wydobywającego się z jego ust i przerywającego martwą ciszę szelestu.

Na długo przed świtem Zania wstał i zbliżył się do ołtarza. Annah obserwowała go zmęczonymi oczami.

Powoli, z rozwagą zaczął zbierać swoje rzeczy.

360

Kobieta poderwała się, zaniepokojona.

- Co robisz?

- Wódz umiera - powiedział zduszonym z bólu głosem. - Nie pomogą mu żadne lekarstwa, żadna magia, żadne amulety. - Skinieniem ręki wskazał na opróżnioną do połowy kroplówkę na ścianie. - To też go nie uratuje. Straciliśmy go.

Annah chwyciła Zanię za kościste ramiona.

- Wyleczyłeś Ndatałę - przypomniała mu. - Była bliska śmierci. Mtemi jest twoim wodzem. Nie możesz się poddawać. Zania potrząsnął głową.

- Rozmawiałem z przodkami. Spaliłem pióra nienarodzonego kurczaka. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Na próżno.

Annah patrzyła na niego oszołomiona pewnością w jego głosie. Potem zaczęła się śmiać. Był to szalony, ochryply śmiech, który po chwili zmienił się w rozdzierający szloch.

Królowa matka sztywno podniosła się z łóżka i stanęła przy narzeczonej syna. Nie dotknęła jej. Jedynie stała obok.

Nie patrząc na kobiety, Zania usunął z ołtarza ostatni ze swoich amuletów. Zostawił jedynie rzeczy Annah: Biblię, wizerunek kaplicy, pocztówkę i poszewki, wszystko bezładnie rozrzucone na przesiąkniętym krwią drewnie. Po raz ostatni spojrzął na wodza, kiwnął głową i wyszedł.

Annah klęczała przy Mtemim, przyciskając policzek do jego piersi. Słyszała uderzenia serca. Czowała ciepło ciała. Wtedy w jej głowie zrodziła się modlitwa. „To Twoja ostatnia szansa” - zwróciła się do Boga. - „Zania się poddał. Jeżeli Mtemi przeżyje, wszyscy będą wiedzieli, że to Ty go uratowałeś. Wszystkim o tym powiem. Uwierzą w Ciebie”.

Uniosła głowę, gdy do chaty wszedł Kitamu. Za nim pojawili się wojownicy wodza oraz mężczyźni ze świty jego brata. Następnie kobiety. Chata była przepelniona ludźmi.

Sączące się przez okno światło księżyca oświetlało łóżko, na którym leżał Mtemi. Nieruchomy, wyglądał jak posąg - silny i trwały. Annah wpatrzyła się w jego twarz, w kształtny nos, idealne usta. Zatrzymała się na zamkniętych powiekach. W myślach zachęcała go, by je otworzył. Jak dziecko targujące

361

się z przeznaczeniem wmawiała sobie, że gdyby chociaż raz mogła spojrzeć mu w oczy - zobaczyć ciemnobrązowe tęczęwki - miałyby szansę go uratować. .

O świcie Mtemi się poruszył. Otworzył oczy i spojrzął prosto na Annah. Obecni w chacie ludzie pochylili się do przodu, radośnie wzdychając. Annah patrzyła na Mtemiego jak sparaliżowana. W uszach zadźwięczało jej jedno niechciane, ostateczne słowo. Było wyraźne, pewne, nieuniknione.

Żegnaj.

Żegnaj...

Mtemi zamknął oczy. Wszyscy obecni oddychali pełną piersią, zadowoleni i pełni nadziei. Tymczasem Annah pochyliła głowę i się rozplakała.

Jasne płomienie tańczyły i migotały w świetle poranka. Ich pomarańczowe języki odbijały się w spokojnej tafli jeziora. Przy ognisku na prowizorycznych noszach leżało ciało wojownika o długich kończynach. Na jego ciemnej skórze wymalowano myśliwskie wzory. Z myślą o ostatniej podróży przygotowano dla niego naczynia z gliną, włócznie, królewskie szaty i naszyjniki. A także skórę lamparta.

Dookoła rozlegało się zawodzenie. Nie była to niema, zduszona, ukryta w głębi duszy rozpacz, lecz płacz, szloch, krzyk. Ręce wyciągały się ku niebu, dłonie biły się w piersi, głowy podrygiwały. Wszystkie plemienne duchy wiły się w cierpieniu. Twarze obecnych były wymazane wymieszaniem ze łzami i śliną popiołem z ogniska pogrzebowego. Na skraju tego zgromadzenia kręciły się psy, zaniepokojone zbiorową histerią.

Tylko jedna osoba siedziała nieruchomo po prawej stronie królowej matki. W milczeniu wpatrywała się w leżące przed nią ciało. Popiół nadał jej białej skórze szary kolor. Gęste, rude włosy stanowiły dziwnie jaskrawą plamę, jak język ognia. Na kolanach kobiety leżał kawałek białej tkaniny. Palcami muskała wyszytą w rogu literę „M”.

Annah czuła potworną pustkę. Widziała tylko leżącego przed nią mężczyznę. Chciała zapamiętać ten obraz, by go za-

362

chować na zawsze. Jak przez mgłę docierało do niej zawodzenie kobiet. Ich monotonne jęki brzmiały jak mantra.

Nagle zapadła cisza, którą zakłóciły ciche dźwięki. Kwilenie niemowlęcia. Trzask płomieni.

Annah podniosła głowę. Ludzie odwrócili się od ogniska, od Mtemiego. Niektórzy podnosili się z ziemi, wyciągali szyje i spoglądali w stronę wijącej się wśród drzew ścieżki.

Na skraju lasu ktoś stał. Błada sylfida. Długie, ciemne włosy okalały jasną twarz koloru kości słoniowej.

Obraz powoli dotarł do świadomości oszalałej z bólu Annah. Wstała. Z jej ust wyrwało się jedno jedyne słowo:

- Sarah!

To imię dźwięczało jej w głowie. Nierzeczywiste, migotliwe.

Ludzie z plemienia Waganga rozstąpili się, by przepuścić przybyłą. Sarah ostrożnie weszła między nich, nerwowo obciążając spódnice. Patrzyła prosto przed siebie, jakby od tego zależało jej bezpieczeństwo. Kiedy znalazła się tak blisko, że zobaczyła umazaną popiołem twarz przyjaciółki, jej opuchnięte oczy, brudny, zwisający kawałek tkaniny, ugięły się pod nią nogi.

Obie kobiety zbliżyły się do siebie, przyciągane jakąś magnetyczną siłą, aż w końcu padły sobie w objęcia. Annah bez słowa tuliła się do szczupłutkiej przyjaciółki, zanurzając twarz w jej pachnących lawendą włosach.

Trwały w uścisku. Wokół nich stopniowo wzbierała rozpacz. Był to nie tylko płacz i jęk, lecz również wysokie zawodzenie - obcy, egzotyczny dźwięk, który wyrażał zarówno radość, jak i ból. Towarzyszył ślubom i pogrzebom.

Annah cofnęła się i gestem ręki zaproponowała Sarah, by usiadła z nią obok królowej matki. Wzrok Sarah padł na amulety, talizmany i resztki spalonej ofiary, otaczające miejsce, które miała zająć. Po chwili wahania zajęła miejsce na ziemi i skrzyżowała nogi. Tylko trochę się cofnęła, nie chcąc, by jej kolana dotykały amuletów.

Usadowiwszy się, Sarah po raz pierwszy spojrzała na leżące

363

przy ognisku zwłoki. Annah obserwowała, jak przyjaciółka bacznie przygląda się posagowym rysom i szlachetnemu obliczu jej ukochanego. Delikatnym ustom. Mocno zarysowanemu podbródkowi. Hebanowej, nieskazitelnej skórze. Annah poczuła dumę, przytępioną przez ból.

W oczach Sarah pojawiły się łzy, usta jej drżały. Mogłoby się wydawać, że to jej ukochany - z taką miłością i żalem wpatrywała się w ciało mężczyzny. Oderwała oczy od Mtemiego dopiero wtedy, gdy obok niej przykucnął Zania. W poplamionej krwią dłoni trzymał garść popiołu.

Sarah zamarła w bezruchu i rzuciła na Annah niespokojne spojrzenie. Zania splunął na popiół i wymieszał go palcem. Potem czekał, przeszywając Sarah przenikliwym wzrokiem. W tłumie zaległa cisza. Chwila spokoju, oczekiwania. Sarah uniosła twarz, gotowa dostosować się do obowiązujących zwyczajów.

Annah śledziła ostrożne ruchy palców szamana na twarzy Sarah. Po jej policzkach płynęły łzy, zostawiając białe ślady, wyżłobione w warstwie popiołu. Popiołu z pogrzebowego ogniska jej męża.

Popiołu z jej marzeń.

Kiedy Annah złożyła dar w postaci haftowanej poszewki, nadeszła chwila, gdy przy ciele wodza mieli pozostać jedynie jego wojownicy.

Patamisha zabrała obie białe kobiety do wioski.

- Twój dom został oczyszczony - zapewniła białą kobietę, popychając ją w stronę chaty. - Teraz możesz już do niego wrócić.

- Jak to się robi? - spytała ostrożnie Sarah.

- Szaman pali lecznicze zioła w ognisku, na którym gotuje się jedzenie. Zabija trzy kury i skrapia próg ich krwią. Jak już powiedziałam, wszystko w porządku.

Murzynka zatrzymała się w drzwiach chaty, zachęcając Annah, by weszła do środka pierwsza. Annah drętwo kiwnęła głową. Gdy przeszła przez próg, po-

364

deszwy jej bosych stóp zabarwiły się na czerwono. Sarah poszła za jej przykładem, nie patrząc pod nogi.

Patamisha pozostała na zewnątrz. Przyglądała się to jednej białej kobiecie, to drugiej, jakby pomimo rozpaczki odkryła w tym widoku coś wielce interesującego. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał głucho i bez wyrazu.

- Elia przyniesie herbaty.

Lekkie kroki Murzynki ucichły w oddali. W wiosce zaległa niesamowita cisza. Annah osunęła się na podłogę w kącie chaty, podciągnęła kolana do piersi i oparła o nie czoło. Opadające do przodu włosy częściowo okryły jej twarz.

Sarah usiadła na taborecie. Kręciła się niespokojnie. Na jej czole pojawiły się zmarszczki.

- Kiedy dostaliśmy wiadomość, Michael był w trakcie operacji.

Jej słowa przerwały głąchą ciszę. Annah podniosła głowę.

- Nie mógł przyjechać - ciągnęła Sarah. - Wykonywał skomplikowane cesarskie cięcie. Bliźniaki. Powiedziałam, że pojedę sama, choć on uważał, że podróż po ciemku jest zbyt ryzykowna. I że w niczym nie zdołam pomóc. - Na chwilę umilkła. Skubała palcami rąbek zabłoconej spódnicy. - Ale... musiałam przyjechać. Więc to zrobiłam. Zabrałam kluczyki i ruszyłam w drogę. - Wyzywająco wysunęła do przodu podbródek. - Podróż zajęła mi prawie dziesięć godzin. Dwa razy się zgubiłam. Przez cały czas dręczyła mnie myśl, że zabrałam land-rovera i że Michael nie będzie mógł rano tu przyjechać. Jednak coś mnie ciągnęło przed siebie. Wiedziałam, że muszę jechać, że mnie potrzebujesz.

Annah kiwnęła głową, ale nie odezwała się ani słowem. Sarah wypełniła ciszę. Opowiedziała o Kate, Ordenie, Tefie i o swojej nowej pracy. Ilekroć milkła, Annah machała ręką, zachęcając ją do kontynuowania. Dzięki rozbrzmiewającym w powietrzu słowom nie traciła kontaktu z rzeczywistością.

- Jadąc z wizytą do pacjentek, zabieram ze sobą Kate - mówiła przyjaciółka spokojnym głosem. - Wtedy traktują mnie jak gościa, który wpadł na chwilę je odwiedzić. Oczywiście-

365

cię, muszę pilnować, żeby mała niczego nie jadła i nie bawiła się z chorymi dziećmi. Michaelowi nie bardzo się to podoba. Z pewnością... - Sarah zawahała się i zmarszczyła czoło. - Wolalby, żeby nie opuszczała terenu misji. Martwi się o mnie. Myśli, że zabłądzą w dżungli albo pożrą mnie lwy.

Annah słuchała kojących, płynących równomiernym strumieniem słów.

- Co zamierzasz?

Pytanie Sarah zburzyło wąty spokój.

Annah tępo spojrzała na przyjaciółkę.

- Mogłabym podrzucić cię do Murchanzy - zaproponowała Sarah - i wsadzić na pociąg do Dodomy. Misja ci pomoże. Zwróć się do biskupa.

- Nigdzie nie jadę - oznajmiła Annah wyraźnym, zdecydowanym głosem. - Tu jest mój dom.

Jednocześnie ogarnęła wzrokiem niewielkie pomieszczenie. Kiedy spojrzała na łóżko, wydało jej się, że dostrzega na nim wgłębienie po ciele Mtemiego. Nie wyobrażała sobie opuszczenia chaty, miejsca, gdzie opierała głowę na piersi Mtemiego, słuchała bicia jego serca. Domu, który stanie się jej świątynią, jej sanktuarium.

Sarah podeszła do kąta, w którym przycupnęła Annah.

- Muszę już jechać - powiedziała łagodnie i pochyliła się, by pocałować splątane rude włosy.

- Pomóż mi, Sarah... - szepnęła Annah, jak mała, zagubiona dziewczynka. - Przytul mnie.

Błagalnie wyciągnęła ramiona, objęła Sarah i przyłgnęła do niej.

Na ich skórze i ubraniu pojawiły się plamy w takim samym kolorze jak klepisko, które miały pod nogami, zacierając istniejące między nimi różnice. Jakby były ulepione z tej samej gliny.

Następne dni stanowiły rozmazane pasmo krótkich godzin i długich chwil. Annah nie ruszała się ze swojej chaty - sie-

366

działa nieruchoma i niema. W chwili śmierci Mtemiego zatrzymał się dla niej czas. Żyła w odrętwieniu.

Pod jej drzwiami ludzie zostawiali dary w postaci jedzenia, kadzidła, tkanin. Annah przyjmowała je, skrywając rozpacz pod spokojną, uprzejmą maską. Była świadoma, że pomimo okazywanego współczucia członkowie plemienia są niepewni i zaniepokojeni. Nie wiedzieli, jak postępować z kimś takim jak Annah - niedoszłą żoną, której nie można odesłać do matki, kobietą, która nie należy do żadnego mężczyzny, ale nosi na piersi znak królewskiego rodu plemienia Waganga.

Patamisha, Zania i królowa matka byli jedynymi osobami, których stosunek do Annah się nie zmienił. Składali jej regularne wizyty, namawiając do jedzenia, umycia się, rozmowy;

akceptowali jednak jej milczącą odmowę. Często zostawiali, by razem z nią oplakiwać zmarłego.

Pewnego ranka, mniej więcej tydzień po śmierci Mtemiego, w chacie Annah pojawił się Kitamu. Odwiedzał ją wcześniej, ale teraz miał na sobie oficjalny, stosowny do rangi strój. Wymienili pozdrowienia, sformułowane ostrożnie, tak by każde z nich mogło udzielić wymaganych przez zwyczaj optymistycznych odpowiedzi. Następnie Kitamu usiadł na pięknie rzeźbionym taborecie, który przyniósł ze sobą.

- Rząd postanowił, że nie będzie więcej wodzów - powiedział. - Ale zwracam się do ciebie w imieniu całego plemienia.

Annah kiwnęła głową. Ludzie muszą mieć przywódcę, niezależnie od tego, co mówi prawo.

- Chciałbym ci powiedzieć, że jesteś mile widziana w naszej wiosce. Możesz w niej zostać. Osobiście odpowiadam za twoje bezpieczeństwo. Będę cię chronić i osłaniać.

Mówiąc to, Kitamu unikał wzroku Annah. Zorientowała się, że brat Mtemiego ma trudności z powiedzeniem, o co mu chodzi. Pragnąc dodać mu otuchy, zmusiła się do uśmiechu.

- To prawda, że nie zostałam żoną mojego brata - ciągnął - że byłaś tylko jego narzeczoną. Uważam jednak, że moim obowiązkiem jest wychowanie dzieci tak, by szanowały jego pa-

367

mięć. - Kitamu rzucił Annah szybkie spojrzenie. - Patamisha też tego chce. Traktuje cię jak siostrę.

Annah słuchała go obojętnie. Zrozumiała, że ma zostać drugą żoną Kitamu. Wiedziała, że ten pomysł powinien ją zaszokować, ale nawet nie była zdziwiona. Propozycja wydawała się wyjątkowo życzliwa, bardzo praktyczna i logiczna. Annah spojrzała na Kitamu. Wyczuła, że pod jego zażenowaniem kryją się dobroć i współczucie, co wzruszyło ją do głębi. Kitamu wcale nie był podobny do brata, chociaż obaj mieli tych samych rodziców. Mimo to czuła, że zniesie życie u boku tego człowieka.

- Dziękuję - odpowiedziała krótko. - Czuję się zaszczycona.

Kitamu nerwowo odchrząknął i wstał.

- Wróć, żeby omówić kwestię posagu. Tymczasem twoje posiłki będą przygotowywane na moim palenisku.

Kitamu odwrócił się do wyjścia. W drzwiach się zawahał.

- Niektórzy uważają, że przyczyną śmierci mojego brata były czary.

Biała kobieta kiwnęła głową. W Afryce zawsze tak uważano, gdy ktoś umierał z niewyjaśnionych przyczyn.

- Moim zdaniem został otruty. Podejrzewam wuja wodza -szepnął.

- Regenta? - spytała.

Patrzyła na mężczyznę szeroko otwartymi oczami. Świetnie zdawała sobie sprawę z wagi takiego oskarżenia, wypowiedzianego przez członka plemienia.

- Regent był zły, od kiedy Mtemi wrócił do wioski i objął obowiązki wodza - wyjaśnił Kitamu. - Wuj przez wiele lat sprawował władzę i nikt nie wtrącał się w jego sprawy. Byłby szczęśliwy, gdyby Mtemi ożenił się z jego siostrzenicą i wraz z teściem zajął się handlem. Tylko, prawdę mówiąc. Mtemi i regent nigdy się ze sobą nie zgadzali. Słyszałem nawet, że regent złożył donos na wodza przedstawicielom rządu.

W tym momencie Annah przypomniała sobie, jak regent przyniósł Mtemiemu wodę, a królowa matka nie pozwoliła

368

wlać napoju do ust syna. Najwyraźniej również ona nie ufała temu człowiekowi.

- Co myśli twoja matka? - spytała Annah. Kitamu potrząsnął głową.

- Nic nie mówi na ten temat.

- Pewnie wie, co robi - stwierdziła kobieta.

Oskarżenia i plotki mogły wywołać wśród mieszkańców wioski jedynie niezgodę. W najgorszym przypadku doprowadzić do ostatecznej klęski - podziału plemienia.

- Masz rację - przyznał Kitamu.

Kiedy ponownie spojrzął na Annah, w jego oczach widać było szacunek.

Annah poczuła, jak serce wzbiera jej dumą. Wyobraziła sobie Mtemiego, stojącego za nią i przemawiającego jej ustami. Wcale go nie straciła. Nie przebywał w niebie, piekle ani czyśćcu, lecz był tutaj, w tej chacie. Z nią.

Odprowadziła Kitamu wzrokiem. Czekala, aż znów ogarnie ją spokój. Przypominający znieczulenie. Pozbawiony kolorów i znaczeń. Bez końca. Jak sen albo własna śmierć.

- Pora wrócić z ciemności i znów spojrzeć na słońce. Głos Zanii przeniknął przez ściany chaty, wyrываяc Annah ze snu. Nie odpowiedziała.

- Czekam na ciebie! - zawołał szaman.

Na zewnątrz rozległo się szuranie. Chwilę później pleciona torba wpadła przez okno i wylądowała u stóp Annah. Rozpoznała koszyk na zioła.

- Nie śpieszy mi się - dodał. - Zaczekam.

Annah wiedziała, że Zania nigdy się nie poddaje. Wstała z łóżka, podniosła plecionkę i powoli podeszła do drzwi. Promienie słońca padły na próg, oświetlając resztki rozlanej wcześniej krwi. Wyjrzała na zewnątrz i zamrużyła powiekami, oslepiona. Poczula pod stopami ciepłą ziemię. Ku jej zdumieniu świat mienił się wszystkimi kolorami. W jej świadomości dominowała szarość.

Zania się uśmiechnął i wyciągnął ją z chaty. Czuła się jak

369

słaby i nieodporny rekonwalescent, który stawia pierwsze kroki. Większość rekonwalescentów jednak chce wyzdrowieć, podczas gdy jej wcale na tym nie zależało. Tydzień temu miała okres. Stała wtedy nieruchomo, obserwując, jak krew spływa jej po udach - niepodważalny, szkarłatny dowód na to, że ostatnia więź z ciałem Mtemiego została zerwana. Wątpa iskierka nadziei zgasła.

Szaman poprowadził ją do lasu, omijając najruchliwszą część wioski. Szła za nim, wdzięczna, że nie będzie musiała odpowiadać na liczne pozdrowienia. I tak musiała kilka razy się zatrzymać, by odpowiedzieć na pytania o dom, jedzenie, pracę. Jakby wiodła zwykłe życie, chociaż wszyscy wiedzieli, że tak nie jest.

- Mamy mnóstwo pracy! - krzyknął Zania przez ramię.

Baczenie przyjrzał się bezchmurnemu niebu i zmarszczył czoło.

Annah tępo kiwnęła głową. Gdzieś w głębi duszy odczuła jego zaniepokojenie i przez chwilę myślała o ulewnych deszczach, chociaż nie potrafiła się tym przejąć, nawet przez wzgląd na innych.

Kiedy dotarli do lasu, z ulgą ukryła się pod cienistymi gałęziami. Pochylające się nad nią drzewa były zielone i wilgotne. Annah wiedziała, że będzie mogła zaszyć się w zaroślach, tak jak w swojej cichej chacie.

Tym razem nie zrywali tak ogromnej ilości ziół jak zazwyczaj. Zania potrzebował jedynie rośliny niezbędnej do wywoływania deszczu. Wkrótce skierował się do wioski.

Kiedy do niej dotarli, okazało się, że panuje tu dziwna cisza. Osada była wyludniona.

- Gdzie podziali się wszyscy? - spytała. Zania niespokojnie przymrużył oczy.

- Nie wiem.

Po drodze spotykali jedynie buszujące kury i rozleniwione psy.

Kiedy weszli w wąską uliczkę prowadzącą do chaty białej kobiety, cisza stała się nie do zniesienia.

370

Annah skręciła za róg i stanęła jak wryta.

Nadproże jej chaty było umazane krwią. Z okapu zwisały wnętrzności. Na progu leżał kogut z odciętą głową.

Zania wytrzeszczał oczy, sparaliżowany. Potem chwycił Annah za rękę i odciągnął ją do tyłu. Przez chwilę wyglądał na całkowicie zagubionego, jakby nie mógł się zdecydować, w którą stronę iść. Wtedy pojawiła się Patamisha i pośpiesznie szepnęła coś w miejscowym narzeczu.

Zania i Patamisha wzięli Annah między siebie i skierowali ją w inną uliczkę.

W pewnej chwili z którejś chaty wynurzyła się czyjaś ręka, chwyciła Annah i wciągnęła do środka.

- To ja, Kitamu.

Kobieta z trudem powstrzymała cisaną się na usta krzyk.

- Regent podburzył przeciwko tobie ludzi - szepnął Kitamu prosto do jej ucha. - Jego wojownicy odprawili rytuał, żeby wykryć czarownicę. Palec wskazał na twoją chatę. Zostałaś oskarżona o rzucenie czarów na wodza.

Annah skrzywiła się z bólu. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Czyżby wszyscy obrócili się przeciwko niej?

- Niektórzy kwestionują wynik obrzędu - zaznaczył Kitamu. - Ale dręczą ich inne wątpliwości. Wciąż jesteś pogrążona w rozpacz. Przełałaś za dużo łez. Powiadają, że deszcz nie spadnie, póki jesteś w wiosce.

Kitamu wyniósł z ciemnego wnętrza chaty walizkę Annah, mikroskop i torbę z lekarstwami.

- Uratowałem twój dobytek.

- Nie, nie mogę odejść - zaprotestowała Annah. - Tu jest mój dom. Tu jest moje miejsce. - Głos jej się załamał. - Należę do plemienia Waganga.

- Dlatego musisz zrobić to, co mówię - odrzekł Kitamu. - Dla dobra plemienia. Musisz odejść. I nigdy nie wracać.

Annah wpatrywała się w ciemności, szukając wzrokiem Pa-tamishy i Zanii. Dostrzegła ich napięte z niepokoju twarze i szeroko otwarte oczy. Chociaż wbiła w nich błagalne spojrzenie, nie poruszyli się ani nie odezwali.

371

Kitamu chwycił dłoń Annah i wcisnął jej zawiązane w kawałek szmatki monety.

- Kieruj się w stronę szosy, ale idź przez krzaki. - Kitamu podsunął jej bagaż, po czym wskazał na drzwi. - Zaczekaj na autobus.

Żar lał się z nieba. Muchy fruwały wokół twarzy Annah, siadały na skórze i zanurzały w pocie lepkie ssawki. Nie zważając na ciężką walizkę, szła przed siebie. Zatrzymała się jedynie po to, żeby podnieść leżące na drodze perłoworóżowe pióro. Delikatny puch przemówił do jej zmysłów, dodał otuchy. Nic jednak nie pomagało usunąć ciężaru przytłaczającego jej duszę -duszę wędrującej bez celu cudzoziemki. Samej wśród afrykańskich zarośli, bez domu, do którego mogłaby wrócić. Bez ludzi. Bez przeszłości. Bez przyszłości.

Bez ukochanego.

Z pustym, złamanym sercem.

19

1965, Tanzania, Afryka Wschodnia

Rozmowy i śmiech przenikały przez zakurzone deski podłogowe, a wraz z nimi dźwięki szafy grającej, zapachy tanich perfum i zwiędłego piwa. Przez otwarte okno wpadał uliczny hałas i spaliny z ciężarówek. Annah leżała na niewygodnym łóżku, tępo wpatrując się w pokrywające sufit plamy wilgoci. Nic jej nie obchodziły dźwięki, zapachy, a nawet ukąszenia pluskiew. Stanowiły jedynie tło dla kolejnych poranków i zmierzchów - czasu upływającego w obskurnym pokoju nad barem, w którym niegdyś, w innym świecie, misjonarka siedziała z synem wodza. Oboje tak elegancko wtedy wyglądali w zachodnich ubraniach, a ciężkie powietrze przesycone było zapowiedzią czegoś wyjątkowego, cennego, co dopiero miało nadejść.

Właściciel hotelu codziennie składał jej wizytę. Pukał głośno, żeby wyciągnąć białą kobietę z łóżka. Annah podchodziła do drzwi z jakimś wyjętym z walizki przedmiotem w rękach. W ten sposób płaciła za pobyt w brudnym pokoiku, miseczkę niejadalnej stawy oraz dzban mętnej wody, którą dwa razy dziennie przynosił kuchcik. Przypominało to grę w karty, w której ciągle przegrywała. Wyobrażała sobie, że kiedy pozbędzie się ostatniej

rzeczy, po prostu umrze. Naga, bezużyteczna skorupa - pusta i wyrzucona. Tęskniła do chwili, kiedy będzie mogła pogрузić się w cichym zapomnieniu, które przy-

375

niesie jej ulgę. Czuła, że koniec jest bliski, dlatego codziennie po przebudzeniu dziwiła się, że jeszcze żyje.

Energiczne pukanie do drzwi zaskoczyło kobietę. Wydawało jej się, że tego dnia właściciel był już z wizytą, ale przecież mógł już upłynąć następny dzień i jeszcze jedna noc. Z trudem wstała i spojrzała na walizkę, zastanawiając się, z czym może się rozstać. Potem przypomniała sobie, że ostatnim razem wyzbyła się zegarka. Poczowała dziwną lekkość nadgarstka. Uszczęśliwiony właściciel hotelu przycisnął zegarek do piersi i szybko zbiegł na dół, jakby obawiał się, że Annah zmieni zdanie. Tym razem na pewno wystarczy jakiś drobiazg.

Pukanie rozległo się ponownie.

Odwrociła się w stronę drzwi. Poczowała nagłą złość na chciwego mężczyznę. To wytrąciło ją z letargu. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi.

Na progu stał młody, jasnowłosy, porządnie ogolony mężczyzna w szarym, schludnym garniturze. Miał błękitne oczy, opaloną twarzą i krótko przycięte włosy. Annah przyglądała mu się zdumiona. Mężczyzna również wyglądał na zaskoczonego. Baczenie przyjrzał się zmierzwionym, rudym włosom kobiety, jej wymiętej koszuli i kitenge, podrapanym nogom i bosym, brudnym stopom. Ten widok sprawił, że gość stracił pewność siebie.

Cofnął się i wcisnął kobiecie do ręki białą karteczkę.

Rzuciła okiem na świstek papieru. Natychmiast rozpoznała biało-błękitne logo, przedstawiające rybę wyskakującą z wody. Dla misjonarzy i Afrykańczyków ten znak stanowił symbol cennych, niemal świętych dóbr - lekarstw i sprzętu medycznego. W dolnej części wizytówki widniał napis, wykonany prostym, współczesnym krojem czcionki:

Mr Jed Saunders Amerykańskie Stowarzyszenie Badań Medycznych

- Pani wybaczy. Przepraszam, że niepokoję. - Mężczyzna mówił z lekkim amerykańskim akcentem, przeciągając samogłoski. - Szukam kogoś.

376

Z powątpiewaniem zerknął kobiecie przez ramię, lustrując wnętrze nędznego pokoju.

Annah stłumiła niepokój. Nikt jej nie szuka. Nikt jej nie chce.

- Słyszałem, że w tej okolicy mieszka biała kobieta. - Przy tych słowach grdyka mężczyzny gwałtownie poruszyła się pod sztywnym kołnierzykiem. - Jest kimś w rodzaju szamanki. Wiem, że to brzmi głupio.

W tym momencie jego spojrzenie padło na poplamioną i zniszczoną, ale wciąż opatrzoną znakiem firmowym walizkę. Jeszcze bardziej się zmieszał.

- Odwiedziłem wioskę, w której podobno mieszkała - kontynuował przybysz z wysiłkiem. - Ludzie z plemienia Wa-ganga...

Annah drgnęła.

- Waganga?

Zania. Patamisha. Królowa matka. Wojownicy Mtemiego. Przybysz przytaknął.

- Ich przywódca powiedział mi, że owszem, przebywała wśród nich biała kobieta, ale kilka tygodni temu odeszła. Poradził, żebym popytał o nią w okolicy Murchanzy. Naczelnik poczty poinformował mnie, że w tym hotelu zatrzymał się ktoś taki.

Mężczyzna zamilkł. W powietrzu zawisło pytanie. Annah nie odrywała oczu od gościa. Zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy, ale w głowie miała gonitwę myśli. Mężczyzna szukał właśnie jej! O co może mu chodzić? Co jest bezpieczniejsze - zachowanie milczenia czy zdobycie dalszych informacji?

- Nic nie wiem o tej kobiecie.

- Nie słyszała pani o niej? Nie widziała jej pani? - pytał Jed. ,,

Przecząco pokręciła głową, ale wciąż się zastanawiała. Gdy po chwili otworzyła usta, starała się przybrać obojętny ton.

- A co, do diaska, biała kobieta robiła w afrykańskiej wiosce?

377

^- Nie wiadomo. Niektórzy mówią o niej jako o królowej, żonie wodza. Inni wspominają, że była uzdrowicielką.

Jed się jękał. Podejrzewał niewątpliwie, że jego słowa brzmią co najmniej idiotycznie.

- Kiedy spytałem, co ta kobieta potrafi, przyprowadzono do mnie staruszkę, który wyglądał na szamana. Wyrażał się o niej z najwyższym szacunkiem. Mówił, że posiada ona ogromną moc, że zna zarówno afrykańskie, jak i zachodnie lekarstwa. Twierdził, że razem pracowali!

Annah uniosła brwi, udając zdziwienie. W głębi duszy poczuła radość na myśl o pochwałach Zanii i o tym, że nikt nie zdradził przybyszowi, dlaczego została wypędzona z wioski. Chwyciła się myśli, że był to akt lojalności wobec jednego z członków plemienia. Nagłe wzruszenie poruszyło uspięne nerwy.

- Bardzo zależy mi na odnalezieniu tej kobiety. - W głosie mężczyzny zabrzmiała nutka desperacji. Jego rozmówczyni się wyprostowała.

- Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

- Mimo to dziękuję. - Młody człowiek uśmiechnął się przepraszająco. - Przepraszam, że panią niepokoiłem.

Uniół dłoń na pożegnanie i odwrócił się.

Annah stała w drzwiach, patrząc, jak postać w szarym garniturze znika w głębi ciemnego korytarza. Kłopotliwy przybysz oddalał się...

Wróciła do pokoju. Gdy jednak podeszła do wygniecionego materaca i poplątanych, brudnych prześcieradeł, zdała sobie sprawę, że nie zdoła z powrotem zapaść w błogie odrętwienie, które dotychczas stanowiło jej ucieczkę. Pojawienie się obcego mężczyzny i jego słowa pociągały za sobą zbyt wiele pytań, rozbudziły zbyt wiele uczuć.

Wyszła na korytarz. Gość właśnie skręcał na schody.

- Proszę zaczekać!

Jej głos zabrzmiał głucho wśród surowych, gołych ścian. Oddalający się przystanął.

- To ja. To mnie pan szuka.

378

Mężczyzna odwrócił się i spiesznie cofnął. W jego oczach pojawiły się nadzieja i niedowierzanie.

- Zejdźmy do baru i pogadajmy - zaproponował. Mówił pewnie i z zapałem. - Zafunduję pani lunch. Drinka. Co pani zechce.

- Nie, dziękuję.

Annah zaprosiła go do pokoju.

Przestępując przez próg, Jed nieufnie zerknął na kobietę. 'Znalazłszy się w środku, zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem. Annah wyczuła zapach wody po goleniu o cytrusowym zapachu i wczorajszy pot. Dopiero teraz zauważyła zakurzony garnitur mężczyzny i przybrudzone mankiety wy-krochmalonej koszuli.

- Proszę pozwolić, że wyjaśnię, kim jestem - zaczął gość. - Pracuję w firmie farmaceutycznej, w dziale badań. Produkuje leki. Obecnie antybiotyki to wielka rzecz. Chcemy odkryć ich więcej. To chyba logiczne. - Tu przerwał i obdarzył swoją rozmówczynię uśmiechem. - Naszym zdaniem istnieje spora szansa, że tutejsi szamani, praktykujący od wielu pokoleń, mogli natknąć się na coś, co udałoby się nam wykorzystać. Prysłano mnie tutaj, żebym się temu przyjrzał. - Mężczyzna westchnął. - W sali zarządu firmy to zadanie wydawało się całkiem proste. Teraz od wielu tygodni jeżdżę z jednej zapomnianej przez Boga dziury do drugiej, szukając znachorów i próbując coś z nich wyciągnąć. Mieszkam w namiocie. Nie kąpię się. Ale wszystko na nic. Moim zdaniem to jedno wielkie oszustwo i przesady. Nie znalazłem żadnego skutecznego lekarstwa. Problem polega na tym, że nie mogę wrócić z pustymi rękami. - Po tych słowach rzucił jej błagalne spojrzenie. - Potrzebuję pani pomocy. Gdyby tylko zechciała mi pani powiedzieć... z własnego doświadczenia... Czy widziała pani, żeby ci ludzie zrobili coś, co rzeczywiście podziałało?

Annah wysunęła brodę do przodu w nagłym przypiływie dumy.

- Oczywiście.

Opowiedziała o cudownym uzdrowieniu Ndatali. Następnie

379

opisała inne przypadki, w których Zania pomógł chorym, gdy zachodnie leki zawiodły lub były niedostępne.

- Zdumiewające! Cudowne! - Gość z zadowoleniem zacierał ręce. - Proszę mi opowiedzieć coś więcej.

Annah przytoczyła jeszcze kilka przykładów, wybierając je na chybił trafił spośród wielu wspomnień, które nagle ożyły.

- Czy te wszystkie uzdrowienia były dziełem szamana, który powiedział mi o pani? - dopytywał się Jed.

- Ochronnego doktora - poprawiła go Annah. - Tak, jego.

- Pytałem go, czy używa ziół - wyjaśnił Jed z powątpiewaniem - ale on odparł, że korzysta jedynie z takich składników jak krew kury czy sierść psa.

Wyobrazivszy sobie tę sytuację, wybuchnęła śmiechem. Była zaskoczona tym tak dobrze znanym, a jednak obcym dźwiękiem, który przypominał stukot pierwszych kropli, oznajmiających początek pory deszczowej. Czuła, że coś w niej drgnęło - maleńkie, wysuszone ziarnko zaczęło kiełkować, zielone gałązki pięły się w górę.

Jed wzruszył ramionami, zrezygnowany.

- Nie umiem się z tymi ludźmi dogadać. Nie wiem, co robić. Może zechciałaby pani wrócić ze mną do wioski. Wtedy pewnie udałoby mi się zdobyć jakieś informacje.

Kobieta wbiła wzrok w swoje kurczowo zaciśnięte dłonie.

- Nie mogę - szepnęła. Mężczyzna zamarł.

- Dlaczego? Przecież żyje pani z nimi w dobrych stosunkach. Nie rozumiem, na czym polega kłopot. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął skórzany portfel. - Naturalnie, zapłacę pani tyle, ile pani zechce.

Annah potrzęsnęła głową.

- Nie chodzi o pieniądze.

Jed zmarszczył czoło. Znów zaczął przemierzać pokój, raz po raz zerkając na swoją rozmówczynię, jakby zastanawiał się, jak ją przekonać.

- Zrobimy tak - powiedział wreszcie. - Zatrzymam się

380

w tym hotelu na noc. Pani się zastanowi, a ja jutro rano przyjdę po odpowiedź.

Annah się nie odezwała. Otworzyła drzwi i zaczęła, aż mężczyzna wyjdzie.

Oparła się plecami o zamknięte drzwi. Wydawało jej się, że od wyjścia Amerykanina upłynęło kilka dobrych minut, ale nie ruszała się z miejsca. Przez cały czas rozglądała się po pokoju. Dostrzegła szarą od brudu, podartą moskitierę, naznaczone żółtymi plamami potu poduszki i tumany kurzu pod łóżkiem. Szczegóły, na które przedtem nie zwracała uwagi, teraz przyciągały wzrok i działały na nerwy. Jakby wizyta Jeda, jego słowa przeniknęły do świata Annah, rozpędziły rzucone na nią czary, z powodu których tkwiła w całkowitym, ale bezpiecznym odrętwieniu. Oczom kobiety ukazała się brzydka, szara rzeczywistość.

Nie była w stanie dłużej tego znieść. Podeszła do okna i gwałtownym ruchem otworzyła skrzydło, wpuszczając do środka światło i świeże powietrze. Oddychała głęboko, wypełniając tlenem nadwątlone płuca. Potem oparła się dłońmi o parapet i wychyliła na zewnątrz.

Ujrzała zaparkowany pod hotelem samochód. Domyśliła się, że auto należy do Jeda - na drzwiach land-rovera widniał wielki emblemat ASBM. Pojazd wydawał się całkiem nowy - cienka warstwa czerwonego pyłu tylko nieznacznie zgasiła błękit i biel. W samochodzie widać było obłe kształty namiotu i kilka plecaków. Oraz mnóstwo sprzętu obozowego. To, czego Jed używał podczas bezskutecznych podróży od wioski do wioski.

Stała, spoglądając w dół. W jej głowie powoli zaczął dojrzewać pewien pomysł. Stopniowo nabierał coraz bardziej wyrazistych i rzeczywistych kształtów.

Annah przeszła przez foyer, czując pod bosymi stopami chłód betonowej podłogi. Bez wahania skierowała się prosto do baru, w którym, jak ją poinformowano, mogła znaleźć

381

Amerykanina. Przed wyjściem z pokoju przygładziła włosy, umyła twarz i na nowo zawiązała kitenge. Pomimo podjętych starań nadal wyglądała na nieco zaniedbaną dziwaczkę. Kilku Murzynów, opierających się o szafę grającą, bacznie jej się przyjrzało. Nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Interesował ją jedynie biały mężczyzna przy barze.

Jed oderwał wzrok od brudnej szklancicy z piwem i spojrzał na nią. Był wyraźnie zdziwiony, że pojawiła się tak prędko. Na dodatek właśnie tutaj. Przypomniał sobie o dobrych manierach, poderwał się, by ją powitać.

- Mogę panu pomóc - zaczęła Annah bez ogródek. - Zawrzyjmy układ.

- Układ?

Na dźwięk tego słowa oczy mężczyzny zalsniły.

Przytaknęła.

- Proszę dać mi land-rovera, zagwarantować wynagrodzenie dla afrykańskiego pomocnika i zapewnić nieprzerwaną dostawę leków produkowanych przez waszą firmę. Będziemy jeździć po kraju, żeby leczyć i uczyć ludzi zamieszkujących odległe obszary. W trakcie naszej eskapady będę wypytywać lokalnych szamanów i informować pana o swoich odkryciach. Co więcej, zbiorę próbki substancji leczniczych i wyślę je panu pocztą.

Powiedziawszy wszystko, co sobie zaplanowała, Annah ucichła. Brakło jej tchu. Po długim okresie milczenia była zaskoczona mnogością słów, uczuć i myśli.

Jed patrzył zaskoczony gwałtowną reakcją rozmówczynie. Kiedy zrozumiał, o co jej chodzi, uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Zgoda. - Wyciągnął dłoń. - Proszę dać mi kilka tygodni na zorganizowanie wszystkiego. Natychmiast wracam do Dar es-Salaam i zobaczę, co da się zrobić.

Annah przecząco potrząsnęła głową. Wiedziała, że musi szybko działać. Czekanie oznaczało ponowne pogrążenie się w obezwładniającym odrętwieniu.

Uśmiech zamarł Jedowi na ustach.

382

- Nie bardzo wiem, jak...

- Wezmę to, co pan ma - przerwała mu. - Do Dodomy dojedzie pan pociągiem.

Mężczyzna otworzył usta. W jego oczach ponownie pojawiło się zwątpienie.

- Muszę to uzgodnić z zarządem firmy. Przygwoździła go spojrzeniem. Kiedy się odezwała, jej słowa brzmiały jasno i wyraźnie:

- Teraz albo nigdy.

Zaplecze sklepu Araba przypominało grotę Aladyna. Stłoczone przedmioty lśniły i migotały w wiecznym półmroku.

Jed zdjął z ramienia ciężką torbę i postawił na podłodze. Zawierała przeterminowane leki, które musiał kupić w miejscowym domu handlowym za wygórowaną cenę. Resztę zaopatrzenia - jedzenie, zapalki, pojemniki z naftą i inne niezbędne rzeczy - zostawił na zewnątrz pod opieką afrykańskiego portiera. Zgromadzenie wszystkiego, czego życzyła sobie Annah, zajęło kilka godzin. Zapewniła Jeda, że ta cuchnąca dziura jest ostatnim miejscem, do którego muszą wejść.

- Chcę kupić dwie sztuki - powiedziała do Araba, posługując się suahili. - Jedną na ptactwo i drobną zwierzynę. Drugą na coś większego.

Handlarz pochylił owiniętą turbanem głowę, po czym położył na ladzie strzelbę i pistolet. Broń nie była nowa, ale dobrze wypolerowana i naoliwiona.

- Są to bardzo dobre sztuki. Takie, jakich pani szuka.

Nawet nie biorąc ich do ręki, Annah stwierdziła, że żadna nie dorównuje jakością broni, jakiej używał Michael.

Potrząsnęła przecząco głową. Arab odwrócił się do Jeda. Sporo czasu minęło, nim sprzedawca zorientował się, że decyzja należy do białej kobiety, a nie do towarzyszącego jej mężczyzny. Nadal jednak prosił Jeda o pomoc.

Ale on tylko wzruszył ramionami i powiedział:

- Pokaż coś innego.

Następna propozycja wyglądała znacznie lepiej. Jed cofnął

383

się, gdy Annah zaczęła przykładać do ramienia kolejne strzelby i sprawdzać lufy.

- Nie są najlepsze. - Pokręciła głową. Gdy wreszcie zdecydowała się na dwudziestkędwójkę, cała lada była zavalona bronią. Arab nie ukrywał podziwu.

- Wie, czego chce! - powtarzał ze zdumieniem. Gdy kobieta sprawdzała strzelbę myśliwską, sprzedawca stanął obok. Bacznie jej się przyjrzał, zatrzymując wzrok w miejscu, gdzie kończyły się guziki, a zaczynały klapy bluzki.

- Kolba wykonana została z rzadkiego drzewa - szepnął poufale. - Ma piękną, srebrną inkrustację. - Wodził palcami po lufie.

- Niech pan po prostu połóż ją na ladzie - warknął Jed.

Annah w skupieniu marszczyła czoło, poddając strzelbę dokładnym oględzinom, po czym poprosiła o pokazanie następnej.

Ostatecznie zdecydowała się na winchestera M70,375 magnum.

Arab gwizdnął przez przebarwione zęby.

- Bardzo drogi. Amerykański. Nowiutki. Annah odwróciła się do Jeda.

- Mogę poprzestać najeffriesie - powiedziała.

Miała na myśli egzemplarz używany, ale w dobrym stanie.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

Jed się wyprostował.

- Zależy mi na tym, żeby miała najlepszą broń - wyjaśnił. -Cena nie gra roli. Arab kiwnął głową

- Jest jeszcze kwestia pozwolenia na broń.

- Więc je załatw - nakazał Jed.

Położył na ladzie wypchany portfel i zaczął wyjmować z niego amerykańskie dolary. Gdy dobili targu, Annah przewiesiła sobie przez ramię obydwie nabytki i skierowała się do wyjścia.

- Zaczekajcie. Może się czegoś ze mną napijecie - zaproponował handlarz. - Mam herbatę miętową, a nawet kawę.

384

- Dzięki, ale nie skorzystamy - uciął Jed i szybko poprowadził swoją towarzyszkę do wyjścia, idąc z nią ramię w ramię, jakby w jakiś sposób do niego należała.

Wybiło południe, kiedy znaleźli się wreszcie przy biało—błękitnym land-roverze i na pożegnanie uścisnęli sobie dłonie. W drzwiach baru stał otoczony tłumem klientów hotelarz i przyglądał im się z zaciekawieniem.

Jed raz za razem zaglądał do samochodu i pytał Annah, czy na pewno ma wszystko, czego potrzebuje. I czy naprawdę poradzi sobie sama?

Kobieta rozwiąła jego wątpliwości i usiadła za kierownicą.

- Nie martw się o pracę - zapewniła, patrząc na Jeda. - Nie zawiodę cię.

- Dziękuję - odrzekł.

Wyciągnęła dłoń po kluczyki.

Wręczając je, mężczyzna promiennie się uśmiechnął.

- Wreszcie będę mógł stąd uciec!

Jednak kiedy się cofnął i pomachał Annah na pożegnanie, na jego twarzy pojawił się rzewny uśmiech, a w błękitnych oczach gwiazdora filmowego - żal.

Annah powoli zbliżała się do centrum osady. Minęło trochę czasu, nim od nowa przyzwyczaiła się do roli kierowcy. Teraz prowadziła już pewną ręką. Zatrzymała samochód. Rozejrzała się dookoła, z trudem rozpoznając odnowione budynki szpitala misyjnego w Germantown i uporządkowane ogrody.

Jak zawsze wokół samochodu zebrał się tłum Murzynów -pacjentów i pracowników szpitala. Gdy ujrzeli za kierownicą Annah, zamiast przyjaznych, powitalnych uśmiechów pojawiły się jednak niepewne spojrzenia. Minęło kilka krępujących minut, nim w drzwiach pojawiła się siwowłosa siostra Margaret i powoli zaczęła przepychać się przez tłum. Misjonarka zerknęła na wóz i widoczne na bocznych drzwiach logo, po czym zatrzymała wzrok na przybyszu.

Kobiety przez chwilę przyglądały się sobie nawzajem. W tym momencie tak wiele mogły sobie powiedzieć - o śmier-

385

ci Mtemiego, o pracy, jaką Annah wykonała w wiosce, o liścikach wymienianych za pośrednictwem pacjentów. Jednak żadna z nich nie zaczęła rozmowy na ten temat.

- Witamy w Germantown - powiedziała wreszcie misjonarka i uśmiechnęła się uprzejmie.

W jej oczach Annah dostrzegła współczucie, które jednak szybko ustąpiło miejsca zaniepokojeniu.

- Dziękuję.

Annah zdawała sobie sprawę, że wszyscy czekają, aż wysiądzie z samochodu. Wtedy wiedzieliby, czy zostanie zaproszona na herbatę, modlitwę, zwiedzanie szpitala. Ale ona pozostała za kółkiem i przyglądała się Afrykańczykom.

- Czy coś się stało? - spytała siostra Margaret, omiatając karcącym spojrzeniem grupkę szepczących pielęgniarek.

Ich zaokrąglone oczy świadczyły o tym, że spodziewają się jakiegoś skandalu.

- Szukam Stanieya - wyjaśniła Annah. - Muszę się z nim zobaczyć. Potem odjadę.

Siostra Margaret odetchnęła z ulgą. Wydała jakieś polecenie w suahili nastoletniemu chłopcu, który ruszył biegiem. Annah zdziwiła się, kiedy minął pawilony i skierował się w stronę zabudowań gospodarczych.

- Dokąd on biegnie?

- Po Stanieya. Nastąpiły pewne zmiany - wyjaśniła siostra Margaret. - Przywiozłam z Moshi własnego pomocnika i kilka najlepszych pielęgniarek. Staniey nie był już tu potrzebny.

Annah z niedowierzaniem przyglądała się kobiecie. Pełne napięcia milczenie przeciągało się. W końcu chłopak pojawił się z triumfalnym uśmiechem na ustach.

- Magazynier już idzie.

Gdy Annah zobaczyła zbliżającą się wysoką, dobrze znaną postać, poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Staniey nadal nosił spodnie i koszulę w kolorze khaki, chociaż częściowo zakrywał je duży płócienny fartuch. Zauważyła, że kiedy ją rozpoznał, na twarzy Murzyna pojawiło się najpierw zdumienie, a potem promienny uśmiech. Natychmiast ruszył biegiem.

386

Dotarłszy do land-rovera, zacisnął dłonie na drzwiach, jakby chciał się upewnić, że wóz nigdzie nie odjedzie.

- Jak się miewasz? - zaczął tradycyjną formułką. Przyjaciele wymienili zwyczajowe pytania i odpowiedzi. W oczach mężczyzny widać było, że wie, jaka tragedia rozegrała się po ich rozstaniu. Skończywszy powitalny rytuał, obydwójce umilkli. Gdzieś poza terytorium misji krzyczała na wierzchołku drzewa perliczka. Annah pochyliła się do Stanieya.

- Coś ci przywiozłam - powiedziała. - Szafkę, która zawsze będzie pełna leków.

Kiwnięciem głowy wskazała na tylne siedzenie, Staniey zmarszczył czoło, zdumiony.

Wsiadła z land-rovera. Z tłumu dobiegł zduszony okrzyk. Póki była w samochodzie, widzieli jedynie jej różową kurtkę. Teraz oczom gapiów ukazała się zawiązana w pasie typowo afrykańska tkanina. A także bursztynowe paciorki i bransoleta z kości słoniowej. Gołe nogi i brudne, bose stopy. Nie zważając na tę reakcję, kobieta otworzyła tylne drzwi. Staniey zajrzał do środka, dostrzegł sprzęt medyczny i campingowy. Zatrzymał spojrzenie na ogromnym, białym, metalowym kufrze z wymalowanym z przodu czerwonym krzyżem.

- Twoje marzenie może się ziścić - kusił Annah. Staniey ze zdziwieniem pokręcił głową.

- Przecież babcia mówiła, że tak będzie.

- To znaczy, że pojedziesz ze mną? - spytała Annah, patrząc mu w oczy.

- Chwileczkę - wtrąciła siostra Margaret. - Nie może pani tak po prostu go stąd zabrać. Jest pracownikiem misji. Annah przeniosła wzrok na misjonarkę.

- Na pewno znajdziecie na jego miejsce innego magazyniera - powiedziała. Potem zwróciła się znów do mężczyzny: - Judithi też może z nami jechać. Będziemy potrzebowali kucharki.

- Nie przyjechała do mnie - wyznał Staniey. - Poprosiła o rozwód, ponieważ chciała poślubić mężczyznę, którego po-

387

znała w wiosce swojej matki. - Rozłożył ręce. - Jak więc widzisz, jestem wolny.

Annah wyciągnęła w jego stronę kluczyki od land-rovera. W promieniach słońca mienił się biało-błękitny, emaliowany znak ASBM. Staniey przez chwilę się wahał. Potem złożył dłonie w łódeczkę, jak robią to tubylcy, kiedy mają dostać coś cennego. Przyjaciółka rzuciła mu kluczyki.

Siostra Margaret wysunęła się do przodu.

- Stawia go pani w niesłychanie trudnej sytuacji - zaprotestowała. - Proszę zaczekać, aż powiadomię przez radio doktora Camngtona.

Annah pochyliła się nad siwowłosą pielęgniarzką i spojrzała na Stanieya. Widziała, że jest rozdarty. Urodził się i został wychowany w misji. Decyzja o wypuszczeniu się w teren bez wiedzy zwierzchników nie należała do najłatwiejszych. Biorąc pod uwagę niejasną

propozycję, sam pomysł nie był zbyt rozsądny. Wiedziała jednak, że Staniey jej ufa - podobnie jak ona jemu. Spojrzał na kluczyki w dłoniach, jakby się zastanawiał, czy ich nie oddać. Potem zacisnął na nich palce, odwrócił się do siostry Margaret i uklonił z szacunkiem.

- Do widzenia.

Annah czekała przy land-roverze. Staniey pobiegł się spakować. Nikt z obecnych się nie poruszył. Część gapiów szeptem wymieniała uwagi. Siostra Margaret milczała, z konsternacją marszcząc czoło.

Staniey wrócił po kilku minutach. Pod pachą niósł szmaciany tobolek. Wrzucił go na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą. Afrykańczycy śledzili każdy jego ruch. Z natężeniem obserwowali, jak jeden z nich samodzielnie podjął decyzję i opuścił przydzielone mu stanowisko. Nie bardzo wiedzieli, czy mu zazdrościć, czy też współczuć. Wyglądali na zmieszanych.

Wyjeżdżając na drogę, Staniey promiennie się uśmiechał. Sprawdził działanie wycieraczek, wskaźniki na desce rozdzielczej, wentylatory i światła.

- Wszystko mnie słucha! - Gwizdnął zdumiony. - Ten wóz

388

został bardzo dobrze wyćwiczony! - Odwrócił się do Annah i zapytał: - Dokąd jedziemy?

-r Dokąd chcesz - odparła i rozłożyła ręce. Staniey zmarszczył brwi.

- To znaczy?

Annah wyjaśniła, że w Murchanzie spotkała Amerykanina, który potrzebował pomocy. Powiedziała o zawartej z nim umowie. Była wdzięczna swemu towarzyszowi za to, że o nic nie pyta, tylko słucha, nie odrywając wzroku od drogi. Kiedy skończyła, z namysłem kiwnął głową.

- To dziwne, że białego człowieka interesuje afrykańska medycyna.

- Owszem - zgodziła się.

Gdyby nie fakt, że w nowiutkim land-roverze pełno było rzeczy Jeda, sama zastanawiałaby się, czyjej pamięć nie myli.

- Ale to mi się nie podoba - kontynuował Staniey. Kobieta zeszytniała, zaskoczona jego ostrą reakcją. - Nie możemy odwiedzać miejsc, w których nikt nas nie zna. To byłoby nierozsądne - dodał. - Zwłaszcza że mamy szukać ludzi z określoną wiedzą. Nie wszyscy są tacy jak Zania czy moja babcia.

- Będziemy uważać - zapewniła go. - Będziemy pytać tylko o leki, nie o zaklęcia i magię.

Wyraz twarzy mężczyzny się nie zmieniał. Murzyn wciąż nie był przekonany.

- Obejrzyj się - zaproponowała, przytrzymując kierownicę, żeby Staniey mógł się odwrócić. - Widzisz ten prostokątny kształt pod śpiworem?

- Widzę - przyznał.

- To lodówka! - oznajmiła, przyglądając się jego twarzy. Wiedziała, że nie musi mu tłumaczyć, co to oznacza. Będą

mogli przewozić lekarstwa na duże odległości. Dotrą do ludzi,

którzy inaczej nie mieliby szansy na ratunek.

- W takim razie warto spróbować - uznał Staniey. - Ale musimy prosić Boga o pomoc.

Spojrzał na Annah, oczekując od niej potwierdzenia. Patrzyła prosto przed siebie. Staniey przez chwilę jej się przy-

389

giądał, po czym się odwrócił. Jego wzrok padł na wiązkę piór flaminga, wetkniętą w otwór w desce rozdzielczej.

- Absolutnie nie możesz winić Boga za swoje cierpienie -
powiedział łagodnie.

Ale Go winie. Pozwolił Mtemiemu umrzeć - pomyślała. Nie powiedziała tego na głos. Po co miałyby dzielić się

z kimś swoim bólem i wątpliwościami? Mroczne myśli lepiej
zachować dla siebie.

- W takim razie ja się będę modlił - oznajmił Staniey zdecydowanie. - Za nas dwoje.

Zmierzali na południe wąską, pokrytą kurzem drogą. Żadne z nich nie wiedziało, dokąd zaprowadzi ich ten trakt. Spodziewali się jedynie, że wcześniej czy później natrafią na wioskę albo niewielką osadę. W miarę pokonywania kilometrów czuli się coraz wolniejsi. Wybierali się na safari. Bez mapy, bez ustalonego planu. Musieli tylko pamiętać o dwóch sprawach. Pierwsza z nich to tankowanie (ale nie martwili się o to zbyt, gdyż land-rover Jeda miał drugi bak i kilka zapasowych kanistrów). Druga - to konieczność pojawiania się co jakiś czas w Murchanzie, żeby wysłać próbki Jedowi, podjąć gotówkę i odebrać nowe partie leków.

Pierwszą noc spędzili w obozie przy drodze. Rozbili namioty po przeciwnych stronach ogniska i wyładowali rzeczy Jeda. Okazało się, że Amerykanin cenił sobie wygodę oferowaną przez sprzęt campingowy - zabrał składaną płócienną miskę i wannę, przenośną ubikację, kilka latami, menażkę, składane krzeselka i stoliki. Żaden z tych przedmiotów nie był prosty w użyciu, wszystkie miały niezliczoną liczbę prętów, linek, zatrasków i suwaków.

Staniey przyglądał się obozowisku. W miejsce początkowego zwątpienia pojawiło się zadowolenie.

- To będą dobre prezenty. Możemy dawać je wodzom i przywódcom. W zamian dostaniemy bardziej praktyczne rzeczy. Kury i koszyki. Owoce mango.

Przepakowując land-rovera, Annah słyszała dzwonienie

390

emaliowanych talerzy i nieco cichsze trzaskanie płonących drew - to jej towarzysz przygotowywał posiłek. Znajome, typowe dla safari dźwięki zapewniały ukojenie. Jednak tym razem obozowisko nie było tymczasowym domem. Oboje nie mieli niczego więcej. Żadnej drogi odwrotu. Annah zastanawiała się nad ich obecną sytuacją, jak ktoś, kto sprawdza bolesność rany, celowo jej dotykając. Za kogo można ich uznać? Za ludzi wolnych czy wygnańców? Bezdolnych czy nieskrępowanych żadnymi więzami? A może stanowią mieszaninę wszystkich czterech typów...

Staniey i Annah popijali gorącą herbatę z połyskujących kubków ze stali nierdzewnej. Na ogniu bulgotał gulasz. Annah zauważyła, że Staniey patrzy na prezent od Zanii - bransoletkę z kości słoniowej. Wyciągnęła rękę, by mógł lepiej się jej przyjrzeć.

- Co to oznacza? - spytał, wskazując wyrzeźbione na bransoletce znaki.

- Nic - odparła. - Ot, zwykły wzorek. Dostałam to od Zanii. Murzyn potrząsnął przecząco głową.

- Szaman nie bawi się we wzorki. U niego wszystko ma jakieś znaczenie.

Annah spojrzała znów na bransoletkę. Przypomniała sobie, że Sarah nigdy nie kupowała żadnych afrykańskich rzeźb, chyba że przedstawiały dziką zwierzyńnię, nie chcąc przez przypadek nabyć czegoś, co wykorzystywano w praktykach okultystycznych. Nie pozwalała też nucić afrykańskich piosenek, jeśli nie znało się znaczenia ich słów. Uniósłszy głowę, Annah zauważyła, że Staniey przygląda się bransoletce z wyraźną niechęcią.

- Nie obchodzi mnie, co znaczy ten wzór - oznajmiła. - Nie zdejmę jej.

Przypomniała sobie chwilę, kiedy Zania wsunął jej bransoletkę na rękę. Chłodny ciężar na nadgarstku. Wówczas stał przy niej Mtemi. A mieszkańcy wioski wznosili okrzyki na cześć swojej przyszłej królowej. Maj i! Maj i! Deszcz! Deszcz! Miała wrażenie, jakby to wszystko działo się bardzo dawno

391

temu, a jednocześnie było takie wyraźne i bliskie. Pochyliła głowę. Do oczu napłynęły jej łzy.

Koło południa następnego dnia Annah i Stanicy dostrzegli na horyzoncie wioskę - kilka chat i dym z ognisk. Zatrzymali się w niewielkiej odległości i wybrali miejsce na obozowisko. Nim rozpakowali namioty i sprzęt, powędrowali do osady.

Zostali przyjęci z ogromnym entuzjazmem. Dorośli i dzieci zebrali się wokół przybyszów, którzy pojawili się nie wiadomo skąd. Tubylcy nie mogli się nadziwić Afrykańczykowi w stroju białego człowieka i kobiecie częściowo ubranej jak Murzynka.

Thum zaprowadził ich do przywódcy, który powitał ich, posługując się łamanym suahili. Annah milczała, podczas gdy Staniey wyjaśniał, po co przyjechali. Zaczął od pokazania ste-toskopu, bandaży i lekarstw. Prezentował je jak wędrowny handlarz zachwalający swój towar. Na przywódcy wywarło to ogromne wrażenie. Musiał już słyszeć o cudach dokonywanych przez białych uzdrowicieli.

- Ta pani... - wymownym gestem prawej ręki Stanicy wskazał na Annah - ...chce wyleczyć chorych z waszej wioski.

- Nie stać nas na to. - Przywódca rozłożył ręce. - Jesteśmy bardzo biedni.

- Nie chcemy zapłaty. Nawet za leki - wyjaśnił Staniey. - Prosimy tylko o spotkanie z waszymi uzdrowicielami, żebyśmy mogli nauczyć się od nich wszystkiego, co dobre.

Mężczyzna bardzo starannie dobierał słowa, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą oskarżenie o czary. Pomimo jego wysiłków przywódca plemienia podejrzliwie zmarszczył czoło. Staniey wskazał przypiętą do koszuli plaketkę misji. Annah odwróciła wzrok, próbując nie myśleć o tym, jak biskup, Michael, a nawet Sarah zareagowałyby, wiedząc, że wykorzystują misję, by nawiązać kontakt z lokalnymi szamanami. „Wrogami lekarza misyjnego”.

Niebawem przywódca wyraził zgodę i przysłał kilku wojowników do pomocy przy obozowisku. W tym czasie biała kobieta przygotowała „przychodnię”. Porozkładała na przenoś-

392

nym stoliku butelki ze środkiem antyseptycznym, leki i opatrunki. Mikroskop stanął na płaskiej masce land-rovera. Zakończywszy przygotowania, zrobiła sobie przerwę, żeby zjeść placuszek i wypić kubek gorącej, mocnej, czarnej, osłodzonej miodem herbaty.

Mieszkańcy wioski już zaczynali się schodzić. Siadali grupkami na ziemi i przyglądali się Annah z nieskrywanym zachwytem.

Podczas badań, obmywań, opatrunków, zastrzyków, przepisywania leków, wręczania tubek z maścią i kostek mydła przeciw świerzbowi pielęgniarka nie zrobiła ani jednej przerwy. Staniey przez cały czas jej pomagał. Tylko nieliczni mieszkańcy wioski posługiwali się suahili, więc do porozumiewania się z nimi musiał używać różnych narzeczy. Czasami Annah miała wątpliwości, czy dobrze zrozumieli pacjenta. Większość ludzi cierpiała jednak na zwykłe, łatwe do rozpoznania dolegliwości.

Ostatni chory został przyjęty o zmierzchu. Pielęgniarka była wyczerpana, ale jej następne zadanie dopiero miało się rozpocząć. Miejscowy szaman godzinami się przyglądał wszystkiemu, co robiła. Teraz przywódca plemienia podprowadził go do stolika białej kobiety. Staniey powitał gościa, podsuwając mu krzesło.

Staruszek wolał stać. Miał dumną, prostą sylwetkę. Był chudy jak szczapa, a jego strój zdobiło mnóstwo związanych z zawodem przedmiotów - talizmanów, różków z ziołami, grzechotek i owiniętych w szmatki kamieni. Szaman przyglądał się białej kobiecie spod przymrużonych powiek. Był ostrożny, ale wyraźnie zaintrygowany. Bardzo przypominał jej Zanię, dlatego czuła się tak, jakby od dawna znała tego człowieka i darzyła go zaufaniem. Być może takie odczucie udzieliło się też szamanowi, gdyż staruszek przestał być opryskliwy i coraz swobodniej z nią rozmawiał.

- Żeby przygotować dobre lekarstwo, trzeba znać wiele tajemnic - zdradził. - Tylko ignorant zbiera rośliny, nie zważając na fazę księżyca. A głupiec wierzy, że skuteczny lek można przyrządzić na ogniu, w którym pali się piołun.

393

Z własnej inicjatywy dał białej kobiecie próbki trzech ziół, których używał do leczenia zwyczajnych dolegliwości. Ona w zamian ofiarowała mu kilka środków zakupionych przez Jeda. Szaman był zadowolony z wymiany. Usiadł na składanym krzeselku i starannie poprawił tkaninę, wystawiając na pokaz piękną podszewkę ze skóry jaszczurki. Staniey ukradkiem uśmiechnął się do Annah, po czym poszedł przygotować herbatę.

Gdy wreszcie pracowity dzień dobiegł końca, pielęgniarka dołączyła do siedzącego przy ognisku Stanieya.

- Dobilem targu - oznajmił na jej widok. - Teraz biały człowiek będzie siedział na drewnianym stołku.

Staniey wskazał dwa przysadziste taborety, przy których stały parujące miski.

- Są bardzo dobre. Stare i gładkie.

Kobieta usiadła. Przez kitenge wyczuła kształt gładkiego siedzenia, który doskonale pasował do jej pośladków. Wchłaniała unoszący się nad parującym kociołkiem zapach dobrze doprawionej potrawy z miejscowych warzyw i orzeszków ziemnych. Poczwała głód, uczucie od dawna jej obce. Staniey pochylił głowę i odmówił modlitwę. Kiedy skończył, Annah sięgnęła do garnka z ugali. Nabrała wyszorowanymi palcami trochę twardej masy kukurydzianej i zanurzyła w gulaszu warzywnym. Jej skóra pachniała środkami dezynfekującymi. Woń ta w połączeniu z dymem z ogniska,

i zapachem jedzenia tworzyła dziwną mieszankę.

- Jutro - oznajmił Staniey - będziemy jedli mięso. Kobieta ze zdziwieniem uniosła brwi. Nie mieli czasu na polowanie.

- Przywódca plemienia podarował nam kózkę - wyjaśnił Murzyn. - Jest bardzo wdzięczny za to, że złożyliśmy mu wizytę. Powiedział, że gdybyśmy chcieli tu zostać, wybuduje dla nas chatę.

Annah uśmiechnęła się, skrywając ból. Przypomniała sobie Patamishę zapraszającą ją do nowiutkiego domostwa. Podarunku wodza dla kobiety, którą zamierzał poślubić...

394

- Rankiem jedziemy dalej? - spytała Annah, żeby nie wracać do wspomnień.

Jej współnik przytaknął.

- To mała wioska. Pomogliśmy wszystkim potrzebującym.

- W takim razie wyruszamy o świcie - zaproponowała. - Zanim ludzie się zjedą.

Annah wybiegła myślami w przód - wyobraziła sobie następną wioskę. Spotkanie z nowym przywódcą plemienia. Kolejkę pacjentów. Płaczące niemowlęta. Węszące psy. Pracowity dzień i rozmowę na temat miejscowych lekarstw. Próbkę dla sponsora. Oczekiwała tego wszystkiego z poczuciem ulgi. Będzie miała tyle pracy, że nie starczy jej czasu na myślenie, odczuwanie, oglądanie się wstecz. A w nocy będzie spać i spać. Nawet długie godziny podróży można wypełnić myślami o chorobach, pacjentach i kuracjach. Dzięki temu na pewno poradzi sobie z rozpaczą. Chociaż będzie to tylko egzystencja, nie prawdziwe życie. Ale przy okazji pomoże Stanieyowi urzeczywistnić jego marzenie. Każdego dnia uratuje dziesiątki ludzi, którzy mają po co i dla kogo żyć. Już samo to wystarczy, by uznać, że jej cierpienie na coś się przydaje.

20

Czerwony cętkowany kształt z odrobiną zieleni pływał w różowym morzu.

- Zarazki to coś w rodzaju maleńkich insektów, nie powinniśmy się więc dziwić, że każdy z nich, podobnie jak zwierzę, ma własną nazwę. Ten tutaj to cholera. - Staniey wskazał palcem na obrazek, który trzymał w ręce. Mężczyzna ogarnął spojrzeniem mieszkańców wioski, siedzących na słomianych matach i niewielkich taboretach. - Kali sana.

Kali sana. Te słowa miały wiele znaczeń. „Wyjątkowo niebezpieczny”. „Bardzo złośliwy”. „Gorący”. „Ostry”. Annah sprawdziła, jakie wrażenie wywarł ten wykład na słucha-

395

czach - ujrzała dziesiątki par oczu, wytrzeszczonych ze zgrozy, strachu i szacunku.

Stanicy sięgnął po następną, przysланą przez Jeda planszę z powiększonym zdjęciem bakterii.

- To teżec. Dobrze go znamy. Każde zaciskać szczęki tak, że człowiek w końcu może umrzeć z głodu.

Tłum zasyczał, jakby rozpoznawał niegodziwca.

„Wykładowca” pokazywał kolejne plansze, aż omówił wszystkie powszechnie występujące bakterie i wirusy. Następnie zaczął wyjaśniać, jak można z nimi walczyć. Wymienił gotowanie wody, szczepionki, mydła i pigułki. Tłum radosnymi okrzykami witał każdą rozsądną taktykę.

Annah z podziwem patrzyła na Stanieya. Podczas wielotygodniowej podróży okazało się, że jej współpracownik ze zdumiewającą łatwością nawiązuje kontakty z mieszkańcami

wiosek. Po zaopatrzeniu pacjenta w antybiotyki, które niemal każdy Afrykańczyk zawijał w rąbek zarzuconej na ramię tkaniny, Stanicy mówił na pożegnanie:

- Weź jedną o wschodzie słońca, drugą w południe, a trzecią o zachodzie. Nie postępuj tak jak ludzie ciemni i nie zażywaj wszystkich pigułek naraz w nadziei, że szybciej zadziałają!

Tabletki z żelazem nazywał lekiem dającym siłę. Gdy otwierał usta, pacjenci słuchali go uważnie i kiwali głowami, powoli przyswajając wiedzę.

Tego popołudnia zorganizowali spotkanie specjalne - pierwszy wykład na temat zdrowia i higieny. Towarzysz Annah był w swoim żywiole: dla podkreślenia najważniejszych kwestii przytaczał anegdotki i żartował. Humor pozwalał mu przekazywać cenną wiedzę. W trakcie wykładu Stanicy uważnie wpatrywał się w twarze mieszkańców wioski i prosił ich, by mu przyrzekli, że podejmą w swoich domach walkę z zarazkami.

Zaczął wyśpiewywać coś w rodzaju katechizmu, po każdym zdaniu robiąc pauzę, aby ludzie mogli je powtórzyć.

„Od dzisiaj przebudujemy nasze domy.

Zbudujemy dobre domy, z oknami i drzwiami, by wpuścić do środka czyste powietrze.

396

Zrobimy klatki dla kur i osobne zagrody dla kóz, żeby ludzie nie spali ze zwierzętami.

Dobrze ubijemy klepisko, żeby nie przedostały się przez nie kleszcze”.

Kiedy zniknęły plansze, mieszkańcy wioski zerknęli na Annah. Prawdopodobnie zastanawiali się, dlaczego biała kobieta siedzi i słucha, zamiast coś mówić. Szeptali między sobą, wskazując podarowany przez Mtemiego naszyjnik z bursztynowych paciorków i bransoletkę od Zanii. Annah zastanawiała się, co by pomysleli, gdyby znali prawdę. Że nie jest już białą kobietą. Że należy do plemienia Waganga.

Mogła rozpiąć koszulę i pokazać im bliznę - wycięty na piersi znak królewskiego rodu.

Wtedy dowiedzieliby się, że należy do jednego z plemion.

W takim razie czemu jest tutaj? Dlaczego nie przebywa wśród swoich?

Kobieta pochyliła głowę. Przypomniała sobie swoją sprofanowaną chatę. Podarte szmaty i krew kapiącą po futrynie. Zarżniętego ptaka na progu. Porozrzucane pióra...

Wstała i oddaliła się od zgromadzonych. Usłyszała dobiegający zza pleców szept zainteresowania. Stanicy zawahał się, ale po chwili wrócił do wykładu.

Annah wyjęła z land-rovera strzelbę. To dobry powód, by pobyć trochę w samotności. Czymś się zająć...

Oddaliwszy się od tłumu, przeszła przez obozowisko i zniknęła w gęstych zaroślach. Ostre kolce drapały jej ramiona, pozostawiając na opalonej skórze proste białe linie. Wreszcie mogła się schować. Została zupełnie sama.

Poddała się znajomemu, dławiącemu poczuciu osamotnienia, które wypełniło ją całą, wyciskało z płuc powietrze i tętniło w żyłach. Pogrążyła się w bólu, który wydawał się jedyną rzeczywistością. Nie widziała słońca ani twardej ziemi pod stopami. Czowała tylko na plecach zimny dotyk obojętnego na wszystko przedmiotu. Była to lufa strzelby - twarda i mocna. Ona też taka powinna się stać. Twarda. Pozbawiona jakichkolwiek uczuć. Tylko że była taka zmęczona. Chciała osunąć się

397

na ziemię, tutaj, pod osłoną drzew, i zasnąć wiecznym, pozbawionym koszmarów snem.

Z obozowiska dobiegł śmiech. Podniosła głowę. Słyszała głos Stanieya, niemal krzyk. Jej towarzysz tryskał humorem, pragnąc skierować uwagę słuchaczy na przedmiot wykładu. Surowe fakty dotyczące higieny i choroby, życia i śmierci. Powód, dla którego on i miła biała pielęgniarka przybyli do wioski.

Zdjęła strzelbę z pleców, oparła ją o ramię i zanurzyła się głębiej w zarośla. Szła, dopóki nie ogarnęła jej zupełna cisza. Dopiero wtedy zwolniła kroku, ale nie przestawała posuwać się do przodu.

Nie miała żadnego planu. Żadnej nadziei. Żadnych pragnień. Po prostu szła przed siebie.

Gąszcz się przerzedził. Niebawem Annah znalazła się na otwartej przestrzeni. Jakiś myśliwy bez trudu mógłby do niej wymierzyć. Skuliłaby się i upadła. Wreszcie obojętna na wszystko.

Na lewo od siebie dostrzegła niewielkie wzniesienie. Skierowała się w tamtą stronę. Jej spojrzenie było puste, myśli skupione na wizji własnego, martwego ciała.

Myśliwy zatapia nóż w mojej piersi - myślała.

Już nie mam serca.

Annah weszła na szczyt wzniesienia i zatrzymała się. Miała przed sobą lekko opadającą równinę, na której gdzieśgdzie rosły drzewa. Najbliżej stał samotny, ogromny baobab, przy którym spokojnie pasły się zebry, co chwila opędzając się od much. Na kobaltowym niebie krążyły białe ptaki.

Znieruchomiała, zauroczona pięknym widokiem. Odniosła wrażenie, że wszystkie jej młodzińcze marzenia o Afryce skupiły się w tym cudownym miejscu. Leżało u jej stóp niczym dar w postaci kwiatu, który w niepojęty sposób zakwitł na spalonej słońcem ziemi.

Kobieta z natężeniem wpatrywała się w baobab. Jego pień był tak gruby, jakby składał się z sześciu czy siedmiu drzew. Skierowała się w jego stronę. Przypomniała sobie drzewo, któ-

398

re kiedyś widziała. W wydrążonym pniu wisiały wysuszone zwłoki. Ale ten baobab wyglądał normalnie, zdrowo. Kiedy podeszła bliżej, poczuła słabą, świeżą woń. Dotknęła pnia. Srebrzysta kora była zaskakująco gładka, prawie miękka.

Odwróciła się i oparła plecami o potężne drzewo. Odpoczywała, patrząc na równinę. Promienie wieczornego słońca rzucały na ziemię złocisty blask. Zamknęła oczy. Kolory nie zniknęły. Czuła na powiekach ciepło, a na ciele - dotyk gładkiej kory, która osłaniała twarde drewno. Jak skóra mężczyzny.

Znieruchomiała.

Drzewo o szarej korze stanowiło wspaniałe oparcie. Teraz z tyłu stał Mtemi. Jego silne ręce obejmowały jej ramiona.

Nie bój się.

Zawsze będę z tobą, aż do końca świata.

Annah spojrzała na czerwoną ziemię. Przypomniała sobie silne stopy Mtemiego. Zdecydowanie stąpające po jego ziemi. Tej ziemi...

Wizja rozplynęła się we łzach, które kapały na ziemię - kap, kap. Jedna z nich upadła na muszkę i zamoczyła jej skrzydełka.

Łzy napływały Annah do oczu i toczyły się po policzkach. Jak potok, który przerwał tamę. Wypłukując ból.

Po jakimś czasie poczuła, że ogarniają spokój. Nie smutny, odrętwiały, lecz radosny, pełen blasku, rozjaśniający mrok. W tym momencie usłyszała dobiegający z daleka głos. Ktoś ją wołał.

- Annah! Annah!

Ciałem kobiety wstrząsnął dreszcz.

Jestem tutaj - pomyślała.

Podniosła wzrok.

Dostrzegła wysoką, szczupłą postać w stroju koloru khaki. Mężczyzna stał na skraju lasu i machał na nią ręką. Annah w odpowiedzi uniosła dłoń.

Kiedy oderwała się od drzewa, jej wzrok przyciągnęła jasna, różowa plamka.

Piórko.

399

Tabliczka została wykonana ze starej, metalowej, rozklepanej na płasko puszki po nafcie. Namalowane litery wyraźnie

się łuszczyły. Murchanza. •

Mijając drogowskaz, Staniey i Annah wymienili spojrzenia. Odwlekali powrót tak długo, jak tylko mogli. Teraz potrzebowali już świeżej dostawy leków. Pierwsza paczka, zawierająca zioła i inne afrykańskie medykamenty, została skrzętnie opisana, zaadresowana i czekała na wysłanie. Nadszedł czas, by wrócić do świata, który opuścili.

W Murchanzie załatwiali sprawy w wyjątkowym pośpiechu. Zdawali sobie sprawę, że z minuty na minutę powstaje na ich temat coraz więcej plotek. Gwizdały na nich stojące w drzwiach hotelu prostytutki. Dzieci się z nich śmiały. Czarnoskóra zakonnica odwróciła twarz, widząc Afrykańczyka i zaniechaną białą kobietę.

Kierownik poczty potraktował ich z szacunkiem, proporcjonalnym do wartości czekającej na nich przesyłki. Ale on również był zaniepokojony wyglądem Annah. Kiedy wręczyła mu swój paszport, zaczął dokładnie przyglądać się czarno-białemu zdjęciu schludnej pielęgniarki w wykrochmalonym kołnierzyku. Raz za razem zerkał na rozczochraną kobietę i usiłował dopatrzeć się jakiegoś podobieństwa.

Po załatwieniu swoich spraw Annah i Staniey opuścili Murchanzę. Annah próbowała nie patrzeć na warsztat samochodowy, w którym tyle razy naprawiano misyjnego land-rovera. Ani na uliczne stragany, na których Michael kupował dla Kate kolorowe indyjskie bransoletki. Czy na tory kolei, którą dotarła tutaj tak dawno temu. Nie było sensu wspominać dawnych czasów ani wyobrażać sobie, że wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Gdyby jednak nie wysłano jej z Langali, nigdy nie spotkałaby Mtemiego. Oszczędzono by jej rozpacz, ale też nie poznałaby miłości. Mogłaby uniknąć straty, niestety nie doświadczyłaby poczucia bliskości. Annah odniosła wrażenie, że wszystko na tym świecie składa się z przeciwności. Z wielu wyborów, które trudno opatrzeć etykietą „dobry” czy „zły”.

400

Doszła do wniosku, że o wiele łatwiej żyje się ludziom takim jak Michael. Dla niego wszystko jest albo czarne, albo białe. Skoro Annah wybrała Mtemiego, musiała

zrezygnować z pracy dla misji i przyjaciół, których kochała ponad wszystko na świecie. Proste i jasne. Michael sam tak powiedział owego ranka w chacie Mtemiego.

„Nigdy więcej nie wolno ci zbliżyć się do mnie ani mojej rodziny”.

Ale Sarah przyjechała, kiedy jej potrzebowałam - pomyślała Annah.

Hołubiła wspomnienie o lojalności przyjaciółki. Nie wiedziała, czy i kiedy - jeżeli w ogóle - jeszcze się zobaczą, zdawała sobie jednak sprawę, że obie dowiodły swojej miłości. Przynajmniej tego nikt jej nie odbierze.

Nie należało zapominać jeszcze o jednym. Annah nadal była matką chrzestną Kate, i tego również nie można zmienić. To ona stała w kościele i przemawiała w imieniu dziecka, chociaż nie wiedziała, jakie znaczenie mają te przysięgi w obecnej chwili. Do jej obowiązków należało upewnienie się, czy dziewczynka wychowywana jest w wierze chrześcijańskiej, nawet jeśli przekonania matki chrzestnej były raczej dość mgliste.

Z czasem gniew i zagubienie, które czuła po śmierci Mtemiego, zaczęły stopniowo zanikać. Nie wróciła jednak do czytania Biblii ani odmawiania modlitw. Wszystkie te słowa - imiona, wyznania wiary - po prostu nie były jej do niczego potrzebne. Co więcej, z powodu niejednoznaczności nasuwały więcej pytań niż odpowiedzi.

Tymczasem Annah czerpała siły z tej ziemi, z faktu, że czuła na niej obecność Mtemiego. To stanowiło dla niej dowód na istnienie Boga, najwyższej istoty, do której mogła się przybliżyć. Nadal pozostawała pod ogromnym wpływem życia i nauki Chrystusa, chociaż zły się one w jedno z opowiedzianą przez królową matkę historią o Mazengo.

Spore znaczenie miała również wiara Stanieya - taka prosta i niezachwiana. Annah ciągle wspominała, jak pewnie i bez-

401

piecznie czuła się kiedyś. Gdzieś w głębi duszy tęskniła za tamtymi czasami, nie potrafiła jednak zapomnieć, że Zania był równie pewny swojego własnego, zupełnie odmiennego spojrzenia na świat, zaczerpniętego z pradawnej wiedzy przodków.

Annah chciałaby jakoś to wszystko uporządkować, znaleźć w końcu spokój ducha. Czasami, podobnie jak niegdyś Mtemi, wyobrażała sobie, że możliwe jest czerpanie tego, co najlepsze, z obydwu światów - tego, który opuściła, wyjeżdżając z Lan-gali, i tego, w którym od tamtej pory żyła. Jednak zdawała sobie sprawę, że to tylko mrzonki. Wiara chrześcijańska stawiała sprawę jasno. Istnieje tylko jedna droga. Można się z tym zgodzić lub nie.

Staniey bez słowa minął rozjazd prowadzący do Langali. Land-rover podskakiwał na drodze, wydeptanej przez bawoły. Jechali bez przerwy aż do zmierzchu. Dopiero wtedy uznali, że od świata zewnętrznego dzieli ich wystarczająca odległość.

Wieczór był pogodny, a w powietrzu nic nie zapowiadało deszczu, postanowili więc nie rozbijać namiotów. Zamiast tego zawiesili moskitiery na gałęziach wysokiej, rozłożystej akacji i wyjęli śpiwory.

Leżeli pod gwiazdami, blisko siebie - dzieliło ich tylko niewielkie ognisko i zwiewna siatka delikatnie falująca na wietrze.

- Spokojnej nocy, siostró - zabrzmiał w ciemnościach łagodny, zmęczony głos Stanieya.

- Życzę ci tego samego - powiedziała Annah. - Niech noc minie ci w spokoju.

Annah leżała nieruchomo, oddychając głęboko i miarowo. Nie spała. Nie mogła zasnąć nie tylko z powodu jasnego nocnego nieba. Brakowało jej ścian namiotu, czegoś, co

by ich oddzielało od siebie. W końcu istnieje spora różnica między materiałem namiotu a siatką. Annah wyobraziła sobie innego mężczyznę na miejscu spokojnie śpiącego pod kocem Stanieya. W niewielkiej odległości od niej. Wsłuchiwała się w jego oddech. Wzywała go w myślach.

Mtemi, mój mężu.

402

Prawie go widziała - ciemną postać, niemal całkiem wtopioną w nocne cienie. Jego dłoń unoszącą moskitierę...

Czy susza, czy deszcz, Annah i Stanicy ciągle byli w drodze. Pory roku wyznaczały tempo i kierunek, a słońce odmierzało czas. Kiedy drogę zagradzała im wezbrana rzeka, nie szukali przejścia, tylko skręcali i jechali w inną stronę. Nie mieli generatora, który przedłużyłby ich dzień. Wstawali więc razem ze słońcem i kładli się spać o zachodzie. Biały pasek w miejscu, w którym Annah nosiła niegdyś zegarek, zniknął. Czas miał teraz inne znaczenie. Przestał być towarem, który można podzielić na części i jakoś wykorzystać. Bardziej przypominał byt sam w sobie, sięgający wstecz aż po epokę dinozaurów i w przód o chwilę potrzebną moskitowi, by nasycić się krwią.

Ogromny słoik z kremem do twarzy, prezent od Eleanor, został opróżniony i podarowany wróżbicie. Annah odkryła, że pot powoduje wydzielanie przez skórę naturalnego tłuszczu, który spełnia tę samą rolę. Na tej samej zasadzie palce zastąpiły sztucce. Liście - papier toaletowy. Zawiązywane kawałki materiału - szyte ubrania. Gliniane garnki - zgubione rondle. Stopniowo wyzbywali się zbędnego wyposażenia. Ich życie stało się skromniejsze, prostsze - łatwiejsze.

Powoli odkrywali uroki wiejskiego życia. Prostego, surowego, pięknego. Podczas okresu suszy ludzie uprawiali ziemię. W tym czasie zjadali zapasy. Nie wszyscy byli sobie równi. Niektóre dzieci jadły, inne, mieszkające w domach dotkniętych lenistwem czy nieszczęściem, błądziły w mroku w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia w ogniskach sąsiadów. Choroba była niepożądanym gościem ~ wdzierła się tam, gdzie chciała, i sama wybierała sobie ofiary.

Pod koniec suszy zaczynały się przygotowania do siewu. Zaklinacze deszczu mieli mnóstwo zajęć - interpretowali znaki przyrody, rozmawiali z Bogiem i przodkami. We właściwym, wyznaczonym dniu ludzie wrzucali nasiona do ziemi - złote drobiny w głąb brązowej gleby. Potem czekali z zapartym

403

tchem. Obserwowali niebo. Wspominali grzechy i obawiali się ich konsekwencji. Składali przodkom ofiary...

Wreszcie przychodził wielki deszcz. Dzieci tańczyły, łapiąc krople w otwarte usta. Nasiona kiełkowały i rosły, pokrywając ziemię zielenią. W tym czasie odbywało się ciągle pielienie... Kiedy wszystko urosło i dojrzało, nadchodziła pora zbiorów, czas uczt. Głód na jakiś czas został zażegnany. Ludzie jednak nie rezygnowali z pracy. Jeżeli Bóg okazał łaskę, a plemię żyło w harmonii z ziemią i przodkami, można było się spodziewać kolejnego urodzaju. Nadal orano ziemię, siano, czekano. Pojawiały się przelotne opady. Drugie zbiory. Pełne spiżarnie. Nocne świętowanie. Wojownicy piękni aż do bólu. Włócznie tańczące przy dźwięku tam-tamów, wyzłocone przez promienie zachodzącego słońca.

W skomplikowany układ pór roku i pokonywanych kilometrów wtargnął jak głos z zaświatów list od Sarah. Nieoczekiwanie zakłócił spokój. Cudowny. Błękitna koperta

czekała na odbiorcę na poczcie w Murchanzie razem z tradycyjną paczką z ASBM. Annah od razu rozpoznała charakter pisma, chwyciła list i spiesznie ruszyła do okna. Z kopertą w dłoniach na chwilę uległa obawie i tęsknocie. Dopiero potem rozdarła kopertę drżącymi palcami.

Kiedy zaczęła czytać, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Sarah bardzo się ucieszyła, dowiedziawszy się „poczta pantoflową”, że Annah znalazła pracę. Pani Carrington miała nadzieję, że jej przyjaciółka dobrze się miewa. W liście znalazło się też kilka informacji na temat Michaela, Kate i samej Sarah, a także misjonarzy, których znała. Nie było natomiast ani słowa o wizycie w wiosce Waganga ani o późniejszej reakcji Michaela. Sarah pisała tak, jakby adresatka listu nadal była misjonarką, a jedynie pracowała w innej placówce. Obudziło to w Annah nadzieję, że może z czasem Michael zmieni swój stosunek do niej. Na zakończenie Sarah prosiła jednak, by przyjaciółka nie pisała bezpośrednio do niej. Sugerowała, by odpowiedź przesłać w liście Stanieya do braci.

Wzbudziło to w Annah mieszane uczucia. Chociaż słowa li-

404

stu brzmiały serdecznie, wymowa całości była raczej dość surowa. List był dowodem zażyłości, ale wyczuwało się w nim też pewien dystans. Kiedy kilka godzin później Annah zasiadła do pisania, okazało się, że nie może wyobrazić sobie przyjaciółki. Czy pisze do tej Sarah, która wbrew zakazom męża jechała do niej przez całą noc? Do Sarah, którą trzymała w ramionach bardziej jak ukochaną niż przyjaciółkę? A może Sarah znów stała się idealną żoną misyjnego doktora, rygorystycznie przestrzegającego obowiązujących zasad? Nic więc dziwnego, że czytając napisane przez siebie słowa, Annah doszła do wniosku, iż jej styl jest jeszcze bardziej sztywny i oficjalny niż słowa Sarah.

Następne listy kursujące między dwoma światami w niewiele większym stopniu oddawały ducha przyjaźni. Z czasem korespondencja zaczęła raczej dzielić obie kobiety niż je do siebie zbliżać. Myśląc o Sarah, Annah wolała wspominać czasy, kiedy żyły w tym samym świecie. Dwie kobiety i mała dziewczynka, wspólny dom, mężczyzna, który kochał je wszystkie... Chwile, kiedy nic nie zapowiadało późniejszego cierpienia.

Annah włożyła do przenośnej lodówki pojemnik wypełniony zmielonymi korzeniami akacji. Jej spojrzenie padło na starannie ułożone, przysłane z ASBM paczuski i butelki. Tu i ówdzie poniewierały się wiązki suszonych ziół, zawinięte w liście sproszkowane substancje i inne ludowe specyfiki. Teraz, gdy tylko było to możliwe, Annah używała miejscowych leków. Wiedziała, że gdy ona i Staniey odjadą, ludzie będą mieli stały dostęp do zbawiennych preparatów. Znała kilka skutecznych kuracji, ale leki z laboratorium Jeda nadal odgrywały istotną rolę.

Wyczuwając za plecami jakiś ruch, Annah odwróciła głowę. Spodziewała się Stanieya. Zamiast niego ujrzała kobietę, z którą nigdy wcześniej się nie zetknęła. Wygląd zdradzał jej wiek: czoło i policzki były porane głębokimi bruzdami, a całości dopełniały prawie białe rozpuszczone włosy. Staruszka z królewską godnością uniosła głowę i przenikliwym wzro-

405

kiem wpatrywała się w białą kobietę. Dumna, spokojna postawa przypominała Annah królową matkę. Tak bardzo, że z uśmiechem ruszyła kobiecie na spotkanie.

Murzynka ostrzegawczo uniosła okaleczony, poparzony, powykęcany kikut dłoni.

Annah wzdrygnęła się, patrząc na pomarszczoną do połowy przedramienia skórę. Rana była stara i dość dobrze zagojona;

oczywiście, bez przeszczepu skóry.

- Oskarżono mnie o czary. - Jej suahili miało wyraźny, miejscowy akcent. - Podpalili moją chatę. Próbowałam się do niej dostać i uratować swój dobytek, ale ogień zbyt szybko się rozprzestrzenił. - Starowina uśmiechnęła się niewyraźnie. - Na szczęście część sama się uratowała.

Annah uniosła brwi.

Murzynka przymrużyła małe oczka, tak że przypominały szparki.

- Wskoczyła z płomieni.

Pielęgniarka spojrzała na swoje ręce - opalone, spierzchnięte, ale zdrowe. Sympatia, jaką czuła do Murzynki, prysnęła. W jej miejsce pojawił się rosnący niepokój. Jednak Annah zmusiła się do działania - miała do wykonania określone zadanie.

- Przywódca plemienia obiecał przysłać do mnie uzdrowiciela - powiedziała.

- To ja - oznajmiła staruszka. - Oskarżenie okazało się niesłuszne.

- Czy przyniosła pani jakieś leki? Murzynka poklepała się po głowie i odsłoniła w uśmiechu żółte zęby.

- Wszystko przechowuj ę tutaj.

- Nie rozumiem.

- Mam magiczną moc.

Annah kiwnęła głową, usiłując zachować spokój. Już wcześniej spotkała się z podobnymi przypadkami. Wtedy czuła się tak, jakby dotykała czegoś, czego nie da się wyjaśnić, a padające odpowiedzi przyprawiały ją o gęsią skórę. Czasami,

406

widząc nieobecne spojrzenie pogrążonego w transie wróżbity, miała wrażenie, że odkrywa inną rzeczywistość, z której się nie wraca. Wiedziała jednak, że zaledwie dotyka skraju owego tajemniczego świata.

Pielęgniarka wzięła głęboki wdech i zaczęła zadawać pytania.

- Czy mogłaby nam pani pomóc?

Biała kobieta wyjaśniła, że podróżuje, pragnąc poznać ludowe metody leczenia. W zamian rozdaje zachodnie lekarstwa i może przekazywać wiadomości z wioski do wioski.

- Tutaj tracicie tylko czas. Szamanka splunęła. Annah umilkła.

Murzynka pochyliła się do przodu. Miała dziwnie gorący, słodki oddech, jak u krowy.

- Daleko, na zachodzie, mieszkają złe moce. Znajdziecie tam wioski, w których nawet dzieci uczą się czarów.

Kobieta drgnęła, czując na sobie natężone spojrzenia staruszki.

- Tam odkryjecie głęboką, nieskalaną przez nowe pomysły wiedzę. Ale strzeżcie się! - Murzynka kiwnęła w powietrzu sękatym palcem. - W królestwie zła czyha mnóstwo niebezpieczeństw. Po lasach włóczą się złe duchy. Drogi nie mają nazw, a ścieżki są poplątane. Czarownice warzą eliksiry, które wywołują nocne koszmary. Składają dzieci w ofierze. Przeklinają niebo, z którego pada deszcz. - Starucha kiwnęła głową. - Tak, musicie tam jechać.

Tak, musicie tam jechać.

To stwierdzenie zabrzmiało jak wyrok.

Annah podniosła głowę i zobaczyła Stanieya. Mężczyzna z rosnącą obawą patrzył to na nią, to na szamankę.

Murzynka nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Nie odrywała wzroku od Annah. A gdy tylko skończyła mówić, bez uprzedzenia po prostu odwróciła się i odeszła. Poparzona ręka zwisała bezwładnie. Staruszka szła energicznym, zdecydowanym krokiem, tylko nieznacznie kulejąc.

407

Stanicy odwrócił się do Annah.

- Nie przejmuj się - zapewniła go. - Nie pojedziemy tam.

Jej pewność wynikała z osiągniętego sukcesu. Jed był bardzo zadowolony z próbek, które mu wysłali. Kilka z nich wzbudziło w laboratoriach zainteresowanie, a jeden z wyprodukowanych na ich bazie leków już podbijał rynki. Jed i jego współpracownicy byli również dumni ze swojego wkładu w leczenie Afrykańczyków. Annah wysłała im zdjęcia dzieci „przed” i „po” kuracji. Odbitki zostały dołączone do rocznego raportu dla udziałowców. Końcem farmaceutyczny był bardzo zadowolony. Annah i Staniey nie musieli robić nic więcej - mogli nadal swobodnie przemierzać obce terytorium, które przypominało ich dom. Jeziora, lasy, akacjowe zarośla, równiny. Krajobrazy z przeszłości.

W takich miejscach Annah wyczuwała obecność Mtemiego. Podążał wszędzie tam, gdzie ona. Miał ją w swojej pieczy, jak Bóg.

Prowadził ją przez pory roku, przez deszcz i suszę. Przez wszystkie nadchodzące lata.

21

Annah krążyła tam i z powrotem po brudnym urzędzie pocztowym.

- Przecież wie pan, jak wyglądają te paczki! - zawołała zniecierpliwiona do mężczyzny za kontuarem. - Są opatrzone biało-niebieskimi nalepkami.

Kierownik poczty kiwnął głową i ponownie przejrzał worki.

- Na pewno tu jest. Sam ją widziałem.

Wreszcie przesyłka się odnalazła. Była ukryta pod paczką, która przypominała nogi zebry owinięte w zakrwawione gazety. Kierownik położył ją na kontuarze, po czym wyjął dokumentację.

Annah niespokojnie spojrzała na niebo. Zanosilo się na

408

deszcz -już teraz w powietrzu czuć było wilgoć. Kobieta szybko złożyła podpis. Oboje ze Stanieyem musieli opuścić chorego w stanie krytycznym, gdyż skończyły im się leki. Od wioski dzielił ich dzień drogi. Powinni przedostać się na drugi brzeg rzeki, nim wzrośnie poziom wody.

- Wrócę z lekami dla waszego ojca - obiecała pielęgniarka, usiłując uspokoić trójkę przestraszonych dzieciaków, które tuliły się do jej nóg. Dzieciaków, które wcześniej straciły matkę...

- Czy ma pani w land-roverze coś do wysłania? - dopytywał się kierownik poczty.

- Nie - odparła. Po chwili milczenia dodała: - Dzisiaj tylko odbieram paczkę.

- Niczego pani nie wysyła?

- Tym razem nie.

Przez ostatnie pięć lat Annah regularnie nadawała paczki z próbkami roślin, przepisami i gotowymi preparatami. Podczas ostatniego wypadu jednak nie odkryła niczego nowego, chociaż przepytala tę samą co zwykle liczbę uzdrowicieli i szamanów.

- Proszę się nie martwić - uśmiechnęła się promiennie, zbierając podpisane formularze i podsuwając je kierownikowi poczty. - Następnym razem nadrobimy zaległości.

Annah oparła pakunek na ramieniu i skierowała się do wyjścia.

- Będę czekał na pani wielką paczkę! - zawołał za nią mężczyzna.

Ze wszystkich stron otoczyło Annah rozgrzane, wilgotne powietrze. Rozejrzała się po ulicy. Staniey powinien już wrócić ze stacji benzynowej. Jedynym pojazdem w okolicy był stojący po drugiej stronie ulicy, załadowany po brzegi, ale jeszcze nie-zakurzony żółty land-rover. Pewnie właściciel wozu wybierał się na długie safari. Annah ruszyła w stronę auta, rozpoznając nie tyle sam pojazd, ile widoczne przez szybę przedmioty. Tkwiącą za siedzeniem kierowcy strzelbę w skórzanym pokrowcu. Kawałek małej poduszeczki w wyblakłej poszewce

409

z motywem bumerangów i aborygenów... Annah poczuła przyspieszone bicie serca i ucisk w żołądku. Podeszła do land-rove-ra, postawiła swoją paczkę na masce i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu Sarah. I Michaela.

Zza samochodu wyłonił się mężczyzna.

- Samueli! - Annah rozpoznała jednego z mieszkańców Langali.

Samueli zamarł, wpatrując się w białą kobietę - brudną, bosą, dziwacznie ubraną.

- Siostra Mason?

- Gdzie oni są? - spytała Annah.

Wiedziała, że zachowuje się beczelnie, jednak kiedy pojawi się Staniey, na nic nie będzie już czasu.

- Bwana i jego żona są na długim spotkaniu. Zostałem sam na posterunku.

Samueli kiwnięciem głowy wskazał samochód. Idąc za jego wzrokiem, Annah zajrzała przez szybę. Z tyłu wozu prawie pod sam dach piętrzyły się starannie ułożone bagaże. Na nich leżał kawałek gąbki. Na prowizorycznym materacyku spało dziecko w różowej bawełnianej piżamce.

Kate.

Annah bezwiednie przywarła dłońmi do szyby. Jej spojrzenie wędrowało od zaróżowionych policzków, pasemek wilgotnych od potu włosów, do zwiniętego w kłębuszek ciała i bosych czystych stopek. Bobas, którego zostawiła w Langali, wyrósł na dziewczyneczkę. Córeczkę.

Kate się obudziła, jakby wyczuła na sobie czyjś wzrok. Spojrzała na kobietę ze zdumieniem i niepokojem. Ale gdy Annah się uśmiechnęła, mała również wyszczerzyła ząbki i uchyliła

szybę.

- To ja, ciocia Nań - powiedziała Annah.

Dziewczynka wpatrywała się w nieznajomą. Jej minka sugerowała, że w małej główce kłębią się myśli podobne do gnanych przez wiatr obłoków. Wreszcie jej czołko się rozpuściło.

- Myślałam, że jesteś daleko.

410

- Zdarza mi się - przyznała Annah. - Wiesz, kim jestem?

- Jesteś moją matką chrzestną. Mamusia mi powiedziała. Annah milczała przez chwilę, starając się zapamiętać słowa dziecka dokładnie w takiej formie, w jakiej zostały wypowiedziane. Matka chrzestna. Kate zmarszczyła czoło.

- Wiesz, że matki chrzestne powinny przysyłać prezenty?

- Masz rację. - Annah długo zastanawiała się nad odpowiedzią. - Tyle że ja nie jestem zwykłą matką chrzestną.

Dziewczynka pochyliła się w stronę szyby, żeby lepiej przyjrzeć się Annah. Jej spojrzenie zatrzymało się na bransoletce Zanii, wymiętej bluzce Kiki, a następnie przesunęło się na wyblakły kawałek kitenge i długie, rozpuszczone włosy. Na twarzy dziecka pojawiło się zaniepokojenie.

Rozległ się klakson, na którego dźwięk Annah gwałtownie się odwróciła. Staniey nadjechał zakurzoną, białą-błękitną land-roverem. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna wskazał ponaglająco na niebo. Pierwsze krople deszczu tworzyły na drodze ciemne plamy.

- Muszę już iść. - Annah odwróciła się do Kate. - Powiedz mi szybko o wszystkim. Jak się macie? Dokąd jedziecie? Na wycieczkę?

Przez głowę przemknęło jej tysiąc pytań.

- Wyjeżdżamy do Australii - wyjaśniła Kate. - Przez dwa lata będziemy mieszkać w Melbourne. Potem wrócimy do domu. Annah sapnęła ze zdziwienia.

- Po raz pierwszy pójdę do szkoły. Mamy tam dom, którego tatuś i mamusia nigdy nie widzieli.

Pojedyncze krople zmieniły się w ulewę, która bębniła o dach land-rovera i zagłuszała słowa Kate.

Staniey wołał Annah przez wznoszący się ryk deszczu.

- Nie mogę zostać, Kate - powiedziała Annah. Zamierzała się odwrócić, ale w ostatniej chwili zatrzymała się, przeszukała kieszenie i wyjęła małą kamienną rzeźbę kameleona. Dostała go od uzdrowiciela w zamian za puste butelki. Zawsze nosiła go w kieszeni. Ilekroć wkładała do niej

411

rękę, czuła pod palcami chłodne, gładkie kształty. Wręczyła zwierzątko Kate.

- Pozdrów ode mnie Sarah, to znaczy mamusię - poprosiła. - I tatusia. Powiedz, że ich kocham. Mam nadzieję, że będzie wam dobrze w Melbourne. I że spodoba wam się nowy dom.

Głos ugrzązł jej w gardle. Samotna łza popłynęła po policzku i zmieszała się z kroplami deszczu. Annah zabrała swoją paczkę i pobiegła do samochodu.

Gdy tylko wsiadła, Staniey ruszył z miejsca. Land-rover ślizgał się na drodze, której powierzchnia już zaczynała zamieniać się w błoto. Annah ciągle się oglądała, mając nadzieję, że zobaczy Sarah. Dokoła nie było jednak żadnej białej twarzy.

Niebawem wyjechali poza zabudowany teren. Nie doszło do spotkania z przyjaciółką i Annah odczuwała ból równie gwałtowny jak szalejąca na zewnątrz ulewa. Po długim czasie ich drogi, które po raz ostatni skrzyżowały się przy stosie pogrzebowym Mtemiego, znów się do siebie zbliżyły. Ale deszcz je rozdzielił.

Staniey pochylił się nad kierownicą i skupił na drodze, która szybko zamieniała się w trzęsawisko. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Wreszcie ujrzeli rzekę. Brązowa, spieniona woda zalała mieliznę.

Land-rover z trudem zahamował. Annah wysiadła. W dłoni trzymała długi kij, którego często używała podczas wędrówek do odgarniania wysokiej trawy i odstraszenia węży. Z nieba płynęły strugi deszczu, ubranie kleiło się do ciała. Kamienisty brzeg rzeki był dość stabilny.

- Uważaj! - zawołał Staniey przez zasłonę deszczu. Annah brodziła po kolana w wartkim nurcie, kijem sprawdzając głębokość. Woda miała czerwony kolor, jakby gdzieś wyżej przelano mnóstwo krwi. Kobieta czuła siłę prądu. Gdyby stał się nieco gwałtowniejszy, mógłby ją porwać. Wcale nie byłaby to straszna śmierć - pomyślała. Chwila zamieszania, a potem ciemność...

412

Odwróciła się i pomachała Staniey owi. Dno było twarde, a poziom wody się nie zwiększał. Annah wędrowała, póki nie dotarła na przeciwległy brzeg. Tam stanęła i czekała. Deszcz spływał jej na głowę i ramiona, strumieniami zalewał twarz. Białobłękitny land-rover wjechał do wody i rozcinając fale, ostrożnie posuwał się do przodu.

- Zdażyliśmy w ostatnim momencie - powiedział Staniey, gdy kobieta wsiadła do samochodu.

Afrykańczyk rozmasował napięte mięśnie ramion. Annah chwyciła kawałek szmaty i zaczęła wycierać włosy.

Zostawiwszy rzekę za sobą, Staniey jechał nieco wolniej, ale nadal pochylał się do przodu, w skupieniu wpatrując się w błotnistą drogę. Dudnienie kropli deszczu o dach powoli słabło. Przez dłuższy czas Annah siedziała w milczeniu. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos drżał, jakby wstrząsały nią dreszcze.

- To był land-rover Carringtonów.
- Widziałem - przyznał Staniey.
- Wyjeżdżają do Australii. Staniey wytrzeszczył oczy.
- Opuszczają Langali?
- Tylko na dwa lata - wyjaśniła Annah.

Dwa lata. Miała wrażenie, że to cała wieczność. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo pomagała jej pewność, że ona i Sarah żyją w tym samym zakątku ogromnego łądu. Prawdziwa więź wcale nie polegała na potajemnej wymianie wymuszonych listów, lecz na świadomości, że miały nad głowami to samo niebo, że żyły w pobliżu tych samych rwących rzek i że te same wiatry chłodziły ich skórę. Ból ścisnął Annah za gardło.

- Dałam im swój dom - ciągnęła. - Kiedyś należał do mnie. Tak dobrze znam tam każdy pokój. I ogród. Będę się dziwnie czuła z myślą, że w nim mieszkają.

Wyobraziła sobie, jak Carringtonowie wybierają dla siebie pokoje i ustawiają meble. Urządzą wszystko od nowa. Zdała sobie sprawę, że chociaż bez trudu przedstawia sobie Sarah, Michaela i Kate w domku z tarasem, nie widzi w nim siebie. Uświadomiła to sobie z szokującą jasnością. Nie potrafiłaby

wrócić do życia, jakie wiodła w Australii. Podobnie jak nie potrafiłaby wrócić do pracy na rzecz misji ani do wioski Mtemie-go. Annah wpatrywała się w drogę - błotnistą, czerwoną wstęgę. Nie miała gdzie się schronić. Istniała tylko nieustanna podróż u boku Stanieya.

Przyglądając mu się, jak manewruje między kałużami, nagle poczuła strach. Pewnego dnia czarnoskóry pomocnik opuści ją i pójdzie swoją drogą. Nie był, jak Annah, w sytuacji bez wyjścia. Pewnie oszczędzał pieniądze. Mógłby się znów ożenić.

- Czy chcesz nadal to robić? - spytała znienacka. Stanicy odwrócił się do niej zdziwiony, musiał jednak pilnować drogi.

- O co ci chodzi? - Zmarszczył czoło. Czując, że nadeszła decydująca chwila, Annah z trudem zmusiła się do otworzenia ust.

- Może chciałbyś z tym skończyć? Zająć się czymś innym? Twarz mężczyzny skamieniała. Zdjął nogę z pedału gazu i zaczekał, aż land-rover się zatrzyma. Potem zapadła grobowa cisza. Wycieraczki szeleściły na przedniej szybie wozu. Murzyn westchnął i pochylił głowę.

- To znaczy, że wszystko skończone - powiedział. Było to stwierdzenie faktu - proste i pewne. Annah wbiła w niego wzrok. Przerażona, próbowała wyobrazić sobie przyszłość, ale zobaczyła jedynie pustkę.

- Ty też wracasz do Australii - ciągnął Stanicy. - Masz dość Afryki.

Przyglądał się kobiecie błędnym wzrokiem.

Dopiero po sekundzie czy dwu Annah zrozumiała jego słowa. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Nie, nie o to mi chodziło! - zapewniła. - Myślałam, że chcesz wrócić do domu.

Dom. To słowo brzmiało dziwnie obco. Afrykańczyk potrząsnął głową.

- Tak samo jak babcia straciłem kontakt ze swoimi ludźmi. Nie mam żony ani dzieci. Mam tylko to. Staniey zacisnął dłoń na kierownicy.

- A więc jesteśmy do siebie podobni - zauważyła Annah. Poczowała ogromną ulgę. Na twarzy mężczyzny zobaczyła to samo. Otuchy dodawała im świadomość, że chociaż ich sytuacja jest niepewna, przynajmniej mają siebie. Oboje znaleźli się w potrzasku.

Annah rozejrzała się po wnętrzu land-rovera. Zobaczyła namiot, swoją walizkę, tobołek z ubraniami Stanieya i jego zniszczoną Biblię, którą zawsze kładł przy hamulcu ręcznym. Wszystko w skorupie z metalu i szkła. W kokonie, więzieniu. W domu.

Kierownik poczty przyglądał się pakunkowi, który Annah położyła na zatłuszczonym kontuarze. Był tak mały, że ledwo starczyło miejsca na adres Jeda i znaczki. Również zawartość przesyłki nie była zbyt ciekawa - kolejne próbki roślin, które już wcześniej trafiły do laboratorium, oraz grzyba używanego podobno jako afrodyzjak. Lepsze to niż nic. Tylko...

Już od dłuższego czasu Annah nie miała zbyt wiele do wysłania. Na początku przyczynę upatrywała w dwóch nieurodzajnych latach - uzdrowicielom brakowało składników. Co więcej, w tym trudnym okresie sporo czasu zajmowały im rytuały. Gdy jednak impas się przeciągał, kobieta zaczęła podejrzewać, że nie zostało jej już zbyt wiele do odkrycia.

Zamiast zająć się paczuszką kierownik zaczął szperać w prawie pustym worku.

- List - rzucił przez ramię. - Czekał na panią.

Kiedy mężczyzna wyciągnął zniszczoną kopertę, Annah wbiła wzrok w emblemat ASBM. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła tradycyjnej dużej paczki. Zaniepokoiła się.

Przy oknie szybko rozerwała kopertę. Na podłogę wypadł czek. Rozłożyła pojedynczą kartkę.

Przed oczami zaczęły jej skakać pojedyncze słowa i zdania.

...nie ma już potrzeby...

...ostatni czek...

Annah przełknęła ślinę. Siłą woli zmusiła się, by dokładnie przeczytać list.

415

Wszystko było jasne. Firma farmaceutyczna nie chciała już dłużej finansować leczenia Murzynów. Projekt badawczy został zakończony. Wiedzieli także o konflikcie w Rwandzie i obawiali się o bezpieczeństwo Annah, która mogłaby znaleźć się w pobliżu granicy z tym krajem. Czuli się za nią odpowiedzialni. W nagrodę za zasługi pozwolono jej zatrzymać wóz i wyposażenie. Jed wspomniał, że organizacje charytatywne zakładają placówki medyczne na wiejskich obszarach Tanzanii. Gdyby więc chcieli szukać pracy w tej części kraju, z przyjemnością napisze list polecający dla Annah i jej pomocnika. List kończył się słowami:

Szczerze oddany

Mr Jed Saunders

Annah wpatrywała się w kartkę papieru. Drukowane litery tworzyły na papierze proste, sztywne linie, które jedynie podkreślały surowe fakty. Decyzja została podjęta. Nie dano Annah szansy na wyrażenie sprzeciwu ani podsuniecie innego pomysłu.

Zostawiła paczuszkę na kontuarze i wyszła z budynku poczty. Wiedziała, że sprawa jej bezpieczeństwa była tylko wymówką. W Rwandzie od lat toczyły się walki plemienne. Gdzieś w pobliżu granicy założono obóz dla uchodźców. Ale ten problem nie dotyczył Tanzanii. Prawdziwym powodem decyzji ASBM był brak nowych, ciekawych specyfików. To tylko umocniło Annah w jej zamiarach. Wyszła na zewnątrz i zatrzymała się na chwilę. Czuli się jak sparaliżowana, nie mogła normalnie myśleć. Po drugiej stronie jezdnicy Stanicy pochylał się nad silnikiem land-rovera. Wóz był wyładowany świeżym zapasem jedzenia i paliwa. Wypolerowana lufa wetkniętej między siedzenia strzelby lśniła w słońcu.

Staniey zauważył Annah, wyprostował się i pomachał jej ręką, po czym z hukiem zatrzaskał maskę.

- Yote tayari sasa! - zawołał. - Wszystko gotowe. Twende-ni! Ruszajmy.

416

22

Staniey prowadził wóz po pokrytej wysuszonym błotem leśnej drodze. Był to stary trakt, wytyczony wiele lat temu przez poszukiwaczy złota. Ostatnio korzystali z niego jedynie ludzie i zwierzęta, ale land-rover bez trudu przedzierał się przez zarośla. Las przypominał delikatny organizm. Raz wycięty przy samej ziemi, nigdy nie zarastał, pozostawała głęboka, zawsze otwarta rana.

Annah poruszyła się, by oderwać od skóry przepocone ubranie. Przeciągnęła się, żeby rozprostować zdrętwiałe mięśnie, po czym zerknęła na przymocowany do deski rozdzielczej kompas. Jego czerwona strzałka wahała się między południem a zachodem,

bardziej skłaniając się ku zachodowi. Sześć godzin temu wyjechali z Murchanzy i przez cały czas zmiierzali w tym kierunku. Annah zdała sobie sprawę, że powinni znajdować się na wysokości Langali. Na myśl, że po raz pierwszy od lat jest tak blisko domu, poczuła potworny ból. Tak blisko, a jednak tak daleko. Policzyła, ile lat minęło od spotkania z Kate w Murchanzie. Doszła do wniosku, że Camngtonowie musieli już wrócić do Langali. Sarah, Michael i Kate - we trójkę mieszkają w domu misyjnym. Annah odwróciła głowę. Spojrzała na zieloną gęstwinę i skierowała myśli na inne tory. Przypomniała sobie, dlaczego ona i Staniey znaleźli się właśnie tutaj, niemal poza zachodnią granicą wpływów misji. Co więcej, na skraju krainy zła. Przez wiele lat unikali tych terenów - legendarnych miejsc, w których podobno przetrwała pradawna wiedza i którymi rządziła czarna magia. Teraz jednak byli zdesperowani. Musieli znaleźć coś, co skłoniłoby Jeda do odwołania decyzji. Jeśli im się nie uda, ich nieustanna wędrówka dobiegnie końca.

- Coś się zmienia. - Staniey przerwał trwające ponad godzinę milczenie.

- To znaczy? - spytała Annah,

- Drzewa się przeredzają.

417

- Och! Myślałam, że coś zauważyłeś.

W głosie kobiety słychać było rozczarowanie. Z niecierpliwością wypatrywała jakiegoś znaku, świadczącego o tym, że wkroczyli na nowe terytorium.

Nie musiała zbyt długo czekać. Po kilku kilometrach dżungla ustąpiła miejsca rzadkim zaroślom. Królowały tu akacje o szarawych liściach. Widać było płyty czerwonej ziemi, gołej i pożłobionej. Panował nieznośny upał, dlatego oboje co chwila popijali ciepłą wodę z tykw. Nad drogą unosiły się obłoczki kurzu. Powietrze pod wpływem skwaru zmieniło się w migotliwą kurtynę. W połączeniu z nieustannym warkotem silnika pogoda działała usypiająco.

Nagle Staniey zatrzymał wóz. Idąc za jego wzrokiem, Annah dostrzegła na drodze coś czarnego. Stertę starych szmat.

Obydwoje niezgrabnie wysiedli, rozprostowali zeszywniałe kości i ostrożnie zbliżyli się do przeszkody. W Afryce nawet stare szmaty miały swoje zastosowanie. Nieczęsto porzucano je w ten sposób.

Kurz tłumiał odgłosy ich kroków. Gdy podeszli bliżej, zamarli. Między fałdami wyblakłej tkaniny dostrzegli suchą, czarną skórę i przyprószone siwizną czarne włosy. Brudne, zabiedzone ciało ludzkie.

Pielęgniarka przyklękła w kurzu i sięgnęła do kościstego nadgarstka. Zwiotczała, zniszczona dłoń opadła bezwolnie. Przybysze wymienili spojrzenia.

- Nie żyje? - spytał mężczyzna.

Annah chciała odpowiedzieć twierdząco, ale przycisnęła mocniej palce i wyczuła słabe tętno. Wzięła tobolek na rękę. Szmaty rozchyliły się, odsłaniając zniszczone ciało starej kobiety. Zwiotczałe piersi, kościstą klatkę piersiową, przypominającą nagą czaszkę twarz z zapadniętymi policzkami i szyję, z której zwisała pomarszczona skóra.

Stanicy pobiegł do land-rovera po wodę. Kiedy spryskał nią zakurzoną twarz, powieki staruszki drgnęły.

Ważyła tyle co dziecko. Annah bez trudu zaniósła Murzynkę do land-rovera i usadowiła ją na tylnym siedzeniu. Kobicina

418

śmierdziała prawie tak jak wędrowni pasterze, którzy myją się krowim moczem. Ale poza zwykłym smrodem Annah wyczuła coś jeszcze: silną, ostrą cytrynową woń roślin i grzybów.

- Jest bardzo słaba - zauważył Stanicy. - Nie mogła daleko zajść. Jej wioska musi być gdzieś blisko.

Podszedł do staruszki. Zwrócił się do niej najpierw w suahili, a następnie we wszystkich znanych sobie narzeczach, ale nie doczekał się odpowiedzi. Wreszcie poddał się i wsiadł do wozu.

Kobieta leżała na tylnym siedzeniu. Od czasu do czasu z trudem unosiła głowę i rozglądała się. Sprawiała wrażenie nieco zdziwionej nowym otoczeniem, ale nie czuła się w nim źle.

Zgodnie z przewidywaniami Stanieya niebawem ujrzeli kilka chat, ukrytych wśród rzadkich krzaków. Zatrzymali land-rovera na skraju osady i siedzieli, czekając, aż pojawią się ludzie. Po kilku chwilach nie kryli zdumienia. Powinien już otaczać ich tłum dzieci, psów i dorosłych. Tymczasem w osadzie panował spokój i niczym niezmacona cisza.

- Rozejrzę się - zaproponował Stanicy.

Właśnie zamierzał wysiąść z samochodu, gdy z jednej z chat wyłoniła się jakaś postać i ruszyła w ich stronę. Był to z trudem poruszający się staruszek.

Stanicy powitał go w suahili:

- Jak się masz, przyjacielu?

Starzec zmarszczył czoło, a jego oczy niespokojnie strzelały na wszystkie strony.

- Same nieszczęścia.

Wydawało się, że mężczyzna szuka odpowiednich wyrazów. Kiedy ponownie się odezwał, użył swojego narzecza.

Stanicy powiedział, że go rozumie, i zaczął tłumaczyć Annah treść rozmowy.

- Mówi, że odwiedzili ich „obcy, którzy przyszli tu w złych zamiarach”. Bandyci. Żądali jedzenia. Mieszkańcy wioski boją się, że rabusie powrócą i sprawią jeszcze więcej kłopotu. Dlatego wszyscy się ukryli, nawet młodzi mężczyźni. Staruszek ledwo chodzi, dlatego został.

419

Podczas dalszej rozmowy na twarzy Stanieya pojawiło się współczucie. Po chwili odwrócił się do Annah.

- Obiecałem mu, że powiadomimy o tym każdego, kogo napotkamy. Jeżeli natkniemy się na jakiegoś przedstawiciela władzy, złożymy doniesienie. Nic więcej, niestety, nie możemy zrobić.

Annah kiwnęła głową. W tak odległych miejscowościach nie było przedstawicieli rządu ani policji, toteż mieszkańcy nie mieli do kogo się zwrócić. Ludzie sami musieli dbać o swoje bezpieczeństwo.

Staruszek podejrzliwie zerkał Stanicyowi przez ramię i przyglądał się białej kobiecie.

- Pyta, po co przyjechaliśmy - przetłumaczył Stanicy. W odpowiedzi Annah wysiadła, okrążyła samochód i otworzyła drzwi, ukazując nieruchomą, skuloną na siedzeniu Murzynkę o zamkniętych oczach.

- Znaleźliśmy tę staruszkę - wyjaśniła, po czym zaczęła, aż Stanicy przetłumaczy jej słowa. - Zna ją pan?

Stary człowiek rzucił okiem na samochód i lekko wzruszył ramionami.

- Czy to kobieta z waszej wioski? - naciskała.

- Nie należy do naszego plemienia - odrzekł Murzyn za pośrednictwem Stanieya. - Pojawiła się dwa dni temu. Nie pozwoliliśmy jej zostać.

Annah zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- To czarownica! Jej ludzie ją wypędzili. Dlaczego mielibyśmy brać na swoje barki jeszcze jeden kłopot?

- Skąd wiecie, że to czarownica?

Zapytany obdarzył Annah chłodnym spojrzeniem.

- Po prostu wiemy. To wszystko. Stanicy groźnie wytrzeszczył oczy.

- Gdzie macie serca? - spytał. - Kiedy znaleźliśmy ją na drodze, ledwo żyła.

Mężczyzna był niewzruszony.

- Postąpiliśmy właściwie. Wystarczyło, że się pojawiła, od

420

razu ściągnęła na nas nieszczęście. Bandyci nigdy wcześniej nas nie nachodzili.

Pielęgniarka zatrzasnęła drzwi, żeby ochronić staruszkę przed niemiłym mieszkańcem wioski. Usadowiła się na swoim siedzeniu.

- Nie będą chcieli jej przyjąć - powiedziała do Stanieya. - Możemy jechać dalej.

- Masz rację - przyznał i pożegnał się ze staruszką.

Po chwili sięgnął za siebie i podał mu przez okno kiść bananów oraz kilka patatów.

Murzyn w milczeniu przyjął podarunek i zawrócił w stronę swojej chaty.

Staniey przekręcił klucz w stacyjce. Silnik ryknął, zakłócając panującą w wiosce ciszę.

Jechali na poszukiwanie innej osady. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem - w samochodzie panowała napięta atmosfera, spowodowana opowieścią staruszka o napadzie. Stanicy i Annah wiele lat spędzili na podróżach po kraju. W tym czasie kilkakrotnie zostali zaatakowani przez rabusiów, ale zawsze wychodzili cało, przekazując kilka „prezentów”. Bandyci bardzo ostrożnie obchodzili się z białymi. Większą kradzieżą albo napaścią mogli zwrócić na siebie uwagę instytucji rządowych. Żaden łup nie był wart narażania się na tak poważne kłopoty. Mimo to Annah sprawdziła naboje w pasie z amunicją. Miała nadzieję, że natkną się na jakąś zwierzynę, trzymała więc strzelbę pod ręką...

Słońce obniżyło się na niebie, krajobraz poszarzał. Annah wytarła pot z szorstkiej od kurzu twarzy.

Staniey zerknął przez ramię, by sprawdzić stan staruszki.

- Jak ona się czuje? - spytał. Annah również odwróciła się do tyłu.

- Chyba śpi.

W odpowiedzi kobieta uniosła głowę. Spojrzała Annah prosto w oczy i się uśmiechnęła. Potem usiadła, a jej małe oczka strzelały w lewo i w prawo, przyglądając się otoczeniu. Ciężki oddech zagłuszał warkot silnika.

421

Annah doszła do wniosku, że jak na mieszkankę afrykańskiej wioski Murzynka wygląda zbyt staro i jest zbyt chuda. Przypomina szkielet. Ciekawe, dlaczego biedaczka

włoczy się w takim stanie. Powinna odpoczywać w domu. Napotkany człowiek chyba miał rację - starowinę musiano oskarżyć o czary i wypędzić. Przyglądając się rozczochranej, szpakowatej, pokaszującej Murzynce, Annah zastanawiała się, jakim cudem bezbronna staruszka mogła wzbudzić wrogość współplemieńców. Czego strasznego musiała się dopuścić...

O zmierzchu dostrzegli na niewielkim wzniesieniu małą osadę. Aby do niej dotrzeć, musieli przedrzeć się samochodem przez zarośla.

Od razu widać było, że bandyci tu nie dotarli. Mieszkańcy wyglądali na spokojnych i przyjacielskich. Dorośli podeszli do samochodu. Dzieci trzymały się z tyłu, nabożnie obserwując przedstawienie z nieśmiałymi uśmiechami na ustach.

Stanicy wysiadł z land-rovera i zwrócił się do zgromadzonych. Pozdrowił ich w suahili, a potem przeszedł na miejscowe narzecze. Okrążył samochód i stanął przy starowince. Delikatnie wziął ją na rękę i podtrzymał, kiedy próbowała stanąć o własnych siłach. Annah zauważyła, z jaką troską mężczyzna otoczył ramieniem kościste barki Murzynki. Zdała sobie sprawę, że ta bezbronna kobieta, prawdopodobnie wypędzona przez współplemieńców, kojarzyła mu się z jego własną babcią. Trudna sytuacja przypominała również Annah, w jak okrutny sposób emocje mogą zwrócić się przeciwko członkowi społeczności.

Annah wprawdzie nie rozumiała dialektu, ale bez trudu zorientowała się, co znaczą potrząsanie głowami i skrzywione usta mieszkańców wioski. Staniey był wściekły. Raz robił im wymówki, to znów błagał. Afrykańczycy jednak pozostali niewzruszeni. W końcu pomógł staruszce wsiąść do samochodu.

- Znaj a j a?-spytała Annah.

- Mówią, że nie - odparł Staniey. - Ale również oni podejrzewają ją o czary. Uważają, że tylko z tego powodu mogła zo-

422

stać wypędzona przez swoje plemię. Nie chcą mieć z nią nic wspólnego.

Annah westchnęła, wciągając w nozdrza niemiły odór, wydzielany przez przygodnego towarzysza podróży, na którego wyraźnie byli skazani.

- Powiedziałeś im o bandytach? - spytała.

- Ostrzegłem ich, że muszą uważać - rzucił ze złością. -Ale ich interesuje tylko jedno. Żebyśmy nie zostawiali starszej pani w ich wiosce.

Land-rover ruszył, powoli nabierając szybkości. Annah pochyliła się do okna, chcąc ochłodzić twarz podmuchem świeżego powietrza. Odniosła wrażenie, że uderzyła w nią fala gorąca z otwartego pieca.

- Chciałabym, żeby spadł deszcz - powiedziała znużonym głosem.

- O tej porze roku zawsze panuje upał - przypomniał Staniey.

Mówił tak, jakby to mogło pomóc w zniesieniu spiekoty.

Kiedy słońce dotknęło horyzontu, było już za późno na kontynuowanie podróży. Staniey zjechał z traktu między drzewa. Tam na otoczonej krzakami polance rozbili obóz. Postanowili zaryzykować i rozpalić ognisko. Gdyby w pobliżu znajdowali się jacyś rabusie, dym mógłby ich zwabić. Ale napadniętą wioskę zostawili daleko za sobą.

Staniey wyniósł Murzynkę z land-rovera i posadził przy palenisku. Annah przygotowywała jedzenie. Kiedy wszystko było gotowe, we trójkę zjedli skromny posiłek. Staruszka żuła powoli, z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy. Annah i Staniey

odnieśli wrażenie, że z każdym kęsem wracają jej siły. Wyprostowała się, ożywiła. Teraz sprawiała wrażenie osoby nieposiadającej ani grama zbędnego tłuszczu, a nie zabiedzonej. Po zjedzeniu swojej porcji ugali i gulaszu wylizała do czysta obie miski, usiadła i wytarła usta wierzchem dłoni.

- Mam na imię Naaga - przedstawiła się. Posługiwała się pozbawionym jakichkolwiek naleciałości suahili. Jej głos był zaskakująco dźwięczny i głęboki.

423

Wdzięcznie kiwnęła głową do swoich gospodarzy, po czym znieruchomiała, w milczeniu wpatrując się w płomienie. Coś w jej zachowaniu zniechęcało do dalszej wymiany zdań. An-nah i Stanicy również pograżyli się w cichej kontemplacji.

Po sprzątnięciu oboje wycofali się do swoich namiotów, pozostawiając Naagę na zewnątrz. Pomimo iż zapadła noc, nadal panował potworny upał. Annah przewracała się z boku na bok, pragnąc wyswobodzić się z uścisku gęstego powietrza. Po jakimś czasie dostrzegła przenikającą przez ściany namiotu poświatę. Nie wiadomo dlaczego ktoś dołożył dREW do ogniska.

Rozpięła suwak i wyjrzała na zewnątrz. Dokoła płomieni tańczyła ciemna postać, która coś mruczała pod nosem. Annah rozpoznała Naagę. Staruszka była niemal naga - miała na sobie jedynie kilka podartych szmatek. Przy każdym ruchu skóra bezwładnie opadała, zwiotczałe piersi podskakiwały. Byłby to raczej dość żalospny widok, gdyby w ruchach Murzynki nie wyczuwało się dziwnej pewności siebie i przekonania o celowości podjętych działań.

- Co robisz? - spytała Annah. Naaga zamarła w pół kroku.

- Wywołuję deszcz - wyjaśniła tonem, który sugerował, że to przecież całkiem oczywiste.

Annah spojrzała na niebo - szeroką, czystą, niemal czarną i całkowicie bezchmurną wstęgę, na której lśniły gwiazdy, nie zapowiadając deszczu. Nie wiedząc, jak zareagować, uprzejmie machnęła ręką staruszce i zapięła suwak, żeby nie wpuszczać do namiotu owadów. Położyła się. Miała wrażenie, że ognisko jeszcze bardziej nagrzało powietrze.

Ilekcroć wcześniej nie mogła zasnąć z powodu niedogodności związanych z noclegiem w namiocie - pochyłości, przez którą mogła stoczyć się z posłania, ryku wezbranej rzeki czy też pożaru szalejącego w niebezpiecznej odległości - Annah niezmiennie zamykała oczy i wyobrażała sobie, że znajduje się gdzie indziej. Tak samo postąpiła i tym razem. Przeniosła się tam, gdzie nie ma upału, kurzu, chorób, brudu. W piękne, spo-

424

kojne miejsce. Gdzie księżyc srebrzy gładką taflę jeziora. A po niebie fruwały flamingi, rozrzucając różowe pióra...

Nagle coś ją obudziło - zapach, spadek temperatury albo dudnienie kropli deszczu o płótno namiotu. Leżała z zamkniętymi oczami, rozkoszując się chwilą. Wilgocią. Usiadła, przypomniawszy sobie wcześniejsze wydarzenia. Czyste niebo, ciemną, tańczącą postać, obiecującą deszcz.

Rozpięła suwak namiotu i wyjrzała na zewnątrz. Deszczowe chmury przesłoniły księżyc, a jedynym źródłem pomarańczowego światła było ognisko. Naaga radośnie rechotała, przechyliwszy głowę na bok. Obserwowała, jak pojedyncze krople zamieniają się w prawdziwy, silny deszcz. Chłodzący potok.

Annah wstrząsnął dreszcz. Nie słyszała żadnych dźwięków, oprócz śmiechu staruszki, szumu deszczu i syczenia wody w płomieniach ogniska. Wydawało jej się, że nie istnieje

nic poza jednością deszczu, kobiety i nieba. Naaga wyciągnęła ramiona jak dziecko garnące się do matki. Annah wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby szczupła postać nagle uniosła się z ziemi ku chmurom. W tym momencie wszystko było możliwe.

Biała kobieta patrzyła jak zauroczona. Serce waliło jej w piersiach. Przez głowę przemykały tysiące myśli, kiedy próbowała zdobyć się na odrobinę logiki i wyjaśnić to, co się właśnie stało. Wiedziała, że poza porą deszczową w każdej chwili można się spodziewać opadów. Widywała takie sytuacje. W ciągu kilku chwil chmury przysłaniały niebo... Oczywiście, zaklinacze deszczu mieli wyostrzone zmysły, dzięki czemu odczytywali wcześniejsze oznaki deszczu. Z kolei jasnowidze umieli przewidzieć nadchodzące wydarzenia. Gdy jednak Annah wyciągnęła dłoń, a krople deszczu zmieszały się z jej potem, zaczęła podejrzewać, że ta nikomu niepotrzebna, wypędzona starowina po prostu wytańczyła deszcz!

Naaga zauważyła, że biała kobieta się jej przygląda. Uśmiechnęła się i w naturalnym geście rozłożyła ramiona, jakby chciała powiedzieć: „Zapraszam, naciesz się chłodnym deszczem, rozkoszuj się nim, bardzo proszę”.

425

Annah zdała sobie sprawę, że Stanicy również wyszedł ze swojego namiotu. I tak samo jak ona wpatrywał się w Murzynkę. Z nieba płynęły strugi deszczu, bębniły o dach i maskę land-rovera, rozpryskiwały się na namiotach, uderzały o ziemię. Annah wchłaniała zapach ziemi, chłonej wodę. Ten deszcz niósł tylko dobro. Nagle przypomniała sobie wywoływanie deszczu przez Zanię. Wtedy stał przy niej Mtemi, ubrany w skórę lamparta. Sprzeczał się z nią o to, czy szaman rzeczywiście potrafi sprowadzić deszcz. Annah zaczęła się zastanawiać, co pomyślałby jej ukochany, gdyby był teraz obok niej.

Naaga znów się roześmiała. Jak dziecko zadowolone z nowej zabawki. Stanicy zerknął na Annah. Obydwoje się uśmiechnęli, zdziwieni radosną atmosferą. Naaga znów zaczęła tańczyć. Tym razem nie były to rozważne, rytualne ruchy. Po prostu wyrażała szczęście z powodu deszczu. Stanicy obserwował każdy jej gest. Pod wpływem drogich sercu wspomnień na jego twarzy pojawiła się dojmująca tęsknota, a oczy zasnęła mu mgła.

Kiedy rano Annah wyszła z namiotu, Naaga spokojnie stała koło land-rovera. Niebo znów było czyste, a deszcz stanowił tylko wspomnienie. Biała kobieta przez chwilę zastanawiała się, czy to wszystko jej się nie przyśniło. Jednak niewielkie kałuże na dachu namiotu jeszcze nie zdążyły wyparować.

Annah zauważyła, że Stanicy traktuje staruszkę z ujmującą uprzejmością, ale stara się zachować dystans, jakby nie mógł uwierzyć w to, co wydarzyło się w nocy.

Szybko zjedli śniadanie. Naaga znów z zapalem skonsumowała swoją porcję. Po posiłku zwinęli obóz i ruszyli w drogę. Zatrzymali się w następnej niewielkiej osadzie. Panowała w niej cisza i spokój. Nic nie wiadano o bandytach. Podróżnych powitano serdecznie, ale Naaga znów została odtrącona.

- Nie zatrzymamy jej - oznajmił przywódca plemienia. - Mogę jednak wam coś podpowiedzieć. Myśliwi, którzy pewnego razu przechodzili przez naszą wioskę, opowiadali, że niedaleko stąd, w miejscu zwanym klasztorem, mieszka grupka

426

cudzoziemek. - Wzruszył ramionami i wskazał dłonią kierunek. - To tam. Może zgodzą się ją przyjąć.

Ani Annah, ani Stanicy nic nie słyszeli o tym, by w tych okolicach znajdowała się misja katolicka, ale od wielu lat nie mieli stałego kontaktu z białymi. Z braku lepszego pomysłu postanowili skorzystać z rady, chociaż oznaczało to, że będą musieli skrócić nieco

w bok, przerywając swoją podróż na zachód. Zresztą wydawało się, że póki nie pozbędą się „czarownicy”, nie zostaną przyjęci w żadnej wiosce i nie będą mogli przystąpić do pracy.

Annah chciała zapytać Naagę, czy wie coś o środkach leczniczych i czy mogłaby podzielić się swoją wiedzą, doszła jednak do wniosku, że zacieśnianie więzi ze staruszką byłoby nierozsądne. Rozpierająca się na tylnym siedzeniu Murzynka i tak czuła się jak w domu. W pewnej chwili zerwała z krzaka jakiś kwiat i wetknęła go w szparę między szybą a drzwiami. Ten drobny gest, mający na celu ozdobienie wnętrza samochodu, wydał się Annah złowieszczą próbą zawładnięcia nim.

Jechali bardzo długo, ale nie dostrzegli żadnych śladów ludzkich osiedli. Naaga zachowywała milczenie, co też miało wpływ na Stanieya i Annah.

Późnym popołudniem Annah zaczęła się zastanawiać nad tym, co będą jedli na kolację. Wypatrując na horyzoncie jakichkolwiek oznak misji - pobielonych budynków, drogowskazów - rozglądała się również za gnieźdzącym się w zaroślach plectwem.

Droga wiła się u podnóża góry. W pewnej chwili dotarli do ostrego zakrętu. Staniey przyhamował i skręcił. Przed nimi rozpościerała się szeroka, porośnięta chaszczami, sięgająca stromej skały dolina. Jego towarzysza nabrała powietrza w płuca. Kształt szarej grani był bardzo charakterystyczny. Znajomy.

Wznosząca się ku niebu kobieca pierś.

- Stożek.

Wyrzuciła z siebie nazwę punktu orientacyjnego, który widywała od drugiej strony. Z Langali.

427

Zerknęła na Stanieya. Widziała, jak jej towarzysz przypomina sobie przebytą drogę. Po chwili zgodził się z nią.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteśmy tak blisko. Annah zamknęła oczy, na moment pograżając się w milczeniu. Staniey jechał drogą prowadzącą prosto na Stożek.

Mając w zasięgu wzroku dowód na to, że jest blisko Langa-li, Annah zrezygnowała z próby powstrzymania potoku myśli. Wyobraziła sobie przycupnięte w ukrytej dolinie budynki misji, wioskę i strumień. Zastanawiała się, czy Carringtonowie rzeczywiście wrócili z Australii. Ze słów Kate wynikało, że taki mieli zamiar. Ale plany czasem się zmieniają.

- Może myśliwi mówili o Langali - zastanawiał się Staniey. - Ale po przeciwnej stronie góry jest głęboki wąwóz i chyba nie ma drogi na skróty.

- Wspomnieli coś o klasztorze - przypomniała Annah. Mężczyzna zmarszczył brwi.

- A może nie było żadnych myśliwych? Ani klasztoru. Je' dynie mieszkańcy wioski chcieli się nas pozbyć.

Annah nie odpowiedziała. Staniey pewnie miał rację, ale nie mogła już myśleć o niczym innym, tylko o podążaniu przed siebie.

W odróżnieniu od swych towarzyszy podróży Naaga nie okazywała żadnych oznak niepokoju. Ilekroć Annah się odwracała, niezmiennie widziała na tylnym siedzeniu wyprostowaną staruszkę, wpatrującą się w krajobraz za oknem. Jej lśniące oczy nieustannie badały scenerię, jakby szukała ukrytego skarbu.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Staniey pokręcił głową. Na jego czole pojawiły się świadczące o napięciu zmarszczki. Czystym szaleństwem było podjęcie

wyprawy na podstawie mglistych wskazówek nieznanego. Niebawem będą musieli zatrzymać się i rozbić obóz na otwartej równinie. Nawet w znacznie spokojniejszych czasach taki pomysł uważali za kiepski, tym bardziej nie powinni tego robić teraz, gdy w okolicy krążą bandyci.

Nagle Naaga krzyknęła i wyciągnęła rękę.

- Spójrzcie!

428

Na szczycie Stożka pojawiły się jakieś ciemne figurki, wyraźnie rysujące się na tle pomarańczowego nieba. Rządek wędrujących po skale ludzi. Po chwili podróżni dostrzegli również unoszące się nad równiną kłęby szarego dymu.

Przez kilka minut Staniey prowadził w milczeniu.

- Płonie tu sporo ognisk - powiedział niespokojnie. - Ale nie widzę budynków.

- Czy mogliśmy przegapić jakiś zjazd? - spytała Annah.

- Owszem.

Staniey chwilę się wahał, po czym zjechał z traktu między rzadkie zarośla.

Gdy wreszcie ujrzeli światło ognisk, prawie zapadł zmrok. Niebo było fioletowe, a ostatnie promienie słońca rzuciły długie cienie. Samochód powoli zbliżał się do ludzkiej siedziby. Staniey i Annah milczeli. Staruszka ze skupieniem rozglądała się zza ich pleców.

Kiedy dojechali w pobliże obozowiska, dostrzegli zarysy „ogrodzenia” z gałęzi ciernistych krzewów. Za nim stały bezładnie porzucane proste chaty i szałas. Całość sprawiała wrażenie rozbitego na jakiś czas obozowiska, a nie istniejącej od dawna osady, tym bardziej klasztoru.

Kiedy Staniey zwolnił kawałek przed ogrodzeniem, z mroku zaczęły wyłaniać się jakieś kształty - ciemne sylwetki przedostające się przez dziury w płocie. Zbliżały się do wozu. Było ich coraz więcej. Kilkanaście, potem kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset.

- Patrzcie - mruknęła Naaga przytłumionym głosem. Słysząc w nim było coś w rodzaju szacunku, jakby mówiła o rzadkim gatunku dzikich zwierząt, a spotkanie z nimi należało uznać za ogromny zaszczyt.

Annah wpatrywała się w tłum, mając nadzieję, że zobaczy białą twarz - zakonnice albo zakonnika. Ale widziała samych czarnoskórych.

- Kim są ci ludzie? - mruknęła.

- To kobiety - zauważył Staniey, podnosząc ze zdziwienia głos. - Same kobiety.

429

Kiedy samochód się zatrzymał, Annah i Staniey wysiedli ostrożnie, unosząc ręce, by pokazać, że nie są uzbrojeni. Że przychodzą w pokojowych zamiarach.

Natychmiast wyczuli napiętą atmosferę. Podejrzliwość. Wrogość. Skrywany strach.

Annah stała, rozglądając się wokół z najwyższym zdumieniem. Miała przed sobą mnóstwo brudnych, obdartych staruszek. Wśród nich nie było ani jednego mężczyzny, ani jednej młodej kobiety czy dziecka. Stare Murzynki wcale nie były wiejskimi babciami zgromadzonymi tu z jakichś niewyjaśnionych przyczyn - prawie wszystkie miały zawieszane na żyłastych szyjach woreczki z lekami i talizmany. Niektóre nosiły skóry ze zwisającymi amuletami. Chociaż większość kobiet była wysuszona ze starości, wyglądały na krzepkie. Kilka dzierżyło nawet prowizoryczną broń: kije, motyki, kamienie i włócznie.

Biała kobieta cofnęła się o krok. Oczy wszystkich skierowały się na nią.

- Może nie powinniśmy tu zostawać - powiedział Stanicy Spokojnie, ale Annah wyczuła w jego głosie strach i zaczęła posuwać się w kierunku land-rovera. ; Wtedy z hukiem otworzyły się tylne drzwi. Naaga wypadła na zakurzoną ziemię. Staniey bez zastanowienia podszedł i pomógł jej się podnieść.

Przez chwilę tłum patrzył bez tchu i czekał.

Trzymając rękę na ramieniu Stanieya, Naaga odwróciła się do kobiet i uśmiechnęła ze szczerym zdumieniem na widok tak wielu zaniedbanych, porzuconych kobiet, wyglądających tak samo jak ona. Po dłuższej chwili w tłumie rozległy się powitalne pomruki. Naaga kiwnęła głową w odpowiedzi i promiennie się uśmiechnęła. Potem, podnosząc głos, żeby wszyscy ją słyszeli, przemówiła, posługując się prostym suahili.

- Biała kobieta i mężczyzna u mego boku to dobrzy ludzie. Wyrzucono mnie z mojej wioski, a oni dali mi wodę. Nikt nie chciał mi pomóc, ale oni mnie nie porzucili.

W trakcie przemowy Naagi jedna z kobiet zaczęła przepy-

430

chać się przez tłum. Inne rozstąpiły się, by ją przepuścić. Murzynka podeszła do przybyszów. Była niska, żylasta i miała błyszczące, głęboko osadzone oczy. W kąciку ust trzymała długi cybuch glinianej fajki. Chociaż jej postrzępiony, byle jak zawiązany strój niczym się nie wyróżniał, czuło się, że ta kobieta cieszy się sporym autorytetem. Annah i Stanicy uprzejmie pochyłili głowy.

Murzynka najpierw zwróciła się do Naagi. Kobiety wymieniły niemające końca powitania. W ich wzajemnym stosunku natychmiast wyczuwało się bliskość, jakby rozpoznały w sobie pokrewne dusze. Obserwując je, Annah wysnuła pewien wniosek, który dotychczas kiełkował w jej umyśle. Wiele z tych starowin to „czarownice”. Prawdę mówiąc, prawie wszystkie...

Annah przyjrzała się kobiecie z fajką, najwyraźniej przywódczyni dziwnej grupki. Murzynka gestem ręki nakazała trójce innych starsuszek zająć się Naaga.

- Nie! - krzyknęła Annah wbrew własnej woli. - Jesteśmy razem.

Przywódczyni się uśmiechnęła, obnażając bezzębne, szare dziąsła.

- Nie martw się - powiedziała uprzejmie, po czym umilkła i spojrzała Annah prosto w oczy. - Mów mi: Alice. - Annah wyczuła wahanie, po którym kobieta jeszcze raz się uśmiechnęła. - Zapadła noc - oznajmiła. - Spędzicie ją z nami.

Jej słowa wcale nie brzmiały jak zaproszenie ani rozkaz, raczej jak stwierdzenie faktu. Rzeczywiście zrobiło się ciemno. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby zmęczonym i głodnym podróżnym ruszać po ciemku w dalszą drogę. Nie” zależnie od tego, czy gospodynie i oni sami tego chcieli, czy nie, musieli zostać do rana.

Alice coś krzyknęła. Kobiety natychmiast się rozpierzchnęły, zostawiając jaw towarzystwie dwójki obcych.

- Skąd wiedzieliście, że tu jesteśmy? - spytała niecierpliwym tonem, świadczącym o zdenerwowaniu.

- Prawdę mówiąc, nie wiedzieliśmy - odparł Staniey. -Szukaliśmy klasztoru. Miejsca, w którym mieszkają biali.

431

Po tych słowach Alice poczuła wyraźną ulgę. Gdy jednak mężczyzna uprzedził ją o bandytach, w mgnieniu oka znów się

zaniepokoiła.

- Jacy są ci bandyci? - spytała. - Co robią?

- Zabierają jedzenie - wyjaśnił. - To wszystko. Na szczęście tamta wioska jest daleko stąd - próbował podtrzymać kobietę na duchu. - W innych osadach ludzie nie mieli żadnych kłopotów.

Alice przyjęła do wiadomości te słowa. Na jej ustach pojawił się beztronski, spokojny uśmiech.

- W takim razie zjedzmy coś - zaproponowała. - To był długi dzień.

Na ognisku piekły się białe na patyki wąsate sumy o bladych brzuchach. Annah patrzyła, jak tłuszcz spływa po złocistych łuskach i syczy na żarze. Była potwornie głodna. Przed nią położono na liściu patata, ale żadna z zebranych przy ognisku osób nie tknęła swojej porcji, Annah doszła więc do wniosku, że musi zaczekać.

Tłum, który ich powitał, podzielił się na grupki i zasiadł przy ogniskach. Alice nadal wszystkim kierowała. Podchodziły do niej inne kobiety, a ona instruowała je albo udzielała rad. Alice zatrzymała Stanieya, Annah i Naagę u swojego boku i nawet teraz, rozmawiając z innymi kobietami, miała na nich oko.

Annah spojrzała na Stanieya. Widząc jego napięte mięśnie twarzy, uznała, że on czuje się tak samo niepewnie jak ona. W obozie panowała nieskrępowana, przyjazna atmosfera. Przy innych ogniskach prowadzono rozmowy, od czasu do czasu przerywane cichym śmiechem. Mimo to widok tak wielu dziwacznych, starych kobiet zebranych w jednym miejscu był dość niepokojący.

- Mamy nawet herbatę.

Alice wskazała zawieszony nad ogniem kociołek z wodą. Annah się uśmiechnęła. Zauważyła, że w pobliżu ktoś otworzył woreczek z wysuszonymi listkami, bardziej przypomi-

432

nającymi trawę niż herbatę. Dobrze, że przynajmniej gotują wodę.

Uniosła głowę. Dostrzegła dwie kobiety idące w ich stronę i dźwigające coś między sobą. Była to wypolerowana drewniana skrzynia.

Alice otworzyła wieko, po czym wyjęła srebrny kielich i złożony kawałek haftowanego złotą nitką materiału. Annah i Stan-ley ze zdziwieniem wpatrywali się w kielich mszalny i fragment ornatu, które przywódczyni umieściła na zamkniętym wieku. Następnie zwyczajnie zaczerpnęła garść ziemi i wrzuciła ją do kielicha. Po tych przygotowaniach wytarła nos postrzępionym rąbkiem przerzuconej przez ramię skóry, odwróciła się do Annah i wręczyła jej kawałek tkaniny, rozwiniętej tak, że widać było kilka wyszytych na niej wersów.

- Pobłogosławisz nas? - spytała. - Jesteś gościem... Annah patrzyła bezmyślnie na tkaninę, niezbyt pewna, czy właściwie zrozumiała prośbę kobiety. Spojrzała na Stanieya.

- Masz odmówić modlitwę dziękczynną - potwierdził przyjaciel. - Chyba chcę, żebyś przeczytała te wersy.

- Po angielsku? - spytała Annah.

- Jeśli tak chcesz - odpowiedziała Alice. - Dobrze znamy znaczenie tych słów.

Wszystkie rozmowy ucichły, kiedy biała kobieta wstała i nachyliła się w stronę ogniska, żeby więcej światła padło na tkaninę.

- Jestem wiatrem - zaczęła - który żywi wszystko, co zielone. Zerknęła na Stanieya.

- Wołam, by kwiaty zrodziły złote owoce. Jestem deszczem, powstającym z rosy, sprawiam, że trawa się śmieje, ciesząc się życiem.

- Amen - dodały kobiety.

Kiedy zasiedli do posiłku. Murzynki podjęły przerwana paplaninę, której towarzyszył brzęk glinianych naczyń.

Annah stała, bacznie przyglądając się haftowi. Pod tekstem wyszyto jakieś imię. Hildegarda z Bingen, 1098-1179.

433

Zwróciła tkaninę, ale dobrze zapamiętała słowa.

Jestem deszczem, powstającym z rosy...

Usiadła cicho, starając się zapanować nad ciekawością. Przyjęła ofiarowane pożywienie. Smak chili i przypraw delikatnie łączył się z zapachem ziół, zamieniając proste pożywienie w prawdziwą ucztę. Po latach obozowej strawy - dobrej, choć niezbyt wyrafinowanej - rozkoszowała się jedzeniem, odsuwając od siebie wszelkie troski.

- Wasze jedzenie jest bardzo dobre. Alice skinęła głową.

- Pochodzi z ogrodu. Ogrodnictwo to nasza reguła. Wszystkie się nim trudnimy.

Annah uśmiechnęła się uprzejmie, chociaż nie wiedziała, co jej rozmówczyni miała na myśli. Ogrodnictwo to nasza reguła...

- Przecież musicie coś jeść - przyznała.

- Siostra Mercy lubiła również hodować kwiaty - wyjaśniła Alice. - Niektóre z nas potrzebują roślin do produkcji leków i amuletów. Ale to nie jest takie ważne. Ogrodnictwo to nasza reguła. Jak mawiała siostra Mercy, w każdym klasztorze obowiązuje jakaś reguła, która pomaga ludziom odnaleźć Boga.

- To jest klasztor? - spytała Annah, czując, że jej słowa zabrzmiały niedorzecznie. Alice spojrzała na Stożek.

- Tak, to jest klasztor. Nasz dom.

Odpowiedź brzmiała tak zdecydowanie, że Annah nie miała odwagi zadać pytań, które tłoczyły jej się w głowie. Alice wskazała Naagę, pochyloną nad miską ugali i wkładającą do ust niewielkie porcje kaszy.

- Ona zostanie z nami. - Mówiąc to, napełniła fajkę zielonymi listkami i ubiła je bladym, zrogowaciałym paznokciem. - Jest jedną z nas.

Annah ze zdziwieniem uniosła brwi.

Jej rozmówczyni rozłożyła ręce, rozsypując popiół z fajki.

- Wszystkie zostałyśmy oskarżone o czary i wyrzucone z naszych wiosek.

434

Biała kobieta ze zdumienia zrobiła wielkie oczy.

- Wszystkie?

- Są wśród nas wróżbitki i uzdrowicielki. Niektóre zajmują się magią. Inne to wdowy, które nie mają synów. Ale łączy nas jedno. Na nasze wioski spadło nieszczęście, o które oskarżono nas.

Annah wbiła wzrok w ziemię. Oskarżone. Wyklęte. Wyrzucone z plemienia.

- Teraz jesteśmy tutaj. - Alice mówiła lekkim, beztróskim tonem. - Wszystkie razem. Stanowimy wielką rodzinę, składającą się z samych staruch, które dbają o siebie nawzajem.

Rozejrzała się z uśmiechem zadowolenia na ustach. Następnie pomachała do Murzynki, która kuciała przy ognisku i patykiem wygrzebywała z popiołu pataty.

- Przynies więcej jedzenia! - zawołała, wskazując na gości. U boku Annah pojawiła się Naaga z emaliowanym talerzem, na którym piętrzyły się pieczone kolby kukurydzy. Staruszka pochyliła się i podała Annah jedną. Następnie zanurzyła zęby w swojej porcji. Żując, z zadowoleniem mrużyła oczy.

- To dobre miejsce - stwierdziła z buzią pełną jedzenia. Na określenie „dobry” użyła wyrazu oznaczającego również coś zdrowego, pożytecznego i solidnego.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś. Annah odwzajemniła uśmiech.

- Ja też się cieszę.

Obserwowała Naagę, która oparła się o drewniany kufer i zamknęła oczy. Głębokie ukojenie złagodziło rysy starej, wysuszonej twarzy. Po kilku sekundach Naaga zasnęła. Jej bezwładna, ciepła ręka osunęła się na udo Annah. Coś w tym dotyku uwolniło znużenie, które biała kobieta skrywała pod maską niepokoju. Wyczerpanie, które odsuwała przez cały dzień. I nie tylko.

Blask ogniska złagodniał. Powietrze ochłodziło się. W kobiecych szeptach brzmiała dobroć. Nocne niebo nad głowami tchnęło spokojem.

435

W świetle poranka widać było wielką, bezładnie zabudowaną osadę, z łatkami błękitu. Oślepią słońcem Annah stanęła przed namiotem, mrugając powiekami. Dokładnie przyglądała się otaczającej ją scenarii. Na ogrodzonym terenie znajdowało się pięćdziesiąt, a może więcej szałasów z gałęzi, słomy i plecionych mat, połączonych szalowymi sznurami i fragmentami odzieży. To właśnie szmaty były źródłem wszechobecnego błękitu. Chociaż dominowały szaro-brązowe pledy, a gdzieś tam traślały się kolorowe kitenge, większość szałasów była ozdobiona przynajmniej jednym kawałkiem błękitnego materiału, przymocowanego do ogrodzenia i jak porzecz sygnalizującego wejście. Annah podeszła bliżej i przystanęła. Po chwili przypomniała sobie, gdzie widziała taki materiał. Mocne, praktyczne płótno, farbowane na niebiesko i używane jako obrusy na ołtarze i długie szaty, noszone nawet w tropikalnym, afrykańskim klimacie. Tkaninę, z której szyte były habity zakonnice...

Annah przeszła na drugą stronę ogrodzenia i znalazła się w barwnym ogrodzie, zupełnie niepodobnym do wiejskich grządek, jakie wcześniej widywała. Wśród dorodnych warzyw rosły tu dziesiątki kwiatów, dobrane chyba tylko ze względu na jaskrawoczerwone, złote, różowe i szkarłatne kolory. Zastanawiała się, jak ta z pozoru jałowa ziemia może rodzić tak bujną roślinność.

Z jednego z szałasów dobiegł dziwny dźwięk. Uświadomiwszy sobie, co to takiego, Annah zesztyniała. Znała ten krzyk. Nie mogła się mylić. Gdzieś w pobliżu płakał noworodek.

Wyszła z ogrodu i powędrowała w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. Nurtowały ją dziwne myśli. Alice powiedziała, że mieszkające tu kobiety zostały wypędzone ze swoich wiosek. Oznaczało to, że wszystkie są stare, ponieważ o czary oskarża się tylko takie. Dlaczego więc słyszała płacz niemowlęcia...

Annah przeszła przez następny ogród, tak samo schludny i kolorowy jak poprzedni. Nagle pod nogami zauważyła dziecko. Malutkiego chłopczyka o kościstych ramionkach, zajętego

436

wyrywaniem chwastów. Na widok białej kobiety dziecko zamarło, zaciskając piąstkę na zielsku.

- Jambo, toto - powitała go Annah.

W oczach chłopca pojawiła się niepewność. Potem nieśmiało się uśmiechnął. Miał mleczne ząbki. Brakowało mu dwóch jedynek, ale na ich miejscu powoli wyrzynały się zęby stałe.

- Widzę, że ciężko pracujesz - zagaiła Annah lekkim tonem.

Usiłowała stłumić nasilający się niepokój na myśl, że Alice mogła celowo wprowadzić ją w błąd. Gdy uniosła głowę, zauważyła ubrania suszące się na dachu chaty. Oprócz kilku kitenge wisiała tam również malutka, podarta sukieneczka. I para niewielkich krótkich spodenek. Annah zmarszczyła czoło, przyglądając się innym chatom. Tknięta przecuciem, jeszcze raz spojrzała na dach, na którym suszyło się pranie... Wbiła wzrok w spodenki. W wyblakły deseń. Bumerangi, włócznie i kudłate głowy aborygenów.

Zasłony Sarah.

Bezwiednie zrobiła krok do przodu. Chłopczyk podskoczył, przestraszony nagłym ruchem. Przerażony, zaczął uciekać na czworakach.

- Nie bój się - uspokoiła go, ujmując za ramię.

Czując jej dotyk, dziecko zamarło. Wydało tylko wysoki, przenikliwy krzyk, przypominający pisk rannego zająca.

Do ogrodu wpadła kobieta. Depcząc rośliny, podbiegła do malca, porwała go z ziemi i zarzuciła sobie na plecy.

Annah stała w bezruchu, zaszokowana przerażeniem widocznym w oczach dziecka.

Krzyk chłopca przeszedł w ciche kwilenie.

Nagle nie wiadomo skąd pojawili się ludzie. Przeważnie starszki, „czarownice”, podobne do Naagi i Alice. Ale były wśród nich również i takie, które wyglądały na znacznie młodsze. Spod podartych gałganów i różnorodnych talizmanów wystawały kolorowe kitenge. Annah dostrzegła również kędzierzawe główki niemowląt. Małe dzieci czepiały się gładkich

437

dłoni matek, a starsze Murzyniątka Wyzierały zza pleców kobiet, spoglądając okrągłymi oczami.

Kobiety, które przybiegły jako ostatnie, usiłowały przepchnąć się do przodu. Annah rozpoznała wśród nich osoby, z którymi poprzedniego dnia jadła posiłek. Starszki podeszły bliżej i stanęły przed białą kobietą ramię w ramię, jakby chroniły gromadkę za ich plecami.

- Namna gani sasa? - dopytywała się jedna z nich. - Co pani tu robi?

- Usłyszałam płacz niemowlęcia - wyjaśniła.

Koślawy palec przeciął powietrze, wskazując ognisko Alice.

- Tam jest pani miejsce.

Tłum się rozstał. Gdy Annah opuszczała ogródek, w oddali zamajaczyła czyjaś postać. To była Alice. Wyciągała nogi, jej łachmany powiewały, a na twarzy malował się niepokój.

- Co się tu dzieje? - spytała ją Annah.

- Jesteś w niewłaściwej części obozu - odparła staruszka. Za jej plecami pojawił się Stanicy. Na jego widok jakiś berbecz wrzasnął i uciekł. Młode kobiety i dzieci przyglądały się

mężczyźnie z wyraźnym zdenerwowaniem.

- Dlaczego mówiłaś, że mieszkają tu tylko stare kobiety? - dociekała Annah.

Alice zmarszczyła czoło, ale milczała. Tłum gapiów rósł z każdą chwilą. Pojawiły się dziesiątki twarzy, zaniepokojonych i spiętych.

- Rzeczywiście mieszkają tu stare kobiety - odpowiedziała wreszcie. - I kilka rodzin. Nikomu nie robimy nic złego.

Wyraźnie nie wiedziała, jak się zachować. Przymrużyła oczy, badawczo wpatrując się w twarz białej kobiety w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Wreszcie się poddała. W ostatnim momencie jej wzrok padł na bransoletkę Annah.

- Skąd to masz? - spytała, odwracając się. Annah była zaskoczona nagłym pytaniem.

- Dostałam ją - odparła defensywnie. Koścista dłoń chwyciła ją za nadgarstek. Alice podniosła do oczu bransoletkę i palcem prześledziła czarny wzór.

438

- Należała do uzdrowiciela.

- Tak. Był moim przyjacielem.

- Z jakiego plemienia?

- Waganga. - Annah spojrzała na Alice prosto w oczy, unosząc dumnie podbródek. - To plemię, do którego mnie przyjęto.

Po chwili wahania biała kobieta rozpięła bluzkę, odsłaniając ; znak na piersi.

Na ciemnej, starszej twarzy pojawiło się zdziwienie, zmieniając rysy ukształtowane dawno temu przez zaawansowany wiek.

W tej samej chwili tłum się poruszył i rozstał, a do przodu wypchnięto dwoje ludzi. Wyróżniali się na tle pozostałych - byli równie starzy, chudzi i zniszczeni jak cała reszta, ale na ramionach mieli tkaninę o wyjątkowo skomplikowanym wzorze. Kobieta musiała być bardzo stara albo chora - poruszała się z ogromnym trudem. Wysoki mężczyzna szedł powolnym, pewnym krokiem, jak podróżny w trakcie długiej wędrówki.

Na ten widok Annah poczuła, że ożywa w niej jakieś wspo-^ mnienie, związane z pięknym wzorem. Sposobem, w jaki poru-f szął się wysoki mężczyzna...

; Poczuła, że mocniej bije jej serce. Patrzyła z niedowierzaniem.

Potem na jej twarzy pojawiła się radość.

Miała przed sobą Zanię i królową matkę.

Kilkoma susami pokonała dzielącą ich odległość i stanęła przed nimi. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Twarz szamana była porwana głębokimi zmarszczkami i naznaczona cierpieniem. Ale na widok starej przyjaciółki Zania prawie zaczęła tańczyć z radości.

Królowa matka dotknęła twarzy Annah i wysuszonymi palcami wędrowała po jej czole, policzkach, nosie, powiekach. Oczy staruszki tępo patrzyły w przestrzeń. Pochyliła się, by powąchać Annah.

- To rzeczywiście ty - stwierdziła. - Moja córka. Przyszłaś. Annah uśmiechnęła się przez łzy.

439

- Przyszłam.

Minęła chwila. Ktoś pociągnął Annah za rękę.

- Chodź tutaj. Usiądź.

Królowa matka, Zania, Staniey, Alice i Annah usiedli w jednym z szałasów. Przyniesiono taborety i hamak dla starej królowej.

Niewidoma kobieta została troskliwie odprowadzona na miejsce. Annah usiadła przy niej. Kiedyś było nie do pomyślenia, by trzymały się za ręce, ale teraz staruszka nie wypuszczała jej palców z mocnego uścisku, jakby się bała, że zostanie sama. Z drugiej strony Annah usiadł Zania. Jego długie, chude nogi zgięły się w kolanach pod kątem prostym. Wyglądał jak

gigantyczny świerszcz.

Staniey przykucnął przy wygasłym ognisku i grzebał w tłącym się żarze, wznecając małe iskiereki. Wszyscy uznaliby, że jest spokojny, Annah czuła jednak, że przyjaciel bacznie ją obserwuje i nie wie, co myśleć o jej spotkaniu z rodziną,

z członkami jej plemienia...

Alice stała, bacznie się wszystkim przyglądając. W jednej ręce trzymała fajkę. Drugą zacisnęła w pięść.

Annah odwróciła się do Zanii, nie wiedząc, od jakiego pytania zacząć.

- Mieliśmy sporo kłopotów - zaczął staruszek, jakby wyczuwając, że chce ona jak najszybciej się o wszystkim dowiedzieć. - Rząd wybrał dla naszej wioski przywódcę. Regenta. Już wcześniej dawał się nam we znaki. Kitamu, Patamisha i wielu wojowników wyjechali, żeby szukać pracy w Dodomie. Inni przeszli przez wzgórza i przyłączyli się do misji w Ger-mantown. My zostaliśmy.

- W wiosce już nikt się nie śmiał - wtrąciła królowa matka. Mówiła szorstkim z oburzenia głosem. - Wojownicy rozleniwili się. Matki zaczęły zaniedbywać dzieci. A regent! Jedynie przechadzał się po wiosce i zachowywał tak, jakby był wodzem. I pomyśleć, że to ten sam człowiek, którego oskarżam o śmierć syna! - Staruszka odwróciła się do Annah i skierowała na nią spojrzenie nadal lśniących, czystych oczu. -

440

Miałam złamane serce. Nie mogłam dłużej na to patrzeć. Moje oczy nie chciały niczego widzieć.

- Próbowałam ją wyleczyć - przejął opowieść Zania. - Po-plułem ziemię. Rozmawiałem z przodkami. Ale nic nie pomogło. Mówiła już tylko o dwóch rzeczach. O swojej śmierci. I o córce - żonie syna, wodza.

Królowa matka mocniej uścisnęła dłoń Annah.

- Nie powinni cię wypędzać. To wina regenta. - Murzynka splunęła pod nogi. - Podburzył ludzi przeciw tobie. Kiedy wszyscy zdali sobie sprawę z tego, co się stało, było już za późno. Odeszłaś. Nie mieliśmy jak sprowadzić cię z powrotem. - Łzy napłynęły do

ociemniałych oczu. - Marzyłam tylko o jednym. Żeby cię odnaleźć i powiedzieć, iż nadal jesteś moją córką. Królową plemienia Waganga.

Po ciele Annah rozlało się kojące ciepło, lecząc rany, które jąrzyły się latami. Po policzkach popłynęły jej łzy. Uścisnęła dłoń królowej matki.

- Szukaliśmy cię - mówił Zania. - Dowiedzieliśmy się, że bywasz w Murchanzie. Pojechaliśmy tam.

- Jechałam na osle - przerwała mu stara królowa.

- Czekaliśmy tam na ciebie. W tym czasie weszło i zaszło wiele księżyców - kontynuował mężczyzna. - Na początku mieliśmy jedzenie, pieniądze i biżuterię do sprzedania. Ale nasze zapasy szybko się wyczerpały. Byliśmy głodni.

Annah spuściła wzrok. Nie mogła znieść myśli, że pozbawiona środków do życia para dumnych starych ludzi skazana była na pobyt w obojętnym na wszystko mieście.

- Nie mieliśmy żadnego planu. Rzuciłem patyczki i poszedłem we wskazaną przez nie stronę. Przebyliśmy bardzo długą drogę. - Zania potrząsnął głową.

- Tak nas znaleźli - przerwała mu Alice.

Spięta i zniecierpliwiona, krążyła po niewielkiej przestrzeni.

- Alice? - Na twarzy królowej matki pojawiło się zdziwienie.

- Jestem tutaj.

Stara królowa odwróciła głowę w kierunku, z którego dochodził głos, i powiedziała:

441

- Tej kobiecie możesz zaufać. Nie ma powodu do niepokoju.

Alice patrzyła to na Annah, to na królową matkę. Potem uniosła brwi i spojrzała na Zanię, jakby szukała u niego potwierdzenia słów niewidomej.

- Powierzyłbym jej swoje życie i życie dziecka mojego brata - powiedział Zania z głębokim przekonaniem. - Znamy również Stanleya. To dobry człowiek. Uzdrowiciel. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Alice zwróciła przenikliwe spojrzenie na Annah.

- Z prawdziwą radością poręczę za Stanleya - zapewniła Annah. - Spędziliśmy ze sobą wiele lat. Królowa matka gwałtownie uniosła głowę.

- Wyszłaś za mąż? - spytała pełnym bólu głosem. Annah potrząsnęła przecząco głową.

- Stanicy nie jest moim mężem.

Zapadła cisza. W głowie Annah ożyło nagle wyraźne wspomnienie. Oto Mtemi pośród swoich wojowników wyjaśnia jej, dlaczego nigdy nie zabija się tylko jednej antylopy dik-dik.

- Dobierają się w pary na całe życie - powiedział. W jego łagodnym głosie brzmiał podziw dla tak ogromnej lojalności. - Kiedy tracą partnera, są skazane na samotność.

Po śmierci Mtemiego Annah myślała, że właśnie tak będzie wyglądało jej życie. I do pewnego stopnia to się sprawdziło. Wiedziała, że do końca życia jakaś jej część będzie należała do Mtemiego - mężczyzny, który duchem nigdy jej nie opuścił, chociaż jego ciało pozostało jedynie w pamięci. Część cielesna zawsze będzie osierocona, opuszczona. Owdowiała.

Annah jednak nie była samotna.

Spojrzała na Stanleya. Jak miała opisać to, co ich łączy? Był kimś więcej niż współpracownikiem, przyjacielem, a nawet bratem. W jakiś sposób kimś więcej niż mąż. Na myśl przyszło jej farmerskie określenie, wyraz określający woły bliźniaki, które tak doskonale sprawują się w jednym zaprzęgu, jakby były jednym.

- Stanicy jest moim partnerem.

442

Mówiąc to, odwróciła się do niego. Spojrzenia obojga się spotkały. Łączyła ich niezwykła więź - mocna nić, upleciona z pasemek wspólnych przeżyć. Dobrych i złych. W trakcie pokonywania w milczeniu wielu mil...

- Musicie przysiąc, że nas nie zdradzicie. Obydwoje - powiedziała Alice szorstko, skupiając na sobie uwagę wszystkich obecnych.

- Nie zdradzimy - obiecała Annah.

- Przysięgam-zawtórował jej Stanicy.

- W takim razie chodźcie - zaproponowała gospodyni, po czym pochyliła się i splunęła na czerwony kurz na podłodze.

Kiedy wyszli na zewnątrz - wszyscy, z wyjątkiem królowej matki, która została, by nieco odpocząć - tłum zniknął. Alice prowadziła Annah, Stanleya i Zanię przez obóz. Mijali ogrody i chaty, oznaczone błękitnymi skrawkami. Dobiegały ich odgłosy codziennej krzątania. Płacz niemowląt. Nawoływanie bawiących się dzieci. Pianie kogutów. Pokrzykiwania kobiet. Odgłosy mielenia kukurydzy. Annah zdała sobie sprawę, że brakowało jedynie głębszych, cichszych tonów - głosów wojowników, ojców - mężczyzn.

Gdy szli wśród prowizorycznie skleconych chat, spotkali kilka kobiet z dziećmi. Większość z nich powitała ich ostrożnie, kierując zdenerwowane spojrzenia na obcych. Niektóre chroniły się w swoich szałasach. Alice próbowała je uspokoić, ale bez skutku.

- Gdzie są mężczyźni? - spytała Annah spokojnie.

- Nie żyją - wyjaśniła Alice. - Starsze dzieci też. - Mówiła, nie przystając ani na chwilę. - To kobiety i dzieci z Rwandy. Ich wioska została zaatakowana. Ocalały tylko dzięki temu, że zbierały wtedy w lesie drewno. Uciekły do Tanzanii. Wrogie im plemię poprzysięgło, że zabije wszystkich, do ostatniego dziecka. To stara historia. Wiele osób zginęło po obydwu stronach.

Biała kobieta była przerażona tą ponurą opowieścią. Od czasu do czasu słyszała pogłoski o walkach plemiennych w Rwan-dzie, ale nigdy nie wyobrażała sobie, jak to wygląda w rzeczy-

443

wistości. Codziennie miała do czynienia z ogromem cierpienia, widziała wiele chorych dzieci i zrozpaczonych matek, ale teraz, gdy usłyszała o takim koszmarze, z trudem patrzyła w oczy mijanym po drodze kobietom i dzieciom. Niemal czuła ich strach i ból. Nic dziwnego, że patrzyły na Stanicya w taki sposób. Pojawienie się,,

mężczyzny wywoływało jedynie strach albo ból.

- Nie będą się wечно ukrywać - podjęła temat Alice. -Ale boją się stąd ruszyć, bo ktoś mógłby donieść rządowi. Annah zmarszczyła czoło.

- Słyszałam, że przy granicy jest obóz dla uchodźców. Alice wybuchnęła krótkim, szorstkim śmiechem.

- Obóz dla uchodźców to kiepska kryjówka - powiedziała. Dopiero po chwili twarz kobiety rozpogodziła się, a na ustach pojawił się blady uśmiech. - Lepszą jest obozowisko wędrownych czarownic, nie sądzisz?

- Rzeczywiście - przyznała Annah. - Są tu bardzo dobrze ukryte.

- Ale potrzebują rzeczy, których nie mamy. Leków białego człowieka. Mleka.

- Wydawało mi się, że niedaleko stąd znajduje się Langali - wtrącił zniecierpliwiony Zania. - Powiedziałem o tym Alice. Poszedłem tam.

Annah wpatrywała się w niego.

- Byłeś w Langali? Zania przytaknął.

- Wmieszałem się w tłum tubylców czekających na doktora. Szukałem białej kobiety, a kiedy została sama, podszedłem do niej. Poprosiłem, żeby nam pomogła. Powiedziałem jej, że miejsce naszego pobytu musi pozostać w tajemnicy. Nie może go wyjawić nawet własnej rodzinie.

- Sarah? - Annah z trudem wymówiła to imię. - Zgodziła się?

Zania rozłożył ręce. Jego dłonie o długich palcach były pokryte bliznami po rytualnym ogniu.

- Przecież to twoja siostra. Czyż nie opłakiwała razem

444

z tobą człowieka, który miał zostać twoim mężem? W końcu sam nazaczyłem jej twarz popiołem z ogniska pogrzebowego.

Zania przerwał. Po chwili milczenia Annah zdała sobie sprawę, że szaman czeka na jej odpowiedź.

- Tak - wydusiła. - To prawda.

Uniosła głowę i spojrzała za skalisty szczyt, w stronę Langali. Niebo miało uroczy, jasnoblękitny odcień. Sunęły po nim małe, białe obłoczki.

- Musicie już jechać. - Słowa Alice zawisły w spokojnym powietrzu. - Nie możecie dłużej zostać. Już dzień. Wasz samochód zwraca uwagę.

Zrozumiawszy znaczenie tych słów, Annah drgnęła. Odwróciła się do Zanii z tęsknotą na twarzy.

- Nie widzieliśmy się tak długo.

- Samochód da się ukryć - zasugerował Stanicy. Alice potrząsnęła przecząco głową.

- Biały człowiek jest zauważany wszędzie, gdzie się pojawi. Na pewno ktoś widział, w którym kierunku jedziecie. Lepiej, jeśli pokażecie się teraz w jakimś innym miejscu.

Annah wiedziała, że staruszka ma rację. Aż trudno uwierzyć, jak szybko po odległych częściach kraju rozchodzą się wieści o białym człowieku. Czasami wydawało się wręcz, że drzewa przekazują informacje wiatrom.

- Moglibyśmy wyjechać jutro o wschodzie - zaproponowała Annah.

- Nie! Nie chcę ryzykować. Sami przywieźliście wiadomość o bandytach.

Na twarzy Alice pojawiło się poważne zaniepokojenie. Biała kobieta dostrzegła w oczach staruszki ciężkie brzemie spoczywającej na niej odpowiedzialności.

- Nie chcemy przysparzać wam kłopotów - zapewniła Annah. - Zaraz wyjeżdżamy.

Alice zaprowadziła ich z powrotem do szafasu, w którym czekała stara królowa. Na wieść o wyjeździe synowej próbowała ukryć rozpacz. Nie zwracając uwagi na pożegnalną etykietę, objęła Annah kruchymi ramionami, przytuliła ją mocno

445

i oparła na jej ramieniu głowę z poplątanymi siwymi włosami. Gdy wreszcie oderwała się od niej i cofnęła, ręce starej kobiety

opadły bezwolnie.

- Nie bój się, matko. Niebawem powrócę - obiecała An-nah. - Z Sarah.

Zerknęła tylko na Stanieya. Był równie zaskoczony jak ona. Jadą do Langali! Plan zrodził się niezależnie od nich -jak ćma, która wylęła się z poczwarki w pełni ukształtowana i gotowa do lotu.

- Będziemy na was czekać - zapewnił Zania ochryplym ze wzruszenia głosem.

Kiedy wszystkie rzeczy znalazły się w samochodzie, Annah pożegnała się z bliskimi. Następnie uściskała kobiety z obozu. Nagle zdała sobie sprawę, że obok stoi Naaga.

- Chcę ci podziękować - szepnęła staruszka. - Zrobiłam coś dla ciebie. Miej to przy sobie w trakcie wszystkich podróży.

Annah zauważyła na swoim siedzeniu niewielki pakunek.

- Dziękuję, sestro - odpowiedziała równie cicho, jakby zawarły potajemny układ.

Annah i Stanicy wsiedli do land-rovera.

Staniey przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik kaszlnął kilka razy, po czym ruszył pełną mocą. Niektóre kobiety odskoczyły z przerażeniem. Reszta gapiów nie odrywała wzroku od wozu i machała odjeżdżającym. Królowa matka odwróciła głowę, próbując wychwycić ostatnie dźwięki towarzyszące wyjazdowi córki.

Koła land-rovera wzbijały chmurę czerwonego pyłu. Annah ciągle oglądała się za siebie. Chciała zobaczyć, kiedy kobiety z obozu rozejdą się i wrócą do codziennych zajęć. Honorowa warta strachów na wróble jednak nie ruszała się z miejsca. Za ich plecami wznosiła się kamienna pierś. Szara skała na tle nieba w kolorze zakonnego habitu.

446

23

Land-rover podskakiwał na wyboistej drodze. Annah zapała się nogami w podłogę i sięgnęła do tyłu po paczuszkę Naagi. Pakunek był odrobinę większy od jej dłoni, podłużny, owinięty kawałkiem poplamionego materiału. Z zaciekawieniem obejrzała go ze wszystkich stron. Trudno było zgadnąć, co jest w środku. Wyobraziła sobie, że jakiś wyjątkowy lek. Podświadomie marzyła o tym, żeby staruszka obdarowała ich skarbem, którego szukali. Nie mówiła o swoich poszukiwaniach ani Naadze, ani żadnej z pozostałych „czarownic”. Podczas pobytu w obozie w ogóle nie myślała o pracy dla Jeda. Jednak stara Murzynka umiała czytać w myślach ludzi.

Annah pochyliła głowę i zaczęła rozwiązywać mocno zaciśnięte węzły.

- Co to? - spytał Staniey, nie odrywając oczu od drogi.

- Prezent - wyjaśniła.

Gdy szmatka wreszcie opadła, kobieta nabrała powietrza w płuca i jak oparzona upuściła zawartość paczuski. Na jej kolana upadła lalka-fetysz. Prosta, wyrzeźbiona w drewnie figurka, okryta błękitnym materiałem. Wyrzeźbiona tylko z grubsza twarz

wyglądała na przyjazną, ale dreszcz wstrząsnął obdarowaną na widok włosów lalki. Były rude, jak jej własne. Ostrożnie dotknęła palcem pasemka.

To były jej włosy...

Kierowca zwolnił i przyjrzał się lalce. Wyglądał na zdziwionego i zaniepokojonego. Przeniósł spojrzenie na Annah, która przeczesywała zmierzwiłone włosy. Z gęstwiny z tyłu głowy wypadł jeden odcięty lok.

- Pewnie Naaga ją zrobiła - powiedziała kobieta słabym głosem. - Myślę, że to jakiś talizman.

- Użyła twoich włosów - zauważył Staniey ostrożnie.

- Tak.

Annah zmarszczyła czoło. Staruszka z pewnością próbowała w ten sposób wyrazić wdzięczność, ale kradzież włosów nie była wcale miłym gestem, wręcz przeciwnie.

447

- To znaczy, że chciała zrobić amulet o ogromnej mocy - wyjaśnił Staniey.

- Żeby mnie chronił przed niebezpieczeństwem. - Annah uśmiechnęła się niepewnie i zawięła lalkę w szmatkę. - Powinna być jej wdzięczna.

Jeden z pakunków w tylnej części land-rovera osunął się i zaczął rytmicznie stukać o okno. Annah pochyliła się, by go poprawić.

- Kiedyś w Langali pojawił się ksiądz katolicki - zaczął Staniey. - Miał przy sobie laleczkę, która, jak twierdził, chroni go podczas podróży. - Wskazał na wsteczne lustro. - Zawiesił ją tam. Z głowy lalki wystawały kolce. Miała nawet imię.

Jego towarzyszką domyśliła się od razu.

- Święty Krzysztof.

Swego czasu razem ze swoimi protestanckimi kolegami i koleżankami drwiła z takich drobiazgów. Ale wieloletni pobyt wśród Afrykańczyków nauczył ją, że prawie wszystkiemu można nadać moc i znaczenie. Słowom. Ludziom. Roślinom. Zwierzętom. Lalkom.

Annah sięgnęła do tyłu i wsunęła podarunek Naagi do kieszeni kurtki, którą zawsze miała pod ręką na wypadek chłodnych wieczorów, a którą żona biskupa pewnego dnia uznała za niestosowną. Chociaż kurtka była wyblakła, znoszona i połatana kawałkami kolorowych tkanin, nadal mieniła się barwami Afryki. Przypominała miąższ gwajawy. Deszczowy zachód słońca. Flamingi...

Kiedy dotarli do drogi, Staniey wjechał na wytyczony trakt. Annah poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Zmierzali do Langali. Będą mogli zakończyć dobrowolną tułaczkę. Muszą to zrobić. Nadszedł już czas.

Radość oczekiwania przytłumił jednak niepokój. Nie wiedzieli, jak wyjaśnić Michaelowi, dlaczego po tylu latach nagle postanowili złamać jego zakaz. Będą po prostu musieli stawić mu czoło. Próbując wyobrazić sobie przyszłe wydarzenia, Annah nagle zdała sobie sprawę, że wcale nie boi się kierownika placówki. Czuła, że jest silniejsza, bardziej samodzielna i nie

448

podlega jego władzy. Wszelkie obawy zagłuszała myśl o spotkaniu z Sarah, małą Kate, która nie była już wcale taka mała, Ordeną i Tefą.

Najważniejsza była jednak Sarah, która po raz drugi dowiodła swej przyjaźni.

Annah z trudem sobie wyobrażała cotygodniowy, nakreślony przez Zanię scenariusz: z dżungli wychodzi biała kobieta i otacza ją natychmiast komitet powitalny, składający się z podnieconych dzieci. Łagodna Sarah, bohaterka obozowiska osób wyjętych spod prawa. Pani Carrington. „Mała m” z placówki w Langali...

- Jak ona się tu dostaje? - spytała Annah Zanię. Wiedziała, że podróż samochodem przez las była niemożliwa.

- Każdy, kto był w stanie się ruszać, udał się na drugą stronę wąwozu. Wycięliśmy drogę dla land-rovera. Tym sposobem powstał skrót. Przez wąwóz trzeba przejść pieszo. To trudna i stroma ścieżka. Ale nasza siostra Sarah jest bardzo silna.

Nasza siostra Sarah. Annah nie mogła się przyzwyczaić do sposobu, w jaki ludzie określali jej przyjaciółkę. Nie mieli kłopotu z wymówieniem jej imienia. Znali jej przyzwyczajenia. Podziwiali ją i szanowali.

- Sama jest matką - wyjaśniła Alice. - Dlatego rozumie cierpienie matek w obozie.

- Widziałas jej córeczkę? - spytała wtedy.

- Widzieliśmy jej twarz - padła odpowiedź. - Na papierze. Nauczyliśmy się jej imienia. Niestety, jest krótkie i brzydkie.

Annah się uśmiechnęła. . - Kate.

Spoglądając na pokryty kurzem teren, Annah pomyślała o Alice. Wątpliwie staruszce o niezwykłej sile i odwadze.

- Alice ze mną rozmawiała - odezwał się Staniey. Annah odwróciła się do niego, trochę zdziwiona jego słowami. Często czytał w jej myślach, jakby wypowiadała je na głos.

- Opowiedziała mi swoją historię - ciągnął. - Wypędzono

449

ją z wioski, gdy przez dwa sezony z rzędu panowała susza. Był to rok, kiedy płonęły lasy. Pamiętam go. Tułała się przez dłuższy czas. Potem ktoś powiedział jej o misji katolickiej, zapewniającej schronienie ludziom takim jak ona. Znalazła ją. Mieszkała tam jedna stara biała kobieta, siostra Mercy, i niemal sto „czarownic”. - Staniey potrząsnął głową, nie mogąc się nadziwić. - Siostra Mercy nie wymagała, żeby Murzynki zmieniały swoje przyzwyczajenia. Po prostu zapewniła im dom i pozwoliła żyć jak dawniej! Odkąd usłyszałem opowieść Alice, bez przerwy myślę o mojej babci. Spodobałoby się jej to miejsce.

Jego przyjaciółka się uśmiechnęła. W głosie Stanieya słychać było radość wymieszaną z cierpieniem.

- Wszystkie kobiety mieszkały razem - dodał. - Były zadowolone. Ale siostra Mercy w końcu umarła. Przez długi czas nic się nie działo, potem pojawili się biali ludzie. Chcieli zobaczyć się z zakonnicami, więc Alice pokazała im grób siostry Mercy, a także innych mniszek, które zestarzały się i umarły jedna po drugiej. - Staniey snuł opowieść z rozważą, jakby próbował dokładnie ją przekazać. - Goście zdziwili się i wpadli w złość. Zamknęli klasztor i zabrali ze sobą wszystkie rzeczy. Staruszkom udało się uratować tylko kilka przedmiotów. Przechowują je w drewnianej skrzyni, którą widzieliśmy.

Staniey umilkł i spojrzał na Annah z błyskiem w oczach.

- Gdy biali ludzie odeszli, staruszki natychmiast wróciły. Kobieta się roześmiała, wyobrażając sobie tę scenę.

- W końcu dowiedział się o tym pełnomocnik rządu - kontynuował Staniey. - Wyrzucił je i przeznaczył budynki na inny cel. Wtedy wszystkie przyszły pod Stożek. Osiedliły się tu i założyły własny klasztor.

Staniey umilkł i oparł się wygodnie. Był spokojny i zrelaksowany.

- Klasztor z ogrodem - dodała Annah.

Przypomniała sobie słowa Alice o regule i ogrodnictwie. „W każdym klasztorze obowiązuje jakaś reguła - powiedziała starszka - która pomaga ludziom odnaleźć Boga”. Co nie

450

przeszkadzało, żeby Alice, „matka przełożona”, nosiła na szyi afrykańskie amulety. Annah wiedziała, przed czym chronią: jeden przed lwami, drugi przed chorobami. Trudno uznać je za katolickie symbole. Ale z tego, co mówiła Alice, wynikało, że starszka nadal uważa siostrę Mercy za patronkę osady. A na dodatek w tej wspólnocie wyczuwało się siłę, dobroć i spokój. To, co zawsze decydowało o atmosferze klasztorów i zakonów.

Czy to możliwe - zastanawiała się - by stare Murzynki, łącząc własne tradycje z mądrością chrześcijańskich zakonnic, zdołały osiągnąć to, co wydawało się niemożliwe? Znalazły sposób na wykorzystanie tego, co najlepsze z obydwu światów? I wyznaczyły nowy, szeroki, otwarty szlak, którym mógł podążać każdy?

Wkrótce Annah i Staniey dojechali do rozwidlenia. Staniey skręcił w prawo.

- Północny zachód - powiedział, sprawdzając kompas, wmontowany w deskę rozdzielczą. - Tą drogą powinniśmy dotrzeć do starego szlaku niewolników. Potem możemy skręcić na wschód i wyjechać prosto na Langali.

Annah kiwnęła głową. Wiedziała, że Staniey ma na myśli zarośnięty trakt, który był przedłużeniem solidnej drogi kończącej się w Langali.

Wyobrażała sobie spotkanie. Sarah, Kate, Michael, Zania, królowa matka, Staniey. Wiedziała, że trzeba wyjątkowego cudu, aby wszyscy bliscy jej sercu ludzie mogli się ze sobą połączyć. Ale zaświtał promyk nadziei...

Wkrótce wjechali do lasu. Ogarnął ich półmrok. Powietrze było zaskakująco chłodne. Annah z ulgą przypomniała sobie, że nie mając czystego kitenge, tego ranka włożyła spodnie Kiki. Teraz zarzuciła również na ramiona różową kurtkę i ciasno się nią owinęła. Dobrze znana faktura materiału i unoszący się z niego zapach działały uspokajająco, jak dotyk starego przyjaciela.

Otaczała ich coraz większa gęstwina. Annah zdała sobie sprawę, że w takim gąszczu pni i konarów trudno będzie roz-

451

łożyć śpiwory, nie wspominając już o rozbiciu namiotu czy rozpaleniu ogniska. Nastawiła się na nieprzespaną noc, podczas której będą usiłowali zdrzemnąć się w land-roverze. Właśnie zamierzali się zatrzymać, kiedy dostrzegli, że ścieżka staje się szersza, a zarośla - rzadsze.

- Dotarliśmy do drogi - oznajmił Staniey.

W miejscu, w którym spotykały się dwa trakty, stał na straży ogromny mangowiec o korze poranej pazurami. Skrzyżowanie miało kształt litery „T”. Tu kończyła się droga, którą nadjechali, a ze wschodu na zachód biegł stary szlak niewolników.

Kiedy zbliżyli się do drzewa, dostrzegli przybity do pnia drogowskaz. Widać było jedynie nieczytelne zarysy liter.

- Spójrz!

Staniey wyciągnął rękę w kierunku, który wytyczał drogowskaz. Wyboista drożyna prowadziła przez wąski pas gęstych zarośli, za którymi widać było chatę. Mężczyzna bez słowa skręcił w tamtą stronę. Po chwili land-rover wyjechał na polanę.

Zatrzymał się przed ciemnym otworem, który niegdyś pełnił funkcję drzwi. Pasażerowie przyglądali się niewielkiemu budynekowi, wzniesionemu z niedbale ociosanych desek i obdartych z kory gałęzi. Otwory zastępowały okna, za to dach wyglądał solidnie.

Staniey i Annah wysiedli z land-rovera. Idąc w stronę chaty, trzymali się blisko siebie i natężali słuch, jak goście niepewni reakcji gospodarza.

W środku było prawie pusto - znajdowała się tam jedynie stara wojskowa prycza i pęknięty rondel. Śmierdziało zwierzęcym moczem, a podłoga była upstrzona odchodami nietoperzy.

- Pewnie trafiliśmy na obóz poszukiwaczy złóż - domyśliła się Annah.

Potem zauważyła przyszpiloną do ściany wyblakłą fotografię. Powierzchnia pomarszczyła się od wilgoci, a na krawędziach pojawiła się pleśń, widać było jednak młodą kobietę w stroju koloru khaki z szympansiatkiem na rękach. Zwierzątko obejmowało opiekunkę długimi, włochatymi łapkami i opierało okrągłą mordkę na jej ramieniu. Kobieta patrzyła

452

prosto przed siebie pewnym, zdecydowanym wzrokiem. Annah przypomniała sobie czytany w Langali egzemplarz „National Geographic”. W jednym z artykułów wspomniano o badaczce, która mieszkała w lesie z gorylami. Sarah i Annah przyglądały się jej zdjęciu, zafascynowane charakterem kobiety. Uważały, że jest to osoba, która nie boi się żyć po swojemu - nosić męskie stroje i nie przejmować się swoją fryzurą. :

Annah uśmiechnęła się do siebie, odgarniając z czoła pasmo zakurzonych włosów. Jakże obie byłyby zdziwione, gdyby potrafiły przewidzieć, że Annah tak bardzo się zmieni. Sarah też - chociaż jej przemiana pewnie mniej rzuca się w oczy. Nadal grała rolę idealnej żony misjonarza. To fakt, że Michael pierwszy dostrzegł zachodzące w niej zmiany - wspominał o tym przy okazji wizyty w rezydencji Kiki. Annah dobrze pamiętała jego słowa: „Moim zdaniem to twoja wina. Bierze przykład z ciebie. Próbuje udowodnić, że ona również potrafi dokonać czegoś samodzielnie”. Annah niespokojnie zmarszczyła czoło. Co pomyślałby Michael, gdyby wiedział, do czego to doprowadziło? Że Sarah pracuje samotnie, w tajemnicy, bez zezwolenia misji czy rządu, z grupą oskarżonych o czary staruch i nielegalnych uciekinierek.

Na środku polany Staniey rozpałił ognisko. Następnie zaświecił dwie latarnie. Gdzieś za ścianą drzew słońce układało się do snu, a tropikalny zmierzch zawsze trwał krótko. Podczas wykonywania tych zajęć mężczyzna gwizdał przez zęby. Patrząc na niego, Annah domyśliła się, że jej towarzysz jest zadowolony ze znalezionej polany. Był dumny z wybieranych przez siebie obozowisk i uważał za osobistą porażkę przymusowe rozłożenie się na jakimś niewielkim, bagnistym czy pełnym owadów terenie.

Alice zaopatrzyła ich na drogę w kurę, zawiniętą w kawałek maty uplecionej z trawy. Ptak został wcześniej oskubany, trzeba go było tylko wypatroszyć i podzielić na kawałki. Annah poszukała deski do krojenia i położyła ją w kręgu światła rzucanego przez latarnię. Następnie zdjęła kurtkę, aby jej nie pobrudzić, wyjęła z pochwy nóż i zabrała się do rozcinania ptaka.

453

W nocy dżungla rozbrzmiewa tysiącami odgłosów, dlatego Annah nie obejrzała się, słysząc trzaśnięcie gałązki. Dopiero nagły ruch Stanieya spowodował, że podskoczyła przestraszona.

- O co chodzi?! - zawołała, chwytając latarnię i rzucając się w stronę land-rovera.

Po drodze rozważała wszelkie możliwości. Zastanawiała się nad właściwym kalibrem. Lew. Lampart. Oby nie bawół...

Wpatrywała się w mrok. Po chwili wynurzyły się z niego ciemne sylwetki. Pochylone w biegu.

Bandyci.

Krzyk Stanieya utonął w nawałnicy dźwięków. W dudnieniu stóp. W ostrych głosach, które wykrzykiwały niezrozumiałe słowa. Ktoś wyciągnął ręce. Błysnęły białka oczu. Rozszedł się smród piwa i potu.

Annah upadła przy land-roverze, uderzona od tyłu czymś twardym i zimnym. W ręce nadal trzymała latarnię. Chwyliła ją mocniej, jakby nikły płomyk mógł ją obronić.

Staniey przywarł plecami do drzwi land-rovera. Mówił bardzo szybko. Jąkając się, próbował wszystkich znanych sobie języków, koniecznie chcąc porozumieć się z napastnikami.

Kobieta oceniła, że jest ich sześciu albo siedmiu. Jeden miał na sobie spodnie od garnituru i pas z amunicją oraz stary wojskowy beret. Reszta była ubrana w wyswiechtane szorty i za-tłuszczone podkoszulki. Każdy z mężczyzn dysponował przynajmniej jedną maczetą, a niektórzy jeszcze włócznią i kijem pasterskim.

- Czego chcecie?! - krzyknęła Annah.

Starła się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. Wiedziała, że najlepiej byłoby rozładować sytuację, pokazując, że ani ona, ani jej towarzysze się nie boją, po czym zawrzeć układ.

Człowiek w berecie wskazał palcem stacyjkę.

- Nie możecie mi go zabrać - powiedziała Annah, nie odrywając wzroku od mężczyzny. - Jestem pielęgniarką. Opiekuję się chorymi dziećmi. Potrzebuję samochodu.

Zorientowawszy się, że napastnik nie zna suahili, wskazała na szafkę z czerwonym krzyżem.

454

- Nie targuj się - szepnął przyjaciel. - To bardzo źli ludzie. Zgiął się wpół, uciszony uderzeniem w brzuch. Nastąpiła chwila ciszy, w której słychać było jedynie brzęczenie owadów i chrapliwe oddechy. Staniey jęknął. Jeden z napastników żuł gumę i robił z niej balony, które głośno pękały.

Annah stała jak sparalizowana. Po plecach spływały jej strugi potu. Mężczyźni wymienili między sobą kilka zdań, po czym człowiek w berecie wysunął się do przodu. W świetle latarni pielęgniarka dostrzegła, że jest ranny. Przez brudną szmatę przewiazaną na wysokości łokcia sączyła się krew i ropa. Mężczyzna wyciągnął rękę do Annah.

- Mam panu pomóc? - domyśliła się z uśmiechem na ustach.

Gestem ręki zachęciła go, by przeszedł na tyły land-rovera. Otwierając szafkę i wyjmując opatrunki, kątem oka dostrzegła przerażoną minę Stanieya.

Mężczyzna, chyba przywódca bandy, usiadł na zderzaku. Pielęgniarka zaczęła usuwać brudny bandaż. Pracowała bardzo ostrożnie, delikatnie, przerywając, ilekroć bandyta skrzywił się z bólu. Odkryła głęboką, długą ranę o gładkich krawędziach, zadaną maczetą albo nożem. Spojrzała mężczyźnie w oczy, ale niczego nie powiedziała. Następnie nałapała

napar z bluszczu do nerki i zmywała warstwy zaschniętej krwi i świeżą ropę. Opatrując paskudną i śmierdzącą ranę, Annah liczyła na to, że mężczyzna, jak każdy inny pacjent, za chwilę jej podziękuję i odejdzie. Nagle zdała sobie sprawę, że bandyta wpatruje się w jej nagie ramiona. Zatrzymuje wzrok na niedużym dekolcie. Odwrócił się do jednego z kompanów. Na tłustych, czerwonych wargach pojawił się lubieżny uśmiech.

Annah pracowała powoli. Chciała, żeby zabieg trwał wiecznie. W końcu musiała jednak założyć opatrunek. Przywódca bandy wstał. Wyglądało na to, że sobie pójdzie. Kobieta odetchnęła. Wtedy bandyta się odwrócił. Na twarzy miał nieładny uśmiech. Jego kumple ryknęli śmiechem, po czym zaczęli gwizdać i klepać się po udach.

455

Przywódca bandy jednym mchem rozdarł bluzkę Annah. Wytrzeszczył oczy na widok bladych piersi, drżących lekko pod wpływem jego dotyku, w przeciwieństwie do reszty skamieniałego ze strachu ciała. Zwilżył wargi. Nagle zmarszczył czoło i machnął ręką, żeby przyniesiono mu latarnię. Żółte światło padło na białą skórę Annah, ukazując znak na jej prawej piersi. Trzy wygięte, przyciemnione popiołem linie.

Przywódca przekrzywił głowę, jakby próbował rozwiązać zagadkę. Po chwili wzruszył ramionami i kazał cofnąć się człowiekowi z latarnią. Chwycił Annah za pośladki, odwrócił ją i rzucił na pudła i torby, którymi załadowany był otwarty bagażnik land-rovera. Szarpnął ją za włosy i przycisnął twarzą do metalowej skrzyni. Dopiero wtedy zauważył, że jego ofiara jest w spodniach. Przywołał dwóch swoich ludzi. Ze śmiechem pomagali mu je zdjąć.

Przekrzywiwszy głowę, Annah napotkała spojrzenie Stan-leya. Stał nieruchomo, obrócony twarzą do niej. Do szyi miał przystawiony długi nóż.

Ich spojrzenia się spotkały. Długo patrzyli sobie w oczy. Wiedzieli, że opór ani protest nic nie dadzą. I że kiedy wszystko się skończy, oboje będą martwi.

Mężczyźni ściągnęli z Annah spodnie Kiki, rozerwali przepisowe misjonarskie figi. Potem przestali się śmiać. Wpatrywali się w nią, jakby zaszokowała ich biała skóra. Po chwili wahania przywódca bandytów zaczął rozpinać podtrzymujący spodnie pas z amunicją.

W tym czasie jeden z bandytów buszował w skrzynce z lekarstwami. Nagle wydał zduszony krzyk. Odwróciwszy głowę, Annah ujrzała czarne palce zaciśnięte na wiązce wysuszonych korzeni i kilku talizmanach należących niegdyś do jasnowidza. Przywódca niecierpliwym gestem machnął, żeby mu nie przerywać. Po chwili rozległ się przeszywający, pełen grozy krzyk. Tym razem przywódca go zlekceważył. Przycisnął pośladki kobiety do twardej powierzchni jakiejś paczki. Annah czuła na szyi śmierdzący alkoholem oddech. Niezgrabne paluchy wciąż dłużyły przy rozporku. Zamknęła oczy, pragnąc przenieść się

456

w jakieś inne miejsce. Byle dalej od tego obrzydliwego, miazdzącego ją cielska. Od pełnych udręki oczu Stanieya. Do zielonego, bezpiecznego lasu. Prawie nie zauważyła, że mężczyźni zaczęli mówić podniesionymi głosami. Przepychać się. Nagle przywódca gdzieś się zapodział. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał, Annah poczuła wietrzyk, który suszył cudzy pot na jej skórze.

Ktoś zacisnął dłoń na jej ręce i podniósł ją tak, żeby wszyscy obecni mogli się przyjrzeć - jakby była bokserem, który w jakiś niewytłumaczalny sposób wygrał rundę. Czyjś palec wskazał bransoletkę Zanii.

- Makowi! - krzyczał ktoś raz za razem. Annah się odwróciła. Dwóch bandytów trzymało przywódcę w mocnym uścisku, a cała reszta coś do niego krzyczała.

- Makowi! Makowi!

Rozpaczliwymi gestami wskazywali miejsce, gdzie leżały porozsypywane afrykańskie medykamenty z kolekcji Annah - suszone zioła, kawałki piór, proszki, wywary. Zasuszone ptaki, jaszczurki, węże... Jeden z mężczyzn zauważył kurę na desce do krojenia. Następnie przeniósł wzrok na Annah, wskazując zdobiącą jej nadgarstek bransoletę. I znak na piersi.

Bandyci wybałuszali oczy z przerażeniem i odrazą. Nawet ich przywódca zaczął się cofać. Pochylił się, podniósł maczetę i jakieś szmaciane zawiniątko. Następnie rzucił jedno krótkie, ostre i jasne polecenie. Mężczyźni odwrócili się i zniknęli w krzakach.

Stanicy i Annah stali jak sparaliżowani. Potem wskoczyli do land-rovera i zatrzasnęli za sobą drzwi. Stanicy przekręcił kluczyk w stacyjce i przycisnął pedał gazu. Silnik kaszlnął, ale nie odpalił. Annah ciężko dyszała. Trzęsącymi się dłońmi ujęła strzelbę, naładowała ją i trzymała w pogotowiu. Z ulgą poczuła znane kontury metalu i drewna, odwagi dodał jej również ciężar wycelowanej broni. Wiernej i wypróbowanej.

Stanicy wyłączył silnik.

- Przegrzał się. Musimy chwilę zaczekać - powiedział spokojnie.

457

- Kto to był? - spytała Annah.

Miała wrażenie, że ten głos należy do kogoś innego. Nie do niej - drżącej i nagiej. Na jej ciele widniały ślady potu wstrętne nieznanego.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie znam ich języka.

Nagle zeszywniał. Zauważył, że krzaki się poruszyły. Obydwoje zamarli. Na polanę wybiegł kudłaty człowiek z obnażoną piersią i rzucił coś w stronę samochodu. Coś wielkiego, miękkiego. Różową kurtkę Annah. Potem uciekł ile sił w nogach.

- Dlaczego to zrobił?

Annah wybuchnęła nerwowym śmiechem. Czowała, że jest bliska hysterii.

Stanicy nie odpowiedział. Ostrożnie wysiadł z wozu i pozbierał z ziemi ubranie.

- Okradając czarownicę, człowiek naraża się na nieszczęście - powiedział, wracając do wozu i wręczając kobiecie jej rzeczy.

Mówił całkiem poważnie. Wyraz, którego użył na określenie nieszczęścia, oznaczał prawdziwą klęskę - klątwę, która ciąży na wielu przyszłych pokoleniach.

Annah z wdzięcznością wzięła swoje ubranie. Najpierw zarzuciła na siebie kurtkę, otulając nią wstrząsane dreszczami ciało. Zawinęła się w nią ciasno. Nagle wyczuła w kieszeni coś twardego. Przez chwilę nie wiedziała, co to takiego. Potem przypomniała sobie laleczkę Naagi - swojego afrykańskiego świętego Krzysztofa, patrona podróżników.

Chmury zniknęły, odsłaniając bliski pełni księżyc. Polanę zalała niesamowita, zielonkawa poświata. Drzewa nieruchomo obserwowały scenę. Resztki obozowiska. Przewrócony taboret, leżącą latarnię, butelkę z wodą, kurę...

- Spójrz!

Mężczyzna wskazał na główny trakt. Stok wzgórza przecinała biała wstęga szlaku niewolników. Widać na niej było ciemne sylwetki napastników. Blade światło księżyca odbijało się od maczet i grotów włóczni.

Annah i Staniey spojrzeli na siebie. Nie musieli nic mówić. Bandyci zmierzali na wschód. Jeżeli się nie zatrzymają i nigdzie nie skręca, mogą dotrzeć tylko do jednego miejsca. Do tylnej ściany kaplicy na skraju placówki misyjnej w Langali.

- Musimy ich wyprzedzić - zdecydował Staniey. Annah zamknęła oczy. Zrobiło jej się niedobrze. Wiedziała, że szum drzew nie zagłuszy dźwięku silnika. Bała się, że bandyci będą mieli dość czasu, by się zastanowić i zmienić stosunek do „białej czarownicy”. Mogą się na nich zacząć. Na myśl o tym, że wpadliby znów w ich ręce, Annah ogarnął paniczny strach.

- Ta dróżka przecina polanę. - Chociaż bandyci znajdowali się daleko poza zasięgiem głosu, Staniey mówił prawie szeptem. - Musi gdzieś dalej łączyć się z głównym szlakiem. Jeśli się pośpieszymy, możemy ich wyprzedzić.

Pochylił się nad Annah. Ciągle drżała, skurczona na siedzeniu jak dziecko, z kolanami przy piersi. Zbielałymi palcami zaciskała poły kurtki. Staniey położył dłoń na ramieniu Annah. Podskoczyła pod wpływem jego dotyku.

Ponownie próbował uruchomić samochód. Czekał, aż silnik zacznie działać, kobieta zamknęła oczy. Z trudem oddychała. Wreszcie ruszyli z miejsca.

Czuła, że po policzkach płyną jej gorące łzy.

Staniey pochylił się nad kierownicą, zaciskając na niej ze-sztwywniałe dłonie. Wpatrywał się w zarośniętą ścieżkę. Jechał tak szybko, jak to było możliwe, ale od czasu do czasu musiał się zatrzymać, wysiąść z wozu i przyciąć gałęzie niskich drzewek. Kiedy machał pangą, jego silne ramię tworzyło brązowy łuk. Annah skupiła wzrok na ogromnym nożu. Od lat widywała, jak jej towarzysz używa tego sprawdzonego narzędzia do niezliczonych prac, od rozcinania kokosu poczynając, a na kopaniu dziur i wycinaniu kolb kukurydzy kończąc. Tak samo postępowali wszyscy tubylcy. Jedynie w rękach niebezpiecznych opryszków pangą zamieniała się w złowieszczy przedmiot o odpowiednio brzydkiej nazwie. Maczeta.

Kiedy pokonywali wąską ścieżkę, zatrzymując się i znów

jadąc, minuty ciągnęły się w nieskończoność. Nie mogli poruszać się szybciej niż piechur. Wreszcie dotarli do szlaku niewolników. Następny zniszczony drogowskaz oznaczał miejsce, w którym boczna ścieżka łączyła się z głównym traktem. Kiedy znaleźli się na rozjeździe, Staniey zwolnił. Zaczął uważnie wpatrywać się w nawierzchnię nieco szerszej drogi. Na wschód i na zachód ziemia była gładka, pozbawiona jakichkolwiek śladów, zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych.

- Nikt tędy nie szedł.

- To dobrze - ucieszyła się Annah. - Wyprzedziliśmy ich. Patrzyła na zachód, wyobrażając sobie wyłaniających się zza zakrętu bandytów. Grupkę brudnych obszarpańców, z których jeden jest ranny, a drugi żuje gumę. Drzewa stały w bezruchu.

Annah oparła głowę na rękach. Drzemała. Zdała sobie sprawę, że minęło wiele godzin. Kołysanie land-rovera powoli ją uspokoiło.

Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą horyzont - pozbawioną drzew okolicę, zabarwioną przez wczesny świt szarymi i pastelowymi kolorami. Wzrok kobiety wędrował po łagodnych wzgórzach. Na ich stokach spokojnie pasło się bydło, po błękitnym niebie krążyły białe ptaki. Zapowiadał się piękny, spokojny - zwyczajny - afrykański poranek.

Kiedy Annah przyjrzała się krajobrazowi, poczuła wdzięczność, że żyje, że jest częścią tego świata.

Zerknęła na Stanieya. Siedział wyprostowany, z jedną dłonią na kierownicy.

- Zasnąłam - przyznała.

W jej słowach słychać było strach. Powinna czuwać, siedzieć i wpatrywać się w mrok.

- Dobrze ci to zrobiło - odparł Staniey, uśmiechając się nieco.

- Może teraz ja poprowadzę? Pokręcił przecząco głową.

- Nie jestem zmęczony. Zbliżamy się do Langali.

460

Na dźwięk nazwy placówki misyjnej Annah zeszywniała. Przypomniała sobie powód, dla którego jechali przez całą noc. Odżyły koszmarnie wspomnienia. Dotknęła siniaka na policzku. Spuchnięte miejsce zaczęło piec.

- Trzymaj się! - krzyknął Staniey, nagle naciskając hamulce.

Z rzadkich krzaków wypadła na drogę para kóz. Za nimi pojawił się mały chłopiec. Na widok samochodu dziecko upuściło kij pasterski i przerażone uciekło w krzaki, rozdzierając sobie ubranie. Staniey wołał je, ale bez skutku. Annah doszła do wniosku, że land-rover był prawdopodobnie pierwszym samochodem, jaki pojawił się na nieużywanym szlaku niewolników od dziesięcioleci. Może nawet pokoleń.

Jej przypuszczenie potwierdziło się, gdy znaleźli się w niewielkiej wiosce. Ich przyjazd wywołał zdumienie i strach. Wbrew zasadom dobrego wychowania Staniey nie wysiadł i nie wyłączył silnika.

- Spotkaliśmy bandytów! - krzyknął, kiedy do samochodu podszedł staruszek w asyście dwóch wojowników z włóczniami. - Chcieli ukraść nam auto. - Poklepał kierownicę. - To bardzo źli ludzie. Mogą ściągnąć na waszą wioskę mnóstwo kłopotów.

Staruszek kiwnięciem głowy podziękował za wiadomość. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się kiść zielonych bananów. Staniey sięgnął po nie przez okno i oddał Annah. Nie przyjmując pozostałych darów, ruszył z miejsca.

Im bliżej misji, tym bardziej zatarty był szlak niewolników, jednak nadal wolno posuwali się nim do przodu. Annah spodziewała się, że łąka chwila zobaczy między drzewami dach kaplicy, dlatego wpatrywała się przed siebie. Trakt wił się między pniami ogromnych, starych drzew, skręcał raz w lewo, raz w prawo. Wreszcie samochód pokonał ostatni ostry zakręt i oczom podróżnych ukazały się zabudowania.

Uroczy obrazek, oświetlony promieniami wschodzącego słońca, zabarwiony na żółto i różowo. W obydwu oknach kaplicy płonęły świece.

461

Staniey zwolnił i zaczekał, aż samochód sam się zatrzyma. Kiedy silnik umilkł, obydwoje usłyszeli dobiegający z kaplicy chóralny śpiew. Słuchali w milczeniu. Annah dobrze знаła melodię, ale długo nie potrafiła powiedzieć, skąd. Wreszcie przypomniała sobie pierwsze wersy: W oddali, za murami wielkiego miasta, jest zielone wzgórze, / Gdzie nasz Pan został ukrzyżowany / I oddał życie dla naszego zbawienia.

Odwróciła się do swego towarzysza.

- Musi być Wielki Piątek.

Przyjaciele wymienili zdumione spojrzenia. Żadne z nich nie miało pojęcia, że zbliża się Wielkanoc. Wszystko świadczyło o tym, jak bardzo odsunęli się od misji i Kościoła. Od dawnego świata.

Podjechali pod pobieloną ścianę kaplicy, po czym skręcili w lewo i posuwali się dalej zarośniętą ścieżką, biegnącą wzdłuż muru okalającego teren misji. Pojawiając się w Langali od tej strony, czuli się dziwnie, jak spiskowcy. Kiedy dotarli do bramy, Annah odetchnęła z ulgą. Teraz przynajmniej dostaną się na główny plac normalnie, jak każdy gość.

Staniey stanął obok misyjnego land-rovera i odwrócił się do Annah, czekając na wskazówki. Wbiła wzrok w splecione dłonie na kolanach. Zapadło niezręczne milczenie. Nie bardzo wiedzieli, co mają teraz zrobić i jak się zachować. Kim dla siebie będą... Zdawali sobie również sprawę, że w którymś momencie nie będą mogli już sobie pomóc. Każde z nich samotnie musi zmierzyć się ze skutkami powrotu do Langali.

- Pójdę do domu misyjnego - powiedziała. - Zaczekam na nich.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Ja zajmę się samochodem.

Podczas rozstania nie patrzyli sobie w oczy.

Annah poszła wydeptaną ścieżką w stronę domu misyjnego, tak samo jak wiele lat temu, kiedy wracała z nocnego dyżuru czy biegła z ambulatorium na szybki posiłek. Dziwnie się

462

czuła, niepewnie pukając do drzwi, przez które tyle razy wchodziła bez wahania. Potem stała i czekała, aż usłyszy kroki. Wiedziała, że Michael, Sarah i Kate są w kościele. Ale ktoś powinien być w kuchni i przygotowywać posiłek, na który ona, jako biała, z pewnością zostanie zaproszona. Perspektywa spotkania z Michałem w jego własnym salonie była dość przygnębiająca, Annah wolała jednak to niż przywitanie w obecności wszystkich mieszkańców placówki.

Nikt nie zareagował na pukanie. Po chwili wahania nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły. Poczowała zapach ciasta i świeżo wypolerowanych mebli.

Weszła do salonu. Stąpała cicho i ostrożnie, jak skradające się dziecko. Od razu zwróciła uwagę na zasłony. Zniknęła tkanina w bumerangi, włócznie i głowy aborygenów, a pojawił się jedwab w kolorze nieba. Dostrzegła również inne zmiany. Kanapa zaścielona była kolorową narzutą. Na regale stały rzędem afrykańskie rzeźby. A pod nimi między ponure grzbiety książek w twardych okładkach i Biblię Michaela ktoś wcisnął powieści w kolorowych okładkach.

Na kredensie stało zdjęcie w udekorowanej gałązkami uroczyny ramce. Nawet z tej odległości Annah rozpoznała czar-no-białą fotografię, przedstawiającą dziewczęcą twarz, na której lada chwila miał się pojawić uśmiech.

- Kate - szepnęła.

Podeszła do zdjęcia i przyjrzała mu się dokładnie, dotykając szkła koniuszkami palców. Obliczyła, że jej chrześnica musi mieć teraz jakieś dwanaście lat. Ale na zdjęciu wyglądała na szczuplejszą i bardziej dojrzałą. Odziedziczyła po Sarah gęste, ciemne włosy, a po Michaelu wydatne usta. W oczach dziewczynki czaiło się przekonanie, że należy cieszyć się życiem tak bardzo, jak tylko można. Annah zrobiło się ciepło na sercu na myśl o tym, że niebawem zobaczy Kate.

Słyszając rozbrzmiewające na werandzie kroki, odwróciła się. W chwilę później skrzypnęły drzwi. Sarah weszła lekkim, energicznym krokiem.

463

Na widok Annah zatrzymała się, patrząc z niedowierzaniem. Po chwili znów ruszyła, tym razem powoli, jak lunatyczka, aż znalazła się w odległości ramienia od Annah.

Przez jakiś czas po prostu patrzyły, wyciągając do siebie ramiona i ciesząc się swoim widokiem.

Potem każda wtuliła twarz w ramię przyjaciółki. Splotły dłonie. Przytuliły się do siebie, zwały w mocnym uścisku. Ich oddechy mieszały się, rzęsy łaskotały skórę. Lawendowe perfumy połączyły się z zapachami podróży - wonią kurzu i smaru.

Sarah oderwała się od Annah i spojrzała jej w twarz. Powoli, z miłością studiowała znajome rysy. Odgarniając z policzka Annah niesforny lok, zmarszczyła brwi. Zobaczyła fioletową plamę, wyraźnie widoczną na białej skórze.

- Jesteś ranna!

- Nic mi nie dolega - uspokoiła ją Annah.

- Co się stało?

Annah potrząsnęła głową. Oczy zapiekły ją od powstrzymywanych łez. Nagle poczuła się mała i słaba. Sarah ponownie objęła przyjaciółkę.

- Jesteś tutaj. Tylko to się liczy - wymamrotała, tuż przy jej szyi.

Sarah zanurzyła twarz we włosach przyjaciółki. Zaciśnęła dłonie na kilku pasmach, jakby chciała nabrać pewności, że to wszystko dzieje się naprawdę, nie we śnie, który lada chwila może się skończyć.

Miotana bólem i radością Annah nabrała powietrza w płuca. Nagła bliskość była niemal nie do zniesienia, bolała, jak głęboka, zadana nożem rana.

Annah zerknęła przyjaciółce przez ramię, jakby szukała czegoś, co pozwoliłoby jej wyswobodzić się z uścisku.

W drzwiach stał Michael. Obserwował je.

Annah zeszywniała. Ręce jej opadły.

Sarah odwróciła się, żeby sprawdzić, co się stało. Na widok męża również ona zastygła w bezruchu.

Michael przyglądał się Annah, bacznie studiując jej twarz,

464

ciało, ubranie i włosy. Zatrzymał wzrok na siniaku, po czym podszedł i przyjrzał mu się dokładniej, jak lekarz.

- Dobrze się czujesz? - spytał bezosobowym, ale nie chłodnym tonem.

Annah kiwnęła głową. Poczowała przyływ nadziei. Może Michael jednak cieszy się z jej przybycia?

- Tak, dziękuję.

Niestety, twarz mężczyzny nie zdradzała żadnych uczuć, pozostała nieprzenikniona. W pokoju zapadła cisza. Ukrywając podartą bluzkę, Annah ciaśniej owinęła się kurtką. Czuła, że Sarah stoi obok jak sparaliżowana. Milczenie się przeciągało. Annah wzięła

głęboki wdech. Czują, jak w jej głowie rodzą się słowa, wrywają się na zewnątrz, żeby wypełnić próżnię.

- Wczoraj wieczorem oboje ze Stanieyem zostaliśmy zaatakowani w dżungli przez uzbrojonych mężczyzn. Było ich około pół tuzina. Mieli maczety, noże i włócznie.

Sarah odwróciła się gwałtownie i spojrzała na policzek Annah.

- Co oni ci zrobili?

- Nic. Coś ich przestraszyło. Ale zmierzają w tym kierunku. Natychmiast ruszyliśmy w drogę, żeby was uprzedzić. Twarz Sarah zmieniła się pod wpływem nagłego niepokoju.

- Czego chcieli? Skąd byli? - dopytywała.

- Chcieli nam zabrać land-rovera - wyjaśniła Annah. - Nie wiemy, kim są. Staniey nigdy nie słyszał ich języka.

- Powiedziałaś, że zmierzają w tym kierunku? - upewniała się Sarah. - Jesteś tego pewna?

Annah zacisnęła usta, jakby przestraszyła się, że powiedziała za dużo.

- Tak. Widzieliśmy ich.

Odwróciła się do Sarah. Wymieniły spojrzenia. Spojrzenia świadczące o silnej więzi.

Sarah zamknęła oczy. Mogło to oznaczać zarówno przerażenie, jak i ulgę. Michael uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

- Mielіśmy tu ostatnio pewne problemy - wyjaśnił gościo-

465

wi. - Bandyeci przekroczyli granicę i nadeszli starym szlakiem niewolników. W Rwandzie jest teraz bardzo niespokojnie.

- Mogą tu dotrzeć o zmierzchu - przerwała mu Annah. W miarę jak mówiła, odczuwała coraz silniejszą chęć działania. - Nie mogliśmy jechać zbyt szybko.

Wyjrzała za okno. Zauważyła, że jej land-rover stoi w innym miejscu - został zaparkowany pod eukaliptusami. Przy wozie tłoczyli się mieszkańcy wioski i pracownicy misji. Widząc to, kobieta poczuła jeszcze większy niepokój. Panowała tu zbyt normalna, zbyt spokojna atmosfera.

- Kate - powiedziała nagle. - Gdzie jest Kate?

- Nie ma jej tu - uspokoiła ją Sarah. - Jest w Dodomie. W szkole z internatem.

Annah kiwnęła głową. W głębi duszy odczuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Co prawda Kate jest bezpieczna, ale Annah jej nie zobaczy.

- Gdzie macie broń? - spytała Michaela. Doktor Carrington wpatrywał się w nią, zaskoczony pytaniem. Dopiero po chwili udzielił odpowiedzi.

- Nie mamy żadnej broni. Kobieta zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem.

- Doszliśmy do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem jest przyjęcie postawy pacyfistycznej. Musieliśmy tak zrobić. Nie mogliśmy pracować i jednocześnie stale być w pogotowiu.

- Ale nadal macie broń, tylko schowaną - upewniała się.

- Nie. Spaliliśmy ją na dziedzińcu - wyjaśnił Michael. - Na oczach wszystkich.

Annah wpatrywała się w niego okrągłymi oczami.

- Nawet twojego sheridana?

Był to cenny przedmiot, troskliwie czyszczony i polerowany przez wiele długich wieczorów.

W oczach Michaela pojawiła się nutka żalu, ale jego głos odznaczał się pewnością siebie.

- Postąpiliśmy słusznie.

- Mam trzy sztuki...-zaczęła Annah.

466

- Nie. - Michael gestem ręki powstrzymał Annah, która skierowała się do wyjścia. - Teraz obowiązuje tu nowa zasada. Żadnej broni na terenie placówki. Nie możemy jej złamać.

- Ale ci ludzie są niebezpieczni - przekonywała go. -Wszyscy mają broń. Użyją jej.

- Już wcześniej byliśmy okradani - odparł. - Doszliśmy do wniosku, że lepiej na tym wyjdziemy, jeżeli zdecydujemy się na współpracę. Przedsięwzięliśmy pewne środki ostrożności. W magazynach trzymamy tylko niewielkie zapasy. Reszta została w różnych miejscach zakopana. Co więcej, nasz land-rover jest wiecznie „zepsuty”. - Wskazał leżący na półce akumulator. - Jeśli ci ludzie tu się pokażą, wszystko odbędzie się jak zwykle. Wezmą to, na czym będzie im zależało, i odejdą. Nikomu nic się nie stanie.

- Nie możesz na to liczyć.

Słyszając słowa Michaela, Annah wpadła w złość. Ten człowiek zawsze jest taki pewny swego, taki rozsądny. Nie przyjmuje do wiadomości żadnych argumentów.

Michael spojrział na potargane ubranie Annah.

- Znajdujemy się w placówce misyjnej. Ludzie wiedzą, że to miejsce należy do Boga. Nawet najgorsze opryszki traktują je z pewnym respektem. Zupełnie inaczej zachowują się wobec podróżnych.

- To znaczy, że masz zamiar siedzieć z założonymi rękami i czekać na nich, mając nadzieję, że wszystko dobrze się skończy?

- Tak. Będę się modlić.

- To czyste szaleństwo!

Twarz Michaela drgnęła ze zdziwienia. Przymrużył oczy.

- Cóż, tutaj postępujemy w taki właśnie sposób. Może zapomniałaś. Obowiązują nas pewne reguły i zasady postępowania. Wspiera nas wiara. I tego się trzymamy.

Oboje mierzyli się wzrokiem. Annah zdała sobie sprawę, że to już nie jest zwykły spór na temat broni czy bandytów. Ich nieporozumienie było skutkiem o wiele starszych i głębszych urazów.

467

„Nie wpręgajcie się z niewierzącymi w jedno jarzmo”... Znów znaleźli się w chacie Mtemiego. Annah stała między dwoma mężczyznami. Powietrze było ciężkie od zazdrości i podejrzeń.

„Jedź ze mną... Inaczej będziesz zdana tylko na siebie”. Już wtedy wiedziała, że Michael nigdy nie żartuje, że postępuje zgodnie ze swoimi niezachwianymi przekonaniem. Miłość nie jest żadnym usprawiedliwieniem dla słabości. Człowiek powinien robić to, co właściwe. Ludzie muszą się dostosować. A jeśli nie, są wydalani...

Unikając spojrzenia mężczyzny, Annah wbiła wzrok w swoje dłonie. To, co niegdyś czuła - złość, urazę, strach przed potępieniem - z biegiem lat gdzieś zniknęło. Pozostał ból, podsycany ciąglą tęsknotą za więzią, jaka niegdyś ich łączyła. Trójkątem miłosnym, który Michael zniszczył. Teraz stara rana dała o sobie znać, ciągle bolała.

- Nie chcesz, żebym została, prawda? - spytała. - Chociaż minęło tyle lat.

Kiedy jej słowa zabrzmiały w ciszy, Michael zeszywniał. Wręcz skamieniał.

Annah z zapartym tchem czekała na jego odpowiedź. Wszystko zawisło na włosku. Za chwilę zostanie uratowane albo stracone.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Ale jego milczenie było wymowne.

Z piersi Annah wyrwało się długie westchnienie. Spojrzała na Sarah. W oczach przyjaciółki dostrzegła ten sam ból. Po chwili Annah zdobyła się na ostatni wysiłek.

- Przyjechaliśmy, żeby was uprzedzić - wyjaśniła ponownie. - To wszystko. Zaraz odjedziemy.

Skierowała się do drzwi. Słyszała, że Sarah zrobiła dwa kroki. Kątem oka dostrzegła wyciągniętą dłoń przyjaciółki, jakby Sarah chciała ją zatrzymać. Ale nic się nie wydarzyło.

Szła przed siebie, krok za krokiem, zdając sobie sprawę, że za jej plecami panuje cisza.

468

Wyszła na werandę. Stała w ciepłych promieniach słońca...

Jak przez mgłę widziała zaparkowany pod drzewami biało—błękitny samochód. Skierowała kroki w tamtą stronę, skupiając się na wozie, jakby to była strzałka kompasu.

Kiedy się zbliżała, tłum ludzi wychodzących z kościoła umilkł. Annah wędrowała, nie zwracając uwagi na zdziwione oczy, szepczące usta, trącające się łokcie.

Gdzie jesteś, Stanieyu? - pomyślała.

Jakby w odpowiedzi na jej błaganie zza samochodu wyłoniła się wysoka postać w stroju koloru khaki. Stanicy trzymał w dłoni klucz. Różowe dłonie Murzyna poplamione były olejem. Spojrzał jej w oczy.

- Jedźmy - powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Annah opadła na siedzenie land-rovera. Pochyliła głowę do przodu, żeby ukryć twarz za włosami. Zamknęła oczy.

Słyszała, jak Stanicy siada za kierownicą i zamyka drzwi. Wkłada klucz do stacyjki, dzwoniąc breloczkiem.

Nagle tuż obok niej rozległo się pukanie. Ktoś stukał w okno.

Sarah - pomyślała.

Uniosła głowę i odgarnęła włosy. Patrzyła prosto w błękitne oczy Michaela.

Machnięciem ręki poprosił, by uchyliła szybę.

Annah próbowała to zrobić, ale wykonywała zbyt gwałtowne ruchy i szyba się zacięła. Musiała otworzyć drzwi i wysiąść.

Stanęli twarzą w twarz na oczach tłumu. Ludzie milczeli, bacznie obserwując przedstawienie. Wyczuwało się niepokój i zażenowanie.

Staniey wysiadł w wozu i stanął przy Annah. Wtedy uwaga tłumu na krótką chwilę przeniosła się na niego. Przybiegła wyraźnie zaniepokojona Sarah. Annah tylko na nią

zerknęła, po czym ponownie odwróciła się do Michaela. Stała oniemiała, wyzuta z nadziei i planów. Czekala.

- Nie odjeżdżaj - powiedział nagle Michael.

469

Jego słowa padły w pełnej skupienia ciszy.

Kobieta przyglądała mu się niezbyt pewna jego zamiarów.

Michael spuścił wzrok.

- Przepraszam - powiedział szeptem.

To jedno słowo przeniknęło do najgłębszych zakamarków duszy Annah jak promień światła. Złotego, cennego.

Michael podniósł głowę i napotkał spojrzenie Annah. Kiedy znów się odezwał, mówił głośno, by każdy mógł go usłyszeć.

- Przepraszam.

Słowo poszybowało w powietrzu. Przypominało łagodzący, leczniczy balsam. Ludzie poruszyli się, niektórzy podeszli trochę bliżej, jednak w ich ruchach nadal widać było wahanie, jakby nie byli pewni, co wydarzy się w następnej chwili.

Wtedy z tłumu wysunęła się Ordena i podeszła prosto do Annah.

- Witam, siostrze - powiedziała zwyczajnie.

Zmarszczki na twarzy Murzynki były głębsze niż wówczas, gdy Annah widziała ją po raz ostatni, ale poza tym się nie zmieniła. Na powitanie serdecznie uścisnęła Annah, roztaczając wokół siebie kuchenne zapachy tłuszczu i dymu z ogniska.

Po kilku sekundach Ordena cofnęła się, by spojrzeć w twarz białej kobiety. Szorstkimi od pracy dłońmi dotknęła jej ramion.

- Schudłaś - stwierdziła i zwróciła się do Sarah: - Może poszlibyśmy do domu i ugościli podróżnych?

Jej zwyczajne zachowanie rozładowało napiętą atmosferę. To, co jeszcze przed chwilą wydawało się niemożliwe, nagle stało się normalne. Sarah nie odrywała pełnego zdumienia wzroku od Ordeny, jakby Murzynka właśnie dokonała cudu.

- Oczywiście. Chodźmy - powiedziała w końcu. Dookoła rozległy się swobodne rozmowy. Dzieci śmiały się i bawiły.

Annah, Michael i Sarah stali obok siebie. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, ale nie czuli się skrępowani milczeniem. Patrzyli na powitanie, jakie zgotowała Stanieyowi rodzina. Ściskali mu dłoń, zadawali pytania, na kolanach usiadło mu

470

już dziecko, stara kobieta stanęła u boku. Afrykańczyk uśmiechał się i rozmawiał, ale widać było, że przez cały czas jego uwaga skupiona jest na Annah.

- Nie wracajmy do domu - zaproponowała nagle Sarah. - Zjedźmy na zewnątrz. Wszyscy razem.

Michael spojrział na nią, zdumiony. Ordena też była zaskoczona, ale kiwnęła głową z aprobatą.

- Dobry pomysł - przyznała. - W końcu to szczególny dzień, prawda?

W ciągu kilku minut pod eukaliptusami siostry Barbary zostały rozłożone uplecione z trawy maty. W sizalowych koszykach znoszono wiejskie jedzenie - pieczony bób, melon,

orzeszki arachidowe i tykwy z mlekiem. Pojawiły się gliniane garnki z parującym ugali. Na koniec z domu wyszedł Tefa, niosąc ogromną tacę z gorącymi bułeczkami, ozdobionymi krzyżami z ciasta.

Annah usiadła na jednej z mat. Stanicy przykucnął obok niej jak typowy Afrykańczyk - z dłońmi na kolanach. Dalej zajął miejsce Michael. Siedział po turecku. Jego odświętne szorty wygniotły się, a skarpetki zakurzyły od mat. Było mu niewygodnie, ale nie czuł się skrępowany. Kiedy ktoś podsunął mu kosz z bobem, wziął pełną garść, po czym przekazał smakołyk Annah. Przez cały czas miał lekko uniesione brwi, jakby wciąż się dziwił, że poranne wydarzenia przybrały tak nieoczekiwany obrót i porwały go za sobą.

- Dobudowaliśmy dodatkowe skrzydło do oddziału położniczego - pochwalił się. - Tam.

- Imponujące - przyznała Annah.

Ich spojrzenia znów się spotkały. Mieli ochotę się rozeźmiać z tej dość dziwnej wymiany zdań. Ale po tylu latach milczenia nigdy nie wiadomo, od czego zacząć.

Michael odwrócił się do Stanieya. Obaj mężczyźni długo rozmawiali, pod wpływem zainteresowania coraz bliżej pochylając do siebie głowy.

Annah miała wrażenie, że znalazła się w nierealnym świecie. Reakcja Michaela i ciepłe powitanie Afrykańczyków prze-

471

kroczyły jej najśmielsze oczekiwania. Na razie spotkał ją jedynie afront ze strony afrykańskiego kaznodziei oraz kilku starsuszków, którzy nie bardzo wiedzieli, kim są goście. Reszta cieszyła się z powrotu Annah i Stanieya.

Sarah, która siedziała obok przyjaciółki, podawała jedzenie. Annah jadła łapczywie. Widok i zapach potraw pobudził jej apetyt. Przez cały czas raczono ją opowieściami o zawartych ślubach, wybudowanych chatach, hodowli bydła. W pewnej chwili podeszło do niej troje nastolatków. Przypomnieli, że była obecna przy ich narodzinach. Pochyliły się nad nią silne, zdrowe, dojrzewające ciała. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś byli bladymi, pomarszczonymi niemowlętami, próbującymi chwycić powietrze filigranowymi rączkami.

Potem przyszła Erica, mieszkanka wioski, kobieta, której krew uratowała Sarah przy porodzie. Erica dała Annah do potrzymania swoje nowo narodzone dziecko.

Sarah skinęła na siedzącą w pewnej odległości kobietę o miodowej skórze i długich włosach. Nieznajoma podeszła do Annah. Była zaskakująco wysoka.

- To Mileni - przedstawiła ją Sarah. - Przyjechała z misji w Addis Abebie. Jest dyplomowaną pielęgniarką.

Kobiety uściśniły sobie dłonie i wymieniły powitalne formułki.

- Mileni pomaga mi w pracy - dodała Sarah. Annah rzuciła jej pytające spojrzenie. Przyjaciółka jednak nie powiedziała nic więcej. Poprosiła o miskę mango i położyła kawałek owocu na jej talerzu.

Jedząc, Annah co chwila spoglądała na Stanieya. Podobnie jak ona rozmawiał i śmiał się ze wszystkimi, ale od czasu do czasu szukał jej wzroku. Wymieniali wówczas niespokojne spojrzenia. Zdawali sobie sprawę z wiszącego nad placówką niebezpieczeństwa. Oczywiście było, że Michael nie zamierzał reagować na ich ostrzeżenia. Sarah zdradzała pewne zaniepokojenie, ale nie protestowała przeciwko postawie męża. Afrykańczycy przypuszczalnie nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia, co nie było takie złe, skoro i tak nikt nie zamierzał przygo-

472

towyczyć się do obrony. Rozmawiając i słuchając, Annah zerkała na zachód. Spoglądała również na zaparkowany w pobliżu samochód. Z przygotowaną bronią i amunicją...

Kiedy nie można było już dłużej zwlekać z rozpoczęciem porannego obchodu, Michael poszedł do szpitala. Gdy zniknął, Sarah wstała.

- Chodź ze mną - powiedziała. Wzięła przyjaciółkę za rękę i poprowadziła przez tłum.

Annah myślała, że wracają do domu, ale kiedy już były w pobliżu, Sarah skręciła w lewo i poszła ścieżką do małej chatki, w której niegdyś mieszkała Annah.

- Nie mamy już w Langali białej pielęgniarki - wyjaśniła. - Używamy tego pomieszczenia jako izolatki.

Po otwarciu drzwi z wnętrza wionął mocny zapach środków dezynfekcyjnych. Sarah zapaliła żarówkę. Ściany były świeżo pobielone, dzięki czemu światło elektryczne wydawało się dziwnie jasne.

Gdy weszły do środka, Sarah zamknęła drzwi.

- Byliśmy u Alice - powiedziała Annah ściszym głosem, chociaż rozmawiały na osobności. Sarah zamarła.

- Czy u niej wszystko w porządku? Annah przytaknęła.

- Zostawiłam im sporo leków. I trochę jedzenia...

- Dzięki Bogu. - Sarah westchnęła z ulgą. - Kiedy mówiłaś o bandytach, martwiłam się, że tam dotarli, że mogą być członkami jednego z wojujących plemion, szukającymi uchodźców. Skoro jednak zmierzają do Langali, to pewnie nie znaleźli obozu. - Sarah umilkła, gdyż zaświtała jej w głowie pewna myśl. - A więc wiesz o mnie... - Spojrzała na Annah, a na jej ustach igrał uśmiech. - Jesteś zaszokowana, prawda? Że samotnie opuszczam teren misji. Że o niczym nie mówię Michaelowi. Że pomagam czarownicy!

Annah odwzajemniła uśmiech przyjaciółki.

- Zania opowiedział mi, jak do tego doszło - wyjaśniła po chwili z absolutną powagą. - Wspomniał, że prosił cię

473

o pomoc. I że od razu się zgodziłaś. Ze względu na mnie.

Na nas.

- To był pierwszy powód - zgodziła się Sarah. - Ale teraz... - Umilkła, szukając odpowiednich słów. - Chodzi o wszystko. Teraz wiem, po co tu jestem. - Sarah lekko wzruszyła ramionami, dziwnie zakłopotana tym, co mówi. - Nazwali mnie Lady of the Egg - pani od jajek - ponieważ zawiozłam im kury i kazałam dodawać jajka do ugali dla dzieci.

Słuchając przyjaciółki, Annah poczuła przypływ dumy.

- Początkowo kobiety nie chciały na to przystać - kontynuowała Sarah. - Upierały się, że przez to dziewczynki będą bezpłodne. Nie mogłam im udowodnić, że nie mają racji. Ale dzieci potrzebują białka. W końcu poprosiłam, żeby uwierzyły mi na słowo. Udało się. - Sarah znów się uśmiechnęła, a w jej oczach pojawił się błysk dumy. - Ufaję mi.

- Michael o niczym nie wie? - upewniała się Annah. Sarah potrząsnęła głową.

- Nie lubię niczego przed nim ukrywać, zwłaszcza tak ważnego. Ale im mniej ludzi o tym wie, tym bezpieczniejsze są kobiety w obozie. Ponadto to, co robię, jest nielegalne. Michael musi być posłuszny misji i rządowi. Gdyby prawda wyszła na jaw, miałby

poważne kłopoty. Ale jeżeli dowiedzą się, że tylko ja byłam w to zamieszana... - Na ustach Sarah pojawił się niewinny, słodki uśmiezek. - No cóż, jestem tylko „małą m”...

Annah po chwili przyznała jej rację. To miało sens, chociaż nie mogła sobie wyobrazić, ile musiało kosztować Sarah zachowanie tajemnicy przed mężem.

- A jak Michael tłumaczy sobie twoje wyjazdy? - spytała Annah.

Sarah spuściła wzrok.

- Wyjeżdżam z Mileni. Zawsze towarzyszy mi, kiedy odwiedzam matki i niemowlęta w ich domach. Wszyscy sądzą, że to kolejna wizyta u chorych.

- Mileni jeździ z tobą do obozu?

- Wyjeżdżamy z Langali razem, ale Mileni czeka na mnie

474

w pobliżu przejścia Zanii. Tylko ja znam drogę. Pokonuję ją sama.

- Sama w dżungli! - zawołała Annah. Sarah potwierdziła to ze skromną minką.

- Kiedy oblatuje mnie strach, myślę o tobie. O tym, że zawsze robisz to, co uważasz za słuszne. I nie dopuszczasz, by cokolwiek stanęło ci na przeszkodzie.

Annah się uśmiechnęła, wzruszona sądem przyjaciółki. Za oknem z głośnym trzepotem skrzydeł przeleciała samotna wrona. Zmierzała na zachód. Kobiety śledziły jej lot.

- Zastanawiam się, czy ci ludzie się tu pojawią - wyznała Sarah.

Siła, która dotychczas brzmiała w jej głosie, nagle gdzieś wyparowała. Pani Carrington przyłgnęła do Annah.

Czuły przez ubrania swoje ciepło.

O zmierzchu Annah szybkim krokiem szła w stronę kaplicy. Przyciskała do boku strzelbę, nie chcąc, by rzucała się w oczy. Czuła się jednak jak człowiek wyjęty spod prawa, właściciel nielegalnej broni. Michael prosił, żeby przestrzegala zasad rządzących placówką i zamknęła swoje strzelby w land-rove-rze. Na szczęście dotychczas nikogo nie spotkała, gdyż większość mieszkańców wioski rozeszła się wcześniej do domów, aby przygotować wielkopiętkowy posiłek. Sarah również przebywała w kuchni, nadzorując Tefę. Michael nadal był w szpitalu - kończył operację. Annah zaczęła na dogodny moment, by się wymknąć.

Po powitalnym śniadaniu i zwiedzaniu szpitala szybko ustalono, że Annah i Stanicy na jakiś czas zostaną w Langali - Annah jako gość w domu misyjnym, a Stanicy w wiosce, w domu brata. Godziny mijały spokojnie, dlatego Annah zaczynała mieć nadzieję, że po spotkaniu z białą kobietą bandyci stracili odwagę i wrócili do domu. Niestety, wraz z nadejściem zmroku strach ożył. Postanowiła więc działać. Choćby tylko po to, by złagodzić odczuwane napięcie.

Kiedy dotarła do miejsca, w którym zewnętrzne ogrodzenie

475

łączyło się ze ścianą kaplicy, przystanęła. Położyła strzelbę na ceglany murze, po czym sama się na niego wspięła.

Przeskoczyła na drugą stronę ogrodzenia, bezgłośnie lądując na wyściółce z liści. Potem stanęła plecami do twardej ściany kaplicy. Kiedy obejrzała się za siebie, zobaczyła dwa okna. Tego wieczoru były ciemne. Zgaszono płonące w nich świece.

Chroniąc się przed nocnym chłodem, Annah ciasniej owinęła się różową kurtką. Wyczuła pod łokciem pakunek w kieszeni. Podarunek Naagi. Z poczuciem winy wepchnęła lalkę głębiej. Wyobraź sobie, co zrobiłby Michael, gdyby ją zobaczył - pomyślała.

Palcami niespokojnie muskała wzór wyrzeźbiony na drewnianej kolbie strzelby. Wpatrywała się w ciemność. Od czasu do czasu jej wzrok wędrował w lewo i w prawo, ale zawsze wracał do wijącego się w oddali szlaku niewolników. Wiedziała, że na teren misji można wejść z różnych stron, ale jeśli bandyci nie skręcili z wcześniej obranej drogi, to powinna dostrzec ich właśnie w tym miejscu.

Wieczór był spokojny, w powietrzu rozbrzmiewały jedynie dźwięki leśnego życia. W gęstniejących ciemnościach owady, ptaki, zwierzęta polowały, ukrywały się albo łączyły w pary. Były to uspokajające, dobrze znane dźwięki.

Tuż obok, na lewo od siebie, Annah usłyszała szelest liści. Napięła wszystkie mięśnie. Były to kroki. Ciche. Ukradkowe.

Odbezpieczyła broń. Ruszyła wzdłuż ściany kaplicy, wpatrując się między drzewa.

Nagle ujrzała pochyloną ciemną postać. I uniesioną lufę.

Zamarła w bezruchu. Zbliżający się człowiek też.

Po chwili usłyszała szept:

- Nie strzelaj! To ja.

- Stanicy!

Spotkali się w ciemnościach. Amiah oddychała powoli, otrząsając się z napięcia.

- Pomyśleliśmy o tym samym! - zauważył mężczyzna.

- Rzeczywiście - przyznała.

476

Roześmiali się niepewnie.

- Myślałam, że poszedłeś do wioski - szepnęła Annah.

- Poszedłem, ale wróciłem. - Mówiąc to, wpatrywał się w odległy szlak. - Powinni już tu być.

- No właśnie - potwierdziła Annah. - Chyba że zmienili kierunek. Albo coś ich zatrzymało.

Stanicy skinął głową. Jego ciemna skóra i strój koloru khaki wtapiały się w mrok, widać było tylko białka oczu.

- Zaczekam tutaj - postanowił.

- Wrócę, gdy wszyscy pójną spać - obiecała.

- Będę czekać.

Mężczyzna kucnął i położył sobie broń na kolanach.

Annah się zawahała. Chętnie zostałaaby ze Stanicym na posterunku, ale Sarah i Michael czekali. Z nimi również chciała trochę pobyc.

Odwracając się, dotknęła ramienia przyjaciela.

- Uważaj na siebie - szepnęła. Skinął głową i powiedział:

- Niech Bóg ma cię w swojej pieczy. Annah bez zastanowienia odrzekła:
- Ciebie również.

24

Annah usiadła prosto na krześle i próbowała się odprężyć. Uległa namowom Sarah i przed kolacją zrobiła sobie gorącą kąpiel z suszonymi płatkami kwiatów. Włożyła świeże ubranie i rozczesła zmierzwione włosy. Od lat nie czuła się taka czysta, zadbana. A na dodatek cieszyło ją towarzystwo Sarah i Mi-chaela. Nie przestawała jednak myśleć o Stanieyu, który został sam na zewnątrz i był narażony na różne niebezpieczeństwa, jakie niosła noc. Annah targwały sprzeczne uczucia. Strach i zadowolenie. Usta się śmiały, ale żołądek ścisnął strach.

- Posłuchaj tego.

477

Sarah wyjęła płytę i uruchomiła adapter.

- Czego?

Annah zerknęła na Michaela. Myślała, że to nowy nabytek w kolekcji muzyki klasycznej. Doktor Carrington siedział przy stole i mieszał w miseczce farbkę do pisanek. Nie odpowiedział na pytanie, jedynie popatrzył na żonę, pochyloną nad adapterem. Sarah odgarnęła za uszy długie włosy, które opadały kaskadą na ramiona. Miała na sobie kupioną w Melbourne błękitną sukienkę. Zarówno kolor, jak i krój bardzo pasowały do Sarah. Wyglądała młodo i radośnie. Przyjaciółka nigdy przedtem nie widziała jej takiej.

W ciszy rozległy się pierwsze dźwięki znanej, rytmicznej piosenki. Annah ze zdumieniem uniosła brwi.

- Sandy Shaw - wyjaśniła Sarah. - Puppet on a String.

Annah ponownie zerknęła na Michaela. Za dawnych czasów tylko on używał adaptera i słuchał wybranych przez siebie nagrań. Teraz spokojnie mieszał farbkę.

Patrzyła, jak Sarah szepcze słowa piosenki i wytupuje nogą rytm. Melodia była wesoła, ale tekst opowiadał o kobiecie, która czuła się jak marionetka, uzależniona od humorów swojego pana. Sarah z wyraźną beztraską potraktowała przesłanie piosenki. Czuła się niezależna. Annah zastanawiała się nad zmianą, jaka nastąpiła w przyjaciółce. Sarah miała swoje tajemnice i realizowała plany zmierzające w zupełnie nowym kierunku. Co więcej, stopniowo wywierała wpływ na Michaela. To bez wątpienia musiało pociągać za sobą konflikty. Złość i nieporozumienia...

Do pokoju wszedł Tefa. Jego bosc stopy nie wydawały żadnego dźwięku. W ręce wprawnie trzymał tacę. Czarna skóra i włosy kontrastowały z białą fartuchą i odsłoniętych w szerokim uśmiechu zębów. W jakiś dziwny sposób przypominał kelnera w przepisowym stroju.

- Teraz jest już zawodowcem - pochwaliła go Sarah, patrząc z ogromną sympatią na młodego mężczyznę.

- Najlepszą pomocą domową w Tanzanii - dodał Michael. Tefa jeszcze bardziej się rozpromienił. Postawił na stole tacę

478

z miską, w której znajdowało się kilka niewielkich jaj o cienkiej skorupce.

- Dobrzeje ugotowałeś? - spytała Sarah. Tefa z powagą skinął głową.
- Jedno zjadłem. Było ugotowane na bardzo twardo.

- Dziękuję.

- Dobranoc, mama. Dobranoc, bwana. Dobranoc, siostró.

Tefa pożegnał się i wycofał do kuchni.

Michael ustawił miseczki z farbami na środku stołu, po czym wręczył paniom pędzelki i skrawki materiału.

Malowanie pisanek przypominało rytuał. Pędzelki ślizgały się po gładkich skorupkach zimnych w dotyku i dziwnie ciężkich jajek. Michael malował wyraźne, precyzyjne linie, które tworzyły symetryczne wzory. Deseń Sarah był wyjątkowo skomplikowany, składał się z wielu malutkich spirali i koronkowych pętelek. Annah ozdobiła swoje jajka rozmytymi barwnymi plamami, podobnymi do obłoków na wieczornym niebie.

Gotowe pisanki odkładali do miski, by wyschły. Trzy różne style mieszały się, tworząc dziwną całość.

Kiedy skończyli malować jajka, Sarah, Michael i Annah przyglądali się swojemu dziełu i wymieniali zadowolone uśmiechy. Gniazdko z pisankami, symbolem Wielkanocy, nowego początku.

Na półkach w sypialni Kate stały dziewczęce skarby. Miś, który kiwał głową. Kolorowe pióra i kolcejeżozwierzka w puszcze po mleku. A także stara lalka, która pojawiła się w domu misyjnym na długo przed narodzinami Kate - Dzieciątko Jezus, które rokrocznie było owijane kawałkami prześcieradła i układane w wysłanym słomą pudełku.

Annah rozglądała się po pokoju w nadziei, że znajdzie kamiennego kameleona, którego podarowała Kate, kiedy po raz ostatni się widziały. W Langali. Tuż przed ulewą... Poszukiwania spełzły na niczym. Zastanawiała się, czy malutka rzeźba została schowana, czy po prostu wyrzucona. Przyszła jej do

479

głowy jeszcze jedna myśl: może dziewczynka była tak bardzo przywiązana do podarunku od matki chrzestnej, że zabrała go ze sobą do Dodomy.

Annah rozpakowała swoje rzeczy. Musiała stworzyć pozory, że zamierza spędzić noc w tym pokoju, chociaż dobrze wiedziała, że gdy Sarah i Michael udadzą się na spoczynek, wymknie się z domu, by dotrzeć do towarzystwa Staniewowi.

- Kate jest zadowolona z pobytu w szkole z internatem. Kobieta się odwróciła, żeby ukryć odczuwane wyrzuty sumienia. W drzwiach stał Michael. Jego wzrok padł na wąskie łóżko, przykryte różową satynową narzutą. Mięśnie twarzy lekko mu drżały.

- Bardzo za nią tęsknimy - wyznał. - Prawdę mówiąc, zastanawiamy się nad zakończeniem tej przygody.

Annah spojrzała na niego ze zdumieniem. Carringtonowie zawsze twierdzili, że zostaną w Afryce tak długo, jak będą potrzebni.

- Myśleliśmy, że posiadanie dzieci nie przeszkodzi w realizacji naszych, a raczej boskich planów - ciągnął. - W teorii wszystko wydaje się możliwe. Ale gdy chodzi o własne dziecko... - Uśmiechnął się i rozłożył ręce. - Cóż, nie da się tego pogodzić.

Sarah zajęła się w salonie przygotowaniami do jutrzejszego śniadania. Bez niej oboje czuli się trochę niezręcznie. Annah obracała w palcach zniszczoną wykałaczkę, której używała jako szczoteczki do zębów. Michael wziął do ręki książkę z bajkami i zaczął ją kartkować.

- Biskup wcale o tobie nie zapomniał - powiedział nagle. -Słyszał o twojej pracy. Wywarła na nim duże wrażenie. Chce, żeby lekarze misyjni też zaczęli jeździć po kraju. Pytał, czy się widzimy, i prosił, żeby cię pozdrowić.

Annah wbiła wzrok w podłogę, gdyż nie chciała, by Michael dostrzegł w jej oczach zadowolenie, wywołane oszczędnymi słowami. Zauważyła, że dywan był poplamiony dziecinnymi farbkami.

- Zabrałaś z land-rovera wszystko, czego potrzebujesz?

480

- Tak. Dziękuję - odpowiedziała.

Pomyślała o strzelbie schowanej w szafie Kate, za szlafrokiem i kostiumem aniołka. Po powrocie z kaplicy prze-szmugłowała broń do domu i dobrze ją ukryła. Napotkawszy spojrzenie Michaela, poczuła, że się rumieni. Czy to możliwe, żeby wyczuł obecność obcej broni?

- Coś ci jeszcze trzeba? - spytał. - Chcemy, żebyś miała wszelkie wygodę.

- Mam wszystko - zapewniła go.

Sarah już wcześniej przygotowała czystą koszulę nocną i słoiczek kremu nawilżającego. Potem została na chwilę, by powiedzieć „dobranoc”. Obie przyjaciółki dobrze się czuły w różowiułkim sanktuarium, jakim była dziewczęca sypialnia.

- Tefa przed wyjściem przygotował gorącą wodę, więc mamy jej pod dostatkiem. - Michael miał się odwrócić, ale jeszcze po raz ostatni spojrzał Annah prosto w oczy. - Cieszę się, że jesteś - powiedział.

Annah się uśmiechnęła.

- Ja też.

Annah przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką. W łazience nie było światła, jednak przenikał do niej blask palącej się na korytarzu pojedynczej żarówki. Na twarzy kobiety igrały cienie. Dobiała czterdziestki. Spędziła w Afryce ponad dziesięć lat. Jej brązowa skóra nosiła ślady, które zapowiadały trwałe zmarszczki w miejscu linii mimicznych, powstałych na skutek śmiechu, marszczenia czoła, krzywienia się. Nawet w rudych włosach błyszczało kilka siwych nitek. Słońce wyssało kolor z końcówek loków. Po raz pierwszy od wielu lat Annah wyobraziła sobie Eleanor. Pewnie kiwałaby głową i płakała nad zmizemiałą córką, która mogłaby podbijać serca i przyciągać wszystkie spojrzenia, gdyby tylko chciała.

Wspomnienie matki nie wywołało prawie żadnych uczuć. Ostatnią wiadomością od niej był telegram, w którym ostrzegała córkę, by nie wychodziła za Mtemiego. Od tego czasu An-

481

nah dwukrotnie napisała do rodziców, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Refleksja na temat kruchych więzów krwi jedynie przypomniła jej o osobach, które naprawdę kochała. Pomyślała o królowej matce - swojej prawdziwej afrykańskiej „mamie” - siedzącej przy ognisku i spożywającej posiłek przygotowany przez przyjaciół pozyskanych w cieniu Stożka. Po Wielkanocy Sarah będzie mogła ruszyć się z misji. Annah planowała, że razem wybiorą się do obozu. Zabiorą jedzenie, lekarstwa. Podarunki. Egg Lady i królowa Waganga...

Na razie wdychała zapach mydła. Imperial Leather. To jeden z drobnych luksusów, na które pozwalała sobie Sarah. Usłyszawszy głos Tefy, który stał przy drzwiach wejściowych i wołał bwanę, Annah podniosła głowę, podeszła do okna i przez koronkową

frankę wyjrzała na werandę. Zobaczyła młodego, ciemnoskórego mężczyznę, wtopionego w mrok nocy.

Drzwi od frontu otworzyły się, rzucając na werandę prostokąt światła. Michael wyszedł na zewnątrz. W tym momencie Annah zauważyła, że za Tefę ktoś stoi. Krzyknęła, ale było już za późno. Z ciemności wynurzyli się następni ludzie. Błysnęło metalowe ostrze. Michael upadł na podłogę - maczeta wbiła mu się w czaszkę. Trysnęła ciemna krew.

Annah poczuła przyływ adrenaliny. Kobieta stanęła w drzwiach, przygotowując się do działania. Wsunęła dłoń do kieszeni w poszukiwaniu nabojów.

Wyjrzawszy zza rogu, zobaczyła krótki korytarzyk prowadzący do salonu, do którego, popychając przed sobą Tefę, wpadło sześciu czy siedmiu mężczyzn. Na widok przywódcy Annah poczuła odrazę i strach. Na ręce miał założony przez nią bandaż.

Sarah poderwała się na równe nogi. Zaszokowana, patrzyła zaokrąglonymi oczami. Mężczyzna chwycił ją za włosy i obrócił.

- Gdzie - być - kobiety? Kobiety - z - Rwanda? Mówić! - krzyczał, kalecząc suahili.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła zaskakująco mocnym głosem.

482

Annah spojrzała w stronę sypialni Kate, oceniając dystans dzielący ją od szafy na ubrania. Od strzelby... Czekala tylko na dogodny moment i nie spuszczała wzroku z napastników.

- Ty na pewno wiedzieć! - wrzasnął mężczyzna. - Ty być Egg Lady. Chodzić do nich. Pomagać im. My się dowiedzieć.

Sarah w odpowiedzi pokręciła przecząco głową. Annah zobaczyła jej twarz. Była biała z przerażenia, mimo to broda wyzywająco sterczała do przodu. Mężczyzna ryknął z wściekłości. Jednym ruchem zdarł z Sarah błękitną sukienkę.

Annah bezszelestnie pobiegła do sypialni. Kątem oka widziała białe, skulone ze strachu ciało. I Tefę, błagającego na kolanach. Broń świsnęła w powietrzu, srebrne ostrze maczety zakreśliło łuk.

- Nie! - krzyknęła Sarah.

Tefa padł na podłogę.

Annah jęknęła. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi szafy i sięgnęła po strzelbę. Obmacywała kostium anioła i tylną ścianę. Zaciskała palce. Nie znalazła niczego. Strzelby nie było. Po chwili zaczęła przeszukiwać pokój. Ale w głębi duszy już wiedziała, że niczego nie znajdzie. Ktoś zabrał jej strzelbę. Michael mówił, że nie wolno łamać obowiązujących reguł. Musiał zauważyć, że przyniosła broń do domu.

Sarah krzyknęła. Tym razem był to zduszony krzyk, w którym brzmiało przerażenie i bezgraniczne cierpienie. Annah przycisnęła pięści do ust. W land-roverze miała jeszcze jedną strzelbę. Ale nie mogła dotrzeć tam niezauważona.

Nagle w korytarzu rozległy się kroki. Schowała się za drzwiami w tym samym momencie, w którym się otworzyły. Do pokoju wpadł jeden z bandytów. Poruszał się niezgrabnie, miał urywany, chrapliwy oddech, zaczerwienione oczy. Przewracał nimi jak podniecony albo przerażony szczeniak. Szybko sprawdził pokój i wyszedł.

Annah słyszała wyraźny, dobiegający z salonu głos Sarah, zachrypnięty od bólu, ale silny z wściekłości.

- N-i-e w-i-e-m.

Przez głowę Annah przemknęły rozpaczliwe, próżne, bez-
483

sensowne modlitwy. Wtedy zaświtała jej pewna myśl. Obraz, czysty i wyraźny...

Podarunek Naagi. Schowany głęboko w kieszeni różowej kurtki, wiszącej na wieszaku w korytarzu.

W jednej chwili znalazła się przy kurtce, chwyciła ją drżącymi dłońmi i zdjęła z wieszaka. Kurtkę, której mężczyźni bali się zatrzymać. Jednym szarpnięciem wyjęła fetysz z kieszeni.

Następnie przebiegła korytarzem i wpadła do salonu.

Nagie ciało Sarah było skąpane we krwi i naznaczone długimi ciemnymi cięciami. Tylko jej twarz była biała. Potwornie biała. Bezradnie poruszała rękami i nogami, chwyciła palcami powietrze. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w klęczącego nad nią mężczyznę. Nie wydawała żadnego dźwięku. Coś wepchnięto jej do ust, zniekształcając twarz.

Annah chciała krzyknąć, ale nie mogła wydusić z siebie żadnego dźwięku. Wyobraziła sobie, że trzyma fetysz w ręce i wykrzykuje przekleństwa, jak czarownica opętana przez straszliwe demony. Tymczasem jak w koszmarze sennym nie była w stanie się ruszyć.

Wreszcie krzyk wyrwał się na zewnątrz. Mężczyźni odwrócili się do niej. Wszyscy jednocześnie, jak głowy ogromnej, wielookiej bestii. Zaszokowani, zamarli w bezruchu. Krzyk Annah ich przestraszył. Sądząc po ich twarzach, natychmiast rozpoznali zjawę. Czarownicę z lasu.

Szok zamienił się w przerażenie. Przyszła za nimi aż tutaj...

Annah wykrzykiwała niezrozumiałe słowa.

W upiornie bladej twarzy jej oczy wyglądały jak ciemne jeziora.

Mężczyzna pochylający się nad Sarah poderwał się i odskoczył do tyłu. Jego ciemna skóra była umazana krwią kobiety.

Następny z napastników przez chwilę wpatrywał się w fetysz - w jego rude włosy, takie same jak włosy właścicielki. Potem rzucił się w stronę drzwi. Wykonany przez niego ruch przełamał urok - reszta zgrai poszła w jego ślady. Jedynie przywódca stał z podniesioną maczetą.

484

Annah podbiegła do Sarah, po drodze nieopatrznie dotykając fetyszem ramienia napastnika. Mężczyzna wzdrygnął się i zniknął.

Annah padła na kolana przy leżącej nieruchomo przyjaciółce, która błyszczącymi z bólu oczyma wpatrywała się w nią. Jak dziecko. Nieme. Annah spojrzała na nagie ciało i drgnęła na widok rozległych ran. Chwyciła podartą sukienkę i halkę, rozpaczliwie usiłując zatamować krew, która tryskała z najgłębszych skaleczeń. Ale było ich za dużo. Annah przeniosła wzrok na twarz Sarah. Delikatnie otworzyła jej zaciśnięte szczęki. Z zakrwawionych ust usunęła rozbitą pisanekę.

Sarah odetchnęła i spróbowała się poruszyć.

- Przytul mnie, Annah... - poprosiła ledwo słyszalnym szeptem.

Annah wzięła przyjaciółkę w ramiona, unosząc jej bezwolne ciało, przypominające wielką szmacianą lalkę. Przytuliła ją, przemawiając do niej łagodnie, jak do małego dziecka.

- Już wszystko w porządku. Jestem przy tobie. Trzymam cię...

Annah czuła na policzku oddech Sarah. Oddychała razem z nią, jakby mogła w ten sposób utrzymać ją przy życiu. Przycisnęła kawałek materiału do najgłębszej rany. Niestety, krew wciąż płynęła. Nic nie można już było zrobić.

Podniósłszy głowę, Annah zobaczyła zdjęcie Kate. Skupiła się na oczach dziewczynki. W myślach błagała dziecko, by połączyło się z nią w bólu.

W oczekiwaniu na tę chwilę.

Aż będzie po wszystkim...

Na zewnątrz zapanował chaos - na werandzie rozległy się czyjeś kroki i okrzyki przerażenia. Ludzie wpadli do pokoju - nocna zmiana i paru pacjentów szpitala. Niektórzy mieli przy sobie panga i prowizoryczną broń. Obeszli ciało Tefy. Nagle zatrzymali się na widok Annah, kołyszącej w ramionach martwe ciało Sarah.

485

- Jedna żyje! - krzyknął jakiś człowiek.

Jego słowa wwierciły się w świadomość Annah.

Jedna żyje.

Sarah i Michael są martwi. Ja żyję...

Ludzie wpatrywali się w leżący na podłodze fetysz. Jakaś kobieta krzyknęła przestraszona i schowała się w tłumie za jej plecami.

- Czarownica! Czarownica! - szeptało.

- Dzięki temu się uratowała.

W głosach słychać było nutkę hysterii. Annah słyszała wszystko jak przez mgłę. Widziała, że tłum się rozstępuje, a jeden z pracowników szpitala przepycha się do przodu. Z kamienną twarzą próbował zapanować nad sytuacją. Zbeształ oszalałe ze strachu kobiety i kazał kilku osobom uporządkować pomieszczenie. Po wydaniu rozkazów nie bardzo wiedział, co robić dalej. Miał przed sobą martwą nagą białą kobietę, a obok drugą, z nieobecny wzrokiem, jakby jej dusza również opuściła ciało. Wreszcie zdjął z siebie biały kitel i przykrył nim zwłoki Sarah. Gestem ręki nakazał jednemu z mieszkańców wioski zarzucić coś na Tefę. Potem zawołał:

- Przykryjcie również bwanę!!

Sprawiał wrażenie, jakby w jego głowie kołatała tylko jedyna myśl.

- Niczego nie ruszajcie - powtarzał. - Zostawcie wszystko

tak, jak jest. Trzeba wezwać policję.

Usiłował zachować spokój. Po chwili do pokoju przybiegł szczeniak i zaczął zlizywać rozpryskaną po podłodze krew. Mężczyzna chwycił psiaka i nie zważając na jego piski, wyrzucił go za drzwi.

Zapadła upiorna cisza, przerywana jedynie dobiegającym z oddali szumem generatora. Annah delikatnie położyła ciało Sarah na podłodze i przysunęła się do ściany. Afrykańczycy obserwowali ją- kilkanaście par ciemnych oczu poruszało się w nieruchomych twarzach. Annah oparła głowę o ścianę i zaczęła bezgłośnie łkać.

Pracownik szpitala podszedł i stanął obok niej.

486

- Usłyszeliśmy krzyk. Dopiero wtedy zobaczyliśmy jakichś biegnących ludzi. Ale wcześniej nie zauważyliśmy niczego. Bezradnie rozłożył ręce. Kobieta kiwnęła głową na znak, że zrozumiała jego słowa.

- Staniey - wymamrotała - Był na tyłach kaplicy. Na czatach.

Poczuła ucisk w gardle i nie mogła wydusić z siebie ani słowa więcej.

- Poślę tam kogoś - obiecał mężczyzna.

Ktoś podał Annah wodę w blaszanym kubku. Próbowwała się napić, ale usta jej drżały i woda popłynęła po brodzie.

Krew wysychała powoli, marszcząc jej skórę.

Annah wpatrywała się w drzwi wejściowe, wyobrażając sobie Michaela, leżącego na werandzie ze skorupą zaschniętej krwi na jasnych włosach. Potem zerknęła na przykryte zwłoki Sarah. Leżała nieruchomo, nie odczuwała już bólu ani strachu. Była taka mała i dziwnie spokojna.

Annah wbiła wzrok w podłogę. Deski były mokre od łez. Różowych łez. Próbowwała myśleć o kobietach mieszkających razem z dziećmi i niemowlętami u podnóża Stożka. Sarah poświęciła życie, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Ale Annah wciąż wyobrażała sobie tylko jedno dziecko - z piegowatą białą buźką i śmiejącymi się oczami...

W ciszy rozległo się dudnienie tam-tamów. Przerazająca wieść musiała dotrzeć już do wioski. Teraz będą przekazywały ją dalej.

Nagle na werandzie zadudniły czyjeś kroki. Afrykańczycy odwrócili się do drzwi. Annah podniosła zapuchniętą od płaczu twarz.

W drzwiach pojawił się Staniey. Miał poszarzałą pod wpływem doznanego szoku twarz. Na widok sceny, która ukazała się jego oczom, przystanął, potem przeszedł przez pokój i uklęknął przy Annah.

Na jego widok coś w niej pękło. Najpierw poczuła ogromną ulgę, że nic mu się nie stało, potem do głosu doszło odsuwane na bok przerażenie. Jak tonący rozpaczliwie chwyciła Stanieya

487

za ramiona. Zamknęła oczy, pogrążając się w ciemności, zabarwionej złowieszczą czerwienią. Wpadała w panikę.

Kiedy miała wrażenie, że lada chwila oszaleje, silne ramiona objęły ją, wy dobywaj acz koszmaru, tuląc skulone ciało i chroniąc ją przed zapadnięciem się w nicość.

W niedzielę wielkanocną nie powitano hymnami wschodu słońca. W kaplicy było pusto i cicho. Dom misyjny otoczył kordon policji, a w ogródku ustawiono prowizoryczny posterunek. Mieszkańcom wioski rozkazano, by trzymali się z daleka od placówki. Dwóch afrykańskich policjantów zbierało zeznania.

Zaczęli od jedyne go żywego świadka, Annah Mason, kobiety, która po raz pierwszy zwróciła na siebie uwagę policji, kiedy nielegalnie zajęła posiadłość w pobliżu Germantown. Przesłuchiwali ją przy biurku, na którym piętrzyły się starannie ułożone papiery i kilka gumowych pieczętek.

Usiadła tam, gdzie jej kazano, i odzywała się tylko wtedy, gdy ją o coś pytano. Jej umysł i ciało posłusznie wykonywały polecenia, ale uczucia zostały stłumione. Opowiedziała policjantom o napadzie w lesie i o tym, że bandyci wzięli ją za osobę parającą się czarami. Wyjaśniła, dlaczego ona i Staniey po tej przygodzie przyjechali prosto do Langali. Opowiedziała o dniu spędzonym w misji. Wreszcie doszła do momentu, w którym zobaczyła bandytów na werandzie domu misyjnego. Aby nie ulec przerażeniu ogarniającemu ją na myśl o wszystkim, co będzie musiała opowiedzieć, kobieta opisywała wydarzenia z najdrobniejszymi szczegółami. Nie próbowała niczego złagodzić. Powiedziała o ukrytej strzelbie, którą pewnie Mi-chael gdzieś zabrał, i o tym, że jej jedyną bronią stał się fetysz. W końcu wyjaśniła, dlaczego obok ciała Sarah znaleziono zakrwawione jajko.

Annah powiedziała policji o wszystkim, co wiedziała, widziała i zrobiła.

Nie wspomniała o niczym, co miałoby jakikolwiek związek z kobietami mieszkającymi pod Stożkiem.

488

Podczas dalszego przesłuchania policjanci sugerowali, że bandyci trafili do Langali śladem Annah. Może napadli na dom misyjny dlatego, że uważali, iż przebywa w nim czarownica? Nie byłby to pierwszy przypadek śmierci kogoś, kto udzielił schronienia osobie oskarżonej o czary.

Padaly różne pytania. Policjanci zachowywali się raz uprzejmie, a raz agresywnie, jakby w jednej chwili postrzegali Annah jako białą kobietę, a w następnej - jako wyjętą spod prawa osobę, która straciła zajmowaną pozycję społeczną.

Kiedy Annah zaczęła udzielać wymijających odpowiedzi na pytania, na które nie chciała odpowiadać, wyczuła, że policjanci uważają ją za osobę lekko szurniętą. Może nawet szaloną.

Annah stała w cieniu eukaliptusów siostry Barbary. Odrywała od pnia luźne kawałki kory i darła je na cieniutkie, skręcające się paseczki, potem rzucała je pod nogi. Ogarnęło ją otępienie, które odsunęło na bok myśli i uczucia.

Teren misji opustoszał. Jedyne stojąca nieopodal para policjantów przyglądała się Annah. Poranne przesłuchanie skończyło się. Policjanci dali jej jednak wyraźnie do zrozumienia, że nie może się oddalać.

Nagle powietrze przeszył odległy ryk silnika. Po kilku chwilach na wschodzie pojawił się czteroosobowy samolot, który dwa razy zatoczył nad placówką koło, po czym wylądował tuż obok wiejskich poletek.

Policjanci podeszli do Annah i stanęli na baczność. Wkrótce pojawił się jakiś chłopczyk. Biegł bez tchu, ile sił w nogach, chcąc jako pierwszy przekazać wiadomość.

- Z Dodomy przyleciało dwoje białych - mówił. - Kobieta i mężczyzna. - Chłopiec zerknął na Annah, potem na policjantów. - Mężczyzna jest bardzo ważną osobą, może nawet wodzem.

Jeden z policjantów pochylił się i dłonią strzepnął kurz z butów. Annah stała całkiem nieruchomo.

Minęło prawie pół godziny, nim pojawiła się eskortująca

489

przybyszów niewielka grupka mieszkańców wioski. Po lewej stronie szła młoda, ubrana na szaro blondynka. Obok niej kroczył wysoki mężczyzna o rudych włosach i bladej cerze. An-nah nigdy wcześniej nie spotkała tych ludzi.

Kobieta kiwnęła Annah głową i skierowała się do domu misyjnego, zostawiając mężczyznę. Miał na sobie wymięty strój safari, który dopasowano tak, by mógł założyć koloratkę.

Zbliżając się, zwolnił, by bacznie przyjrzeć się Annah. Nawet jeśli był zaskoczony, nie pokazał tego sobie.

- Nazywam się Sanders. Jestem archidiakonem - przedstawił się, podchodząc do Annah. Na jego twarzy widać było dobrze udawaną troskę. - Porozmawiajmy w kaplicy.

Annah poczuła na ramieniu dotyk jego dłoni. Próbowwała się nie cofnąć.

Kiedy archidiakon skierował się z białą kobietą w stronę kaplicy, policjanci skinieniem wyrazili zgodę. Annah czuła, że ogarniają ją poważne obawy.

- Gdzie jest biskup? - spytała, gdyż chciała, by to właśnie on przybył do Langali.

Przypomniała sobie słowa Michaela. „Biskup wcale o tobie nie zapomniał...”

- Wyjechał na urlop do Nairobi. Nie mogliśmy się z nim skontaktować - wyjaśnił archidiakon. - Oczywiście, nie znałem Carringtonów, ale zapewniam panią, że wiem, jakie to okropne przeżycie. Dla każdego.

Annah tępo wpatrywała się w ołtarz, ozdobiony prostym, złotym krzyżem. Archidiakon pochylił głowę w milczącej modlitwie. Kiedy skończył, odwrócił się.

- Ze mną może pani rozmawiać otwarcie. Prawdę mówiąc, powinna pani to zrobić. To wydarzenie wywołało ogromne zainteresowanie. Muszę znać wszystkie fakty. Jak najszybciej. - Mężczyzna niespokojnie rozmasował dłonie. - Podobno w przeszłości pracowała pani z Carringtonami.

Annah przytaknęła.

- Byłam przełożoną pielęgniarek.

490

- Zakładam, że przyjechała pani do nich na ich zaproszenie. Jako stara przyjaciółka.

Annah przełknęła ślinę. Nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

Mężczyzna uśmiechnął się współczująco, po czym przeszedł do następnych pytań. Czy wcześniej składała już takie wizyty? Jak często? W którym towarzystwie przyjechała?

Co się stało zeszłej nocy?

Jak?

Dlaczego...

Annah zmuszała się do udzielania prostych odpowiedzi, pomijając, podobnie jak w przypadku policji, najważniejsze fakty.

Mężczyzna zachęcająco kiwał głową. Dowiadywał się coraz więcej. Jednak rola, jaką odegrała Annah w tej tragedii, budziła w nim mieszane uczucia. Uznał, że przeżyła i nie odniosła żadnego szwanku tylko dzięki swoim dziwnym powiązaniom z miejscowymi gusłami.

- Gdzie obecnie znajduje się „przedmiot fetyszystyczny”? - spytał archidiakon Sanders.

- Podobno zamknięto go w domu misyjnym - odparła.

Słyszała, że początkowo policjanci przywłaszczyli sobie talizman Naagi, potem jednak zdecydowali, że nie chcą mieć z nim nic wspólnego.

Archidiakon Sanders podszedł do drzwi kaplicy i poprosił, by przyniesiono mu „miejscowy fetysz”.

Po kilku minutach w kaplicy pojawił się Afrykańczyk z lalką w dłoni. Annah rozpoznała postać, ubranie i chód, jeszcze nim zobaczyła twarz. Poczła ogromną ulgę, gdy zorientowała się, że Stanicy wykorzystał nadarzającą się okazję, żeby się z nią zobaczyć. Wiedziała, że przyszło mu to bez trudu. Większość Murzynów za nic w świecie nie dotknęłaby fetysza, nie wspominając już o przyniesieniu go do kościoła.

Kiedy Stanicy szedł nawą, ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Annah z trudem zniosła ten krótki kontakt wzrokowy.

Archidiakon wziął od Stanicy laleczkę i przytrzymał ją na odległość wyciągniętej ręki. Z otwartymi ustami spoglądał to

491

na rude włosy Annah, to na loki zdobiące drewnianą głowę lalki.

- Zabierz to!

Wepchnął lalkę Stanicy do ręki, po czym kazał mu wyjść.

Afrykańczyk nie usłuchał go i podszedł do Annah.

- Dobrze się czujesz? - spytał, używając suahili. Annah przytaknęła.

- Gdybyś mnie potrzebowała, będę w pobliżu. Przyjdę, kiedy mnie zawołasz.

Mówił łagodnym tonem, w którym kryła się niezłomność.

Kobieta kiwnęła głową z wdzięcznością.

Archidiakon ze zmarszczonym czołem przysłuchiwał się wymianie zdań. Kiedy Stanicy wychodził, duchowny podejrzliwie obserwował jego ruchy.

Gdy zostali sami, zaatakował Annah.

- To znaczy, że z całą świadomością wzięła pani do ręki narzędzie szatana i użyła go?

- Chciałam uratować Sarah - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Musiałam wykorzystać ich strach. To była jedyna broń, jaką posiadałam.

Archidiakon przez chwilę się w nią wpatrywał, po czym potrząsnął głową z konsternacją.

- Chrześcijanin w każdej chwili może się uciec do modlitwy!

Wiercił się niespokojnie. Ławka pod nim trzeszczała. Już sama myśl o „czarach” była dla niego odrażająca, a tym bardziej mówienie o nich. Był wyraźnie zmieszany spokojem rozmówcy. Powinna płakać, mdleć, tulić się do niego, szukając pocieszenia. Tymczasem Annah patrzyła mu prosto w oczy i w ogóle się nie odzywała.

Archidiakon nie był w stanie znieść jej spojrzenia, wstał więc i skierował się do wyjścia. Jego kroki rozbrzmiewały w ciszy. W placówce pozbawionej misjonarzy, w szpitalu osieroconym przez lekarza panował dziwny, nienaturalny spokój.

Kiedy archidiakon otworzył jedno skrzydło drzwi, Annah odwróciła się. Przez chwilę zasłaniał światło, potem promyk

492

słońca padł na podłogę. Annah patrzyła na smugę światła i tańczące w niej drobinki kurzu. Do jej świadomości przeniknęła rzeczywistość. A w głowie ożyły koszarne

obrazy. Skąpane we krwi ciało Sarah. Trzymające ją czarne, silne ramiona. Stłumione krzyki. Ból, silniejszy od strachu.

„Chociażbym chodził ciemną doliną...”

Słowa zabrzmiały w głowie Annah. Tak często wypowiedane w tym miejscu na głos, zadomowiły się w powietrzu, przywarły do krokwi i przykleiły się do ścian.

„...zła się nie ulękę...”

Annah wiedziała, że psalm ma dalszy ciąg, ale nie mogła go sobie przypomnieć. Powtarzała fragment jak zaklęcie, poruszając wargami. Nagle usłyszała starczy, silny głos śpiewający ten psalm w suahili.

„...bo ty jesteś ze mną”.

Alice...

Annah uniosła głowę. Spodziewała się, że ujrzy przed sobą staruszkę. Ale dookoła panował spokój. Nieruchoma pustka. Martwa cisza.

W powietrzu unosił się zapach eukaliptusa. Drzewa siostry Barbary zostały zrąbane tuż przy ziemi. Powalone, pocięte, rozpiłowane na deski. Troskliwie połączone kawałkami zwierzęcych skór, dzięki czemu utworzyły dwie trumny.

Tefę pochowano już na cmentarzu misyjnym - złożono go, owiniętego w najlepszą tkaninę, prosto do ziemi. Ale ciała misjonarzy miano zawieźć do Dodomy i pochować na cmentarzu katedralnym. Kiedy archidiakon oznajmił to wiernym, byli zaskoczeni. Carringtonowie przecież nigdy nie mieszkali ani w Dodomie, ani w pobliżu tego miasta. Ich domem było Lan-gali. Annah próbowała interweniować, ale archidiakon pozostał niewzruszony. Pozwolił ludziom tylko zrobić trumny.

Annah stała przy eukaliptusowych pieńkach, przyglądając się cieślom. W miarę jak praca postępowała, wykonywanie trumien zamieniło się w uzdrawiający rytuał. Ludzie kolejno wykonywali poszczególne czynności, a reszta się przyglądała.

493

Kiedy skrzynki były gotowe, ostatnia grupa robotników odłożyła narzędzia i się cofnęła. W rozsypanych wiórach i trocinach stały obok siebie dwie długie trumny. Przez tłum przebiegło westchnienie satysfakcji i ulgi. Mieszkańcy wioski wiedzieli, że niezależnie od tego, co się stanie, ich niestrudzeni opiekunowie i oddani przyjaciele, Michael i Sarah Carringtonowie, zawsze będą mieli przy sobie jakąś część Langali.

Rozsypane się gliniane ściany i zapadnięte strzechy chat otaczały niewielką polanę, na której Staniey rozbił obóz. Ściana drzew zasłaniała placówkę misyjną, czyniąc z opuszczonej wioski za strumieniem doskonałą kryjówkę.

Ordena siedziała razem z Annah i Stanieyem przy dymiących resztkach ogniska. Na kamieniach stał kociołek z wystygłym, nietkniętym ugali.

- Biała kobieta wszystko ogląda - poskarżyła się Ordena głosem drżącym z emocji. - Wszystkiego dotyka. Bierze do ręki i wybiera. W całym domu.

Staniey potrząsnął głową.

- Obcy człowiek nie powinien dotykać rzeczy zmarłego. Annah westchnęła, znużona. Nawet nie próbowała im tłumaczyć, dlaczego misja wzięła na siebie odpowiedzialność za uporządkowanie i spakowanie rzeczy Carringtonów. Z punktu widzenia Afrykańczyków - nawet tych wychowanych przez misję, jak Ordena - nie wolno tak postępować. Annah próbowała zmienić temat.

- Słyszałam, że kaznodzieja ma załatwić ciężarówkę, która zawiezie ludzi do Murchanzy, żeby stamtąd pociągiem mogli dotrzeć do Dodomy na pogrzeb.

- To prawda - potwierdziła Ordena. - Ja jednak wolałabym jechać z wami, jeżeli to możliwe. Chciałabym uniknąć tłumów.

- Oczywiście - zgodziła się Annah.

Pod maską spokoju ukryła panikę, wywołaną słowami Orde-ny. W Afryce nie do pomyślenia było, by nie pójść na pogrzeb. Ale nawet pomijając ten fakt, Annah i tak chciała tam być. Wszystko, co dotyczyło Sarah i Michaela, stało się dla niej nie-

494

zmiemie ważne. Chciała znać każdy okruch, każdy szczegół. Chociaż ceremonia będzie sztywna i bezduszna, jednak będzie to pogrzeb Sarah i Michaela. Ich ostatnia droga. Jednocześnie Annah drżała na myśl o spotkaniu z pracownikami misji i o przyglądaniu się, jak nowe trumny z surowego drewna są opuszczane do ziemi, jak pochłania je ciemność.

Nie należało również zapominać o Kate...

Czyjś głos przerwał ciszę, wrywając Annah z ponurych rozważań. Dobiał z za strumienia.

- Siostro Annah! Siostro Annah!

- Tu jesteśmy! - krzyknął Staniey w stronę drzew. Rozległ się szelest i trzaskanie gałęzi. Wreszcie na polanie pojawiła się jakaś postać. Był to brat afrykańskiego kaznodziei.

- Tam jest most - wskazał mu Staniey.

- To prawda - odrzekł mężczyzna. - Ale nie wiadomo, kto tamtędy przechodził.

Nagle zapanowała napięta atmosfera.

- O co chodzi? - spytała Annah pośpiesznie.

- Wzywają panią przez radio - wyjaśnił mężczyzna nieuprzejmym tonem. - Archidiakon chce z panią rozmawiać.

W słuchawce rozległy się trzaski, potem zapadło milczenie.

- Proszę powtórzyć - zasugerowała Annah.

- Odbyło się spotkanie władz misji. Zdecydowaliśmy, że lepiej będzie, jeżeli nie weźmie pani udziału w pogrzebie.

Annah z oszołomieniem wpatrywała się w słuchawkę. Kręcący się w pobliżu Afrykańczycy sapnęli z niedowierzaniem.

- Już zjeżdżają się dziennikarze. Wydarzenia w Langali wzbudziły ogromne zainteresowanie. Ze względu na okoliczności uważamy, że wszystkim nam wyjdzie na dobre, jeśli będzie się pani trzymać z daleka.

Annah z trudem przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

- Zrozumiała mnie pani? - spytał archidiakon.

- Owszem - zapewniła. - Czy to decyzja biskupa?

- Jeszcze nie wrócił. Ale jestem pewien, że...

495

Oddała słuchawkę operatorowi i wstała. Gdy wychodziła, usłyszała przebijający się przez trzaski głos. Po chwili Afrykańczyk odpowiedział:

- Tak, bwana. Oczywiście. Rozumiem.

Annah wyszła na zewnątrz i skrzywiła się, oślepiona blaskiem. Pragnąc jak najprędzej stąd uciec, szybko przecięła dziedziniec i skręciła w stronę strumienia. Nagle zauważyła jakąś kobietę. Wysoka postać wydała jej się dziwnie znajoma. Jas-nobrazowa skóra i długie włosy. Z bliska Annah rozpoznała Mileni. Już wcześniej chciała porozmawiać z asystentką Sarah, ale nie mogła jej znaleźć.

- Mileni! - zawołała.

Na dźwięk jej głosu kobieta przystanęła. Następnie, nie oglądając się za siebie, ruszyła biegiem i zniknęła. Annah patrzyła za nią, zastanawiając się, czego boi się czarnoskóra pielęgniarka. Wiedziała, że niektórzy mieszkańcy wioski uważają ją za czarownicę, wydawało się jednak mało prawdopodobne, by Mileni doszła do tego samego wniosku. Czyżby obawiała się, że może ją spotkać ten sam los? Albo miała wyrzuty sumienia? W końcu wiadomość o Egg Lady w jakiś sposób musiała się rozejść. Ktoś po prostu beztrząsco się wygadał.

Annah nie zatrzymała się. Snucie przypuszczeń nie miało sensu. Teraz niczego nie można już było zmienić. To, co zostało stracone, odeszło na zawsze.

Dochodząc do obozu, zawahała się. Usłyszała obcy głos. Oprócz Stanieya i Ordeny był tam ktoś jeszcze.

Zastanawiała się, kto to taki. Po pokonaniu ostatniego zakrętu zobaczyła znajomą staruszkę.

- Alice!

Rozpoznała ją natychmiast, chociaż kobieta wyglądała zupełnie inaczej. Woreczki z ziołami i talizmany zniknęły. Zamiast brudnych szmat Alice miała na sobie kitenge.

- Przyszłaś.

Annah spontanicznie rozłożyła ręce, żeby uściskać ją na powitanie.

- Już wiesz? - szepnęła tuż przy uchu Alice.

496

Staruszka cofnęła się i spojrzała jej w oczy.

- Czułam to w głębi serca. Wiedziałam, że dzieje się coś strasznego. Dlatego przyszłam. Teraz... - staruszka zerknęła na Stanieya- ...wiem wszystko.

Smutek jak dym spowijał ciszę.

- Przyszłaś sama? - spytała Annah.

- Nie - odrzekła Alice. - Ale moja towarzyszką już wróciła, żeby przekazać wiadomość innym. Zostanę z tobą. Jeśli pogrzeb ma się odbyć daleko stąd, przynajmniej jedna z nas powinna tam być. - Zniżyła głos do szeptu. - Jedna z tych, dla których umarła.

25

Annah prawie nie zauważyła, kiedy las przeszedł w bagniste obszary, a te - w sawannę. Nadal była otępiała. Docierał do niej jedynie odgłos silnika land-rovera, który pokonywał kolejne mile długiej podróży do Dodomy.

- To już prawie Iringa.

Miała wrażenie, że głos Stanieya dudni jej w głowie. Wyjrawszy przez okno, po raz pierwszy zwróciła uwagę na czerwoną ziemię, rzadko porośniętą rozłożystymi akacjami, i wystające tu i ówdzie kamienie. Miała przed sobą Tanganikę Elizy.

- Późnym rankiem będziemy na miejscu - oznajmił Stanicy. Annah zeszytywniała na myśl o tym, co będzie musiała znieść. Żeby o tym zapomnieć, odwróciła się i spojrzała na

tylne siedzenie. Ordena spała z głową na opartym o okno przedramieniu. Cenne plastikowe sandały położyła na siedzeniu. Miejsce obok Ordenu zajmowała Alice - wyprostowana, czujna, ze wzrokiem utkwionym w oglądany za szybą krajobraz, jakby chłonęła widok, odgadując jego tajemnice.

Staniey zwolnił, gdy za zakrętem natknęli się na grupę ma-sajskich wojowników. Wysocy, pomalowani gliną, uzbrojeni

497

we włócznie mężczyźni kroczyli środkiem drogi. Usłyszawszy dźwięk silnika, zeszli na pobocze.

Stanicy zatrzymał wóz. Zawsze tak postępował w podobnych okolicznościach. Nastąpiła wymiana tradycyjnych dla Masajów powitań. Annah złapała się na tym, iż przygląda się członkom plemienia. Podobały jej się ich dumna postawa, szczerzy uśmiech, lśniące oczy, znajome, charakterystyczne dla wojowników zachowanie. Podobnie jak Waganga, Masajowie kurczowo trzymali się dawnych obyczajów i niechętnie witali wszelkie zmiany. Młodzi mężczyźni byli prawdziwymi wojownikami. Każdy z nich musiał wykazać, że potrafi zabić lwa, używając w tym celu samej włóczni. Annah wyczuwała łączącą tę grupkę przyjaźń, dostrzegła poczucie godności i własnej siły. Z bólem serca pomyślała, że wojownicy zaraz zaczną się śmiać. Najpierw parsknie jeden z nich, a potem reszta pójdzie w jego ślady. Będą chichotać jak dzieci i klepać się po udach. Przez cały czas nie wypuszczając włóczni z dłoni i nie odrywając bystrych oczu od horyzontu.

Nagle do świadomości Annah dotarło, że Stanicy chce podwieźć wojowników. Drzwi samochodu się otworzyły i dwóch mężczyzn wsiadło do środka. Przepisnęli się obok Alice, która nie chciała odstąpić im miejsca przy oknie, i niechętnie potrącili Ordenu, przygniatając zaspaną Murzynkę do drzwi. Zerknąwszy w boczne lustro, Annah dostrzegła, że czterech następnych mężczyzn wdrapuje się na dach wozu. Pozostał jeszcze jeden wojownik. Zerknąwszy na Annah, wskoczył na maskę i usadowił się na zapasowej oponie.

Staniey ruszył z miejsca. Pomimo otwartych okien w samochodzie szybko rozszedł się odór suchej bydłowej krwi i glinki. Niskie męskie głosy zlewały się z warkotem silnika. Annah nie znała języka Masajów, ale uważnie przysłuchiwała się rozmowie, domyślając się, że Staniey wyjaśnia przyczynę ich podróży. Uparcie patrzyła przez siebie, omijając wzrokiem siedzącą na masce postać. Mężczyzna przymrużył oczy i oparł kształną głowę o szybę. Wiatr rozwiewał połę jego czerwonej tkaniny. Wojownicy zadawali kierowcy kolejne pytania z pew-

498

nością siebie, charakterystyczną dla członków plemienia, które ma o sobie wysokie mniemanie. Staniey odpowiadał bez żadnego skrępowania. Pewnie poczuł ulgę, gdy mógł przerwać panującą dotąd w samochodzie ciszę albo uzewnętrznić własne, ukrywane uczucia.

Annah zauważyła, że wojownicy bacznie jej się przyglądają. Wychylali się do przodu, żeby lepiej ją zobaczyć. Ich spojrzenia na dłużej zatrzymywały się na bransoletce Zanii i bursztynowych paciorkach Mtemiego.

Reszta podróży minęła szybko. Ostatni postój zrobili przed Dodomą, żeby umyć się w rzece. Staniey doprowadził do porządku ubranie, a Ordena poprawiła tkaninę. Alice przyjrzała się sobie z lekką konsternacją. Wyjaśniła Annah, że przed wyprawą do Langali zdjęła wszystkie symbole swojej profesji, aby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Teraz, gdy przygotowywała się do udziału w pogrzebie, kiepsko się czuła bez żadnego talizmanu.

Masajowie odpoczywali pod drzewem. Emanowali niewymuszoną elegancją. Ich upiękzone paciorkami włosy i inne ozdoby, mimo odbytej podróży, wyglądały nieskazitelnie. Annah przecesała wilgotnymi palcami włosy, strzepując z nich kurz. Spojrzała na znoszoną, poplamioną bluzkę i spodnie. W Langali zastanawiała się, czy nie zmienić ubrania - mogła włożyć jedną ze swoich starych spódnic lub choćby kitenge. Ale w stroju safari czuła się swobodniej, a w tej chwili ogromnie tego potrzebowała.

Land-rover jechał szeroką ulicą, wzdłuż której rosły proste drzewa. Na jej końcu wznosiła się szara kamienna fasada katedry. Dziesiątki pojazdów - land-roverów w kolorze khaki, jasnych humberów i hilimanów oraz kilka czarnych mercedesów - blokowały wjazd, zasłaniając dziedziniec katedralny. Staniey zwolnił i zaczął szukać wolnego miejsca. Wszyscy siedzący w land-roverze wpatrywali się przed siebie. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyli... Wysokie, dwuskrzydłowe drzwi były otwarte na oścież, a z ciemnego wnętrza wypływał potok ludzki. Dotarłszy do podnóża schodów, skręcał w stronę cmen-

499

tarza, znajdującego się przy lewej ścianie katedry. Przez długą chwilę w land-roverze panowała cisza. Annah nabrała powietrza w płuca.

- Już po wszystkim!

- Nie rozumiem - potrząsnął głową Staniey. - Musieli zmienić godzinę pogrzebu.

Annah prawie go nie słyszała. Bezradnie zacisnęła dłonie. Bała się wprawdzie samego wejścia do katedry, ale była na to przygotowana. W jej przekonaniu przekroczenie drzwi katedry stanowiło próbę ogniową, konieczną, by mogła iść dalej.

- Spóźniliśmy się jedynie na nabożeństwo - wyjaśniła spokojnie Ordena. - Najważniejsza część wciąż jest przed nami. Położyła dłoń na ramieniu Annah.

- Ona ma rację - zgodził się Staniey.

Dla Afrykańczyków liczył się przede wszystkim sam pochówek. Członkowie plemion często wędrowali kilka dni, tygodni, a nawet miesięcy, żeby towarzyszyć swoim krewnym w tej ostatniej chwili.

Annah bez słowa patrzyła przez szybę. Teren wokół katedry nieznacznie się obniżał, dzięki czemu z drogi dobrze było widać cały cmentarz. Wydawało się, że na pogrzeb przybyła połowa kraju. Na obrzeżach ogromnego tłumu stali tubylcy. Szczupłe, dobrze umięśnione ciała osłonili wyświechtanymi tkaninami. Pod nogami dorosłych bawiły się psy i nagie dzieci. Za nimi widać było rzędy Afrykańczyków ubranych w zachodnie stroje. Annah dostrzegła wśród nich kaznodzieję i ludzi z Langali, stosunkowo małą, spokojną grupkę.

Nieco dalej, ramię przy ramieniu, jakby czerpiąc siłę ze wzajemnej bliskości, stali misjonarze - sztywni, milczący mężczyźni w ciemnych garniturach oraz pochylające głowy i szlochające kobiety.

Miejsce centralne zajmował biskup w fioletowych szatach. U swego boku miał żonę w kapeluszu z czarną woalką. Tam też Annah dostrzegła jeszcze jedną znajomą postać. Z rudymi włosami. Różową cerą. Koloratką. W stroju safari...

- Musimy już iść - szepnęła Staniey.

500

Annah przełknęła ślinę, zwilżając suche gardło. Liczyła na to, że uda jej się wślizgnąć do katedry. Potem w cichym kościelnym wnętrzu ludzie mogliby powoli ją rozpoznawać. Teraz musiała na oczach wszystkich przylączyć się do okupującego cmentarz tłumu.

Potrząsnęła głową. Nagle poczuła ciężar dotychczasowych przeżyć, chwil, kiedy myślała, że nie wykona już najmniejszego ruchu, a mimo to jakoś potrafiła zmusić się do działania.

Ale nie teraz. W tym momencie brakowało jej sił...

Słowa same wyrwały jej się z ust.

- Nie mogę.

Jak przez mgłę słyszała, że współpasażerowie o czymś rozmawiają. Chwilę później wojownicy wysiedli i stanęli przy jej drzwiach.

Jeden z nich wystąpił do przodu. Przez chwilę zmagał się z klamką, po czym otworzył drzwi i przemówił do Annah w języku Masajów. Staniey tłumaczył. Jego łagodny ton stąpił się z silniejszym, ale spokojnym głosem Masaja.

- Wojownicy twojego plemienia są daleko stąd. Nie bój się, siostrze. Zajmiemy ich miejsce u twego boku i oddamy ci do dyspozycji swoją siłę.

Wojownicy poprowadzili nowo przybyłych przez tłum, osłaniając ich szerokimi, nagimi barkami. Annah kroczyła na czele niewielkiej grupki. Za nią podążali Staniey, Alice i Ordena. Annah patrzyła prosto przed siebie. Unikała ludzi, którzy odwracali się i śledzili wzrokiem dziwną procesję, ale zauważała luźne szczegóły. Zmieszane miny. Szok i oburzenie. Zapuchnięte od płaczu oczy i blade twarze. Dłonie ściskające wymięte chusteczki.

Potem przed jej oczami pojawiła się twarz archidiakona Sandersa. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna zacisnął usta. Nawet nie ukrywał złości.

W następnej kolejności spojrzenie Annah spoczęło na biskupie. On również ze zdumieniem wpatrywał się w nią i wojowników. Po chwili jednak skinął głową, co oznaczało, że ją rozpoznał. Wróciwszy szybko do otwartej księgi, którą trzymał

501

afrykański duchowny, biskup kontynuował ceremonię. Jego donośny głos płynął nad tłumem.

Ludzie bez oporu ustępowali z drogi posuwającym się do przodu wojownikom, którzy zatrzymali się dopiero wtedy, gdy Annah, Staniey, Ordena i Alice znaleźli się w środku zgromadzenia.

Tam właśnie, wśród misjonarzy, Annah wypatrzyła szczupłą postać Kate. Dziewczynka przyjęła nienaganną postawę i pochyliła głowę. Wydawało się, że w ogóle nie zauważyła chwilowego zamieszania. Przyciskała do piersi dwa bukiety. Nie były to tradycyjne wiązanki kwiatów ogrodowych, lecz pstrokate kompozycje z dzikich orchidei, słoneczników i jakiegoś zielska.

Annah wpatrywała się w dziecko, chłonąc każdy szczegół. Schludną fryzurkę. Szczupłe, przygarbione ramiona. Blade policzki. Annah zauważyła, że obok Kate stoi jeszcze jedna dziewczynka mniej więcej w tym samym wieku. Pewnie przyjaciółka. Miała nadzieję, że się nie myli...

Po chwili Kate odwróciła głowę i spojrzała prosto na Annah, jakby wyczuła spojrzenie obcej kobiety. Oczy dziewczynki nie były zapuchnięte ani załzawione. Raczej puste, nieobecne. Sprawiała wrażenie dziecka, które przez całe życie się śmiało, a teraz schowało się do wnętrza, pozostawiając jedynie pustą skorupę. Na widok Annah twarz dziewczynki drgnęła, jakby rozpoznała nieznajomą, ale potem wszystko minęło.

Kiedy Kate ponownie pochyliła głowę, skrywając twarz, Annah spojrzała na prostokątne, starannie wykopane doły - zadane ziemi rany. I na stojące obok trumny. Długą Michaela. I nieco krótszą Sarah...

W powietrze niepewnie uniosły się pierwsze wersy hymnu, przybierając na sile, w miarę jak do śpiewu przyłączało się coraz więcej osób. Annah wsłuchiwała się w dźwięki. Dobrze знаła słowa i melodię, jednak nie mogła wczuć się w ich sens, pochodzący z innego świata. Tego świata.

Kiedy hymn przebrzmiał, nastąpiła krótka przerwa. Kate wystąpiła z tłumu i podeszła do trumien. Wszystkie twarze

502

zwróciły się w jej kierunku. Dziennikarze przygotowali się do robienia zdjęć.

Wśród uczestników ceremonii zaległa bolesna cisza.

Wtedy w którymś z ostatnich rzędów zaczęła zawodzić jakaś Afrykanka. Jej płacz przeszył powietrze - wyjątkowo szczery i szokujący. Przerwał tamę, która dotychczas powstrzymywała uczucia. W niebo wzbily się inne głosy, zakłócając powściągliwą anglikańską ceremonię. Biskup stał nieruchomo, nie odrywając wzroku od Kate. Jego twarz odzwierciedlała rozpacz tłumu.

Powoli, jak we śnie, dziewczynka położyła kwiaty - po jednym bukietcie na środku każdej z trumien. Najpierw na trumnie Michaela, następnie Sarah. Kate sprawiała wrażenie nieobecnej, zagubionej. Annah patrzyła na nią ze łzami w oczach. Dobrze wiedziała, że rozpacz potrafi człowieka kompletnie otumanić, pogrążyć go w zbawiennej pustce. Ale zdawała sobie również sprawę, że taki ukrywany ból przybiera na sile, by w końcu wyrwać się na zewnątrz.

Annah odszukała wzrokiem Ordenę. Murzynka nie odrywała oczu od Kate i bezgłośnie szlochała. Chwilę później uniosła gwałtownie głowę, poważnie zaniepokojona.

- Zabierają ją-szepnęła.

Jedna z żon misjonarzy szybko wyprowadziła z tłumu Kate i drugą dziewczynkę. Annah ponownie chciała zerknąć na Ordenę, ale czarnoskóra niania już zniknęła. Widać ją było w oddali, jak przepycha się między ludźmi, idąc za Kate.

Biskup przeczytał kilka wersów, po czym z tłumu wystąpiło kilku misjonarzy. Podnieśli trumny, opuścili je, jedną po drugiej, do wykopanych dołów.

Obserwując pochówek, Annah czuła potworny ciężar przygniatający jej duszę. Nie znalazła w tej ceremonii pocieszenia, nie spędziła ostatniej chwili blisko Sarah i Michaela. Uraczono ją obcymi słowami i pieśniami, a wspólnie przeżywany ból jedynie wzmagał cierpienie.

Kiedy wśród zebranych rozległ się niespokojny pomruk, Annah uniosła głowę.

503

Do grobu Sarah zbliżała się Alice. Szła energicznym krokiem, bez wahania, jakby odgrywała z góry przypisaną jej rolę. Jeden z afrykańskich duchownych ruszył w jej kierunku, ale biskup go powstrzymał. Przecież to biedna stara Murzynka. Z pewnością jest nieszkodliwa. Duchowny jednak pilnie śledził ruchy Alice, gotowy do natychmiastowej reakcji.

Stanąwszy nad grobem, starszka spojrzała na trumnę z wyrazem głębokiej czułości, która rozświetliła jej twarz. Następnie, jak matka śpiewająca swojemu dziecku kołysankę, głębokim, łagodnym tonem zaintonowała pieśń w języku suahili.

Dobrze wychowaliśmy dzieci, Są silne i potrafią bronić swego.

Annah zaczerpnęła powietrza. Znała te słowa - była to jedna z wielu piosenek ułożonych przez Sarah i śpiewanych na zajęciach z matkami i niemowlętami. Pani

Carrington pisała przeważnie proste teksty, zawierające podstawowe zasady zdrowia i higieny. Tę lubiła najbardziej. Stanowiła coś w rodzaju pieśni przewodniej. Hymnu matek.

Pieśni EggLady...

Annah nagle zdała sobie sprawę, że sama również śpiewa. Doskonale pamiętała słowa.

Zapewniamy im bezpieczeństwo, By nie spotkało ich nic złego.

Gdzieś w ostatnich szeregach głosy kobiet podchwyciły refren. Annah odwróciła się w tamtą stronę. Rozchyliła usta ze zdziwienia i radości. Ujrzała kobiety z Langali! Gest Alice potraktowały jak sygnał, że przyszła pora na nie. Dopóki brzmiała pieśń, dopóty ta chwila, to miejsce i Sarah należały do nich.

Annah ujrzała przyjaciółkę jak żywą, z dzieckiem na rękach i roześmianą twarzą. A obok niej -jej męża, człowieka silnego i niezmordowanego, o typowych rękach chirurga.

504

Kiedy Annah nabrała powietrza w płuca, żeby ciągnąć pieśń, poczuła jakiś zapach. Lawendę z odrobiną eukaliptusa. Woń przeniknęła przez usta do płuc, jak dusza, esencja dwojga ludzi, których kochała. Był to ostatni kontakt, którego tak bardzo pragnęła. Chłonęła zapach, chowając go na dnie duszy. Czowała obecność przyjaciół.

Zawsze będzie ją czuła.

Pogrzeb dobiegł końca i większość obecnych się rozeszła. Annah stała przy drzwiach katedry razem z Ordeną, Alice i wojownikami. Czekali na Stanieya. Kiedy Ordeną wreszcie wyrwała się z tłumu, nie udało jej się znaleźć Kate. Teraz Stan-ley postanowił się dowiedzieć, dokąd zabrano dziecko.

Po zniknięciu córki Carringtonów dziennikarze mieli do dyspozycji jedynie archidiakona. Mężczyzna pozował do zdjęć na stopniach katedry i odpowiadał na niezliczone pytania, z zapałem zwracając się to do jednego, to do drugiego dziennikarza.

Biskup został przy grobach, niespiesznie zamykając mszał i układając papiery. Poruszał się bardzo wolno, jak człowiek znużony, pokonany, stary. Wreszcie, kiedy już wszystko wykonał, uniósł głowę i rozejrzał się po cmentarzu. Jego wzrok zatrzymał się na Annah. Ich spojrzenia się spotkały.

Biskup ruszył w jej stronę. Annah poczuła zaniepokojenie. Wojownicy przysunęli się do niej z włóczniami w dłoniach.

Duchowny podszedł bliżej i rozłożył ramiona. Ornat powiewał za nim jak skrzydła. Na twarzy duchownego pojawił się wyraz współczucia i wyjątkowej życzliwości, na którą można było odpowiedzieć tylko życzliwością.

Wojownicy się cofnęli. Annah wystąpiła do przodu. Biskup nawet nie próbował się odezwać. Po prostu wziął zgnębioną kobietę w ramiona.

Tulił ją mocno. Annah oparła czoło na jego ramieniu, wchłaniając woń zakurzonego aksamitu, połączoną z lekkim zapachem potu.

Trwali w uścisku przez długą, oderwaną od świata zewnątrz-

505

nego chwilę - lgnęli do siebie, podtrzymując się nawzajem na duchu.

Przed domem doktora Laytona rosły drzewa pieprzowe. Posiadłość otaczał wysoki żywopłot. Annah, Staniey, Alice i Or-dena znaleźli się w zaciszu ogrodu. Podeszli do drzwi, zapukali i czekali z niecierpliwością. Jeden ze służących biskupa powiedział

Stanieyowi, że Kate Carrmngton spędzi tutaj noc, ale nikt nie miał pewności, czy ta informacja jest prawdziwa.

Drzwi uchyliły się i wyjrzała siwowłosa kobieta. Na widok Annah wyraźnie się wzdrygnęła.

- Nie mogę pani wpuścić - oznajmiła, po czym jakby zaskoczona własnym nieuprzejmym tonem, dodała: - Małej nie wolno się z nikim widywać. Doktor Layton wydał wyraźne dyspozycje.

- Jestem jej matką chrzestną - powiedziała Annah. - Chcę się z nią zobaczyć.

Szpara w drzwiach się zmniejszyła.

- Bardzo mi przykro.

- Może jutro?

- Obawiam się, że to niemożliwe. - Kobieta obejrzała się za siebie, w głąb domu, jakby szukała pomocy. - Dziecko ma jak najszybciej wyjechać do Nairobi. Doktor Layton uważa, że najlepiej będzie, jeżeli Kate wróci szybko do Australii. Trzeba oszczędzić jej dalszych przykrych przeżyć. - Kobieta uśmiechnęła się blado i poruszyła ręką, żeby zamknąć drzwi. - Do widzenia.

- Proszę zaczekać. - Annah odsunęła się na bok, wypychając do przodu Ordeę. - To niania Carrmngtonów. Niech pani wpuści przynajmniej ją. Opiekowała się Kate od dnia jej narodzin.

Annah poczuła, że pod wpływem desperacji podnosi głos.

- Musi ją pani wpuścić. Jeśli zajdzie taka potrzeba, pójdę do biskupa.

Kobieta obdarzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

- Nie sądzę, by...

506

- Gdzie wy, ludzie, macie serca? - przerwała jej Annah. - Kate kocha tę kobietę. Potrzebuje jej. Niech ją pani wpuści!

Annah miała ochotę siłą usunąć przeszkodę. Staniey ostrzegawczo chwycił ją za łokieć. Annah z trudem się opanowała. Napięcie minęło.

Wreszcie drzwi otworzyły się szerzej.

- Dobrze. Ale tylko ona.

Nie potrzebowali dużo czasu, by wydostać się z miasta i wyjechać na obszary wiejskie. Na otwartych równinach gdzieś rosnęły akacje, które na tle czerwonawej ziemi przypominały maźnięcia pędzlem. Na fioletowobłękitnym niebie wyraźnie było widać białe ptaki.

Staniey spojrzął na Annah, następnie na siedzącą z tyłu Alice, a potem skupił się na drodze.

- Jeśli nie będziemy się zatrzymywać, wieczorem rozbijemy obóz przy bliźniaczych baobabach.

Annah kiwnęła głową. To było ich ulubione miejsce. Często zaczepiali moskitiery na najniższych gałęziach drzew i nocowali pod gwiazdami.

- W piątek o zmierzchu dotrzemy pod Stożek - dodał Staniey. Stożek. Ta nazwa wzbudziła w Annah mieszane uczucia ulgi, tęsknoty i strachu. Wiedziała, że ona i Staniey będą musieli od nowa opowiedzieć tę okropną historię, udzielać odpowiedzi na niezliczone pytania, wyjaśniać wszystkie szczegóły. Ale gdy podzieliła się żalem, na pewno poczują

ulgę. Poza tym będzie tam królowa matka. I Zania. I Naaga. Kochający, silni, mądrzy ludzie. Uzdrawiciele.

- To twoje. - Staniey podał Annah niewielkie szmaciane zawiniątko. - Dziwnym trafem nie wróciło na policję. Miałem zamiar zatrzymać ten drobiazg, żeby mi ciebie przypominał, gdybyś... postanowiła wyjechać. - Głos mu się załamał.

Annah i Staniey uśmiechnęli się do siebie. Doskonale czuli się w swoim towarzystwie, jak w oazie na bezdrożach. Alice pochyliła się do przodu, patrząc, jak Annah odwija ze szmatek drewnianą figurkę.

507

- Ach! - zawołała Alice, poznając lalkę. - Dobrze, że podarunek Naagi nie trafił w obce ręce.

Staruszka usadowiła się wygodnie, zadowolona.

Annah wygładziła rude włosy na drewnianej główce. Pomyślała o lalkach i pluszowych misiach Kate - cennych zabawkach, czekających w równym szeregu na powrót właścicielki. Dziewczynki, która niebawem wyruszy w podróż na drugi koniec świata.

Może misjonarze mieli rację - zastanawiała się Annah. Może nowe życie w nowym miejscu to jedyna możliwość, by Kate pogodziła się z tym, co wydarzyło się w Langali.

Na razie córka Michaela i Sarah będzie musiała wierzyć w to, co inni: że jej rodzice byli chrześcijańskimi męczennikami, którzy zginęli za wiarę. Na razie należało zapewnić bezpieczeństwo kobietom spod Stożka. Ale pewnego dnia Kate będzie musiała poznać prawdę - dowiedzieć się, że jej matka nie była ofiarą, lecz kobietą o niewiarygodnej sile i odwadze. Osobą, która spojrzała śmierci w oczy i wybrała ją w imię miłości i zaufania.

Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila - obiecała sobie Annah w duchu - odnajdę Kate, niezależnie od tego, gdzie będzie, i wszystko jej opowiem.

Całą długą historię bólu, miłości i śmierci.

Historię życia...

26

7990, Langali, Tanzania

Kate wpatrywała się w głęboki błękit Oceanu Indyjskiego, falującego dziewięć tysięcy metrów poniżej. Słuchała stłumionego warkotu silników i myślała o niezliczonych, uciekających do tyłu kilometrach. Odczuwała coraz większe podniecenie i zniecierpliwienie. Jeszcze tylko jedenaście godzin.

Odwróciła się do siedzącej obok Annah, śpiącej z głową na Jašku i dłońmi złożonymi na kolanach. Na nadgarstku miała bransoletkę Zanii.

Kate niespokojnie przyjrzała się jej twarzy. Długi przelot to ciężka próba dla kogoś tak chorego. Annah miała podkrążone oczy i głębokie, wryte przez ból zmarszczki wokół ust. Ich kąciki jednak nieznacznie uniosły się ku górze, sugerując jakiś piękny sen.

Na widok odpoczywającej kobiety Kate poczuła, że ogarnia ją fala czułości. W ciągu ostatnich tygodni, siedząc przy ognisku i słuchając opowieści Annah, dobrze poznała jej twarz. Płakały razem i każda z osobna. Razem popadały w milczącą zadumę. Razem piły, jadły i spały. W tym czasie opowieść wartko toczyła się do przodu, silna jak prąd rzeki. Dzikiej, głębokiej rzeki...

Kiedy wreszcie histońa dobiegła końca, Annah oparła się, żeby odpocząć.

- Wyjedziemy, jak tylko odzyskasz siły - zaproponowała Kate.

Annah spojrzała na nią bez wyrazu.

- Zabieram cię z powrotem - wyjaśniła Kate. - Do Afryki. Póki słowa Kate nie przeniknęły do świadomości Annah, jej twarz pozostawała niewzruszona. Potem na chwilę pojawił się na niej wyraz niedowierzania, a w końcu czysta, nieklamana radość...

- Mogę zaproponować paniom coś do picia? Stewardesa nachyliła się nad Kate, podsuwając jej taczkę z serwetką i podkładką pod szklanekę.

- Nie, dziękuję. - Kate potrząsnęła głową. - A moja przyjaciółka odpoczywa.

Stewardesa przeniosła spojrzenie na Annah. Mrugając umalowanymi na niebiesko powiekami, przyglądała się wyblakłym spodniom, bursztynowym paciorkom, skórzanemu pasowi, długim, rozpuszczonym siwym włosom. Na dłużej zatrzymała wzrok na wystającej z kieszeni fotela butelce zielonkawego płynu. Odwróciła się do Kate z pytająco uniesionymi brwiami.

- To lekarstwo - wyjaśniła młoda kobieta. - Zapisane przez lekarza.

Zapadła chwila ciszy. Na twarzy stewardesy widać było walkę toczącą się między uprzejmością a powątpiewaniem. Górę wziął grzeczny uśmiech.

- Lecicie przez Nairobi?

- Tak.

- Na safari?

- Nie. - Na ustach Kate pojawił się płynący z głębi serca, ciepły, spokojny uśmiech. - Wracamy do domu.

W kaplicy było chłodno. W powietrzu unosił się zapach kurzu i wypolerowanego drewna. W ogromnym wazonie przy wejściu od ubiegłej niedzieli usychały gałązki różowej i szkarłatnej bugenwilli.

Kate zamknęła za sobą drzwi, żeby odciąć się od niewielkiej grupki, która podążała za nią od miejsca, w którym wyląd-

wały. Stała nieruchomo, patrząc na ciągnące się do ołtarza rzędy pustych ławek. Podkreślały panującą w kaplicy pustkę i wrażenie, że młoda kobieta znajduje się sama w nieskończonym wszechświecie. Pomimo ulgi, że udało jej się uwolnić od tłumu, chciała, by obok niej była Annah. Ale matka chrzestna została w samolocie i czekała na lektykę. Nalegała, by Kate nie zwlekała.

- Musisz spędzić trochę czasu w samotności - powiedziała. - Wkrótce do ciebie dołączę.

Kate spojrzała przyjaciółce w oczy i zrozumiała wyraźne przesłanie. „Musisz sama poradzić sobie z bólem. Nikt nie zrobi tego za ciebie. My możemy jedynie się przyglądać...”

Kate powoli szła nawą biegnącą wzdłuż szlaku niewolników, czując pod stopami gładkie deski podłogi. Zatrzymała się przy ołtarzu i zaczęła rozglądać się za tablicą pamiątkową, o której wspomniała Annah.

Mosiężna, świeżo wypolerowana płyta połyskiwała w półmroku. Kate nabrała powietrza w płuca i pochyliła się, by przeczytać wygrawerowany napis:

Pamięci Michaela i Sarah Carringtonów. Wiernych Bogu aż do śmierci.

Dwukrotnie przeczytała proste wersy, ale ich banalna treść wcale jej nie wzruszyła. Odwróciła się, była wciąż opanowana...

Wtedy dostrzegła, że obok wisi jeszcze jedna, tym razem drewniana tabliczka. Proste litery tworzyły napis w języku sua-hili:

Kobieta nie może lepiej okazać wielkiej miłości, Niż oddając życie za przyjaciół.

Kate wpatrywała się w epitafium. Wokół wersów wyrzeźbiono gwiazdy, ptaki i kwiaty - świadków pięknej, pogodnej historii. Kobieta poczuła przybierający na sile ból, który w na-

513

stępnej chwili zamienił się w gniew. Nagle poczuła, że autor tych słów jest jej wrogiem. Że coś jej ukradł, wyrwał z serca i przywłaszczył sobie. Coś lub kogoś. Jej matkę...

Odwróciła się od ołtarza i skierowała do wyjścia. Czowała, że gdyby zaczęła biec, nie potrafiłaby się zatrzymać. Wpadłaby do lasu. I biegła wśród zielonych, gęstych, obojętnych drzew...

Po wyjściu na zewnątrz poczuła na ramionach ciepłe promienie słońca. Została powitana przez tłum. Zdawała sobie sprawę z wyczekujących spojrzeń uprzejmych i pełnych współczucia dorosłych oraz ciekawskich dzieci. Wiedziała, że chcą z nią porozmawiać, zadać jej wiele pytań, okazać radość z jej powrotu, mimo to taktownie trzymają się z daleka.

Kate ruszyła prowadzącą do domu misyjnego ścieżką. Idąc powoli tak dobrze znaną trasą, wchłaniała zapach wysuszonych kozich odchodów i palącej się nafty. Jej stopy chrzęściły na żwirze tak samo jak wiele lat temu, chociaż teraz miała na nogach buty, a zamiast połatanych szortów - dżinsy. Kiedy podeszła do ozdobionego czerwonymi, mięsistymi kwiatami krzaka, zatrzymała się, wspominając, jak razem z przyjaciółmi lubiła obskubywać z niego pączki. Potem zgniatali płatki w puszcze po mleku, aż zamieniały się w gęstą, ciemną „krew”, używaną do zabawy w szpital. Ordena nie była zachwycona plamami na ubraniu ani pomysłem, by bawić się krwią.

Ordena. Od chwili przyjazdu Kate wpatrywała się w twarze spotykanych ludzi, na próżno na nią czekając. W końcu spytała, gdzie jest stara niania.

- Gdzieś powędrowała - padła odpowiedź. - Przyjdzie.

Ale na razie Ordena się nie pojawiła. Kobieta przypomniawszy sobie, że po tylu latach milczenia przyjechała z Australii, nikogo nie uprzedzając. Nie mogła liczyć na to, że osoba, którą najbardziej pragnie zobaczyć, będzie przez cały czas czekała, aby ją powitać.

Kate obeszła krzaki i stanęła jak wryta. Przed nią rozciągało się pole, świeżo obsadzone kasawą. W samym środku widać było ślady betonowych fundamentów oraz kamienie okalające dawny ogródek Sarah. I drzewo - wielki pieprzowiec, rosnący

514

obok zbiornika z wodą. Kate przypomniawszy sobie, jak wspinała się po jego poskręcanych konarach, szukając kryjówki wśród gęstych liści. Jak wieczorami otwierała w swoim pokoiku okno i wdychała powietrze przesiąknięte wonią aromatycznych ziarenek pieprzu.

Z ich domu nie pozostało nic. Annah uprzedziła ją, że go nie zobaczy. Budynek został zburzony wiele lat temu. Po tragicznych wydarzeniach nikt nie chciał zamieszkać pod jego dachem, chodzić po drewnianej podłodze.

Kate stała samotnie na skraju pola. U jej stóp z ziemi wyrastały zielone pędy. Próbowała wyobrazić sobie dom misyjny tak, jak wyglądał za dawnych lat: wychodzące na werandę okna, wydymane przez wietrzyk zasłony w bumerangi, pobielone parapety.

To wspomnienie było jednak zbyt odległe; zbyt wiele się zmieniło. Nie tylko tutaj, ale i w całej placówce. Szpital sprawiał wrażenie znacznie większego, a cały teren misyjny i ogrody wyraźnie się skurczyły. W pobliżu miejsca, w którym stała, wybudowano duży murowany dom. Przyjrząwszy się szarej fasadzie, Kate domyśliła się, że jest to dom misyjny - mieszkanie kierownika placówki i jego rodziny. Na balustradzie werandy przycupnął kogut. Na czerwonym blaszanym dachu suszyły się wyprane kitenge. Przy drzwiach wejściowych piętrzył się stos pękatych pomidorów, stał koszyk pełen jaj, a obok spał pies.

Kate rozglądała się z poczuciem ulgi. W jej wspomnieniach placówka w Langali pozostała niezmienną, jednak w rzeczywistości życie toczyło się dalej. Zapisując nowe rozdziały, pełne nadziei i tragedii. Młoda kobieta zdała sobie sprawę, że historia mieszkających tu ludzi pomaga jej zachować własną przeszłość, do której może wracać, bez uczucia, że dźwiga na swych barkach zbyt wielki ciężar.

Odwróciła się do milczących gapiów. Jakby na dany sygnał kilkoro dzieci ruszyło pędem w jej kierunku. Okrążyły ją, podniecone, śmiały się i paplały wszystkie jednocześnie. Kate z trudem przypominała sobie suahili i odpowiadała na pytania. Ale zaraz jej uwagę przyciągnęło coś innego. Do terenu misyj-

515

nego szybko zbliżał się kolorowy jak mozaika pochód czarnych ciał i pstrokatych strojów.

Chwilę później obok niej zatrzymało się czterech silnych mężczyzn z lektyką na barkach. Kate zobaczyła leżącą w niej Annah. Kobieta opierała się wygodnie o poduszki, dzięki czemu widziała, co dzieje się wokół niej. Jej pojawienie się przyciągnęło ogromny tłum - dziesiątki ludzi tworzyło zdążający jej śladem pochód.

Kate w towarzystwie przepychających się dzieciaków ruszyła Annah na spotkanie. Kiedy się zbliżyła, ludzie rozstąpili się, żeby ją przepuścić. Podchodząc, wpatrywała się w bladą, niemal woskową twarz Annah, powleczonej lśniącej warstewką potu skórę. Ale szarzielone oczy leżącej wędrowały tu i tam, wychwytyjąc z otoczenia każdy szczegół. Kate uśmiechnęła się z ulgą.

- Dobrze się czujesz? - spytała Annah, patrząc w oczy Kate przenikliwym wzrokiem.

Kate odpowiedziała tym samym.

- Tak.

Annah zadowolona się prostą odpowiedzią, nie naciskała.

- W takim razie chodźmy - powiedziała w suahili do niosących ją mężczyzn.

Słyszalna w jej głosie energia natychmiast udzieliła się towarzyszącym ludziom. Mężczyźni ruszyli, mocno trzymając lektykę. Tłum pośpieszył za nimi.

Zgodnie ze wskazówkami Annah tragarze skierowali się do mostu nad strumieniem.

Kate szła obok. Musiała niemal biec, aby dotrzymać mężczyznom kroku.

Po kilku minutach poczuła na ramieniu silne palce Annah. Ujrzała oczy rozpromienione oczekiwaniem.

- Wreszcie zobaczysz mój prawdziwy dom. Kwa Moyo -oznajmiła z lektyki.

Parawan tworzony przez leśne drzewa na przeciwległym brzegu strumienia wyglądał tak, jak pamiętała go Kate. Ale za

516

nim, tam gdzie kiedyś znajdowała się opuszczona wioska i panował dziwny spokój, teraz unosiły się kłęby dymu, oznaczające dziesiątki ognisk. Nad wierzchołkami drzew widać było dachy okrągłych chat, a między pniami Kate dostrzegła zielone i kolorowe grządki.

Za mostem tragarze zeszli z drogi na ścieżkę prowadzącą przez las do osady. Zanim dotarli do pierwszych chat, Annah gestem ręki poprosiła, by się zatrzymali, i wskazała na polankę usianą kamiennymi kopcami.

- Tam jest babcia Stanieya. Obok niej królowa matka. Nieco dalej Alice i Naaga.

Mówiła tak, jakby cztery kobiety wciąż żyły i stały opodal. Nawet się do nich uśmiechnęła. Potem zwróciła uwagę Kate na jeszcze jeden, wznoszący się w pewnej odległości kopiec.

- To nie jest grób - wyjaśniła. - Ale ułożyliśmy go, by uczcić pamięć biskupa Wade'a.

Kate kiwnęła głową. Jej wzrok wędrował po poszarpanych konturach pomnika. W Melbourne, podczas długich rozmów przy ognisku, a potem w trakcie podróży do Afryki Kate dowiedziała się, że po śmierci Michaela i Sarah biskup stał się sprzymierzeńcem Annah i Stanieya. Nie mając innego wyjścia, poprosili go o pomoc. Ostrożnie wyjawili mu swoje zamiary, przekazując jedynie te informacje, co do których mogli mu zaufać. Biskup zareagował natychmiast. Nie tylko pomógł przenieść osadę spod Stożka do opuszczonej wioski w Langali, lecz także użył swoich wpływów, by uzyskać od rządu pozwolenie na osiedlenie się uciekinierów w Tanzanii. Następnie całą energię skierował na zwiększenie bezpieczeństwa granic kraju. Nim przeszedł na emeryturę, zasłużył sobie na nadany mu przez misjonarzy przydomek. Wadę Zachodu...

Mijając kamienne kopce, ludzie umilkli. Potem znów zaczęli rozmawiać i śpiewać. Annah oparła się na łokciu i spojrzała przed siebie.

W Kwa Moyo nikt nie spodziewał się dwóch białych kobiet. Kiedy Annah i Kate zdecydowały się na podróż, pośpiesznie wyruszyły w drogę. Pierwszą napotkaną osobą był nastolatek,

517

który z zaskoczeniem wpatrywał się w białe kobiety. Po chwili pochód natknął się na staruszkę pracującą w ogrodzie. Kobicina rozejrzała się dokoła, po czym powoli podniosła głowę. Szeroko otwartymi oczyma przyglądała się Annah, wyciągając kościste ramiona w stronę lektyki.

- To ona! To ona! - zawołała wysokim, czystym głosem. - Annah!

Wiadomość poszybowała jak popiół na wietrze. Nagle wokół lektyki pojawili się ludzie, patrząc na Annah jak na zjawę.

- Pożegnaliśmy się z tobą - mówili. - Nie przypuszczaliśmy, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczymy!

Szok ustąpił miejsca zdziwieniu, a potem radości.

Mieszkańcy Kwa Moyo - kobiety, mężczyźni, dzieci - po kolei podchodzili do lektyki. Staruszki zatrzymywały się przy niej najdłużej, ujmując wychudzone dłonie Annah swymi zniszczonymi od pracy, powykręcanyimi palcami. Po ich wysuszonych policzkach spływały łzy.

Potem powoli uwaga ogółu przeniosła się na Kate, która z niepewności czuła ucisk w żołądku. Sarah oddała życie, by ocalić wielu spośród tych ludzi. Kate mogła się natknąć na jakąś rówieśnicę, która dorastała pod okiem własnych rodziców tylko dlatego, że Kate została osierocona przez swoich...

- Sarah.

Raz wypowiedziane imię unosiło się w powietrzu, przekazywane z ust do ust z szacunkiem i nabożeństwem.

Sarah. Sarah. Sarah.

Przyszła!

Nasza córka!

Z tłumu zaczęli wyłaniać się młodzi ludzie - dziewczęta i chłopcy w różnym wieku. Wołali do Kate:

- Na twoją cześć nazywają mnie Kateriną!

- Ja jestem Mikeli.

- A ja Sera.

- Ja też.

Annah dotknęła ramienia Kate.

518

- Wiele dzieci otrzymało imiona dla upamiętnienia twojej rodziny - wyjaśniła spokojnie. - O niczym nie zapomniano. Nagle w ramionach Kate znalazło się niemowlę.

- Niedawno przyszła na świat - oznajmiła młoda matka z dumą i powagą. - To najmłodsza Sera.

Kate wpatrywała się w malutką, przytuloną do jej piersi twarzyczkę. Maleństwo machało rączką, szukając czegoś, co mogłoby chwycić, dopóki nie natknęło się na palec Kate. Mocno zacisnęło na nim piąstkę. Kate spojrzała na niemowlę, wciąż jeszcze blade i nagie, ozdobione jedynie przewiązaniem w pasie sznurem kolorowych paciorków. Było bardzo lekkie, prawie nic nie ważyło. Mimo to czuła, że bije w nim silne serce. Potężne tętno życia.

Podniosła głowę i napotkała spojrzenie Annah. W oczach obydwu kobiet lśniły łzy, odzwierciedlając to samo uczucie.

Tragarze szli przez Kwa Moyo. Kate rozglądała się dookoła. Po obydwu stronach dróżki między owocującymi drzewami ciągnęły się grządki, obsadzone różnymi warzywami, ziołami i kwiatami. Działki upstrzone były czekoladowymi, parującymi w wilgotnym leśnym upale pagórkami kompostu.

Annah powiedziała już Kate, że od chwili założenia Kwa Moyo, czyli od kilkunastu lat, nie zapomniano o regule ogrodnictwa siostry Mercy. Hodowane tu owoce i warzywa zaspokajały nie tylko potrzeby mieszkańców osady. Nadmiar produkcji wożono ciężarówką na targ do Murchanzy, niektóre gatunki podróżowały pociągiem aż do Dar es-Salaam.

Działki były nie tylko praktyczne, lecz także piękne. W niczym nie przypominały tak lubianych przez Kate tradycyjnych ogrodów, za to rośliny rosły tu niemal jak na drożdżach. Wydawało się, że każdej pozwolono rosnąć tam, gdzie chciała, a ona w zamian za to z zapalem pięła się w górę i rozwijała.

- Podobają ci się nasze ogrody? - spytała Annah, odgadując myśli Kate.

Kate się uśmiechnęła.

- Widzę, że nie ma tu kóz.

519

Jej towarzyszka roześmiała się głośno. Był to silny, radosny dźwięk, zadający kłam jej chorobie.

- Do prawdziwego ogrodu nigdy nie wpuszcza się kozy! Przez chwilę spoważniała, ogarnęła wzrokiem zieleń, po czym z powrotem przeniosła spojrzenie na Kate.

- Jestem tutaj taka szczęśliwa.

Niebawem tragarze dotarli do najstarszej części osady, w której chatki były mniejsze i prostsze. Mieszkało w nich więcej osób w zaawansowanym wieku, a mniej dzieci. Teraz Annah czegoś szukała wzrokiem, niecierpliwie rozglądając się wokół siebie. Poruszała wargami, jakby lada chwila miała coś powiedzieć. To tu, to tam odwracała coraz bardziej zatroskaną twarz.

Nagle gwałtownie podniosła głowę, zatrzymując wzrok na odległym krańcu świeżo skopanego ogródka. Kate poszła za jej wzrokiem. Dostrzegła wysoką, siwowłosą postać z motyką w ręce. Mężczyzna miał na sobie koszulę koloru khaki i zbyt obszerne spodnie tej samej barwy. Nie zwracając uwagi na hałaśliwy tłum, wykonywał monotonne ruchy, jakby miał powtarzać tę samą czynność przez wiele godzin. Annah wpatrywała się w niego. Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech.

- Stanicy - szepnęła po długiej chwili. Mężczyzna wyprostował się i powoli odwrócił. Popatrzył w stronę lektyki, potrząsając głową, jakby chciał zbudzić się ze snu. Potem zaczął biec w kierunku Annah, wyciągając nogi jak młody człowiek.

Zatrzymał się dopiero przy lektyce. Milczał, z trudem łapiąc oddech. Dotknął ramienia leżącej delikatnie, ostrożnie, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwa.

- Bóg sprowadził cię z powrotem! - powiedział w końcu, nie kryjąc wzruszenia.

Annah przytaknęła. Po jej policzkach płynęły łzy. Przez jakiś czas oboje po prostu patrzyli na siebie, przyglądając się swoim rozjaśnionym spotkaniem twarzom.

Tragarze ostrożnie postawili lektykę na ziemi.

Annah wskazała na Kate.

520

- Ona też wróciła do domu. To córka Michaela i Sarah. Stanicy przeniósł wzrok na Kate. Przez krótką chwilę czuła,

że Murzyn chciałby się dowiedzieć, kim, a właściwie czym stała się przez te lata.

- Witamy w Kwa Moyo, Kate Carrington - powiedział w końcu.

Nie rozpoczął grzecznościowych przejiytywanek bez końca, interesowało go tylko jedno:

- U hali gani moyoni, je? Kweli kweli.-

W jakim stanie jest twoje serce? Powiedz szczerą prawdę...

Pytanie odbiło się echem gdzieś w gł[^]bi duszy Kate, jakby

tam właśnie szukało odpowiedzi. Z tego też źródła wypłynęły

jej słowa:

- W dobrym, bracie.

Mówiąc to, Kate poczuła ogromną ulgę.

- U hali gani moyoni? - odwzajemniła się pytaniem.

Odpowiadając, Staniey patrzył na Annah. ; - Moje serce... ma się bardzo dobrze.

Staniey przykucnął przy noszach i zaniknął Annah w delikatnym uścisku. Z zaskakującą jak na mężczyznę w tym wieku siłą wziął ją na rękę.

Trzymając ją w ramionach, przyciskając czoło do czoła, Staniey zaniósł kobietę do starej chaty z trawy.

Kate patrzyła, jak znikają w ciemnym wnętrzu. Nie mogła stać i patrzeć, jak Annah się oddala. W końcu była jej osobistą pielęgniarką, troska o nią należała do obowiązków młodej kobiety. Ale to nie był jedyny powód. Kiedy Annah zniknęła, Kate poczuła się jak ktoś obcy. Kto ma zbyt jasną skórę. Zbyt czyste ubranie. I nie pamięta suahili.

To wszystko było tak dawno temu...

Młoda kobieta odwróciła się, słysząc w tłumie zamieszanie. W jej kierunku, rozpychając się łokciami i pochylając głowę, przedzierała się przysadzista Murzynka.

Rozległ się śmiech. Kate natychmiast poznała pełen zachwyty chichot, chociaż wydobywał się z charczących, starczych płuc, które przez całe życie wchłaniały dym z ogniska.

521

Ordena!

Bezgłośnie wymówiła imię niani. Ludzie rozstąpili się, robiąc przejście. Po chwili starszuszka stanęła przed Kate. Lata wryły na twarzy Ordenu głębokie zmarszczki. Poza tym wcale się nie zmieniła.

Padły sobie w objęcia - stara, przygarbiona czarnoskóra niania i młoda biała kobieta, którą Murzynka wychowywała.

- Wiedziałam, że wrócisz - powiedziała Ordenu, otaczając Kate ramionami, charakterystycznym zapachem i miłością. - Musiałś wrócić do domu. Jesteś dzieckiem tej krainy.

Epilog

7997, Kwa Moyo

Zania rozkruszył kawałeczek aromatycznej żywicy i posypał n[^]ą miskę z żarem.

- Oczyszczyć powietrze z tego, czego nie widać - wyjaśnił.

Przez otwarte drzwi na łóżko Annah padały promienie słoneczne. Kiedy była już zbyt słaba, by poruszać się w lektyce, przeniesiono ją tutaj, żeby, odpoczywając, mogła widzieć i słyszeć, co dzieje się na zewnątrz, obserwować trudy życia codziennego.

Pod jedną ze ścian chaty ułożono dary. Wieńce, drewniane rzeźby, kamienie, wiązki suszonych ziół. Były to symbole miłości, przedmioty kultu, magii. Wśród nich znajdowało się kilka osobistych rzeczy Annah, przywiezionych z Melbourne. Obok starego adaptera stał mikroskop. Na zniszczonej walizce rozpościerała się wyszyta przez Sarah poszewka. Leżało tam również czytane wiele razy Pożegnanie z Afryką, książka, której brakowało

okładki i strony tytułowej. Na niskim stoliku przy łóżku stał kielich mszalny Alice i zwinięty fragment ornatu ze słowami średniowiecznej zakonnicy...

Jestem deszczem, powstającym z rosy, Sprawiam, że trawa się śmieje, ciesząc się życiem.

523

Mieszkańcy Kwa Moyo przez cały dzień wchodzili i wychodzili, podobnie jak ludzie z Langali, jednak kilka osób nigdy nie opuszczało chaty. Staniey. Kate. Zania. Ordena. A także kobieta o imieniu Lela, która nauczyła się od Alice sztuki uzdrawiania. Przyrządzała mocne środki przeciwbólowe, które Kate wlewała między spierzchnięte wargi Annah. Lela masowała zmęczone ciało chorej, łagodząc bóle, a w tym czasie jej uczennica śpiewała uzdrawiające pieśni.

To Zania powiedział Stanieyowi, że zbliża się koniec.

- Teraz może się już uwolnić - oznajmił. - Musimy się przygotować i pozwolić jej odejść.

Staniey gładził Annah po twarzy, szepcząc jej coś na ucho. Zania pochylił się nad chorą, by zdjąć bursztynowe paciorki Mtemiego i podarowaną przez siebie bransoletkę z kości słoniowej. Przekazał je Kate, tak jak życzyła sobie tego Annah.

- Będę je nosić za ciebie - obiecała Kate, chociaż nie wiedziała, czyjej słowa docierają do świadomości umierającej.

Kate wybrała spośród darów pęk piór flaminga i położyła je na piersi Annah.

Dzień dobiegał końca. Niebo nad głowami czekającego na zewnątrz tłumu przybrało kolor bladoróżowy.

Wreszcie Annah po raz ostatni otworzyła oczy. Resztkami sił podniosła głowę, aby spojrzeć na wszystkich obecnych. Następnie wydała długie i niespieszne westchnienie - delikatne westchnienie duszy, rozpościerającej skrzydła. Odlatującej daleko, w głąb ładu.

W chacie zapadła cisza, spokój.

Na zewnątrz zaczęło padać.

Podziękowania

Pragnę podziękować wielu osobom, które przyczyniły się do powstania Królowej Deszczu:

Przede wszystkim moim rodzicom, Robinowi i Elizabeth Smithom, za to, że podarowali mi afrykańskie dzieciństwo i wiele opowieści, snuty przy stole. W trakcie pisania tej książki konsultowałam się z nimi w kwestiach dotyczących historii Tanzanii, medycyny ludowej, teologii i języka suahili. Jestem im bardzo wdzięczna za współpracę, bez której ta książka nigdy by nie powstała.

Reszcie rodziny, bliskim przyjaciółom i sąsiadom - za zainteresowanie i wsparcie, będące siłą napędową tej podróży. W szczególności siostrze, Ciare Visagie, która bardzo mi pomagała, zwłaszcza czytając kilka fragmentów rękopisu.

Licznym osobom, które były uprzejme podzielić się ze mną swoimi wrażeniami z pobytu w Afryce. Dostałam nawet zaszczytu, jakim było przeczytanie różnych listów, dzienników i pamiętników.

Gaby Naher, która od początku wierzyła w moją pracę; mojej agentce, Fionie Inglis, Cate Paterson i Annie McFarlane z Pan Macmillan Australia. Wszystkie udzielały mi rad i dodawały otuchy.

Rodzinie Bali, z którą dzieliłam afrykańskie korzenie, a zwłaszcza Phyllis Bayldon, która dotarła do kresu swojej życiowej wędrówki przed ukończeniem rękopisu. Stanowiła dla

525

mnie inspirację - ciągle przypominała mi, że każda spotkana staruszka mogła kiedyś polować na krokodyle...

Moim synom, Jonathanowi i Lindenowi, którzy bardzo często musieli dzielić się matką z niewidzialną grupą pochłaniających jej uwagę nieznajomych. Dzięki nim wiem, dlaczego życie jest takie cenne i warto snuć opowieści.

Najwięcej jednak zawdzięczam Rogerowi Scholesowi. Królowa Deszczu stanowi następny wspólny rozdział naszego życia. Dziękuję mu za rady wydawnicze - zawsze wnikliwe, przemyślane, choć nieugięte - i ciągle naleganie, żebym dotarła aż do samego sedna tej opowieści. W znacznej mierze jest ona jego dziełem.